Fantasy & SF

AUTORKA CYKLU „ZIEMIOMORZE"

Ursula Le Guin

WYDZIEDZICZENI

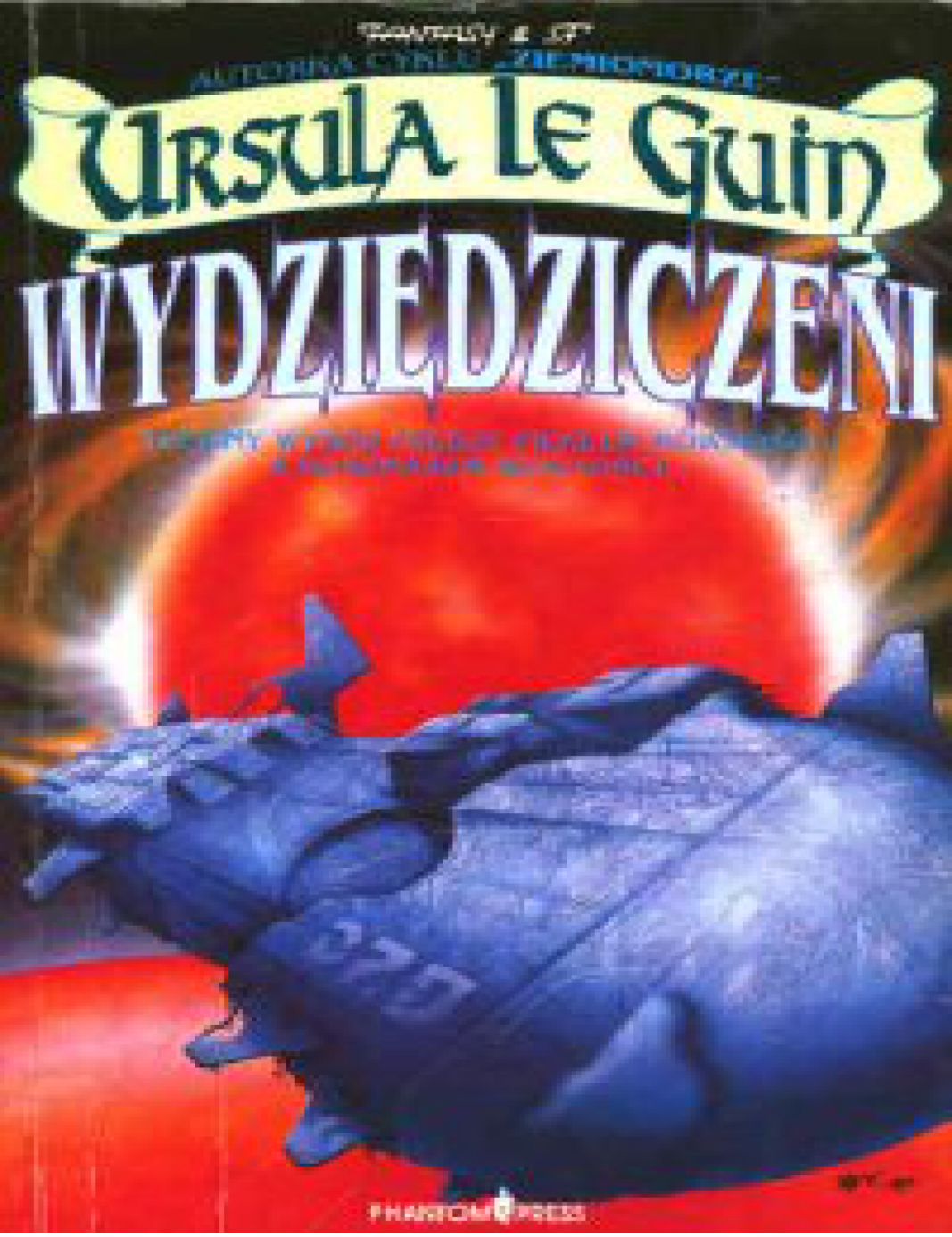

PHANTOM PRESS

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Mieszkaniec planety Anarres, fizyk imieniem Szevek, nigdy nie potrafi zrezygnować z prawa do odrębności, do osobistej wolności, dlatego czuł się nieszczęśliwy będąc członkiem społeczeństwa ludzi całkowicie równych. Idealnym wyjściem w tej sytuacji wydaje się emigracja na sąsiednią, wrogą planetę Urras. Szevek otrzymuje zaproszenie i opuszcza ojczyznę, lecz już na pokładzie statku kosmicznego zdobywa pewne niepokojące informacje o Urras. Statek niebawem wyląduje…

Powieść otrzymała nagrodę Nebulę w 1974 i Hugo w 1975.

- Ursula K. Le Guin
  -
  - Rozdział pierwszy
  - Rozdział drugi
  - Rozdział trzeci
  - Rozdział czwarty
  - Rozdział piąty
  - Rozdział szósty
  - Rozdział siódmy
  - Rozdział ósmy
  - Rozdział dziewiąty
  - Rozdział dziesiąty
  - Rozdział jedenasty
  - Rozdział dwunasty
  - Rozdział trzynasty

Ursula K. Le Guin
Wydziedziczeni

Pochylił się na fotelu i potarł boleśnie czoło.

— Posłuchaj — rzekł — muszę ci wytłumaczyć, po co do was przybyłem, po co w ogóle przyjechałem na ten świat. Przybyłem tu dla idei. Z powodu idei. Aby się jej uczyć, żeby jej uczyć, by się nią dzielić. Widzisz, my na Anarres odcięliśmy się od pozostałych światów. Nie rozmawiamy z innymi ludźmi, z resztą ludzkości. Tam nie mógłbym ukończyć mojej pracy. A choćbym i mógł, oni jej nie chcieli, nie widzieli z niej pożytku. Przybyłem więc tutaj. Tu znajduję to, czego mi potrzeba: rozmowy, dzielenie się przemyśleniami, doświadczenia w Laboratoriach Badań nad Światłem, dowodząc czegoś, co nie było ich celem, księgi teorii względności z obcego świata — bodziec, jakiego mi brakowało. Tak więc doprowadziłem wreszcie mą pracę do końca. Nie jest jeszcze spisana, mam już jednak równania, ogólny zarys, jest w gruncie rzeczy gotowa.

Ale dla mnie ważne są nie tylko idee w mojej głowie. Moje społeczeństwo to także idea. Ona mnie stworzyła. Idea wolności, przemiany, ludzkiej solidarności, idea wzniosła. Byłem przeraźliwie głupi, ale przecież dostrzegłem wreszcie, że poświęcając się jednej — fizyce — zdradzam drugą. Pozwalam, żeby posiadacze kupili ode mnie prawdę.

Rozdział pierwszy
Anarres — Urras

Wznosił się tam mur. Nie wyglądał imponująco. Zbudowano go z nie ociosanych głazów, byle jak spojonych zaprawą; człowiek dorosły mógł spojrzeć ponad jego szczytem i nawet dziecko mogło się nań wspiąć. W miejscu przecięcia z drogą — zamiast otwierać się bramą — zniżał się do czystej geometrii, linii, idei granicy. Lecz była to idea realna. Ważna. Od siedmiu pokoleń nie było na tym świecie niczego ważniejszego nad ten mur.

Był dwuznaczny i dwulicy jak wszystkie mury. Co znajdowało się wewnątrz, a co na zewnątrz muru, zależało od tego, z której patrzyło się strony.

Oglądany z jednej, opasywał sześćdziesiąt akrów nagiego ugoru zwanego Portem Anarres. Stało tam kilka olbrzymich suwnic bramowych, wyrzutnia rakiet, trzy magazyny, garaż dla ciężarówek i noclegownia. Noclegownia sprawiała solidne, posępne i przygnębiające wrażenie; nie tonęła w ogrodach, nie bawiły się wokół niej dzieci; nikt w niej najwyraźniej nie mieszkał na stałe, ani nawet nie zatrzymywał się na dłużej. Była to w gruncie rzeczy kwarantanna. Mur odgradzał nie tylko lądowisko, ale i przybyłe z przestrzeni kosmicznej statki, ludzi, którzy na nich przylecieli, światy, z których przybywali, a także resztę kosmosu. Mur opasywał wszechświat, Anarres była poza murem, na wolności.

Oglądany z przeciwnej strony, mur opasywał Anarres; otaczał całą planetę — wielką kolonię karną, odciętą od innych światów, od innych ludzi, poddaną kwarantannie.

Drogą ku lądowisku zbliżała się gromada ludzi, inna skupiła się już w miejscu, w którym droga przecinała mur.

Ludzie przychodzili tu często z pobliskiego miasta Abbenay w nadziei ujrzenia statku kosmicznego, bądź tylko by zobaczyć mur. Ostatecznie był to jedyny graniczny mur w ich świecie. Nigdzie indziej nie mieliby okazji oglądać tablicy z napisem „Wstęp wzbroniony." Mur przyciągał szczególnie młodych. Gromadzili się pod nim, przesiadywali na jego koronie. Można się było pogapić na brygady wyładowujące pod magazynami skrzynie z ciężarówek gąsienicowych. Można się było natknąć na frachtowiec na płycie wyrzutni. Frachtowce lądowały na Anarres tylko osiem razy w roku; nikomu prócz zatrudnionych w Porcie syndyków ich przybycia nie zapowiadano, więc gdy gapie mieli dość szczęścia, by na takie wydarzenie trafić, byli zrazu bardzo podnieceni. Oto siedzieli na murze, a w oddali tkwiła na lądowisku ona — masywna, czarna wieża

wśród krzątaniny jezdnych dźwigów. A potem zjawiła się jakaś kobieta z ochrony magazynów i oświadczyła: „Zamykamy na dzisiaj, bracia". Nosiła opaskę Defensywy — widok równie rzadki, co widok statku kosmicznego. Wzbudziło to dreszcz emocji. Choć wygłosiła swe oświadczenie tonem łagodnym, nie podlegało ono dyskusji. Była drużynową i gdyby się jej sprzeciwiono, otrzymałaby wsparcie od swojej drużyny. I tak zresztą nie było na co patrzeć. Obcy — przybysze z innych światów — nie wychylali nosów ze statku. Żadne widowisko.

Równie mało zajmujące było ono i dla oddziału Defensywy. Jego drużynowej marzyło się czasem, żeby ktoś choć spróbował przeleźć przez mur albo członek obcej załogi wyskoczył ze statku, albo żeby jakieś dziecko z Abbenay spróbowało podejść do frachtowca, aby go sobie obejrzeć z bliska. Lecz nic takiego się nigdy nie zdarzyło. W ogóle nic się nigdy nie zdarzało. Gdy się więc zdarzyło, nie była na to przygotowana.

Kapitan frachtowca Czujny zwrócił się do niej z pytaniem:

— Czy temu tłumowi chodzi o mój statek?

Drużynowa spojrzała we wskazanym kierunku i stwierdziła, że przy bramie zgromadził się istotnie prawdziwy tłum — ze sto, jeśli nie więcej osób. Stali tam, po prostu stali — jak ludzie podczas Głodu na stacjach towarowych. Przestraszyła się.

— Nie. Oni, tego, protestują — wyjaśniała powoli swoim ubogim ajońskim. — Protestują, tego, no wiesz. Pasażer?

— Chcesz powiedzieć, że przyszli tu z powodu tego drania, którego mamy stąd wywieźć? Mają zamiar spróbować zatrzymać jego czy nas?

Słowo „drań", nieprzetłumaczalne na jej język, nic dla drużynowej nie znaczyło, wzięła je za obcą nazwę swojego narodu, nie spodobało jej się jednak jego brzmienie — ani ton głosu kapitana, ani sam kapitan.

— Mógłbyś pilnować swego nosa? — zapytała krótko.

— Jasne, do cholery. Pośpieszcie się tylko z wyładunkiem reszty towaru. I dawajcie mi na pokład tego drania. Nam byle banda Oddich krzywdy nie zrobi.

Poklepał rzecz, którą nosił u pasa — metalowy przedmiot podobny do zdeformowanego członka — i spojrzał pobłażliwie na nie uzbrojoną kobietę.

Drużynowa zerknęła chłodno na falliczny przedmiot; wiedziała, że to broń.

— Załadunek zakończymy o 14 — oświadczyła. — Dopilnuj, żeby załoga nie opuszczała pokładu. Start o 14.40. Jeśli będziecie potrzebowali pomocy, dajcie znać na Wieżę.

Oddaliła się, nim zdążył się odciąć. Gniew wzmógł jej

stanowczość wobec swojej drużyny i tłumu.

— Zejść mi z drogi — rozkazała, zbliżywszy się do muru. — Nadjeżdżają ciężarówki, jeszcze się komu co stanie. Na bok!

Mężczyźni i kobiety z tłumu wdali się z nią w dyskusję, spierali się też między sobą. Dalej przechodzili przez drogę, a niektórzy zapuścili się nawet poza obręb muru. Mimo to oczyścili w końcu jako tako drogę. Jeśli drużynowej brakowało doświadczenia w panowaniu nad tłumem, im brakowało doświadczenia w byciu nim.

Członkowie społeczeństwa — a nie cząstki kolektywu — nie ulegali zbiorowym emocjom; uczuć było wśród nich tyle, ile osób. Nie nawykli ponadto do tak stanowczych poleceń, nie nabyli też zwyczaju sprzeciwiania się im. Ich brak doświadczenia ocalił pasażerowi życie.

Niektórzy z nich przybyli tam z zamiarem zabicia zdrajcy. Inni — aby zapobiec jego wyjazdowi, obrzucić go obelgami, bądź tylko z chęci obejrzenia go sobie; i właśnie ci inni pokrzyżowali proste i złowrogie zamiary morderców. Żaden z nich nie miał broni palnej, jedynie paru było uzbrojonych w noże. Dla tych ludzi napaść równała się napaści fizycznej; pragnęli dostać zdrajcę w swoje ręce. Spodziewali się, że przybędzie pod ochroną, w jakimś pojeździe. Kiedy usiłowali przeszukać ciężarówkę i kłócili się z jej rozwścieczonym kierowcą, ten, na którego czekali, przyszedł samotnie drogą. Kiedy go rozpoznali, był już w połowie lądowiska, odprowadzany przez pięciu syndyków Defensywy. Ci, którzy zamierzali go zabić, puścili się w pościg — za późno — i zaczęli rzucać za nim kamieniami — nie całkiem za późno. Ugodzili go tylko w ramię, gdy już dochodził do statku, dwufuntowy krzemień trafił jednak w głowę jednego z Defensywy i położył go trupem na miejscu.

Zamknęły się włazy. Drużyna Defensywy zawróciła, unosząc martwego towarzysza; nie zadali sobie trudu, żeby zatrzymać prowodyrów tłumu, gnających w stronę statku, jedynie drużynowa, pobladła ze zgrozy i wściekłości, przeklinała ich siarczyście, a oni omijali ją w biegu. Dopadłszy frachtowca, szpica pościgu rozproszyła się i stanęła w niezdecydowaniu. Milczenie statku, nagłe ruchy olbrzymich szkieletów suwnic, niezwykły widok spalonej ziemi, nadludzka skala otoczenia zdezorientowały ludzi. Wybuch pary czy gazu z czegoś, co było połączone ze statkiem, przeraził niektórych; spoglądali niepewnie na rakietowe dysze — olbrzymie, czarne tunele nad ich głowami. Z daleka dobiegło ostrzegawcze wycie syreny. Najpierw jedna osoba, potem druga zawróciły w stronę bramy. Nikt ich nie zatrzymywał. W dziesięć minut lądowisko opustoszało, tłum wracał sznureczkiem drogą do Abbenay.

Nic się ostatecznie takiego nie zdarzyło.

Tymczasem na Czujnym wydarzenie goniło wydarzenie. Od momentu, gdy Wieża zaczęła odliczać czas do startu, wszystkie

czynności należało wykonywać migiem. Kapitan kazał przywiązać i zamknąć pasażera — razem z lekarzem — w mesie załogi, żeby się nie plątali pod nogami. Był tam ekran, więc — jeśli mieli ochotę — mogli sobie oglądać start.

Pasażer miał ochotę. Widział pole, opasujący je mur, a za murem dalekie zbocza Theras, usiane krzewami holum i rzadkimi, srebrzystymi krzaczkami księżycorośli.

Wszystko to runęło nagle w zawrotnym tempie w dół ekranu.

Pasażer poczuł, jak coś wtłacza mu głowę w miękki zagłówek.

Przypominało to badanie u dentysty: głowa odchylona do tyłu, szczęka rozwarta siłą. Nie mógł złapać tchu, zrobiło mu się słabo, czuł, jak ze strachu rozluźniają mu się trzewia. Całe jego ciało krzyczało do potężnych sił, które go pojmały w swe władanie: Nie teraz, jeszcze nie teraz, poczekajcie.

Ocaliły go oczy. To, na co z uporem patrzyły i o czym mu donosiły, wyrwało go z kleszczy trwogi. Na ekranie ukazał się bowiem widok niezwykły: rozległa, jasna kamienna równina. Była to pustynia, widziana z gór nad Wielką Doliną. Jakim cudem znalazł się znowu w Wielkiej Dolinie? Próbował tłumaczyć sobie, że znajduje się w statku powietrznym. Nie, w kosmicznym. Skraj równiny zapalił się blaskiem podobnym do lśnienia światła na wodzie, daleko na morzu. Wśród tych pustyń nie było jednak wody. Na co więc patrzył? Kamienna równina nie była już równiną, ale niecką, olbrzymią misą pełną słońca. Gdy się jej z zachwytem przyglądał, poczęła stawać się płytsza, wylewać z siebie światło. Naraz przecięła ją jakaś linia — abstrakcyjna, geometryczna, doskonały przekrój koła. Za tym łukiem otwierała się ciemność. Jej czarne tło wywróciło cały obraz na nice, ukazało go w negatywie. To, co realne, kamienne, nie było już wklęsłe i wypełnione światłem, ale wypukłe, odbijające, odrzucające światło. Nie równina to już była ani misa — ale sfera, kula białego kamienia, oddalająca się, zapadająca w ciemność. Jego świat.

— Nie rozumiem — powiedział głośno.

Ktoś mu odpowiedział. Przez chwilę nie docierało do niego, że osoba stojąca obok jego krzesła zwraca się do niego, odpowiada mu, bo przestał już rozumieć, co to takiego odpowiedź. W pełni świadom był tylko jednej rzeczy: swojej całkowitej izolacji. Świat usunął mu się spod nóg, został sam.

Bardziej niż śmierci bał się zawsze tego właśnie. Umrzeć znaczy utracić siebie i połączyć się na powrót z resztą bytu. On zachował siebie, a resztę utracił.

Zdołał wreszcie podnieść wzrok na stojącego obok człowieka.

Był on oczywiście mu obcy. Odtąd wszyscy będą już mu obcy.

Człowiek ten coś mówił w obcym języku, po ajońsku. Słowa układały się w jakiś sens. Szczegóły miały sens; jedynie całość go nie

miała. Mówił coś o pasach, którymi przypięto go do fotela. Pomajstrował przy nich. Fotel wyprostował się tak nagle, że pasażer — skołowany i oszołomiony — omal zeń nie wypadł. Tamten pytał, czy ktoś nie został ranny. O kim on mówi? „Czy jest pewien, że nie został ranny?" Uprzejmą formą zwracania się do drugiej osoby jest w języku ajońskim trzecia osoba liczby pojedynczej. Ten człowiek ma na myśli jego, nikogo innego. Nie rozumiał, dlaczego miałby zostać ranny; obcy mówił coś o rzucaniu kamieniami. Ale przecież kamień nigdy nie osiągnie celu — pomyślał. Spojrzał na ekran, szukając na nim skały, białego, zapadającego w ciemność głazu, ale ekran był pusty.

— Czuję się dobrze — odpowiedział w końcu.

Tamtego to nie uspokoiło.

— Proszę ze mną. Jestem lekarzem.

— Czuję się dobrze.

— Zechce pan udać się ze mną, doktorze Szevek!

— Ty jesteś doktorem — odpowiedział po chwili. — Ja nie. Nazywam się Szevek.

Lekarz — niski blondyn — zmarszczył nieowłosioną twarz w grymasie zaniepokojenia.

— Pan powinien przebywać w swojej kabinie, sir — niebezpieczeństwo infekcji — nie powinien się pan stykać z nikim oprócz mnie, przez dwa tygodnie poddawałem się dezynfekcji, wszystko na darmo, niech diabli wezmą tego całego kapitana! Proszę za mną, sir. Inaczej mnie uczynią odpowiedzialnym…

Szevek spostrzegł, że niski mężczyzna jest zatroskany. Nie było mu go żal, nie czuł współczucia; lecz nawet tu, gdzie się znalazł, w całkowitej samotności, obowiązywało to jedno, jedyne prawo, jakie w ogóle uznawał.

— Dobrze — powiedział i wstał.

Kręciło mu się w głowie i bolało go prawe ramię. Zdawał sobie sprawę, że statek musi być w ruchu, choć nic o tym nie świadczyło; tuż za burtami statku zalegała cisza, straszna, martwa cisza. Doktor poprowadził go przez ciche metalowe korytarze do jakiegoś pomieszczenia.

Było bardzo ciasne, o ślepych, spojonych z blach ścianach.

Zrobiło na Szeveku odpychające wrażenie, przypomniało mu miejsce, o którym wolałby zapomnieć. Zatrzymał się w drzwiach.

Lekarz błagał jednak i nalegał, więc wszedł do środka.

Usiadł na łóżku podobnym do półki — wciąż oszołomiony, pogrążony jakby w letargicznym śnie — i bez zaciekawienia przyglądał się lekarzowi. Czuł, że powinien być zaciekawiony; oto pierwszy Urrasyjczyk, jakiego oglądał na oczy. Był jednak zanadto zmęczony. Gdyby się położył, natychmiast by zasnął.

Poprzedniej nocy — zajęty przeglądaniem papierów — nie kładł się ani na chwile. Przed trzema dniami odprowadził Takver i małą do Błogiego Dostatku i od tamtej pory był nieustannie zajęty — biegał do wieży radiowej, by naradzać się z ludźmi z Urras, omawiał plany i możliwy rozwój wypadków z Bedapem i towarzyszami.

Przez te wszystkie gorączkowe dni po wyjeździe Takver miał wrażenie, że nie panuje nad tym, co robi — że to, co robi, panuje nad nim. Znalazł się w rękach innych. Jego własna wola nie istniała.

Nie musiała. To ona zainicjowała to wszystko, doprowadziła do tej chwili i stworzyła te ściany, które go teraz więziły. Jak dawno temu? Lata. Pięć lat temu, w Chakar, w górach, gdy w ciszy nocy powiedział do Takver: „Pojadę do Abbenay i zburzę te mury".

A nawet wcześniej; dużo wcześniej, w Kurzawie, w latach głodu i rozpaczy, kiedy to przyrzekł sobie, że odtąd jego uczynkami będzie kierował wyłącznie jego własny, wolny wybór. Wypełniając to przyrzeczenie, znalazł się tutaj: w tej chwili poza czasem, w tym miejscu poza ziemią, w tym ciasnym pokoju, w tym więzieniu.

Lekarz obejrzał jego stłuczony bark (siniec zdumiał Szevek; był tak napięty i tak się śpieszył, że nie zdawał sobie sprawy z zajść na lotnisku, nawet nie poczuł, że ugodził go kamień). Doktor odwrócił się do niego ze strzykawką w ręku.

— Nie chcę tego — powiedział Szevek.

Mówił po ajońsku wolno i miał złą wymowę (przekonał się o tym, rozmawiając przez radio), ale pod względem gramatycznym wysławiał się dosyć poprawnie; większą trudność sprawiało mu rozumienie niż mówienie.

— To szczepionka przeciw odrze — wyjaśnił lekarz, mimo uszu (zwyczajem medyków) puszczając sprzeciw pacjenta.

— Nie chcę.

Tamten zagryzł wargę, następnie zapytał:

— Czy pan wie, co to takiego odrą, sir?

— Nie.

— To taka choroba. Zakaźna. U dorosłych często poważna. Nie znacie jej na Anarres; środki profilaktyczne zapobiegły jej przeniesieniu, gdy zasiedlano waszą planetę. Na Urras jest powszechna.

Mogłaby pana zabić. Podobnie jak dziesiątki innych pospolitych zakaźnych chorób wirusowych. Nie jest pan uodporniony. Czy jest pan praworęczny?

Przytaknął odruchowo. Lekarz ze zręcznością prestidigitatora wbił igłę w jego prawe ramię. Szevek w milczeniu zniósł ten oraz następne zastrzyki. Nie miał prawa do podejrzeń ani protestów.

Był na łasce i niełasce tych ludzi; poświęcił swe przyrodzone prawo do podejmowania decyzji. Utracił je — wraz ze swoim światem,

światem Obietnicy, nagim kamieniem.

Lekarz mówił coś jeszcze, lecz go nie słuchał.

Przez wiele godzin — a może dni — trwał w jakiejś pustce, jałowej i męczącej próżni bez przeszłości ani przyszłości. Ściany opinały go ciasno. Panowała za nimi cisza. Od zastrzyków bolały go ramiona i pośladki; dostał jakiejś gorączki, która — nie podniósłszy się na tyle, by zaczął majaczyć — poprzestała na zawieszeniu go w otchłani między świadomością a nieświadomością, na ziemi niczyjej. Czas przestał płynąć. On sam stał się czasem — i tylko on.

Był rzeką, strzałą i kamieniem. Ale nie poruszał się. Rzucony kamień zawisł nieruchomo w powietrzu. Ustało następstwo dni i nocy. Lekarz to gasił, to znów zapalał światło. Nad łóżkiem Szeveka wbudowany był w ścianę zegar; jego wskazówka — niczego nie mierząc — wlokła się od jednej do drugiej z dwudziestu cyfr tarczy.

Obudził się z tego długiego, głębokiego snu obrócony twarzą do zegara, więc zbadał go sennym spojrzeniem. Wskazówka minęła właśnie piętnastą, co powinno oznaczać (jeśli ów zegar odmierzał czas od północy, jak 24-godzinowe zegary na Anarres), że było wczesne popołudnie. Wczesne popołudnie w przestrzeni między dwoma światami? No tak, przecież na statku płynie czas pokładowy. Fakt, że to pojął, niezmiernie podniósł go na duchu.

Usiadł; nie kręciło mu się już w głowie. Wstał z łóżka i sprawdził stan swej równowagi: była zadowalająca, choć podeszwy jego stóp nie przywierały zbyt mocno do podłogi. Pole grawitacyjne statku musi być dość słabe. Nie ucieszyło go to odkrycie; potrzebował stabilności, solidności, uchwytnego faktu. W poszukiwaniu tychże przystąpił do metodycznych oględzin pokoiku.

Ślepe ściany kryły masę niespodzianek, ukazujących się, za dotknięciem pulpitu: umywalkę, sedes, lustro, biurko, krzesło, szafkę, półki. Kilka elektrycznych urządzeń, połączonych z umywalką, stanowiło dla niego zupełną zagadkę; okazało się, że woda nie przestaje płynąć, gdy się puszcza kurek, ale dopiero wtedy, gdy się go zakręci — oznaka, ocenił, albo wielkiego zaufania do natury ludzkiej, albo wielkich zapasów gorącej wody. Przyjąwszy to drugie założenie, umył się od stóp do głów, a nie znalazłszy ręcznika, wysuszył się przy pomocy jednego z owych tajemniczych urządzeń, które wydmuchiwało przyjemny, łaskotliwy strumień gorącego powietrza. Nie znalazłszy swojego ubrania, włożył z powrotem to, w którym się obudził: luźne, wiązane w pasie spodnie i niekształtną tunikę — jedno i drugie jaskrawożółte, w niebieskie kropeczki.

Przejrzał się w lustrze. Uznał swój wygląd za mało zachęcający.

Czy tak się ubierają na Urras? Na próżno szukał grzebienia, zadowolił się więc zapleceniem włosów w warkocz i tak przygotowany, zamierzał wyjść z pokoju.

Nie mógł. Drzwi były zamknięte.

Jego początkowe niedowierzanie zmieniło się w złość, wściekłość, ślepą furię, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczył. Szarpał nieruchomą klamkę, tłukł pięściami w śliski metal drzwi, potem odwrócił się i nacisnął przycisk, którego doktor polecił mu używać, gdyby czegoś potrzebował. Żadnego efektu. Na pulpicie interfonu paliło się też wiele innych różnokolorowych, numerowanych guzików; uderzeniem dłoni nacisnął je wszystkie naraz.

Ścienny głośnik zabełkotał:

— Kto u licha tak już idę wyłącz od dwadzieścia dwa…

Krzykiem zagłuszył ten bełkot:

— Otwórzcie drzwi!

Uchyliły się, wetknął głowę doktor. Na widok jego nieowłosionej, zaniepokojonej, żółtawej twarzy Szevek ochłonął z gniewu i wycofał się w zalegający w jego duszy mrok.

— Były zamknięte — wyjaśnił.

— Przepraszam, doktorze Szevek — względy ostrożności — zakażenie — żeby nie dopuścić innych…

— Nie dopuścić, nie wypuścić — na jedno wychodzi — stwierdził, patrząc na doktora nieobecnym spojrzeniem jasnych oczu.

— Środki bezpieczeństwa…

— Bezpieczeństwa? Czy muszę być trzymany w tym pudle?

— Proponuję mesę oficerską — zaoferował spiesznie lekarz, chcąc go udobruchać. — Nie jest pan głodny? Może chciałby się pan ubrać i poszlibyśmy do mesy?

Szevek przyjrzał się jego strojowi: obcisłe niebieskie spodnie, wsunięte w buty, które zdawały się równie gładkie i delikatne jak sama tkanina; fioletowa tunika z przodu rozcięta, zapinana na srebrną pętlice; pod spodem, widoczna jedynie przy szyi i nadgarstkach, olśniewająco biała koszula z dzianiny.

— To ja nie jestem ubrany? — spytał Szevek.

— Och, piżama wystarczy, naturalnie. Na statku nie bawimy się w ceregiele!

— Piżama?

— To, co pan ma na sobie. Ubranie do spania.

— Ubranie, w którym się śpi?

— Tak.

Szevek zamrugał powiekami. Powstrzymał się od komentarza.

Zapytał:

— Gdzie jest moje ubranie?

— Pańskie ubranie? Wyczyściłem je — sterylizacja — mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu…

Zajrzał do skrytki w ścianie, której Szevek nie odkrył, i wyjął z niej zawiniętą w bladozielony papier paczkę. Rozpakowawszy stare

ubranie Szeveka (wyglądało na bardzo czyste i jakby nieco skurczone), zmiął zielony papier, nacisnął jakiś inny guzik i — wrzuciwszy papier do pojemnika, który się otworzył — uśmiechnął się niepewnie.

— Proszę, doktorze Szevek.

— Co się stało z papierem?

— Z papierem?

— Z tym zielonym papierem.

— Ach, wyrzuciłem go do zsypu.

— Do zsypu?

— Anihilacja. Zostanie spalony.

— To wy palicie papier?

— Może zostanie tylko wyrzucony w przestrzeń, nie orientuję się. Nie jestem lekarzem kosmicznym, doktorze Szevek. Dostąpiłem zaszczytu służenia panu z racji mojego doświadczenia w kontaktach z gośćmi z innych światów, ambasadorami z Terry i Hain.

Przeprowadzam zabiegi odkażające i adaptacyjne dla wszystkich obcych, przybywających do A-Io; co nie znaczy, ma się rozumieć, aby pan był obcy w tym samym znaczeniu.

Popatrzył na Szeveka z pokorą; ten nie wszystko zrozumiał, wyczuł jednak pod warstwą słów zatroskanego, nieśmiałego, dobrego z natury człowieka.

— Niewykluczone — powiedział Szevek — że mieliśmy wspólna babkę, dwieście lat temu, na Urras.

Włożył stare ubranie; wciągając przez głowę koszulę, spostrzegł, jak doktor wpycha do „zsypu" żółto-niebieskie „ubranie do spania". Zastygł z kołnierzykiem wyżej nosa; po czym, przecisnąwszy głowę, przyklęknął i otworzył pojemnik. Był pusty.

— Ubrania też palicie?

— Och, to tanie piżamy, jednorazowe — zdjąć i wyrzucić, wychodzi taniej niż pranie.

— Wychodzi taniej — powtórzył Szevek.

Powiedział to z taką zadumą, z jaką paleontolog przygląda się skamielinie, która pozwala mu datować całą geologiczną warstwę.

— Obawiam się, że pański bagaż zginął, kiedy pan biegł przez lotnisko — mam nadzieję, że nie było tam nic ważnego.

— Nie miałem żadnego bagażu. — Choć ubranie Szeveka niemal całkiem spłowiało i nieco się skurczyło, nie przestało na niego pasować; poczuł przyjemny, znajomy dotyk szorstkiej tkaniny z włókien holum. Poczuł się znowu sobą. Usiadł na łóżku twarzą do doktora i powiedział: — Widzisz, ja wiem, że wy nie traktujecie rzeczy tak jak my. W waszym świecie, na Urras, trzeba je kupować.

Przybywam do waszego świata bez pieniędzy, nie mogę nic kupić, powinienem więc przywieźć. Lecz ile mógłbym przywieźć? Ubrania, owszem, mogłem wziąć ze sobą dwa ubrania. Ale jedzenie?

Jakże mógłbym zabrać ze sobą wystarczająco dużo jedzenia? Ani przywieźć, ani kupić. Jeśli mam przeżyć, będziecie musieli mi to wszystko dać. Jestem Anarresyjczykiem, sprawię, że Urrasyjczycy zaczną się zachowywać jak Anarresyjczycy: dawać, nie sprzedawać. O ile zechcecie. Oczywiście, nie ma konieczności zachowywania mnie przy życiu! Jestem żebrakiem, jak widzisz.

— Ależ skądże, ależ skąd! Jest pan naszym najczcigodniejszym gościem. Proszę nie osądzać nas po załodze tego statku, to ciemni, tępi ludzie — nie wyobraża pan sobie nawet, jakie przyjęcie zgotuje panu Urras. Ostatecznie, jest pan sławnym na cały świat, na całą galaktykę, naukowcem! I pierwszym u nas gościem z Anarres! Zapewniam pana, że wszystko to się zmieni, jak tylko wylądujemy na lotnisku Peier.

— Nie wątpię w to — zgodził się Szevek.

Podróż na Księżyc zajmuje zwykle cztery i pół dnia w każdą stronę, tym razem przedłużono jednak czas powrotu o pięć dni potrzebnych do adaptacji pasażera. Zeszły one Szevekowi i doktorowi Kimoe na szczepieniach i rozmowach. Kapitanowi Czujnego zaś na utrzymywaniu statku na orbicie wokół Urras i miotaniu przekleństw. Gdy już musiał odezwać się do Szeveka, czynił to z opryskliwym lekceważeniem. Doktor, skłonny poszukiwać przyczyny wszystkiego, pośpieszył z gotowym wyjaśnieniem:

— Przywykł traktować cudzoziemców jak istoty niższe, rodzaj półludzi.

— Odo nazywała to tworzeniem pseudogatunków. Tak. Sądziłem, że na Urras już się tak nie myśli, macie tu przecież tyle języków i narodów, a nawet gości z innych układów słonecznych.

— Nader niewielu, jak długo podróże międzygwiezdne będą tak kosztowne i powolne. Lecz to się może zmienić — dodał doktor Kimoe z widoczną intencją przypochlebienia się Szevekowi bądź (co mu się nie udało) pociągnięcia go za język.

— Wydaje mi się, że drugi oficer się mnie boi.

— Ach, w jego przypadku to bigoteria. Jest fanatycznym wyznawcą Epifanii. Co noc odmawia godzinki. Skończenie tępy umysł.

— Więc dla niego jestem?…

— Groźnym ateistą.

— Ateistą!! Dlaczego?

— No cóż, bo jest pan odonianinem z Anarres — na Anarres nie ma religii.

— Nie ma religii? Czy my tam jesteśmy z kamienia?

— Mam na myśli religię państwową: kościoły, wyznania… — Kimoe łatwo się peszył. Cechowała go typowa dla lekarzy chwiejna pewność siebie, a Szevek nieustannie ją burzył. Doktor wikłał się w wyjaśnieniach już po dwóch, trzech postawionych mu przezeń pytaniach. Niektórych relacji — oczywistych dla jednego — drugi

nawet nie dostrzegał. Na przykład to dziwne zagadnienie wyższości i niższości. Szevek orientował się, że pojęcie wyższości — względnej wysokości — było dla Urrasyjczyków ważne; w swoich pismach często używali słowa „wyższy" w znaczeniu „lepszy", określając w ten sposób to, co Anarresyjczyk nazwałby „istotniejszym". Ale co ma wspólnego bycie wyższym z byciem obcym? Jeszcze jedna ze stu zagadek.

— Rozumiem — odrzekł Szevek; wyjaśniała się kolejna zagadka.

— Wy nie uznajecie religii poza kościołami, podobnie jak nie uznajecie moralności poza prawem. Wiesz, nigdy nie byłem w stanie tego zrozumieć, czytając wasze książki.

— No cóż, w dzisiejszych czasach każdy oświecony człowiek przyzna, że…

— Utrudnia to sam język — ciągnął Szevek, dążąc tropem swojego odkrycia. — W prawickim wyrazu religia używa się rzadko. Jak to mówicie: sporadycznie. Nie jest często używany. Oczywiście, stanowi jedną z Kategorii: Czwartą Modalność. Niewielu ludzi ćwiczy się w używaniu wszystkich Modalności. Są one jednak oparte na naturalnych dyspozycjach umysłu, a chyba nie sądzicie na serio, że zostaliśmy pozbawieni dyspozycji religijnej? Że możemy uprawiać fizykę, odcięci od najgłębszej więzi łączącej człowieka z kosmosem?

— Ależ nie, skądże znowu…

— To oznaczałoby istotnie robienie z nas pseudogatunku!

— Ludzie wykształceni z całą pewnością to rozumieją, ci oficerowie to ignoranci.

— To znaczy, że wysyłacie w kosmos samych bigotów?

Wszystkie ich rozmowy przebiegały podobnie: doktora wycieńczały, Szeveka nie zadowalały, były jednak dla obu ogromnie zajmujące. Dla Szeveka stanowiły jedyne źródło poznania świata, który nań czekał. Statek i umysł Kimoe były jego mikrokosmosem. Na pokładzie Czujnego nie było książek, oficerowie unikali go, załogę trzymano z dala od niego. Co się tyczy doktora, przedstawiał on sobą — choć inteligentny i niewątpliwie pełen dobrych chęci — gmatwaninę uprzedzeń, bardziej nawet zbijającą z tropu niż te wszystkie urządzenia, utensylia i udogodnienia, którymi nafaszerowany był statek. Co do tych ostatnich, bawiły one Szeveka; wszystko tu było takie bogate, stylowe i pomysłowe; umeblowanie głowy Kimoe nie wydawało się mu jednak równie wyszukane. Wyglądało na to, że myśli doktora nie były w stanie kroczyć prostą drogą — zmuszone były obchodzić to, unikać tamtego, aby wpaść na koniec na ścianę. Wokół wszystkich jego myśli wznosiły się bowiem ściany, a on sam — choć stale się za nimi chował — sprawiał wrażenie, jakby nie zdawał sobie sprawy z ich istnienia. Tylko raz przez te wszystkie dni, które ze sobą przegadali między jednym a drugim światem, Szevek dostrzegł na tych ścianach rysy.

Zapytał Kimoe, dlaczego na statku nie ma kobiet, na co ów odrzekł, że prowadzenie kosmicznego frachtowca to zajęcie nie dla kobiet. Wiedza wyniesiona z lekcji historii i pism Odo pozwoliła Szevekowi umieścić tę tautologiczną odpowiedź we właściwym kontekście; o więcej nie pytał. To doktor zwrócił się do niego z pytaniem — dotyczyło Anarres.

— Czy to prawda, doktorze Szevek, że w waszym społeczeństwie kobiety traktowane są na równi z mężczyznami?

— To byłoby marnotrawstwo — odpowiedział ze śmiechem Szevek, po czym, uświadomiwszy sobie absurdalność takiej całkowitej równości, roześmiał się po raz wtóry.

Doktor zawahał się, najwyraźniej szukając drogi obejścia jakiejś przeszkody w swym umyśle, po czym wyjaśnił z widocznym zmieszaniem:

— Ach nie, nie miałem na myśli seksu; oczywiście, że wy… one… chodziło mi o kwestię ich społecznego statusu.

— Czy status znaczy to samo co klasa!

Kimoe spróbował wyjaśnić, co znaczy słowo status, a gdy mu się to nie powiodło, wrócił do poprzedniego tematu.

— Czy naprawdę nie ma u was różnicy między pracą mężczyzn i kobiet?

— No cóż, naprawdę; byłaby to bardzo mechaniczna podstawa podziału pracy, nie wydaje ci się? Człowiek wybiera sobie pracę zgodną z jego zainteresowaniami, talentem, siłą fizyczną — co ma do tego płeć?

— Mężczyźni są fizycznie silniejsi — z profesjonalnym znawstwem stwierdził doktor.

— Zwykle tak, a ponadto są więksi; lecz jakież to ma znaczenie w dobie maszyn? Ale nawet gdybyśmy nie mieli maszyn, gdybyśmy musieli kopać szpadlami i dźwigać ciężary na grzbietach, mężczyźni pracowaliby może szybciej — ci więksi — ale kobiety pracowałyby wytrwałej… Nieraz marzyłem, żeby być tak wytrzymały jak kobieta.

Kimoe patrzył na Szeveka, uprzejmie wstrząśnięty.

— Ależ to utrata wszystkich kobiecych cech: delikatności…

Utrata męskiego szacunku dla samego siebie… No i nie będzie pan chyba udawał, że w pańskiej dziedzinie kobiety panu dorównują? W fizyce, matematyce, na polu intelektualnym. Nie będzie pan chyba obstawał przy tym i zniżał się do ich poziomu?

Szevek siedział w miękkim, wygodnym fotelu, błądząc wzrokiem po oficerskiej mesie. Ekran wypełniała — nieruchoma na tle czarnej przestrzeni — jasna krzywizna Urras, niczym niebieskozielony opal. Przez ostatnie dni Szevek zżył się z tym pięknym widokiem i samą mesą, ale teraz jaskrawe kolory, obłe kształty foteli, dyskretne oświetlenie, stoliki do gier, telewizyjne ekrany i puszyste wykładziny

wydały mu się równie obce jak w chwili, gdy zobaczył je po raz pierwszy.

— Nie sądzę, abym musiał udawać, Kimoe — powiedział.

— Znałem, oczywiście, nadzwyczaj inteligentne kobiety, zdolne rozumować nie gorzej od mężczyzn — wyrzucił z siebie doktor, świadom, że prawie krzyczy; bije pięściami w zamknięte drzwi i krzyczy — ocenił to w duchu Szevek…

Szevek zmienił temat, nie przestał jednak o tym myśleć. Ta kwestia wyższości i niższości musi być kwestią centralną w życiu społecznym Urrasyjczyków. Jeśli Kimoe, żeby zachować szacunek dla samego siebie, musi uważać połowę ludzkiego gatunku za niższą, jakże mogą mieć dla siebie szacunek kobiety — a może z kolei one za niższych uważają mężczyzn? I jaki też może to mieć wpływ na ich życie płciowe? Z pism Odo wiedział, że głównymi instytucjami seksualnymi Urrasyjczyków (w każdym razie przed dwoma wiekami) były „małżeństwo” — partnerstwo uświęcone i narzucane przez prawne i ekonomiczne sankcje — oraz „prostytucja” — która wydawała się jedynie pojęciem szerszym — czyli kopulacja w trybie ekonomicznym. Odo potępiała i jedno, i drugie; a jednak sama była „zamężna”. W instytucjach tych mogły zresztą zajść w ciągu dwustu lat wielkie zmiany. Jeśli Szevek ma zamieszkać na Urras, wśród Urrasyjczyków, lepiej, żeby się tego dowiedział.

Dziwne, że nawet seks — od tylu lat źródło tak wielkiej przyjemności, rozkoszy i szczęścia — stawał się dlań z dnia na dzień ziemią nieznaną, po której poruszać się musiał ostrożnie, ze świadomością własnej niewiedzy; tak to się jednak właśnie przedstawiało.

Za dzwonek alarmowy posłużył mu nie tylko niezwykły wybuch oburzenia i wzgardy doktora Kimoe, ale i wcześniejsze niejasne odczucia, na które ów epizod rzucił nowe światło. Już na początku pobytu na pokładzie Czujnego, podczas tych długich godzin, które mu upłynęły w gorączce i rozpaczy, zwracało jego uwagę — czasem w sposób przyjemny, a czasem drażniący — trywialnie proste doznanie: miękkość łóżka. Choć była to tylko koja, jej materac uginał się pod jego ciężarem z pieszczotliwą elastycznością. Materac poddawał się tak uparcie, że Szevek zawsze zasypiał ze świadomością tego faktu. Zarówno przyjemność, jak i rozdrażnienie były zdecydowanie erotycznej natury. Do tego ten „ręcznik”, dmuchający strumieniem gorącego powietrza: podobny efekt — łaskotanie. I kształty mebli w mesie oficerskiej, te gładkie, opływowe krągłości, do których przymuszono oporne drewno i stal, gładkość i delikatność powierzchni i materiałów — czy i one nie były po trosze perwersyjnie erotyczne? Znał siebie dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że kilka dni bez Takver, nawet przeżytych w tak wielkim stresie, nie mogło go aż tak pobudzić,

by dopatrywał się kobiety w każdym blacie stołu. Chyba że naprawdę była w nim zaklęta.

Czyżby wszyscy stolarze na Urras żyli w celibacie?

Przestał łamać sobie nad tym głowę; wkrótce się przekona.

Na chwilę przed zapięciem pasów do jego kajuty wszedł doktor, żeby sprawdzić działanie różnych szczepionek, z których ostatnia — przeciwko dżumie — doprowadziła Szeveka do mdłości i wprawiła w oszołomienie. Kimoe dał mu kolejną pigułkę.

— To pana ożywi przed lądowaniem — oświadczył.

Szevek ze stoickim spokojem połknął proszek. Kimoe, zapinając apteczkę, odezwał się nagle z pośpiechem:

— Doktorze Szevek, nie sądzę, abym miał jeszcze przyjemność opiekować się panem — choć to niewykluczone — gdybym jednak nie miał, chciałbym powiedzieć, że to… że ja… to był wielki dla mnie zaszczyt. Nie dlatego, że… ale dlatego, że nabrałem szacunku… nauczyłem się cenić… jako istota ludzka… pańską dobroć, prawdziwą dobroć…

Ponieważ do bolącej głowy nie przyszła Szevekowi żadna stosowniejsza odpowiedź, wyciągnął rękę, ujął dłoń tamtego i rzekł:

— Spotkajmy się więc znowu, bracie!

Kimoe potrząsnął nerwowo jego ręką (zwyczajem Urrasyjczyków), po czym szybko wyszedł. Po jego odejściu Szevek uświadomił sobie, że zwrócił się do niego po prawieku — nazwał go ammar, bratem — w języku, którego tamten nie rozumiał.

Ścienny głośnik odklepywał komendy. Szevek, przywiązany do koi, słuchał ich otępiały i obojętny. Uczucia związane z wejściem w atmosferę potęgowały otępienie; poza nadzieją, że nie będzie musiał wymiotować, niewiele więcej docierało do jego świadomości. Nie zauważył, kiedy wylądowali, uświadomił mu to dopiero Kimoe, który wpadł i zaprowadził go w pośpiechu do mesy oficerskiej. Ekran, na którym od tylu dni jaśniała spowita chmurami Urras, był pusty. Mesa zaś była pełna ludzi. Skąd oni wszyscy się wzięli? Stwierdził zaskoczony, z radością, że może stać, chodzić i ściskać wyciągnięte dłonie. Skoncentrował na tych czynnościach całą swą uwagę, nie dbając o ich sens. Głosy, uśmiechy, dłonie, słowa, nazwiska. Powtarzane w kółko jego imię: dr Szevek, dr Szevek… Teraz on i ci wszyscy nieznajomi schodzą po jakiejś krytej pochylni; podniesione głosy, słowa echem odbijają się od ścian.

Zgiełk głosów cichnie. Obce powietrze owiewa mu twarz.

Podniósł oczy; schodząc z rampy na równy grunt, potknął się i omal nie upadł. W odstępie między początkiem kroku a jego postawieniem naszła go myśl o śmierci; zrobiwszy zaś ów krok, stał już na nowej ziemi.

Był szary, bezkresny wieczór. Gdzieś daleko za lądowiskiem

płonęły zamglone niebieskie światła. Zimne, pełne aromatów powietrze owiało mu twarz i dłonie, wciągnął je — wilgotne i miękkie — w nozdrza, gardło i płuca. Nie było dla niego obce. Było powietrzem świata, z którego przybył jego lud. Powietrzem domu.

Ktoś ujął go pod ramię, gdy się potknął. Oślepił go blask reflektorów. Filmowano dla wiadomości scenę powitania: pierwszy człowiek z Księżyca — szczupła, wysoka postać w tłumie dygnitarzy, profesorów, agentów ochrony; kształtna, kudłata głowa sztywno wyprostowana (aparaty fotoreporterów mogły uchwycić każdy jej rys), jak gdyby przybysz usiłował spojrzeć ponad jupiterami w nieskończone niebo, powleczone mgłą, zasnuwającą gwiazdy, Księżyc i wszystkie inne światy. Dziennikarze próbowali się przedrzeć przez kordony policji. „Czy w tej historycznej chwili chciałby pan złożyć jakieś oświadczenie, doktorze Szevek…" Zostali natychmiast odepchnięci. Otaczający go ludzie zmusili go, by ruszy! dalej. Niemal zaniesiono go do czekającej limuzyny; do ostatniej chwili stanowił łatwy, wyraźny cel dla fotoreporterów za sprawą swojego wzrostu, długich włosów oraz dziwnego wyrazu twarzy, na której żal mieszał się z radością przypominania sobie rzeczy znajomych.

Wieże miasta — olbrzymie drabiny przyćmionego światła — ginęły w górze we mgle. Wysoko nad głowami przelatywały pociągi — świetliste, turkoczące wstęgi. Masywne ściany ze szkła i kamienia ujmowały w burty fasad ulice tętniące ruchem tramwajów i aut. Kamień, stal, szkło, światło elektryczne. Żadnych twarzy.

— To Nio Esseia, doktorze Szevek. Zdecydowaliśmy jednak, że lepiej oszczędzić panu na początek miejskich tłumów. Pojedziemy prosto do uniwersytetu.

W ciemnym, wyłożonym miękkim obiciem wnętrzu samochodu znajdowało się prócz Szeveka pięciu mężczyzn. Wskazywali mu co znamienitsze budowle, nie był jednak w stanie rozróżnić we mgle, który z olbrzymich, widmowych, przemykających w tył gmachów był Sądem Najwyższym, a który Muzeum Narodowym, który Dyrektoriatem, a który Senatem. Przecięli jakąś rzekę, a może ujście rzeki; z tyłu za nimi drżały na czarnej wodzie miliony rozmytych we mgle świateł Nio Esseii. Droga stała się ciemniejsza, mgła zgęstniała, kierowca zmniejszył prędkość. Reflektory oświetlały mgłę jak cofającą się przed pojazdem ścianę. Szevek pochylony z lekka do przodu, patrzył przez szybę. Jego wzrok — podobnie jak umysł — nie skupiał się na niczym; ponieważ w wy gładzie Szeveka przebijały rezerwa i powaga, pozostali mężczyźni ściszyli głosy, szanując jego milczenie.

Cóż to za gęsta ciemność, która przez cały czas biegnie wzdłuż drogi? Drzewa? Czy to możliwe, aby od wyjazdu z miasta jechali w szpalerze drzew? Przypomniał sobie ajońskie słowo „las". Więc nie od razu wyjadą na pustynię. Drzewa ciągnęły się i ciągnęły, z jednego

wzgórza wbiegały na następne i następne, rozciągały się bezkresnym obszarem w słodkim chłodzie mgły — las porastający cały świat, rojowisko żywych istot splecionych w nieustannej walce ciemny szelest liści wśród nocy. A gdy samochód wyjechał z zalegających w dolinie rzeki oparów mgły na czystszy przestwór, przed oczami zachwyconego Szeveka mignęła czyjaś twarz, spoglądająca nań z mroku przydrożnego listowia.

Długa jak jego ramię i widmowo biała, nie przypominała żadnej z ludzkich twarzy. Z otworów, będących zapewne nozdrzami, buchały kłęby pary, nie sposób też było wątpić, że to, co z niej wyzierało, było potwornym okiem. Wielkie, ciemne i smutne — a może cyniczne? — zalśniło w świetle reflektorów.

— Co to było?

— Chyba osioł.

— Zwierzę?

— Tak, zwierzę. Na Boga, prawda! Toż tam u was nie ma dużych zwierząt!

— Osioł to rodzaj konia — wyjaśnił drugi mężczyzna, zaś inny sprostował stanowczym, starczym głosem:

— To był koń, osły nie osiągają takich rozmiarów.

Radzi by nawiązać z nim rozmowę, ale on znowu pogrążył się w milczeniu. Myślał o Takver. Zastanawiał się, co dla niej znaczyłoby to wyglądające z mroku, aksamitnie czarne, pełne żałości spojrzenie. Zawsze wierzyła, że życie jest jedno, cieszyło ją pokrewieństwo z rybami w jej laboratoryjnych zbiornikach, ciekawa była doznań istnień nie należących do gatunku ludzkiego. Ona by wiedziała, jak odpowiedzieć na spojrzenie tego oka w ciemności.

— Przed nami Ieu Eun, doktorze Szevek. Spory tłum tam na pana oczekuje: marszałek, paru dyrektorów, naturalnie rektor, rozmaite tuzy. Lecz jeśli czuje się pan zmęczony, ograniczymy ceremoniał powitalny do niezbędnego minimum.

Ceremoniał powitalny ciągnął się kilka godzin. Szevek nie był w stanie przypomnieć sobie później jego przebiegu. Poprowadzono go z ciasnego, ciemnego pudła samochodu do przestronnego, rzęsiście oświetlonego pudła pełnego ludzi — setek osób zgromadzonych pod złocistym sufitem, u którego wisiały kryształowe żyrandole. Przedstawiono go każdemu z zebranych. Wszyscy byli od niego niżsi — i nieowłosieni. Głowy kilku kobiet były wręcz całkiem łyse; zrozumiał wreszcie, że Urrasyjczycy muszą golić włosy — ów delikatny, puszysty meszek porastający ciała przedstawicieli Jego rasy — a także golić głowy. Owłosienie zastępowały im cudowne stroje, fantastycznych kształtów i kolorów. Kobiety nosiły sięgające do podłogi suknie; piersi miały odsłonięte, ich talie, szyje i głowy zdobiły klejnoty, koronki i tiule. Mężczyźni ubrani byli w spodnie i płaszcze

(czy może tuniki), czerwone, niebieskie, fioletowe, złociste i zielone, o rozciętych rękawach, spływające kaskadami koronek, bądź długie togi — karmazynowe, ciemnozielone i czarne — które rozchylały się na wysokości kolan, ukazując białe pończochy ze srebrnymi podwiązkami. Szevekowi przypomniało się inne ajońskie słowo (tego, co oznaczało, nigdy nie widział na oczy, podobało mu się jednak jego brzmienie): „splendor". Tych ludzi otaczał splendor. Przystąpiono do wygłaszania mów. Marszałek senatu państwa A-Io, mężczyzna o zimnych, dziwnych oczach, wzniósł toast: „Za nową erę braterstwa między naszymi Bliźniaczymi Planetami i za ery tej zwiastuna — naszego znakomitego i najczcigodniejszego gościa, doktora Szeveka z Anarres!"

Rektor uniwersytetu odbył z Szevekiem uroczą rozmowę, pierwszy dyrektor państwa miał doń poważną przemowę, przedstawiono go ambasadorom, astronautom, fizykom, politykom oraz dziesiątkom innych osób, z których każda nosiła — zarówno przed, jak i po nazwisku — tasiemcowe tytuły i zaszczytne miana, każda też gawędziła z nim chwilę; nic z tego, co mówiły, nie zapisało mu się wszelako w pamięci, a już najmniej to, co im odpowiadał. Ocknął się późną nocą; padał ciepły deszcz, a on — w towarzystwie kilku mężczyzn — szedł przez jakiś wielki park, czy może skwer. Pod stopami czuł sprężystość żywej trawy; pamiętał owo doznanie ze spacerów po Trójkątnym Parku w Abbenay. To żywe wspomnienie i chłodny, szeroki powiew nocy otrzeźwiły go. Jego dusza wyszła ze skorupy.

Przewodnicy wprowadzili go do jakiegoś gmachu, a następnie do „jego" — jak to określili — pokoju.

Przestronny (mógł mieć z dziesięć metrów długości) był najwyraźniej świetlicą, nie dzieliły go bowiem przepierzenia i nie stały w nim łóżka; towarzyszący Szevekowi trzej mężczyźni musieli być zatem jego współlokatorami. Bardzo piękna to była świetlica, całą jedną ścianę wypełniał rząd okien, z których każde przedzielała smukła kolumienka, wznosząca się na kształt drzewa i podwójnym łukiem rozchylająca się u szczytu. Podłogę wyścielał karmazynowy dywan, na otwartym zaś kominku w dalekim końcu pokoju płonął ogień. Szevek przeszedł przez pokój i stanął przed kominkiem. Nigdy dotąd nie widział, by ktoś ogrzewał dom spalając drewno, nie był już jednak w stanie niczemu się dziwić. Wystawił ręce do przyjemnego ciepła, a potem usiadł przy kominku na ławie z polerowanego marmuru.

Najmłodszy z mężczyzn, którzy z nim przyszli, usiadł naprzeciw niego po drugiej stronie kominka. Pozostali dwaj pogrążeni wciąż byli w rozmowie — rozmawiali o fizyce, Szevek nie starał się jednak śledzić toku ich dyskusji. Młody mężczyzna rzekł cicho:

— Zastanawiam się, jak się pan musi teraz czuć, doktorze Szevek.

Szevek rozprostował nogi i pochylił się do przodu, żeby poczuć żar ognia na twarzy.

— Czuję się ociężały.

— Ociężały?

— Zapewne z powodu grawitacji. Albo zmęczenia. — Spojrzał na tamtego, w blasku kominka nie mógł jednak dojrzeć wyraźnie jego twarzy, dostrzegał jedynie połysk złotego łańcucha i soczystą jak krwisty klejnot czerwień togi. — Nie znam twojego imienia.

— Saio Pae.

— A, Pae. Czytałem twoje artykuły na temat paradoksu. — Mówił ciężko, ospale.

— Musi tu być jakiś barek, w pokojach starszych pracowników wydziału zawsze się znajdzie kredensik z trunkami. Może miałby pan ochotę napić się czegoś?

— Owszem, wody.

Młody człowiek przyniósł szklankę wody, pozostali dwaj również zbliżyli się do kominka. Szevek wypił wodę łapczywie, po czym zapatrzył się na trzymaną w ręku szklankę — delikatne cacko o szlachetnym kształcie, chwytające złoconą krawędzią blask płomieni. Był świadom obecności tych trzech mężczyzn, którzy czekali na coś w postawie pełnej szacunku — opiekuńczy, majętni.

Spojrzał na nich, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą.

Patrzyli nań wyczekująco.

— Więc oto mnie macie — powiedział z uśmiechem. — Macie swojego anarchistę. Co z nim zamierzacie zrobić?

Rozdział drugi
Anarres

W kwadratowym oknie w białej ścianie lśni czyste, puste niebo.

Na niebie świeci słońce.

W pokoju jest jedenaścioro dzieci, w większości umieszczonych (po dwoje i troje) w dużych, wyścielanych kojcach i zapadających — wśród wiercenia się i gaworzenia — w sen. Dwóch najstarszych chłopców bawi się na podłodze: ruchliwy grubasek rozbiera układankę, a drugi — guzowaty brzdąc — siedzi w żółtym kwadracie padającego z okna światła i z poważnym, gapiowatym wyrazem twarzy wpatruje się w promień słońca. W przedpokoju jednooka, siwowłosa matrona rozmawia z wysokim, smutnym, trzydziestoletnim mężczyzną.

— Jego matka dostała przydział do Abbenay — mówi mężczyzna. — Chce, by on tu został.

— Zatrzymujemy go więc w żłobku na stałe, tak, Palat?

— Tak. Ja wracam do noclegowni.

— Nie martw się o niego, on nas tu wszystkich zna! A Kompoprac z pewnością wyśle cię niedługo tam, dokąd i Rulag, prawda?

Skoro jesteście partnerami i oboje inżynierami.

— Tak, ale ona jest… Widzisz, o nią wystąpił Centralny Instytut Inżynierii. Ja nie jestem aż tak dobry. Rulag ma ważne zadanie do spełnienia.

Kobieta skinęła głową i westchnęła.

— Mimo to… — zaczęła z przekonaniem, po czym umilkła.

Ojciec przyglądał się guzowatemu chłopczykowi, który — zajęty obserwowaniem światła — nie zauważył jego obecności w przedpokoju. Tymczasem grubasek ruszył żwawo w stronę chłopczyka, choć — z powodu mokrych i opadających pieluch — poruszał się krokiem osobliwym, jakby w kuckach. Zbliżył się z nudów (lub w celach towarzyskich), znalazłszy się wszelako w słonecznym kwadracie, odkrył, że tam ciepło. Usiadł więc ciężko obok zagapionego kolegi, spychając go w cień.

Niemy zachwyt guzowatego malca w jednej chwili zmienił się we wściekłość. Odepchnął intruza i krzyknął z gniewną miną:

— Uciekaj stąd!

Podbiegła przedszkolanka. Podniosła grubaska.

— Nie wolno popychać innych, Szev.

Chłopczyk wstał. Na jego twarzyczce płonęło słońce i złość.

Pieluchy osunęły się.

— Moje! — zawołał wysokim, dźwięcznym głosikiem. — Moje

słonećko!

— Ono nie jest twoje — wyjaśniła jednooka kobieta z wyrozumiałością całkowitego przekonania. — Nic nie jest twoje. Słoneczko jest po to, żeby z niego korzystano. Należy się nim dzielić. Jeśli nie będziesz się nim dzielił, nie będziesz mógł z niego korzystać.

Podniosła roześlonego malca w łagodnych, stanowczych rękach i posadziła go poza słonecznym kwadratem.

Grubasek siedział i przypatrywał się chłopcu obojętnie. Guzowaty chłopczyk zatrząsł się cały.

— Moje słonećko! — krzyknął i wybuchnął płaczem.

Ojciec wziął go na ręce i przytulił.

— No, już dobrze, Szev — uspokajał go. — Przecież wiesz, że nie można mieć niczego na własność. Co się z tobą dzieje?

Głos mu się łamał i drżał, jakby i jemu zbierało się na płacz.

Chłopczyk — szczupły, długi i lekki jak piórko — zanosił się w jego ramionach od płaczu.

— Niektórzy nie umieją brać życia takim, jakim ono jest — stwierdziła jednooka kobieta, przyglądając się im ze współczuciem.

— Wezmę go teraz ze sobą. Rozumiesz, jego matka dziś wyjeżdża.

— Oczywiście. Mam nadzieję, że niedługo dostaniecie wspólny przydział — powiedziała kobieta z melancholijnym wyrazem twarzy, mrużąc zdrowe oko i zarzucając sobie grubaska na biodro niczym worek ziarna. — Szev, do widzenia, skarbie. Jutro pobawimy SK w ciężarówkę i kierowcę, chcesz?

Malec nie wybaczył jej jeszcze. Obejmował ojca za szyję i szlochał, kryjąc twarz w ciemności po utraconym słońcu.

Orkiestrze potrzebne były tego ranka do próby wszystkie ławki; w dużej sali ośrodka kształceniowego wycinała hołubce sekcja taneczna, więc dzieci odbywające ćwiczenia w mówieniu i słuchaniu zasiadły kręgiem na podłodze z piankowca w warsztacie.

Zgłosił się pierwszy ochotnik — tykowaty ośmiolatek o szczupłych dłoniach i wielkich stopach. Stał bardzo prosto (jak to dzieci zdrowe); jego twarz, pokryta delikatnym meszkiem, była zrazu blada, potem — kiedy czekał, aż koledzy się uciszą — oblała się rumieńcem.

— No, proszę, Szevek — zachęcił prowadzący zajęcia.

— Ja chciałbym się podzielić pewną myślą.

— Głośniej — przerwał mu nauczyciel, mocno zbudowany dwudziestoparolatek.

Chłopiec uśmiechnął się nieśmiało.

— Otóż, widzicie, przyszło mi do głowy… Powiedzmy, że rzucacie w coś kamieniem. Na przykład w drzewo. Rzucacie, kamień leci w powietrzu i uderza w drzewo. Zgadza się? Tylko że w rzeczywistości on nie może w nie uderzyć, ponieważ… Czy mogę

prosić o tabliczkę? Spójrzcie, stąd rzucacie kamieniem, a tu stoi drzewo — rysował na tabliczce — powiedzmy, że to jest drzewo, a to kamień, tu, w połowie drogi. — Dzieci zachichotały, rozbawione jego przedstawieniem drzewa holum, on sam uśmiechnął się. — Żeby dolecieć od was do drzewa, kamień musi przebyć połowę drogi, jaka was od niego dzieli, prawda? Potem połowę następnego odcinka między tą połową a drzewem. A potem połowę tej następnej połowy między tą drugą połową a drzewem. Choćby nie wiem jak daleko doleciał, zawsze da się wskazać takie miejsce (tyle że w istocie tu chodzi o czas), które znajduje się w połowie drogi między jego ostatnim położeniem a drzewem…

— Czy to jest waszym zdaniem ciekawe? — przerwał mu prowadzący zajęcia, zwracając się do reszty dzieci.

— Czemu on nie może dolecieć do tego drzewa? — zapytała dziesięcioletnia dziewczynka.

— Bo zawsze pozostanie mu do przebycia połowa drogi, jaka go od niego dzieli — wyjaśnił Szevek — a następnie połowa tej połowy i połowa następnej połowy i tak dalej, rozumiesz?

— Może po prostu źle wycelowałeś — powiedział prowadzący zajęcia z wymuszonym uśmiechem.

— Nie ma znaczenia, jak się wyceluje. Kamień nie może dolecieć do drzewa.

— Kto ci podsunął tę myśl?

— Nikt. Wydaje mi się, że ją zobaczyłem. Chyba rozumiem, dlaczego kamień w rzeczywistości…

— Wystarczy.

Niektóre dzieci, które przedtem rozmawiały, teraz umilkły, jakby naraz zaniemówiły. Chłopiec stał z tabliczką w ręku w zapadłej nagle ciszy. Wyglądał na wystraszonego, twarz mu się skrzywiła.

— Mowa jest dzieleniem się — sztuką kooperatywną. Ty się nie dzielisz, ty egoizujesz.

Z holu dobiegała prosta, skoczna melodia orkiestry.

— Nie odkryłeś tego samodzielnie. Czytałem już coś podobnego w jakiejś książce.

Chłopiec łypnął na nauczyciela.

— W jakiej książce? Czy ona tu jest?

Prowadzący zajęcia wstał. Był od Szeveka niemal dwa razy wyższy i trzy razy cięższy, jego twarz zdradzała głęboką niechęć do ucznia; w jego postawie nie było jednak groźby użycia fizycznej przemocy, jedynie chęć podbudowania autorytetu, nadwerężonego przez pełną irytacji odpowiedź, której udzielił na dziwaczne pytanie chłopca:

— Nie! I przestań mi tu egoizować! — Wrócił do melodyjnego, pedantycznego tonu: — Takie wypowiedzi stoją doprawdy w

bezpośredniej sprzeczności z celami, które przyświecają nam w grupie mówienia i słuchania. Mowa jest funkcją dwukierunkową.

Szevek, w przeciwieństwie do większości z was, jeszcze nie dorósł do zrozumienia tej prawdy, toteż jego obecność w grupie stanowi zawadę. Ty sam to chyba czujesz, co, Szevek? Sugerowałbym, żebyś znalazł sobie grupę odpowiednią do twego poziomu.

Nikt więcej się nie odezwał. Cisza i hałaśliwa, prosta melodia towarzyszyły chłopcu, gdy zwracał tabliczkę i występował z kręgu. Wyszedł na korytarz i zatrzymał się. Grupa, którą opuści', przystąpiła — pod nadzorem nauczyciela — do grupowego opowiadania, które uczniowie snuli na zmianę. Przysłuchiwał się stłumionym głosom i przyspieszonemu wciąż biciu swojego serca. Dzwoniło mu w uszach — nie był to hałas orkiestry, ale dźwięk, jaki się Pojawia, kiedy człowiek powstrzymuje płacz; już kilka razy w życiu słyszał to dzwonienie. Nie lubił się w nie wsłuchiwać, nie miał też ochoty rozważać zagadnienia kamienia i drzewa, skupił więc uwagę na Kwadracie. Kwadrat składał się z liczb, a te były zawsze chłodne i niewzruszone. Kiedy zdarzyło mu się popełnić jakiś błąd, do nich się zwracał, bo one były wolne od błędu. Wyobraził sobie Kwadrat — wzór w przestrzeni, podobny wzorom, jakie muzyka rysuje w czasie — ułożony z pierwszych dziewięciu liczb całkowitych, z piątką pośrodku. Jakkolwiek by dodawać ich rzędy, otrzymywało się zawsze ten sam wynik, znosiły się wszelkie nierówności; przyjemnie było na to patrzeć. Gdyby się tak udało zebrać grupę osób lubiących rozmawiać o podobnych sprawach; ale do tego rodzaju rozważań skłonnych było jedynie kilku starszych chłopców i parę dziewcząt, a oni byli zajęci. Co to za książka, o której mówił prowadzący zajęcia? Czy to księga liczb? Czy pokazałaby, w jaki sposób kamień dolatuje do drzewa? Głupi był, że opowiedział ten żart o kamieniu i drzewie, nikt nawet nie spostrzegł, że to dowcip, nauczyciel miał rację. Bolała go głowa. Spoglądał w głąb siebie, na niewzruszone wzory.

Gdyby jakąś książkę napisać w całości przy pomocy liczb, byłaby to książka prawdziwa. Książka sprawiedliwa. Nic, co wyraża się w słowach, nie pozostaje dokładnie tym samym. Rzeczy ujęte w słowa deformują się i mieszają ze sobą, zamiast stać prosto i pasować do siebie. Ale pod słowami, w centrum — jak w środku Kwadratu — wszystko się sumuje. Wszystko może podlegać zmianie, ale nic nie zostanie zgubione. Jeśli widziało się liczby, można to było zauważyć, dostrzec równowagę, wzór. Zobaczyć podwaliny świata. Były solidne.

Nauczył się czekać. Był w tym dobry, był prawdziwym znawcą.

Najpierw nabywał tej umiejętności, czekając na powrót matki, Rulag, choć było to już tak dawno temu, że zdążył o tym zapomnieć; doskonalił sztukę czekania, czekając na swoją kolej, czekając, żeby się podzielić, żeby się z nim podzielono. Gdy miał osiem lat, pytał:

dlaczego, jak, a co, jeśli, lecz rzadko pytał: kiedy.

Czekał na powrót ojca, z którym miał się przenieść do domicylu. Długo się przeciągało to czekanie: sześć dekad. Palat przyjął okresową posadę konserwatora maszyn w Fabryce Uzdatniania Wody w Bębnej Górze, a potem miał zamiar spędzić dekadę na plaży w Malennin, popływać trochę, odpocząć i pospółkować z kobietą o imieniu Pipar. Wytłumaczył się synowi z tych zamiarów. Szevek miał do niego zaufanie, a Palat na to zaufanie zasługiwał. Pod koniec tych sześćdziesięciu dni przyjechał do domu dziecka w Równinnem — wysoki, chudy mężczyzna o jeszcze smutniejszym niż zwykle wyglądzie. Kopulacja nie była tym, czego naprawdę pragnął. Tym czymś była Rulag. Na widok syna uśmiechnął się, a na jego czoło wystąpiły zmarszczki bólu.

Lubili ze sobą przebywać.

— Palat, czy widziałeś kiedyś książkę z samymi liczbami?

— Masz na myśli matematykę?

— Tak przypuszczam.

— Taką jak ta?

Z kieszeni płaszcza wyjął książkę — małą, przeznaczoną do noszenia w kieszeni, oprawioną na zielono (jak większość książek), z wytłoczonym na okładce Kołem Życia. Była gęsto zadrukowana, drobną czcionką, z wąskimi marginesami, papier był bowiem substancją, dla wytworzenia której trzeba było dużo drzew holum i ludzkiej pracy — jak to zawsze podkreślał magazynier w ośrodku kształceniowym, gdy się podarło kartkę i przychodziło po nową.

Palat otworzył książkę. Dwukolumnową stronę wypełniały kolumny liczb. Miał je oto przed oczami — takie, jakie sobie wyobraził.

Brał do ręki przymierze sprawiedliwości wiecznej. „Tablice logarytmiczne, podstawy 10 i 12” — głosił tytuł nad Kołem Życia na okładce.

Jakiś czas studiował pierwszą stronę.

— Do czego to służy? — zapytał, owe wzory przedstawiono tam bowiem najwyraźniej nie dla samego tylko ich piękna.

Siedząc obok niego na twardej ławce w zimnej, marnie oświetlonej świetlicy domicylu, inżynier zaczął objaśniać synowi logarytmy. Dwaj starcy grali w drugim końcu pomieszczenia w pchełki, wybuchając co chwila rechotliwym śmiechem. Weszła para nastolatków; zapytali o wolną pojedynkę i szybko się do niej udali.

O metalowy dach parterowego domicylu zabębnił deszcz i wnet ustał. Nigdy nie padał długo. Palat wyjął suwak logarytmiczny i objaśnił Szevekowi jego działanie; Szevek w zamian pokazał mu Kwadrat i wytłumaczył zasadę jego ułożenia. Zrobiło się bardzo Późno, nim zdali sobie sprawę, która jest godzina. Puścili się biegiem

przez cudownie pachnącą deszczem, błotnistą ciemność do domu chłopca. Dostali burę od stróża; dusząc się ze śmiechu, cmoknęli się na pożegnanie, po czym Szevek pobiegł do okna w zbiorowej sypialni, z którego mógł widzieć, jak Palat odchodzi jedyną ulicą w Równinnem, tonącą w wilgotnej, naelektryzowanej ciemności.

Położył się do łóżka z ubłoconymi nogami i zaraz zasnął. Przyśniło mu się, że idzie drogą przez nagie pole — Daleko w przodzie widniała jakaś linia, przecinająca drogę. Zbliżywszy się do niej, stwierdził, że to mur. Przecinał nagą równinę od horyzontu po horyzont — solidny, mroczny i niezwykle wysoki. Droga dobiegała do niego i kończyła się.

Musiał iść dalej, ale nie mógł. Mur go zatrzymał. Wzbierał w nim bolesny, gniewny strach. Musi iść dalej albo już nigdy nie wróci do domu. Ale przed nim stał mur. Przejścia nie było.

Uderzył pięściami w gładką powierzchnię, krzyknął. Jego ochrypły krzyk przypominał krakanie. Skulił się, przerażony tym dźwiękiem, a wtedy jakiś głos powiedział: „Spójrz". Był to głos ojca. Odniósł wrażenie, że była tam i jego matka, Rulag, choć nie widział jej (nie pamiętał jej twarzy). Wydawało mu się, że ona i Palat stoją w ciemności pod murem na czworakach, zwaliści i ukształtowani odmiennie od istot ludzkich. Wskazywali mu coś, co leżało na ziemi, w jałowym pyle, na którym nic nie rosło. Leżał tam kamień, ciemny jak sam mur; na jego powierzchni (a może w jego wnętrzu) widniała jakaś cyfra; pomyślał zrazu, że to piątka, potem wziął ją za jedynkę, wreszcie zrozumiał, jaka to liczba — była to liczba prymarna, która jest zarazem jednością i wielością.

„Oto kamień węgielny" — odezwał się czyjś znajomy, ukochany głos; Szeveka przejęła radość. W mroku cienia nie wznosił się już mur; zrozumiał, że wrócił — był w domu.

Później nie był w stanie przypomnieć sobie szczegółów tego snu, owego jednak uczucia przepełniającej go radości nie zapomniał. Nigdy niczego podobnego nie doświadczył. Był tak pewien istnienia tej radości — niczym pojedynczego błysku palącego się stale światła — że nigdy, mimo że doznał jej we śnie, nie uważał jej za nierzeczywistą. Jakkolwiek istniała naprawdę, nie mógł jej odzyskać, ani tęskniąc za nią, ani próbując ją wysiłkiem woli poczuć.

Mógł sobie o niej tylko przypominać — po przebudzeniu. Gdy zaś nawiedzały go ponownie sny o murze (co niekiedy się zdarzało), były to sny posępne i przepełnione poczuciem bezradności.

Ideę „więzienia" zaczerpnęli z epizodów Żywota Odo — lektury obowiązkowej dla wszystkich, którzy obrali sobie za przedmiot historię. W książce tej natykali się na wiele miejsc niejasnych, a w Rowninnem nie było nikogo, kto by na tyle znał historię, żeby je im objaśnić; nim jednak dotarli do lat spędzonych przez Odo w twierdzy

w Drio, pojęcie „więzienia” wyjaśniło się samo. Wędrowny nauczyciel historii, który podówczas zawitał w mieście, objaśnił im to zagadnienie obszerniej — acz z niechęcią, jakiej zwykle doświadcza przyzwoity człowiek, zmuszony tłumaczyć dzieciom rzeczy nieprzyzwoite. Istotnie — przyznał — więzienie było miejscem, do którego państwo wsadzało ludzi, którzy złamali jego prawa. Więc czemu stamtąd po prostu nie wychodzili? Nie mogli, drzwi były zamknięte. Jak to zamknięte? No, jak drzwi jadącej ciężarówki, żebyście nie wypadli, głuptasy! I co oni robili, siedząc tyle czasu w jednym pomieszczeniu? Nic. Nie mieli tam nic do roboty. Oglądaliście obrazki przedstawiające Odo w celi więziennej w Drio, prawda? Wizerunek cierpliwej buntowniczki — pochylona siwa głowa, zaciśnięte dłonie — nieruchomej w gęstniejącym mroku. Czasem więźniów skazywano na roboty. Skazywano? Hm, to znaczy, że sędzia — osoba upoważniona przez prawo — nakazywał im wykonywanie jakiejś fizycznej pracy. Nakazywał? A jeśli nie chcieli jej wykonywać? Hm, byli do tego zmuszani; jeśli nie pracowali, byli bici. — Dreszcz zgrozy przebiegł dziecięcych słuchaczy, jedenaste — i dwunastolatków; żaden nie został nigdy uderzony ani nie był świadkiem, jak kogoś uderzono (chyba że w nagłym porywie gniewu).

Tirin zadał pytanie, które cisnęło się na usta wszystkim:

— Chcesz powiedzieć, że kilku biło jednego?

— Tak.

— Dlaczego ich nie powstrzymywano?

— Strażnicy mieli broń. Więźniowie nie — odparł nauczyciel.

Wyrzucił to z siebie ze złością, jak człowiek zmuszony do powiedzenia czegoś ohydnego i faktem tym zakłopotany.

Zwykły powab perwersji zbliżył do siebie Tirina, Szeveka i trzech innych chłopców. Dziewczęta ze swojego grona wykluczyli — nie potrafiliby wyjaśnić dlaczego. Tirin wynalazł idealne więzienie — pod zachodnim skrzydłem ośrodka kształceniowego.

Był to załom w fundamentach, na tyle przestronny, by móc pomieścić jedną siedzącą bądź leżącą osobę, ograniczony z boków trzema betonowymi ścianami, a od góry stropem; ponieważ fundamenty stanowiły część betonowej formy, podłoga owej wnęki była spojona ze ścianami, ciężka zaś płyta oblicówki z piankowca szczelnie ją zamykała. Drzwi owe powinny być jednak zawarte.

Stwierdzili doświadczalnie, że dwie podpory, zaklinowane o licową ścianę, unieruchamiały płytę z zatrważającą skutecznością.

Nikt, kogo by tam zamknięto, nie zdołałby otworzyć tych drzwi.

— A światło?

— Nie będzie światła — zawyrokował Tirin. Mówił o podobnych sprawach tonem znawcy, gdyż jego wyobraźnia pozwalała mu dotrzeć do ich istoty. Wykorzystywał w tym celu wszystkie znane sobie fakty,

ale to nie fakty natchnęły go tą pewnością siebie. — W twierdzy w Drio trzymano więźniów w ciemnościach. Przez całe lata.

— Musi być choć dostęp powietrza — zauważył Szevek. — Te drzwi są szczelne jak drzwi komory próżniowej. Musimy w nich zrobić otwór.

— Przewiercenie się przez piankowiec zajęłoby nam godziny.

A zresztą kto wytrzyma w tym pudle tyle, żeby mu aż zabrakło powietrza!

Chór ochotników i pretendentów.

Tirin obrzucił ich drwiącym spojrzeniem.

— Powariowaliście wszyscy. Kto by się dobrowolnie dawał zamykać w czymś takim? Po co?

Zadowalał go sam pomysł — zresztą jego własny — zbudowania więzienia; nie podejrzewał nawet, że niektórym wyobraźnia nie wystarcza: muszą wejść do celi, spróbować otworzyć zamknięte na głucho drzwi.

— Chcę się przekonać, jak to jest — oświadczył Kadagv, zuchwały, poważny dwunastolatek o rozrośniętej piersi.

— Puknij się w głowę! — zaśmiał się kpiąco Tirin, lecz pozostali chłopcy poparli Kadagva.

Szevek przyniósł z warsztatu świder i wywiercili w „drzwiach" dwucentymetrowy otwór na wysokości nosa. Trwało to — zgodnie z przewidywaniami Tirina — blisko godzinę.

— Jak długo chcesz tam siedzieć, Kad? Godzinkę?

— Słuchajcie — rzekł Kadagv — skoro mam być więźniem, nie mogę sam o tym decydować. Nie jestem wolny. Wy musicie postanowić, kiedy mnie wypuścić.

— Co racja, to racja — przyznał Szevek, wytrącony tą logiką z równowagi.

— Nie możesz tam siedzieć tak długo, Kad, ja też chcę mieć swoją kolej! — zaprotestował najmłodszy z chłopców, Gibesz.

Więzień nie raczył mu nawet odpowiedzieć. Wszedł do celi.

Podniesiono drzwi, osadzono je z łoskotem i zaklinowano podporami, które wszyscy czterej dozorcy więzienni przybijali z entuzjazmem. Następnie stłoczyli się wszyscy u otworu do oddychania, żeby się przyjrzeć więźniowi, lecz ponieważ w lochu było tylko tyle światła, ile go wpadało przez otwór, nic nie zobaczyli.

— Nie wyssijmy pierdzielowi całego powietrza!

— Nadmuchajmy mu trochę.

— Napierdźmy mu trochę!

— De go potrzymamy?

— Z godzinę.

— Trzy minuty.

— Pięć lat!

— Zostały cztery godziny do zgaszenia świateł. Tyle mu powinno wystarczyć.

— Ale ja też chcę mieć swoją kolej!

— W porządku, zamkniemy cię tu na całą noc.

— Myślałem o jutrze, co, nie?

W cztery godziny później wybili podpory i uwolnili Kadagva.

Wynurzył się — pan sytuacji — z równą pewnością siebie, z jaką wchodził do lochu; oświadczył, że zgłodniał i że więzienie to fraszka; większość czasu przespał.

— Zrobiłbyś to jeszcze raz? — zapytał go wyzywająco Tirin.

— Jasne.

— Nie, teraz moja kolejka…

— Zamknij się, Gib. Więc jak, Kad? Dałbyś się tam zamknąć z powrotem, nie wiedząc, kiedy cię wypuścimy?

— Jasne.

— Bez jedzenia?

— Oni karmili więźniów — zauważył Szevek. — To jest właśnie w całej tej sprawie takie niesamowite.

Kadagv wzruszył ramionami. Jego wyzywająca, nieugięta postawa stawała się nie do zniesienia.

— Słuchajcie — polecił Szevek dwu najmłodszym chłopcom — lećcie do kuchni i poproście o jakieś resztki, przynieście też jakąś butelkę z wodą. — Obrócił się do Kadagva. — Zostawimy ci cały worek żarcia, żebyś mógł siedzieć w tej dziurze, jak długo zechcesz.

— Jak długo wy zechcecie — poprawił go Kadagv.

— Dobra. Właź do środka! — Pewność siebie Kadagva obudziła w Tirinie teatralną żyłkę. — Jesteś więźniem. Nie odszczekiwać się.

Zrozumiano? Odwróć się. Połóż ręce na głowę.

— Po co?

— Chcesz się wycofać?

Kadagv stał przed nim z ponurą miną.

— Nie możesz pytać dlaczego. Bo jak zapytasz, możemy cię zbić, a ty nie będziesz mógł się bronić i nikt ci nie pomoże. Możemy ci dać kopa w jaja, a ty nie będziesz mógł oddać. Bo nie jesteś wolny. No więc jak, idziesz na to?

— Jasne. Uderz mnie.

Tworzyli dziwną, nieruchomą grupę — Tirin, Szevek i więzień — stojąc naprzeciwko siebie w ciemności wokół lampy między ciężkimi ścianami fundamentowymi budynku.

Tirin roześmiał się z wyzywającą rozkoszą.

— Nie będziesz mi mówił, co mam robić, ty paskarzu. Zamknij japę i właź do celi!

Kiedy zaś Kadagv odwrócił się posłusznie, pchnął go wyprostowanym ramieniem w plecy, aż tamten runął jak długi.

Chrząknąwszy ze zdumienia — czy może bólu — usiadł, trzymając się za palec, który obtarł sobie lub zwichnął o tylną ścianę lochu. Szevek i Tirin milczeli. Stali nieruchomo, z kamiennymi twarzami, bo już weszli w role strażników. Nie grali ich — to te role ich grały. Wrócili młodsi chłopcy, niosąc trochę chleba holum, melon i butelkę wody; choć po drodze rozmawiali ze sobą, dziwna cisza pod celą udzieliła im się natychmiast. Wrzucono jedzenie i wodę do środka, dźwignięto i zaparto drzwi. Kadagv został w ciemności sam. Pozostali zebrali się wokół lampy. Gibesz spytał szeptem:

— Gdzie on będzie szczał?

— Do wyra — z kpiącą bezceremonialnością odparł Tirin.

— A jak mu się zachce srać? — Gibesz zaniósł się nagle piskliwym śmiechem.

— Co cię tak śmieszy w sraniu?

— Pomyślałem sobie… a co jeśli on nie będzie mógł dojrzeć… po ciemku… — Gibesz nie był w stanie wyjaśnić powodów tego nagłego napadu wesołości. Chłopcy wybuchnęli chóralnym rechotem; pokładali się ze śmiechu, dokąd im nie zabrakło tchu. Zdawali sobie doskonale sprawę, że więzień słyszy ten wybuch rozbawienia.

W dziecięcych sypialniach zgaszono już światła, wielu dorosłych również leżało już w łóżkach, choć w blokach mieszkalnych jeszcze się tu i ówdzie świeciło. Ulica była pusta. Chłopcy maszerowali nią zamaszyście, śmiejąc się i przekrzykując, podnieceni wspólnym sekretem, zakłócaniem spokoju innym i własnym rozdokazywaniem. Zbudzili połowę dzieci w sypialni zabawą w berka na korytarzu i pośród łóżek. Nikt z dorosłych nie interweniował; harmider wnet ucichł.

Tirin i Szevek, siedząc na łóżku Tirina, długo jeszcze ze sobą szeptali. Uzgodnili, że Kadagv ma, czego chciał, posiedzi w więzieniu dwie noce.

Kiedy ich grupa zebrała się po południu w warsztatach odzysku drewna, brygadzista zapytał o Kadagva. Szevek i Tirin wymienili spojrzenia. Powstrzymanie się od odpowiedzi sprawiło, że Szevek poczuł się sprytny i silny. Lecz gdy Tirin odrzekł ze spokojem, że Kadagv dołączył tego dnia do innej grupy, kłamstwo przyjaciela nim wstrząsnęło. Poczucie wewnętrznej siły zaczęło mu nagle doskwierać: zaswędziały go nogi, zaczęły palić uszy. Gdy zaś brygadzista zwrócił się bezpośrednio do niego, podskoczył jak oparzony, zdjęty przerażeniem, zgrozą albo jakimś pokrewnym uczuciem, nigdy wcześniej przezeń nie doznanym, podobnym do zmieszania, ale od niego dokuczliwszym: dręczącym, nieprzyjemnym… Szpachlując i polerując papierem ściernym dziurki po gwoździach w trójwarstwowych sklejkach z drzewa holum, a następnie wygładzając je do jedwabistej gładkości, nie przestawał myśleć o Kadagvie. Ilekroć

wejrzał w swe myśli, znajdował tam Kadagva. Było to obrzydliwe.

Po obiedzie do Tirina i Szeveka podszedł trzymający wartę przed więzieniem Gibesz; minę miał nietęgą.

— Mam wrażenie, że Kad coś do siebie gada — poinformował ich. — Takim jakimś dziwnym głosem.

Zapadła chwila ciszy.

— Wypuśćmy go — zaproponował Szevek.

Tirin obrócił się w jego stronę.

— Daj spokój, Szev, nie rozklejaj się jak stara baba. Nie bądź takim altruistą! Pozwól mu doprowadzić tę sprawę do końca bez utraty szacunku dla samego siebie.

— Altruistą, kurna! Ja dla siebie nie chcę stracić szacunku — burknął Szevek, ruszając w stronę ośrodka kształceniowego.

Tirin znał go zbyt dobrze, by tracić czas na próżne spory; pośpieszył śladem przyjaciela. Pociągnęły za nimi jedenastolatki.

Wsunęli się pod budynek i podczołgali do celi. Szevek wybił jeden klin, Tirin drugi. Drzwi więzienia upadły z głuchym łoskotem.

Kadagv leżał na ziemi, zwinięty, na boku. Usiadł, po czym podniósł się bardzo powoli i wyszedł z celi. Niżej niż to było konieczne, schylił głowę pod niskim stropem, długo mrugał w świetle lampy, nie wyglądał jednak inaczej niż zwykle. Razem z nim wydostał się z lochu niebywały smród. Więzień z jakiegoś powodu dostał rozwolnienia. Cela była zapaskudzona, jego koszula wysmarowana na żółto fekaliami. Usiłował zakryć te ślady ręką, dostrzegłszy je w świetle lampy. Nikt się nie odezwał.

Kiedy wyczołgali się spod budynku i zbliżali do noclegowni, Kadagv zapytał:

— Długo to trwało?

— Około trzydziestu godzin, wliczając pierwsze cztery.

— Nieźle — stwierdził Kadagv bez przekonania.

Odprowadziwszy go do łaźni, zęby się umył, Szevek puścił się biegiem do latryny. Wymiotował, pochylony nad umywalką. Torsje wstrząsały nim przez kwadrans. Gdy ustąpiły, czuł się roztrzęsiony i wyczerpany. Powlókł się do świetlicy w noclegowni, poczytał trochę fizyki, po czym wcześniej położył się do łóżka. Żaden z piątki chłopców nie wczołgiwał się już nigdy do więzienia pod ośrodkiem kształceniowym. Żaden nie wspominał o tym epizodzie — z wyjątkiem Głbesza, który pochwalił się nim raz przed grupką starszych chłopców i dziewcząt; nic nie zrozumieli, poniechał więc tego tematu.

Księżyc stal wysoko nad Instytutem Okręgowym Nauk Szlachetnych i Przyrodniczych w Północoniżu. Czterech chłopców, piętnaste — i szesnastolatków, siedziało na szczycie wzgórza wśród kęp karłowatego, ciernistego holum, spoglądając na Instytut Okręgowy i na Księżyc.

— To dziwne — odezwał się Tirin. — Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy…

Pozostała trójka wyraziła pogląd, że to się samo przez się rozumie.

— Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy — ciągnął nie speszony Tirin — że tam, na Urras, siedzą sobie na jakimś wzgórzu ludzie, patrzą na Anarres — na nas — i mówią: „Spójrzcie, oto Księżyc".

Nasza ziemia jest ich księżycem; nasz księżyc ich ziemią.

— Więc cóż jest rzeczywiste? — zapytał z afektacją Bedap i ziewnął.

— Wzgórze, na którym przypadkiem siedzisz — odrzekł Tirin.

Wpatrywali się w świetlisty, zamglony turkus o kształcie nieregularnej kuli, w dzień po pełni. Północna czapa lodowa lśniła oślepiająco.

— Na północy jest pogodnie — zauważył Szevek. — Słonecznie.

Ta brązowawa wypukłość to A-Io.

— Wylegują się tam nago na słońcu — powiedział Kvetur — z klejnotami w pępkach, nieowłosieni.

Zapadła cisza.

Wdrapali się na wzgórze, bo spragnieni byli męskiego towarzystwa. Obecność kobiet ich męczyła. W ostatnim czasie wydawało im się, że świat jest pełen dziewcząt. Gdziekolwiek spojrzeli — na jawie to czy we śnie — wszędzie widzieli dziewczęta. Każdy z nich próbował już z nimi kopulować; niektórzy podejmowali nawet rozpaczliwe próby niekopulowania z dziewczętami. Bez różnicy.

Dziewczęta nie znikały.

Przed trzema dniami na zajęciach z historii ruchu odońskiego oglądali lekcję wizualną i od tamtej pory prześladował ich obraz opalizujących klejnotów, wetkniętych w gładkie zagłębienia błyszczących od olejków, brązowych brzuchów kobiet.

Oglądali też zwłoki dzieci (podobnie jak oni sami owłosionych) zwalone na plaży niczym złom, sztywne i rdzawe; jacyś mężczyźni oblewali je naftą i podpalali. „Głód w prowincji Bachifoil w państwie Thu — oznajmił głos komentatora. — Ciała zmarłych z głodu i chorób dzieci są palone na plażach. Siedemset kilometrów stamtąd, w państwie A-Io (tu właśnie następowały uklejnocone pępki), całymi dniami wylegują się na piasku na plażach Tius kobiety służące do zaspokajania seksualnych potrzeb męskich przedstawicieli klas posiadających (posłużono się wyrazami języka ajońskiego, ponieważ żadne z tych słów nie miało odpowiednika w języku prawickim), czekając, aż podadzą im obiad członkowie klasy nieposiadającej". Najazd kamerą, scenka obiadowa: miękkie, mlaszczące, uśmiechnięte usta; gładkie dłonie sięgają po przysmaki, zroszonymi wodą stosami

piętrzące się na srebrnych półmiskach. Przebitka na nieruchomą, zakrzepłą twarz nieżywego dziecka — otwarte, puste, czarne, spieczone usta., Jedno obok drugiego" — podkreślił ściszony głos.

W umysłach chłopców powstał obraz przypominający oleistą, opalizującą bańkę.

— De też lat mogą mieć te filmy? — dociekał Tirin. — Czy pochodzą sprzed Osiedlenia, czy są współczesne? Nigdy nam tego nie mówią.

— A co to ma za znaczenie? — rzekł Kvetur. — Tak żyło się na Urras przed rewolucją odońską. Wszyscy odonianie wyjechali stamtąd i przenieśli się na Anarres. Więc pewnie nic się tam nie zmieniło. — Wskazał na ogromny niebiesko-zielony księżyc. — Dalej się w tym babrzą.

— A skąd o tym wiemy?

— Co chcesz przez to powiedzieć, Tir? — zapytał Szevek.

— Jeśli te filmy pochodzą sprzed stu pięćdziesięciu lat, na Urras mogły zajść od tego czasu kolosalne zmiany. Nie twierdzę, że tak jest, ale jeśli? — skąd byśmy mieli się o tym dowiedzieć? Nie jeździmy tam, nie rozmawiamy, nie kontaktujemy się. W gruncie rzeczy nie mamy pojęcia, jak wygląda obecnie życie na Urras.

— Ci z KPR to wiedzą. Rozmawiają przecież z załogami urrasyjskich frachtowców. Są dobrze poinformowani. Muszą być, żebyśmy mogli prowadzić z tamtymi handel i orientować się, jakie niebezpieczeństwo dla nas przedstawiają — wyjaśnił rozsądnie Bedap, na co Tirin miał jednak rezolutną odpowiedź:

— Może ci z KPR są poinformowani, ale my nie.

— Poinformowani! — parsknął Kvetur. — Nasłuchałem się o Urras już w żłobku! Nie mam najmniejszej ochoty oglądać ponownie widoku plugawych urrasyjskich miast i natłuszczonych urrasyjskich cielsk!

— Otóż właśnie — oznajmił Tirin zadowolonym tonem kogoś, kto trzyma się logiki. — Cały dostępny uczniom materiał na temat Urras jest do siebie podobny. Odrażający, niemoralny, ekskrementalny. Ale przyjrzyjcie się: jeśli sprawy miały się aż tak źle, kiedy osadnicy stamtąd wyjeżdżali, jakim cudem to funkcjonowało przez te sto pięćdziesiąt lat? Jeśli byli aż tak zepsuci, dlaczego nie leżą martwi? Czemu ich społeczeństwa posiadaczy nie upadły?

Czego się tak boimy?

— Zarazy — podpowiedział mu Bedap.

— To jesteśmy aż tak wrażliwi, że nie możemy znieść krótkotrwałego wystawienia na szkodliwe wpływy? Zresztą nie wszyscy muszą być chorzy. Choćby nie wiem jak zgniłe było to ich społeczeństwo, znaleźliby się w nim na pewno i ludzie przyzwoici. Ludzie tutaj są różni, prawda? Czyśmy wszyscy doskonałymi

odonianami? Weźcie tego zasrańca Pesusa!

— Ale w chorym organizmie nawet zdrowa komórka jest skazana na zniszczenie — stwierdził Bedap.

— Och, posługując się analogią można udowodnić wszystko, doskonale o tym wiesz. A zresztą skąd my mamy wiedzieć, że ich społeczeństwo jest chore?

Bedap obgryzał paznokieć kciuka.

— Twierdzisz, że KPR i syndykat materiałów naukowych karmią nas kłamstwami na temat Urras?

— Nie; stwierdzam jedynie, że wiemy tylko tyle, ile nam się mówi. A czy wiecie, co nam się mówi? — Tirin zwrócił ku nim swoją ciemną twarz o zadartym nosie, oblaną teraz niebieskawą poświatą księżyca. — Kvet to przed chwilą sformułował. Przyswoił sobie tę lekcję. Słyszeliście ją: brzydź się Urras, nienawidź Urras, bój się Urras.

— A czemuż by nie? — natarł nań pytaniem Kvetur. — Popatrz, jak potraktowali nas, odonian!

— Oddali nam swój księżyc, mało?

— Owszem, żebyśmy im nie zburzyli ich paskarskich państw i nie zbudowali tam sprawiedliwego społeczeństwa. Założę się, że skoro tylko się nas pozbyli, wzięli się do jeszcze gorliwszego niż przedtem budowania rządów i armii, bo nie został tam już nikt, kto by im w tym wadził. Czy sądzisz, że przybyliby tu jako przyjaciele i bracia, gdybyśmy otworzyli przed nimi Port? Ich tysiąc milionów, nas dwadzieścia? Wytępiliby nas albo zrobiliby z nas wszystkich — jak to się mówi? uciekło mi to słowo — niewolników, żebyśmy na nich pracowali w kopalniach!

— Zgoda. Przyznaję, że jest zapewne rzeczą roztropną bać się Urras. Ale dlaczego zaraz nienawidzić? Nienawiść jest niepraktyczna; po co się nas tego uczy? Czyż nie jest wykluczone, że gdybyśmy dowiedzieli się, jaka naprawdę jest Urras, spodobałaby się nam… w jakimś stopniu… niektórym spośród nas? Że KPR chce zapobiec nie temu, żeby niektórzy z nich nie zjawili się tutaj, ale temu, by niektórzy z nas nie zapragnęli pojechać tam?

— Pojechać na Urras? — powtórzył ze zgrozą Szevek.

Spierali się, bo lubili spory, lubili szybki galop rozkiełznanych myśli po ścieżkach możliwości, lubili podważać to, co niepodważalne. Byli inteligentni, ich umysły zostały już wdrożone do naukowej jasności — i mieli po szesnaście lat. W tym jednak punkcie ustała dla Szeveka — podobnie jak wcześniej dla Kvetura — cała płynąca ze sporu przyjemność. Był wzburzony.

— Kto mógłby pragnąć pojechać na Urras? — zapytał. — Po co?

— Żeby się przekonać, jak wygląda inny świat. Żeby się przekonać, co to takiego „koń”!

— To dziecinada — zawyrokował Kvetur. — W paru innych

jeszcze systemach gwiezdnych istnieje życie — powiódł dłonią po rozjaśnionym blaskiem księżyca niebie — tak mówią. I co z tego? My mieliśmy szczęście urodzić się tutaj!

— Skoro jesteśmy lepsi od wszystkich innych ludzkich społeczeństw — zauważył Tirin — powinniśmy im pomagać. A tego się nam zakazuje.

— Zakazuje? Nieorganiczne słowo. Kto zakazuje? Dokonujesz eksternalizacji samej funkcji integrującej — pochylając się do przodu, przemówił z żarem Szevek. — Mus to nie to samo co „przymus". Nie opuszczamy Anarres, bo jesteśmy Anarres. Będąc Tirinem, nie możesz opuścić skóry Tirina. Choćbyś nie wiem jak starał się zostać kimś innym, żeby się przekonać, jak to jest, nie zdołasz tego dokonać. Ale czy zakazuje ci się tego siłą? Czy nas trzyma się tutaj siłą? Bo i jakąż by — praw, rządów, policji? Żadną z nich. Trzyma nas tu po prostu nasza własna istota, nasza natura odonian. Twoim przeznaczeniem jest być Tirinem, moim — Szevekiem, a naszym wspólnym — odpowiedzialnymi przed sobą odonianami. Ta odpowiedzialność jest naszą wolnością. Uchylić się od niej oznaczałoby utracić wolność. Czy naprawdę chciałbyś żyć w społeczeństwie, które pozbawia cię odpowiedzialności i wolności, nie pozostawiając wolnego wyboru, poza fałszywym wyborem między posłuszeństwem prawu a podlegającym karze występkiem? Czy ty naprawdę pragnąłbyś żyć w więzieniu?

— Och, kurka, oczywiście, że nie! To nie można już sobie nawet pogadać? Bieda z tobą, Szev, polega na tym, że nie otwierasz japy, dopóki nie nagromadzisz całej wywrotki ciężkich jak jasna cholera argumentów, które następnie zwalasz na kupę, nie bacząc na zmasakrowane tą zwałką krwawe zwłoki…

Szevek wyprostował się z urażoną miną.

Bedap, krępy młodzieniec o kwadratowej twarzy, stwierdził, obgryzając kciuk:

— Mimo to pytanie Tira nie traci ważności. Dobrze byłoby wiedzieć, że znamy całą prawdę o Urras.

— A któż to nas według ciebie okłamuje? — natarł nań Szevek.

Bedap odpowiedział mu spokojnym spojrzeniem.

— Kto, bracie? A któż by, jeśli nie my sami?

Siostrzana planeta, cicha i świetlista, spływała na nich swym blaskiem — piękny przykład nierealności tego, co rzeczywiste.

Zalesianie Zachodniego Temaeńskiego Wybrzeża należało do rzędu wielkich przedsięwzięć piętnastej dekady po Osiedleniu na Anarres; zatrudnionych było przy nim blisko osiemnaście tysięcy ludzi przez okres dwóch lat.

Choć długie plaże Południowego Wschodu były żyzne i zapewniały utrzymanie licznym rybackim i rolniczym wspólnotom,

grunty orne ciągnęły się wzdłuż morskiego brzegu wąskim jedynie pasem. Tereny rozległych równin na zachód w głąb lądu pozostawały nie zamieszkane, nie licząc paru samotnych osad górniczych.

Rejon ten zwano Kurzawą.

W poprzedniej erze geologicznej porastały Kurzawę olbrzymie lasy holum — pospolitego, dominującego na Anarres gatunku roślin. Obecnie klimat był cieplejszy i bardziej suchy. Tysiącletnie okresy suszy wytrzebiły drzewa i wysuszyły glebę na miałki, szary pył, który wzbijał się przy każdym podmuchu wiatru, tworząc pagórki o liniach tak czystych i tak przy tym jałowe jak wszystkie piaszczyste wydmy. Anarresyjczycy mieli nadzieję przywrócić żyzność tym nieużytkom drogą ich ponownego zalesienia. Szevek uważał, że pozostawało to w zgodzie z zasadą odwracalności przyczynowej, która — acz lekceważona przez wyznawaną aktualnie na Anarres szkołę fizyki następstw — stanowiła nadal istotny, ukryty element odońskiej myśli. Nosił się z zamiarem napisania rozprawy, ukazującej wzajemny stosunek idei Odo i poglądów fizyki czasu, a w szczególności wpływu odwracalności przyczynowej na jej ujęcie zagadnienia celów i środków. W wieku osiemnastu lat nie dostawało mu jednak wiedzy do napisania takiej rozprawy; nigdy jej zresztą nie nabędzie, jeśli nie porzuci przeklętej Kurzawy i nie wróci jak najprędzej do fizyki.

Nocą wszyscy w obozach akcji leśnej kasłali. W ciągu dnia kasłali mniej; byli zbyt zajęci, żeby kasłać. Kurz — ta miałka, sucha substancja, zatykająca gardło i płuca — był ich wrogiem; ich wrogiem, wyzwaniem, ich nadzieją. Niegdyś, tłusty i czarny, leżał w cieniu drzew. Dzięki ich wytężonej pracy może wrócić do tej dawnej roli.

Ona wywodzi liść zielony z głazu
I czystą wodą z litej tryska skały…

Gimar zawsze nuciła sobie tę melodię, a teraz (w upalny wieczór wracali równiną do obozu) zaśpiewała ją na cały głos.

— Kto taki? Co to za „ona”? — dopytywał się Szevek.

Dziewczyna roześmiała się. Jej pełna, jedwabista twarz była umazana i pokryta kurzem, włosy miała pełne kurzu, bił od niej mocny i przyjemny zapach potu.

— Wychowałam się w Południowyżu — odparła. — To region górniczy. To górnicza piosenka.

— Jacy górnicy?

— To nie wiesz? Ludzie, którzy mieszkali tu jeszcze przed przybyciem osadników. Niektórzy z nich zostali i dołączyli do wspólnoty. Kopacze złota, cyny. Zachowali po dziś dzień niektóre swoje święta i pieśni. Tadde był górnikiem, śpiewał mi tę piosenkę, kiedy byłam mała.

— Któż to więc jest ta „ona”?

— Nie wiem, tak po prostu mówi piosenka. A my, czy nie tym się właśnie zajmujemy? Wywodzimy liść zielony z głazu!

— Brzmi to religijnie.

— Ach te twoje wyszukane, książkowe wyrazy! To tylko piosenka, nic więcej. Dużo bym dała, żeby się znaleźć w tym drugim obozie i móc sobie popływać. Cała śmierdzę!

— Ja też śmierdzę.

— Wszyscy śmierdzimy.

— Solidarnie…

Ich obóz położony był jednak o piętnaście kilometrów od plaż Temae i można tu było co najwyżej wytarzać się w pyle.

Był w obozie człowiek, którego imię wymawiało się podobnie jak Szeveka: Szevet. Kiedy wołano jednego, odpowiadał drugi.

Szevek odczuwał coś w rodzaju powinowactwa z tym mężczyzną, związku — z powodu tej przypadkowej zbieżności — szczególniejszego niż braterstwo. Zauważył kilka razy, że Szevet mu się przygląda. Nie rozmawiali ze sobą dotąd.

Pierwszym dekadom udziału Szeveka w akcji zalesiania towarzyszyły uczucia cichego buntu i znużenia. Osób, które postanowiły poświęcić się pracy w dziedzinach o zasadniczej doniosłości (takich jak fizyka), nie powinno się powoływać do podobnych zadań i ciągać na akcje specjalne. Bo czy nie było rzeczą niemoralną wy „Tatuś”. Małe dziecko może nazywać mamme bądź tadde każdą dorosłą osobę. Tadde Gimar mógł więc być jej ojcem, wujem lub nie spokrewnionym z nią dorosłym, który okazywał jej ojcowską lub dziadkową troskę i przywiązanie. Gimar do wielu osób mogła się zwracać tadde bądź mamme, słowo to ma jednak nieco węższe znaczenie niż ammar (brat/siostra), którym zwracać się można do każdego.

Wykonywanie pracy, do której nie ma się serca? Ta praca musiała zostać wykonana, zgoda, ale przecież wiele ludzi ani dbało o to, do jakich zajęć ich przydzielano i stale zmieniało pracę; to oni powinni stawić się na ochotnika. Byle głupiec potrafiłby uporać się z tą pracą. Prawdę mówiąc, większość z nich potrafiłaby wykonywać ją lepiej od Szeveka. Dumny był ze swojej siły i zawsze zgłaszał się do „harówek” dziesiątego dnia roboczego cyklu; lecz tutaj to szło dzień za dniem, osiem godzin dziennie, w kurzu i skwarze.

Każdego dnia z utęsknieniem wyglądał wieczoru, mając nadzieję oddać się nareszcie samotnym rozmyślaniom, ale ledwie dowlekał się po kolacji do namiotu, głowa opadała mu na piersi, zasypiał i spał jak kamień aż do świtu.

Towarzysze pracy wydawali mu się tępi i prostaccy; nawet ci, którzy byli od niego młodsi, traktowali go jak smarkacza. Pełen

niechęci i wzgardy, przyjemność znajdował jedynie w pisaniu listów do przyjaciół, Tirina i Rovab (pisał je szyfrem, który ułożyli jeszcze w Instytucie; szyfr stanowił zbiór słownych odpowiedników specjalnych symboli fizyki czasu). Napisane, zdawały się znaczyć coś, ale w rzeczywistości pozbawione były sensu — poza równaniem bądź filozoficzną formułą, które w sobie kryły. Równania Szeveka i Rovab były autentyczne. Listy Tirina tryskały humorem, każdy też, kto by je czytał, uznałby, że odnoszą się do prawdziwych uczuć i zdarzeń, ich warstwa fizykalna nie była jednak najwyższej próby. Szevek często wysyłał owe zagadki, odkrywszy, że jest w stanie obmyślać je, kopiąc dołki w twardym gruncie, tępym szpadlem, w kurzowej zadymce. Od Tirina dostał kilka odpowiedzi, od Rovab tylko jedną. Rovab była zimną dziewczyną — i on o tym wiedział. Jego przyjaciele w Instytucie nie podejrzewali nawet, jak bardzo jest zgnębiony. Nie wysłano ich na tę przeklętą akcję sadzenia drzew, bo przystępowali w owym czasie do swoich własnych badań. Ich zasadnicza funkcja nie była marnotrawiona. Pracowali, robili to, na co mieli ochotę. On nie pracował; nim pracowano.

A mimo to, o dziwo, napawały go dumą efekty pracy, do której wykonania go używano — sprawiały mu one satysfakcję. Niektórzy ze współtowarzyszy okazali się ponadto wspaniałymi ludźmi. Na przykład Gimar. Z początku jej muskularna uroda przejmowała go nieomal zgrozą, lecz teraz zmężniał już na tyle, żeby jej pożądać.

— Śpij ze mną tej nocy, Gimar.

— Co takiego? — Spojrzała nań z takim zdumieniem, że aż uniósł się urażoną dumą.

— Sądziłem, że jesteśmy przyjaciółmi.

— Bo jesteśmy.

— Więc…

— Ja mam partnera. Został w domu.

— Mogłaś mnie uprzedzić. — Zaczerwienił się.

— Hm, nie pomyślałam o tym. Przepraszam, Szev.

Przyglądała mu się z takim rozżaleniem, że zasugerował z niejaką nadzieją:

— Nie uważasz więc, że…

— Nie. Nie godzi się tak traktować partnerstwa — okruchy dla niego, okruchy dla innych.

— Dożywotnie partnerstwo, jak mi się zdaje, jest w istocie sprzeczne z odoniańską etyką — zauważył z szorstką pedanterią.

— Gówno prawda — orzekła swoim ciepłym głosem. — Posiadanie jest złem; dzielenie się jest dobrem. Czyż można podzielić więcej niż całego siebie, całe swoje życie, wszystkie noce i dni?

Siedział ze zwieszoną głową, z wciśniętymi między kolana rękami, długi, kościsty chłopiec, niepocieszony, nieukształtowany.

— Nie dorosłem do tego — stwierdził po chwili.

— Ty?

— Nikogo dotąd tak naprawdę nie znałem. Sama widzisz, jakim się wobec ciebie okazałem głupcem. Żyję w odosobnieniu. Nie potrafię się z nikim zbliżyć. Nigdy mi się to nie uda. Byłoby głupotą z mojej strony myśleć o partnerstwie. Te rzeczy są dla… dla normalnych ludzi…

Z nieśmiałością, płynącą nie z seksualnej wstydliwości, ale ze skromności wynikłej z szacunku, Gimar położyła mu rękę na ramieniu. Nie pocieszała go. Nie zapewniała, że jest taki jak wszyscy. Powiedziała:

— Nigdy nie spotkam nikogo takiego jak ty, Szev. Nigdy cię nie zapomnę.

Odtrącenie pozostaje jednak odtrąceniem. Mimo łagodności Gimar odszedł od niej ze zbolałą duszą, zagniewany.

Pogoda była upalna, jedynie godzina przed świtem orzeźwiała chłodem.

Któregoś wieczora podszedł do Szeveka po kolacji mężczyzna imieniem Szevet — krępy, przystojny trzydziestolatek.

— Zbrzydło mi już, że wciąż nas ze sobą mylą — oświadczył. — Przybierz jakieś inne imię.

Wcześniej taka bezczelna zaczepka zbiłaby Szeveka z pantałyku. Teraz odpowiedział grzecznie:

— Więc zmień własne, skoro ci to przeszkadza.

— Należysz do tych lalusiowatych paskarzy, co to chodzą do szkoły, żeby sobie rączek nie powalać — warknął tamten. — Zawsze mnie świerzbiło, żeby nakopać jednemu z was.

— Nie nazywaj mnie paskarzem! — burknął Szevek; nie słowny go jednak czekał pojedynek.

Szevet dwa razy zbił go z nóg. Sam oberwał parę razy, Szevek miał bowiem długie ramiona i waleczniejszego był ducha, niż się jego przeciwnik spodziewał — mimo to został pokonany. Kilka osób przystanęło, by się przyjrzeć walce, stwierdziwszy jednak, że była uczciwa, lecz mało ciekawa, poszło swoją drogą. Naga przemoc ani ich nie odpychała, ani nie pociągała. Szevek nie wzywał pomocy, a więc była to jego prywatna sprawa, niczyja więcej. Kiedy się ocknął, leżał na plecach na gołej ziemi pomiędzy dwoma namiotami.

Przez kilka dni dzwoniło mu w prawym uchu, a rozcięta warga długo się nie goiła z powodu kurzu, który jątrzył rany. Z Szevetem nie zamienił już ani słowa. Widywał go z daleka, siedzącego przy innych ogniskach, lecz nie czuł doń niechęci. Szevet dał mu to, co dać musiał, a on przyjął ten dar, choć przez dłuższy czas ani go nie oceniał, ani się zastanawiał nad jego istotą. Gdy zaś przyszła na to pora, nie potrafił go już odróżnić od innego podarunku, otwierającego kolejną epokę

jego dojrzewania. Kiedy — z nie zagojoną jeszcze wargą — odchodził od ogniska, podeszła do niego (w ciemności, podobnie jak Szevet) dziewczyna, która dopiero niedawno dołączyła do ich brygady… Nie umiał sobie później przypomnieć, co powiedziała; żartowała sobie z niego, on zaś — jak przed bójką z Szevetem — odpowiedział z prostotą. Wyszli nocą na równinę i tam mu się oddała. To był jej dar, a on go przyjął. Podobnie jak wszystkie dzieci Anarres miał za sobą swobodne doświadczenia seksualne — tak z chłopcami, jak i z dziewczętami — ale i on, i jego partnerzy byli wówczas dziećmi; nigdy nie posunął się poza przyjemność, którą brał za istotę tych igraszek. Beszun, ekspert w miłości, wprowadziła go w samo serce seksu, gdzie nie ma już miejsca na urazy i nieporadność, gdzie dwa ciała, które pragną się ze sobą złączyć, przestają istnieć na chwilę w tym pragnieniu, przekraczając siebie — i czas.

Wszystko stało się naraz łatwe — takie łatwe i takie piękne — w ciepłym kurzu, w blasku gwiazd. Dni były drugie, gorące i jasne, kurz pachniał ciałem Beszun.

Szevek pracował teraz w zespole sadzeniowym. Ciężarówki zwoziły z Północnego Wschodu małe drzewka — tysiące sadzonek, wyhodowanych w deszczowym obszarze Zielonych Gór, gdzie roczne opady dochodziły do czterdziestu cali. Sadzili te drzewka w pylnej glebie.

Kiedy się z tym uporali, pięćdziesiąt zespołów biorących udział w pracach drugiego roku akcji odjechało odkrytymi ciężarówkami, oglądając się na swoje dzieło. Blade zakola i tarasy pustyni pokrywała zielona mgiełka. Welon życia okrywał lekko, leciuteńko martwą ziemię. Wiwatowali, śpiewali, krzyczeli do siebie z auta do auta. Szevekowi stanęły łzy w oczach. Przypomniały mu się słowa: Ona wywodzi liść zielony z głazu… Gimar już dawno dostała skierowanie do Południowyżu i wyjechała.

— Coś się tak naburmuszył? — zapytała Beszun; przeciskała się do niego, kiedy ciężarówka podskakiwała, i przesuwała dłonią w górę i w dół po jego twardym, ubielonym kurzem ramieniu.

— Kobiety — powiedział Vokep na stacji ciężarówek w Cynowej Rudzie na Południowym Zachodzie. — Im się zdaje, że posiadają cię na własność. Żadna kobieta nie może być tak naprawdę odonianką.

— A sama Odo?…

— Teoria. Poza tym żadnych kontaktów seksualnych po zamordowaniu Asieo, zgadza się? Zresztą zawsze zdarzają się wyjątki.

Ale dla większości kobiet jedynym stosunkiem między nimi a mężczyzną jest posiadanie. Albo ty posiadasz, albo ciebie posiadają.

— Uważasz, że one różnią się pod tym względem od mężczyzn?

— Ja to wiem. Mężczyzna pragnie być wolnym. Kobieta pragnie posiadać. Pozwoli ci odejść tylko wtedy, kiedy będzie cię mogła za coś

przehandlować. Wszystkie kobiety to posiadaczki.

— Rzucasz diablo ciężkie oskarżenie na połowę rodzaju ludzkiego — zauważył Szevek, zastanawiając się, czy tamten nie ma aby racji. Kiedy dostał przydział na Północny Zachód, Beszun uderzyła w płacz, awanturowała się, płakała, próbowała go zmusić do wyznania, że nie może bez niej żyć, upierała się, że ona nie wyobraża sobie życia bez niego, więc muszą zostać partnerami — partnerami! Jak gdyby była zdolna przeżyć pół roku z jednym mężczyzną!

Język Szeveka (jedyny, jaki znał) nie miał form dzierżawczych na określenie aktu płciowego. W prawickim powiedzenie przez mężczyznę, iż „miał" kobietę, było pozbawione sensu; słowo najbliższe znaczeniem „pieprzeniu" (używane też jako przekleństwo) oznaczało gwałt. Pospolity czasownik (występujący wyłącznie z podmiotem w liczbie mnogiej) można by oddać jedynie wyrazem neutralnym, takim jak kopulować. Oznaczał on to, co czyni dwoje ludzi, nie zaś to, co robi — bądź czemu podlega — jedna osoba. Ta rama słowna (równie niedoskonała jak inne) nie była w stanie zawrzeć całej pełni doświadczenia — i Szevek miał świadomość pozostającego poza jej obrębem obszaru, choć nie do końca wiedział, co to właściwie jest. Czuł, oczywiście, że posiadał Beszun, miał ją w owe gwiaździste noce w Kurzawie. Jej z kolei wydawało się, że posiadała jego. Oboje byli jednak w błędzie. Beszun, mimo swego sentymentalizmu, zdawała sobie z tego sprawę; na pożegnanie przywołała wreszcie na twarz uśmiech, pocałowała Szeveka i pozwoliła mu odejść. Nie zawładnęła nim. Zawładnęło nim jego własne ciało, eksplodując pierwszym, wspaniałym wybuchem dorosłej żądzy; tak naprawdę to owa żądza miała go — i Beszun — w swym posiadaniu. Ale to się już skończyło. Zdarzyło się i nigdy już się nie powtórzy — tak myślał, osiemnastoletni, siedząc o północy z przygodnym towarzyszem nad szklanką gęstego, słodkiego napoju owocowego na stacji ciężarówek w Cynowej Rudzie, czekając na okazję, na jakiś jadący na północ konwój — nie może się powtórzyć. Niejedno się jeszcze wydarzy, ale on nie da się po raz drugi wziąć przez zaskoczenie, zwalić z nóg, pobić. Porażka, poddanie się — ma to swoje rozkosze. Nawet Beszun może już nigdy nie zechce zakosztować innych. Bo i po co? To ona — mocą swojej wolności — uczyniła go wolnym.

— Wiesz, nie zgadzam się z tobą — zwrócił się do Vokepa, jadącego do Abbenay agrochemika o pociągłej twarzy. — Uważam, że większość mężczyzn, żeby zostać anarchistami, musi się tego nauczyć. Kobiety się uczyć nie muszą.

Vokep pokręcił ponuro głową.

— To przez dzieciaki — stwierdził. — Posiadanie dzieci. To robi z nich posiadaczki. Nie pozwolą odejść. — Westchnął. — Dotknij i zmyj się, bracie — to zasada. Nie pozwól się nigdy posiąść.

Szevek uśmiechnął się i pociągnął łyk soku owocowego.

— Nie pozwolę — rzekł.

Do Instytutu Okręgowego wracał z radością, z radością witał niskie pagórki, upstrzone brunatnolistnym karłowatym holum, ogródki warzywne, domicyle, noclegownie, warsztaty, klasy szkolne, laboratoria, wśród których płynęło mu życie, odkąd skończył trzynaście lat. Należał do tych, dla których powrót znaczył równie wiele, co wyjazd. Sama podróż mu nie wystarczała, zadowalała go jedynie połowicznie; on musiał powracać. Niewykluczone, że w skłonności tej kryła się już zapowiedź jego przyszłej, wielkiej wyprawy badawczej do granic poznawalnego. Nie podjąłby najpewniej tego długoletniego trudu, gdyby nie ożywiająca go głęboka pewność, że powrót jest możliwy, choćby jemu samemu nie dane było wrócić; że w gruncie rzeczy sama natura podróży — niczym ruch obiegowy globu — zakładała powrót. Nie wstąpisz po raz drugi do tej samej rzeki, nie zdołasz wrócić do domu. Tyle wiedział, ta świadomość stanowiła w istocie podstawę jego światopoglądu. Ale właśnie z tej akceptacji przemijania wywiódł swoją śmiałą teorię, wedle której to, co najbardziej zmienne, ukazuje się jako to, co najtrwalsze, zaś stosunek człowieka do rzeki, a także rzeki do niego i do samej siebie okazuje się zarazem bardziej złożony i tchnący głębszą pociechą niż zwykły jedynie brak identyczności. Możesz wrócić do domu — utrzymuje ogólna teoria czasu — skoro tylko zrozumiesz, że dom to miejsce, w którym nigdy nie byłeś.

Toteż cieszył się z powrotu do miasta, gdzie był jego dom — najbliższy temu, jaki miał i jakiego pragnął. Dawni przyjaciele zrobili na nim wrażenie dość jeszcze smarkatych. Bardzo wydoroślał przez miniony rok. Niektóre z dziewcząt dotrzymały mu kroku, a nawet go wyprzedziły; stały się kobietami. Wystrzegał się jednak wszystkiego, co wykraczało poza przygodne z nimi kontakty, nie pragnął bowiem na razie nowego zachłyśnięcia się seksem; co innego miał do zrobienia. Zauważył, że najbystrzejsze z dziewcząt (na przykład Rovab) były równie powściągliwe i ostrożne; zachowywały się — czy to w laboratoriach, warsztatach, czy w świetlicach noclegowni — jak dobrzy kumple, nic ponadto. Przed urodzeniem dziecka chciały zdobyć wykształcenie i zacząć własne badania lub znaleźć posadę, która by im odpowiadała. Już ich nie zadowalały szczeniackie doświadczenia erotyczne. Pragnęły dojrzałego związku, nie bezpłodnych obłapek; ale jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz.

Były dobrymi koleżankami, przyjacielskimi i niezależnymi.

Chłopcy w wieku Szeveka sprawiali wrażenie zagubionych w schyłkowym okresie dzieciństwa, zasuszonego już i szczątkowego. Byli zbyt przemądrzali. Wyglądało na to, że nie myślą poświęcić się ani pracy, ani seksowi. Słuchając Tirina, można by sądzić, że to on

wynalazł kopulację — przygody miewał jednak wyłącznie z piętnasto — i szesnastolatkami; rówieśniczek unikał.

Bedap, nie przejawiający nigdy szczególnego seksualnego wigoru, odbierał hołdy od pewnego młodszego chłopca, który go otaczał wyidealizowanym uwielbieniem homoseksualisty, i tym się kontentował. Zdawał się niczego nie traktować serio, stał się ironiczny i skryty. Szevek nie czuł już bliskości z przyjacielem. Nie przetrwał zresztą żaden z dawnych przyjacielskich związków; nawet Tirin był zanadto skoncentrowany na samym sobie, w ostatnim zaś czasie zbyt kapryśny, żeby podtrzymywać dawne więzi — nawet gdyby Szevek podtrzymać je pragnął. Ten jednak naprawdę do tego nie dążył. Z radością witał samotność. Nie przyszło mu nawet do głowy, że rezerwa, którą napotkał u Bedapa i Tirina, może być odpowiedzią na coś w nim samym; że jego łagodny, lecz odstraszająco już zamknięty charakter może wytwarzać wokół niego otoczkę, przez którą tylko wielka siła — lub wielkie oddanie — będą się w stanie przebić. W gruncie rzeczy dostrzegał jedynie to, że ma wreszcie pod dostatkiem czasu do pracy.

Tam, na Południowym Wschodzie, gdy już przywykł do ciągłej pracy fizycznej i przestał tracić siły umysłu na szyfrowane listy, a nasienie na zmazy nocne, poczęły mu świtać w głowie pewne myśli. Teraz miał możność ich opracowania, sprawdzenia, ile są warte.

Starszym fizykiem Instytutu była kobieta o imieniu Mitis. Nie kierowała aktualnie programem studiów (stanowiska administracyjne podlegały corocznej rotacji między dwudziestoma pracownikami na stałych etatach), pracowała jednak w Instytucie od trzydziestu lat i górowała nad kolegami umysłem. Otaczała ją zawsze swego rodzaju wolna przestrzeń psychiczna — jak wolne są od tłumów okolice wierzchołka góry. Brak wszelkich podpórek i nakazów autorytetu czynił autorytet tym autentyczniejszym. Bywają ludzie z autorytetem wrodzonym; niektórzy cesarze przywdziewają tylko nowe szaty.

— Wysłałam twój artykuł o częstotliwości względnej Sabulowi do Abbenay — poinformowała Szeveka z właściwą sobie koleżeńską niecierpliwością. — Chciałbyś zobaczyć odpowiedź?

Pchnęła przez stół postrzępiony świstek papieru — najwyraźniej róg oddarty z jakiejś strony. Nagryzmolono na nim maczkiem równanie:

$$\frac{ts}{2} \cdot (R) = 0$$

Szevek oparł się rękami o stół i wpatrywał się w nie w skupieniu. Wlewające się przez okno światło napełniało jego jasne oczy przejrzystym blaskiem wody. Miał dziewiętnaście lat, Mitis pięćdziesiąt pięć. Przyglądała mu się ze współczuciem i zachwytem.

— Tego właśnie brakowało — stwierdził.

Jego ręka wymacała leżący na stole ołówek. Począł coś bazgrać na skrawku papieru. W miarę jak pisał, jego blada, delikatnym meszkiem osrebrzona twarz pokryła się rumieńcem i zaczerwieniły mu się uszy.

Mitis poruszyła się dyskretnie za stołem, chcąc usiąść. Miała kłopoty z krążeniem w nogach, nie mogła długo stać. Jej ruch zakłócił skupienie Szeveka. Podniósł na nią zimne, poirytowane spojrzenie.

— Mogę to skończyć w ciągu kilku dni — oświadczył.

— Sabul życzyłby sobie rzucić okiem na wyniki, gdy się z tym uporasz.

Zapadło krótkie milczenie. Szevek odzyskał już swoje normalne kolory i stał się na powrót świadom obecności Mitis, którą przecież kochał.

— Czemu posłałaś ten artykuł Sabulowi? — zapytał. — Do tego z taką wielką dziurą w środku!

Uśmiechnął się; przyjemność załatania luki we własnym rozumowaniu napełniała go radością.

— Pomyślałam, że może jemu uda się dojść, w którym miejscu pobłądziłeś. Ja nie byłam w stanie. Chciałam też, żeby się zorientował, nad czym pracujesz… Wiesz, on chciałby cię widzieć w Abbenay.

Młodzieniec nie odpowiedział.

— Chciałbyś tam pojechać?

— Na razie nie.

— Tak też przypuszczałam. Ale musisz pojechać. Dla książek, a także głów, z którymi się tam zetkniesz. Nie wolno takiej mózgownicy jak twoja zakopywać na pustyni! — powiedziała w nagłej pasji. — Twoim obowiązkiem, Szevek, jest szukać tego, co najlepsze; nie pozwól się zwodzić fałszywemu egalitaryzmowi. Będziesz pracował z Sabulem; on jest dobry, zmusi cię do ciężkiej pracy. Powinieneś jednak zachować swobodę samodzielnego odkrycia kierunku, w jakim zechcesz podążać. Zostań tu jeszcze z kwartał, potem jedź. Ale uważaj tam, w Abbenay. Staraj się zachować niezależność. Siła spoczywa w centrum. Udajesz się do centrum. Nie znam Sabula, nie mam mu nic do zarzucenia; ale o tym nie zapominaj: będziesz jego człowiekiem.

Liczba pojedyncza zaimka dzierżawczego jest w języku prawickim używana głównie dla celów emfatycznych; mowa potoczna jej unika. Małe dziecko może powiedzieć: „moja mama”, ale prędko uczy się mówić „mama”. Zamiast: „Podaj mi mój płaszcz” mówi się: „Podaj mi płaszcz”, i tak dalej; chcąc powiedzieć w języku prawickim: „to jest moje, a to twoje”, mówi się: „ja używam tego, a ty tego”. W stwierdzeniu Mitis: „Będziesz jego człowiekiem” zabrzmiał jakiś dziwny ton. Szevek wpatrywał się w nią bez wyrazu.

— Masz przed sobą zadanie — stwierdziła Mitis. Jej czarne oczy

zabłysły, jakby zapłonęły gniewem. — Wykonaj je!

To powiedziawszy, wyszła, w laboratorium czekała na nią bowiem grupa studentów. Szevek spoglądał z zakłopotaniem na świstek papieru. Sądził, że Mitis poleca mu, by się pośpieszył i poprawił swoje równania. Znacznie później dopiero zrozumiał, co mu chciała powiedzieć.

Wieczorem w przeddzień jego wyjazdu do Abbenay koledzy wydali na jego cześć przyjęcie. Przyjęcia organizowane były często pod byle jakim pretekstem, Szeveka zdumiał jednak zapał, z jakim przygotowywano to właśnie; zastanawiał się, z jakiego powodu było ono aż tak wystawne. Nie ulegając wpływom innych, nie zdawał sobie sprawy, że on sam ma na drugich wpływ; nie miał pojęcia, że jest przez kolegów lubiany.

Musieli od wielu dni odkładać na tę okazję swoje dzienne racje.

Zgromadzili niewiarygodne góry jedzenia. Zamówienie na ciasto było tak ogromne, że stołówkowy kucharz popuścił wodze fantazji i wypiekł przysmaki dotąd nie widziane: aromatyczne wafle, posypane papryką koreczki z wędzonej ryby, słodkie, kapiące od tłuszczu pierniki. Były napoje owocowe, kandyzowane owoce znad Morza Kerańskiego, malutkie słone krewetki, stosy kruchych frytek z batatów. Nieprzebrany wybór potraw przyprawiał o zawrót głowy. Wszyscy wpadli w doskonały humor, kilka osób się pochorowało.

Były skecze i zabawy przygotowane zawczasu oraz improwizowane. Tirin przebrał się w łachmany, wyciągnięte z pojemnika na odpadki do recyrkulacji i snuł się wśród gości jako Ubogi Urrasyjczyk, Żebrak — jedno ze słów języka ajońskiego, które znali wszyscy z lekcji historii.

— Dajcie mi pieniądze — skamlał, podtykając im pod nosy trzęsącą się rękę. — Pieniądze! Pieniądze! Czemu nie dajecie mi pieniędzy? Nie macie? Kłamcy! Zasrani posiadacze! Paskarze! A to żarcie? Skąd je wzięliście, skoro nie macie pieniędzy — Następnie wystawił siebie na sprzedaż: — Kupta mnie, kupta mnie, za małą sumkę pieniędzy — napraszał się.

— Nie mówi się kupta, tylko kupcie — poprawiła go Rovab.

— Kupta, kupcie, co za różnica, spójrz, jakie śliczne ciałko; nie leci ci ślinka? — mruczał Tirin, kręcąc wąskimi biodrami i trzepocząc powiekami.

Ścięty na koniec publicznie przy pomocy noża do ryb, pojawił się na powrót w normalnym już odzieniu.

Byli wśród gości wyszkoleni harfiści i śpiewacy, toteż muzykowano i tańczono co niemiara, lecz więcej jeszcze gadano. Wszyscy trajkotali, jakby ich następnego dnia miała porazić niemota.

Nocą młodzi kochankowie poczęli się wymykać do pojedynczych pokojów, by tam kopulować; goście, ogarnięci sennością, rozeszli się

do sypialń; została ich na koniec — wśród pustych filiżanek, ości i okruchów ciasta, które trzeba będzie przed świtem posprzątać — mała jedynie grupka. Do świtu pozostało jednak jeszcze wiele godzin. Popłynęły rozmowy, przerywane od czasu do czasu skubnięciem jakiegoś przysmaku. W gronie wytrwałych byli Bedap, Tirin, Szevek, paru innych chłopców oraz trzy dziewczyny.

Rozmawiali o rytmie — tym przestrzennym wyobrażeniu czasu — a także o związkach między starożytnymi teoriami Harmonii Liczb a współczesną fizyką czasu. Sprzeczali się, jakim stylem pływackim najlepiej pokonywać długie dystanse. Zastanawiali się, czy ich dzieciństwo było szczęśliwe. Rozważali, czym w ogóle jest szczęście.

— Cierpienie jest nieporozumieniem — oświadczył Szevek, pochylając się do przodu z rozszerzonymi i rozjaśnionymi oczami.

Był nadal szczupły, miał duże dłonie, odstające uszy i kanciaste stawy; zdrów jak ryba, tryskał młodzieńczą werwą; był bardzo piękny. Miękkie i proste włosy, matowe i ciemne jak u innych, nosił długie, nie strzyżone, przewiązane wstążką. Tylko jedno spośród nich miało inną fryzurę — dziewczyna o wydatnych kościach policzkowych i płaskim nosie; jej krótko ostrzyżona ciemna czupryna okrywała głowę niczym lśniący czepek. Dziewczyna nie odrywała od Szeveka poważnego spojrzenia. Wargi miała tłuste od pierników, do podbródka przyklejony okruszek.

— Ono istnieje — powiedział Szevek, rozkładając ręce. — Jest realne. Mogę nazwać je nieporozumieniem, ale nie mogę udawać, że go nie ma lub że kiedyś istnieć przestanie. Cierpienie jest stanem naszej egzystencji. Gdy przychodzi, poznajecie je. Wiecie, że jest rzeczywiste. Słuszne jest oczywiście leczenie chorób, walka z głodem i niesprawiedliwością, jak to czyni organizm społeczny. Ale przecież żadne społeczeństwo nie odmieni natury bytu. Nie jesteśmy w stanie zapobiec cierpieniu. Temu konkretnemu bólowi, tamtemu konkretnemu bólowi — owszem, lecz nie bólowi w ogóle.

Społeczeństwo może ulżyć jedynie społecznemu cierpieniu — cierpieniu niepotrzebnemu. Pozostaje reszta. Korzeń, rzeczywistość.

My wszyscy, jak tu siedzimy, zaznamy smutku; jeśli przeżyjemy pięćdziesiąt lat, będziemy przez pięćdziesiąt lat cierpieli ból. Na koniec zaś umrzemy. Do takiego się urodziliśmy losu. Boję się życia! Bywają chwile, że jestem… śmiertelnie przerażony. Szczęście — każde szczęście — wydaje się trywialne. A jednak zastanawiam się czasem, czy to wszystko nie jest jakimś nieporozumieniem — to uganianie się za szczęściem, ten strach przed bólem… Gdyby zamiast bać się go i uciekać przed nim, człowiek mógł… przezwyciężyć go, przekroczyć. Za nim coś jest. Tym, co cierpi, jest istota, a przecież istnieje taki punkt, w którym istota znika. Nie wiem, jak to wyrazić. Ale wierzę, że ta realność, ta prawda, którą odkrywam w cierpieniu, a której nie

znajduję w wygodzie i szczęściu, że ta realność bólu — nie jest bólem. Jeśli umie sieją przezwyciężyć. Jeśli umie sieją przecierpieć do końca.

— Realność naszego życia spełnia się w miłości, w solidarności — wtrąciła wysoka dziewczyna o łagodnym spojrzeniu. — Miłość jest istotą ludzkiego życia.

Bedap pokręcił głową.

— Nie. Szev ma rację — powiedział. — Miłość to tylko jedna z dróg, może pobłądzić i zaginąć. Ból nigdy nie ginie. Dlatego też niewielki mamy wybór, jeśli chodzi o znoszenie go! Musimy go znieść — czy tego chcemy, czy nie.

Krótko ostrzyżona dziewczyna zaprzeczyła energicznym ruchem głowy.

— Otóż nie! Tylko jeden na stu, jeden na tysiąc przebywa całą drogę, dochodzi do kresu. Reszta udaje tylko stale, że jest szczęśliwa, albo po prostu gnuśnieje. Cierpimy, ale cierpimy nie dość.

Cierpimy więc na darmo.

— To co niby mamy zrobić? — rzekł Tirin. — Co dzień przez godzinę walić się młotkiem po głowie, żeby zdobyć pewność, że cierpimy dosyć?

— Tworzysz kult cierpienia — wtrącił ktoś inny. — Cele odonian są pozytywne, nie negatywne. Cierpienie jest dysfunkcjonalne — wyjąwszy przypadki, kiedy ciało ostrzega bólem przed niebezpieczeństwem. Psychologicznie i socjologicznie jest po prostu destrukcyjne.

— A cóż innego powodowało Odo, jeśli nie wyjątkowa wrażliwość na cierpienie, własne i cudze? — ripostował Bedap.

— Ależ cała zasada pomocy wzajemnej miała z założenia służyć zapobieganiu cierpieniu!

Szevek, ze skupioną i spokojną twarzą, siedział na stole, dyndając długimi nogami.

— Czy widzieliście, jak umiera człowiek? — zapytał.

Większość widziała, w domicylu lub podczas ochotniczej służby w szpitalu. Wszyscy — z jednym wyjątkiem — pomagali przy tej lub innej okazji grzebać zmarłych.

— W obozie na Południowym Wschodzie był pewien mężczyzna — pierwszy raz w życiu widziałem coś podobnego. Silnik aeroauta miał jakiś defekt, pojazd rozbił się przy starcie i stanął w płomieniach. Wyciągnęli tego mężczyznę całego poparzonego. Żył jeszcze jakieś dwie godziny. Nie można go już było uratować; nie miał żadnego powodu, żeby żyć tak długo, żadnego uzasadnienia tych dwóch godzin. Czekaliśmy, kiedy przylecą z wybrzeża ze środkami znieczulającymi. Zostałem przy nim, razem z dwoma jeszcze dziewczynami — załadowywaliśmy tam samolot. Nie było na miejscu lekarza. Nie można było nic dla niego zrobić, jedynie zostać tam,

czuwać przy nim. Był w szoku, ale prawie cały czas przytomny. Okropnie cierpiał, szczególnie ręce — nie sądzę, żeby zdawał sobie sprawę, że reszta jego ciała jest zwęglona — czuł ból głównie w rękach. Nie można go było dotknąć, żeby pocieszyć, bo odchodziła mu skóra i ciało i wtedy krzyczał. Nie mogliśmy dla niego nic zrobić. Nie mogliśmy mu udzielić żadnej pomocy. Nie wiem, czy zdawał sobie sprawę, że przy nim jesteśmy. Nie na wiele by mu się to zresztą zdało. Nie mogliśmy dla niego nic zrobić.

Wtedy zrozumiałem… wiecie… zrozumiałem, że dla nikogo nie jesteśmy w stanie nic uczynić. Nie możemy ocalić jeden drugiego.

Ani samych siebie.

— Cóż ci więc zostaje? Samotność i rozpacz! Ty odrzucasz braterstwo, Szevek! — zawołała wysoka dziewczyna.

— Nie… nie odrzucam. Próbuję tylko ustalić, czym ono naprawdę jest. Ono zaczyna się… ono zaczyna się w dzieleniu bólu.

— A kończy?

— Nie wiem. Tego jeszcze nie wiem.

Rozdział trzeci
Urras

Kiedy Szevek obudził się, przespawszy swój pierwszy ranek na Urras, miał zakatarzony nos, drapało go w gardle i męczył kaszel.

Sądził, że się przeziębił (nawet odońska higiena nie zmogła pospolitego przeziębienia), ale doktor — dystyngowany starszy pan — który już czekał, aby go zbadać, orzekł, że to najprawdopodobniej silny katar sienny, alergiczna reakcja na obce kurze i pyłki Urras. Zaaplikował Szevekowi pigułki i zastrzyk (co ten zniósł cierpliwie) oraz podał mu tacę z lunchem, na który Szevek rzucił się łapczywie. Następnie, poleciwszy mu, by został w swym mieszkaniu, wyszedł. Po śniadaniu Szevek przystąpił — pokój po pokoju — do zwiedzania Urras.

W osobnym pomieszczeniu stało łóżko, solidne łoże na czterech nogach, z materacem (o niebo miększym niż ten na koi Czujnego), wymyślną pościelą — częściowo jedwabną, częściowo grubą i ciepłą — oraz mnóstwem podobnych do chmur kłębiastych poduszek. Podłoga była wysłana puszystym dywanem; w pomieszczeniu stała ponadto komoda z pięknie rzeźbionego i wypolerowanego drewna oraz szafa tak przepastna, że mogłaby pomieścić ubrania lokatorów dziesięcioosobowej sypialni. W mieszkaniu znajdowała się też przestronna świetlica z kominkiem, którą Szevek oglądał poprzedniego wieczora, oraz trzeci pokój, mieszczący wannę, umywalkę i frymuśny sedes. Pomieszczenie owo przeznaczone było najwyraźniej wyłącznie do jego użytku, wchodziło się tam bowiem wprost z sypialni, ponadto zaś mieściło po jednej tylko sztuce każdego urządzenia, a każde odznaczało się zmysłowym luksusem, wykraczającym znacznie poza zwykłą erotykę i graniczącym — w opinii Szeveka — z czymś w rodzaju najwyższej apoteozy ekskrementów. W tym trzecim pokoju spędził blisko godzinę, korzystając po kolei ze wszystkich utensyliów i doprowadzając się w trakcie tych prób do stanu nieskazitelnej czystości. Zaopatrzenie w wodę było fantastyczne — płynęła z kranów, dopóki się ich nie zakręciło; wanna mieściła z sześćdziesiąt litrów, na każde spłukanie muszli szło co najmniej pięć. Nie było w tym w istocie nic takiego dziwnego. Pięć szóstych powierzchni Urras pokrywała woda. Nawet pustynie na biegunach były z lodu. Nie zachodziła potrzeba oszczędzania; nie zdarzały się susze… Ale co robiono z gównem? Zastanawiał się nad tym, klęcząc obok sedesu po oględzinach jego mechanizmu działania. Muszą je pewnie odfiltrowywać z wody w fabrykach nawozu. Nadmorskie społeczności na Anarres stosowały

podobny system do użyźniania pól. Miał zamiar o to zapytać, ale jakoś się do tego nie zabrał. Wielu pytań nie zdołał na Urras zadać.

Mimo bólu głowy czuł się dobrze i ożywiało go podniecenie.

W pokojach było tak ciepło, że nie ubierał się i paradował po mieszkaniu nago. Podszedł do okien w przestronnej sali i wyjrzał na dwór. Pokój mieścił się wysoko, więc w pierwszej chwili cofnął się z przestrachem, nie przyzwyczajony do budynków wyższych nad parterowe. Przypominało to spoglądanie w dół ze sterowca; człowiek czuł się oderwany od ziemi, dominujący, niezaangażowany.

Okna wychodziły na lasek, za którym wznosił się biały budynek ze zgrabną graniastą wieżą. Za nim rozpościerała się rozległa równina — w całości uprawna, barwiące ją bowiem nieprzeliczone pasma zieleni miały kształt prostokątów. Nawet tam, gdzie zieleń przechodziła w siność dali, można było rozróżnić ciemne linie miedz, żywopłotów lub drzew, tworzące siateczkę tak misterną jak system nerwowy żywego organizmu. Dalej, zamykając dolinę, pasmami błękitnych fałdów piętrzyły się wzgórza, miękkie i ciemne pod bladym, zaciągniętym szarością niebem.

Był to najpiękniejszy widok, jaki Szevek kiedykolwiek oglądał.

Delikatność i żywość kolorów, mieszanina ludzką ręką wykreślonego wzoru prostokątów i majestatycznych, powielających się w nieskończoność naturalnych konturów, różnorodność i harmonia elementów czyniły wrażenie złożonej całości, jakiej nigdy dotąd nie widział — jeśli nie liczyć jej zapowiedzi (na małą skalę): wyrazu niektórych pogodnych, zamyślonych ludzkich twarzy.

W porównaniu z tym każdy widok, jaki mogła zaoferować AnaTes — nawet równina Abbenay i wąwozy Ne Theras — był ubogi: naga, jałowa, prymitywna sceneria. Pustynie Południowego Zachodu nie były pozbawione pięknych krajobrazów o szerokim oddechu, ale było to piękno obce i bezczasowe. Nawet tam, gdzie ludzie zagospodarowali Anarres najstaranniej, stworzony przez nich krajobraz przypominał surowy szkic żółtą kredą w porównaniu z tą spełnioną wspaniałością życia, bogatego w historię i obietnice na przyszłość, niewyczerpanego.

Oto jak powinien wyglądać świat — pomyślał.

Od tego zaś błękitnego i zielonego przepychu niósł się z wysokości czyjś śpiew: jakiś cienki głosik to wznosił się, to przycichał, niewymownie słodki. Cóż to takiego? Cichy, upajający tryl, muzyka z wyżyn powietrza. Słuchał z zapartym tchem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Szevek, nagi i ogarnięty zachwytem, odwrócił się od okna i zawołał:

— Proszę!

Wszedł jakiś człowiek z paczkami. Zatrzymał się przy drzwiach. Szevek podszedł do niego i — zwyczajem Urrasyjczyków — wyciągnął

rękę, wypowiadając przy tym — zwyczajem Anarresyjczyków — swe imię.

Przybysz, mężczyzna lat około pięćdziesięciu, o pobrużdżonej, zniszczonej twarzy, powiedział coś — z czego Szevek nie zrozumiał ani słowa — i nie podał mu ręki. Może przeszkadzały mu w tym paczki, nie zadał sobie jednak trudu, by je przełożyć do lewej ręki i uwolnić prawą. Na jego twarzy malowała się surowa powaga. Był chyba zakłopotany.

Szevek, który sądził, że opanował — w najgorszym razie — urrasyjski ceremoniał powitalny, zmieszał się.

— Proszę wejść — powtórzył, po czym, ponieważ Urrasyjczycy na każdym kroku używali tytułów i zwrotów grzecznościowych, dodał: — Sir!

Mężczyzna zaczął kolejną niezrozumiałą przemowę, przemykając jednocześnie bokiem w stronę sypialni. Tym razem udało się Szevekowi wyłowić kilka ajońskich słów, sensu całej wypowiedzi nie zdołał jednak uchwycić. Nie zatrzymywał tamtego, wyglądało bowiem na to, że pilno mu było do sypialni. Może to współlokator? Ale przecież stało tam tylko jedno łóżko. Szevek odstąpił od nowo przybyłego i wrócił pod okno, mężczyzna zaś wbiegł do sypialni i buszował w niej przez kilka minut. Właśnie gdy Szevek doszedł do wniosku, że to pewnie pracownik na nocną zmianę, który z sypialni korzysta za dnia — rozwiązanie stosowane niekiedy w przepełnionych chwilowo domicylach — tamten pojawił się znowu. Coś powiedział — jakby: „Gotowe, sir” — i w jakiś dziwny sposób skulił głowę, jak gdyby się obawiał, że Szevek, stojący w odległości pięciu metrów od niego, spróbuje uderzyć go w twarz. Potem wyszedł. Szevek tkwił przy oknie; z wolna docierało doń, że oto po raz pierwszy w życiu złożono mu ukłon.

Wszedł do sypialni i odkrył, że łóżko zostało posłane.

Ubierał się powoli, w zamyśleniu. Właśnie wkładał buty, gdy rozległo się kolejne pukanie do drzwi.

Wkroczyła grupa ludzi; ci weszli w odmienny sposób — normalny, wedle jego oceny — jakby mieli prawo przebywać w tym miejscu oraz w każdym, w którym tylko zechcą. Człowiek z paczkami był niezdecydowany, omalże się wślizgnął. A jednak jego twarz, ręce i ubiór bliższe były wyobrażeniu Szeveka o normalnym ludzkim wyglądzie niż powierzchowność tych nowych gości. Przemykający się pierwszy przybysz zachowywał się dziwnie, ale wyglądał jak Anarresyjczyk. Czterej pozostali zachowywali się jak Anarresyjczycy, lecz wyglądali — z ogolonymi twarzami i w pysznych szatach — jak stworzenia jakiegoś obcego gatunku.

W jednym z nowo przybyłych Szevek rozpoznał Pae, w pozostałych zaś mężczyzn, którzy dotrzymywali mu towarzystwa

poprzedniego wieczora. Przyznał, że nie dosłyszał ich imion, uśmiechając się przedstawili mu się więc ponownie: dr Chifoilisk, dr Oiie i dr Atro.

— Ach jej! Atro! — wykrzyknął Szevek. — Jakże się cieszę, że cię spotykam!

Położył ręce na ramionach starca i pocałował go w policzek, nim miał czas pomyśleć, czy to braterskie powitanie, przyjęte na Anarres, nie zostanie tu uznane za niestosowne.

Atro oddał mu jednak serdeczny uścisk i zmętniałymi, szarymi oczami zajrzał mu w twarz. Szevek uświadomił sobie, że tamten jest prawie ślepy.

— Mój drogi Szevek — witaj w A-Io — witaj na Urras — witaj w domu!

— Tyle lat pisywaliśmy do siebie, tyleśmy sobie nawzajem naobalali teorii!

— Tyś był zawsze lepszym obalaczem. A teraz uważaj, mam coś dla ciebie. — Staruszek zaczął grzebać po kieszeniach. Pod aksamitną uniwersytecką togą nosił marynarkę, pod nią kamizelkę, pod kamizelką koszulę, pod koszulą zaś najwidoczniej jeszcze jedną warstwę odzienia. Wszystkie sztuki tego stroju, łącznie ze spodniami, miały kieszenie. Szevek przypatrywał się zafascynowany, jak Atro przetrząsa sześć czy siedem kieszeni — z których każda coś mieściła — zanim wydobył mały sześcian z żółtego metalu, osadzony na kawałku polerowanego drewna. — Proszę — powiedział, przyglądając się owemu przedmiotowi. — Oto twa nagroda.

Nagroda Seo Oen, pojmujesz. Pieniążki czekają już na twoim koncie. Proszę. Spóźniona o dziewięć lat, lecz lepiej późno niż wcale.

Ręce mu drżały, gdy wręczał tę rzecz Szevekowi.

Była ciężka; żółty sześcian z litego złota. Szevek stał nieruchomo, trzymając nagrodę.

— Nie wiem, jak tam wy, młodzi — rzekł Atro — ale ja mam ochotę sobie spocząć.

Siedli wszyscy w głębokich, miękkich fotelach, które Szevek zdążył już wypróbować, zdumiony materiałem, którym były obite — niepodobną do tkaniny brązową substancją przypominającą w dotyku skórę.

— De ty miałeś lat przed dziewięcioma laty, Szevek? — Atro był najwybitniejszym z żyjących na Urras fizyków. Otaczała go nie tylko aura dostojnego wieku, cechowała go też bezceremonialna pewność siebie człowieka nawykłego do szacunku. Dla Szeveka nie było to nic nowego. Atro posiadał dokładnie ten rodzaj autorytetu, który Szevek uznawał. Sprawiało mu ponadto przyjemność, że ktoś wreszcie zwraca się do niego zwyczajnie, po imieniu.

— Miałem dwadzieścia dziewięć lat, kiedy skończyłem Zasady,

Atro.

— Dwadzieścia dziewięć? Miły Boże! To czyni cię najmłodszym laureatem Seo Oen od mniej więcej stulecia. Ani im było w głowie uhonorować mnie nią, póki nie dobiłem sześćdziesiątki, czy coś koło tego… Więc ileś to sobie liczył, gdy po raz pierwszy do mnie napisałeś?

— Około dwudziestu lat.

Atro chrząknął.

— Oceniałem cię wtedy na czterdzieści!

— A co słychać u Sabula? — zapytał Oiie. Był jeszcze niższy niż większość Urrasyjczyków, którzy dla i Szeveka wszyscy byli niscy; miał płaską, banalną twarz i owalne, czarne jak noc oczy. — Przez sześć czy osiem lat nie napisał pan do nas ani słowa, natomiast Sabul pozostawał z nami w stałym kontakcie; za to nigdy nie rozmawiał z nami przez radio. Zastanawialiśmy się, jakie was łączą stosunki.

— Sabul jest starszym pracownikiem Instytutu Fizyki w Abbenay — odparł Szevek. — Współpracowałem z nim kiedyś.

— Starszy rywal, zazdrosny, wtykał nos do pańskich książek; to było od początku całkiem jasne. Nie potrzebowaliśmy żadnych objaśnień, Oiie — wtrącił szorstkim tonem czwarty z mężczyzn, Chifoilisk. Był w średnim wieku, śniady, krępy, o wypieszczonych dłoniach inteligenta. Jedyny z całej czwórki nie miał całkowicie wygolonej twarzy: pozostawił sobie kępkę szczeciny na podbródku, żeby współgrała z krótkim, stalowoszarym owłosieniem głowy. — Nie ma potrzeby udawać, że wszystkich was, braci w Odo, przepełnia braterska miłość — dodał. — Ludzka natura pozostaje ludzką naturą.

Atak kichania, który chwycił Szeveka, sprawił, że nieudzielenie przezeń odpowiedzi nie musiało się wydać znaczące.

— Nie mam chusteczki — usprawiedliwił się Szevek, ocierając oczy.

— Weź moją — zaproponował Atro, wyciągając z jednej z licznych kieszeni śnieżnobiałą chusteczkę.

Szevek wziął ją — i w tym momencie ścisnęło mu się serce; odżyło niezatarte wspomnienie jego córki, Sadik, małej, ciemnookiej dziewczynki, mówiącej: „Możesz dzielić ze mną chusteczkę, której ja używam”. Wspomnienie to, tak dla niego drogie, było mu teraz nieznośnie bolesne. Próbując się od niego uwolnić, uśmiechnął się nieśmiało i rzekł:

— Jestem uczulony na waszą planetę. Tak twierdzi lekarz.

— Na miły Bóg, chyba nie będziesz tak bez przerwy kichał? — zapytał stary Atro, wpatrując się w niego półślepymi oczami.

— Pański służący nie zjawił się jeszcze? — zdziwił się Pae.

— Mój służący?

— Lokaj. Miał przynieść panu to i owo. Między innymi

chusteczki. Na pierwsze potrzeby, zanim się pan nie obkupi. Nic szczególnego — obawiam się, że wybór gotowych ubrań na pański wzrost okaże się nader ograniczony!

Wyłowiwszy sens z wypowiedzi Pae (Pae mówił szybko, przeciągając zgłoski, w sposób pasujący do jego miękkich, przystojnych rysów), Szevek odrzekł:

— To uprzejmie z waszej strony. Czuję się… — Spojrzał na Atro.

— Widzisz, ja jestem żebrakiem — powiedział do staruszka, jak przedtem do doktora Kimoe na Czujnym. — Nie mogłem przywieźć pieniędzy, nie używamy ich. Nie mogłem przywieźć prezentów, nie posiadamy niczego, czego wam brakuje. Przybyłem — jak dobry odonianin — „z pustymi rękami".

Atro i Pae zapewnili go, że jest ich gościem, nie ma mowy o płaceniu, to dla nich zaszczyt.

— A poza tym — dorzucił kwaśnym tonem Chifoilisk — za wszystko płaci rząd ajoński.

Pae skarcił go ostrym spojrzeniem; Chifoilisk nie odpowiedział na nie, wlepiając oczy w Szeveka. Na jego śniadej twarzy malował się wyraz, którego nie starał się ukryć, którego jednak Szevek nie potrafił zinterpretować: czy był to wyraz przestrogi, czy wspólnictwa?

— Oto przemówił niepoprawny Thuwiańczyk — rzekł staruszek Atro. — Czy chcesz powiedzieć, żeś nie przywiózł ze sobą zupełnie nic, Szevek — żadnych artykułów, nowych prac? Oczekiwałem książki. Nowej rewolucji w fizyce. Rad bym ujrzeć, jak ci obcesowi młodzieniaszkowie przewracają się do góry nogami, jak ja się za sprawą twoich Zasad przewróciłem. Nad czym to ostatnio pracujesz?

— No cóż, czytałem artykuł Pae — doktora Pae — na temat kosmosu blokowego, na temat paradoksu i względności.

— Bardzo pięknie. Saio to nasza wschodząca gwiazda, bez wątpienia; najmniej wątpliwości żywi co do tego on sam, co, Saio?

Ale co ma piernik do wiatraka. Gdzie twoja ogólna teoria czasu?

— U mnie w głowie — odparł Szevek z szerokim, ujmującym uśmiechem.

Na moment zapadła cisza.

Następnie Oiie zapytał, czy Szevek zetknął się już z pracą na temat teorii względności cudzoziemskiego fizyka Ainsetaina z Terry. Szevek odparł, że nie miał dotąd okazji. Bardzo ich to zdziwiło, z wyjątkiem Atro, który przestał się już czemukolwiek dziwić. Pae pobiegł do swego pokoju, by przynieść Szevekowi egzemplarz tego dzieła w przekładzie.

— Ma już kilkaset lat, ale zawiera pewne świeże dla nas rzeczy — zapewnił.

— Być może — mruknął Atro — jednak żaden z tych cudzoziemców nie zdoła dotrzymać pola naszej fizyce. Hain nazwie to

materializmem, Terranin mistycyzmem, po czym obaj rozłożą ręce. Nie daj się uwieść tej modzie na wszystko, co obce, Szevek.

Tamci nie mają nam nic do zaoferowania. Niech każdy uprawia własne poletko, jak zwykł mawiać mój ojciec. — Prychnął starczo i dźwignął się z fotela. — Chodź ze mną na przechadzkę po Lasku.

Nic dziwnego, że masz nos zajęty, skoro tu siedzisz jak w klatce.

— Doktor powiedział, że mam nie opuszczać tego pokoju jeszcze przez trzy dni. Mógłbym się… zakazić? zarazić?

— Nigdy nie zwracaj uwagi na to, co plotą lekarze, drogi chłopcze.

— W tym może jednak przypadku, doktorze Atro… — z uprzejmym, łagodnym naleganiem zasugerował Pae.

— Jakkolwiek by było, lekarz jest rządowy, nieprawdaż? — z widoczną złośliwością dorzucił Chifoilisk.

— Jestem pewien, że to najlepszy specjalista, jakiego mogli znaleźć — zgodził się bez uśmiechu Atro i opuścił towarzystwo, nie nalegając dłużej na Szeveka. Chifoilisk wyszedł razem z nim.

Dwaj młodsi mężczyźni zostali z Szevekiem i długo rozmawiali o fizyce.

Szevek po raz pierwszy w życiu zaznawał niezwykłej przyjemności rozmowy z równymi sobie, doświadczając przy tym silnego wrażenia, że przypomina sobie coś, co jest właśnie takie, jakie być powinno.

Mitis, choć wyśmienita nauczycielka, nie była w stanie podążać za nim w nowe dziedziny teorii, które — za jej zachętą — zaczynał penetrować. Gvarab była jedyną osobą, jaką spotkał, której wykształcenie i talent dorównywały jego własnym, ale zetknął się z nią zbyt późno, u schyłku jej życia. Od tamtej pory pracował z wieloma utalentowanymi ludźmi, ale ponieważ nigdy nie był pełnoetatowym członkiem Instytutu w Abbenay, nie miał możności należytego wprowadzenia ich w swoje prace; ugrzęźli w starych problemach, w klasycznej fizyce następstw. Nie znajdował tam równych sobie. Tu, w królestwie nierówności, nareszcie ich spotkał.

To było objawienie, wyzwolenie. Fizycy, matematycy, astronomowie, logicy, biolodzy — wszyscy byli na miejscu, tu na Uniwersytecie, przychodzili do niego albo on ich odwiedzał i rozmawiali — i rodziły się z tych rozmów nowe światy. Komunikowanie — w formie pisemnej, słownej, czynnej — leży w naturze idei. Idea jest jak trawa. Spragniona jest światła, lubi tłumy, rozkwita krzyżówkami, deptana lepiej rośnie.

Już tego pierwszego popołudnia na Uniwersytecie, spędzonego w towarzystwie Oiie i Pae, zrozumiał, że znalazł coś, do czego zawsze tęsknił, odkąd z Tirinem i Bedapem — będąc jeszcze chłopcami, więc na chłopięcym poziomie — przegadywali pół nocy, podburzając się

wzajemnie i ośmielając do coraz odważniejszych wzlotów myśli. Zachował żywą pamięć niektórych z tamtych nocnych dyskusji. Widział Tirina, jak mówi: „Gdybyśmy wiedzieli, jaka naprawdę jest Urras, być może niektórzy z nas zechcieliby tam pojechać". Tak to nim wstrząsnęło, że napadł na przyjaciela i Tir się zaraz wycofał; zawsze się wycofywał, biedaczysko, i zawsze miał rację…

Rozmowa zamarła. Pae i Oiie milczeli.

— Przepraszam — powiedział. — Głowa mi ciąży.

— A jak tam grawitacja? — zapytał Pae z czarującym uśmiechem człowieka, który, niczym rezolutne dziecko, polega na swoim uroku.

— Nie zauważyłem — odparł Szevek. — Tylko w… jak to nazywacie?

— Kolana, stawy kolanowe.

— Tak, kolana. Są osłabione. Ale przywyknę do tego. — Popatrzył na Pae, a potem na Oiie. — Mam pytanie. Nie chciałbym was jednak urazić.

— Bez obawy, sir! — uspokoił go Pae.

— Nie wydaje mi się, aby pan potrafił — zauważył Oiie.

Nie był on, w przeciwieństwie do Pae, człowiekiem, który dałby się lubić. Nawet o fizyce rozmawiał w jakiś wykrętny, nieotwarty Sposób. A jednak pod ta maniera Szevek wyczuwał coś, co wzbudzało zaufanie; a co się kryło pod urokiem Pae? No, nieważne. Musiał im ufać — i będzie im ufał.

— Gdzie są kobiety?

Pae roześmiał się. Oiie zapytał z uśmiechem:

— W jakim sensie?

— W każdym. Wczoraj wieczorem na przyjęciu widziałem tylko kilka kobiet — pięć, najwyżej dziesięć — i setki mężczyzn. Żadna z nich, jak mi się zdaje, nie była naukowcem. Kim więc są?

— To nasze małżonki. Prawdę mówiąc, była wśród nich i moja żona — z tajemniczym uśmieszkiem poinformował go Oiie.

— A gdzie są inne kobiety?

— Och, nie będzie z tym żadnego kłopotu, sir — pośpieszył zapewnić go Pae. — Proszę nam tylko powiedzieć, jakie ma pan upodobania, a zaspokoi sieje bez kłopotu.

— Słyszy się nader barwne opowieści na temat obyczajów Anarresyjczyków; wydaje mi się, że potrafimy sprostać chyba każdej pańskiej zachciance — rzekł Oiie.

Szevek nie miał pojęcia, o czym oni mówią. Podrapał się w głowę.

— To znaczy, że naukowcami są u was wyłącznie mężczyźni?

— Naukowcami? — upewnił się z niedowierzaniem Oiie.

Pae zakasłał.

— Naukowcami — no, cóż, naturalnie, wyłącznie mężczyźni.

Jest oczywiście pewna liczba nauczycielek w szkołach dla

dziewcząt. Ale kobiety nie są w stanie wyjść poza poziom matury.

— Dlaczego?

— Nie radzą sobie z matematyką; nie mają głowy do abstrakcyjnego myślenia; to nie ich dziedzina. Wie pan, jak to jest, to, co kobiety nazywają myśleniem, przebiega w macicy! Oczywiście, zawsze zdarzają się wyjątki, obrzydłe Bogu rozgarnięte kobiety z atrofią łona.

— Wy, odonianie, pozwalacie kobietom na naukowe studia? — dopytywał się Oiie.

— Owszem, zajmują się i nauką.

— Nieliczne, mam nadzieję.

— Hm, stanowią mniej więcej połowę wszystkich naukowców.

— Zawsze twierdziłem — powiedział Pae — że odpowiednio prowadzone kobiety mogłyby w znacznym stopniu odciążyć mężczyzn w pracach laboratoryjnych. Przy żmudnych zadaniach są w istocie zręczniejsze i szybsze od mężczyzn, a także wytrwalsze — nie popadają tak łatwo w znużenie. Gdybyśmy wykorzystywali kobiety, moglibyśmy znacznie prędzej uwolnić mężczyzn od pracy.

— Nie w moim laboratorium — rzekł Oiie. — Niech siedzą tam, gdzie ich miejsce.

— Czy spotkał pan kiedyś kobiety zdolne do twórczej pracy umysłowej, doktorze Szevek?

— No cóż, ważniejsze, że one mnie spotkały — Mitis, w Północoniżu, moja nauczycielka — później Gvarab; słyszeliście o niej, jak przypuszczam.

— To Gvarab była kobietą? — ze szczerym zdumieniem wykrzyknął Pae i parsknął śmiechem.

Oiie wyglądał na nieprzekonanego i urażonego.

— Z waszych imion, rzecz prosta, nie sposób tego wywnioskować — stwierdził chłodno. — Obstawałby więc pan, jak sądzę, przy nieczynieniu rozróżnień między płciami.

— Odo była kobietą — przypomniał łagodnie Szevek.

— Ot i macie — mruknął Oiie.

Omal nie wzruszył ramionami. Pae z szacunkiem skinął głową, podobnie jak to czynił, słuchając ględzenia starego Atro.

Szevek zorientował się, że dotknął jakiegoś nieosobistego uprzedzenia, głęboko w tych ludzi wrosłego. Najwyraźniej w ich umysłach tkwiła kobieta, podobnie jak kobieta zaklęta była w stołach na statku, uciśniona, zmuszona do milczenia, przemieniona w zwierzę istota, furia zamknięta w klatce. Nie miał prawa ich drażnić. Nie znali innego stosunku poza stosunkiem własności.

Byli zawłaszczeni.

— Piękna, cnotliwa niewiasta — oświadczył Pae — jest naszym natchnieniem — najcenniejszą istotą na ziemi.

Szevek poczuł się bardzo niezręcznie. Wstał i podszedł do okna.

— Wasz świat jest bardzo piękny — powiedział. — Chciałbym go lepiej poznać. Skoro muszę siedzieć w domu, czy nie moglibyście mi dostarczyć książek?

— Oczywiście, sir! Jakiego rodzaju?

— Historycznych, z obrazkami, opowiadań — jakichkolwiek.

Może też książki dla dzieci. Widzicie, ja bardzo mało wiem. Uczymy się, co prawda, o Urras, ale głównie o czasach Odo. A przecież wcześniej było osiem i pół tysiąca lat dziejów! Od Osiedlenia na Anarres minęło już półtora wieku; odkąd ostatni statek przywiózł ostatnich osadników — całkowita ignorancja. My o was nic nie wiemy; wy nie wiecie nic o nas. A przecież jesteście naszą historią. My — zapewne waszą przyszłością. Chcę się uczyć, nie zamykać się w ignorancji. To przyczyna, dla której tu przybyłem. Powinniśmy się nawzajem poznać. Nie jesteśmy prymitywami. Nasza moralność nie jest już moralnością plemienną, nie może taką być. Podobna ignorancja jest złem, które zrodzi zło. Przybyłem więc, aby się uczyć.

Przemawiał z zapałem. Pae przytaknął entuzjastycznie:

— Otóż właśnie, sir! Popieramy pana zamiary w całej rozciągłości!

Oiie objął Szeveka spojrzeniem swych czarnych, nieprzeniknionych, owalnych oczu i rzekł:

— A więc przybywa pan do nas w istocie jako wysłannik swojego narodu?

I Szevek wrócił na marmurową ławkę przy kominku, którą zaczął już traktować jak swoje miejsce, własne terytorium. Potrzebował takiego terytorium. Czuł, że powinien teraz zachować ostrożność.

Ale silniej jeszcze odczuwał tę potrzebę, która go tu przywiodła z innego świata przez jałową otchłań — potrzebę porozumienia, chęć zburzenia murów.

— Przybyłem tu — zaczął ostrożnie — jako syndyk Syndykatu Inicjatywy — grupy, która przez ostatnie dwa lata rozmawiała z Urras przez radio. Nie jestem jednak, rozumiecie, ambasadorem żadnej władzy, żadnej instytucji. Mam nadzieję, że niejako takiego mnie zaprosiliście.

— Nie — zaprzeczył Oiie. — Zaprosiliśmy pana — fizyka Szeveka.

Za zgodą, ma się rozumieć, naszego rządu i Rady Rządów Świata.

Ale jest pan prywatnym gościem Uniwersytetu Ieu Eun.

— To dobrze.

— Nie mieliśmy jednak pewności, czy przybył pan tutaj za zgodą — czy też bez niej — pańskiego… — zawahał się.

— Mojego rządu? — Szevek uśmiechnął się.

— Wiemy, że na Anarres rządu formalnie nie ma. Musi jednak

istnieć jakaś administracja. Przyjmujemy, że grupa, której jest pan wysłannikiem, pański Syndykat, stanowi coś w rodzaju frakcji, być może frakcji rewolucjonistów.

— Na Anarres każdy jest rewolucjonistą, Oiie… Sieć administracji i zarządzania nosi nazwę KPR, Koordynacja Produkcji i Rozdzielnictwa. Stanowi system koordynacyjny dla wszystkich syndykatów, stowarzyszeń oraz jednostek prowadzących działalność produkcyjną. Nie rządzi ludźmi — zarządza produkcją. Nie jest władna ani mnie popierać, ani powstrzymywać. Może nam jedynie przekazywać opinię publiczną na nasz temat — jakie miejsce zajmujemy w świadomości społecznej. Czy to chcecie wiedzieć?

No cóż, ja i moi przyjaciele raczej nie cieszymy się sympatią. Większość mieszkańców Anarres nie pragnie dowiadywać się niczego o Urras, boi się jej i nie chce mieć nic wspólnego z posiadaczami.

Przepraszam, jeśli was uraziłem! Podobną postawę prezentują chyba niektórzy i tutaj, nieprawdaż? Pogarda, lęk, plemienność.

Przybyłem więc, by zacząć to zmieniać.

— Z własnej inicjatywy? — upewnił się Oiie.

— To jedyna, jaką uznaję — z uśmiechem śmiertelnej powagi odpowiedział Szevek.

Kilka następnych dni spędził na rozmowach z odwiedzającymi go naukowcami, na czytaniu książek, które mu dostarczył Pae, lub po prostu wystawaniu w oknach o podwójnych łukach, obserwowaniu, jak w szeroką dolinę schodzi lato i wsłuchiwaniu się w świergotliwe, słodkie konwersacje, które w powietrzu prowadziły ptaki; poznał już nazwę tych śpiewaków i oglądał ich wizerunki w książkach, a jednak wciąż — ilekroć usłyszał ich pieśń albo dojrzał przefruwających z migotem skrzydeł z drzewa na drzewo — nieruchomiał i przyglądał im się w zachwycie jak dziecko.

Sądził, że będzie się czuł na Urras dziwnie — zagubiony, obcy, ogłupiały — tymczasem nic podobnego. Oczywiście, wielu rzeczy nie rozumiał, jedynie w przebłyskach uświadamiał sobie, jak wielu: nie rozumiał tego niewiarygodnie złożonego społeczeństwa z jego licznymi państwami, klasami, kastami, wyznaniami, zwyczajami oraz z jego wspaniałą, przerażającą, odwieczną historią.

Każdy spotkany człowiek był dla niego zagadką pełną niespodzianek. Urrasyjczycy nie okazali się wcale bezdusznymi, zimnymi egoistami, jakich spodziewał się ujrzeć; byli równie skomplikowani i różnorodni, co ich kultura, co ich krajobrazy — a przy tym inteligentni, uprzejmi. Traktowali go jak brata, robili wszystko, żeby nie czuł się wśród nich zagubiony, obcy, żeby czuł się jak u siebie w domu. I czuł się jak u siebie w domu. Nic na to nie mógł poradzić. Cały ten świat, miękkość powietrza, słoneczny blask padający na wzgórza, samo silniejsze przyciąganie, któremu podlegało

jego ciało, utwierdzały go w poczuciu, że oto naprawdę znalazł się w domu, w świecie swojej rasy; i całe piękno tego świata należało mu się z przyrodzenia.

Cisza, martwa cisza Anarres: rozmyślał o niej nocami. Nie zakłócał jej śpiew ptaków. Prócz ludzkiego nie słyszało się innych głosów. Cisza — i ugory.

Trzeciego dnia stary Atro przyniósł mu plik gazet. Pae, najwytrwalszy towarzysz Szeveka, nic na to nie powiedział, gdy jednak Atro wyszedł, ostrzegł Szeveka:

— Te gazety to potworne szmatławce, sir. Bywają zabawne, ale proszę nie wierzyć ani jednemu ich słowu.

Szevek wziął tę, która leżała na wierzchu. Była źle wydrukowana, na szorstkim papierze — pierwszy marnej jakości produkt, z jakim się zetknął na Urras. Prawdę mówiąc, wyglądała jak biuletyny KPR lub regionalne sprawozdania, spełniające na Anarres rolę gazet, zdecydowanie jednak różniła się stylem od tamtych zamazanych, przyziemnych, praktycznych publikacji. Obfitowała w wykrzykniki i zawierała zdjęcia. Jedno z nich przedstawiało Szeveka na tle statku kosmicznego oraz trzymającego go pod ramię nachmurzonego Pae. PIERWSZY CZŁOWIEK Z KSIĘŻYCA! — głosił wielką czcionką napis nad fotografią. Szevek czytał zafascynowany:

> Jego pierwszy krok na Ziemi! Dr Szevek, pierwszy od czasu Osiedlenia na Anarres, od 170 lat, gość na Urras, sfotografowany wczoraj w Porcie Kosmicznym Peier po przybyciu na pokładzie frachtowca regularnym kursem z Księżyca. Wybitny naukowiec, laureat nagrody Seo Oen za zasługi, jakie na polu naukowym położył dla wszystkich narodów, przyjął profesurę na Uniwersytecie feu Eun, zaszczyt, jakiego nie dostąpił nigdy dotąd przybysz z innego świata. Zapytany o swe pierwsze wrażenia na Urras, odznaczający się imponującym wzrostem wybitny fizyk powiedział: „Zostać zaproszonym na waszą piękną planetę to ogromny zaszczyt. Mam nadzieję, że teraz, gdy dwie Bliźniacze Planety połączy we współdziałaniu duch braterstwa, otworzy się nowa era panceteńskiej przyjaźni”.

— Ależ ja niczego podobnego nie mówiłem! — zaprotestował Szevek.

— Oczywiście, że nie, nie dopuściliśmy do pana tej zgrai. Ale to ani o włos nie uszczupla wyobraźni tych pismaków! Podadzą, że powiedział pan to, co chcieliby, aby pan powiedział, niezależnie od tego, co pan naprawdę powiedział bądź czego nie mówił.

Szevek zagryzł wargę.

— No cóż — mruknął w końcu — gdybym istotnie coś powiedział, brzmiałoby to z grubsza właśnie tak… Ale co to znaczy „panceteński”?

— Terranie nazywają nas „Ceteńczykami”. Od ich nazwy naszego słońca, jak przypuszczam. Prasa brukowa podchwyciła to ostatnio, zrodziło się coś na kształt mody na to słowo.

— Więc „panceteński” oznacza Urras i Anarres razem?

— Tak sądzę — potwierdził Pae z wyraźnym brakiem zainteresowania.

Szevek zagłębił się w lekturze gazet. Dowiedział się z nich, że jest człowiekiem olbrzymiego wzrostu; że sienie goli i nosi „grzywę” siwiejących włosów; że ma lat 37,43, to znów 56; że napisał znakomite dzieło z dziedziny fizyki zatytułowane (w zależności od gazety): Zasoby jednoczesności bądź Zasady jednoznaczności; że jest ambasadorem dobrej woli odońskiego rządu, wegetarianinem, wreszcie, jak wszyscy Anarresyjczycy, nie pije. W tym miejscu nie wytrzymał i zatrząsł się od śmiechu, aż rozbolały go żebra.

— Do licha, ale też mają fantazję! Czy oni myślą, że my żyjemy parą wodną jak skalny mech?

— Tu chodzi o to, że nie pijecie napojów alkoholowych — wyjaśnił Pae, wtórując mu śmiechem. — Jedyna rzecz, jaką wszyscy, jak sądzę, wiedzą na temat odonian, to że nie pijacie alkoholu.

Swoją drogą, czy to prawda?

Odonianie piją alkohol ze sfermentowanych korzeni holum — twierdzą, że umożliwia im to wolne skojarzenia, podobnie jak szkolenie encefalograficzne. Większość woli jednak zwykłe szkolenie, jest łatwiejsze i nie wpędza w chorobę. Czy to u was powszechne?

— Picie tak. O chorobie nie słyszałem. Jak się nazywa?

— Alkoholizm, jak sądzę.

— Ach tak, rozumiem… Więc co robią na Anarres ludzie pracy, chcąc się rozerwać, uciec wieczorem w zacnej kompanii od trosk tego świata?

Szevek zdawał się nie rozumieć.

— No cóż, my… nie wiem. Być może od naszych trosk nie ma ucieczki.

— To czarujące — uśmiechnął się ujmująco Pae.

Szevek kontynuował lekturę gazet. Jedno z czasopism posługiwało się językiem, którego nie znał, inne — obcym alfabetem. To pierwsze pochodziło z Thu, objaśnił go Pae, drugie z Benbili, państewka na zachodniej półkuli. Gazeta z Thu była starannie wydrukowana i oszczędna pod względem formatu; Pae wyjaśnił, że to publikacja rządowa.

— Widzi pan, tu, w A-Io, ludzie wykształceni czerpią wiadomości

z telefaksu, radia, telewizji i tygodników. Te zaś gazety czytują niemal wyłącznie klasy niższe — pisane są, jak pan widzi, przez półinteligentów dla półinteligentów. Cieszymy się w A-Io pełną swobodą prasy, co skazuje nas nieuchronnie na zalew śmiecia. Ta thuwiańska gazeta jest znacznie lepiej napisana, ale przynosi jedynie te fakty, które kwalifikuje do publikacji Thuwiańskie Prezydium Centralne. W Thu obowiązuje surowa cenzura. Państwo jest wszystkim, wszystko służy państwu. Nie najprzyjemniejsze miejsce dla odonianina, prawda, sir?

— A ta gazeta?

— Pojęcia nie mam. Benbili należy do krajów zacofanych.

Wciąż nim wstrząsają rewolucje.

— Na niedługo przed moim wyjazdem z Anarres grupa osób z Benbili przysłała nam wiadomość na długości fal Syndykatu.

Przedstawili się jako odonianie. Czy podobne grupy istnieją tu, w A-Io?

— Jeśli nawet tak, nie zdarzyło mi się o nich słyszeć, doktorze Szevek.

Mur. Znal go już i rozpoznawał, gdy się nań natykał. Zbudowany był z czaru, uprzejmości i obojętności tego młodego człowieka.

— Wydaje mi się, że ty się mnie boisz, Pae — powiedział znienacka, łagodnym jednak tonem.

— Boję się pana, sir?

— Bo samym swym istnieniem zaprzeczam konieczności istnienia państwa. Czego tu się bać? Nie zrobię ci krzywdy, Saio Pae, jestem, jak widzisz, zupełnie nieszkodliwym osobnikiem… Proszę posłuchać, nie jestem żadnym doktorem. My nie używamy tytułów. Zwą mnie Szevek.

— Wiem, przepraszam, sir. Ale wedle naszych norm, widzi pan, to uchodziłoby za brak uszanowania. To po prostu nie wypada.

Usprawiedliwiał się przymilnie, oczekując wybaczenia.

— Czy nie możesz uznać mnie za równego sobie? — spytał Szevek, badając go wzrokiem, w którym nie było ani wybaczenia, ani gniewu.

Tym razem Pae naprawdę ogarnęło zakłopotanie.

— Ależ sir… pan jest, widzi pan, bardzo ważną osobistością…

— Nie ma powodu, abyś miał dla mnie zmieniać swe zwyczaje rzekł Szevek. — To bez znaczenia. Sądziłem jedynie, że będziesz rad uwolnić się od tego, co zbędne, to wszystko.

Po trzech dniach spędzonych w zamknięciu rozpierała go energia, kiedy więc odzyskał swobodę poruszania się, wymęczył opiekunów, pragnąc jak najprędzej zobaczyć wszystko, co się da.

Oprowadzili go po Uniwersytecie — mieście samym w sobie, liczącym szesnaście tysięcy studentów i pracowników naukowych.

Z sypialniami, jadalniami, teatrami, aulami i tym podobnymi instytucjami, nie różnił się zbytnio od odońskiej wspólnoty, jeśli nie brać pod uwagę jego wiekowości oraz tego, że przeznaczony był wyłącznie dla mężczyzn, niebywale zbytkowny, zorganizowany zaś nie na zasadzie federacji, ale hierarchicznie — z góry na dół.

Mimo to czuło się w nim wspólnotę — orzekł w duchu Szevek.

O różnicach musiał sobie stale przypominać.

Wożono go na wieś w wynajętych autach — wspaniałych maszynach o wyszukanej elegancji. Spotykało się ich na drogach niewiele; wynajęcie było drogie, mało zaś kogo było stać na posiadanie prywatnego auta, obłożone bowiem były wysokim podatkiem.

Wszelkie tego rodzaju dobra luksusowe, które — gdyby je bez ograniczeń udostępnić ogółowi — wyrządziłyby nieodwracalne szkody zasobom naturalnym i powodowały skażenie środowiska odpadami produkcyjnymi, podlegały ścisłej kontroli przepisów i podatków. Przewodnicy Szeveka rozwodzili się nad tym faktem z niejaką dumą. A-Io od wieków wiedzie prym na świecie — chełpili się — w kontroli ekologicznej i gospodarce zasobami naturalnymi. Wybryki Dziewiątego Millennium należą do bezpowrotnie minionej przeszłości, a jedynym po nich spadkiem jest niedostatek niektórych metali, które można na szczęście sprowadzać z Księżyca.

Z okien samochodu czy pociągu oglądał wsie, farmy i miasta, twierdze z feudalnych czasów i ruiny wież Ae — starożytnej stolicy imperium sprzed czterech tysięcy czterystu lat. Oglądał pola uprawne i jeziora, wzgórza prowincji Avan — serca A-Io — i białe gigantyczne szczyty łańcucha Meitei na północnym horyzoncie.

Piękno tej ziemi, dobrobyt jej mieszkańców napełniały go nieustającym podziwem. Jego opiekunowie mieli słuszność: Urrasyjczycy potrafili korzystać ze swego świata. Jako dziecko uczono go, że Urras to gnijąca mierzwa nierówności, krzywd i brudu. Tymczasem wszyscy ludzie, których tu spotykał, wszyscy, których widział — w najmniejszej nawet wioszczynie — byli dobrze ubrani, dobrze odżywieni i — wbrew jego przewidywaniom — pracowici. Nie wystawali ponurzy, czekając na rozkazy, zanim się do czegoś wzięli.

Podobnie jak Anarresyjczycy, uwijali się przy robocie. Zadziwiło go to. Przyjmował, że jeśli odjąć człowiekowi przyrodzoną podnietę do pracy — inicjatywę, spontaniczną energię twórczą — i zastąpić zewnętrzną motywacją i przymusem, zmieni się go w pracownika leniwego i niedbałego. Ale czyż to robotnicy niedbali prowadzili te piękne gospodarstwa, produkowali te wspaniałe samochody i wygodne pociągi? Ponęta i przymus zysku okazywały się najwyraźniej znacznie skuteczniej zastępować naturalną przedsiębiorczość, niż nauczony był sądzić.

Chętnie by porozmawiał z tymi krzepkimi ludźmi o dumnym wyglądzie, których widywał w małych miasteczkach; zapytałby ich na przykład, czy uważają się za biednych — jeśli tak wyglądają biedacy, przyszłoby mu zrewidować swoje pojęcia o świecie. Jego opiekunowie tyle mu jednak mieli do pokazania, że nigdy jakoś nie starczyło na to czasu.

Pozostałe wielkie miasta A-Io były zbyt daleko jak na jednodniową wycieczkę, zabierano go jednak często do odległej od Uniwersytetu o pięćdziesiąt kilometrów Nio Esseii. Wyprawiono tam na jego cześć całą serię uroczystości. Nie bawiły go one zbytnio, nie miały nic wspólnego z jego wyobrażeniami o przyjęciach.

Wszyscy byli szalenie uprzejmi i dużo rozmawiali — o niczym jednakże ciekawym; uśmiechali się zaś tak dużo, że aż sprawiali wrażenie niespokojnych. Ale ubrani byli wspaniale; wyglądało na to, że całą swobodę, której brakowało ich sposobowi bycia, włożyli w stroje, jedzenie, rozmaite trunki, którymi się raczyli, w zbytkowne umeblowanie i ozdoby sal w pałacach, w których te przyjęcia wydawano.

Pokazano mu Nio Esseię: miasto o pięciu milionach mieszkańców — jedna czwarta ludności całej jego planety. Zawieziono go na plac Kapitoliński i pokazano wysokie brązowe drzwi Dyrektoriatu — siedziby rządu A-Io; pozwolono mu śledzić debatę w Senacie i obrady dyrektorów. Zaprowadzono go do zoo, do Muzeum Narodowego, do Muzeum Przemysłu i Nauki. Zabrano go do jakiejś szkoły, gdzie urocze dzieci w niebiesko-białych mundurkach odśpiewały na jego cześć narodowy hymn A-Io. Oprowadzono go po fabryce części elektronicznych, po całkowicie zautomatyzowanej stalowni i zakładach syntezy jądrowej, aby mógł się przekonać, jak sprawnie gospodarka prywatna radzi sobie z produkcją dóbr i energii. Oprowadzono go po wybudowanym przez rząd nowym osiedlu mieszkaniowym, żeby zobaczył, jak państwo troszczy się o naród. Zabrano go na przejażdżkę łodzią w dół ujścia Suy (zatłoczonego statkami z całej planety) do morza. Zaprowadzono go do Sądu Najwyższego, gdzie spędził cały dzień, przysłuchując się rozprawom w sprawach cywilnych i kryminalnych — doświadczenie, które przyprawiło go o zmieszanie i zgrozę, nalegano jednak, by zobaczył, co było do zobaczenia, i został zawieziony wszędzie, dokąd tylko zapragnął się udać. Gdy wyraził nieśmiałe życzenie obejrzenia miejsca pochówku Odo, zawieziono go na stary cmentarz, położony w dzielnicy na drugim brzegu Suy; pozwolono nawet, żeby reporterzy z brukowych gazet robili zdjęcia, kiedy stanął w cieniu wielkich, sędziwych wierzb, wpatrzony w prosty, zadbany nagrobek:

Laia Asieo Odo

698–769

Być całością znaczy być częścią;

powrót to podróż prawdziwa.

Zawieziono go do Rodarred, siedziby Rady Rządów Świata, aby wygłosił przemówienie na sesji plenarnej. Miał nadzieję spotkać tam — lub choc5by zobaczyć z daleka — cudzoziemców, ambasadorów z Terry i Hain, lecz nie pozwolił na to napięty rozkład zajęć.

Solidnie się napracował nad swym wystąpieniem — apelem o swobodną komunikację i obustronne uznanie między Nowym i Starym Światem. Przyjęto je dziesięciominutową owacją na stojąco.

Szanowane tygodniki pisały o tym wystąpieniu z aprobatą, nazywając je „bezinteresownym moralnym gestem ludzkiego braterstwa ze strony wielkiego naukowca"; nie zamieściły jednak żadnych cytatów, podobnie zresztą jak gazety brukowe. Szevek miał dziwne uczucie, że choć zgotowano mu owację, nikt go w gruncie rzeczy nie słuchał.

Przysługiwało mu wiele przywilejów, wiele drzwi stało przed nim otworem: do Laboratoriów Badań nad Światłem, Archiwów Państwowych, Laboratoriów Technologii Nuklearnych, Biblioteki Narodowej w Nio, akceleratora w Meafed, Fundacji Badań Kosmicznych w Drio. Choć wszystko, co na Urras widział, zachęcało go, by zobaczyć więcej, po paru tygodniach był znużony tym życiem turysty: wszystko tu było takie fascynujące, porywające i cudowne, że zaczęło go na koniec przytłaczać. Zapragnął zaszyć się w Uniwersytecie, pracować i przemyśleć sobie to, co zobaczył.

Ostatniego dnia tego objazdu zażyczył sobie, by oprowadzono go po Fundacji Badań Kosmicznych. Pae sprawiał wrażenie wielce zadowolonego, kiedy wystąpił z tą prośbą.

Wiele miejsc, które zwiedził, przejmowało go trwożnym podziwem, takie były bowiem stare — liczyły wieki, nawet tysiąclecia.

Fundacja zaś przeciwnie — była nowa: wzniesiono ją w ostatnim dziesięcioleciu w wystawnym, eleganckim stylu owych czasów.

Architektura sprawiała wstrząsające wrażenie. Zdobiąc budowlę, użyto bogatej palety barw. Wymiary pionowe i poziome zostały do przesady rozciągnięte. Laboratoria były przestronne, przyległe zakłady

i hale maszyn pomieszczono w gmachach o wspaniałych, neosaetańskich portykach z łuków i kolumn. Hangary miały kopułowate kształty, były ogromnych rozmiarów fantastycznymi wielobarwnymi budowlami. Ludzie, którzy tam pracowali, wydawali się natomiast bardzo cisi i rzeczowi. Przejęli go od jego stałej eskorty i pokazali całą Fundację, nie wyłączając poszczególnych etapów budowy eksperymentalnego systemu napędu międzygwiezdnego, nad którym pracowali, od komputerów i desek kreślarskich po na wpół ukończony statek, olbrzymi i surrealny w pomarańczowym, fioletowym i żółtym świetle, wpadającym przez kolosalną, wzorzystą kopułę hangaru.

— Posiadacie tak wiele — powiedział Szevek do inżyniera, który go oprowadzał, mężczyzny o imieniu Oegeo. — Tak wiele narzędzi pracy i czynicie z nich tak znakomity użytek. To jest wspaniałe — koordynacja, kooperacja, rozmach tego przedsięwzięcia.

— Tam, skąd pan przybywa, nie moglibyście się porwać na rzecz o takiej skali, prawda? — zapytał z uśmiechem inżynier.

— Statki kosmiczne? Nasza flota kosmiczna składa się ze statków, na których przybyli z Urras osadnicy — zbudowanych tu, na Urras — blisko dwa wieki temu. Nawet budowa statku do przewozu zboża przez morze — barki — wymaga roku przygotowań i stanowi wielkie obciążenie dla naszej gospodarki.

Oegeo kiwnął głową.

— No cóż, istotnie, posiadamy odpowiednie środki. Za to pan jest tym, który może sprawić, że będziemy musieli zezłomować to wszystko — wyrzucić na śmietnik.

— Wyrzucić? Co masz na myśli?

— Prędkość nadświetlną — wyjaśnił Oegeo. — Przeskok. Dawna fizyka utrzymywała, że to niemożliwe. Terranie twierdzą, że to niemożliwe. Ale Hainowie, którzy przecież wynaleźli napęd, którego obecnie używamy, mówią, że to jest możliwe; nie wiedzą tylko, jak się do tego zabrać, bo dopiero uczą się od nas fizyki czasu.

Jeśli ktokolwiek na znanym nam świecie potrafi tego przełomu dokonać, tym kimś jest oczywiście pan, doktorze Szevek.

Szevek spojrzał na niego z rezerwą; spojrzenie jego jasnych oczu było twarde i czyste.

— Jestem teoretykiem, Oegeo. Nie konstruktorem.

— Jeśli dostarczy nam pan teoretycznych podstaw, scalenia w ogólnej teorii pola czasu, my skonstruujemy statki. I dotrzemy na Terrę, Hain albo do innej galaktyki w tej samej chwili, w której opuścimy Urras! Ta balia — spojrzał w głąb hangaru na skąpany w ulewie fioletowych i pomarańczowych promieni kolosalny szkielet statku kosmicznego — będzie wówczas równie przestarzała jak wóz zaprzężony w woły.

— Snujecie marzenia tak samo, jak budujecie: z rozmachem — stwierdził Szevek, powściągliwy nadal i pełen niechęci. Oegeo i inni chcieli mu jeszcze niejedno pokazać i niejedno z nim przedyskutować, lecz on oświadczył wkrótce z prostotą, która wykluczała wszelką ironiczną intencję: — Uważam, że będzie lepiej, jeśli oddacie mnie już pod skrzydła moich opiekunów.

Uczynili tak; pożegnali się ze wzajemną sympatią. Szevek wsiadł do samochodu — i zaraz z niego wysiadł.

— Byłbym zapomniał — powiedział. — Czy mamy dość czasu, bym mógł obejrzeć jeszcze coś w Drio?

— W Drio nie ma już nic do oglądania — odrzekł Pae, jak zwykle uprzejmy, starając się usilnie ukryć irytację, którą w nim wzbudziła trwająca pięć godzin eskapada Szeveka z inżynierami.

— Chciałbym zobaczyć twierdzę.

— Jaką twierdzę, sir?

— Stary zamek z epoki królów. Wykorzystywany w późniejszych czasach jako więzienie.

— Został z pewnością zburzony. Fundacja całkowicie odmieniła to miasto.

Kiedy ulokowali się już w samochodzie i szofer zamykał drzwi, Chifoilisk (następny najprawdopodobniej powód złego humoru Pae) zapytał:

— Czemu chce pan obejrzeć jeszcze jeden zamek, Szevek? Sądziłem, że już się pan napatrzył na stare ruiny.

— W twierdzy w Drio Odo spędziła dziewięć lat — wyjaśnił Szevek. Twarz miał zastygłą, jak zresztą przez cały czas od rozmowy z Oegeo. — Po powstaniu w 747. Napisała tam Listy z więzienia i Analogię.

— Obawiam się, że twierdza została zburzona — rzekł z ubolewaniem Pae. — Drio sypało się już, więc Fundacja zrównała po prostu miasto z ziemią i wybudowała nowe.

Szevek kiwnął głową. Gdy jednak, jadąc szosą wzdłuż rzeki w stronę bocznej drogi do Ieu Eun, mijali strome urwisko nad zakolem Seisse, dostrzegł stojącą na tej wysokiej pochyłości budowlę — posępną ruinę o potrzaskanych wieżach z czarnego kamienia.

Trudno było o większy kontrast z zachwycającymi, beztroskimi gmachami Fundacji Badań Kosmicznych, owymi jasnymi kopułami, fabrykami, zadbanymi trawnikami i alejkami. Nic nie mogło upodobnić ich bardziej do wycinanek z kolorowego papieru.

— A to, jak przypuszczam, jest twierdza — zauważył Chifoilisk, z typowym dla siebie zadowoleniem wtykając swoją nietaktowną uwagę tam, gdzie najmniej była pożądana.

— To już ruina — ocenił Pae. — Z pewnością opustoszała.

— Chciałby się pan zatrzymać, Szevek, i rzucić na nią okiem? —

zapytał Chifoilisk, gotów zapukać w oddzielającą ich od szofera szybę.

— Nie — odparł Szevek.

Zobaczył już, co chciał ujrzeć. Twierdza w Drio stała nadal. Nie potrzebował wchodzić do środka i przebiegać zrujnowanych komnat w poszukiwaniu celi, w której Odo przebywała dziewięć lat.

Wiedział, jak wygląda więzienna cela.

Spojrzał w górę — twarz miał wciąż zastygłą — na mroczne, masywne mury, zawisłe teraz niemal wprost nad ich autem. Stoję tu od zamierzchłych czasów — zdawała się mówić twierdza — i będę dalej stała.

Po obiedzie, który zjadł w jadalni starszych wykładowców, wrócił do swojego mieszkania i usiadł w samotności przy wygaszonym kominku. W A-Io panowało lato, zbliżał się najdłuższy dzień w roku, toteż — choć minęła już ósma — nie było jeszcze ciemno. Niebo za arkadowymi oknami wciąż lśniło odcieniem swej dziennej barwy — czystym, delikatnym błękitem. Ciepłe powietrze przynosiło zapach skoszonej trawy i mokrej po deszczu ziemi. W kaplicy po drugiej stronie lasku paliło się światło; lekkie podmuchy wiatru przywiewały stamtąd cichą muzykę. Nie ptasi świergot, ale muzykę stworzoną przez człowieka. Wsłuchał się w nią. Ktoś ćwiczył Harmonie Numeryczne na kaplicowych organach. Szevekowi były one znajome w nie mniejszym stopniu niż każdemu Urrasyjczykowi. Odo — odnawiając stosunki między ludźmi — nie próbowała odnawiać podstawowych stosunków muzycznych. Zawsze szanowała to, co konieczne. Osadnicy na Anarres odrzucili prawa ludzkie, ale prawa harmonii zabrali ze sobą.

Przestronny, cichy pokój tonął w cieniu i ukojeniu zmierzchu.

Szevek patrzył na doskonałe podwójne łuki okien, połyskujące blado połacie parkietowej posadzki, na solidne, mroczne krzywizny kamiennego kominka, na wykładane boazerią ściany o wybornych proporcjach. To był piękny i przyjazny człowiekowi pokój.

Wiekowe pomieszczenie. Dom Starszych Wykładowców, jak mu powiedziano, został zbudowany w roku 540, czterysta lat temu, dwieście trzydzieści lat przed Osiedleniem na Anarres. W tym pokoju — jeszcze do narodzin Odo — mieszkały, pracowały, prowadziły rozmowy, rozmyślały, spały i marły całe pokolenia naukowców.

Harmonie Numeryczne od stuleci niosły się nad trawnikiem i przenikały przez ciemne listowie lasku. Jestem tu od dawien dawna — zdawał się mówić do Szeveka pokój. — A ty co tutaj robisz?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie miał prawa do urody i dostatku tego świata, wzniesionego pracą, poświęceniem i wiarą swego ludu. Raj jest dla tych, którzy go budują. A on nie był stąd. Był mieszkańcem pogranicza, przedstawicielem szczepu, który odrzucił

własną przeszłość i własną historię. Osadnicy na Anarres odwrócili się plecami do Starego Świata i jego dziejów i zwrócili się ku przyszłości. Równie jednak niechybnie jak przyszłość staje się przeszłością, tak przeszłość staje się przyszłością. Odrzucić nie znaczy zdobyć. Odonianie, którzy opuścili Urras, popełnili błąd — błędem była straceńcza odwaga, z jaką wyrzekli się własnej historii i odcięli sobie drogę powrotu. Podróżnik, który nie wraca tam, skąd wyruszył, ani nie śle z powrotem okrętów, by zaniosły do domu wieść o nim, nie jest podróżnikiem, ale poszukiwaczem przygód — i wygnańcami rodzą się jego synowie.

Pokochał Urras, lecz na co mu się zda owa tęskna miłość? Nie był stąd. Nie należał też do swego rodzinnego świata.

Samotność, poczucie odosobnienia, które odczuwał w swojej pierwszej godzinie na pokładzie Czujnego, wezbrały w nim i utwierdziły go w przekonaniu, że są istotą jego istnienia, odrzucane, tłumione, ale wszechobecne.

Tu czuł się samotny, gdyż pochodził ze społeczności, która się sama skazała na wygnanie. W ojczystym świecie był samotny, bo się sam wykluczył ze społeczeństwa. Osadnicy zrobili krok do tyłu. On cofnął się o dwa. Był skazany na samego siebie, ponieważ Podjął ryzyko metafizyczne.

Jakimże był głupcem, gdy sądził, że może się przyczynić do zbliżenia światów, do których nie należał!

Spojrzał w nocne niebo za oknem. Nad zamgloną ciemnością listowia i wieżą kaplicy, ponad ciemną linią wzgórz, które nocą wydawały się zawsze mniejsze i bardziej odległe, rosło światło, wielka, miękka jasność. Wschodzi księżyc — pomyślał z wdzięcznością; poczuł się swojsko. Pełnia czasu nie zna przedziałów.

Oglądał wschód księżyca, gdy był małym dzieckiem, razem z Palatem z okna domicylu w Równinnem; nad wzgórzami swojego dzieciństwa; nad suchymi równinami Kurzawy; nad dachami Abbenay, z Takver u boku.

Lecz to nie był ten sam księżyc.

Poruszały się wokół niego cienie, on zaś siedział bez ruchu, podczas gdy nad obcymi wzgórzami wschodziła Anarres w pełni, nakrapiana ciemnoszarymi i biało-niebieskimi plamami, świetlista. Blask jego świata napełnił jego puste dłonie.

Rozdział czwarty
Anarres

Kiedy sterowiec pokonał ostatnią wysokogórską przełęcz Ne Theras i skręcił na południe, promienie chylącego się ku zachodowi słońca padły na twarz Szeveka i obudziły go. Przespał większą cześć dnia, trzeciego już tej długiej podróży. Od pożegnalnego wieczoru dzieliło go pół świata. Ziewnął, potarł oczy i potrząsnął głową, usiłując wyrzucić z uszu dudniący warkot silnika; następnie, całkowicie już rozbudzony, uświadomił sobie, że podróż ma się ku końcowi i że zbliżają się do Abbenay. Przytknął twarz do zakurzonego okienka i rzeczywiście — zobaczył w dole, między dwoma niskimi, rdzawymi graniami, opasane murem wielkie lądowisko — Port. Badał je zachłannym spojrzeniem, wypatrując statku kosmicznego na wyrzutni. Jakkolwiek godna pogardy, zawsze jednak była Urras innym światem; a on pragnął zobaczyć statek z innego świata — twór obcych rąk, śmiałka, co przebył jałową, straszną otchłań. Ale w Porcie nie było żadnego statku.

Frachtowce z Urras zawijały tu tylko osiem razy w roku i postój ich trwał nie dłużej, niż tego wymagały wyładunek i załadunek.

Nie należały do mile widzianych gości. Dla niektórych Anarresyjczyków były w istocie źródłem odnawiającego się wciąż upokorzenia.

Przywoziły paliwa kopalne i produkty naftowe, precyzyjne części maszyn i podzespoły elektroniczne, których przemysł anarresyjski nie był w stanie wytworzyć, niejednokrotnie nową odmianę drzew owocowych bądź ziarna do wypróbowania. Na Urras wracały z ładowniami pełnymi rtęci, miedzi, aluminium, uranu, cyny i złota. Nader korzystny dla tamtej strony był to interes. Podział owych ładunków osiem razy w roku należał do głównych zadań Urrasyjskiej Rady Rządów Świata, stanowił też najważniejsze wydarzenie urrasyjskiej giełdy. Prawdę mówiąc, Wolny Świat Ana był surowcową kolonią Urras.

Ten fakt drażnił. Każdego roku podczas debat KPR w Abbenay zgłaszano — od pokoleń — te same gorące protesty: „Dlaczego wciąż prowadzimy paskarskie transakcje z tymi podżegaczami wojennymi i posiadaczami?" Co chłodniejsze głowy udzielały na to tej samej nieodmiennie odpowiedzi: „Gdyby Urrasyjczycy musieli sami wydobywać rudę, kosztowałoby ich to drożej; tylko dlatego nas nie najeżdżają. Gdybyśmy jednak złamali porozumienie handlowe, uciekliby się do siły. Ludziom, którzy nigdy nie płacili za nic pieniędzmi, trudno było jednak pojąć psychologię kosztu i argumenty

rynku. Trwający od siedmiu pokoleń pokój nie zdołał zaszczepić w nich zaufania.

Toteż do tak zwanej Defensywy nigdy nie brakowało chętnych.

Praca w Defensywie była przeważnie tak nużąca, że w języku prawickim, który dysponował jednym i tym samym wyrazem na określenie pracy i zabawy, nie nazywano jej pracą, lecz kłeggich — harówką. Pracownicy Defensywy obsługiwali dwanaście wysłużonych statków międzyplanetarnych, reperując je i utrzymując na orbicie jako straż graniczną; prowadzili nasłuch radarowy i radioteleskopowy w odludnych miejscach; pełnili monotonną służbę w Porcie. A mimo to do Defensywy zawsze czekała kolejka chętnych. Jakkolwiek pragmatyczną etyką nasiąkał Anarresyjczyk za młodu, życie wylewało się ponad jej brzegi, żądając altruizmu, samopoświęcenia, pola dla bezinteresownego gestu. Samotność, czujność, niebezpieczeństwo, statki kosmiczne — to wszystko nęciło powabem romantyzmu. I właśnie impuls czystego romantyzmu kazał Szevekowi rozpłaszczać nos na szybie, dopóki pusty Port nie zniknął za sterowcem, zostawiając go z uczuciem zawodu, że nie dojrzał na wyrzutni żadnego usmolonego rudofrachtowca.

Ponownie ziewnął, przeciągnął się i spojrzał tym razem przez okno z przodu pojazdu. Sterowiec przelatywał nad ostatnim, niskim grzbietem Ne Theras. Przed nim, na południe od górskich łańcuchów, opadała rozległa zatoka zieleni, lśniąc w promieniach popołudniowego słońca.

Wpatrywał się w nią z zachwytem, podobnie jak jego przodkowie przed sześcioma tysiącami lat.

W Trzecim Millennium kapłani-astronomowie z Serdonou i Dhun na Urras zaobserwowali, że wraz z porami roku zmieniał Świata, i nadali mistyczne imiona równinom, łańcuchom górskim i odbijającym słońce morzom. Rejon, który wcześniej od innych okrywał się w nowym roku księżycowym zielenią, nazwali Ans Hos, Ogrodem Rozumu — Rajem Anarres.

Teleskopy w następnych tysiącleciach potwierdziły, że mieli całkowitą rację. Ans Hos było istotnie najłaskawszym regionem na Anarres; toteż pierwszy statek z ludzką załogą, który wylądował na Księżycu, osiadł właśnie tam, na tej zielonej połaci między górami i morzem.

Raj Anarres okazał się jednakże suchy, zimny i wietrzny, reszta zaś planety jeszcze mniej gościnna. Życie nie wyszło tam poza stadium rozwoju ryb i roślin nienasiennych. Powietrze było rozrzedzone jak na Urras na bardzo dużej wysokości. Słońce paliło, wiatr przewiewał do szpiku kości, dławił kurz.

W ciągu dwustu lat od pierwszego lądowania Anarres została zbadana, spenetrowana, naniesiona na mapy, lecz nie skolonizowana.

Bo i po cóż przenosić się na chłostaną wiatrami pustynię, kiedy na Urras są tak rozległe i piękne doliny?

Zbudowano tam jednak kopalnie. Prowadzona w epoce Dziewiątego i Dziesiątego Millennium gospodarka rabunkowa doprowadziła do wyczerpania rud na Urras; wraz z udoskonalaniem rakiet tańsze stawało się czerpanie kopalin z Księżyca niż wydzieranie potrzebnych metali z ubogich złóż albo z wody morskiej.

W roku IX-738 kalendarza urrasyjskiego założono osadę u podnóża gór Ne Theras, w starożytnym Ans Hos, gdzie wydobywano rtęć. Nazwano ją Osadą Anarres. Nie było to miasto w pełnym tego słowa znaczeniu, brakowało kobiet. Mężczyźni podpisywali kontrakty na dwa — trzy lata i pracowali jako górnicy lub technicy, po czym wracali do domu, do prawdziwego życia.

Księżyc i znajdujące się na nim kopalnie podlegały zarządowi Rady Rządów Świata; na jego wschodniej półkuli państwo Thu miało jednak swój mały sekret: bazę rakietową i osadę górników wydobywających złoto, zamieszkujących tam wraz z żonami i dziećmi. Ludzie ci faktycznie mieszkali na Księżycu, lecz nie wiedział o tym nikt poza ich rządem. Upadek rządu w roku 771 doprowadził do złożenia w Radzie Rządów Świata projektu oddania Księżyca Międzynarodowemu Towarzystwu Odonian — przekupienia odonian osobnym światem, zanim ostatecznie nie podkopaliby autorytetu prawa i suwerenności państwowej na Urras.

Osadę Anarres ewakuowano, a wśród zamętu, w jakim pogrążyło się Thu, wysłano pośpiesznie kilka rakiet, żeby wywiozły z księżyca górników wydobywających złoto. Nie wszyscy zgodzili się wracać. Niektórzy polubili jałową pustynię.

Dwanaście statków przyznanych odońskim osadnikom przez Radę Rządów przez ponad dwadzieścia lat kursowało między obu światami, dopóki nie przewiozły one przez jałową otchłań miliona osób, które zdecydowały się na nowe życie. Potem zamknięto port dla imigrantów — otwarto go dopiero dla statków towarowych Paktu Handlowego. Do tego czasu Osada Anarres osiągnęła liczbę stu tysięcy mieszkańców i zmieniła nazwę na Abbenay, co w nowym języku nowego społeczeństwa oznaczało Umysł.

Odo, kreśląc plany społeczeństwa, którego powstania nie dożyła, kluczową rolę przypisywała decentralizacji. Nie leżała w jej zamiarach próba odurbanizowania cywilizowanego życia. Sugerowała, co prawda, że naturalna granica obszaru danej wspólnoty winna zależeć od tego, ile żywności i energii mogły dostarczyć społeczności okoliczne regiony, zakładała jednak przy tym, że wszystkie wspólnoty połączone będą siecią komunikacyjną i transportową, aby idee i towary mogły docierać tam, gdzie będą potrzebne, aby zarządzanie mogło przebiegać szybko i sprawnie i by żadna gmina nie została

odcięta od możliwości wymiany. Sieć owa nie miała być jednak zarządzana odgórnie. Nie miało być centrum zarządzającego ani stolicy — tej gleby dla machiny biurokracji oraz przywódczych zapędów jednostek, którym się marzą role przywódców, szefów, głów państwa.

Plany Odo stworzone wszakże zostały na szczodrym gruncie Urras. Na jałowej Anarres wspólnoty musiały rozproszyć się w poszukiwaniu środków do życia i tylko kilka z nich mogło sobie pozwolić na samowystarczalność — niezależnie od tego, jak bardzo ludzie zredukowali swoje wyobrażenia o wystarczalności. Zredukowali je zaś w istocie znacznie, do pewnego jednak minimum, poza które nie zamierzali wykraczać: nie zamierzali mianowicie cofać się do przedurbanistycznej, przedtechnologicznej wspólnoty plemiennej. Zdawali sobie sprawę, że ich anarchizm jest produktem wysoko rozwiniętej cywilizacji, skomplikowanej i zróżnicowanej kultury, stabilnej gospodarki i zaawansowanej technologii, zdolnej zapewnić wydajną produkcję i szybki transport towarów.

Nie bacząc na wielkie odległości dzielące osady, trzymali się ideału struktury organicznej. Najpierw zbudowali drogi, potem dopiero domy. Dobra naturalne i produkty każdego regionu podlegały stałej wymianie na zasoby innych w zawiłym procesie równowagi — tej równowagi w różnorodności, która jest charakterystyczną cechą życia, naturalnej i socjalnej ekologii.

Ale — jak to ujmuje tryb analogiczny — nie można mieć systemu nerwowego, nie mając przynajmniej ganglionu, a jeszcze lepiej mózgu. Jakieś centrum powstać musiało. Komputery koordynujące zarządzanie, podział pracy, rozdział dóbr, a także zrzeszenia większości związków pracowniczych skupiały się od początku w Abbenay. Od początku też zdawali sobie Anarresyjczycy sprawę, że ta nieunikniona centralizacja będzie stanowiła ciągłe zagrożenie, któremu należy przeciwstawić nieustanną czujność.

> O Anarchio, dziecino,
> wieczna obietnico i trosko nieustająca,
> oto ucha nadstawiam wśród nocy
> u kołyski głębokiej jak noc,
> czy dzieciątku nie trzeba pomocy.

Pio Aiean, który w języku prawickim przybrał imię Tober, napisał te słowa w czternastym roku po Osiedleniu. Sztywne, niezgrabne i wzruszające były pierwsze wysiłki odonian nagięcia nowego języka, nowego świata, do poezji.

I oto rozpościerało się przed sterowcem na rozległej zielonej równinie Abbenay — centrum, mózg Anarres.

Ta błyszcząca, głęboka zieleń pól — kolor nieprzyrodzony Anarres — przyciągała wzrok. Tylko tutaj, i jeszcze na ciepłych wybrzeżach Morza Kerańskiego, przyjmowały się zboża ze Starego Świata. Wszędzie indziej podstawową uprawą zbożową były karłowate holum i wątła psiatrawka.

Kiedy Szevek miał dziewięć lat i mieszkał we wspólnocie w Równinnem przez kilka miesięcy opiekował się (popołudniami, Po lekcjach) roślinami ozdobnymi — delikatnymi, egzotycznymi, które trzeba było karmić i wystawiać na słońce jak dzieci. Pomagał w tym zadaniu, cichym i wymagającym staranności, pewnemu staremu człowiekowi, którego polubił — jak zresztą same rośliny, brud i swoją pracę. Barwa równiny Abbenay przypomniała mu tamtego staruszka, zapach nawozu z tranu i kolor pierwszych pączków na nagich gałązkach — czystą, soczystą zieleń.

W dali, wśród bujnych pól, dojrzał drugie pasmo bieli, które wraz ze zbliżaniem się sterowca rozkruszyło się na kryształki, niczym rozsypana sól.

Zamrugał — przed oczyma latały mu przez chwilę czarne płatki — oślepiony skupiskiem świateł płonących na wschodnim obrzeżu miasta: były to wielkie zwierciadła paraboliczne, zaopatrujące rafinerie Abbenay w słoneczne ciepło.

Sterowiec wylądował w porcie towarowym na południowym krańcu miasta i Szevek wyszedł na ulice metropolii tego świata.

Były szerokie i czyste. Nie kładły się na nich cienie, Abbenay leżało bowiem poniżej trzydziestego stopnia szerokości północnej, wszystkie zaś budynki — poza potężnymi, rzadko rozmieszczonymi wieżami turbin wiatrowych — były niskie. Na rozpalonym, ciemnym, błękitno-fioletowym niebie żarzyło się białe słońce. Powietrze było czyste i przejrzyste, wolne od dymu i wilgoci. Przedmioty rysowały się wyraziście, odcinając się ostro kątami i krawędziami; panowała jaskrawa jasność. Każda rzecz jawiła się osobno, oddzielnie.

Elementy składowe Abbenay były te same co w innych wspólnotach odońskich, tyle że zwielokrotnione: warsztaty, fabryki, bloki mieszkalne, noclegownie, ośrodki kształceniowe, hale ludowe, rozdzielnie, magazyny, stołówki. Większe budowle zgrupowane były przeważnie wokół otwartych placów, nadając miastu komórkową zasadniczo strukturę: podwspólnoty i wspólnoty sąsiedzkie skupiały się jedna obok drugiej. Przemysł ciężki i zakłady żywnościowe ciążyły ku obrzeżom miasta, pokrewne zaś sobie branże przemysłu często powtarzały ów komórkowy wzór, sytuując się wspólnie przy danym placu czy ulicy. Pierwszy taki, zajmujący ciąg placów, okręg na drodze Szeveka należał do branży tekstylnej; składały się nań fabryki produkujące włókna holum, przędzalnie, tkalnie, farbiarnie, rozdzielnie materiałów i ubrań; pośrodku każdego z placów wyrastał

mały las masztów, obwieszonych od góry do dołu chorągiewkami i proporczykami we wszystkich kolnrarh ialrimi zdolna jest barwić tkaniny sztuka farbiarska, głoszącymi chwałę miejscowego przemysłu. Większość miejskich budowli była do siebie podobna — surowe, solidne, zbudowane z kamienia albo lanego piankowca. Niektóre z nich wydały się Szevekowi ogromne, choć niemal wszystkie — z powodu częstych trzęsień ziemi — były ledwie parterowe. Z tej samej przyczyny okna miały małe i oszklone mocnym, nietłukącym tworzywem silikonowym. Były małe, za to było ich dużo, ponieważ na godzinę przed świtem wyłączano sztuczne oświetlenie, zapalano je zaś dopiero w godzinę po zachodzie słońca. Kiedy temperatura na dworze przekraczała 55 stopni Fahrenheita, nie włączano ogrzewania.

Nie znaczyło to, że Abbenay cierpiała na niedostatek energii — turbiny wiatrowe i generatory, wykorzystujące do ogrzewania temperaturę wnętrza ziemi, zapewniały jej pod dostatkiem — jednakże zasada organicznej ekonomii nazbyt zasadniczą odgrywała rolę w funkcjonowaniu społeczeństwa, by nie odciskać się głęboko na etyce i estetyce. „Nadmiar to kał — pisała w swojej Analogii Odo. — Kał zatrzymywany w ciele to trucizna.

Abbenay było od niej wolne — puste, widne miasto (rozsypane niczym garstka soli, można je było całe ogarnąć wzrokiem), jasne, ostre kolory, czyste powietrze. Cisza.

Nic do ukrycia.

Place, surowe ulice, parterowe domy i nie otoczone płotami fabryczne dziedzińce kipiały aktywnością i rozgwarem. Szevek był stale świadom, że obok niego przechodzą, pracują, gawędzą inni ludzie; mijały go twarze, słyszał głosy, rozmowy, śpiewy, ludzie żyli, krzątali się, uwijali. Warsztaty i fabryki otwierały się frontem do placów lub wychodziły na nie ogrodzone dziedzińce. W mijanej hucie szkła ujrzał robotnika, wydmuchującego wielką płynną bańkę z takim spokojem, z jakim kucharz podaje zupę. Obok na ruchliwym dziedzińcu odlewano piankowiec do budowy; brygadzistka, rosła kobieta w ubielonym pyłem fartuchu, nadzorowała wylewanie form głośnym i bujnym potokiem wymowy. Dalej znajdowały się mała druciarnia, dzielnicowa pralnia, pracownia lutnicza, gdzie wyrabiano i reperowano instrumenty muzyczne, dzielnicowa rozdzielnia tysiąca i jeden drobiazgów, teatr, wytwórnia dachówek. Aktywność, wraca w każdym z tych zakładów, fascynowała, toczyła się zaś przeważnie na widoku. Wszędzie dokoła kręciły się dzieci; jedne pracowały razem z dorosłymi, inne lepiły pod nogami przechodniów babki z błota, jeszcze inne bawiły się po prostu na ulicy; jakaś dziewczynka z nosem w książce siedziała na dachu ośrodka kształceniowego. Druciarz udekorował swoją witrynę wykonanymi z kolorowego drutu, wesołymi i ozdobnymi wzorami pnącej latorośli. Z szeroko otwartych

drzwi pralni buchał duszny kłąb pary i gwar rozmów. Żadne drzwi nie były zamknięte na klucz, tylko nieliczne przymknięte. Żadnego przebrania, żadnych szyldów. Wszystko leżało jak na dłoni, cały trud, całe życie miasta odkryte dla oczu, wystawione na dotyk rąk. Co pewien czas, hałasując dzwonkiem, przetaczał się ulicą Dworcową tramwaj, nabity pasażerami i obwieszony festonami podróżujących na stopniach ludzi; stare kobiety rozkrzyczały się kłótliwie, gdy nie zwolnił na przystanku, aby mogły wysiąść; jakiś brzdąc ścigał go jak szalony na domowej roboty rowerku na trzech kółkach; na skrzyżowaniach tryskały w górze z przewodów niebieskie elektryczne iskry — jakby ta cicha, sprężona aktywność ulicy wzbierała co pewien czas do rozładowania i przeskakiwała szczelinę trakcji ze zgrzytem, błękitnym trzaskiem, w zapachu ozonu. Na widok abbenajskiego tramwaju radowało się człowiekowi serce.

Ulica Dworcowa kończyła się rozległym, na wszystkie strony otwartym placem z trójkątnym parkiem, porośniętym trawą i drzewami, do którego zbiegało się promieniście jeszcze pięć innych ulic. Większość parków na Anarres stanowiły klepiska o nawierzchni z kurzu albo piasku, z klombikiem krzewów i drzewek holum. Ten był inny. Szevek przeciął pusty chodnik i wszedł do parku; ciągnęło go tam — często oglądał to miejsce na fotografiach — a poza tym pragnął zobaczyć z bliska te obce, urrasyjskie drzewa i przyjrzeć się zieleni ich niezliczonych liści. Słońce chyliło się już ku zachodowi; przestronne i czyste, w zenicie mroczniejące purpurowo, rozpościerało się niebo; przez cienką warstwę atmosfery przeświecała czerń kosmosu. Szevek, baczny i ostrożny, wszedł między drzewa. Czyż to nie marnotrawstwo, tyle zbitych w jedną masę liści? Drzewa holum radziły sobie całkiem nieźle mając tylko igły i kolce, bez tego przerostu. Czy to ekstrawaganckie listowie nie było zwykłym nadmiarem, kałem? Takie drzewa nie mogą rosnąć bez żyznej gleby, ciągłego podlewania, nieustannej troski. Potępiał ich obfitość, rozrzutność. Przechadzał się pod nimi, pośród nich. Obca trawa uginała się miękko pod jego stopami. Przypominało to chodzenie po żywym ciele. Spłoszony, wycofał się na ścieżkę. Drzewa wyciągały nad jego głową swe ciemne członki i rozkładały mnogie szerokie, zielone dłonie. Ogarnęło go uczucie nabożnego lęku. Czuł się tak, jakby mu udzielano błogosławieństwa, choć nie prosił o nie.

Nieco przed nim, w głębi mroczniejącej alejki, ktoś siedział na kamiennej ławce i czytał.

Ruszył wolno w tamtą stronę. Zbliżył się do ławki, przystanął przed nią i przyjrzał się owej postaci; w złoto-zielonym mroku pod drzewami siedziała nad książką z opuszczoną głową kobieta lat pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu, dziwacznie ubrana, uczesana w kok. Lewa dłoń, podpierająca podbródek, niemal zakrywała zaciśnięte usta,

prawa przytrzymywała na kolanie kartki. Były ciężkie; ciężka była również zimna, przyciskająca je ręka. Szybko zapadał zmrok, a mimo to kobieta nie odrywała od lektury oczu.

Czytała odbitki szczotkowe Organizmu społecznego.

Szevek przyglądał się przez chwilę Odo, po czym usiadł obok niej na ławce.

Pojęcie statusu społecznego było mu obce, a miejsca na ławce było dużo. Popchnęło go do tego kroku uczucie czystego koleżeństwa.

Przyjrzał się wyrazistemu, smutnemu profilowi i dłoniom, dłoniom starej kobiety. Podniósł wzrok na cieniste gałęzie. Po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że Odo — której twarz znał od dzieciństwa, której idee zajmowały centralne i trwałe miejsce w jego umyśle oraz w umysłach wszystkich jego znajomych — nigdy nie postawiła stopy na Anarres; żyła, umarła i została pochowana w cieniu drzew o zielonych liściach, gdzieś w niewyobrażalnych miastach, wśród ludzi, mówiących obcymi językami, w innym świecie. Była cudzoziemką — wygnańcem.

W gęstniejących ciemnościach siedział obok posągu, niemal równie milczący jak on.

Uzmysłowiwszy sobie wreszcie, że robi się ciemno, wstał, wyszedł z parku i spytał o drogę do Centralnego Instytutu Naukowego.

Nie było to daleko; dotarł tam wkrótce po włączeniu światła.

Portierka — a może strażniczka — siedziała w ciasnym pomieszczeniu i coś czytała. Musiał zapukać w otwarte drzwi, żeby zwrócić na siebie jej uwagę.

— Szevek — przedstawił się.

Rozmowę z nieznajomym przyjęte było zaczynać od podania imienia — niczym rękojeści, której nieznajomy mógł się uchwycić.

Nie było zbyt wielu takich rękojeści do zaoferowania. Nie używano wszak rang, szarż ani konwencjonalnych zwrotów grzecznościowych.

— Kokvan — odpowiedziała kobieta. — Czy aby nie wczoraj miałeś przyjechać?

— Zmieniono rozkład lotów sterowców towarowych. Znajdzie się jakieś wolne łóżko w którejś noclegowni?

— Numer 46 jest wolny. Po drugiej stronie dziedzińca, budynek na lewo. Czeka na ciebie wiadomość od Sabula. Prosi, żebyś z samego rana zajrzał do niego do dziekanatu fizyki.

— Dzięki! — rzucił Szevek i wymachując bagażem, paltem i zapasową parą butów, ruszył przez rozległy brukowany dziedziniec.

W otaczających czworobok dziedzińca pokojach paliły się światła.

Dobiegł Szeveka gwar, świadczący o obecności ludzi wśród ciszy.

Coś poruszyło się w czystym, rześkim powietrzu miejskiej nocy — zapowiedź jakiejś niespodzianki, obietnicy.

Pora kolacji jeszcze nie minęła, zboczył więc do instytutowej stołówki, aby się przekonać, czy nie znajdzie się tam jeszcze dla niego coś do przekąszenia. Stwierdził, że jego imię umieszczono już na stałej liście, jedzenie zaś okazało się wyborne. Podawano nawet deser — smażone w cukrze owoce. Szevek uwielbiał słodycze, a ponieważ był jednym z ostatnich stołowników, owoców zaś zostało pod dostatkiem, wziął sobie dokładkę. Siedział sam przy małym stoliku. Przy sąsiednich, większych stołach grupki młodych ludzi toczyły rozmowy nad pustymi talerzami; dotarły do niego strzępki dyskusji o zachowaniu się argonu w ekstremalnie niskich temperaturach, o zachowaniu się nauczyciela chemii na kolokwium, o przypuszczalnych zakrzywieniach czasu. Kilka osób zerknęło w jego stronę; nie podeszli jednak i nie zagadnęli go, co uczyniliby zaraz ludzie z mniejszej wspólnoty na widok nieznajomego; ich spojrzenia nie były nieprzyjazne, może z lekka wyzywające.

Pokój numer 46 znalazł w mieszkalni, w długim korytarzu, w którym wszystkie drzwi były zamknięte. Były to najwyraźniej pojedynki, zdziwił się więc, dlaczego portierka tu go skierowała.

Odkąd skończył dwa lata, mieszkał zawsze w noclegowniach, w pokojach z czterema — a i dziesięcioma — łóżkami. Zapukał. Cisza. Otworzył drzwi. Pokój numer 46, mała pojedynka, był pusty, skąpo oświetlony wpadającym z korytarza światłem. Zapalił lampę. Dwa krzesła, biurko, wysłużony suwak logarytmiczny, kilka książek i ręcznie tkany pomarańczowy koc, złożony porządnie na tapczanie. Ktoś tam mieszkał, portierka pomyliła się. Zamknął drzwi — po czym otworzył je, aby zgasić światło. Pod lampą na biurku leżał świstek papieru, na którym nabazgrano: „Szevek, dziek. fizyki, rano 2-4-1-154. Sabul".

Położył palto na krześle, buty postawił na podłodze. Czas jakiś stał i czytał tytuły książek — typowych podręczników z fizyki i matematyki, w zielonych okładkach z wytłoczonym na nich Kołem Życia. Zawiesił palto w szafie, odstawił na bok buty. Starannie zaciągnął firankę w szafie. Przemierzył pokój w kierunku drzwi: cztery kroki. Jeszcze przez chwilę stał niezdecydowany, a potem — pierwszy raz w życiu — zamknął drzwi własnego pokoju.

Sabul był przysadzistym, niechlujnym czterdziestoletnim mężczyzną. Owłosienie twarzy, gęstniejące w regularną brodę na podbródku, miał ciemniejsze i bardziej szorstkie niż przeciętny Anarresyjczyk. Nosił ciężką zimową tunikę, której, z wyglądu sądząc, nie zdejmował od ubiegłej zimy — mankiety rękawów sczerniały z brudu. Sposób bycia miał bezceremonialny i opryskliwy. Mówił urywanymi zdaniami — podobnymi do notatek, które gryzmolił na strzępkach papieru. Pochrząkiwał.

— Będziesz się musiał nauczyć ajońskiego — burknął na Szeveka.

— Ajońskiego?

— Powiedziałem: ajońskiego.

— Po co?

— Żebyś mógł czytać fizyczne prace Urrasyjczyków! Atro, To, Baisk — te nazwiska. Nikt tego nie tłumaczył na prawieki — i pewno nie przetłumaczy. Najwyżej sześć osób na Anarres jest w ogóle w stanie cokolwiek z tego zrozumieć. W dowolnym języku.

— W jaki sposób mam się nauczyć ajońskiego?

— Z gramatyki i słownika!

Szevek nie dawał za wygraną.

— Gdzie je znajdę?

— Tu — warknął Sabul. Zaczął grzebać wśród małych książeczek w zielonych okładkach, upchanych na brudnych półkach. Ruchy miał porywcze i zdradzające irytację. Dogrzebał się w końcu na dolnej półce dwóch opasłych, nie oprawionych tomów i huknął nimi o biurko. — Zawiadomisz mnie, kiedy będziesz w stanie czytać Atro po ajonsku. Do tego czasu nie mamy ze sobą o czym rozmawiać.

— Jaką matematyką posługują się Urrasyjczycy?

— Nic takiego, z czym byś sobie nie poradził.

— Czy ktoś zajmuje się tu chronotopologią?

— Tak, Turet, możesz się z nim konsultować. Nie widzę potrzeby, żebyś chodził na jego wykłady.

— Miałem zamiar uczęszczać na wykłady Gvarab.

— Po co?

— Z powodu jej prac nad częstotliwością i cyklicznością…

Sabul usiadł, by zaraz się zerwać. Był niemożliwie niespokojny — a przy tym sztywny: tarnik do drzewa, nie człowiek.

— Nie trać czasu. W teorii następstw znacznie wyprzedziłeś tę staruchę, zaś inne idee, które ona płodzi, to kupa śmieci.

— Interesują mnie zasady jednoczesności.

— Jednoczesność! Co za paskarskim gównem karmi was tam Mitis?

Zmierzył Szeveka wściekłym spojrzeniem, pod szorstką szczeciną na skroniach nabrzmiały mu żyły.

— Zorganizowałem kurs samokształceniowy na ten temat.

— Wydoroślej, wydoroślej. Pora wydorośleć. Teraz jesteś w Abbenay. My zajmujemy się tutaj fizyką, a nie religią. Porzuć mistycyzm i wydoroślej. Jak prędko możesz się nauczyć ajońskiego?

— Nauczenie się prawickiego zajęło mi dobrych kilka lat — odparł Szevek. Lekka ironia w jego słowach całkowicie uszła uwagi Sabula.

— Mnie to zajęło dziesięć dekad. Nauczyłem się na tyle, by móc przeczytać Wstęp To. Do licha, będziesz potrzebował jakiegoś tekstu do ćwiczeń. To się może nadać. Zaraz. Czekaj no.

Zaczął przetrząsać przepełnioną nad wszelką miarę szufladę i dokopał się wreszcie książki o dziwnym wyglądzie, w niebieskiej oprawie, bez Koła Życia na okładce. Tytuł był wytłoczony złotymi literami i zdawał się brzmieć: Poilea Afioite, co nic nie znaczyło; kształty niektórych liter były dla Szeveka obce. Przyjrzał się książce, wziął ją od Sabula, ale nie otwierał. Oto trzymał ją, tę rzecz, którą tak pragnął ujrzeć, wytwór obcych rąk, posłanie z innego świata.

Przypomniał sobie książkę, którą pokazał mu kiedyś Palat, księgę liczb.

— Zajrzyj znowu, jak już będziesz umiał to przeczytać — mruknął Sabul.

Szevek odwrócił się do wyjścia. Sabul krzyknął za nim burkliwie:

— Trzymaj te książki przy sobie! Nie są przeznaczone do powszechnego użytku.

Młodzieniec przystanął, odwrócił się i rzekł po chwili spokojnym głosem, jak gdyby onieśmielony:

— Nie rozumiem.

— Nie dawaj ich czytać innym!

Szevek nie odpowiedział.

Sabul wstał i podszedł do niego.

— Posłuchaj. Jesteś teraz członkiem Centralnego Instytutu Naukowego, syndykiem fizyki, i pracujesz ze mną, Sabulem. Rozumiemy się? Przywilej to odpowiedzialność. Zgadza się?

— Mam zdobywać wiedzę, której nie wolno mi dzielić z innymi — stwierdził po krótkiej pauzie Szevek, wygłaszając to zdanie tak, jakby było twierdzeniem logiki.

— Gdybyś znalazł na ulicy paczkę z kapiszonami, czy podzieliłbyś się nimi z każdym przechodzącym dzieckiem?

Te książki to materiał wybuchowy. Rozumiemy się teraz?

— Tak.

— To świetnie. — Sabul odwrócił się od niego z twarzą wykrzywioną gniewem, który zdawał się właściwy mu, trwały. Młody człowiek wyszedł — przejęty odrazą, zżerany ciekawością — niosąc ostrożnie ów dynamit.

Zabrał się do nauki ajońskiego. Pracował w samotności, w pokoju numer 46 — z powodu ostrzeżenia Sabula, ale także dlatego, że samotna praca stała się dla niego czymś aż nadto naturalnym.

Od najwcześniejszej młodości zdawał sobie sprawę, że jest — pod pewnymi względami — inny od wszystkich znanych mu osób.

Świadomość takiej odmienności bywa dla dziecka nader bolesna, ponieważ — niczym się jeszcze nie wykazawszy, niezdolne do dokonania czegokolwiek — nie znajduje dla niej usprawiedliwienia.

Jedynym dla takiego dziecka oparciem może być obecność kochających i godnych zaufania dorosłych, którzy również — na swój

sposób — są inni; Szevekowi tego zabrakło. Owszem, Palat był nadzwyczaj kochającym i godnym zaufania ojcem. Akceptował Szeveka takim, jakim był, godził się ze wszystkim, co robił. Ale nie ciążyło na nim przekleństwo odmienności. Był jak inni, jak ci wszyscy, którym życie we wspólnocie przychodziło tak łatwo. Kochał Szeveka, ale nie potrafił go nauczyć, czym jest wolność — to uznanie samotności drugiej osoby, które jako jedyne jest ją w stanie przekroczyć.

Szevek przywykł do zamykania się w sobie, łagodzonego przez codzienne — typowe dla życia w gromadzie — przypadkowe kontakty i rozmowy oraz towarzystwo garstki przyjaciół. Tu, w Abbenay, nie miał przyjaciół, nie zmuszony zaś do dzielenia z innymi sypialni, żadnych nowych przyjaźni nie nawiązał. Doszedłszy dwudziestego roku życia, zbyt dobrze był świadom odmienności swojego charakteru i umysłu, by szukać towarzystwa; żył na uboczu, w odosobnieniu; studenci, jego koledzy, wyczuwając, że owo stronienie od ludzi jest autentyczne, niezbyt często próbowali się doń zbliżyć.

Polubił wkrótce prywatność własnego pokoju. Rozkoszował się swoją pełną niezależnością. Opuszczał pokój, jedynie by zjeść śniadanie i kolację w stołówce oraz odbyć codziennie szybki spacer po mieście dla rozluźnienia mięśni, nawykłych od dawna do ćwiczeń; po czym wracał do pokoju numer 46 i do ajońskiej gramatyki. Raz na parę dekad wzywano go do rotacyjnych prac społecznych, „dziesiętnie", lecz ponieważ pracował z nieznajomymi, nie zaś jak to bywało w małych społecznościach — wśród bliskich znajomych, te dni pracy fizycznej nie wytrącały go z jego samotności, nie opóźniały też postępów w nauce ajońskiego.

Sama gramatyka tego języka — skomplikowana, nielogiczna, paradygmatyczna — sprawiała mu przyjemność. Gdy opanował podstawowe słownictwo, nauka poszła mu już łatwo, orientował się bowiem w przedmiocie swych lektur; znał dziedzinę i terminy, ilekroć więc utknął, jego intuicja lub jakieś równanie matematyczne podpowiadały mu, na jakim stoi gruncie. Nie zawsze były to miejsca, w których już bywał. Wstęp do fizyki czasu To nie był podręcznikiem dla początkujących. Zanim dobrnął do połowy książki, już nie czytał dla nauki języka, ale dla samej fizyki; zrozumiał, dlaczego Sabul zmusił go na wstępie do lektury urrasyjskich fizyków. Wyprzedzili oni znacznie wszystko, czego dokonano na Anarres w ostatnich dwudziestu — trzydziestu latach. Najbłyskotliwsze tezy prac Sabula na temat następstw okazywały się w gruncie rzeczy kryptoprzekładami z ajońskiego.

Rzucił się na inne książki, które mu tamten powierzył — główne dzieła współczesnej fizyki urrasyjskiej. Jego życie stało się jeszcze bardziej pustelnicze. Nie udzielał się w syndykacie studenckim, nie

uczęszczał też na zebrania żadnego innego syndykatu czy stowarzyszenia, wyjąwszy senne konwentykle Stowarzyszenia Fizyków. Spotkania takich grup, służące krzewieniu społecznych postaw i działań, stanowiły osnowę życia każdej mniejszej społeczności; tu, w mieście, zdawały się mieć jednak zdecydowanie mniejsze znaczenie. Obecność jednostki nie była tu niezbędna; zawsze znaleźli się inni, gotowi do działania — i nieźle sobie radzący.

Wyjąwszy obowiązek dziesiętnicy i rutynowe dyżury w mieszkalni i laboratoriach, Szevek był panem własnego czasu. Zdarzało się nieraz, że rezygnował z ćwiczeń — a bywało, że i z posiłków. Nie opuścił jednak żadnego wykładu jedynego kursu, na który uczęszczał — poświęconego częstotliwości i cykliczności seminarium Gvarab.

Gvarab była już tak sędziwa, że często plotła trzy po trzy i gubiła wątek. Frekwencja na jej wykładach była niewielka i kapryśna.

Wykładowczyni wypatrzyła niebawem jedynego wiernego słuchacza — chudego chłopca z odstającymi uszami. Zaczęła wykładać tylko dla niego. Jasne, uważne, inteligentne oczy młodzieńca spotykały się z jej oczami, uspokajały ją, pobudzały; umysł starowinki rozkwitł, wrócił jej utracony dar wizji. Wzbiła się wysoko, pozostali studenci zadzierali głowy, zmieszani lub zdumieni — a i przerażeni, gdyby do odczuwania przerażenia byli zdolni. Gvarab ogarniała wszechświat znacznie rozleglejszy, niż go ogarnąć była w stanie większość ludzi, i to ich oślepiało. Jasnooki chłopiec wpatrywał się w nią wytrwale. W jego twarzy odnajdywała własną radość. To, co miała do zaofiarowania, co ofiarowywała przez całe swoje życie, a czego nikt z nią nigdy nie dzielił — on przyjmował, podzielał. Był jej bratem, oddzielonym przepaścią pięćdziesięciu lat, jej zbawieniem.

Spotkawszy się w gabinecie fizycznym lub w stołówce, przystępowali od razu do rozmów o fizyce, niekiedy jednak Gvarab nie miała na to siły i wówczas nie bardzo wiedzieli, o czym mówić, i staruszka, i młodzieniec równie bowiem byli nieśmiali.

— Za mało się odżywiasz — stwierdzała.

On uśmiechał się i czerwieniły mu się uszy. Żadne nie wiedziało, o czym dalej mówić.

Po pół roku od przybycia do Instytutu Szevek przyniósł Sabulowi trzystronicową rozprawkę zatytułowaną: „Krytyka hipotezy następstw nieskończonych Atro". Sabul zwrócił mu ją po upływie dekady i burknął:

— Przetłumacz to na ajoński.

— Pisałem to na brudno właśnie po ajońsku — wyznał Szevek — posługiwałem się bowiem terminologią Atro. Przepiszę więc tylko oryginał. Tylko po co?

— Po co? Żeby ten przeklęty paskarz Atro mógł to przeczytać!

Przychodzi statek piątego następnej dekady.

— Statek?

— Frachtowiec z Urras!

Tak oto Szevek odkrył, że między rozdzielonymi światami wędruje nie tylko ropa naftowa i rtęć, nie tylko książki — jak te, które właśnie czytał — ale i listy. Listy! Listy do posiadaczy, do poddanych rządów opierających się na nierównym podziale władzy, do osobników, którzy muszą — skoro zgodzili się być częściami państwowej machiny — bądź podlegać wyzyskowi, bądź wyzyskiwać innych. Ci ludzie umieliby dobrowolnie, bez napastliwości wymieniać poglądy z ludźmi wolnymi? Czy naprawdę są zdolni uczestniczyć na równych prawach w solidarnej pracy myśli, czy też tylko próbują zdominować, narzucić swoją wolę, zawłaszczyć? Myśl o wymianie listów z jakimś posiadaczem zatrwożyła go; ciekawe byłoby jednak dowiedzieć się…

Tylu podobnych odkryć zmuszony już był jednak dokonać podczas tego pierwszego półrocza w Abbenay, iż musiał dopuścić do siebie myśl, że był — a może i nadal jest? — ogromnie naiwny — przykre przypuszczenie dla młodego, inteligentnego człowieka.

Pierwsze — i najtrudniejsze do zaakceptowania — było odkrycie, że ma się nauczyć ajońskiego i zachować tę wiedzę dla siebie; sytuacja tak dlań nowa i tak moralnie deprymująca, że jeszcze się z nią nie oswoił. Nikomu, co prawda, nie wyrządzał krzywdy nie dzieląc tej wiedzy; z drugiej jednak strony, co by innym szkodziło, gdyby się dowiedzieli, że zna ajoński i że oni również mogą się go nauczyć? Przecież na otwartości raczej niż sekretności zasadza się wolność, a wolność zawsze warta jest ryzyka. Tu zaś ryzyka żadnego nie dostrzegał. Przyszło mu raz na myśl, że Sabul chce zatrzymać nową fizykę Urrasyjczyków na swój własny użytek, zachować ją dla siebie, zawłaszczyć, by zyskać przewagę nad kolegami z Anarres. Podejrzenie owo tak jednak było przeciwne jego myślowym nawykom, że z wielkimi oporami zrodziło się w jego głowie, gdy się zaś zrodziło, natychmiast odrzucił je z pogardą jako przypuszczenie prawdziwie obrzydliwe.

A jeszcze ten prywatny pokój, kolejna moralna zadra. Jeśli jako dziecko spałeś sam w pojedynczym pokoju, znaczyło to, że tak już zalazłeś za skórę pozostałym użytkownikom sypialni, iż nie byli w stanie dłużej cię znosić; egoizowałeś. Samotność równała się niełasce. Podstawowy cel pojedynek — mówiąc językiem dorosłych — określała potrzeba seksualna. W każdym bloku mieszkalnym znajdowała się pewna liczba pojedynczych pokoi, z których para, pragnąca ze sobą kopulować, mogła korzystać przez noc, dekadę, tak długo wreszcie, jak długo miała ochotę. Osoby podejmujące partnerstwo zamieszkiwały w pokojach dwuosobowych; w małych

miejscowościach, gdzie takich dwójek brakowało, dobudowywano je często na końcu mieszkalni, co prowadziło do powstawania — pokój za pokojem — długich, niskich, rozciągniętych budynków, zwanych „partnerskimi pociągami". Wyjąwszy chęć seksualnego współżycia, nie widziano powodu do niesypiania w sypialni ogólnej. Można było wybrać sobie mniejszą lub większą, a jeśli nie podobali się współlokatorzy — przenieść się do innej. Każdy miał zapewnione miejsce do pracy: warsztat czy laboratorium, studio, stodołę czy biuro; w łaźni mógł, wedle własnego uznania, szukać prywatności bądź kąpać się publicznie; o seksualne odosobnienie nie było trudno, było ono nawet społecznie pożądane; poza tym separowanie się od ludzi nie znajdowało funkcjonalnego uzasadnienia. Oznaczało nadmiar, marnotrawstwo.

Gospodarka Anarres nie mogła sobie pozwolić na budowę, utrzymywanie, ogrzewanie i oświetlanie prywatnych domów i mieszkań. Człowiek o naturze odludka musiał usunąć się ze społeczności i troszczyć sam o siebie. Mógł to uczynić bez przeszkód. Mógł wybudować sobie dom gdziekolwiek zechciał (choć jeśli popsuł tym jakiś ładny widok albo poletko żyznej ziemi, mógł się spotkać z naciskiem ze strony sąsiadów, aby się przeniósł gdzie indziej).

Na obrzeżach starszych anarresyjskich wspólnot żyło niemało takich samotników i pustelników, udających, że nie należą do istot społecznych. Dla tych jednak, którzy akceptowali przywileje i zobowiązania wynikające z międzyludzkiej solidarności, odosobnienie miało wartość jedynie wtedy, gdy czemuś służyło.

Pierwszą więc reakcją Szeveka na umieszczenie go w osobnym pokoju była niechęć zmieszana ze wstydem. Dlaczego go tutaj wsadzili? Wnet odkrył przyczynę. Pojedynka była najwłaściwszym miejscem do pracy, którą się zajmował. Jeśli jakaś myśl przychodziła mu do głowy o północy, mógł zapalić światło i zapisać ją; gdy zaświtała o brzasku — nie wypłaszały jej rozmowy i harmider czyniony przez czterech czy pięciu wstających współmieszkańców; jeśli nie przychodziła wcale i całe dnie spędzał za biurkiem gapiąc się w okno — nikt nie stawał za jego plecami i nie dziwował się, że zbija bąki. Odosobnienie okazywało się w gruncie rzeczy niemal równie przydatne do uprawiania fizyki, co seksu.

Ale czy było istotnie niezbędne?

W stołówce Instytutu do każdej kolacji podawano deser. Szevek za deserami przepadał i gdy tylko mógł, brał dokładkę. Jego sumienie jednak, sumienie organicysty społecznego, cierpiało z tego powodu katusze. Bo czy wszyscy, we wszystkich stołówkach od Abbenay po najdalszy zakątek, dostawali to samo, otrzymywali taki sam przydział? Zawsze go o tym zapewniano i sam też zawsze to stwierdzał. Oczywiście, zdarzały się lokalne różnice: specyfika regionu, braki,

nadwyżki, sytuacje wyjątkowe, takie jak obozy pracy, marni kucharze, znakomici kucharze — nieprzebrana rozmaitość w obrębie niezmiennego schematu. Żaden jednak kucharz nie był aż tak utalentowany, żeby przyrządzać deser, nie mając do tego składników. W większości stołówek desery serwowano raz, dwa razy w dekadzie. Tutaj co wieczór. Dlaczego? Czyżby członkowie Centralnego Instytutu Nauk byli lepsi od reszty społeczeństwa?

Nie szukał odpowiedzi na te pytania. Sumienie społeczne, opinia ogółu — najpotężniejszy moralny wskaźnik kierujący postępowaniem większości Anarresyjczyków — nie miały nad nim aż takiej jak nad innymi władzy. Ludzie nie rozumieli tak wielu z nurtujących go problemów, że przywykł do borykania się z nimi w milczeniu, samodzielnie. Podobnie też podszedł i do tego zagadnienia, znacznie dlań nawet — pod pewnymi względami — trudniejszego od fizyki czasu. Nie zasięgał niczyich opinii. Po prostu przestał jadać w stołówce desery.

Do noclegowni się jednak nie przeprowadził. Zważywszy na szali moralną niewygodę i praktyczny zysk, stwierdził, że ten drugi przeważył. W prywatnym pokoju pracowało mu się lepiej. Tę pracę warto było wykonać, zaś on wykonywał ją dobrze. Była to praca o zasadniczym dla jego społeczeństwa znaczeniu. Odpowiedzialność uzasadniała przywilej.

A więc pracował.

Spadł na wadze; lekko stąpał po ziemi. Braku wysiłku fizycznego, urozmaiconych zajęć, kontaktów towarzyskich i seksualnych nie doświadczał jako braku, lecz jako wolność. Był człowiekiem wolnym: mógł robić, co chciał, kiedy chciał i jak długo chciał.

I tak też czynił. Pracował. Praco/bawił się.

Robił notatki do ciągu hipotez mających prowadzić do spójnej teorii jednoczesności. Cel ten zaczął mu się jednak wydawać nazbyt skromnym; do osiągnięcia, gdyby tylko zdołał się doń zbliżyć, był cel znacznie ambitniejszy: jednolita teoria czasu. W czterech ścianach pokoju czuł się jak wśród otwartej, rozległej przestrzeni — otaczała go ona, trzeba było jedynie znaleźć drogę wyjścia, wolne przejście. Ta intuicja stała się jego obsesją. Przez jesień i zimę coraz bardziej odwykał od snu. Wystarczało mu go parę godzin w nocy i jeszcze kilka w ciągu dnia; drzemki, w które zapadał, w niczym nie przypominały głębokiego snu, jaki dotąd znał, prędzej już jawę na innym poziomie, tak pełne były sennych rojeń. Śnił sny plastyczne, sny będące częścią jego pracy. Oglądał zawracający w swoim łożysku czas, rzekę płynącą w górę do źródła. W lewej i prawej dłoni trzymał dwie jednoczesne chwile — i z uśmiechem oddalał je od siebie, obserwując, jak się dzielą, niczym dwie rozklejające się bańki mydlane. Wstawał i — nie całkiem jeszcze rozbudzony — notował matematyczny wzór, który od

wielu dni mu się wymykał. Patrzył, jak przestrzeń zwiera się wokół niego niczym zapadająca się ku centrum otchłani powierzchnia kuli, kurczy się i zamyka — i budził się z uwięzłym w gardle krzykiem o ratunek, starając się w milczeniu wyrzucić ze świadomości własną wieczystą pustkę.

Wracając do siebie z biblioteki pewnego mroźnego zimowego popołudnia, wstąpił do dziekanatu fizyki, żeby sprawdzić, czy nie ma dla niego listów w skrzynce. Właściwie nie miał podstaw, aby się jakichś spodziewać, skoro nigdy do żadnego z przyjaciół z Instytutu Okręgowego nie napisał; lecz nie czuł się od paru dni najlepiej, obalił kilka ze swoich własnych najelegantszych hipotez i po pół roku wytężonej pracy znalazł się z powrotem w punkcie wyjścia; model fazowy okazał się najzwyczajniej zbyt mętny, aby I mógł być użyteczny, bolało go gardło, ucieszyłby go więc list od kogoś znajomego, albo choć możliwość spotkania kogoś w dziekanacie, komu mógłby powiedzieć „cześć". Zastał tam jednak tylko Sabula.

— Spójrz, Szevek.

Spojrzał na książkę, którą tamten trzymał w ręku: cienką książeczkę w zielonej oprawie, z wytłoczonym na okładce Kołem Życia. Wziął ją do ręki i zerknął na stronę tytułową: „Krytyka hipotezy następstw nieskończonych Atro". Książeczka zawierała jego esej, słowa uznania ze strony Atro, jego obronę i replikę. Przekład (albo retrowersję) na prawieki opublikowało wydawnictwo KPR w Abbenay. Na okładce figurowały imiona pary autorów: Sabul i Szevek.

Sabul pochylał się nad książką w ręku Szeveka i sycił oczy jej widokiem. Jego warkotliwy głos wezbrał gardłowym śmiechem.

— Wykończyliśmy go. Wykończyliśmy tego zasranego paskarza Atro! Niech no spróbują teraz wspomnieć o „niedojrzałym brali ku precyzji"! — Sabul od dziesięciu lat nosił w sercu zapiekłą złość do wydawanego przez uniwersytet Ieu Eun Przeglądu Fizycznego, który zdezawuował jego prace teoretyczne jako „naznaczone prowincjonalizmem i niedojrzałym brakiem precyzji, jakim dogmat odoński poraża każdą dziedzinę myśli". — Przekonają się teraz, kto tu jest prowincjonalny! — mruknął ze śmiechem.

Szevek nie przypominał sobie, żeby przez okres ich rocznej blisko znajomości oglądał na twarzy Sabula uśmiech.

Usiadł w drugim końcu pokoju, zgarnąwszy przedtem z ławki stertę papierów; gabinet fizyczny był oczywiście wspólny, ale Sabul tak zaśmiecił pokój swoimi materiałami, że dla nikogo więcej nie starczało już miejsca. Szevek popatrzył na książkę, którą wciąż trzymał w ręku, a potem spojrzał w okno. Czuł się niezdrów — i na takiego też wyglądał. Sprawiał ponadto wrażenie spiętego; przy Sabulu nie bywał jednak nigdy onieśmielony czy skrępowany, jak to mu się często zdarzało z ludźmi, których by rad poznał bliżej.

— Nie wiedziałem, że to tłumaczysz — rzekł.

— Przetłumaczyłem, opracowałem. Wygładziłem parę chropowatych miejsc, wypełniłem luki, które pozostawiłeś, i temu podobne. Parę dekad pracy. Powinieneś być dumny, twoje idee stanowią w znacznej mierze fundament gotowej książki.

Wypełniały ją wyłącznie idee Atro i Szeveka.

— Jestem — zgodził się Szevek. Przyjrzał się swoim dłoniom. Po chwili rzekł: — Chciałbym opublikować rozprawkę na temat odwracalności, którą napisałem w tym kwartale. Byłoby dobrze, gdyby dotarła do Atro. Zainteresowałaby go. On wciąż trwa przy przyczynowości.

— Opublikować? Gdzie?

— Po ajońsku — na Urras. Poślij ją Atro, jak tę ostatnią, a on ją zamieści w jednym z tamtejszych periodyków.

— Nie możesz dawać im do druku czegoś, co nie zostało wydane tu na miejscu.

— Ależ tak właśnie postąpiliśmy w tym przypadku! To wszystko, prócz mojej repliki, ukazało się najpierw w Przeglądzie Ieu Eun.

— Nie mogłem temu zapobiec, ale czy myślisz, że mi było do tej publikacji pilno? Chyba nie sądzisz, że wszyscy w KPR aprobują taką wymianę poglądów z Urras, co? Defensywa nalega, żeby każde słowo, jakie stąd wychodzi na pokładzie tych frachtowców, było aprobowane przez ich eksperta. A co najważniejsze, czy ty myślisz, że ci wszyscy prowincjonalni fizycy, którzy nie mają dostępu do tego kanału łączności z Urras, nie zazdroszczą nam, że z niego korzystamy? Myślisz, że nie są zawistni? Są ludzie, którzy tylko czekają, tylko czekają na jeden nasz fałszywy krok. Powinie nam się noga — i do widzenia skrzynko pocztowa na urrasyjskich statkach. Teraz wszystko jasne?

— Jak do tego w ogóle doszło, że Instytut zyskał dostęp do tej skrzynki pocztowej?

— Wybór Pegvura do KPR przed dziesięciu laty. — Pegvur był fizykiem umiarkowanie wybitnym. — Od tamtej pory stąpam na palcach, żeby to utrzymać. Rozumiesz?

Szevek kiwnął głową.

— Zresztą Atro i tak nie zawracałby sobie głowy twoimi płodami. Przejrzałem tę rozprawkę, zwróciłem ci ją przecież parę dekad temu. Kiedyż ty wreszcie przestaniesz tracić czas na te wsteczne teorie, których się GvaYab uczepiła? Czy nie widzisz, że ona zmarnowała na nie życie? Obstając przy nich, wyjdziesz na głupka. Do czego masz oczywiście niezaprzeczalne prawo. Nie będziesz jednak robił głupka ze mnie.

— A gdybym przedstawił tę rozprawę do publikacji tutaj, w języku prawickim?

— Strata czasu.

Szevek lekkim skinieniem głowy przyjął to do wiadomości.

Podniósł się, tykowaty i kanciasty, i przez chwilę stał w zamyśleniu. Zimowe światło kładło się matowym blaskiem na jego nieruchomej twarzy i włosach, które nosił obecnie zaplecione w warkocz z tyłu głowy. Podszedł do biurka i wziął jedną z leżących na stosie nowiutkich książek.

— Chciałbym ją posłać Mitis — powiedział.

— Bierz, ile chcesz. Posłuchaj. Jeśli uważasz, że wiesz lepiej ode mnie, jak masz postępować, daj tę rozprawę do druku. Nie potrzebujesz zezwolenia! U nas, jak ci wiadomo, hierarchie nie obowiązują! Nie mogę cię powstrzymać. Mogę ci tylko służyć radą.

— Jesteś konsultantem Syndykatu Wydawniczego do spraw rękopisów z dziedziny fizyki — przypomniał Szevek. — Sądziłem, że oszczędzę wszystkim czasu, zadając ci teraz to Dytanie.

Przez jego łagodność przebijała nieustępliwość; nie starając się nikogo naginać, sam pozostawał nieugięty.

— Oszczędzę czasu — co chcesz przez to powiedzieć? — warknął Sabul, ale i on był odonianinem: skręcił się niemal z powodu swojej hipokryzji, odwrócił od Szeveka, ponownie doń zwrócił, na koniec warknął ze złością, grubym z gniewu głosem: — W porządku!

Zaproponuj te zasrane wypociny! Oświadczę, że nie jestem kompetentny, żeby wyrażać o nich zdanie. Zasugeruję im, żeby zwrócili się o konsultację do Gvarab. To ona jest specjalistką od jednoczesności, nie ja. Mistyczna mętniaczka! Wszechświat jest struną gigantycznej harfy, oscylującej między bytem i niebytem! A swoją drogą, jaką też ona wygrywa melodię? Pasaże Harmonii Numerycznych, jak mniemam? Uznaję się więc za niekompetentnego, innymi słowy: nie mam ochoty zalecać KPR czy Wydawnictwu intelektualnego łajna!

— Praca, którą dla ciebie wykonałem — powiedział Szevek — jest częścią tej, którą podjąłem, idąc tropem idei Gvarab dotyczących jednoczesności. Chcąc mieć jedno, musisz zaakceptować i drugie.

Ziarno najlepiej wschodzi w gównie, jak mawiamy w Północoniżu.

Czekał jeszcze chwilę, nie doczekawszy się zaś odpowiedzi, pożegnał się i wyszedł.

Zdawał sobie sprawę, że wygrał bitwę — i to łatwo, bez użycia gwałtu. Lecz gwałt został przecież zadany.

Tak jak przepowiedziała Mitis, był „człowiekiem Sabula”. Ten już od lat nie udzielał się jako fizyk; renomę zawdzięczał temu, co sobie przywłaszczał z osiągnięć innych umysłów. Szevek miał odwalić pracę myślową, Sabul — zebrać honory.

Sytuacja, oczywiście, etycznie nie do przyjęcia i Szevek powinien

napiętnować ją i odrzucić. Tylko że nie mógł. Potrzebował Sabula. Chciał publikować to, co pisał, i wysyłać ludziom zdolnym go zrozumieć — fizykom z Urras; potrzebował ich pomysłów, krytyki i współpracy.

Targowali się więc z Sabulem, dobijali targu niczym spekulanci. Nie była to walka, lecz handel. Ty mi daj to, ja ci dam to. Odmówisz — i ja odmówię. Stoi? Stoi! Kariera Szeveka, podobnie jak istnienie jego społeczeństwa, zależała od podtrzymywania tej podstawowej, niejawnej umowy handlowej. Ich związek był oparty I nie na pomocy i solidarności wzajemnej, lecz na wyzysku; nie był organiczny, ale mechaniczny. Czy z zasadniczej dysfunkcji może wyniknąć prawdziwe funkcjonowanie?

Ale przecież ja chcę tylko doprowadzić do końca swoją pracę — perswadował sobie Szevek, wracając deptakiem, szarym, wietrznym popołudniem, do czworobocznej mieszkalni. — To mój obowiązek, moja radość, cel całego życia. Człowiek, z którym przyszło mi pracować, jest przepychającym się łokciami, dążącym do dominacji spekulantem i nie zmienię tego; jeżeli chcę pracować, muszę pracować z nim.

Pomyślał o Mitis i jej przestrodze. Pomyślał o Instytucie w Północoniżu i przyjęciu w noc przed odjazdem. Wydało mu się ono teraz tak odległe, tak po dziecięcemu spokojne i bezpieczne, że zachciało mu się płakać z tęsknoty. Kiedy przechodził pod portykiem gmachu Nauk Biologicznych, jakaś mijająca go dziewczyna rzuciła nań z ukosa spojrzenie, jemu zaś wydało się, że jest podobna do tamtej — jakże jej było na imię? — tej krótko ostrzyżonej, która podczas przyjęcia tak się opychała piernikami. Przystanął i obejrzał się, ale dziewczyna zniknęła już za rogiem. A zresztą miała drugie włosy. Przeminęła, przeminęła, wszystko przemija. Wyszedł spod osłony portyku. Wiatr zacinał drobnym, rzadkim deszczem.

Deszcz, jeśli już padał, to tylko drobny. To był suchy świat. Suchy, anemiczny, nieprzychylny. Nieprzychylny! — powiedział głośno po ajońsku. Nigdy dotąd nie słyszał, jak ten język brzmi; brzmiał bardzo dziwnie. Deszcz siekł go w twarz, jak gdyby ktoś ciskał w nią żwirem. Nieprzychylny deszcz. Do bólu gardła dołączył się straszny ból głowy, z którego ledwie przed chwilą zdał sobie sprawę. Dowlókł się do pokoju numer 46 i padł na tapczan, który wydał mu się znacznie niższy niż zwykle. Nie mógł pohamować drżenia. Naciągnął na siebie pomarańczowy koc i skulił się pod nim, próbując zasnąć; nie mógł jednak opanować dygotu, znajdował się bowiem pod ciągłym ogniem atomowego bombardowania ze wszystkich stron, nasilającym się wraz ze wzrostem temperatury.

Nigdy dotąd nie chorował, nigdy nie zaznał fizycznej niewygody uciążliwszej niż zmęczenie. Pojęcia nie mając, czym jest wysoka

gorączka, sądził — w przebłyskach świadomości, które rozświetlały mu tę długą noc — że popada w obłąkanie. Strach przed obłędem skłonił go do szukania pomocv. Zanadto sam siebie wystraszył — słyszał w nocy własne majaczenia — żeby prosić o pomoc sąsiadów z korytarza. Powlókł się do oddalonej o osiem przecznic kliniki; zimne ulice, skąpane w blasku wschodzącego słońca, obracały się z powagą wokół niego. W klinice rozpoznano w jego obłędzie lekkie zapalenie płuc i kazano mu się położyć na oddziale drugim. Sprzeciwił się. Asystentka zarzuciła mu egoizowanie i wyjaśniła, że jeśli wróci do domu, będzie się musiał do niego fatygować lekarz, żeby mu zapewnić opiekę prywatną. Położył się więc do łóżka na oddziale drugim. Znajdujący się tam pacjenci byli starzy. Po jakimś czasie zjawiła się asystentka i podała mu szklankę wody i pigułkę.

— Co to jest? — zapytał podejrzliwie. Znowu szczękały mu zęby.

— Proszek przeciw gorączce.

— Co to takiego?

— Spędza gorączkę.

— Nie potrzebuję go.

Asystentka wzruszyła ramionami.

— W porządku — powiedziała i wyszła.

Dla większości młodych Anarresyjczyków chorowanie było sprawą wstydliwą — rezultat wyjątkowo skutecznej w ich społeczeństwie profilaktyki, oraz, być może, pomieszania pojęć, wynikłego z analogicznego użycia słów „zdrowy" i „chory". Chorobę odczuwali jako przestępstwo — choćby i nieumyślne. Uleganie temu przestępczemu impulsowi, ustępowanie przed nim przez na przykład przyjmowanie środków przeciwbólowych było niemoralne. Wystrzegali się pigułek i zastrzyków. Większość zmieniała zdanie po nadejściu wieku średniego i starczego. Ból stawał się silniejszy od wstydu. Gdy asystentka przyniosła lekarstwa staruszkom z oddziału drugiego, ci dowcipkowali z nią. Szevek przyglądał się temu w otępieniu.

Później zjawił się jakiś lekarz ze strzykawką.

— Nie chcę — zaprotestował Szevek.

— Przestań egoizować — zganił go doktor — i odwróć się.

Szevek usłuchał. Potem jakaś kobieta podtykała mu kubek z wodą, a on tak dygotał, że pochlapał wodą koc.

— Zostaw mnie w spokoju — poprosił — kto ty jesteś?

Powiedziała mu, ale nie zrozumiał. Kazał jej odejść, gdyż czuje się świetnie. Potem tłumaczył jej, dlaczego hipoteza cykliczności, jakkolwiek sama w sobie poroniona, ma tak kapitalne znaczenie dla jego podejścia do teorii jednoczesności, wręcz stanowi jej kamień węgielny. Mówił częściowo w ojczystym języku, częściowo po ajońsku; kawałkiem kredy wypisał na tabliczce wzory i równania, tak

aby go zrozumieli, ona i reszta grupy, bał się bowiem, ze mogą pojąć opacznie to porównanie z kamieniem węgielnym.

Asystentka dotknęła jego twarzy i zaplotła mu włosy. Dłonie miała chłodne. Nigdy w życiu nie doświadczył niczego przyjemniejszego od ich dotyku. Wyciągnął rękę, żeby ich dotknąć. Ale jej już nie było, odeszła.

Obudził się długi czas potem. Mógł swobodnie oddychać. Czuł się świetnie. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Nie miał ochoty się poruszać. Ruch zakłóciłby tę doskonałą, nieruchomą chwilę, tę równowagę świata. Na suficie jaśniało niewypowiedzianie piękne zimowe światło. Leżał i wpatrywał się w nie. Starcy na oddziale śmiali się chóralnie — starczy, chrapliwy skrzek, przecudny dźwięk. Weszła ta sama kobieta i usiadła przy jego łóżku. Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— Jak się czujesz?

— Jak nowo narodzony. Kto ty jesteś?

Uśmiechnęła się również.

— Matka.

— Powtórne narodziny. Miałem jednak dostać nowe ciało, a nie to samo.

— Mówisz od rzeczy.

— Nie od rzeczy. Od Urras. Powtórne narodziny to część ich religii.

— Jesteś jeszcze osłabiony. — Dotknęła jego czoła. — Nie masz już gorączki.

Jej głos mówiący te cztery słowa dotknął i uraził w najgłębszych zakamarkach jego duszy jakiś punkt, mroczne miejsce, zamurowaną przestrzeń, i tłukł się tam echem w ciemności. Szevek przyjrzał się kobiecie i stwierdził ze zgrozą:

— Ty jesteś Rulag.

— Już ci to mówiłam. I to nie raz!

Zachowała obojętny wyraz, a nawet rozbawiony. O tym, żeby Szevek mógł cokolwiek zachować, nie było mowy. Nie miał siły, żeby się poruszyć, a jednak cofnął się przed nią z nie ukrywanym strachem, jakby nie była jego matką, ale jego śmiercią. Jeśli nawet dostrzegła ten słaby ruch, nie dała tego po sobie poznać.

Była przystojną kobietą, ciemną, o delikatnych, regularnych rysach twarzy, nie naznaczonych bruzdami lat, choć musiała ich liczyć ponad czterdzieści. Cała jej postać wyrażała harmonię i spokój. Miała niski, przyjemny tembr głosu.

— Nie wiedziałam, że bawisz w Abbenay — powiedziała — ani gdzie się obracasz — a nawet czy w ogóle żyjesz. Przeglądałam w składnicy księgarskiej nowe wydawnictwa, szukając tytułów do biblioteki inżynierskiej, i natknęłam się na książkę autorstwa Sabula i

Szeveka. O Sabulu, oczywiście, słyszałam. Ale kto to jest Szevek? Skąd ja znam to imię? Przez dobrą chwilę nie mogłam tego ustalić. Dziwne, prawda? Wreszcie sobie przypomniałam, ale nie wydawało mi się to sensowne. Ten Szevek, którego znałam, miałby dziś ledwie dwadzieścia lat, mało więc prawdopodobne, by mógł być współautorem — i to do spółki z Sabulem — traktatów z metakosmologii. Ale przecież każdy inny Szevek musiałby być jeszcze młodszy!… Poszłam się upewnić. Jakiś chłopiec w mieszkalni powiedział mi, że tu jesteś… W tej klinice jest rażąco mało personelu. Nie pojmuję, dlaczego syndycy nie domagają się od Federacji Medycznej zwiększenia przydziałów pracy albo nie ograniczą liczby przyjęć; niektórzy z tutejszych asystentów i lekarzy pracują po osiem godzin dziennie! Oczywiście, są wśród lekarzy tacy, którzy pragną poświęcać się. Niestety, nie sprzyja to najwyższej wydajności… Było mi dziwnie, kiedy cię tu zobaczyłam. Nigdy bym cię nie poznała. Czy ty i Palat utrzymujecie ze sobą kontakt?

Jakże on się miewa?

— Nie żyje.

— Ach.

W jej głosie nie było nawet pozoru wzruszenia czy żalu, jedynie coś w rodzaju ponurego przyzwyczajenia, jakaś posępna nuta. Szevekiem to wstrząsnęło, przez chwilę nie był w stanie dopatrzyć się w Rulag ludzkiej istoty.

— Jak dawno temu umarł?

— Przed ośmiu laty.

— Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści pięć lat.

— Było trzęsienie ziemi w Równinnem. Mieszkaliśmy tam około pięciu lat, był inżynierem budowlanym wspólnoty. Wstrząs uszkodził ośrodek kształceniowy. Palat wraz z innymi próbował wydostać uwięzione tam dzieci. Przyszedł drugi wstrząs i wszystko runęło. Zginęły trzydzieści dwie osoby.

— A ty gdzie wtedy byłeś?

— Mniej więcej dziesięć dni przed trzęsieniem ziemi wyjechałem, żeby podjąć naukę w Instytucie Okręgowym.

Zamyśliła się, twarz miała wygładzoną i spokojną.

— Biedny Palat. To nawet do niego pasuje — umrzeć wśród innych, statystyka, jeden z trzydziestu dwóch…

— Statystyka byłaby wyższa, gdyby nie wszedł do tego budynku — zauważył.

Popatrzyła na niego. Jej wzrok nie zdradzał, jakich uczuć doświadczała ani jakich nie doświadczała. To, co powiedziała, mogło być spontaniczne lub wykalkulowane, nie sposób było tego rozstrzygnąć.

— Byłeś przywiązany do Palata.

Nie odpowiedział.

— Nie jesteś do niego podobny. Prawdę mówiąc, jesteś podobny do mnie, z wyjątkiem karnacji. Sądziłam, że będziesz podobny do Palata. Tak przypuszczałam — to dziwne, w jaki sposób wyobraźnia człowieka snuje podobne przypuszczenia. A więc został z tobą?

Szevek skinął głową.

— Miał szczęście. — Choć nie westchnęła głośno, w jej głosie można było jednak wyczuć stłumione westchnienie.

— Ja też.

Nastąpiła pauza. Rulag uśmiechnęła się blado.

— Tak. Mogłam była pozostawać z tobą w kontakcie. Czy masz mi za złe, że tego nie zrobiłam?

— Za złe? Nigdy cię nie znałem.

— Owszem, znałeś. Zatrzymaliśmy cię z Palatem w domicylu, gdy już odstawiłam cię od piersi. Oboje tego chcieliśmy. Kontakt osobisty w tych najwcześniejszych latach ma zasadnicze znaczenie; psychologowie udowodnili to ponad wszelką wątpliwość. Dopiero na takim uczuciowym podłożu można rozwinąć pełną socjalizację… Chciałam kontynuować partnerstwo. Próbowałam wystarać się dla Palata o przydział do Abbenay. Ale nigdy nie było wakatów w jego dziedzinie, a on bez przydziału nie zgodziłby się tutaj przyjechać. Bywał uparty… Z początku pisywał czasem, żeby mi donieść, jak się miewasz, potem przestał.

— To nie ma znaczenia — powiedział młodzieniec. Jego wychudzoną chorobą twarz pokrywały kropelki potu, sprawiające, że policzki i czoło lśniły srebrzyście jakby naoliwione.

Znowu zapadła cisza, po czym Rulag powiedziała swoim spokojnym, sympatycznym głosem:

— Ależ owszem; to miało znaczenie i nadal je ma. Ale to Palatowi przypadło w udziale zostać z tobą i przeprowadzić przez kształtujące cię lata. Był opiekuńczy, rodzicielski, ja taka nie jestem. Dla mnie najważniejsza jest praca. Zawsze tak było. Mimo to cieszę się, że cię widzę, Szevek. Może będę ci teraz mogła oddać jakąś przysługę. Wiem, że Abbenay może wydać się na początku miejscem strasznym. Człowiek czuje się tutaj zagubiony, pozbawiony tej codziennej solidarności, jaką masz w małych miastach. Znam tu ciekawych ludzi, których może miałbyś ochotę poznać. A także takich, którzy mogliby ci się na coś przydać. Znam Sabula; potrafię sobie wyobrazić, co z nim przechodzisz i z czym przychodzi ci się stykać w Instytucie. Oni tam uprawiają gierki dominacji. Trzeba mieć trochę doświadczenia, żeby wiedzieć, jak ich ogrywać. Tak czy owak, cieszę się, że tu jesteś. Sprawia mi to nieoczekiwaną przyjemność — coś w rodzaju radości… Czytałam twoją książkę.

To tyś ją napisał, prawda? Bo inaczej po co miałby ją Sabul

wydawać do spółki z dwudziestoletnim studentem? Temat mnie przerasta, jestem tylko inżynierem. Wyznaję, że jestem z ciebie dumna.

Dziwne, prawda? Nierozsądne. Nawet zawłaszczycielskie. Jak gdybyś był moją własnością! Lecz kiedy człowiek się starzeje, potrzebuje pewnych pociech, nie zawsze w stu procentach rozsądnych. Żeby móc w ogóle jakoś żyć.

Zrozumiał, że jest samotna. Wyczuł jej ból i wezbrała w nim niechęć. To stanowiło dla niego zagrożenie. Zagrażało lojalności wobec ojca, tej czystej, niewzruszonej miłości, w której było zakorzenione jego życie. Jakież ona, która opuściła Palata w potrzebie, miała prawo, żeby — sama się w niej znalazłszy — przychodzić do jego syna? Nie miał nic, nie miał nic do ofiarowania — jej czy komukolwiek.

— Byłoby chyba lepiej — powiedział — gdybyś i o mnie myślała nadal jako o jednostce statystycznej.

— Ach — szepnęła; cicha, zdawkowa, obojętna odpowiedź. Odwróciła od niego oczy.

Starcy w końcu sali zerkali na nią z podziwem, szturchając jeden drugiego łokciami.

— Podejrzewam — powiedziała — ze próbowałam coś od ciebie dostać. Sądziłam jednak, ze i ty zechcesz coś wziąć ode mnie.

Gdybyś miał ochotę.

Nie odpowiedział.

— Nie jesteśmy, oczywiście, poza w sensie biologicznym, matką i synem. — Przywołała swój blady uśmiech. — Ty mnie nie pamiętasz, a dziecko, które ja pamiętam, nie jest tym dwudziestoletnim mężczyzną. To wszystko należy do przeszłości, nie liczy się.

Ale jesteśmy bratem i siostrą, tu i teraz. I to się liczy naprawdę, czyż nie?

— Nie wiem.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, potem wstała.

— Musisz odpocząć. Byłeś naprawdę chory, kiedy tu pierwszy raz przyszłam. Zapewniają, że teraz całkiem wyzdrowiejesz. Więcej już chyba nie przyjdę.

Milczał.

— Do widzenia, Szevek — powiedziała, odwracając się od niego.

Albo to było przelotne wrażenie, albo majak senny, ale wydało mu się, że gdy wymawiała te słowa, jej twarz zmieniła się nagle, pękła, rozpadła się na fragmenty. To musiało mu się przywidzieć.

Rulag wyszła z oddziału pełnym wdzięku, równym krokiem przystojnej kobiety; widział, jak przystaje w holu i uśmiechnięta rozmawia z asystentką.

Ogarnął go lęk, który wraz z nią się pojawił, poczuł, że zostały

złamane jakieś obietnice, doznał niespójności Czasu. Rozkleił się.

Wybuchnął płaczem, usiłując zasłonić twarz rękami, bo nie miał siły, żeby się odwrócić. Któryś ze starców — chorych starców — podszedł, usiadł na brzegu łóżka i poklepał go po ramieniu.

— Już dobrze, bracie. Wszystko będzie dobrze, mały bracie — wymamrotał.

Szevek słyszał jego słowa, czul dotyk, lecz nie znajdował w tym pocieszenia. Nawet brat nie przyniesie pociechy w złej godzinie, w ciemności u stóp muru.

Rozdział piąty
Urras

Z ulgą porzucił karierę turysty. Na Ieu Eun zaczynał się nowy semestr; mógł teraz osiąść i pracować w Raju, a nie tylko przypatrywać mu się z zewnątrz.

Podjął się prowadzenia dwóch seminariów oraz otwartych wykładów. Nie wymagano od niego, żeby uczył, lecz gdy zapytał, czy nie mógłby tego robić, władze administracyjne zorganizowały mu seminaria. Pomysł otwartych wykładów nie pochodził ani od niego, ani od nich. Z prośbą, by je wygłaszał, wystąpiła doń delegacja studentów. Zgodził się bez wahania. Tak właśnie organizowano kursy w ośrodkach kształceniowych na Anarres: na żądanie studentów, z inicjatywy nauczyciela bądź wspólnym staraniem studentów i nauczycieli. Kiedy odkrył, że władze uczelni przyjęły ten fakt niechętnie, roześmiał się.

— Czyżby mieli nadzieję, że studenci nie okażą się anarchistami? — zdziwił się. — A kimże innym mają być młodzi? Gdy się jest na dole, trzeba organizować się od dołu!

Ani myślał pozwolić, żeby mu administracyjnie prowadzenie tego kursu uniemożliwiono — stoczył już kiedyś podobną walkę — a ponieważ objawił swą stanowczość studentom, ci twardo obstawali przy swoim. Chcąc uniknąć niepożądanego rozgłosu, rektorzy uniwersytetu ustąpili i Szevek rozpoczął kurs przed audytorium, liczącym pierwszego dnia dwa tysiące słuchaczy. Frekwencja wnet jednak spadła. Wykładowca trzymał się swego przedmiotu — fizyki wykładanej na bardzo wysokim poziomie — nie wdając się w osobiste czy polityczne dywagacje. Kilkuset studentów przychodziło wszak nadal. Jedni z czystej ciekawości ujrzenia człowieka z Księżyca; inni przyciągani osobowością Szeveka, wizerunkiem człowieka i wolnomyśliciela, jaki odczytywali z jego słów, nawet gdy nie byli w stanie podążać za tokiem jego matematycznego wywodu. Jednak zaskakująco wielu potrafiło śledzić zarówno jego filozofię, jak i matematykę.

Byli wyśmienicie przygotowani. Umysły mieli bystre i chłonne. Kiedy nie pracowali, oddawali się wypoczynkowi. Nie otępiały ich i nie rozpraszały dziesiątki innych obowiązków. Nigdy nie zasypiali na wykładach ze zmęczenia, dlatego że poprzedniego dnia przypadł ich okresowy dyżur. Społeczeństwo zapewniało im to, iż byli całkowicie wolni od potrzeb, kłopotów i trosk.

Inna sprawa, co im było wolno. Szevek odnosił wrażenie, że uwolnienie ich od obowiązków pozostawało w zależności wprost

proporcjonalnej do braku własnej inicjatywy.

System egzaminacyjny, który poznał, przejął go zgrozą. Trudno mu było wyobrazić sobie skuteczniejszą metodę zohydzania naturalnego pociągu do nauki niż to wkuwanie wiadomości i wydawanie ich na żądanie. Początkowo odmówił przeprowadzania jakichkolwiek testów i wystawiania ocen, władzami uniwersyteckimi tak to jednak wstrząsnęło, że ustąpił, nie chcąc okazać braku szacunku dla gospodarzy. Poprosił swoich studentów, by napisali rozprawkę na temat dowolnego, zajmującego ich zagadnienia fizyki, zapowiadając, że wystawi wszystkim najwyższe oceny, aby biurokraci mieli co odnotować w swoich kwestionariuszach i formularzach. Ku jego zdziwnieniu niemała liczba studentów wyraziła swoje niezadowolenie z takiego rozwiązania. Oczekiwali odeń, że postawi przed nimi problemy, zada odpowiednie pytania; nie pragnęli obmyślać pytań, ale napisać odpowiedzi, jakich się wyuczyli.

Niektórzy zaś sprzeciwili się stanowczo jego zamiarowi wystawienia wszystkim jednakowej oceny. Jak można będzie odróżnić studentów pilnych od tępych? Po cóż się więc przykładać do nauki?

Jeśli nie będzie się stawiało stopni, człowiek może równie dobrze nic nie robić.

— No cóż, naturalnie — zgodził się zakłopotany. — Jeśli nie ma się ochoty na wykonanie jakiejś pracy, nie powinno się jej podejmować.

Odeszli nieusatysfakcjonowani, niezmiennie wszakże uprzejmi. Mili z nich byli chłopcy, otwarci i dobrze ułożeni. To, co czytał o historii Urras, wzbudziło w nim przekonanie, że byli w gruncie rzeczy — choć to słowo wychodziło już z użycia — arystokratami.

W czasach feudalnych arystokracja posyłała swoich synów na uniwersytety, nobilitując owe instytucje. W dzisiejszych było na odwrót: uniwersytet nobilitował człowieka. Szevekowi opowiadano z dumą, że rywalizacja o stypendia Ieu Eun z roku na rok się zaostrza, świadcząc o z gruntu demokratycznym charakterze tej instytucji. Odrzekł na to: „Zakładacie kolejny zamek na drzwi i nazywacie to demokracją". Lubił swoich uprzejmych, inteligentnych studentów, lecz do żadnego z nich nie żywił cieplejszych uczuć.

Planowali zrobienie kariery naukowej w przemyśle lub szkolnictwie wyższym, to zaś, czego się od niego uczyli, traktowali jako środek do osiągnięcia celu, którym było odniesienie sukcesu. Odrzucali bądź przeczyli ważności wszystkiego, co ponad to mógł im ofiarować.

Uznał więc, że poza przygotowaniami do zajęć nie spoczywają już na nim inne obowiązki; resztą czasu mógł dysponować swobodnie. Nie był w podobnej sytuacji, odkąd jako dwudziestoparolatek zaczynał naukę w Instytucie w Abbenay. Od tamtej pory jego rola społeczna i

życie osobiste coraz bardziej się gmatwały, pochłaniając go też coraz bardziej. Był nie tylko fizykiem, lecz i partnerem, ojcem, odonianinem, reformatorem społecznym wreszcie. Jako ten ostatni nie podlegał ochronie — ani też jej oczekiwał — przed wszelkimi troskami i zobowiązaniami, jakie rola ta na niego nakładała. Od niczego nie był wolny — miał tylko wolną rękę i mógł robić, co chciał. Tu było na odwrót. Podobnie jak studenci i profesorowie nie miał — poza pracą intelektualną — nic, ale to nic do roboty. Słano za nich łóżka, zamiatano pokoje, uwalniano ich od rutyny codziennego uczelnianego bytowania, usuwano im spod nóg wszelkie kłody. Do tego żadnych żon, żadnych rodzin. Żadnych w ogóle kobiet. Studentom uniwersytetu nie wolno się było żenić. Żonaci profesorowie przez pięć dni nauki siedmiodniowego tygodnia mieszkali zwykle w kawalerskich pokojach w campusie, do domu wyjeżdżali jedynie na weekendy. Nic nie odwracało ich uwagi. Pełna swoboda do pracy; wszystkie materiały pod ręką; na każde zawołanie — podnieta umysłowa, dyskusja, rozmowa; żadnych nacisków. Istny raj! Minio to nie mógł jakoś zabrać się do pracy.

Czegoś brakowało — jemu samemu, jak sądził, nie temu miejscu. Nie dorastał do niego. Nie był dość silny, aby przyjąć to, co mu tak hojnie ofiarowywano. Czuł się jałowy, niczym pustynna roślina wśród tej cudnej oazy. Życie na Anarres odcisnęło na nim swoje piętno, zapieczętowało mu duszę; dokoła tryskały wody życia, a on nie umiał pić.

Zmuszał się do pracy, lecz i w niej nie znajdował potwierdzenia.

Wyglądało na to, że utracił dar, który poczytywał sobie za swą główną przewagę nad większością pozostałych fizyków: wyczulenie na to, gdzie tkwi problem naprawdę ważny, tę wskazówkę, która wskazywała mu sedno rzeczy. Tutaj zdawał się być pozbawiony poczucia kierunku. Pracował w Laboratoriach Badań nad Światłem, dużo czytał, tamtego lata i jesieni napisał trzy rozprawy: wydajne pół roku wedle standardów. Lecz on wiedział, że w gruncie rzeczy niczego ważnego nie dokonał.

Im dłużej mieszkał na Urras, tym mniej wydawała mu się ona realna. Ten kipiący życiem, wspaniały, nieprzebrany świat, który oglądał z okien pierwszego dnia swojego tu pobytu, zdawał mu się wyślizgiwać z rąk. Wyślizgiwał się z jego niezgrabnych, obcych rąk, wymykał mu się, kiedy zaś spoglądał nań powtórnie, stwierdzał, że trzyma w dłoniach coś zgoła innego, coś, na czym wcale mu nie zależało, jakiś zmięty papier, opakowanie, śmieci.

Za artykuły, które napisał, otrzymał pieniężną zapłatę. Na jego koncie w Banku Narodowym leżało już 10 000 międzynarodowych jednostek monetarnych z nagrody Seo Oen oraz 5 000 przyznanego mu przez rząd ajoński stypendium. Sumę tę powiększały obecnie jego

profesorskie zarobki i honoraria za trzy monografie, wypłacone mu przez Wydawnictwo Uniwersyteckie. To wszystko zrazu go bawiło; potem wprawiło w zakłopotanie. Nie wolno mu odrzucać jako dziwactwa czegoś, co miało tutaj tak wielkie znaczenie. Spróbował przeczytać jakiś elementarny tekst z ekonomii; znudził go śmiertelnie; przypominał słuchanie kogoś, kto opowiada rozwlekle jakiś długi i głupi sen. Nie potrafił nakłonić się do zrozumienia sposobu funkcjonowania banków i tym podobnych instytucji, wszystkie bowiem kapitalistyczne operacje były dlań równie pozbawione sensu, co rytuały jakiejś prymitywnej religii; wydawały mu się równie barbarzyńskie, pokrętne i zbędne.

W składanej bóstwu ofierze z ludzi zawierać się mogło jakieś błędne i straszliwe piękno; w obrzędach waluciarzy — w których ludzką aktywność wyzwalać miały jedynie pazerność, lenistwo i zawiść — nawet to, co straszne, stawało się trywialne. Szevek przyglądał się tej potwornej nikczemności z pogardą, bez zaciekawienia. Nie przyznawał się sam przed sobą — nie umiał — że tak naprawdę przejmowała go ona lękiem.

W drugim tygodniu jego pobytu w A-Io Saio Pae zabrał go na „zakupy". Szevek, jakkolwiek nie zamierzał obcinać włosów — ostatecznie stanowiły jego część — chciał się choć ubrać po urrasyjsku i włożyć buty. Nie zależało mu na tym, skoro mógł temu zaradzić, by kłuć w oczy swym cudzoziemskim wyglądem. Zgrzebność jego starego ubioru ostentacyjnie podkreślała jego obcość, miękkie zaś, prymitywne sandały wyglądały istotnie dziwacznie wśród wymyślnego obuwia Ajończyków. Na jego więc prośbę Pae zawiózł go na ulicę Saemtenevia, elegancką ulicę handlową w Nio Esseii, żeby u krawca i szewca zaopatrzył się w co potrzeba.

Doświadczenie to tak nim wstrząsnęło, że czym prędzej wyrzucił je z pamięci, ale ono jeszcze po miesiącach wracało doń w snach, w zmorach sennych. Ulica Saemtenevia, długa na dwie mile, przedstawiała sobą zbitą masę ludzi, pojazdów i towarów: towarów do kupienia, towarów na sprzedaż. Płaszcze, togi, szlafroki, sukienki, spodnie, bryczesy, koszule, bluzki, kapelusze, buty, pończochy, szarfy, szale, kamizelki, peleryny, parasolki, ubrania do spania, do pływania, do gier, na popołudniowe przyjęcia, na przyjęcia wieczorne, na przyjęcia na wsi, do podróży, do teatru, do jazdy konnej, do pracy w ogrodzie, do przyjmowania gości, wyjściowe, do obiadu, do polowania — każde zaś inne, o stu różnych krojach, splotach, ze stu różnych materiałów, w stu różnych fasonach i kolorach. Perfumy, zegary, lampy, statuetki, kosmetyki, świece, obrazy, aparaty fotograficzne, gry, wazy, kanapy, czajniki, łamigłówki, poduszki, lalki, durszlaki, podnóżki, klejnoty, dywany, wykałaczki, kalendarze, dziecięce grzechotki z platyny o rączkach z górskiego kryształu,

maszynki elektryczne do temperowania ołówków, zegarki na rękę z diamentowymi cyframi; figurynki, pamiątki, cacuszka, błyskotki, rupiecie, a wszystko albo z założenia bezużyteczne, albo tak ozdobione, by ukryć praktyczne przeznaczenie; całe akry luksusu, akry ekskrementów. Szevek zatrzymał się za pierwszą zaraz przecznicą, żeby się przyjrzeć kosmatemu, cętkowanemu paltu, wystawionemu w błyszczącej witrynie z ubraniami i klejnotami.

— To palto kosztuje 8 400 jednostek? — zapytał z niedowierzaniem, przeczytał bowiem niedawno w gazecie, że płaca „minimalna" wynosi 2 000 jednostek rocznie.

— O tak, to prawdziwe futro, wielka dziś rzadkość, odkąd zwierzęta są pod ochroną — wyjaśnił Pae. — Ładne, nieprawdaż? Kobiety kochają się w futrach.

Ruszyli dalej. Za następną przecznicą Szevek poczuł się zupełnie wyczerpany. Nie mógł dłużej patrzeć na to wszystko. Nie wiedział, gdzie podziać oczy.

Najdziwniejsze na tej koszmarnej ulicy było to, że żaden z milionów wystawionych na sprzedaż przedmiotów nie został tam wyprodukowany. Sprzedawano je tam tylko. Gdzież były warsztaty, fabryki, gdzie rolnicy, rzemieślnicy, górnicy, tkacze, chemicy, snycerze, farbiarze, konstruktorzy, mechanicy, gdzie ręce, gdzie trudzący się ludzie? Poza polem widzenia, gdzie indziej. Za murami. Ci zaś osobnicy, we wszystkich tych sklepach, byli albo nabywcami, albo sprzedawcami. Jedynym stosunkiem, jaki łączył ich z tymi przedmiotami, był stosunek własności.

Stwierdziwszy, że gdy raz wzięto jego miarę, może wszystko, co potrzebne, zamawiać przez telefon, postanowił nie wracać nigdy więcej na tę upiorną ulicę.

Ubranie i buty dostarczono mu w ciągu tygodnia. Włożył je i stanął przed wysokim lustrem w sypialni. Szary, dopasowany surdut, biała koszula, czarne spodnie, skarpetki i wyglansowane buty pasowały do jego wysokiej, szczupłej figury i wąskich stóp.

Dotknął ostrożnie powierzchni jednego z butów. Wykonano go z tej samej substancji, którą były obite krzesła w sąsiednim pokoju — materiału przypominającego w dotyku skórę; zapytał kogoś ostatnio, co to takiego, i dowiedział się, że to w istocie skóra — skóra zwierzęca, skóra wyprawiona, jak ją nazywano. Nachmurzył się, dotknąwszy tego, a następnie wyprostował i odwrócił od lustra; nie wcześniej jednak, nim nie był zmuszony przyznać, że tak odziany, jest bardziej niż kiedykolwiek podobny do Rulag, jego matki.

W połowie jesieni zaczęła się długa przerwa między semestrami. Większość studentów wyjechała na ferie do domu. Szevek z grupą studentów i pracowników naukowo-badawczych z Laboratoriów Badań nad Światłem wybrał się na kilkudniową górską włóczęgę w

pasmo Meitei, a potem wrócił, by prosić o dostęp na parę godzin do potężnego komputera, podczas semestru bezustannie zajętego. Zniechęcony pracą, która prowadziła donikąd, nie przemęczał się zbytnio. Sypiał więcej niż zwykle, chodził na spacery, czytał i powtarzał sobie, że odbija się na nim po prostu nazbyt wielki pośpiech; nie można w parę miesięcy ogarnąć nowego świata. Uniwersyteckie trawniki i parki wyglądały pięknie i dziko; pod miękkim, szarym, deszczowym niebem połyskiwały niesione wiatrem złote liście. Szevek sięgnął po dzieła wielkich poetów ajońskich i przeczytał je; rozumiał ich teraz, gdy pisali o kwiatach, fruwających ptakach i jesiennych kolorach lasów. Ta zdolność rozumienia sprawiła mu szaloną przyjemność. Przyjemnie było wracać o zmierzchu do pokoju, którego oszczędne, piękne proporcje nie przestały go nigdy cieszyć. Przywykł już do tego wyrafinowania i wygód, oswoił się z nimi. Podobnie jak z twarzami kolegów przy wspólnych wieczerzach; jednych lubił bardziej, innych mniej, ale wszyscy byli mu już znajomi. Przyzwyczaił się też do jedzenia, do jego rozmaitości i ilości, które szokowały go na początku. Usługujący do stołu mężczyźni wiedzieli już, czego sobie życzył, i obsługiwali tak, jak by sam się obsłużył. Nadal nie jadł mięsa; próbował, z uprzejmości, oraz by wykazać sobie, że nie ulega nieracjonalnym uprzedzeniom, ale jego żołądek — z sobie tylko znanych powodów — zbuntował się. Po kilku takich próbach, które się omal nie skończyły katastrofą, Szevek poniechał dalszych i pozostał — z całego serca — wegetarianinem. Kolacje bardzo mu smakowały.

Od przybycia na Urras przybrał na wadze trzy lub cztery kilo; opalony po górskiej wyprawie, wypoczęty po feriach, wyglądał świetnie. Przyciągał spojrzenia, kiedy w wielkiej sali jadalnej o wysokim, belkowanym, tonącym w półmroku suficie i wykładanych boazerią, obwieszonych portretami ścianach, wstał od zastawionego porcelaną i srebrem, rozjarzonego płomykami świec stołu. Pozdrowił kogoś przy sąsiednim stole i z wyrazem pogodnego roztargnienia na twarzy skierował się ku wyjściu. W drzwiach dogonił go Chifoilisk, który go wypatrzył z drugiego końca sali.

— Nie znalazłby pan dla mnie paru minut, Szevek?

— Owszem. W moim mieszkaniu?

Przyzwyczaił się już do ciągłego używania zaimków dzierżawczych i posługiwał się nimi bezwiednie.

Chifoilisk zdawał się wahać.

— Co by pan powiedział na bibliotekę? Panu po drodze, a ja wziąłbym sobie stamtąd jakąś książkę.

Ramię przy ramieniu w siąpiącej deszczem ciemności ruszyli przez dziedziniec w stronę Biblioteki Nauki Szlachetnej — Nauka Szlachetna była to stara nazwa fizyki, która w pewnych znaczeniach

zachowała się nawet na Anarres. Chifoilisk otworzył parasol, ale Szevek szedł w deszczu jak Ajończycy w słońcu — z radością.

— Przemoknie pan — mruknął Chifoilisk. — Zdaje się, że miał pan coś z płucami, prawda? Powinien pan na siebie uważać.

— Czuję się świetnie — rzekł Szevek i uśmiechnął się, krocząc w świeżej, przyjemnej mżawce. — Ten rządowy doktor, wie pan, przepisał mi pewną kurację, inhalacje. To skutkuje; już nie kaszlę.

Poprosiłem go, żeby opisał te zabiegi i przez radio podał skład leków Syndykatowi Inicjatywy w Abbenay. Zrobił to. Zrobił to chętnie. Metoda jest całkiem prosta; może przynieść znaczną ulgę w kaszlu wywoływanym pylicą. Czemu nie wcześniej, czemu?

Dlaczego my nie współpracujemy ze sobą, Chifoilisk?

Thuwiańczyk chrząknął sarkastycznie. Weszli do czytelni.

W ciszy półmroku, pod delikatnymi podwójnymi łukami z marmuru stały szpalery starych ksiąg; lampy na długich stołach miały kształt zwykłych kuł z alabastru. W czytelni nie było żywej duszy, w ślad za nimi wbiegł jednak pośpiesznie posługacz, żeby rozpalić ogień na marmurowym kominku i upewnić się, nim się nie usunął, czy niczego nie potrzebują. Chifoilisk stał przy kominku, wpatrzony w zajmującą się podpałkę. Nad małymi oczami zjeżyły mu się brwi; jego surowa, smagła, inteligentna twarz wyglądała starzej niż zwykle.

— Mam zamiar być nieprzyjemny, Szevek — zaczął szorstkim głosem. — Nic w tym niezwykłego, jak przypuszczam — dorzucił z pokorą, jakiej się Szevek po nim nie spodziewał.

— O co chodzi?

— Chciałbym wiedzieć, czy pan zdaje sobie sprawę, co tu właściwie porabia.

Minęła chwila, nim Szevek odpowiedział:

— Sądzę, że tak.

— Ma pan zatem świadomość, że został kupiony?

— Kupiony?

— Powiedzmy dokooptowany, jeśli pan woli. Proszę posłuchać.

Choćby nie wiem jak inteligentny był człowiek, nie zdoła dostrzec tego, na co nie umie patrzeć. Jak może pan zrozumieć swoją sytuację w plutokratyczno-oligarchicznym państwie o gospodarce kapitalistycznej? Jakże pan, przybysz z małej społeczności przymierających głodem idealistów tam w niebie, może się w niej rozeznać?

— Zapewniam cię, Chifoilisk, że niewielu już idealistów zostało na Anarres. Osadnicy, ci owszem, byli idealistami, porzucając ten świat dla naszych pustyń. Ale to było siedem pokoleń temu! Nasze społeczeństwo jest praktyczne. Może nazbyt praktyczne, zanadto skoncentrowane na samym tylko przetrwaniu. Co masz takiego idealistycznego w społecznej współpracy, we wzajemnej pomocy, gdy

to jedyne sposoby utrzymania się przy życiu?

— Nie myślę dyskutować z panem nad wartościami odonizmu.

Co nie znaczy, bym nie chciał! Widzi pan, coś niecoś wiem o tym.

W moim kraju jesteśmy tego bez porównania bliżsi niż tutejsi ludzie. Pozostajemy dziedzicami tego samego wielkiego rewolucyjnego ruchu Ósmego Stulecia — socjalistami, podobnie jak wy.

— Ale wy uznajecie władzę. Państwo Thu jest bardziej nawet jeszcze scentralizowane niż A-Io. Jedna struktura władzy kontroluje wszystko — rząd, administrację, policję, wojsko, system oświatowy, prawo, handel, wytwórczość. Do tego macie gospodarkę opartą na pieniądzu.

— Gospodarkę opartą na pieniądzu oraz na zasadzie, że każdy pracownik jest opłacany stosownie do zasługi, do wartości swojej pracy — nie przez kapitalistów, którym zmuszony jest służyć, ale przez państwo, którego jest częścią!

— Czy to on sam określa wartość swojej pracy?

— Co stoi na przeszkodzie, by przyjechał pan do Thu i przekonał się na własne oczy, jak funkcjonuje realny socjalizm?

— Ja wiem, jak funkcjonuje realny socjalizm — odparł Szevek. — Mógłbym wam o tym opowiedzieć; tylko czy wasz rząd pozwoliłby mi wyjaśniać to u was, w Thu?

Chifoilisk kopnął nogą kłodę, która się dotąd nie zajęła. Patrzył w ogień z zaciętym wyrazem twarzy, od jego nosa do kącików warg biegły głębokie bruzdy. Nie odpowiedział Szevekowi na pytanie. Wreszcie rzekł:

— Nie myślę bawić się z panem w ciuciubabkę. To by się na nic nie zdało; zresztą i tak nie miałem takiego zamiaru. Polecono mi zapytać pana o rzecz następującą: czy byłby pan skłonny przyjechać do Thu?

— Jeszcze nie teraz, Chifoilisk.

— Co pana tu trzyma…?

— Moja praca. Ponadto jestem tu blisko siedziby Rady Rządów Świata…

— RRŚ? Od trzydziestu lat siedzą w kieszeni u A-Io. Od nich niech pan nie oczekuje ratunku!

Pauza.

— Więc jestem w niebezpieczeństwie?

— Nawet tego pan nie zauważył?

Kolejna pauza.

— Przed kim mnie ostrzegasz?

— Przed Pae, w pierwszym rzędzie.

— Ach, Pae. — Szevek oparł się rękami o ozdobny, inkrustowany złotem kominek. — To zupełnie niezły fizyk. Jest przy tym bardzo

usłużny. Lecz ja mu nie ufam.

— Dlaczego?

— No cóż… Wyślizguje się.

— Słusznie. Przenikliwa psychologicznie ocena. Tylko że Pae, Szevek, nie zagraża panu dlatego, że jest osobiście śliski. Stanowi dla pana zagrożenie, gdyż jest lojalnym, ambitnym agentem ajońskiego rządu. Regularnie donosi na pana, a także na mnie, do Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego — tajnej policji. Daleki jestem od tego, by pana nie doceniać, uchowaj Boże, ale czy nie widzi pan, że pański zwyczaj traktowania każdego jak osoby, jednostki jest tu nie na miejscu, chybia. Musi pan dostrzegać siły, kryjące się za indywiduami.

Gdy to mówił, Szevek, dotąd rozluźniony, stężał; stał teraz, podobnie jak tamten, sztywno wyprostowany, wpatrzony w ogień.

Powiedział:

— Skąd wiesz to o Pae?

— Stąd, skąd wiem, że w pańskim pokoju, podobnie jak w moim, znajduje się ukryty mikrofon. Bo jest moim zawodem wiedzieć to.

— Czy i ty jesteś agentem swojego rządu?

Twarz Chifoiliska zamknęła się; nagle odwrócił się w stronę Szeveka i wycedził cicho, ze złością:

— A jestem, naturalnie, że jestem. Gdybym nie był, nie byłoby mnie tutaj. Wszyscy o tym wiedzą. Mój rząd wysyła za granicę jedynie tych, którym może ufać… A mnie ufać może! Bo ja nie zostałem kupiony jak ci wszyscy przeklęci, nadziani ajońscy krętacze. Ja wierzę w mój rząd, w mój kraj. Pokładam w nich wiarę — wyrzucił z siebie te słowa z jakimś udręczonym przymusem. — Szevek, pan się powinien baczniej wokół siebie rozejrzeć! Jest pan jak dziecko pośród złodziei. Są dla pana dobrzy, dają panu piękny pokój, zapewniają wykłady, studentów, pieniądze, obwożą po zamkach, wożą do pokazowych fabryk, na wycieczki do ładnych wiosek. Samo najlepsze. Wszystko takie śliczne, piękne! Ale dlaczego? Dlaczego sprowadzili tu pana z Księżyca, wychwalają pana, drukują panu książki, czemu moszczą panu ciepłe gniazdka w salach wykładowych, w laboratoriach i bibliotekach? Czy sądzi pan, że czynią tak z bezinteresownej miłości do nauki, z miłości braterskiej? To jest gospodarka nastawiona na zysk, Szevek!

— Wiem o tym. Przyjechałem się z nią potargować.

— Potargować… Co za co?

Na twarzy Szeveka pojawił się ten sam zimny, chmurny wyraz, z jakim opuszczał twierdzę w Drio.

— Ty wiesz, czego ja chcę, Chifoilisk. Chcę, by mój naród powrócił z wygnania. Przyjechałem tutaj, ponieważ nie sądzę, byście i wy w Thu tego pragnęli. Wy się nas boicie. Boicie się, że moglibyśmy przywlec do was z powrotem rewolucję, tę dawną, prawdziwą,

walczącą o sprawiedliwość, tę, którą rozpoczęliście, a potem porzuciliście w pół drogi. Tu, w A-Io, mniej się mnie boją, bo już o rewolucji zapomnieli. Już w nią nie wierzą, wydaje im się, że jeśli ludzie będą mogli posiadać dostateczną ilość rzeczy, przystaną na życie w więzieniu. Ale ja w to nigdy nie uwierzę. Chcę zburzyć mury. Chcę solidarności, ludzkiej solidarności. Chcę swobodnej wymiany między Urras i Anarres. Pracowałem na to ze wszystkich sił na Anarres, teraz pracuję na to jak mogę na Urras.

Tam działałem, tu kupczę.

— Czym?

— Och, ty to wiesz, Chifoilisk — ściszonym głosem odparł nieśmiało Szevek. — Wiesz, czego oni ode mnie chcą.

— Tak, wiem, nie wiedziałem tylko, że i pan to wie — równie cicho odrzekł Thuwiaóczyk; jego chrapliwy głos zniżył się do jeszcze chrapliwszego szmeru, złożonego jedynie z oddechu i głosek szczelinowych. — A więc pan nią dysponuje — ogólną teorią czasu?

Szevek spojrzał na niego, nie bez cienia ironii.

Chifoilisk nalegał: — Czy ona istnieje na piśmie?

Szevek przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, po czym zaprzeczył krótko:

— Nie.

— To dobrze!

— Dlaczego?

— Bo gdyby tak było, oni już by ją mieli.

— Co masz na myśli?

— Właśnie to. Niech pan posłucha, czy to nie Odo powiedziała, że tam, gdzie jest własność, jest i kradzież?

— Żeby stworzyć złodzieja, uczyń właściciela; żeby spłodzić zbrodnię, ułóż prawa. Organizm społeczny.

— Niech i tak będzie. Jeśli w zamkniętym pokoju znajdują się dokumenty, znajdą się i ludzie z kluczami do niego!

Szevek wzdrygnął się.

— Tak — przyznał po chwili — to bardzo nieprzyjemne.

— Dla pana. Nie dla mnie. Ja nie mam, widzi pan, pańskich indywidualistycznych skrupułów moralnych. Wiedziałem, że nie ma pan teorii na piśmie. Gdybym sądził inaczej, uczyniłbym wszystko, żeby ją od pana wydostać — drogą perswazji, kradzieży, wreszcie siłą, gdybym uznał, że możemy pana uprowadzić, nie wywołując tym wojny z A-Io. Chwyciłbym się każdego sposobu, byle wyrwać ją tym spasionym ajońskim burżujom i złożyć w ręce Centralnego Prezydium mojego kraju. Najszczytniejszą bowiem sprawą, jakiej mógłbym służyć, jest siła i pomyślność mej ojczyzny.

— Kłamiesz — stwierdził spokojnie Szevek. — Sądzę, że jesteś patriotą, i owszem. Ale ponad patriotyzm przedkładasz szacunek dla

prawdy, naukowej prawdy; a może i lojalność wobec pojedynczego człowieka. Nie zdradzisz mnie.

— Zrobiłbym to, gdybym mógł — rzucił z zawziętością Chifoilisk. Chciał mówić dalej, rozmyślił się, w końcu dodał z gniewną rezygnacją: — Niech pan myśli, co się panu podoba. Nie mogę siłą otworzyć panu oczu. Ale proszę pamiętać, że my pana potrzebujemy. Kiedy zda pan sobie wreszcie sprawę, co się tutaj dzieje, proszę przyjechać do Thu. Wybrał pan sobie nieodpowiednich ludzi do zawierania braterstwa! Gdyby zaś — nie leży w moim interesie, by to panu mówić, ale trudno — gdyby nie zdecydował się pan do nas przyjechać, niech pan przynajmniej nie udostępnia swojej teorii Ajończykom. Niech pan niczego nie ofiarowuje tym lichwiarzom! Niech pan stąd wyjedzie. Wraca do domu. Złoży swój dar własnemu narodowi!

— Oni go nie chcą — odrzekł beznamiętnie Szevek. — Myślisz, że nie próbowałem?

Kiedy w cztery czy pięć dni potem Szevek zapytał o Chifoiliska, dowiedział się, że ten wrócił do Thu.

— Na dobre? Nie powiedział mi, że wyjeżdża.

— Thuwiańczyk nigdy nie wie, kiedy dostanie rozkaz od swego Prezydium — wyjaśnił mu Pae, bo to oczywiście Pae go o tym poinformował. — Wie tylko, że gdy taki rozkaz nadejdzie, lepiej wykonać go migiem. I nie ociągać się po drodze. Biedny stary Chif!

Ciekaw jestem, w czym też pobłądził.

Parę razy w tygodniu Szevek odwiedzał Atro w miłym domku na obrzeżach campusu, gdzie staruszek mieszkał wraz z kilkoma służącymi, równie jak on sędziwymi, którzy się nim opiekowali.

Dobiegając osiemdziesiątki, był — jak sam to ujmował — pomnikiem pierwszorzędnego fizyka. Choć nie spotkał go los Gvarab i praca jego życia została doceniona, z racji samego wieku osiągnął podobną jej obojętność. Jego zainteresowanie przybyszem z Księżyca zdawało się być w każdym razie całkowicie osobiste — koleżeńskie. Był pierwszym z fizyków szkoły następstw nawróconym na zaproponowane przez Szeveka podejście do rozumienia czasu. Walczył też o jego teorie — jego orężem — przeciwko całej plejadzie naukowych autorytetów i prowadził tę walkę na kilka lat przed opublikowaniem nie okrojonych Zasad jednoczesności i zwycięstwem zwolenników tej teorii, które wkrótce potem nastąpiło. Bój ten był szczytowym punktem jego życia. Nie stawałby do walki o sprawę pośledniejszą niż prawda, bardziej jednak od prawdy kochał samą walkę.

Był w stanie wywieść swój ród od przodków sprzed jedenastu stuleci — poprzez generałów, książąt i wielkich właścicieli ziemskich. Jego rodzina posiadała nadal majątek o powierzchni siedmiu tysięcy

akrów i czternaście wsi w prowincji Sie, najbardziej rolniczym regionie A-Io. W mowie Atro pobrzmiewały prowincjonalne naleciałości i archaizmy, które z dumą pielęgnował. Bogactwo nie imponowało mu ani trochę, cały zaś rząd swego kraju określał mianem „demagogów i łaszących się politykierów". Jego szacunku nie można było kupić. Jednak obdzielał nim — za darmo — byle głupca z „dobrym", jak mawiał, nazwiskiem. Pod pewnymi względami stanowił dla Szeveka nieprzeniknioną zagadkę: enigma; arystokrata-enigma. Jego szczera wszakże pogarda dla pieniądza zarówno, jak i władzy sprawiała, że był mu bliższy niż którakolwiek z poznanych na Urras osób.

Jednego razu, gdy siedzieli na oszklonej werandzie, w której starzec hodował najrozmaitsze gatunki rzadkich i nietypowych dla danej pory roku kwiatów, zdarzyło mu się użyć określenia: „my, Ceteńczycy".

Szevek wytknął mu to:

— "Ceteńczycy" — czy to nie wyraz ze słownika brukowców?

Mianem „brukowców" określano w potocznym języku popularne gazety, audycje radiowe i beletrystykę wytwarzane na użytek miejskiego proletariatu.

— Brukowców! — prychnął Atro. — Skąd, u licha, wytrzasnąłeś ten wulgaryzm? Przez słowo „Ceteńczycy" rozumiem dokładnie to samo, co te pismaki z dzienników oraz ich czytelnicy, którzy sylabizując, poruszają wargami, rozumieją pod tym terminem: Urras iAnarres!

— Zdziwiło mnie, że użyłeś obcego słowa, nieceteńskiego w gruncie rzeczy.

— Definicja przez wyłączenie — odparował wesoło staruszek. — Przed stu laty nie potrzebowaliśmy tego określenia. Wystarczała „ludzkość". Ale sześćdziesiąt z kawałkiem lat temu to uległo zmianie. Miałem wtedy siedemnaście lat, był piękny, słoneczny dzionek, początek lata, jak dziś pamiętam. Ujeżdżałem konia, gdy moja starsza siostra zawołała z okna: „Rozmawiają właśnie przez radio z kimś z kosmosu!" Moja biedna, droga matka sądziła, że jesteśmy zgubieni; nieznajome jakieś diabły, uważasz… Ale byli to tylko Hainowie, kwaczący coś o braterstwie i pokoju… No i masz, dzisiaj słowo „ludzkość" stało się coś zanadto pojemne. Cóż lepiej określa braterstwo niż brak braterstwa? Definicja przez wyłączenie, mój drogi! Ty i ja jesteśmy krewniakami. Parę wieków temu twoi przodkowie najprawdopodobniej pasali w górach kozy, podczas gdy moi uciskali niewolników w Sie; jesteśmy wszelako członkami tej samej rodziny. Aby to stwierdzić, dość człowiekowi spotkać obcego — lub choćby usłyszeć o jego istnieniu. Istotę z innego układu słonecznego. Tak zwanego człowieka, który nie ma z nami nic wspólnego poza

użytecznym wyposażeniem w parę nóg, rąk oraz głowę z takim, siakim rodzajem mózgu!

— Ale czyż Hainowie nie dowiedli, że jesteśmy…

— Wszyscy obcego pochodzenia, potomkami jakichś międzygwiezdnych haińskich kolonistów sprzed pół miliona lat, a może miliona, dwóch lub trzech milionów, tak, wiem. Dowiedli! Na liczbę prymarną, Szevek, pleciesz jak seminarzysta z pierwszego roku! Jak możesz poważnie mówić o historycznym dowodzie, gdy w grę wchodzi taki przedział czasu? Ci Hainowie podrzucają tysiąclecia jak piłeczki, ale to tylko żonglerka. Dowód, dobre sobie!

Religia moich przodków zapewnia mnie, równie autorytatywnie, że wywodzę się od Pinry Oda, którego Bóg wygnał z Ogrodu, bo miał czelność policzyć palce u rąk i nóg, zsumował je do dwudziestu i w ten oto sposób wpuścił do wszechświata Czas. Wolę tę opowiastkę od jakichś tam obcych, jeśli już muszę wybierać!

Szevek roześmiał się; lubił żarty Atro. Staruszek mówił jednak serio. Poklepał gościa po ramieniu, zmarszczył brwi i przygryzając wargi, co czynił zawsze, gdy był poruszony, powiedział:

— Mam nadzieję, że odczuwasz to samo, mój drogi. Szczerą nadzieję. W twoim społeczeństwie, jestem tego pewny, niejedno zasługuje na podziw, nie uczy was ono wszelako różnicowania — co jest, jakkolwiek by było, najwartościowszą nauką, jakiej udziela cywilizacja. Nie chciałbym, aby ci przeklęci obcy dobrali się do ciebie przez furtkę twych poglądów na temat braterstwa, wzajemności i tak dalej. Wyleją na ciebie całe potoki „ludzkiej wspólnoty", „wszechświatowych lig" i tym podobnych bredni, a mnie przykro byłoby patrzeć, jak je łykasz. Prawem istnienia jest walka — rywalizacja — eliminacja słabszych — bezwzględna walka o przetrwanie. Zaś ja życzyłbym sobie, aby przetrwali najlepsi. Ten rodzaj ludzki, który znam. Ceteńczycy. Ty i ja: Urras i Anarres. Wyprzedzamy ich obecnie, wszystkich tych Hainów, Terran i jak się tam jeszcze zowią, i musimy nadal pozostać na przedzie. Dali nam napęd gwiezdny, ale my budujemy teraz lepsze niż oni statki międzygwiezdne. Kiedy zdecydujesz się ogłosić swą teorię, żywię najgłębszą nadzieję, że nie zapomnisz o swoim obowiązku wobec własnego narodu, własnego gatunku. Nie zapomnisz, co znaczy lojalność i komu jest sieją należnym.

Łzy, łatwo zjawiające się w starości, napłynęły do półślepych oczu Atro. Szevek w geście pocieszenia położył rękę na ramieniu starca, lecz nie powiedział nic.

— W końcu ją, rzecz jasna, zdobędą. I powinni. Naukowa prawda ujrzy światło dzienne, nie ukryjesz słońca pod kamieniem. Ale nim ją dostaną, chcę, by za nią zapłacili! Pragnę, byśmy zajęli miejsce nam należne. Chcę szacunku i ty możesz go nam zapewnić. Przeskok —

gdybyśmy opanowali przeskok, ich gwiezdny napęd nie byłby wart funta kłaków. Nie o pieniądze mi chodzi. Chcę, aby uznano wyższość ceteńskiej nauki, wyższość ceteńskiego umysłu. Skoro już musi powstać cywilizacja międzygwiezdna, nie chcę, na Boga, by mój naród zaliczał się do jej pariasów! Winniśmy do niej przystąpić jako szlachta, niosąc w rękach wspaniały dar — tak to się odbyć powinno. Kiedy o tym mówię, zaczynam się czasem unosić. A przy okazji, jak tam twoja książka?

— Pracuję teraz nad hipotezami grawitacyjnymi Skaska. Mam wrażenie, że używając wyłącznie równań różniczkowych cząstkowych, popełnia on błąd.

— Toć i ostatnia twoja rozprawa traktowała o grawitacji. Kiedy wreszcie masz zamiar zabrać się do tego, co istotne?

— Dla nas, odonian, jak wiesz, środki są celem — rzucił lekkim tonem Szevek. — A poza tym, czyż mógłbym wystąpić z teorią czasu pomijającą grawitację?

— Chcesz powiedzieć, że wydzielasz ją nam po kapce? — spytał podejrzliwie Atro. — O tym nie pomyślałem. Będę chyba musiał przyjrzeć się baczniej tej ostatniej rozprawie. Niektóre jej części wydały mi się pozbawione sensu. W ostatnim czasie bardzo mi się męczą oczy. Myślę, że ten przeklęty rzutnik powiększający, którego muszę używać do czytania, coś szwankuje. Chyba przestał wyraźnie wyświetlać słowa.

Szevek przyglądał się staruszkowi ze współczuciem i sympatią, ale nie powiedział mu już nic więcej o stanie swojej teorii.

Nie było dnia, żeby nie dostawał zaproszeń na przyjęcia, otwarcia, obchody i tym podobne uroczystości. Z niektórych korzystał, przybył wszak na Urras z misją i powinien spróbować ją wypełnić; musi forsować ideę braterstwa, własną osobą reprezentując solidarność Dwóch Światów. Przemawiał, zaś ludzie słuchali go i mówili:, Jakież to prawdziwe".

Zastanawiał się, dlaczego rząd nie zamyka mu ust. Chifoilisk, dla swoich własnych celów, musiał widać wyolbrzymiać rozmiar kontroli i cenzury, jakie rząd zdolny jest sprawować. Szevek głosił najczystszy anarchizm, a oni go nie powstrzymywali. Ale bo też potrzebowali go powstrzymywać? Wyglądało na to, że mówi za każdym razem do tych samych ludzi: dobrze ubranych, dobrze odżywionych, dobrze wychowanych, uśmiechniętych. Czyżby stanowili jedyną grupę mieszkańców Urras? „Tym, co zbliża do siebie ludzi, jest ból" — mówił stojąc przed nimi, a oni potakiwali i przytwierdzali: „Jakież to prawdziwe".

Zaczynał ich nienawidzić; kiedy zdał zaś sobie z tego sprawę, przestał z dnia na dzień przyjmować zaproszenia.

Postępując tak, przyznawał się jednak do porażki i powiększał

swą izolację. Nie robił tego, po co tu przyjechał. To nie oni odseparowali się od niego — powtarzał sobie; to on — jak zwykle — odsunął się od nich. Czuł się samotny, obezwładniająco samotny wśród tych ludzi, których co dnia widywał. Problem polegał na tym, że nie nawiązał kontaktu — czuł, że nie zbliżył się z niczym ani z nikim przez te wszystkie miesiące na Urras.

Któregoś wieczora przy stole w jadalni starszych pracowników naukowych powiedział:

— Słuchajcie, na dobrą sprawę nie wiem, jak wy tu żyjecie. Prywatne, domy oglądam tylko z zewnątrz. Od wewnątrz poznaję zaś jedynie wasze życie publiczne — aule, jadalnie, laboratoria…

Nazajutrz Oiie zapytał go — dość sztywno — czy nie zechciałby w następny weekend przyjechać do niego na kolację i zanocować.

Oiie mieszkał w Amoeno, wiosce położonej o kilka mil od Ieu Eun, w domu, który — wedle urrasyjskich standardów — był skromną siedzibą przedstawiciela klasy średniej, może tylko starszą niż większość pozostałych. Zbudowano go przed około pięcioma wiekami z kamienia, pokoje wyłożone były boazerią. Otwory okienne i odrzwia wieńczyły charakterystyczne podwójne łuki ajońskie. Względna skromność umeblowania od pierwszej chwili uradowała oko Szeveka: pokoje miały wygląd surowy — przestronne połacie wyfroterowanych do połysku podłóg. Wśród ekstrawaganckich ozdób i wygód gmachów publicznych, w których odbywały się przyjęcia, obchody i tym podobne uroczystości, czuł się zawsze nieswojo. Urrasyjczycy odznaczali się dobrym smakiem, wydawał się on jednak często wchodzić w konflikt z ich zamiłowaniem do wystawności — do wydatków. Nakazy ekonomii i rywalizacji przesłaniały i zniekształcały naturalne, estetyczne źródło chęci posiadania przedmiotów, co odbijało się z kolei na jakości tych przedmiotów: nie wykraczały poza poziom swoistego mechanicznego przepychu. Tu natomiast panował — osiągnięty dzięki umiarowi — wdzięk.

W drzwiach służący odebrał od nich palta; żona Oiie wyszła na powitanie gościa z mieszczącej się w suterenie kuchni, gdzie wydawała instrukcje kucharzowi.

Podczas przedobiedniej pogawędki Szevek stwierdził ku własnemu zaskoczeniu, że zwraca się niemal wyłącznie do pani domu, z przyjaźnią i pragnieniem obudzenia w niej sympatii. Tak jednak przyjemnie rozmawiało się znów z kobietą! Nic dziwnego, że otoczony przez mężczyzn, wyłącznie mężczyzn, pozbawiony napięcia i powabu seksualnej odmienności, czuł się odizolowany, a swą egzystencję postrzegał jako sztuczną. Zaś Sewa Oiie była powabna; przyglądając się delikatnym liniom jej karku i skroni, porzucił swe zastrzeżenia wobec urrasyjskiego zwyczaju golenia damskich głów. Była powściągliwa, raczej nieśmiała; starał sieją do siebie ośmielić i bardzo

się ucieszył, spostrzegłszy, że mu się to chyba udało.

Podano obiad; przy stole przyłączyło się do nich dwoje dzieci.

Sewa Oiie usprawiedliwiła się:

— W dzisiejszych czasach nie sposób już doprawdy znaleźć w tej części kraju przyzwoitej niańki.

Szevek zgodził się z nią, pojęcia nie mając, kto to taki niańka.

Z podobnym zachwytem co ich matce, z tą samą ulgą przyglądał się chłopcom. Od opuszczenia Anarres prawie nie widywał dzieci.

Ubrani w niebieskie aksamitne marynarki i spodnie, byli bardzo schludni, spokojni, nie odzywali się nie pytani. Przypatrywali się Szevekowi z nabożną grozą, należną istocie z kosmosu. Starszy, dziewięciolatek, obchodził się z młodszym, siedmiolatkiem, obcesowo, burczał nań, żeby się nie gapił, i szczypał boleśnie, kiedy tamten nie posłuchał. Młodszy rewanżował mu się uszczypnięciami i próbował go kopnąć pod stołem. Zasada starszeństwa nie utrwaliła się jeszcze najwidoczniej w jego umyśle.

Oiie był w domu nie tym samym człowiekiem. Wyraz tajemniczości zniknął z jego twarzy, mówił nie przeciągając zgłosek. Rodzina okazywała mu szacunek, ale był to szacunek wzajemny. Szevek, który się nasłuchał poglądów Oiie na temat kobiet, stwierdzał ze zdumieniem, że odnosi się on do swojej żony z uprzejmością, wręcz delikatnością. „Oto rycerskość” — pomyślał, czyniąc użytek z niedawno poznanego słowa; wnet jednak przyszło mu uznać, że to coś więcej. Oiie był do żony przywiązany, ufał jej. Zachowywał się wobec niej i dzieci mniej więcej tak samo, jak zachowywałby się Anarresyjczyk. W istocie we własnym domu okazał się niespodziewanie prostym, serdecznym, wolnym człowiekiem.

Nader wąskim wydał się Szevekowi zakres tej wolności, bardzo nieliczną rodzina; czuł się jednak tak swobodnie, o tyle bardziej sam wolny, że nie odczuwał skłonności do krytyki.

W milczeniu, zapadłym po rozmowie, młodszy z chłopców oświadczył cienkim, dźwięcznym głosikiem:

— A pan Szevek nie umie się przyzwoicie zachować.

— Czemu? — zaciekawił się obwiniony, zanim żona Oiie zdążyła skarcić syna. — Co ja takiego zrobiłem?

— Nie powiedział pan dziękuję.

— Za co?

— Kiedy panu podałem talerz pikli.

— Ini! Uspokój się!

Sadik! Nie egoizuj! — ton dokładnie taki sam.

— Sądziłem, że się ze mną nimi dzielisz. Więc to był prezent?

W moim kraju dziękujemy tylko za prezenty. Rozumiesz, wszystkim innym dzielimy się, nie rozmawiając o tym. Czy chcesz, bym ci zwrócił te pikle?

— Nie, nie lubię pikli — odparł chłopczyk, wpatrując się w Szeveka ciemnymi, niezwykle czystymi oczami.

— To czyni dzielenie się nimi wyjątkowo łatwym — zauważył Szevek.

Starszy chłopiec aż skręcał się z tłumionej chęci uszczypnięcia brata, natomiast Ini roześmiał się, ukazując drobne białe ząbki. Po chwili, korzystając z kolejnej przerwy w rozmowie, zapytał cicho, nachylając się ku Szevekowi:

— Czy chciałby pan zobaczyć moją wydrę?

— Owszem.

— Jest w ogrodzie za domem. Mama ją wyrzuciła, bo myślała, że będzie panu przeszkadzała. Niektórzy dorośli nie lubią zwierząt.

— Ja lubię na nie patrzeć. W moim kraju nie ma zwierząt.

— Nie ma? — Starszy z chłopców zrobił zdziwioną minę. — Tato! Pan Szevek mówi, że u nich nie ma zwierząt!

Ini również wybałuszył oczy.

— No to co u was jest?

— Inni ludzie. Ryby. Robaki. I drzewa holum.

— Co to są drzewa holum?

Taka rozmowa ciągnęła się przez pół godziny. Pierwszy to raz na Urras wypytywano Szeveka o Anarres. Pytania zadawały dzieci, ale i rodzice z zaciekawieniem przysłuchiwali się odpowiedziom. Szevek wystrzegał się pilnie trybu etycznego; nie przyjechał tu, by siać propagandę wśród dzieci swoich gospodarzy. Opowiedział im tylko, co to takiego Kurzawa, jak wygląda Abbenay, jak się ubierają ludzie, co się robi, kiedy chce się dostać nowe ubranie, czym dzieci zajmują się w szkole. To ostatnie — wbrew jego intencjom — zabrzmiało jak propaganda. Ini i Aevi byli zachwyceni jego opisem programu zajęć, na który składały się uprawa roli, stolarstwo, uzdatnianie ścieków, skład drukarski, hydraulika, naprawa dróg, pisanie sztuk scenicznych i wszelkie inne zajęcia wspólnoty dorosłych oraz jego zapewnieniem, że nikt nigdy nie bywa za nic karany.

— Choć zdarza się niekiedy — dodał Szevek — że nalegają na ciebie, abyś usunął się na jakiś czas na ubocze.

— Ale co — wtrącił nagle Oiie, jakby to pytanie, długo go nurtujące, wyrwało mu się siłą — co utrzymuje ludzi w ryzach? Co sprawia, że się nawzajem nie okradają i nie mordują?

— Nikt nie posiada nic, co można by zrabować. Jeśli czegoś potrzebujesz, bierzesz to sobie z magazynu. Co do przemocy, no cóż, nie wiem, Oiie; czy ty byś mnie tak po prostu zamordował? Gdybyś zaś miał na to ochotę, czy zakazujące tego prawo powstrzymałoby cię? Przymus to najmniej skuteczny sposób zaprowadzania porządku.

— No dobrze, a w jaki sposób zmuszacie ludzi do wykonywania brudnej pracy?

— Jakiej brudnej pracy? — zapytała żona Oiie, która nie zrozumiała męża.

— Zbiórka śmieci, kopanie grobów…

— Wydobywanie rtęci — uzupełnił Szevek i omal nie dorzucił: przerób gówna, przypomniał sobie jednak w porę, że słowa skatologiczne stanowią w języku ajońskim tabu. Dość wcześnie po przyjeździe na Urras zorientował się, że Urrasyjczycy — żyjąc wśród gór ekskrementów — nigdy nie wspominają o gównie.

— Cóż, wykonujemy te prace wszyscy. Nikt jednak nie jest zmuszony do wykonywania ich przez czas dłuższy, chyba że takie zajęcie lubi. Raz na dekadę zarząd wspólnoty, komitet blokowy lub każdy, kto tego potrzebuje, może cię do takiego zadania wezwać; rotacja następuje według sporządzonych list. Na nieprzyjemne zaś stanowiska pracy — bądź szkodliwe, jak kopalnie i wytwórnie rtęci — pracownicy kierowani są zazwyczaj jedynie na pół roku.

— Ale w takim razie cały personel tych zakładów składa się siłą rzeczy z ludzi dopiero uczących się zawodu.

— Tak. To niezbyt wydajne; ale cóż można zrobić innego? Nie można żądać od człowieka, żeby wykonywał pracę, którą w przeciągu paru lat przypłaci kalectwem lub śmiercią. Po co miałby to robić?

— Może odmówić wykonania rozkazu?

— To nie jest rozkaz, Oiie. Człowiek idzie do Kompopracu — Komisariatu Podziału Pracy — i mówi: Miałbym ochotę robić to i to, co byście dla mnie mieli? A oni informują go, gdzie są jakie posady.

— Ale dlaczego w takim razie ludzie w ogóle podejmują się brudnych prac? Dlaczego zgadzają się na nie, choćby i co dziesiąty dzień?

— Bo są wykonywane wspólnie… Istnieją i inne powody. Widzicie, życie na Anarres nie jest tak bogate jak tutaj. W małych społecznościach nie ma zbyt wielu rozrywek, jest za to fura roboty.

Jeśli więc pracujesz przy krośnie mechanicznym, przyjemnie co dziesiąty dzień wyjść na dwór, żeby — w innej brygadzie — położyć jakąś rurę lub zaorać pole… Pewne wreszcie znaczenie odgrywa też wyzwanie. Wy tu sądzicie, że bodźcem do pracy jest zapłata, potrzeba zarabiania pieniędzy albo żądza zysku; ale tam, gdzie nie używa się pieniędzy, wyraźniej być może ukazują się prawdziwe pobudki. Ludzie lubią pracować. Lubią pracować dobrze. Podejmują się niebezpiecznych, ciężkich prac, bo ich wykonywanie napawa ich dumą, mogą — egoizować, jak my to nazywamy — popisywać się? — przed słabszymi. Hej, spójrzcie chłopcy, jaki jestem silny! Rozumiecie? Człowiek lubi robić to, co robi dobrze… W gruncie rzeczy jednak jest to kwestia celów i środków. Ostatecznie pracę wykonuje się dla niej samej. Praca to niewyczerpana przyjemność życia. Zdaje sobie z tego sprawę sumienie jednostki. A i sumienie społeczne — opinia sąsiadów.

Nie ma na Anarres innej nagrody; nie ma innego prawa jak tylko twoje własne zadowolenie i szacunek towarzyszy. To wszystko. Gdy zaś tak się rzeczy mają, odkrywasz, jaką potęgą się staje opinia sąsiadów.

— I nikt się z tego nigdy nie wyłamuje?

— Raczej niezbyt często.

— Więc wszyscy pracują równie ciężko? — spytała żona Oiie. — A co staje się z człowiekiem, który po prostu nie chce współpracować?

— No cóż, przenosi się. Widzicie, pozostali zaczynają mieć go dosyć. Wyśmiewają się z niego; lub zaczynają obchodzić się z nim szorstko, biją go; w mniejszych społecznościach mogą ustalić, że usuwają jego imię z listy pobierających posiłki, więc musi gotować sobie i jadać w samotności, a to jest upokarzające. Przenosi się zatem i zatrzymuje na jakiś czas w innym miejscu, zanim nie wyniesie się, być może, gdzieś dalej. Niektórzy postępują tak przez całe życie. Nazywamy ich nuchnibi. Ja sam jestem kimś w rodzaju nuchniba. Jestem tutaj, bo porzuciłem moje stanowisko pracy. Wyniosłem się dalej niż inni.

Powiedział to ze spokojem; jeśli odezwała się w jego głosie gorycz, to niedostrzegalna dla dzieci, dla dorosłych zaś niezrozumiała. Po jego słowach zapadła jednak krótka cisza.

— Nie wiem, kto się zajmuje u was brudnymi pracami — podjął po chwili Szevek. — Nigdy nie widziałem, by je wykonywano — to dziwne. Kto je wykonuje? Czemu to robi? Czy są lepiej płatne?

— Owszem, niekiedy — prace niebezpieczne. Podrzędne nie.

Gorzej.

— Więc czemu je podejmują?

— Bo niska zapłata jest lepsza od żadnej — odrzekł Oiie z wyraźnie czytelną zapiekłością w głosie. Jego żona zaczęła coś mówić nerwowo, pragnąc zmienić temat, on jednak ciągnął: — Mój dziadek był stróżem. Przez pięćdziesiąt lat szorował podłogi i zmieniał brudne prześcieradła w hotelu. Po dziesięć godzin dziennie, przez sześć dni w tygodniu. Robił to, żeby on i jego rodzina mieli co włożyć do ust. — Urwał, obrzucił Szeveka swoim zwykłym tajemniczym, nieufnym spojrzeniem, a następnie — niemal wyzywająco — popatrzył na żonę. Umknęła z oczami. Potem uśmiechnęła się i wyjaśniła nerwowym, dziecinnym głosem:

— Ojciec Demaere'a był człowiekiem sukcesu. Umierając zostawił cztery przedsiębiorstwa.

Jej uśmiech był uśmiechem osoby udręczonej; ciemne szczupłe dłonie zacisnęły się mocno jedna na drugiej.

— Nie sądzę, abyście mieli na Anarres ludzi sukcesu — rzekł z gryzącym sarkazmem Oiie, po czym umilkł, gdyż wszedł kucharz, by zmienić talerze. Ini, jak gdyby widział, że poważna rozmowa nie

zostanie w obecności służącego podjęta, zapytał:

— Mamo, czy pan Szevek będzie mógł po obiedzie obejrzeć moją wydrę?

Kiedy wrócono do salonu, pozwolono chłopcu przynieść jego ulubieńca: półdoroslą lądową wydrę, pospolite na Urras zwierzę.

Wydry — wyjaśnił Oiie — zostały udomowione jeszcze w prehistorycznych czasach, początkowo używano ich do połowu ryb, później służyły jako maskotki. Stworzonko miało krótkie nóżki, pałąkowaty, giętki grzbiet i lśniące brunatne futerko. Było pierwszym zwierzęciem nie zamkniętym w klatce, jakie Szevek z bliska oglądał, przejawiało zaś większą niż on wobec niego śmiałość.

Białe ostre zęby wzbudzały respekt. Szevek wyciągnął ostrożnie rękę, by pogłaskać zwierzę, na co nalegał Ini. Wydra stanęła słupka i przyjrzała się Szevekowi. Jej ciemne, złociste ślepka spoglądały inteligentnie, ciekawie i niewinnie.

— Ammar — szepnął Szevek, ujęty tym spojrzeniem zza otchłani bytu — bracie.

Wydra chrumknęła, opadła na cztery łapki i z zainteresowaniem obwąchała jego buty.

— Lubi pana — orzekł Ini.

— Ja też ją lubię — powiedział ze smutkiem Szevek.

Ilekroć widział jakieś zwierzę, klucz ptaków, przepych jesiennych liści, chwytał go smutek, przejmującym bólem naznaczając zachwyt. W takich chwilach nie myślał o Takver, nie doświadczał jej nieobecności. Zdawało mu się raczej, choć o niej nie myślał, że ona z nim jest. Jak gdyby piękno i niezwykłość zwierząt i roślin na Urras obarczone były w jego oczach posłaniem od tej, która ich nigdy nie zobaczy, której przodkowie od siedmiu pokoleń nie dotykali ciepłego zwierzęcego futra, nie oglądali migotu skrzydeł w cieniu drzew.

Noc spędził w sypialni na poddaszu. Była to izba chłodna — przyjemna odmiana po wiecznie przegrzanych pokojach uniwersytetu — i skromnie umeblowana: łóżko, półki z książkami, komódka, krzesło i malowany drewniany stół. Człowiek czuje się tu jak w domu — pomyślał — pomijając wysokość łóżka, miękkość materaca, wełnianego koca i jedwabnych powłoczek, bibeloty z kości słoniowej na komódce, skórzane oprawy książek oraz fakt, że ten pokój, wszystko, co się w nim znajduje, dom, w którym się mieści, ziemia, na której ów dom stoi, jest prywatną własnością, własnością Demaere'a Oiie, choć ten ani tego domu nie zbudował, ani nie szorował w nim podłóg… Szevek odpędził od siebie te męczące rozróżnienia. To był przyjemny pokój i w istocie mało się różnił od pojedynek w domicylach.

Przyśniła mu się w tej sypialni Takver. Śniło mu się, że leży obok niego w łóżku, obejmuje go ramionami, przywiera ciałem do jego

ciała… lecz gdzie, w jakim pokoju? Gdzie oni są? Byli razem na Księżycu, było zimno, szli dokądś ramię przy ramieniu. Ten Księżyc był płaski, cały przysypany niebieskawobiałym śniegiem, zalegającym jednak warstwą tak cieniutką, że łatwo było odgarnąć „r” no i pokazywał się wówczas lśniący biały grunt. To było martwe, całkiem martwe miejsce. „On tak naprawdę nie wygląda” — pocieszył Takver, spostrzegłszy, jak jest wystraszona. Szli w stronę jakiejś dalekiej linii, jakby przegrody z miękkiego, połyskliwego plastiku, jakiejś odległej, ledwo widocznej bariery przecinającej białą płaszczyznę śniegów. Szevek, choć w duchu bał się do niej zbliżyć, zapewnił Takver: „Wkrótce tam będziemy”. Nic mu nie odpowiedziała.

Rozdział szósty
Anarres

Kiedy po dekadzie spędzonej w szpitalu odesłano Szeveka do domu, przyszedł go odwiedzić sąsiad z pokoju numer 45 — wysoki i chudy jak tyka matematyk. Miał nie skorygowanego zeza rozbieżnego, więc nigdy nie było się pewnym, czy on patrzy na ciebie, czy ty patrzysz na niego. On i Szevek od roku zgodnie współżyli obok siebie w instytutowym domicylu i nie zamienili ze sobą przez ten czas ani jednego całego zdania.

Desar wszedł i spojrzawszy na — bądź obok — Szeveka, zapytał:

— Może coś?

— Nie, dzięki, świetnie sobie radzę.

— Może kolację?

— Z tobą? — spytał Szevek, ulegając wpływowi telegraficznego stylu Desara.

— Dobrze.

Matematyk przyniósł na tacy dwie kolacje z instytutowej stołówki i zjedli je razem w pokoju Szeveka. Podobnie czynił, z rana i wieczora, przez trzy następne dni, póki Szevek nie poczuł się na siłach, aby samemu wyjść na dwór. Trudno było pojąć, dlaczego Desar to robi. Nie miał przyjacielskiej natury, nakazy zaś braterstwa zdawały się dlań niewiele znaczyć. Jednym z powodów, dla których stronił od ludzi, była chęć ukrycia swej nieuczciwości:

Desar był albo straszliwym leniem, albo najzwyklejszym posiadaczem, pokój numer 45 zawalony był bowiem gratami, których jego lokator nie miał ani prawa, ani powodu posiadać — znajdowały się tam naczynia ze stołówki, książki z biblioteki, zestaw narzędzi snycerskich z magazynu zaopatrzeniowego rzemiosł, mikroskop z jakiegoś laboratorium, osiem różnych koców, szafa pełna ubrań, z których część wyraźnie nigdy nie pasowała na Desara i nigdy nie będzie pasować, inne zaś wyglądały na jego ubranka z czasów, kiedy miał osiem — dziesięć lat. Odnosiło się wrażenie, że matematyk chodzi do składów i magazynów i wynosi stamtąd naręczami wszystko, co mu wpadnie w ręce, czy mu to potrzebne, czy nie.

— Po co przechowujesz tu te wszystkie klamoty? — zapytał go Szevek, gdy po raz pierwszy uzyskał wstęp do jego pokoju.

Desar objął go rozwidlonym spojrzeniem.

— Podtrzymuje na duchu — wyjaśnił mętnie.

Dziedzina matematyki, którą sobie obrał, była tak ezoteryczna, że na dobrą sprawę nikt z Instytutu ani Związku Matematycznego nie był w stanie śledzić jego postępów. Zresztą właśnie dlatego ją wybrał.

Przyjmował, że Szevekiem kierowały podobne pobudki.

— Do diabła — mawiał — praca? Tu ciepła posadka. Następstwo, jednoczesność, gówno.

Szevek lubił momentami Desara, momentami go zaś nie cierpiał — za te same dokładnie jego cechy. Przylgnął doń jednak, z rozmysłem, traktując to jako część postanowienia dokonania w swoim życiu zmiany.

Choroba uświadomiła mu, że jeśli będzie próbował radzić sobie dalej sam, do reszty się załamie. Ujrzał to w kategoriach moralnych i surowo swoją postawę osądził. Zachowywał siebie dla siebie samego, wbrew etycznemu nakazowi braterstwa. W wieku lat dwudziestu jeden Szevek nie był w pełnym tego słowa znaczeniu bigotem, jego poczucie moralne było żywe i wyostrzone; urobione wszakże na modłę prostackiego odonizmu, który wpajali dzieciom tuzinkowi dorośli; tkwił w nim kaznodzieja.

Postępował źle. Musi się poprawić. Uczynił to.

Zakazywał sobie zajmować się fizyką przez pięć wieczorów w dekadzie. Zgłaszał się na ochotnika do pracy społecznej w zarządzie instytutowych mieszkalni. Uczęszczał na zebrania Związku Fizyków i Syndykatu Członków Instytutu. Zapisał się do grupy uprawiającej ćwiczenia biomechanizmu zwrotnego i trening elektroencefalograficzny. W jadalni zmuszał się do siadania przy ogólnym stole, nie zaś — z nosem w książce — przy małym stoliku.

Dziwna rzecz: można by sądzić, że ludzie na niego czekali.

Wyjęli go do swego grona, przywitali, zapraszali, by dzielił z nimi sypialnię, prosili do towarzystwa. Wszędzie go ze sobą zabierali, tak że w trzy dekady zobaczył w Abbenay więcej niż wcześniej przez cały rok. Z grupkami wesołej młodzieży chadzał na stadiony, do ognisk rzemiosła, na basen, na festiwale, do muzeów, teatrów, na koncerty.

Koncerty stały się dla niego rewelacją, najradośniejszym odkryciem.

Nigdy dotąd nie był w Abbenay na koncercie, po części dlatego, że muzyka była dlań czymś, co się raczej wykonuje, nie zaś czego się słucha. Jako dziecko śpiewał w miejscowym chórze, grywał w zespole na instrumentach; bardzo to lubił, choć nie był szczególnie utalentowany. To było wszystko, co wiedział na temat muzyki.

Ośrodki kształceniowe uczyły wszelkich umiejętności przygotowujących do uprawiania sztuki: śpiewu, rytmiki, tańca, posługiwania się pędzlem, dłutem, kozikiem, tokarką i tym podobnymi przyborami. Wszystko tam było nastawione na praktykę: dzieci uczyły się patrzeć, mówić, słuchać, poruszać i operować narzędziami. Nie dokonywano rozróżnienia między sztuką a rzemiosłem; nie przyznawano tej pierwszej osobnego miejsca w życiu, postrzegano ją jako podstawową technikę życia, podobną mowie.

Tak oto — wcześnie i samoistnie — rozwinął się w architekturze styl zwięzły, czysty i prosty, o subtelnych proporcjach. Malarstwo i rzeźba pełniły przeważnie rolę usługową wobec architektury i planowania miast. Co się tyczy sztuki słowa, poezja i gawędziarstwo skłaniały się ku ulotności, do łączenia się ze śpiewem i tańcem; jedynie teatr utrzymywał pozycję w pełni odrębną i tylko on określany bywał w ogóle mianem Sztuki — czegoś zupełnie samoistnego. Istniało wiele regionalnych i objazdowych trup aktorów i tancerzy, teatrów repertuarowych, nierzadko z własnym dramatopisarzem. Wystawiały one tragedie, półimprowizowane komedie, pantomimy. Wyglądano ich niczym deszczu w zagubionych pośród pustyni miastach, ilekroć się zjawiały, były zawsze wydarzeniem roku. Sztuka dramatyczna, narodzona z ducha — i ducha tego wcielająca — izolacji i wspólnotowości Anarres, osiągnęła potęgę i świetność nadzwyczajną.

Szevek nie odznaczał się jednak zbytnią wrażliwością na dramat. Lubił bogactwo słów, lecz sama idea gry nie przypadała mu do gustu. Dopiero w drugim roku pobytu w Abbenay odkrył wreszcie swoją Sztukę: tę, która miała za tworzywo czas. Ktoś wziął go na koncert do Syndykatu Muzyki. Wrócił tam następnego wieczoru. Zaczął chodzić na wszystkie koncerty — ze swoimi nowymi znajomymi, jeśli to byto możliwe, bez nich, jeśli było trzeba. Muzyka stała mu się potrzebą pilniejszą niż towarzystwo i głębszej dostarczała satysfakcji.

Jego wysiłki, by się wyrwać z wrodzonego odosobnienia, w gruncie rzeczy skończyły się — zdawał sobie z tego sprawę — fiaskiem. Z nikim nie związał się przyjaźnią. Spółkował z wieloma dziewczętami, lecz kopulacja nie sprawiała mu takiej radości, jaką powinna. Przynosiła jedynie ulgę w potrzebie, jaką daje wypróżnienie, wstydził się tego potem, czynność ta bowiem spychała tę drugą osobę do roli przedmiotu. Lepsza już była masturbacja, właściwa droga dla kogoś takiego jak on. Samotność była jego przeznaczeniem; był więźniem swojego dziedzictwa. „Praca przede wszystkim.” Rulag powiedziała to spokojnie, konstatując fakt, niezdolna go zmienić, niezdolna wyrwać się ze swojej zimnej celi.

Z nim było podobnie. Serce ciągnęło go ku innym, ku tym miłym młodym istotom, które go nazywały bratem, ale ani on z nimi, ani one z nim nie były w stanie się zbliżyć. Urodził się do samotności, przeklęty, zimny intelektualista, egoista.

Liczyła się przed wszystkim praca; ale praca wiodła donikąd.

Powinna dawać przyjemność, podobnie jak seks, ale nie dawała jej. Borykał się wciąż z tymi samymi problemami, nie zbliżając się ani na krok do rozwiązania paradoksu czasu To, nie mówiąc już o teorii jednoczesności, która przed rokiem była już niemal w jego zasięgu. Ta pewność siebie wydawała mu się teraz niepojęta.

Czyżby naprawdę uważał się za zdolnego, w dwudziestym roku

życia, do rozwinięcia teorii, która miała zmienić podstawy fizyki kosmologicznej? Najwyraźniej już na długo przedtem, nim go złożyła gorączka, musiał być niespełna rozumu. Zapisał się do dwóch grup zajęciowych matematyki filozoficznej, wmawiając w siebie, że mu to potrzebne, i nie dopuszczając myśli, że każdy z tych kursów mógłby sam poprowadzić nie gorzej od wykładowców.

W miarę możności unikał Sabula.

W pierwszym zapale nowych decyzji postawił sobie za cel bliższe poznanie Gvarab. Odpowiedziała na tę jego potrzebę najlepiej, jak umiała, zima jednak nie obchodziła się z nią łagodnie; była chora, głucha i stara. Rozpoczęła wiosenny kurs, a następnie go zawiesiła. Miała się raz lepiej, raz gorzej — to ledwo poznawała Szeveka, to znów ciągnęła go do swojej mieszkalni na całowieczorne rozmowy. Z czasem przemyślenia Szeveka wykroczyły poza poglądy Gvarab i owe długie pogawędki poczęły go nużyć.

Miał do wyboru: albo pozwolić Gvarab, by go zanudzała powtarzaniem godzinami tego, co już wiedział — bądź czego fałszywość częściowo wykazał — albo zranić i zbić staruszkę z tropu próbą wyprowadzenia jej z błędu. Przekraczało to granice cierpliwości i nie licowało z poczuciem taktu osoby w jego wieku, skończyło się więc na tym, że zaczął w miarę możności unikać Gvarab, doznając przy tym zawsze wyrzutów sumienia.

Poza nią nie miał z kim rozmawiać o problemach jego dziedziny. Nikt w Instytucie nie miał dostatecznej wiedzy na temat czystej fizyki czasu, aby mógł się z nim porozumieć. Chętnie by ich nauczył, nie otrzymał jednak dotąd posady nauczyciela ani klasy w Instytucie; studenci wydziału należący do Syndykatu Członków odrzucili jego prośbę w tej sprawie. Nie życzyli sobie kłótni z Sabulem.

Wraz z upływem roku Szevek coraz więcej czasu poświęcał na pisanie listów do Atro oraz innych fizyków i matematyków na Urras. Niewiele z tych listów zostało wysłanych. Niektóre po napisaniu po prostu darł. Odkrył, że matematyk Loai An, do którego wysmażył sześciostronicową rozprawkę na temat odwracalności czasowej, nie żyje od dwudziestu lat; zaniedbał przeczytania biograficznego wstępu do jego Geometrii czasu. Inne listy, które zamierzał wysłać na pokładzie frachtowców z Urras, zostały zatrzymane przez zarząd Portu w Abbenay. Port znajdował się pod bezpośrednią kontrolą KPR — ponieważ jego funkcjonowanie wymagało koordynacji działań wielu syndykatów — toteż niektórzy z koordynatorów musieli znać ajoński. Zarządcy owi, posiadający specjalną wiedzę, zajmujący ważne stanowiska, mieli skłonność do nabywania mentalności biurokratów: automatycznie odpowiadali „nie". Podejrzliwym okiem spoglądali na listy do matematyków, które wyglądały na pisane szyfrem, a nikt nie był w stanie zapewnić ich, że tak nie jest. Listy do fizyków

przepuszczano, jeśli wyraził zgodę pełniący funkcję konsultanta Sabul. Ten zaś nie zezwalał na wysyłanie tych, które traktowały o zagadnieniach spoza jego poletka w dziedzinie fizyki następstw. „To nie leży w mojej kompetencji" — pomrukiwał, odsuwając od siebie listy. Szevek mimo to wysyłał listy do zarządu Portu, skąd wracały z adnotacją:

„Nie zatwierdzono do wysłania".

Przedstawił tę sprawę na forum Związku Fizyków, na którego zebrania Sabul fatygował się rzadko. Nikt nie okazał zainteresowania kwestią swobodnej wymiany z ideologicznym wrogiem. Niektórzy ganili Szeveka za zajmowanie się dziedziną tak ezoteryczną, że — jak sam przyznawał — nikt poza nim w jego ojczystym świecie nie był w niej kompetentny.

— Ależ ona jest po prostu nowa — bronił się Szevek nieskutecznie.

— Jeśli jest nowa, podziel się nią z nami, a nie z tymi posiadaczami!

— Już od roku występuję co kwartał z propozycją poprowadzenia kursu na ten temat. Wy zaś wciąż powtarzacie, że nie ma na to dostatecznego zapotrzebowania. Czy wy się boicie tego, dlatego że nowe?

Nie przysporzyło mu to przyjaciół. Opuścił zebranie zagniewany.

Nadal pisywał listy na Urras, nawet jeśli żadnego nie wysyłał.

Fakt, że mógł pisać do kogoś, kto go rozumiał, kto był w stanie go zrozumieć, pozwalał mu pisać, myśleć. Inaczej nie byłoby to możliwe.

Mijały dekady, kwartały. Dwa — trzy razy w roku spotykała go nagroda: przychodził list od Atro albo innego fizyka z A-Io lub Thu, długi, gęsto zapisany, gęsty od treści, cały — od pozdrowień powitalnych po podpis — wypełniony teorią dostępną jedynie dla wtajemniczonych w matematyczno-etyczno-kosmologiczną fizykę czasu, napisany w języku, który Szevek znał, przez nie znanych mu ludzi, usiłujących zawzięcie zwalczyć i obalić jego teorie, przez wrogów jego ojczyzny, rywali, obcych, braci.

Wiele dni po otrzymaniu takiego listu żył jak w gorączce, pijany radością, pracował dniem i nocą, tryskając pomysłami jak fontanna. Po czym z wolna, wśród rozpaczliwych zrywów i zmagań, wracał na ziemię, suchą ziemię, sam też wyjałowiony.

Pod koniec jego trzeciego roku w Instytucie umarła Gvarab.

Poprosił, aby pozwolono mu przemówić podczas uroczystości pogrzebowych, które — zgodnie ze zwyczajem — odbywały się w miejscu pracy zmarłego: w tym przypadku w jednej z sal wykładowych w gmachu laboratorium fizycznego. Był jedynym mówcą. Studenci w ogóle się nie zjawili — Gvarab od dwóch lat nie prowadziła zajęć dydaktycznych. Przybyło kilku starszych

przedstawicieli Instytutu oraz syn Gvarab, mężczyzna w średnim wieku, agrochemik z Północnego Wschodu. Szevek przemówił, stojąc w miejscu, z którego staruszka zwykle prowadziła wykłady. Przypomniał zebranym, głosem zachrypniętym od notorycznie już nękającego go zimą zapalenia oskrzeli, że Gvarab położyła fundamenty pod naukę o czasie, że była największym kosmologiem, jaki kiedykolwiek pracował w Instytucie. „My, zajmujący się fizyką, mamy obecnie naszą Odo — mówił. — Mamy ją i nie czcimy jej. Po zakończeniu ceremonii jakaś stara kobieta dziękowała mu ze łzami w oczach. „Zawsze brałyśmy dziesiętnice razem, ona i ja, stróżowałyśmy w naszym bloku, takeśmy się zawsze serdecznie ze sobą nagadały” — wyznała, kuląc się na lodowatym wietrze po wyjściu z budynku. Agrochemik wymamrotał jakieś podziękowania i oddalił się spiesznie, by złapać okazję na Północny Wschód. Rozżalony, zirytowany, ogarnięty uczuciem daremności, Szevek wyruszył na spacer po mieście.

Jest tu od trzech lat, a czego dokonał? Napisał książkę, którą przywłaszczył sobie Sabul; pięć czy sześć nie wydanych rozpraw; na koniec wygłosił mowę pogrzebową po utraconym życiu.

Nic z tego, co zrobił, nie zyskało zrozumienia. By ująć to uczciwiej: nic z tego, czego dokonał, nie miało znaczenia. Nie pełnił żadnej ważnej funkcji, ani osobistej, ani społecznej. Prawdę mówiąc — nierzadkie w jego dziedzinie zjawisko — wypalił się przed dwudziestym rokiem życia. Niczego już nie osiągnie. Doszedł nieodwołalnie do muru.

Zatrzymał się przed frontonem auli Syndykatu Muzyki, żeby przeczytać program na najbliższą dekadę. Tego wieczoru nie było koncertu. Odwrócił się od plakatu — i stanął twarzą w twarz z Bedapem.

Bedap, ostrożny jak zwykle, do tego krótkowidz, nie zdradził, że go poznał. Szevek chwycił go za ramię.

— Szevek! Do licha, to ty?

Padli sobie w objęcia, ucałowali się, odsunęli od siebie, znowu się objęli. Szeveka przepełniło uczucie miłości. Czemu? Ostatniego roku w Instytucie Okręgowym nie darzył nawet Bedapa specjalną sympatią. Przez te trzy lata ani razu do siebie nie napisali.

Ich przyjaźń była przyjaźnią wieku chłopięcego, uczuciem minionym. A przecież owładnęła nim miłość: zapłonęła jak płomień na poruszonych węglach.

Szli i rozmawiali, nie zwracając uwagi na to, dokąd idą. Gestykulowali, przerywali jeden drugiemu. Szerokie ulice Abbenay spowijała cisza zimowego wieczoru. Mętne światła latarń tworzyły na każdym skrzyżowaniu srebrne sadzawki, przez które przewiewał suchy śnieżek, przypominający ławice małych rybek ścigających własne

cienie. W ślad za śniegiem nadlatywał, kąsając, zimny wiatr. Zdrętwiały im wargi i szczękali zębami, co zaczęło im przeszkadzać w rozmowie. Złapali ostatni, odchodzący o dziesiątej autobus do Instytutu; Bedap mieszkał w bloku na wschodnim krańcu miasta, kawał drogi pod górę w przejmującym zimnie.

Spojrzeniem ironicznego zdumienia obrzucił pokój numer 46.

— Mieszkasz jak zgniły urrasyjski posiadacz, Szev.

— Daj spokój, nie jest tak źle. Wskaż mi tylko coś ekskrementalnego!

Istotnie, pokój mieścił z grubsza to jedynie, co Szevek w nim zastał. Bedap wskazał ręką:

— Ten koc.

— Już był, kiedy się wprowadzałem. Ktoś go sobie utkał i zostawił, gdy się wyprowadzał. Czy w taką noc koc jest rzeczą zbytkowną?

— Ma stanowczo ekskrementalny kolor — zawyrokował Bedap.

— Jako analityk funkcji muszę wskazać na zbędność koloru pomarańczowego. Pomarańczowy nie pełni żadnej żywotnej funkcji w organizmie społecznym ani na poziomie komórkowym, ani organicznym, z pewnością zaś nie na poziomie holoorganicznym czy najcentralniej etycznym — w którym to przypadku tolerancja jest mniej pożądanym od wydalenia rozwiązaniem. Ufarbuj go na zgniłozielono, bracie! A to co za śmietnik?

— Notatki.

— Szyfrem? — zainteresował się Bedap, przeglądając notatnik z właściwym sobie — przypomniał sobie Szevek — chłodem. Odznaczał się jeszcze mniejszym poczuciem własności — prywatnej własności — niż większość Anarresyjczyków. Nigdy nie miał ulubionego ołówka, który by wszędzie ze sobą nosił, ani starej koszuli, do której tak by się przywiązał, że z odrazą myślałby o wrzuceniu jej do pojemnika na odpadki; obdarowany prezentem, przyjmował go — przez wzgląd na uczucia ofiarodawcy — ale zawsze gubił. Był świadom tej swojej cechy i utrzymywał, że wskazuje ona, iż jest osobnikiem mniej prymitywnym od większości ludzi i stanowi wczesny przykład Człowieka Obiecanego, prawdziwego, urodzonego odonianina. Poczucie własności nie było mu jednak obce. Rezerwował je dla czaszki, tak własnej, jak i cudzej, i w tej sferze było ono pełne. Nigdy nie wtykał nosa w nie swoje sprawy.

Powiedział: — Pamiętasz te głupawe listy, które pisywaliśmy do siebie szyfrem, kiedy brałeś udział w akcji zalesiania?

— To nie szyfr, to język ajoński.

— Nauczyłeś się ajońskiego? Dlaczego piszesz w tym języku?

— Bo nikt na tej planecie nie rozumie, o co mi chodzi. Albo nie chcą zrozumieć. Jedyna osoba, która mnie rozumiała, zmarła przed

trzema dniami.

— Sabul zmarł?

— Nie. Gvarab. Sabul nie zmarł. Jeszcze czego!

— Coś nie w porządku?

— Z Sabulem? Zawiść pół na pół z niekompetencją.

— Zdawało mi się, że jego książka o przyczynowości jest znakomita. Sam tak twierdziłeś.

— Bo tak uważałem, dopóki nie przeczytałem źródeł. To wszystko idee urrasyjskie. I to nienowe. Jemu od dwudziestu lat nie przyszła do głowy żadna własna myśl. Tyle też czasu nie zażywał kąpieli.

— A jak tam twoje myśli? — zapytał Bedap, kładąc dłoń na notatnikach i spoglądając na Szeveka spode łba. Miał małe, z lekka zezujące oczy, wyrazistą twarz i krępą sylwetkę. Obgryzał paznokcie; czynił to od lat, tak że zredukował je do wąskich jedynie skrawków wieńczących grube, niespokojne palce.

— Do bani — odparł Szevek, siadając na tapczanie. — Zajmuję się nie tym, czym powinienem.

Bedap uśmiechnął się.

— Ty?

— Pod koniec kwartału poproszę chyba o przeniesienie na inną posadę.

— Jaką?

— Obojętnie. Nauczyciela, inżyniera. Muszę dać sobie spokój z fizyką.

Bedap usiadł na krześle przy biurku, wgryzł się w paznokieć i powiedział:

— Dziwnie to słyszeć.

— Poznałem własne ograniczenia.

— Nie wiedziałem, że je masz. Mam na myśli fizykę. Masz całą masę ograniczeń i przywar. Ale nie jako fizyk. Wiem, nie jestem temporalistą. Ale nie trzeba umieć pływać, żeby poznać rybę, ani świecić, by rozpoznać gwiazdę…

Szevek spojrzał na przyjaciela i nagle wyrwało mu się coś, do czego nawet przed samym sobą się nie przyznawał:

— Myślałem o samobójstwie. Dużo o tym myślałem. W tym roku. Wydaje się, że to najlepsze wyjście.

— Nie wygląda mi to na wyjście na drugą stronę cierpienia.

Szevek uśmiechnął się z przymusem.

— Pamiętasz to?

— Doskonale. To była dla mnie niezwykle ważna rozmowa. A i dla Takver i Tirina, jak sądzę.

— Doprawdy? — Szevek wstał. Żeby przemierzyć pokój, wystarczyło zrobić tylko cztery kroki, Szevek nie mógł jednak usiedzieć na miejscu. — Wówczas była ważna i dla mnie — przyznał,

stając przy oknie. — Ale tu się zmieniłem. W tym miejscu jest coś niedobrego. Nie wiem, co to takiego.

— Ja wiem. Mur. Doszedłeś do muru.

Szevek odwrócił się ku niemu z przestraszoną miną.

— Mur?

— W twoim przypadku mur wydaje się stanowić Sabul i jego poplecznicy w syndykatach naukowych i w KPR. Jeśli o mnie chodzi, siedzę w Abbenay od czterech dekad. Od czterdziestu dni.

Dostatecznie długo, by się zorientować, że i w czterdzieści lat nie zdziałałbym tu nic, ale to nic, z tego, czego zamierzam dokonać — usprawnić kształcenie naukowe w ośrodkach kształceniowych.

Chyba że się coś zmieni. Albo sam dołączę do wrogów.

— Wrogów?

— Małych ludzi. Przyjaciół Sabula! Tych u władzy.

— O czym ty gadasz, Dap? U nas nie ma struktury władzy.

— Nie? A co czyni Sabula tak potężnym?

— Przecież nie struktura władzy, rząd — ostatecznie to nie Urras!

— Nie. Nie mamy rządu, nie mamy praw, zgoda. Ale, o ile mi wiadomo, idei nigdy nie kontrolowały prawa i rządy, nawet na Urras. Gdyby tak było, jakżeby Odo dopracowała się swoich? Jakżeby mógł odonizm rozwinąć się w ruch ogólnoświatowy? Ludzie władzy próbowali zdusić go siłą i ponieśli klęskę. Idei nie da się zdławić uciskiem. Zdławić je można jedynie ignorując je. Odmawiając myślenia — odmawiając zmiany. Dokładnie to właśnie czyni nasze społeczeństwo! Sabul wykorzystuje cię, gdzie może, a gdy nie może, nie pozwala ci publikować, uczyć, nawet pracować.

Zgadza się? Innymi słowy, ma nad tobą władzę. Skąd ją czerpie?

Nie z nadania, takiej władzy u nas nie ma. Nie z intelektualnej przewagi, nie ma jej. Czerpie ją z wrodzonego przeciętnemu ludzkiemu umysłowi tchórzostwa. Opinia publiczna! Oto struktura władzy, której jest częścią i którą posługiwać się umie. Nie uznawany rząd włada społeczeństwem odonian i krępuje umysły jednostek.

Szevek oparł się rękami na parapecie i przez rozmyte odblaski na szybie wpatrywał się w ciemność za oknem. Na koniec stwierdził:

— Gadka wariata, Dap.

— Nie, bracie, ja jestem przy zdrowych zmysłach. Ludzie wariują, kiedy próbują żyć poza rzeczywistością. Rzeczywistość jest straszna. Może zabić. Daj jej trochę czasu, a z pewnością cię ukatrupi. Rzeczywistość boli — sam to powiedziałeś! Ale tym, od czego się bzikuje, są kłamstwa, uchylanie się od rzeczywistości. To kłamstwa sprawiły, że chcesz ze sobą skończyć…

Szevek odwrócił się od okna.

— Ale przecież nie możesz mówić na serio o rządzie, tutaj!

— Definicje Tomara: „Rząd — legalne sprawowanie władzy w,

celu utrzymania i rozszerzenia władzy". Zastąp „legalne" słowem „zwyczajowe" — i masz Sabula, Syndykat Zaleceń, KPR.

— KPR!

— KPR na dobrą sprawę przekształciła się już w biurokrację władzy.

Szevek roześmiał się po chwili, nie całkiem naturalnie, i powiedział:

— Daj spokój, Dap, to zabawne — i trochę niezdrowe, nie uważasz?

— Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, Szev, że to, co tryb analogiczny nazywa „chorobą" — społeczne zniechęcenie, niezadowolenie, alienacja — może też zostać analogicznie nazwane bólem — w tym sensie, w jakim ty mówiłeś o bólu, o cierpieniu? Oraz że, podobnie jak ból, choroba pełni pewną funkcję w organizmie?

— Nie! — zaprzeczył gwałtownie Szevek. — Ja mówiłem o tym w sensie jednostkowym, w kategoriach duchowych.

— Ale przecież mówiłeś o cierpieniu fizycznym, o człowieku umierającym od oparzeń. A zresztą ja mówię właśnie o cierpieniu duchowym! O ludziach, którzy widzą, jak się marnuje ich talent, ich pracę, ich życie. O wybitnych umysłach poddanych władzy durniów. O sile i odwadze skrępowanych zawiścią, żądzą władzy, lękiem przed zmianą. Zmiana to wolność, zmiana to życie — czyż jest coś bardziej fundamentalnego w odońskiej myśli? Tylko że nic się już nie zmienia! Nasze społeczeństwo jest chore. I ty o tym wiesz. Cierpisz na tę samą co ono chorobę. Ta choroba prowadzi do samobójstwa!

— Wystarczy, Dap. Dajmy już temu spokój.

Bedap umilkł. Metodycznie, w zamyśleniu zaczął obgryzać paznokieć kciuka.

Szevek usiadł na tapczanie i wsparł głowę na rękach. Zapadło długie milczenie. Śnieg przestał padać. Na szybę w oknie napierał suchy, ciemny wiatr. W pokoju panował ziąb; żaden z młodych mężczyzn nie zdjął palta.

— Posłuchaj, bracie — odezwał się wreszcie Szevek. — To nie nasze społeczeństwo krępuje indywidualną twórczość. To ubóstwo Anarres. Ta planeta nie ma zadatków na wykarmienie cywilizacji.

Jeśli zawiedziemy jeden drugiego, jeśli nie poświęcimy naszych osobistych pragnień na rzecz powszechnego dobra, nic, ale to nic na tej jałowej ziemi nie przyjdzie nam z pomocą. Ludzka solidarność to nasz jedyny ratunek.

— Solidarność, tak! Nawet na Urras, gdzie jedzenie samo spada z drzew, nawet tam Odo nauczała, że solidarność między ludźmi jest naszą jedyną nadzieją. Ale myśmy tę nadzieję zdradzili. Pozwoliliśmy, żeby współpraca przekształciła się w nakaz posłuszeństwa. Na Urras mają rząd mniejszości. Tu rządy sprawuje większość. Ale to jest nadal

rząd! Sumienie społeczne przestało być czymś żywym, stało się maszyną, maszyną władzy, nad którą kontrolę sprawują biurokraci!

— I ty, i ja możemy zgłosić się na ochotnika i za parę dekad możemy zostać wylosowani do KPR. Czy to zmieni nas automatycznie w biurokratów, kierowników?

— To nie sprawa jednostek kierowanych do KPR, Szev. W większości są to ludzie do nas podobni. Aż zanadto podobni. Pełni najlepszych intencji, naiwni — a zresztą nie chodzi tylko o KPR. To masz wszędzie na Anarres. W ośrodkach kształceniowych, w instytutach, w kopalniach, w zakładach przemysłowych, w przetwórstwie rybnym, w wytwórniach konserw, w rolnictwie i placówkach badawczych, w fabrykach, w jednotowarowych wspólnotach — ta funkcja domaga się wszędzie wykwalifikowanej i stałej instytucji. Ta zaś właśnie stałość daje pole władczym zapędom.

W pierwszych latach po Osiedleniu mieliśmy tego świadomość, byliśmy na to uczuleni. Nasi przodkowie bardzo wyraźnie odróżniali wówczas zarządzanie od rządzenia ludźmi. Czynili to zaś z takim powodzeniem, że zapomnieliśmy, iż wola dominacji jest istotom ludzkim wrodzona na równi z impulsem świadczenia sobie wzajemnej pomocy, i musi być z każdej jednostki, z każdego nowego pokolenia rugowana. Nikt nie rodzi się odonianinem, podobnie jak człowiekiem cywilizowanym! Ale myśmy o tym zapomnieli. Nie uczymy wolności. Wychowanie, ta najważniejsza czynność społecznego organizmu, skostniało, stało się moralizujące, autorytatywne. Dzieciaki uczą się klepać słowa Odo jak papugi, jakby to były prawa — koszmarne bluźnierstwo!

Szevek zawahał się. Jako dziecko, a nawet i tu, w Instytucie, poznał na własnej skórze aż za dobrze taką edukację, o jakiej mówił Bedap, aby móc odeprzeć jego zarzuty.

Bedap bezlitośnie wykorzystał swoją przewagę.

— Zawsze jest łatwiej nie myśleć na własny rachunek. Znaleźć sobie jakąś milutką, bezpieczną hierarchię i umościć się w niej.

Byle nie wprowadzać żadnych zmian, nie zaryzykować niechęci innych, nie zakłócić spokoju swoich syndyków. To zawsze najłatwiejsze — pozwolić sobą rządzić.

— Ale przecież to nie jest rząd, Dap! Eksperci i starzy wyjadacze zdominują każdą załogę czy syndykat; najlepiej się znają na robocie. Ostatecznie robota musi jakoś iść! Co do KPR, zgoda, mogłaby się istotnie przekształcić w układ hierarchiczny, w strukturę władzy, gdyby nie została zorganizowana tak, żeby temu właśnie zapobiegać. Spójrz, jak jest urządzona! Ochotnicy, wybrani w drodze losowania; roczne szkolenie; potem cztery lata na Liście; potem do widzenia. Nikt nie zdoła zagarnąć władzy — w sensie dyktatorskim — w podobnym systemie, do tego jeszcze w cztery lata.

— Niektórzy pozostają dłużej niż cztery lata.

— Doradcy? Nie mają prawa głosu.

— Głosy nie są ważne. Za kulisami stoją ludzie…

— Dajże spokój! To czysta paranoja! Za kulisami — o czym ty gadasz? Za jakimi kulisami? Każdy może uczestniczyć w dowolnym zebraniu KPR, a jeśli jest syndykiem zainteresowanym danym przedmiotem, może też zabierać głos w dyskusji i głosować!

Chcesz powiedzieć, że mamy u siebie polityków?

Szevek był wściekły na przyjaciela; jego odstające uszy płonęły szkarłatem, mówił podniesionym głosem. Było już późno, w żadnym z pokoi po drugiej stronie dziedzińca nie paliło się światło.

Desar z pokoju numer 45 zapukał w ściankę działową, prosząc o ciszę.

— Mówię o tym, o czym ty sam dobrze wiesz — ściszonym do szeptu głosem odrzekł Bedap. — Że właśnie tacy ludzie jak Sabul kierują faktycznie KPR — i to od lat.

— Skoro o tym wiesz — rzucił Szevek ochrypłym, oskarżycielskim szeptem — czemuś tego publicznie nie ogłosił? Dlaczego, skoro dysponujesz faktami, nie zwołałeś w swoim syndykacie sesji krytycznej? Jeśli twoje podejrzenia nie wytrzymają publicznego badania, nie chcę ich tu wysłuchiwać jako szeptów o północy.

Oczy Bedapa zwęziły się, upodobniły do stalowych paciorków.

— Bracie — powiedział — jesteś zadufany w sobie. Zawsze taki byłeś. Choć raz wyjrzyj na świat z tego swojego cholernego czystego sumienia! Przyszedłem do ciebie i gadam tu szeptem, bo wiem, że mogę ci zaufać, do cholery! Z kimże innym mógłbym o tym pogadać? Czy to chcę skończyć jak Tirin?

— Jak Tirin? — zapytał zaskoczony Szevek podniesionym głosem.

Bedap uciszył go, wskazując gestem ścianę.

— Co się stało z Tirinem? Gdzie on jest?

— W Sanatorium na wyspie Segvina.

— W Sanatorium?

Siedząc na krześle bokiem Bedap przyciągnął do brody kolana i objął je ramionami. Mówił teraz cicho, z niechęcią:

— Tirin napisał sztukę i wystawił ją, w rok po twoim wyjeździe.

Była śmieszna, zwariowana; znasz jego rzeczy. — Przesunął dłonią po szorstkich piaskowych włosach i rozpuścił warkocz. — Głupcom mogła się wydawać antyodońska. Nie brak głupców. Podniósł się szum. Dostał naganę. Publiczną. Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widziałem. Ludziska walą hurmem na zebranie syndykatu i zmywają ci głowę. Robiło się tak, gdy trzeba było natrzeć uszu jakiemuś panoszącemu się brygadziście albo zarządzającemu. Obecnie posługują się tą metodą tylko wówczas, gdy chcą zakazać jednostce samodzielnego myślenia. To było straszne. Tirin nie mógł się

z tym pogodzić. Myślę, że faktycznie trochę mu się od tego pomieszało w głowie. Od tamtej pory uważał, że wszyscy są przeciwko niemu. Zaczął za dużo gadać — takie gorzkie gadanie.

Nie żeby nierozsądne, ale zawsze krytyczne, zawsze pełne jadu.

I gadał tak z każdym. No i cóż, przestał pracować w Instytucie, zakwalifikowano go jako instruktora matematyki i wystąpił o skierowanie do pracy. Otrzymał je. Do brygady naprawy dróg w Południonioïżu. Protestował, że popełniono błąd, ale komputery Kompopracu potwierdziły skierowanie. Więc pojechał.

— Tir, odkąd go znam, nigdy nie pracował na powietrzu — wtrącił Szevek. — Od dziesiątego roku życia. Zawsze się wkręcał do papierkowej roboty. Kompoprac postąpił sprawiedliwie.

Bedap puścił tę uwagę mimo uszu.

— Naprawdę nie wiem, co tam zaszło. Pisał do mnie parę razy, za każdym razem z innego miejsca pracy. Kierowano go zawsze do pracy fizycznej w małych wspólnotach gdzieś na końcu świata.

Napisał, że rzuca posadę i wraca do Północoniżu, żeby się ze mną zobaczyć. Nie przyjechał. Przestał pisać. Odnalazłem go wreszcie przez Rejestr Zatrudnionych w Abbenay. Przysłali mi kopię jego karty, ostatni wpis brzmiał po prostu: „Terapia. Wyspa Segvina".

Terapia! Czy Tirin kogoś zamordował? Czy kogoś zgwałcił? Za cóż innego posyła się ludzi do Sanatorium?

— Do Sanatorium w ogóle się nikogo nie posyła. Trzeba samemu poprosić o skierowanie.

— Nie wciskaj mi tu kitu — uniósł się zapalczywie Bedap. — On nigdy nie prosił, żeby go tam posyłano! Doprowadzili go do obłędu, a potem go tam zapudłowali. Stary, ja mówię o Tirinie, o Tirinie. Czy ty go jeszcze w ogóle pamiętasz?

— Poznałem go wcześniej od ciebie. Czym więc jest według ciebie Sanatorium — więzieniem? Ależ to schronisko. Jeśli przebywają tam mordercy i bumelanci, to tylko dlatego, że sami prosili, by posłać ich tam, gdzie nie będzie na nich wywierana presja i gdzie nie będzie groziła im kara. Kim jednak są ci ludzie, o których z uporem mówisz „oni"? „Oni" doprowadzili go do obłędu, „oni" to, „oni" tamto. Czy chcesz powiedzieć, że cały system społeczny jest przeżarty złem, a „oni", prześladowcy Tirina, twoi wrogowie, to w gruncie rzeczy my — organizm społeczny?

— Jeśli potrafisz z czystym sumieniem wyrzucić Tirina z pamięci jako bumelanta, nie wydaje mi się, abym miał ci coś więcej do powiedzenia — szepnął skulony na krześle Bedap. W jego głosie zabrzmiał tak wielki i szczery żal, że święte oburzenie Szeveka w jednej chwili zgasło.

Przez chwilę obaj milczeli.

— Pójdę już lepiej — oznajmił Bedap, rozprostowując

zesztywniałe członki i wstając.

— Ależ to godzina drogi. Nie wygłupiaj się.

— No cóż, myślałem… Skoro…

— Nie wygłupiaj się.

— W porządku. Gdzie jest sracz?

— Trzecie drzwi na lewo.

Wróciwszy z ubikacji, Bedap zaproponował, że prześpi się na podłodze, ale ponieważ nie było dywanu, ciepły zaś koc tylko jeden, Szevek uznał ten pomysł za głupi. Obaj byli w ponurym nastroju i wściekli, przepełnieni urazą, jakby stoczyli ze sobą pojedynek na pięści, lecz nie zdołali wyładować całego gniewu. Szevek rozwinął pościel i położyli się. Po zgaszeniu lampy napełniła pokój srebrzysta ciemność — półmrok miejskiej nocy, kiedy to światło odbija się bladą łuną od leżącego na ziemi śniegu. Było zimno.

Z wdzięcznością przyjmowali ciepło swoich ciał.

— Wycofuję to o kocu.

— Słuchaj, Dap, ja nie chciałem…

— Och, pogadamy o tym jutro.

— W porządku.

Przysunęli się do siebie bliżej. Szevek przekręcił się na brzuch i po paru minutach już spał. Bedap próbował nie usnąć, ale po chwili zsunął się w ciepło, i głębiej jeszcze: w bezbronność i ufność snu. W nocy jeden z nich krzyczał coś przez sen. Drugi, mamrocząc słowa otuchy, wyciągnął ospale rękę — i ślepy, ciepły ciężar tego dotyku przeważył nad wszelkim strachem.

Spotkali się następnego dnia wieczorem, aby się zastanowić, czy powinni, czy też nie, żyć ze sobą przez jakiś czas jak za młodych lat. Należało to omówić, ponieważ Szevek był zdecydowanie heteroseksualny, Bedap zaś zdecydowanie homoseksualny, więc przyjemność z takiego związku przypadłaby głównie Bedapowi.

Szevekowi zależało jednak bardzo na odnowieniu starej przyjaźni, gdy się więc zorientował, jak wiele znaczy dla Bedapa jej seksualna strona, że stanowi dlań ona prawdziwe jej dopełnienie, ujął sprawy w swoje ręce i dopilnował, z czułym naleganiem, żeby Dap spędził z nim również i noc. Wprowadzili się do wolnej pojedynki w bloku w śródmieściu i mieszkali tam razem około dekady; potem się znowu rozeszli, Bedap wrócił do swojej noclegowni, Szevek do pokoju numer 46. Żadna ze stron nie odczuwała dostatecznie silnego pożądania, aby ten związek mógł trwać. Odnowili po prostu wzajemne do siebie zaufanie.

Widując się z Bedapem niemal codziennie, Szevek zastanawiał się czasem, za co też darzy go taką sympatią i ufnością. Obecne poglądy przyjaciela uważał za odpychające, jego natrętną zaś skłonność do ich omawiania za męczącą. Spierali się zażarcie niemal przy każdym

spotkaniu. Zadali jeden drugiemu niemało bólu.

Rozstając się z Bedapem, Szevek wyrzucał sobie czepianie się przeżytej lojalności, nic więcej, i przysięgał sobie z gniewem, że więcej się z Bedapem nie zobaczy.

Nie sposób było jednak zaprzeczyć, że bardziej lubił go jako mężczyznę niż przedtem jako chłopca. Nieporadny, namolny, dogmatyczny, wywrotowy — to wszystko można mu było zarzucić, zdobył sobie jednak wolność myśli, której Szevek pragnął, chociaż jej przejawów nienawidził. Miał świadomość, że Bedap odmienił jego życie, że ruszył wreszcie z martwego punktu i że stało się to za sprawą druha z lat młodości. Walczył z nim o każdy krok na tej drodze, a jednak wciąż do niego wracał — żeby kłócić się, zadawać rany i rany odbierać, żeby — wśród zaprzeczeń, odtrąceń, gniewnych dąsów — znaleźć to, czego szukał. Nie wiedział, czego szuka.

Ale wiedział, gdzie tego szukać.

W sferze myśli był to w jego życiu okres równie smutny co wcześniejsze lata. Nadal nie posuwał się w swej pracy; prawdę mówiąc, odszedł całkowicie od fizyki czasu i wrócił do skromnych prac laboratoryjnych; w asyście zręcznego, milczącego technika przeprowadzał rozmaite doświadczenia nad promieniotwórczością, badał prędkości subatomowe. Było to pole dobrze już wydeptane, toteż jego spóźnione na nie wstąpienie zostało przez jego kolegów przyjęte jako przyznanie się do porażki w próbach uchodzenia za oryginalnego. Syndykat członków Instytutu przydzielił mu kurs przygotowawczy z fizyki matematycznej. Nie doznał uczucia triumfu z przyznania mu nareszcie samodzielnych zajęć, tak to bowiem właśnie wyglądało — przydzielono mu je, zezwolono mu na nie. Nic go już nie cieszyło. Fakt, że ściany jego sztywnego, purytańskiego sumienia poszerzyły się tak radykalnie, zapewniało wszystko prócz komfortu. Odczuwał chłód, czuł się zagubiony. Ale ponieważ nie miał się dokąd wycofać, żadnego miejsca, gdzie mógłby się schronić, brnął w ten ziąb coraz dalej, coraz beznadziejniej zagubiony.

Bedap miał wielu przyjaciół — kapryśną, wiecznie niezadowoloną paczkę — spośród których paru zapałało sympatią do nieśmiałego odludka. Szevekowi nie byli oni bliżsi od jego pospolitszych znajomych z Instytutu, ciekawsza jednak wydawała się ich umysłowa niezależność. Zachowywali wolność przekonań nawet za cenę ekscentryczności. Kilku z nich należało do intelektualnych nuchnibi, którzy od lat nie splamili się pracą na stałej posadzie.

Szevek — gdy nie przebywał w ich towarzystwie — potępiał ich surowo.

Był w ich gronie kompozytor imieniem Salas. On i Szevek zapragnęli uczyć się jeden od drugiego. Salas był na bakier z matematyką, lecz gdy tylko Szevek był w stanie objaśniać mu fizykę w

analogicznym albo doświadczalnym trybie, okazywał się chętnym i pojętnym uczniem. Szevek równie chłonnie słuchał wszystkiego, co Salas mógł mu wyłożyć z teorii muzyki, oraz wszystkiego, co mu puszczał z taśmy lub wygrywał na swym portatywie. Niektóre jednak rzeczy, jakich się od kompozytora dowiedział, poruszyły go do głębi. Salas dostał skierowanie do brygady kopaczy kanałów na równinach Temae, na wschód od Abbenay.

Na trzy dni, które miał wolne w dekadzie, zjeżdżał do miasta i zatrzymywał się u którejś z dziewcząt. Szevek zakładał, że bierze on te skierowania, bo chce dla odmiany popracować trochę na świeżym powietrzu, lecz później dowiedział się, że Salas nigdy nie dostał skierowania na posadę związaną z muzyką ani do żadnej innej pracy jak tylko do niewykwalifikowanej.

— Jakie ty masz zaszeregowanie w Kompopracu? — zapytał zdumiony.

— Kartel robót ogólnych.

— Ależ ty jesteś wykwalifikowany! Spędziłeś sześć czy osiem lat w konserwatorium Syndykatu Muzyki, czyż nie? Dlaczego nie skierują cię do uczenia muzyki?

— Kierowali. Odmówiłem. Jeszcze przez jakieś dziesięć lat nie będę gotów do nauczania. Pamiętaj, że jestem kompozytorem, a nie wykonawcą.

— Ale przecież muszą istnieć jakieś posady i dla kompozytorów.

— Gdzie?

— W Syndykacie Muzyki, jak przypuszczam.

— Tylko że syndykom muzyki nie podobają się moje kompozycje. Ani wielu innych nie bardzo, jak na razie, za nimi przepada.

Nie mogę stanowić syndykatu sam dla siebie, prawda?

Salas był małym kościstym człowiekiem, wyłysiałym już na górnej części twarzy i ciemieniu; resztkę włosów nosił krótko w postaci jedwabistego, beżowego opierzenia na karku i wokół podbródka. Miał zniewalający uśmiech, siateczką zmarszczek pokrywający jego wyrazistą twarz.

— Widzisz, ja nie piszę tak, jak mnie nauczono pisać w konserwatorium. Piszę muzykę dysfunkcjonalną. — Uśmiechnął się jeszcze bardziej ujmująco niż zwykle. — Oni życzą sobie chorałów. Ja nie znoszę chorałów. Oni życzą sobie takich rozwlekle harmonicznych kawałków, jakie pisał Sessur. Ja nie znoszę muzyki Sessura… Piszę teraz utwór na orkiestrę kameralną. Sądzę, że mógłbym dać mu tytuł Zasada jednoczesności. Pięć instrumentów, z których każdy gra odrębny, powracający temat; żadnej przyczynowości muzycznej; proces progresywny dokonuje się wyłącznie poprzez wzajemną relację części. Stwarza to cudowną harmonię. Ale oni jej nie słyszą. Nigdy jej nie usłyszą. Nie są do tego zdolni.

Szevek zamyślił się na chwilę.

— A gdybyś tak nazwał swoją kompozycję Uroki solidarności — zapytał — czy wówczas by usłyszeli?

— Do czorta! — wtrącił Bedap, który się im przysłuchiwał. — To pierwsza cyniczna uwaga, jaką w życiu wygłosiłeś, Szev. Witaj w naszym gronie!

Salas roześmiał się.

— Wysłuchaliby jej, ale potem skierowaliby do nagrania na taśmę albo wykonania na prowincji. Nie jest utrzymana w Stylu Organicznym.

— Nic dziwnego, że mieszkając w Północoniżu, nigdy nie słyszałem profesjonalnej muzyki. Ale jakie oni znajdują usprawiedliwienie dla tego rodzaju cenzury? Ty piszesz muzykę! Muzyka jest sztuką kooperatywną, organiczną z samej definicji, społeczną.

Niewykluczone, że jest najszlachetniejszą formą społecznego zachowania, do jakiej jesteśmy zdolni. Z pewnością zaś jest jednym z najszlachetniejszych zawodów, jaki może sobie obrać jednostka.

Ze swej zaś natury, z natury wszelkiej sztuki, jest dzieleniem się.

Artysta dzieli się z innymi, to istota jego dzieła. Abstrahując już od tego, co mówią twoi syndycy, w jaki sposób może Kompoprac usprawiedliwić fakt, że nie kieruje cię do pracy w twoim zawodzie?

— Oni nie pragną się tym dzielić — oznajmił wesoło Salas. — Oni mają przed tym pietra.

Bedap przemówił tonem bardziej serio:

— Potrafią to usprawiedliwić, gdyż muzyka nie jest użyteczna.

Pojmujesz, ważne jest kopanie kanałów; muzyka to tylko dekoracja. Zatoczyliśmy koło i wróciliśmy do najnikczemniejszego z rodzajów spekulanckiego utylitaryzmu. Odrzuciliśmy to wszystko, co stanowiło istotę odońskiego ideału — złożoność, żywotność, swobodę tworzenia i przedsiębiorczości. Wróciliśmy wprost do barbarzyństwa — jeśli coś jest nowe, uciekaj od tego; jeśli nie możesz tego zjeść, wyrzuć to!

Szevek pomyślał o własnej pracy i nic nie powiedział. Nie potrafił się jednak przyłączyć do krytyki Bedapa. Przyjaciel otworzył mu oczy na fakt, że i sam jest w gruncie rzeczy rewolucjonistą; a jednak czuł całym sobą, że jest nim za sprawą wychowania i wykształcenia, które odebrał jako odonianin i Anarresyjczyk. Nie może się buntować przeciwko własnemu społeczeństwu, bo jego społeczeństwo, właściwie rozumiane, jest rewolucją — nieustającą rewolucją, procesem w rozwoju. Aby podtrzymać ważność rewolucji i jej siłę — myślał — wystarczy człowiekowi działać, bez obawy kary i nadziei nagrody — działać z potrzeby serca.

Bedap wybierał się z kilkoma przyjaciółmi na dziesięciodniową

włóczęgę w góry Ne Theras. Namówił Szeveka, żeby wyruszył z nimi. Temu uśmiechała się dekada w górach, lecz nie perspektywa wysłuchiwania przez dziesięć dni poglądów Bedapa. Rozmowa z nim zanadto przypominała sesje krytyczne, tę formę wspólnotowego życia, za którą najmniej przepadał, polegającą na tym, że każdy wstawał i skarżył się na niedociągnięcia w funkcjonowaniu wspólnoty oraz — najczęściej — na skazy charakteru sąsiadów.

Im bliżej było do tych wakacji, z tym mniejszą wyglądał ich ochotą. Wsadził jednak do kieszeni notes — aby mieć możność usuwania się od towarzystwa pod pozorem pracy — i wyruszył.

Spotkali się wczesnym rankiem za bazą ciężarówek przy Wschodnich Rogatkach — trzech mężczyzn i trzy kobiety. Szevek nie znał żadnej z nich, a Bedap przedstawił go jedynie dwóm. Gdy ruszyli drogą w stronę gór, wypadło mu iść obok tej trzeciej.

— Szevek — przedstawił się.

— Wiem — odpowiedziała.

Uświadomił sobie, że musiał ją już gdzieś spotkać i powinien znać jej imię. Zapłonęły mu uszy.

— Kpisz sobie? — zapytał Bedap, podchodząc z lewej strony. — Takver była z nami w Instytucie w Północoniżu. Od dwóch lat mieszka w Abbenay. Nie spotkaliście się od tego czasu?

— Widziałam go parę razy — powiedziała dziewczyna i roześmiała się.

Miała śmiech osoby, która lubi dobrze zjeść — szeroki, dziecięcy śmiech. Wysoka i raczej szczupła, o krągłych ramionach, rozłożystych biodrach, nie była olśniewająco piękna, twarz miała smagłą, inteligentną i pogodną. W jej oczach była ciemność, nie ta nieprzenikniona ciemność błyszczących oczu, ale mrok głębi, niezwykle miękka, niemal aksamitna czerń miałkiego popiołu. Napotkawszy spojrzenie tych oczu, Szevek pojął, że zapominając o niej, popełnił grzech niewybaczalny — i w tej samej chwili zrozumiał, że zostało mu to wybaczone. Że sprzyja mu szczęście. Że jego los się odmienił.

Wkroczyli w góry.

Zimnym wieczorem czwartego dnia wyprawy on i Takver siedzieli na nagim stromym zboczu nad doliną. Czterdzieści metrów niżej pomiędzy opryskanymi wodą kamieniami rwał parowem górski strumień. Niewiele było na Anarres płynącej wody; jej poziom na większości terenów był niski, rzeki krótkie. Bystre potoki płynęły tylko w górach. Łoskot kipieli burzącej się, szumiącej i śpiewającej był dla młodych nowością.

Przez cały dzień wdrapywali się na stoki wysokogórskich wąwozów, potem schodzili, tak że nie czuli już nóg. Reszta grupy została w Schronisku, kamiennym, schludnie utrzymanym domku,

zbudowanym przez — i dla — turystów; Związek Ne Theras należał do najaktywniejszych spośród ochotniczych stowarzyszeń, które postawiły sobie za cel zachowanie i ochronę skąpych raczej „malowniczych" zakątków Anarres. Mieszkający tam latem strażnik ogniowy pomagał Bedapowi i pozostałym przygotować jakąś kolację z zasobów dobrze zaopatrzonej spiżarni. Takver i Szevek wyszli — osobno i w tej kolejności — nie mówiąc, dokąd się wybierają, ani to zresztą wiedząc.

Kiedy ją znalazł, siedziała na stromym zboczu wśród porastających górskie stoki — jakby je posypano kłaczkami koronek — delikatnych krzewin księżycorośli; ich sztywne, kruche gałązki srebrzyły się w mroku. Bezbarwna jasność nieba między wschodnimi szczytami zwiastowała wzejście księżyca. Strumień burzył się hałaśliwie w ciszy wyniosłych, nagich wzgórz. Ani powiewu wiatru, ani chmurki na niebie. Powietrze ponad górami — czyste i przejrzyste — przypominało ametyst.

Czas jakiś siedzieli w milczeniu.

— Jeszcze nigdy nie czułem takiego pociągu do kobiety, jaki czuję do ciebie. Od początku tej wycieczki. — Ton głosu Szeveka był zimny, niemal gniewny.

— Nie chciałam ci psuć wakacji — odpowiedziała z tym swoim szerokim, dziecinnym śmiechem, zbyt głośnym o tej godzinie zmierzchu.

— Nie popsułaś!

— To świetnie. Myślałam, że się skarżysz, że to cię rozprasza.

— Rozprasza! To jest jak trzęsienie ziemi.

— Dziękuję.

— Ty nie masz z tym nic wspólnego — odrzekł szorstko. — Tu chodzi tylko o mnie.

— Tak tobie się zdaje.

Zapadło dłuższe milczenie.

— Jeśli masz ochotę kopulować — powiedziała — dlaczego mnie nie poprosisz?

— Bo nie jestem pewien, czy tego właśnie chcę.

— Ani ja — stwierdziła bez uśmiechu. — Słuchaj — powiedziała miękkim, pozbawionym niemal tembru głosem; była w nim ta sama puszystość, co w jej oczach — powinnam ci coś wyznać. — Co mu jednak powinna była wyznać, pozostało przez dłuższą chwilę nie wyznane. Zwrócił na nią w końcu spojrzenie tak pełne błagalnego niepokoju, że wyrzuciła z siebie pośpiesznie: — No cóż, chciałam jedynie powiedzieć, że nie chcę teraz z tobą spółkować.

Ani z nikim innym.

— Zerwałaś z seksem?

— Ależ skąd! — zaprzeczyła z oburzeniem, bez dalszych jednak

wyjaśnień.

— A ja właściwie tak — wyznał, rzucając do potoku kamyk. — Albo jestem impotentem. Już od pół roku nic, a i przedtem tylko z Bedapem. Właściwie już blisko rok. Coraz mniejszą mi to sprawiało frajdę, aż wreszcie zaniechałem prób. To nie było tego warte.

Niewarte zachodu. A jednak nie zapomniałem, jakie to być powinno.

— Otóż właśnie — przytaknęła. — Ja miałam ogromną frajdę ze spółkowania do osiemnastego, dziewiętnastego roku życia. To było podniecające, ciekawe, przyjemne. Ale później… sama nie wiem. Tak jak powiedziałeś, coraz mniejszą mi to sprawiało frajdę. Nie szukałam już przyjemności. Nie samej tylko przyjemności, to mam na myśli.

— Chcesz mieć dzieci?

— Tak, gdy przyjdzie czas.

Cisnął następny kamyk do strumienia, wtapiającego się już w cień parowu i tylko swoim gwarem — nie milknącą harmonią złożoną z dysharmonii — dającego o sobie znać.

— Ja chcę doprowadzić do końca moją pracę — powiedział.

— Czy życie w celibacie w tym pomaga?

— Zachodzi pewien związek. Nie wiem, na czym on polega, nie jest to związek przyczynowy. W tym samym mniej więcej czasie, gdy obrzydł mi seks, zacząłem też nawalać w pracy. Szło mi coraz gorzej. Przez trzy lata zupełnie nic. Jałowizna. Jałowizna na każdym polu. Jak okiem sięgnąć jałowa pustynia, prażona nielitościwym żarem bezlitosnego słońca, pustka bez oznak życia, bez odcisku stopy, bez zmazy, bez wytrysku, usiana kośćmi nieszczęsnych wędrowców…

Nie roześmiała się; zaskomlała śmiechem, jak gdyby śmiech sprawiał jej ból. Próbował dojrzeć jej twarz. Niebo za jej pociemniałą głową świeciło ostro i czysto.

— Co jest takiego złego w przyjemności, Takver? Czemu się przed nią wzbraniasz?

— Nic nie ma złego. I wcale się przed nią nie wzbraniam. Tyle że nie jest mi potrzebna. A jeśli będę kontentowała się tym, czego nie potrzebuję, nigdy nie dostanę tego, czego potrzebuję.

— A czego potrzebujesz?

Spuściła wzrok, drapiąc paznokciem odkrytą skalną powierzchnię. Nie odpowiedziała. Nachyliła się, by ułamać gałązkę księżycorośli, lecz dotknęła jej tylko, pogładziła pokrytą puchem łodyżkę i drobny listek. Szevek poznał po jej napiętych ruchach, że aby wydobyć z siebie głos, musi pohamować lub zdusić wzbierającą w niej falę uczuć. Kiedy jej się to wreszcie udało, odezwała się cicho, niemal szorstko:

— Potrzebuję więzi. Prawdziwej. Ciała i umysłu, na całe życie.

Nic więcej. I nic mniej.

Popatrzyła na niego wyzywająco, nieomal z nienawiścią.

Wezbrała w nim jakaś tajemnicza radość, niczym dochodzące z ciemności dźwięki i zapach wartkiego potoku. Ogarnęło go uczucie nieograniczonej swobody, jasności, całkowitej jasności, jakby z zamknięcia wyrwał się na wolność. Niebo za głową Takver rozjaśnił wschód księżyca; dalekie szczyty oblała srebrzysta poświata.

— Tak, to o to chodzi — rzekł bez zakłopotania ani poczucia, że mówi do drugiej osoby; zamyślony, powiedział to, co przyszło mu do głowy. — Nigdy tego nie dostrzegałem.

W głosie Takver pobrzmiewał jeszcze ślad urazy.

— Nigdy nie byłeś zmuszony tego dostrzec.

— Dlaczego nie?

— Dlatego, jak przypuszczam, że nigdy nie dostrzegłeś takiej możliwości.

— Co chcesz przez to powiedzieć, jakiej możliwości?

— Odpowiedniej osoby!

Rozważył to. Siedzieli oddaleni od siebie o mniej więcej metr, obejmując podciągnięte kolana, robiło się bowiem zimno. Oddechy mroziły im gardła jak lodowata woda. Mogli je obserwować — blade opary w nabierającej blasku poświacie księżyca.

— Ja dostrzegłam to tamtej nocy — powiedziała Takver — tej przed twoim wyjazdem z Północowyżu. Mieliśmy przyjęcie, pamiętasz. Niektórzy siedzieli i gadali przez całą noc. Ale to było cztery lata temu. A ty nie znałeś nawet mojego imienia. — W jej głosie nie było już zawziętości; wyglądało na to, że chce mu wybaczyć.

— Czy ujrzałaś we mnie wtedy to, co ja w tobie przez te cztery ostatnie dni?

— Nie wiem. Nie potrafię ci odpowiedzieć. To właściwie nie miało podłoża seksualnego. W ten sposób już wcześniej zwróciłam na ciebie uwagę. To było coś innego; ja cię zobaczyłam.

Ale przecież ja wcale nie wiem, co ty dostrzegasz teraz. Ani, na dobrą sprawę, co sama wtedy dostrzegłam. Wcale cię dobrze nie znałam. Jedynie, kiedy mówiłeś, wydawało mi się, że widzę cię na wylot, zaglądam do twego wnętrza. Ale przecież mogłeś być zupełnie inny, niż mi się zdawało. Nie byłaby to ostatecznie twoja wina — dodała. — Po prostu wiedziałam, że to, co w tobie dostrzegłam, to jest to, czego potrzebuję. A nie tylko chcę!

— I ty mieszkasz w Abbenay od dwóch lat i nigdy…

— Co nigdy? To wszystko siedziało we mnie, w mojej głowie, ty nawet nie znałeś mojego imienia. Ostatecznie osoba nie może nawiązać więzi sama z sobą!

— A ty bałaś się, że jeśli do mnie przyjdziesz, mogę nie zechcieć nawiązywać więzi?

— Nie bałam się. Wiedziałam, że jesteś człowiekiem, którego… nie można zmusić… Owszem, bałam się. Bałam się ciebie. Nie

popełnienia błędu. Wiedziałam, że to nie błąd. Ale ty byłeś, byłeś sobą. Zdajesz sobie chyba sprawę, że nie jesteś jak większość ludzi.

Bałam się ciebie, bo wiedziałam, że jesteś mi równy! — zakończyła ze złością, ale już w następnej chwili dodała miękko, łagodnie: — Wiesz, Szevek, to naprawdę nie ma znaczenia.

Po raz pierwszy wymówiła przy nim jego imię. Odwrócił się w jej stronę i powiedział zacinając się, niemal krztusząc:

— Nie ma znaczenia? Najpierw odkrywasz — pokazujesz mi, co ma znaczenie, co się naprawdę liczy, czego szukałem przez całe życie, a potem mówisz, że to nie ma znaczenia!

Siedzieli teraz twarzami do siebie, lecz nie dotykali się.

— A więc tego chcesz?

— Tak. Więzi. Szansy.

— Teraz — i na całe życie?

— Teraz i na całe życie.

Życie — powtórzył w zimnej ciemności szumiący w dole po kamieniach bystry strumień.

Po powrocie z gór Szevek i Takver wprowadzili się do pokoju dwuosobowego. W kwartale w pobliżu Instytutu nie było żadnej wolnej dwójki, Takver słyszała jednak o jednej niezbyt daleko, w starej mieszkalni na północnym końcu miasta. Żeby dostać pokój, udali się do zarządcy kwartału mieszkaniowego — Abbenay podzielone było na około dwieście okręgów administracyjnych, zwanych kwartałami — którym okazała się chałupniczka szlifująca soczewki, siedząca w domu z trójką małych dzieci. Księgi meldunkowe trzymała w szafie na najwyższej półce, żeby dzieciaki nie mogły się do nich dobrać. Sprawdziła, czy pokój jest zarejestrowany jako wolny; Szevek i Takver zajęli go, wpisując po prostu do księgi swoje imiona. Przeprowadzka również nie była niczym skomplikowanym. Szevek przeniósł pudło papierów, zimowe buty i pomarańczowy koc. Takver musiała odbyć trzy kursy.

Pierwszy do rejonowego składu odzieży po nowe ubranie dla obójga; miała niejasne, lecz silne uczucie, że zmiana stroju to zasadniczy dla rozpoczęcia ich partnerstwa akt. Drugi kurs do dawnej noclegowni, raz po ubranie i papiery, powtórnie — w towarzystwie Szeveka — żeby przenieść pewną liczbę osobliwych przedmiotów: zrobionych z drutu, zawiłych, kolistego kształtu, które, zawieszone u sufitu, poruszały się. Zrobiła je z drucianego złomu przy pomocy narzędzi z magazynu zaopatrzenia rzemiosła i nazwała: Zajęcia Nie Zamieszkanej Przestrzeni. Jedno z pary znajdujących się w pokoju krzeseł było mocno podniszczone, odnieśli je więc do punktu naprawczego, skąd wzięli inne, solidne. Tak więc mieli już umeblowany pokój. Sufit w nim był wysoki, pomieszczenie zawierało więc dużo powietrza i pod dostatkiem przestrzeni dla Zajęć. Domicyl

zbudowano na jednym z niskich wzgórz Abbenay i z narożnego okna w pokoju, przez które po południu zaglądało słońce, rozciągał się widok na miasto, jego ulice i place, dachy, zielone parki i zamiejskie równiny.

Pożycie płciowe po długiej wstrzemięźliwości i niespodziana radość zachwiały równowagę i Szeveka, i Takver. W okresie kilku pierwszych dekad on miotał się między uniesieniem a przygnębieniem; ona miewała napady złego humoru. Oboje byli przewrażliwieni i niedoświadczeni. Napięcie to ustępowało z wolna, w miarę jak się z sobą zżywali. Ich głód seksualny przetrwał w postaci namiętnego zauroczenia, ich pragnienie zespolenia odnawiało się co dzień, bo co dzień się spełniało.

Dla Szeveka było teraz jasne — i za głupotę uznałby sąd przeciwny — że wszystkie złe lata, które przeżył w tym mieście, stanowiły część jego obecnego, wielkiego szczęścia, bo do niego prowadziły, do niego go przygotowywały. Wszystko, co mu się przydarzyło, było częścią tego, co przeżywał teraz. Takver nie dopatrywała się w ich szczęściu podobnie niejasnej przyczynowo-skutkowej zbieżności, ale ostatecznie nie była chronofizykiem.

Postrzegała czas naiwnie, jako biegnącą przed siebie drogę. Szedłeś nią i dokądś dochodziłeś. Jeśli miałeś szczęście, dochodziłeś tam, dokąd było warto.

Gdy jednak Szevek, pozostając przy tej metaforze, ujął ją po swojemu, wyjaśniając, że jeśliby pamięć i zamysł nie czyniły przeszłości i przyszłości częścią teraźniejszości, nie istniałaby — wedle ludzkich pojęć — żadna droga, nie byłoby też więc dokąd iść, przytaknęła mu, nim dobrnął do połowy swojego wywodu.

— Otóż to — powiedziała. — Tym się właśnie zajmowałam przez te ostatnie cztery lata. Nie wszystko to kwestia szczęścia. Jedynie część.

Miała dwadzieścia trzy lata, była o pół roku młodsza od Szeveka. Wychowała się w rolniczej wspólnocie w Dolinie Krążystej na Północnym Wschodzie. Był to region zabity deskami i zanim Takver przyjechała do Instytutu w Północoniżu, pracowała ciężej niż większość młodych Anarresyjczyków. W Dolinie Krążystej brakowało rąk do najpilniejszych prac, a ponieważ gmina nie była dość duża ani gospodarczo dostatecznie wydajna, nie mogła liczyć na przychylność komputerów Kompopracu. Była zdana sama na siebie. Takver, mając osiem lat, wybierała w młynie słomę i kamienie z ziaren holum, po trzy godziny dziennie, po trzech spędzonych w szkole. Niewiele w jej praktycznym wykształceniu nastawione było na rozwój jednostki: podporządkowane ono było walce o przetrwanie, którą toczyła jej wspólnota. W porze żniw i sadzenia wszyscy, od lat dziesięciu do sześćdziesięciu, od rana do wieczora pracowali w polu. Piętnastoletnia

Takver zajmowała się koordynacją prac na czterystu uprawianych przez wspólnotę w Dolinie Krążystej poletkach i pomagała dietetyczce w miejskiej stołówce układać jadłospis. Nie było w tym nic nadzwyczajnego i Takver nie przywiązywała do tego wagi, ukształtowało to jednak niektóre cechy jej charakteru i odbiło się na poglądach. Szevek był rad, że odbębnił swój przydział kleggich, jego partnerka odnosiła się bowiem z pogardą do ludzi, którzy unikali pracy fizycznej.

„Spójrz na Tinana — mówiła na przykład — skamle i labiedzi, bo dostał skierowanie na cztery dekady na wykopki holum, delikatniś, myślałby kto, że jest z rybiej ikry! Czy on w ogóle ubrudził sobie kiedy ręce?" Nie była zbyt wyrozumiała i miała porywczy temperament.

Studiowała biologię w Instytucie Okręgowym w Północoniżu, z tak dobrymi efektami, że postanowiła kontynuować studia w Instytucie Centralnym. Po roku zaproszono ją do nowo powstałego syndykatu, który zakładał laboratorium badawcze technik zwiększania ilości i udoskonalania odmian ryb jadalnych w trzech oceanach na Anarres. Gdy ją pytano, czym się zajmuje, odpowiadała:

„Jestem genetykiem ryb". Lubiła swoją prace; łączyła ona w sobie dwie cechy, które wysoko ceniła: ścisłą, opartą na faktach pracę badawczą oraz cel, nastawiony na wzrost i poprawę. Nie wykonując takiej pracy, nie osiągnęłaby satysfakcji. Ale praca jej nie wystarczała. Większość tego, co działo się w głowie i duszy Takver, niewiele miało wspólnego z genetyką ryb.

Miała miewymowny pociąg do krajobrazów i żywych stworzeń. Pociąg ów, nazywany nieudolnie „miłością natury", wydawał się Szevekowi czymś znacznie pojemniejszym od miłości. Istnieją dusze — rozmyślał — których pępowina nigdy nie została przecięta. Które nigdy nie zostały odstawione od piersi wszechświata.

Nie traktują one śmierci jak wroga; z radością oczekują gnicia i obracania się w próchnicę. Niezwykły był widok Takver biorącej do ręki liść albo choćby kamień. Stawała się jakby jego przedłużeniem — on zaś jej.

Pokazała Szevekowi w laboratorium zbiorniki z wodą morską mieszczące pięćdziesiąt, jeśli nie więcej, gatunków ryb — dużych i małych, szarych i pstrych, szykownych i groteskowych. Był tym widokiem zafascynowany i z lekka przerażony.

Trzy oceany Anarres obfitowały w zwierzęta w tym samym stopniu, w jakim lądy były ich pozbawione. Morza od kilku milionów lat nie miały ze sobą łączności, toteż ewolucja istot żywych przebiegała w nich jak na oddzielnych wyspach. Rozmaitość ich form była oszałamiająca. Szevekowi nie przyszłoby nawet do głowy, że życie może się mnożyć tak dziko, tak bujnie, jakby to właśnie bujność stanowiła samą jego esencję.

Na lądzie nieźle radziły sobie rośliny — na swój ubogi i kolczasty sposób — te jednak zwierzęta, które spróbowały oddychać powietrzem, przeważnie porzuciły ten zamiar, kiedy klimat planety wszedł w tysiącletnią erę kurzu i suszy. Przetrwały bakterie — wiele z nich jako litofagi — oraz kilkaset gatunków robaków i skorupiaków.

Człowiek podjął ostrożną i ryzykowną próbę wciśnięcia się w tę wąską niszę ekologiczną. Mógł się w niej zmieścić, jeśli łowił bez zbytniej chciwości i stosował nawożenie, wykorzystując w tym celu głównie odpadki organiczne. Nie mógł już jednakże ulokować w niej nikogo więcej. Dla trawożernych brakowało trawy. Dla mięsożernych brakowało trawożernych. Nie było owadów do zapładniania kwitnących roślin; wszystkie importowane drzewa owocowe zapylano ręcznie. Nie sprowadzono z Urras żadnych zwierząt, żeby nie zachwiać delikatnej równowagi biologicznej.

Na Księżyc przybyli wyłącznie osadnicy, tak dokładnie wyszorowani z zewnątrz i od wewnątrz, że przywieźli ze sobą minimalną tylko ilość osobistej fauny i flory. Nawet pchła nie przedostała się na Anarres.

— Lubię biologię morza — wyznała Takver Szevekowi przed pełnymi ryb zbiornikami — bo jest taka skomplikowana, istna pajęczyna, splot wzajemnych powiązań. Ta ryba zjada tamtą, drobiazg zjada orzęski, te znów bakterie i tak koło się zamyka. Na lądzie masz tylko trzy typy, same niestrunowce — jeśli nie liczyć człowieka — To nader dziwna — z biologicznego punktu widzenia — sytuacja.

My, Anarresyjczycy, jesteśmy nienaturalnie izolowani. W Starym Świecie masz osiemnaście typów zwierząt lądowych; istnieją gromady takie jak owady, składające się z tylu gatunków, że nigdy nie byli w stanie ich zliczyć, niektóre z tych gatunków liczą miliardy osobników. Pomyśl tylko: gdzie nie spojrzysz — zwierzęta, inne stworzenia dzielące z tobą ziemię i powietrze. Człowiek czułby się o tyle bardziej częścią…

Pobiegła spojrzeniem za małą niebieską rybką, która łukiem przecięła mroczny zbiornik. Szevek śledził w skupieniu tor rybki, podążając zarazem za biegiem myśli swej partnerki. Długo włóczył się między zbiornikami, a później często przychodził z Takver do laboratorium i akwariów, rezygnując ze swej arogancji fizyka wobec tych małych, dziwnych żyjątek, wobec istnień, dla których teraźniejszość trwa wiecznie, istotek, które z niczego się nie tłumaczą i nie potrzebują usprawiedliwiać się przed człowiekiem ze swego zachowania.

Większość Anarresyjczyków pracowała od pięciu do siedmiu godzin dziennie i miała od dwóch do czterech dni wolnych w dekadzie. Szczegóły tyczące częstotliwości, punktualności, dni wolnych i tak dalej były uzgadniane między daną jednostką a jej

zespołem, brygadą, syndykatem, federacją koordynującą — a więc na tym poziomie, na którym najłatwiej o osiągnięcie najlepszej współpracy i wydajności. Takver prowadziła badania według własnego programu, praca ta jednak oraz ryby stawiały własne, kategoryczne wymagania; spędzała w laboratorium od dwóch do dziesięciu godzin dziennie, nie miała dni wolnych. Szevek miał teraz dwie posady nauczycielskie: prowadził kurs z matematyki dla zaawansowanych w ośrodku kształceniowym i drugi taki sam w Instytucie. Oba kursy prowadził rano, toteż wracał do pokoju przed południem. Takver jeszcze zwykle nie było. W budynku panowała względna cisza. Słońce nie dobiegło jeszcze w swojej wędrówce do wychodzącego na południowy zachód podwójnego okna, z którego rozciągał się widok na miasto i równiny; w zacienionym pokoju panował chłód. Wiszące w górze na różnej wysokości delikatne, koncentryczne mobile poruszały się z introwertyczną precyzją, ciche i tajemnicze niczym organy ciała lub procesy zachodzące w myślącym mózgu. Szevek siadał przy stole pod oknem i brał się do pracy — czytał, robił notatki, obliczenia. Do pokoju, napełniając go blaskiem, zaglądało powoli słońce, padając na rozłożone na stole papiery i na dłonie Szeveka. A on pracował.

Błędne początki i daremne trudy minionych lat okazywały się teraz podwalinami, fundamentami, które — choć kładzione w ciemności — położone zostały solidnie. Na nich to — metodycznie i ostrożnie, ze zręcznością wszakże i nieomylnością ręki, które zdawały się pochodzić nie od niego, lecz od jakiejś wiedzy, która się nim posługiwała jak narzędziem — wznosił piękną i solidną konstrukcję zasad jednoczesności.

Takver — jak zresztą każdy człowiek, decydujący się żyć u boku twórczego ducha — miała z nim życie niełatwe. Choć jej istnienie było Szevekowi niezbędnie potrzebne, jej fizyczna obecność rozpraszała go. Toteż niechętnie wracała wcześniej do domu, bo często odkładał wtedy pracę, co uważała za złe. Później, gdy już osiągną stateczność średniego wieku, będzie w stanie ignorować jej obecność; jako dwudziestoczterolatek nie potrafił. Dlatego tak układała sobie zajęcia w laboratorium, aby nie wracać do domu przed popołudniem. Ale i to nie było najlepszym rozwiązaniem, gdyż Szevek wymagał opieki. Bywało, że w dni, kiedy nie miał wykładów, zastawała go przy stole, za którym siedział od sześciu, czasem ośmiu godzin, a gdy od niego wstawał, zataczał się ze zmęczenia, trzęsły mu się ręce i mówił od rzeczy. Twórczy duch obchodzi się ze swoimi narzędziami bez pardonu, zużywa je, odrzuca, chwyta za nowy egzemplarz. Lecz dla Takver wymiana nie wchodziła w grę, toteż widząc, jak bezlitośnie wykorzystywany jest Szevek, burzyła się. Podnosiła krzyk, jak niegdyś Asieo, mąż Odo, który wołał: „Na miłość boską, dziewczyno, czy nie

mogłabyś służyć Prawdzie po troszk u?" — z tą różnicą, że tu dziewczyną była ona i do tego nie miała znajomości z Bogiem.

Prowadzili ze sobą rozmowy, szli na spacer albo do łaźni, potem na kolację do stołówki w Instytucie. Po kolacji jakaś impreza, koncert lub spotkanie z przyjaciółmi — Bedapem, Salasem oraz ich gronem znajomych, Desarem i kolegami z Instytutu, znajomymi i przyjaciółmi Takver. Ich życie nie koncentrowało się jednak wokół spotkań i przyjaciół. Udzielanie się — czy to społecznie, czy towarzysko — nie było im niezbędnie potrzebne; wystarczało im ich partnerstwo i nie umieli ukryć tego faktu. Pozostałych nie zdawało się to jednak urażać. Wprost przeciwnie. Bedap, Salas, Desar i reszta przychodzili do nich jak spragnieni wędrowcy do źródła. Inni ludzie nie byli dla nich najważniejsi — ale oni byli najważniejsi dla innych. Nie odznaczali się niczym wyjątkowym, nie byli ani uczynniejsi od innych, ani szczególnie błyskotliwi w rozmowie, mimo to przyjaciele kochali ich, polegali na nich i znosili im prezenty — drobne podarunki, jakie krążyły wśród tych ludzi, którzy nie mieli nic i posiadali wszystko: a to szalik zrobiony na drutach, a to odłamek granitu wysadzany karmazynowymi granatami, a to wazon ulepiony ręcznie w pracowni związku garncarzy, a to wiersz miłosny, a to komplet drewnianych, rzeźbionych guzików, a to spiralną muszlę z Morza Sorruba. Wręczając taki prezent Takver, mówili: „Weź to, może się przyda Szevowi jako przycisk do papieru", wręczając zaś Szevekowi: „Przyjmij to, Tak się spodoba ten kolor". Ofiarowując te dary, pragnęli się włączyć w to, co ci dwoje dzielili między sobą, uczcić to, uhonorować.

Lato roku 160 po Osiedleniu na Anarres było długie, skwarne i pogodne. Obfite deszcze, które spadły na wiosnę, uczyniły równiny Abbenay zielonymi i zmyły kurz z powietrza, od czego stało się ono niezwykle przejrzyste; w ciągu dnia przypiekało słońce, nocą niebo usiane było gwiazdami. Gdy wschodził księżyc, widziało się wyraźnie zarysy kontynentów pod oślepiająco białymi zwojami chmur.

— Dlaczego on tak pięknie wygląda? — zastanawiała się Takver, leżąc w ciemności obok Szeveka pod pomarańczowym kocem.

Ponad nimi unosiły się w mroku Zajęcia Nie Zamieszkanej Przestrzeni; za oknem błyszczał księżyc w pełni. — Skoro wiemy, że to tylko planeta taka jak ta, jedynie z lepszym klimatem i gorszymi ludźmi, skoro wiemy, że ci ludzie to posiadacze, którzy toczą wojny, ustanawiają prawa, jedzą, gdy inni głodują, starzeją się, mają pecha, gościec stawowy i nagniotki na palcach tak samo jak ludzie tutejsi… skoro wiemy to wszystko, czemu on nadal wydaje nam się miejscem tak szczęśliwym — jakby życie musiało tam płynąć w rozkoszy? Kiedy patrzę na tę promienistą kulę, nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłby tam żyć taki odrażający, mały człowieczek z wytłuszczonymi

rękawami i szczątkowym mózgiem jak Sabul; po prostu nie potrafię…

Księżycowa poświata oświetlała ich nagie piersi i ramiona. Delikatny meszek na twarzy Takver opromieniał jej rysy mglistą aureolą; cienie, a także jej włosy były czarne. Szevek dotknął srebrną dłonią jej srebrnego ramienia, dziwiąc się ciepłu tego dotyku w tak zimnym świetle.

— Jeśli umiesz zobaczyć jakąś rzecz w całej jej pełni — powiedział — zawsze wyda ci się ona piękna. Planety, życie ludzkie…

Świat zaś widziany z bliska to brud i kamienie. Życie oglądane z perspektywy dnia codziennego to ciężki znój, człowieka ogarnia zmęczenie, traci z oczu wzór. Potrzebny jest dystans — odstęp. Żeby dostrzec, jak piękna jest ziemia, trzeba ją zobaczyć jako księżyc. Żeby dostrzec, jak piękne jest życie, trzeba na nie spojrzeć z punktu widzenia śmierci.

— W porządku, jeśli chodzi o Urras. Niech tam sobie zostanie i będzie tym księżycem — nie zależy mi na niej! Ale nie myślę stawać na kamieniu nagrobnym, spoglądać na życie i stwierdzać: O, jakże ono piękne! Chcę je oglądać jako całość z samego jego środka, tu, teraz. Gwiżdżę na wieczność!

— To nie ma nic wspólnego z wiecznością — powiedział z uśmiechem — szczupły, kudłaty mężczyzna ze srebra i cienia. — Żeby ujrzeć życie jako całość, wystarczy stwierdzić, że jest śmiertelne. Ja umrę, ty umrzesz; inaczej jakże moglibyśmy się kochać?

Słońce się wypali. Dzięki czemu innemu świeci?

— Och, to twoje gadanie, ta twoja przeklęta filozofia!

— Gadanie? To nie gadanie. Tego się dotyka ręką. Oto dotykam całości, obejmuję ją. Co tu jest światłem księżyca, a co Takver?

Jakże mógłbym bać się śmierci? Skoro ją obejmuję, skoro trzymam w rękach światło…

— Nie bądź takim posiadaczem — burknęła.

— Nie płacz, kochanie.

— Ja nie płaczę. To ty. To tobie płyną łzy.

— Zimno mi. Światło księżyca jest zimne.

— Połóż się.

Przebiegł go dreszcz, gdy wzięła go w ramiona.

— Boję się, Takver — wyszeptał.

— Cicho, bracie, cicho, kochany.

Tej nocy — i przez wiele następnych — zasypiali, trzymając się w objęciach.

Rozdział siódmy
Urras

Szevek znalazł ten list w kieszeni nowego, podbitego runem zimowego palta, które zamówił w sklepie przy owej koszmarnej ulicy. Pojęcia nie miał, skąd on się tam wziął. Z całą pewnością nie nadszedł pocztą — przesyłki dostarczano mu trzy razy dziennie, a wśród nich wyłącznie rękopisy i przedruki od fizyków z całej Urras, zaproszenia na przyjęcia i prostoduszne przesyłki od szkolnej dziatwy. To był cienki kawałek papieru, złożony do środka, bez koperty; nie miał stempla franko ani też znaczka żadnej z trzech rywalizujących ze sobą kompanii pocztowych.

Ogarnięty niejasnym niepokojem, otworzył go i przeczytał:

„Jeśli jesteś Anarchistą dlaczego współpracujesz z tym systemem władzy zdradzając swój Świat i Odońską Nadzieję przecież przybyłeś tutaj żeby nam nieść tę Nadzieję. My którzy cierpimy niesprawiedliwość i ucisk spoglądamy w stronę Siostrzanego Świata wyglądając jutrzenki swobody w tej ciemnej nocy. Przyłącz się do nas swych braci!" Nie było podpisu ani adresu.

List ten wstrząsnął Szevekiem, zarówno jego poczuciem moralnym, jak i umysłem, wzbudził w nim nie tyle zdumienie, co jakby panikę. Zdawał sobie sprawę, że gdzieś tu są, tylko gdzie? Na żadnego się dotąd nie natknął, żadnego nie widział, nie spotkał dotychczas biedaka… Pozwolił, by otoczono go murem, i nawet tego nie spostrzegł. Przyjął schronienie jak jakiś posiadacz. Został zawłaszczony — tak właśnie, jak to określił Chifoilisk.

Nie wiedział jednak, jak zburzyć ten mur. A gdyby go nawet zburzył, dokąd pójść? Ogarnęła go jeszcze większa panika. Do kogo się zwrócić? Otaczały go zewsząd uśmiechy bogaczy.

— Chciałbym z tobą pomówić, Eforze.

— Oczywiście, sir. Proszę wybaczyć, sir, zrobię miejsce, postawię to tutaj.

Służący manewrował zręcznie ciężką tacą, zdjął pokrywki z naczyri i — nie uroniwszy ani kropli — nalał do filiżanki gorzkiej czekolady, która wzniosła się pieniście aż po krawędź naczynia.

Wyraźnie rozkoszował się śniadaniowym rytuałem i swoją w nim biegłością, równie też wyraźnie nie pragnął żadnych nieprzewidzianych jego zakłóceń. Zwykle mówił zupełnie czystym ajońskim, teraz jednak, ledwie Szevek wyraził chęć odbycia z nim rozmowy, przerzucił się na staccato miejskiej gwary. Szevek nauczył się rozumieć ją jako tako; odstępstwa w brzmieniu dźwięków, gdy się je raz uchwyciło, cechowała spójność, połykanie końcówek skazywało

go wszakże na daremne domysły. Połknięciu ulegała połowa wyrazów. To przypomina szyfr — pomyślał — jak gdyby Nioti, jak sami się nazywali, nie życzyli sobie, by rozumieli ich postronni.

Służący stał i czekał na polecenia Szeveka. Wiedział już — zaraz pierwszego tygodnia zorientował się w idiosynkrazjach swego pana — że ten nie życzy sobie, by odsuwał dla niego krzesło ani wystawał przy nim podczas posiłku. Jego wyprężona, wyczekująca poza wystarczała, by zgasić wszelką nadzieję na odstąpienie od etykiety.

— Może byś usiadł, Eforze?

— Jak pan sobie życzy, sir — odparł sługa. Przesunął krzesło o pół cala, ale nie usiadł na nim.

— Oto, o czym chciałbym z tobą porozmawiać. Jak wiesz, nie lubię wydawać ci poleceń.

— Staram się uprzedzać wszystkie pańskie życzenia, sir.

— Istotnie, lecz nie o to mi chodzi. Jak się orientujesz, w moim kraju nikt nie wydaje rozkazów.

— Takem i słyszał, sir.

— No więc chciałbym traktować cię jak równego sobie, jak brata. Poza tobą nie znam tu nikogo, kto by nie był bogaty — nie należał do posiadaczy. Bardzo chciałbym z tobą porozmawiać, poznać twoje życie…

Urwał, zrozpaczony, dojrzawszy wyraz pogardy na pomarszczonej twarzy Efora. Popełnił wszelkie możliwe błędy. Efor uznał go za nadętego, wtykającego nos w nie swoje sprawy głupca.

W geście rezygnacji opuścił ręce na stół i powiedział:

— Och, do diabła, przepraszam cię, Eforze! Nie umiem się wysłowić. Proszę, zapomnij o tym.

— Jak pan sobie życzy, sir. — Służący wycofał się.

To był koniec. „Klasy nieposiadające” pozostały mu równie dalekie, jak były wówczas, gdy czytał o nich na zajęciach z historii w Instytucie Okręgowym w Północoniżu.

W przerwie między semestrami zimowym i wiosennym obiecał spędzić tydzień u państwa Oiie.

Po jego pierwszej wizycie Oiie parokrotnie zapraszał go na obiad, dość zawsze sztywno, jak gdyby spełniał obowiązek gościnności, a może rozkaz rządu. W swoim domu podejmował jednak Szeveka przyjaźnie, zachowywał mimo to zawsze pewną wobec niego rezerwę. Przed drugą wizytą obaj jego synowie uznali Szeveka za starego przyjaciela; ich pewność co do reakcji Szeveka najwyraźniej zaskoczyła ojca. Wprawiła go w zakłopotanie; nie umiał jej zaakceptować; nie mógł jednak powiedzieć, że była nieuzasadniona. Szevek traktował chłopców jak stary przyjaciel, starszy brat. Ci zaś podziwiali go, a młodszy, Ini, całkiem się w nim niebawem zakochał. Szevek był uprzejmy, poważny, uczciwy i opowiadał takie zajmujące

historie o Księżycu; było w tym jednakże i coś więcej. Reprezentował dla dziecka coś, czego Ini nie umiałby nazwać. Nawet w znacznie późniejszym okresie swojego życia — na które ta dziecięca fascynacja wywarła głęboki, choć niejasny wpływ — nie potrafił znaleźć na to słów, prócz tych, które pobrzmiewały owego czegoś echem: słowa podróżnik, słowa wygnaniec.

W owym tygodniu spadł jedyny obfitszy tej zimy śnieg. Szevek nigdy nie widział śnieżnej powłoki grubszej niż cal. Obfitość, sama masa śnieżycy wprawiła go w zachwyt. Radował się jej nadmiarem. Była zbyt biała, zimna, cicha i obojętna, aby najzagorzalszy nawet odonianin mógł ją nazwać ekskrementalną; uznanie jej za coś innego niż niewinny przepych dowodziłoby małości duszy.

Ledwie niebo przejaśniło się, wraz z chłopcami, których zamieć cieszyła nie mniej niż jego, wybiegł na dwór. Gonili się po rozległym ogrodzie na tyłach domu Oiie, obrzucali śnieżkami, kopali tunele, budowali zamki i fortece ze śniegu.

Sewa Oiie stała w oknie ze swoją szwagierką, Veą, przyglądając się zabawie dzieci, mężczyzny i małej wydry. Zwierzątko urządziło sobie zjeżdżalnię na murze śnieżnego zamku i w podnieceniu, raz za razem, ześlizgiwało się na brzuchu jak na sankach. Policzki chłopców płonęły. Mężczyzna, który długie, grube szarobure włosy związał z tyłu kawałkiem sznurka i którego uszy zaczerwieniły się od mrozu, kierował z werwą kopaniem tuneli.

— Nie tu! — Kop tam! — Gdzie łopata? — Mam lód w kieszeni! — dzwoniły niestrudzenie wysokie chłopięce głosy.

— Oto i nasz Obcy — uśmiechnęła się Sewa.

— Największy z żyjących fizyków — zauważyła jej szwagierka.

— Jakie to zabawne!

Kiedy w doskonałym nastroju Szevek wszedł do domu — zdyszany, otupując z butów śnieg, przepełniony tym świeżym, zimnym ożywieniem, którego doświadczają jedynie ci, którzy wracają właśnie z zabawy na śniegu — przedstawiono go szwagierce Sewy. Wyciągnął do niej swą dużą, silną, zziębniętą dłoń i objął ją z wysoka przyjaznym spojrzeniem.

— Ty jesteś siostrą Demaere'a? — zapytał. — Rzeczywiście, jesteś do niego podobna.

Uwaga ta, która w innych ustach wydałaby się Vei grubiańska, sprawiła jej ogromną przyjemność. „Oto mężczyzna — powtarzała sobie w duchu przez całe popołudnie — prawdziwy mężczyzna. Co on w sobie ma takiego?"

Nazywała się, ajońskim zwyczajem, Vea Doem Oiie; Doem, jej mąż, kierował wielkim kombinatem przemysłowym, dużo podróżował i połowę każdego roku spędzał za granicą jako handlowy przedstawiciel rządu. Gdy objaśniano to Szevekowi, on tymczasem

chłonął Veę wzrokiem. Szczupła sylwetka, blada cera i czarne owalne oczy Demaere'a Oiie przemieniły się w niej w piękno.

Piersi, ramiona i ręce miała krągłe, miękkie i niezwykle białe. Siedziała przy stole obok Szeveka. Wciąż popatrywał na te nagie, sztywnym stanikiem podniesione wzgórki. Pomysł, żeby przy mroźnej pogodzie chodzić tak półnagą, zatrącał ekstrawagancją, podobną tej, którą był sam śnieg; przypominała go zresztą i niewinna biel jej drobnych piersi. Wygięcie szyi przechodziło łagodnie w krzywiznę dumnej, ogolonej, delikatnej głowy.

Ona jest naprawdę bardzo atrakcyjna — poinformował Szevek samego siebie. — Jest jak tutejsze łóżka: miękka. Ale afektowana. — po licha tak dobiera słowa?

Nie zdając sobie z tego sprawy, uczepił się jej cienkiego raczej głosu i wyszukanych manier jak tratwy na głębokiej wodzie, nieświadom, że tonie. Po obiedzie wracała pociągiem do Nio Esseii, przyjechała tylko na jeden dzień, nie zobaczy jej nigdy więcej.

Oiie był przeziębiony, Sewa zajęta przy dzieciach.

— Szevek, czy nie mógłby pan odprowadzić Veę na stację?

— Na miły Bóg, Demaere! Nie każ temu biednemu człowiekowi opiekować się mną! Nie sądzisz chyba, że spotkam po drodze wilki, prawda? Albo że wpadną do miasta dzicy Mingradowie i uprowadzą mnie do swych haremów? I znajdą mnie jutro rano zawiadowcy ze łzą zamarzniętą w oku, ściskającą w drobnych, zgrabiałych rączętach bukiecik zwiędłych kwiatków? Och, wolałabym już raczej to!

Nad dźwięczny potok tej przemowy wzniósł się jej śmiech — jak ciemna, gładka, potężna fala, która zmywa wszystko po drodze, pozostawiając wypłukany do czysta piasek. Vea nie wtórowała sobie śmiechem — ciemnym, gardłowym, który ścierał słowa — ona się śmiała z siebie.

Szevek włożył w holu palto i oczekiwał na nią przy drzwiach.

Pół kwartału przebyli w milczeniu. Pod ich stopami skrzypiał i chrzęścił śnieg.

— Jest pan naprawdę zdecydowanie za uprzejmy jak na…

— Jak na kogo?

— Jak na anarchistę — rzekła Vea swoim cienkim głosem, afektowanie przeciągając słowa (z taką samą intonacją, której używał Pae, a także Oiie na terenie uniwersytetu). — Jestem rozczarowana.

Myślałam, że będzie pan niebezpieczny i nieokrzesany.

— Bo jestem.

Spojrzała nań z ukosa. Głowę miała okręconą szkarłatnym szalem; w zestawieniu z jego jaskrawym kolorem i bielą śniegu dokoła jej oczy lśniły aksamitną czernią.

— A tymczasem odprowadza mnie pan potulnie na stację, doktorze Szevek.

— Szevek — podpowiedział miękko. — Bez „doktorze”.

— Czy to całe pana imię — pierwsze i ostatnie?

Skinął z uśmiechem głową. Czuł się doskonale, tryskał energią, cieszyło go czyste powietrze, ciepło doskonale uszytego palta, które miał na sobie, uroda idącej obok kobiety. Żadne troski ani czarne myśli nie miały doń tego dnia przystępu.

— Czy to prawda, że wy dostajecie imiona z komputera?

— Tak.

— Jakież to okropne, otrzymywać imię od maszyny!

— Dlaczego okropne?

— Takie mechaniczne, bezosobowe.

— A czy może być coś bardziej osobistego niż imię, którego nie nosi nikt inny spośród żyjących?

— Nikt inny? Jest pan jedynym Szevekiem?

— Dopóki żyję. Przede mną byli już Szevekowie.

— Krewni, chce pan powiedzieć?

— My niewielką wagę przywiązujemy do pokrewieństwa; wszyscy jesteśmy krewnymi. Nie wiem, kim byli, poza jednym, z pierwszych lat po Osiedleniu. Zaprojektował rodzaj łożyska stosowanego w ciężkim sprzęcie, do dzisiaj nazywa sieje „szevek”. — Znów się uśmiechnął, szerzej niż przedtem. — Miłą rzeczą jest nieśmiertelność!

Vea pokręciła głową.

— Dobry Boże! — wykrzyknęła. — Jakim cudem wy potraficie odróżnić kobietę od mężczyzny?

— No cóż, dopracowaliśmy się pewnych metod…

Parsknęła po chwili swoim zmysłowym, drażniącym śmiechem. Otarła łzawiące od mrozu oczy.

— Rzeczywiście, chyba istotnie jest pan nieokrzesany…! Czy oni wszyscy przyjęli zmyślone imiona i nauczyli się wymyślonego języka — wszystko nowe?

— Osadnicy na Anarres? Tak. Wydaje mi się, że byli romantykami.

— A wy tacy nie jesteście?

— Nie. My jesteśmy bardzo pragmatyczni.

— Jedno nie przeszkadza drugiemu — zauważyła.

Nie spodziewał się po niej subtelności umysłu.

— Tak, to prawda — przyznał.

— Cóż może być bardziej romantycznego od pańskiego tutaj przyjazdu — sam jak palec, bez grosza przy duszy, występujący w sprawie swojego narodu?

— I opływający w luksusie.

— Luksusie? W uniwersyteckich pokoikach? Miły Boże! Kochany biedaku! Nie pokazali panu żadnych przyzwoitszych miejsc?

— Byłem w wielu miejscach, lecz wszystkie były podobne.

Pragnąłbym lepiej poznać Nio Esseię. Widziałem tylko zewnętrzną stronę miasta — opakowanie paczki.

Użył tego porównania, bo od pierwszej chwili zafascynował go zwyczaj Urrasyjczyków pakowania wszystkiego w czysty, wytworny papier, plastik, karton bądź folię. Pranie, książki, warzywa, ubrania, lekarstwa — wszystko otulano warstwami opakowań. Nawet ryzy papieru zawijano w kilka jego warstw. Nic nie miało się stykać z niczym innym. Zaczął odnosić wrażenie, że i on sam został starannie opakowany.

— Domyślam się. Zaprowadzili pana do Muzeum Historycznego, oprowadzili po Pomniku Dobunnae, kazali wysłuchać przemówienia w Senacie!

Roześmiał się, gdyż przedstawiła dokładnie marszrutę jednego z dni ubiegłego lata.

— Wiem, wiem! Oni tak głupio obchodzą się z obcokrajowcami. Dopilnuję, żeby zobaczył pan prawdziwą Nio!

— Bardzo bym tego pragnął.

— Znam całą masę cudownych ludzi. Kolekcjonuję ludzi. Tu tkwi pan jak w pułapce między wszystkimi tymi nadętymi profesorami i politykami… — trajkotała. Jej paplanina sprawiała mu przyjemność, podobnie jak śnieg i słońce.

Dotarli do małej stacyjki Amoeno. Vea już wcześniej kupiła bilet powrotny; pociąg miał nadjechać lada moment.

— Niech pan nie czeka, zamarznie pan.

Nie odpowiedział, stał i przyjaźnie pochłaniał ją wzrokiem — zwalisty w palcie na podbiciu z owczej wełny.

Opuściła spojrzenie na mankiet salopki i strzepnęła płatek śniegu z haftu.

— Czy ma pan żonę, Szevek?

— Nie.

— Żadnej w ogóle rodziny?

— Ach — nie. Mam partnerkę; dzieci. Proszę mi wybaczyć, pomyślałem o czym innym. „Żona” to dla mnie coś, co istnieje tylko na Urras.

— Kto to jest „partnerka”? — Zajrzała mu zalotnie w oczy.

— Wy powiedzielibyście, jak sądzę, żona.

— Czemu z panem nie przyjechała?

— Nie chciała; młodsza dziewczynka ma dopiero roczek… Nie, teraz już dwa. A poza tym… — Zawahał się.

— Czemu nie chciała przyjechać?

— No cóż, ma tam, nie tu, zadanie do spełnienia. Gdybym wiedział, jak bardzo by się jej spodobało wiele z tutejszych rzeczy, nalegałbym, żeby ze mną przyjechała. Ale nie wiedziałem tego. Jest poza tym kwestia bezpieczeństwa.

— Bezpieczeństwa? Tutaj?

Znowu się zawahał, po czym rzekł:

— Jak również po moim powrocie.

— A co panu grozi? — zapytała, robiąc zdziwione oczy.

Zza wzgórza za miastem wyjechał pociąg.

— Och, zapewne nic. Są jednak tacy, którzy uważają mnie za zdrajcę. Dlatego, że staram się o nawiązanie przyjaźni z Urras.

Mogą sprawiać kłopoty, kiedy przyjadę do domu. Nie chcę tego ani dla niej, ani dla dzieci. Doświadczyliśmy trochę szykan przed moim wyjazdem. Wystarczy.

— Chce pan powiedzieć, że zagrozi panu prawdziwe niebezpieczeństwo?

Nachylił się do niej, żeby lepiej słyszeć, na stację z łoskotem kół i wagonów wtaczał się już bowiem pociąg.

— Nie wiem — odrzekł z uśmiechem. — Czy wiesz, że nasze pociągi są bardzo podobne do waszych? Dobry projekt nie wymaga ulepszeń. — Podszedł z nią do wagonu pierwszej klasy. Ponieważ nie otwierała drzwi, uczynił to za nią. Kiedy wsiadła, wetknął do przedziału głowę i rozejrzał się po nim. — W środku nie są jednak podobne! To przedział prywatny, wyłącznie dla ciebie?

— O tak. Nie cierpię drugiej klasy. Mężczyźni żują gumę maera i spluwają. Czy na Anarres żuje się maerę? Nie, z pewnością nie.

Och, tak bym chciała dowiedzieć się czegoś więcej o panu i pańskiej ojczyźnie!

— Z chęcią bym o niej opowiedział, ale nikt mnie nie pyta.

— A więc spotkajmy się znowu, żeby sobie o niej porozmawiać!

Może by pan do mnie zadzwonił, będąc następnym razem w Nio Esseii? Proszę obiecać.

— Obiecuję — odrzekł z humorem.

— Świetnie! Wiem, że nie łamie pan obietnic. Nic jeszcze o panu nie wiem, ale to jedno wiem. Wyczuwam to. Do widzenia, Szevek.

Na chwilę nakryła dłonią w rękawiczce jego przytrzymującą drzwi rękę. Rozległ się dwutonowy gwizd lokomotywy; Szevek zatrzasnął drzwi i spoglądał za odjeżdżającym pociągiem, odprowadzając wzrokiem twarz Vei, świecącą z okna biało-szkarłatną plamą.

W doskonałym nastroju wrócił do domu Oiie i aż do zmroku toczył z Ini bitwę na śnieżki.

REWOLUCJA W BENBILI! UCIECZKA DYKTATORA!
PRZYWÓDCY REBELIANTÓW OPANOWUJĄ STOLICE!
NADZWYCZAJNE POSIEDZENIE RRŚ.
NIEWYKLUCZONA INTERWENCJA A-IO.

Brukowe gazety zachłystywały się największymi z dostępnych czcionek, gubiąc po drodze składnię i gramatykę; brzmiało to niczym sposób wysławiania się Efora: „Ostatniej nocy powstańcy opanowują całą zachodnią część Meskti i mocno naciskają na armię…” Taki — wtłaczający przeszłość i przyszłość w jeden przeciążony, chwiejący się czas teraźniejszy — był czasownikowy tryb Niotyjczyków.

Szevek przeczytał gazety i zajrzał do encyklopedii RRŚ pod hasło „Benbili”. Państwo to było formalnie demokracją parlamentarną, faktycznie — rządzoną przez generałów — dyktaturą wojskową. Był to rozległy, słabo zaludniony, biedny kraj na zachodniej półkuli, same tylko góry i jałowe sawanny. „Powinienem tam pojechać” — pomyślał, skuszony owym obrazem; oczyma wyobraźni oglądał już blade, chłostane wiatrem równiny. Wieści z Benbili niezwykle go poruszyły. Nasłuchiwał wiadomości stamtąd w radiu, które dotąd rzadko był włączał, stwierdziwszy, że jego podstawową funkcją było reklamowanie towarów na sprzedaż. Radiowe doniesienia, podobnie jak oficjalne telefaxy, zainstalowane w pomieszczeniach publicznych, były krótkie i suche — osobliwy kontrast z prasą popularną, która na każdej stronie krzyczała: Rewolucja!

Prezydent, generał Havevert, zdołał ujść cało w swoim słynnym opancerzonym samolocie, kilku jednak pomniejszych generałów ujęto i wykastrowano — kara, którą Benbilijczycy tradycyjnie przedkładali nad egzekucję. Wycofująca się armia zostawiała za sobą spalone pola i zgliszcza miast swego narodu. Partyzanci nękali ją z kolei wojną podjazdową. W Meskti, stolicy kraju, rewolucjoniści otworzyli bramy więzień, ogłaszając amnestię dla wszystkich uwięzionych. Żywiej zabiło serce Szeveka, kiedy to czytał. Więc była jeszcze, wciąż jeszcze była nadzieja… Z rosnącym przejęciem śledził doniesienia z dalekiej rewolucji. Czwartego dnia w telefaksowej transmisji z obrad Rady Rządów Świata usłyszał, jak ambasador ajoński przy RRŚ ogłasza, że A-Io, śpiesząc z pomocą demokratycznemu rządowi w Benbili, wysyła posiłki wojskowe prezydentowi-generałowi Havevertowi. Rewolucjoniści w Benbili przeważnie nie byli nawet uzbrojeni. Ajoiiskie oddziały wyruszały zaś przeciwko nim z karabinami, wozami pancernymi, samolotami, bombami. Szevek czytał w gazecie opis ich uzbrojenia i zaczęły ogarniać go mdłości.

Czuł obrzydzenie i gniew, a nie było nikogo, z kim mógłby o tym porozmawiać. Pae nie wchodził w rachubę. Atro był zaciekłym militarystą. Oiie był przyzwoitym człowiekiem, ale jego lęki i obawy właściciela majętności kazały mu obstawać przy sztywnych pojęciach prawa i porządku. Sympatię do Szeveka mógł powziąć jedynie dzięki temu, że nie dopuszczał do siebie myśli, iż ten jest anarchistą. Odońskie społeczeństwo — wywodził — określa siebie mianem

anarchistycznego, ale jest w gruncie rzeczy zbiorowiskiem najzwyklejszych prymitywnych populistów, zachowujących ład społeczny bez widocznego udziału rządów tylko dlatego, że społeczeństwo to jest tak nieliczne i nie sąsiaduje z innymi państwami. Gdyby jego stanowi posiadania zagroził agresywny rywal albo otworzyłoby oczy na rzeczywistość, albo zostałoby starte z powierzchni ziemi. Rebeliantom z Benbili właśnie otwierają się oczy na rzeczywistość: przekonują się oto, że nic po wolności, skoro nie można jej poprzeć karabinami. Poglądy te Oiie wyłożył Szevekowi podczas jedynej dyskusji, jaką na ten temat odbyli. Nie ma znaczenia, kto rządzi — bądź zdaje mu się, że rządzi — Benbilijczykami: realna polityka zasadza się na walce o władzę między A-Io aThu.

— Realna polityka — powtórzył Szevek. Popatrzył na Oiie i zauważył: — Dziwne sformułowanie w ustach fizyka.

— Bynajmniej. Zarówno polityk, jak i fizyk zajmują się rzeczami takimi, jakimi one są, realnymi siłami, podstawowymi prawami tego świata.

— Mówisz jednym tchem o waszych marnych, nędznych „prawach" służących ochronie bogactwa, waszych „siłach" złożonych z karabinów i bomb — i o prawie entropii, sile grawitacji? Lepszego byłem zdania o twoim rozumie, Demaere!

Oiie aż się skurczył pod tym chłoszczącym tonem pogardy. Nic nie odrzekł, a i Szevek nie powiedział już nic więcej; Oiie jednak nigdy jego słów nie zapomniał. Tkwiły one odtąd w jego pamięci jako wspomnienie najbardziej wstydliwego momentu jego życia.

Gdyby bowiem tak łatwo zbił go z tropu Szevek — zwiedziony, prostaczkowaty utopista, byłoby to zawstydzające; ale zawstydził go Szevek-fizyk, człowiek, którego nie lubić i nie podziwiać nie mógł, na którego szacunek pragnął sobie zasłużyć, jakby to był szacunek wyższej jakiejś próby od tego, który gdzie indziej można było zdobyć — ten Szevek miał go w pogardzie, i dlatego spowodowany tym wstyd był nie do zniesienia, musiał go więc ukryć, zamknąć na resztę życia w najciemniejszym zakątku swej duszy.

Rewolucja w Benbili i Szevekowi wyostrzyła pewne sprawy: szczególnie kwestię jego własnego milczenia.

Nieufność do ludzi, z którymi przebywał, przychodziła mu z trudem. Wzrastał w kulturze, która zasadzała się — z wyboru i bez wyjątków — na zaufaniu w ludzką solidarność i pomoc wzajemną. Jakkolwiek pod pewnymi względami był z kultury tej wyobcowany i jej obcy, zachował się w nim nawyk: zakładał, że ludzie będą mu pomocni. Ufał im.

Nie przestawały doń jednak wracać — choć starał sieje od siebie odsuwać — przestrogi Chifoiliska. Wzmacniały je jego własne spostrzeżenia i przeczucia. Musi się nauczyć nieufności, czy mu się to

podoba, czy nie. Musi milczeć; to, co posiada, zatrzymać dla siebie; zachować swoją siłę przetargową.

Mało się w owym czasie odzywał, jeszcze mniej pisał. Jego biurko przypominało morenę nic nie znaczących papierzysków; pojedyncze robocze notatki nosił zawsze przy sobie, w jednej z licznych urrasyjskich kieszeni. Nigdy nie odchodził od swojego osobistego komputera, nie skasowawszy w nim uprzednio zapisu.

Wiedział, że jest już bardzo bliski stworzenia ogólnej teorii czasu, której tak bardzo potrzebowali Ajończycy dla swoich podróży kosmicznych i swego prestiżu. Zdawał sobie przy tym sprawę, że dotąd jej nie opracował i że może nigdy mu się to nie uda. Ani pierwszego, ani drugiego z tych faktów nikomu dotąd nie wyjawił.

Przed wyjazdem z Anarres wydawało mu się, że ma już to odkrycie w zasięgu ręki. Znalazł wzory. Sabul o tym wiedział i w zamian za możność ich wydrukowania i uskubnięcia listka sławy ofiarował mu zgodę i uznanie. Odmówił Sabulowi; nie był to z jego strony żaden szlachetny gest. Szlachetnym gestem byłoby złożenie rękopisu w wydawnictwie Syndykatu Inicjatywy; ale i tego nie uczynił. Nie miał całkowitej pewności, że jest gotów do ogłoszenia tych wzorów. Coś jeszcze było niezupełnie tak, wymagało dopracowania. Trudził się nad tą teorią od dziesięciu lat, więc nie zaszkodzi poczekać jeszcze trochę, wygładzić ją i wypolerować.

Ów nie doszlifowany drobiazg zaczynał się przedstawiać coraz to fatalniej. Mała usterka w rozumowaniu. Wielka skaza. Rysa w samych fundamentach… W noc przed wyjazdem z Anarres spalił wszystkie zapiski dotyczące ogólnej teorii. Na Urras przyjechał z niczym. Przez pół roku — mówiąc językiem Urrasyjczyków — zwodził ich.

Czy może samego siebie?

Niewykluczone, że ogólna teoria czasu była złudą. Możliwe też, że jeśli nawet następstwa i jednoczesność zostaną pewnego dnia ujęte w ogólną teorię, dokonanie tego nie jemu przypadnie w udziale. Próbował przez dziesięć lat i nie udało się. Matematycy i fizycy, mocarze intelektu wiekopomne swoje dzieła tworzą za młodu. A jemu właśnie stuknęła czterdziestka. Było wielce prawdopodobne, że już się wypalił, skończył.

Zdawał sobie doskonale sprawę, że podobne fatalne nastroje i przeczucia klęski zapowiadały u niego dotąd okresy najbardziej twórcze. Stwierdziwszy, że w tym fakcie szuka pocieszenia, wpadł w złość z powodu własnej naiwności. Interpretować porządek czasowy jako porządek przyczynowy — dość to głupie jak na chronozofistę. Czyżby — w wieku lat czterdziestu — był już starym piernikiem? Lepiej wziąć się po prostu do skromnego, ale praktycznego zadania ulepszenia koncepcji interwału. Może się to komuś przyda.

Ale nawet gdy o tym zagadnieniu rozmawiał z innymi fizykami,

miał wrażenie, że coś przed nimi ukrywa. Oni zaś mieli podobne uczucie.

Obrzydło mu już to ukrywanie, obrzydło nierozmawianie — o rewolucji, o fizyce, o czymkolwiek.

Szedł na wykład. Na okrytych młodymi liśćmi drzewach na terenie uniwersytetu śpiewały ptaki. Zimą nie słyszał ich śpiewu, teraz na powrót go podjęły, znowu wywodziły swoje słodkie trele.

Tiur-ł-H-ł — śpiewały. — To moje-je-je, moje-je-je, mój li-li-liść, mój li-li-liść…

Szevek przystanął na chwilę nieruchomo pod drzewami i słuchał.

A potem zszedł ze ścieżki, pomaszerował w przeciwnym kierunku, w stronę stacji, i wsiadł w poranny pociąg do Nio Esseii.

Toż na tej przeklętej planecie muszą być gdzieś otwarte jakieś drzwi!

Siedząc w pociągu, rozważał, czyby nie spróbować wydostać się z A-Io — może by tak pojechać do Benbili? Nie wziął jednak na serio tego pomysłu. Musiałby udać się okrętem albo samolotem, wytropiono by go i zatrzymano. Jedynym miejscem, gdzie mógłby się zaszyć przed wzrokiem swych dobroczyńców i opiekunów, było ich wielkie miasto, kryjówka pod samym ich nosem.

Nie była to ucieczka. Nawet gdyby wydostał się z tego kraju, pozostanie w potrzasku, uwięziony na Urras. Trudno to nazwać ucieczką, jakimkolwiek by tego ludzie władzy — z ich mistycznym podejściem do państwowych granic — nie określili mianem. Na myśl jednak o tym, że jego dobroczyńcy i opiekunowie mogliby, choćby przez chwilę, przypuszczać, że im uciekł, ogarnęła go naraz od wielu dni nie zaznana radość.

Był pierwszy naprawdę ciepły dzień wiosny. Pola zieleniły się i połyskiwały wodą. Każdemu stworzeniu pasącemu się na pastwiskach towarzyszyło młode; szczególnie urocze były jagnięta, skaczące jak białe sprężyste kulki i kręcące młynka ogonkami. Pan stada — baran, byk lub ogier o ciężkim karku — stał osobno w zagrodzie, mocarny niczym burzowa chmura, nabrzmiały pokoleniami. Nad pełnymi po brzegi stawami śmigały mewy — białe smugi na niebieskim tle; po bladobłękitnym niebie przepływały śnieżne obłoki. Gałęzie drzew w sadach nakrapiane były czerwienią, niektóre kwiaty już kwitły biało i różowo. Wyglądając przez okno wagonu, Szevek stwierdzał, że jego niepokój i buntowniczy nastrój skłonne były kwestionować nawet urok dnia. To było niesprawiedliwe piękno. Co Urrasyjczycy takiego zrobili, by sobie na nie zasłużyć? Dlaczego tak hojnie, w nadmiarze dostało się ono im, a tak skąpo, tak okrutnie skąpo przypadło go jego narodowi?

Myślę jak Urrasyjczyk — ocenił w duchu. Jak przeklęty posiadacz. Jakby zasługa miała jakiekolwiek znaczenie. Jak gdyby

człowiek mógł sobie zasłużyć na piękno — albo życie! Starał się o niczym nie myśleć, dać się tak unosić i przyglądać się słońcu na czystym niebie i owieczkom brykającym na wiosennych łąkach.

Nio Esseia, miasto o czterech milionach mieszkańców, wyrastała nad zielonymi żuławami Delty delikatnymi połyskliwymi wieżami, jak gdyby zbudowana została ze słońca i mgły. W miarę jak pociąg sunął gładko po długim wiadukcie, miasto rosło, nabierało blasku i materializowało się — by go raptem wchłonąć w huczącą ciemność szerokiego na dwadzieścia torów podziemnego dojazdu, a następnie wychlusnąć — i pociąg, i pasażerów — na ogromne, lśniące przestrzenie Dworca Centralnego, nakrytego kopułą z kości słoniowej i lazurytu — największą, jak mówiono, jaką kiedykolwiek, na którymkolwiek ze światów wzniosła ludzka ręka.

Szevek przemierzał akry polerowanego marmuru pod tą olbrzymią niebiańską czaszą, aż dotarł w końcu do drugiego szeregu drzwi, przez które wchodziły nieustannie i wychodziły tłumy dążących dokądś pojedynczych ludzi. Wszyscy oni wydawali mu się niespokojni. Już wcześniej widywał nieraz ten niepokój na twarzach Urrasyjczyków i zastanawiał się nad nim. Czy brał się on stąd, że niezależnie od tego, ile posiadali pieniędzy, musieli się wciąż martwić, nie chcąc umrzeć w biedzie, o zarabianie ich więcej? Czy też powodem było poczucie winy, bo choćby nie wiedzieć jak mało ich mieli, zawsze dało się znaleźć kogoś, kto miał ich jeszcze mniej? Jakakolwiek była tego przyczyna, ów niepokój naznaczał ich twarze niejakim podobieństwem — i Szevek czuł się w ich tłumie nadzwyczaj samotny. Uciekając od swoich opiekunów i strażników, nie przewidział, jak będzie wyglądała samodzielność w społeczeństwie, w którym ludzie nie dowierzali jeden drugiemu i w którym istotą moralności była nie pomoc wzajemna, ale wzajemna agresja. Chwycił go lekki strach.

Wyobrażał sobie mgliście, że będzie chodził po mieście i nawiązywał rozmowy z przedstawicielami klasy nieposiadającej — jeśli taka w ogóle jeszcze istniała — bądź klas pracujących, jak je nazywano. Ale wszyscy ci ludzie spieszyli dokądś za swoimi sprawami i nie mieli najmniejszej ochoty tracić bezcennego czasu na próżne pogawędki. Zaraził się ich pośpiechem. Muszę dokądś pójść — postanowił, wyszedłszy na słońce i przepych zatłoczonej ulicy Moie. Ale dokąd? Do biblioteki narodowej? Do zoo? Nie zwiedzanie było mu jednak w głowie.

Przystanął w niezdecydowaniu przed sklepem z gazetami i błyskotkami nie opodal dworca. Nagłówek gazety krzyczał: THU WYSYŁA ODDZIAŁY WOJSKOWE NA POMOC POWSTAŃCOM W BENBILI, lecz nie przyciągnął uwagi Szeveka. Przyglądał się nie gazetom, ale kolorowym fotografiom na stoisku. Uświadomił sobie, że

nie ma żadnych pamiątek z Urras. Kto podróżuje, ten powinien przywozić z wojaży upominki. Podobały mu się te widokówki z A-Io: góry, na które się wspinał, drapacze chmur w Nio, kaplica w uniwersytecie (nieomal widok z jego okna), wiejska dziewczyna w pięknym stroju regionalnym, wieże Rodarred — wreszcie zdjęcie, które pierwsze przyciągnęło jego wzrok: owieczka brykająca na ukwieconej łące i najwyraźniej śmiejąca się. Spodobałaby się małej Pilun. Wybrał po jednej pocztówce i podszedł z nimi do lady.

— I pięć, pięćdziesiąt i owieczka — to będzie razem sześćdziesiąt; i mapa, proszę, sir, jeden czterdzieści. Nareszcie ładny wiosenny dzień, prawda, sir? Nie ma pan drobniejszych?

Szevek wręczył kioskarzowi banknot o wartości dwudziestu jednostek. Wysupławszy teraz resztę, którą mu wydano, gdy kupował bilet, uzbierał — przyglądając się nominałom na banknotach i monetach — jednostkę czterdzieści.

— Zgadza się, sir. Najuprzejmiej panu dziękuję i życzę przyjemnego dnia!

Czy za pieniądze można nabyć także uprzejmość, podobnie jak pocztówki i mapę? Ile też uprzejmości okazałby sklepikarz, gdyby wszedł tu jak Anarresyjczyk do składu towarów, wziął, co potrzebne i wyszedł, skinąwszy magazynierowi głową?

To nie ma sensu, nie ma sensu myśleć w takich kategoriach.

Kiedy znajdziesz się w Krainie Własności, myśl jak właściciel.

Ubieraj się jak właściciel, jedz jak właściciel, zachowuj się jak właściciel, stań się jednym z właścicieli.

W śródmieściu Nio nie było parków, ziemia była tu zbyt cenna, by ją marnotrawić na tereny rekreacyjne. Zapuszczał się coraz dalej w te same szerokie, lśniące ulice, którymi go tyle razy wożono.

Doszedłszy do ulicy Saemtenevia, przeciął ją spiesznie, nie życząc sobie powtórzenia tamtego koszmaru na jawie. Znalazł się w dzielnicy handlowej. Banki, biurowce, gmachy rządowe. Czy cała Nio Esseia była taka? Olbrzymie połyskliwe pudła ze szkła i kamienia, ogromne ozdobne opakowania — puste, puste.

Mijając okno wystawowe z napisem Galeria Sztuki, postanowił wejść do środka, by uciec od moralnej klaustrofobii, o jaką go przyprawiały ulice, i w muzeum odnaleźć na powrót piękno Urras.

Okazało się jednak, że wszystkie eksponowane tam obrazy mają przypięte do ram karteczki z ceną. Przyglądał się namalowanemu z wprawą kobiecemu aktowi. Jego cena wynosiła 4000 mjm.

— To Fei Feite — poinformował go śniady mężczyzna, który wyrósł bezszelestnie u jego boku. — W zeszłym tygodniu mieliśmy pięć jego obrazów. Największe od dawna wydarzenie na rynku sztuki. Feite to pewna lokata, sir.

— Za cztery tysiące jednostek dwie rodziny mogą utrzymać się w

tym mieście przez rok — zauważył Szevek.

Mężczyzna przyjrzał mu się uważniej i powiedział, przeciągając słowa:

— No cóż, zgadza się, sir, ale, widzi pan, tak się składa, że to jest dzieło sztuki.

— Sztuki? Człowiek tworzy dzieło sztuki, bo taką ma potrzebę.

A po co to stworzono?

— Jest pan artystą, jak widzę — powiedział mężczyzna jawnie już arogancko.

— Nie, ale człowiekiem, który rozpozna gówno, kiedy je zobaczy!

Sprzedawca cofnął się z przestrachem; gdy zaś znalazł się poza zasięgiem Szeveka, zaczął mówić coś o policji. Szevek skrzywił się i wyszedł z galerii. Przebywszy pół kwartału, przystanął. Nie może się tak dłużej wałęsać.

Ale dokąd by tu pójść?

Do kogoś… Do kogoś, do drugiego człowieka. Jakiejś ludzkiej istoty. Kogoś, kto mu udzieli pomocy, a nie sprzeda ją. Do kogo?

Dokąd?

Pomyślał o dzieciach Oiie — małych chłopcach, którzy go lubili — i przez dłuższą chwilę nie był w stanie skupić myśli na niczym innym. Potem poczęła wyłaniać się z jego pamięci daleka, mała i wyraźna postać: siostra Oiie. Jakże jej było na imię? „Proszę obiecać, że pan przyjedzie” — powiedziała; od tamtej pory już dwa razy przysyłała mu zaproszenia na wieczorne przyjęcia, pisane śmiałym, dziecinnym charakterem pisma na grubym, słodko pachnącym papierze. Nie skorzystał z nich, podobnie jak ignorował wszystkie zaproszenia od nieznajomych. Teraz sobie o nich przypomniał.

Jednocześnie przypomniał sobie ową drugą przesyłkę, te, która w niewyjaśniony sposób dostała się do kieszeni jego palta: „Przyłącz się do nas, swych braci”. Ale on nie mógł znaleźć na Urras żadnych braci.

Wszedł do najbliższego sklepu. Była to cukiernia, przeładowana złotymi ornamentami, tynkowana na różowo, z rzędami szklanych gablot pełnych pudełek, puszek i koszyków z cukierkami i słodyczami — różowymi, brązowymi, kremowymi, złotymi. Zapytał stojącą za tymi gablotami kobietę, czy nie pomogłaby mu znaleźć pewnego numeru telefonu. Ochłonął już z gniewu, w jaki wpadł w galerii sztuki, i taki był teraz pokorny w swoim zagubieniu i nietutejszości, że ujął tym sprzedawczynię; nie tylko pomogła mu wyszukać nazwisko w opasłej książce telefonicznej, ale i wykręciła numer na sklepowym aparacie.

— Halo?

— Szevek — przedstawił się. Telefon był dla niego środkiem do komunikowania się w pilnej potrzebie, służącym do informowania o

zgonach, narodzinach i trzęsieniach ziemi. Pojęcia nie miał, co mówić.

— Kto? Szevek? Naprawdę? Jak to miło, że pan dzwoni! Skoro to pan, nie gniewam się ani troszeńkę, że mnie pan obudził.

— Spałaś?

— Jak kamień — i wciąż jestem w łóżku. Cieplutko tu i milutko. Gdzież to pan jest, na Boga?

— Na ulicy Kae Sekae, jak mi się wydaje.

— Co pan tam robi? Niechże pan zajdzie. Która to godzina? Miły Boże, już prawie południe. Wiem, co zrobimy: wyjdę panu naprzeciw. Spotkamy się przy stawie z łódkami w ogrodach Starego Pałacu. Trafi pan? Proszę posłuchać, musi pan zostać, wydaję dziś wieczorem absolutnie boskie przyjęcie. — Trajkotała tak chwilę; zgodził się na wszystkie jej propozycje. Kiedy przechodził obok kontuaru, sklepowa uśmiechnęła się do niego.

— Może lepiej weźmie pan dla pani pudełko czekoladek, sir?

Przystanął.

— A powinienem?

— Nigdy nie zaszkodzi, sir.

W jej głosie zadźwięczała zażyłość i serdeczność. W sklepie było ciepło, a powietrze pachniało tak słodko, jakby skupiły się w nim wszystkie aromaty wiosny. Szevek, wysoki, ciężki i rozmarzony, stał wśród tych gablot z kosztownymi łakociami niczym owe masywne zwierzęta w zagrodach, barany i byki, ogłupiałe od gorąca wiosennych żądz.

— Przygotuję panu coś w sam raz — powiedziała kobieta i napełniła metalową, kunsztownie emaliowaną szkatułkę miniaturowymi listkami z czekolady i różyczkami z cukrowych włókien. Cynowe puzderko zawinęła w bibułkę, po czym włożyła ten pakunek do srebrnego kartonowego pudełka, które zawinęła w gruby różowy papier i obwiązała zieloną aksamitną wstążką. W jej zręcznych ruchach dawało się wyczuć komiczne i sympatyczne przejęcie; wręczyła Szevekowi gotową paczuszkę, ten, odebrał ją, wymamrotał słowa podziękowania i skierował się do wyjścia. W jej głosie nie odezwał się ton nagany, gdy mu przypomniała:

— Dziesięć sześćdziesiąt, sir.

Nie jest wykluczone, że z litości, którą kobiety odczuwają wobec siły, pozwoliłaby mu nawet odejść bez zapłacenia; zawrócił jednak posłusznie i odliczył należność.

Kolejką podziemną pojechał do ogrodów Starego Pałacu i odszukał staw z łódkami, na którym ślicznie wystrojone dzieci puszczały małe żaglowce — zachwycające miniaturowe modele z jedwabnym olinowaniem i mosiężnymi okuciami jubilerskiej roboty. Dojrzał Veępo przeciwnej stronie rozległego świetlistego kręgu wody i obszedł staw, radując się blaskiem słońca, powiewami wiosennego

wiatru i widokiem ciemnych drzew parku, wypuszczających pierwsze, jasnozielone listki.

Zjedli lunch na tarasie parkowej restauracji pod wysoką kopułą ze szkła. W jej wnętrzu przejaśnionym słońcem wierzby, okryte rozwiniętymi już w pełni liśćmi, zwieszały się nad sadzawką, po której pływały tłuste białe ptaki i z leniwą pożądliwością — w oczekiwaniu kąsków — wpatrywały się w jedzących. Vea nie zajęła się zamówieniem, zdając to wyraźnie na Szeveka, wprawni kelnerzy doradzili mu jednak tak umiejętnie, że zdawało mu się, iż samodzielnie dokonał wyboru; na szczęście miał w kieszeni mnóstwo pieniędzy. Jedzenie było nadzwyczajne. Jeszcze nigdy nie kosztował dań o tak wybornym smaku. Przyzwyczajony do dwóch posiłków dziennie, zwykle opuszczał jadany przez Urrasyjczyków lunch, ale dziś pochłaniał go aż mu się uszy trzęsły, podczas gdy Vea elegancko skubała potrawy. W końcu miał dość; na widok jego skruszonej miny Vea wybuchnęła śmiechem.

— Za bardzo się objadłem.

— Krótki spacerek dobrze panu zrobi.

Bardzo krótki w istocie był to spacerek: niespieszna, dziesięciominutowa przechadzka po trawie — po czym Vea osunęła się z wdziękiem w cieniu wysokiego brzegu, porośniętego kwitnącymi złociście krzewami. Usiadł obok niej. Przyglądając się jej szczupłym stopom, obutym w białe trzewiki na niezwykle wysokim obcasie, przypomniał sobie wyrażenie, którym Takver określała kobiety posługujące się swoją płcią jako orężem w walce o władzę z mężczyznami: „spekulantki ciałem". Patrząc na Veę, trudno w niej było nie uznać spekulantki nad spekulantkami. Jej obuwie, ubranie, makijaż, biżuteria, gesty — wszystko miało na celu prowokację. Była ciałem tak wyszukanie i wyzywająco kobiecym, że niemal nie sprawiała wrażenia istoty ludzkiej. Ucieleśniała płciowość, którą Ajończycy spychali w sny, powieści i wiersze, w nie kończący się szereg kobiecych aktów, w muzykę, architekturę z jej krzywiznami i kopułami, w cukierki, łaźnie, materace. Była tamtą zaklętą w stół kobietą.

Do gołej skóry ogolona głowa oproszona była talkiem z drobinami mikowego pyłu, delikatny przeto połysk przysłaniał nagość ciała Vei. Miała na sobie pajęczy szal czy też chustę, pod której osłoną rysowały się miękko kształty i płeć jej nagich ramion. Piersi miała zakryte: ajońskie kobiety nie chodziły z odsłoniętymi piersiami po ulicach, rezerwując ich nagość dla swych panów. Przeguby rąk ginęły pod złotymi bransoletkami, w zagłębieniu zaś szyi na tle delikatnej skóry pobłyskiwał niebiesko samotny klejnot.

— Jak to się trzyma?

— Co?

Nie mogąc dojrzeć klejnotu, udawała, że nieświadoma jest jego istnienia, zmuszając Szeveka, by go wskazał, a może i dotknął, sięgnąwszy ręką nad jej piersi.

Uśmiechnął się i uczynił to.

— Czy jest przyklejony?

— Ach, to. Nie, mam tam osadzony magnesik, to zaś ma pod spodem kawałeczek metalu, czy też może na odwrót. Tak czy owak, przyciągamy się wzajemnie.

— Masz magnes pod skórą? — dopytywał się z nie ukrywanym niesmakiem.

Uśmiechnęła się i zdjęła szafir, by się przekonał, że widnieje po nim jedynie mikroskopijny dołeczek srebrnej blizny.

— Pan mnie tak potępia — to odświeżające uczucie. Mam wrażenie, że czego bym nie powiedziała czy nie zrobiła, nie mogę już niżej upaść w pańskich oczach, bo już osiągnęłam w nich dno!

— Tak nie jest — zaprzeczył. Zdawał sobie sprawę, że ona prowadzi z nim grę, której reguł nie znał.

— Nie, nie; potrafię rozpoznać zgorszenie, kiedy je dostrzegę.

Które tak się na przykład objawia. — Wykrzywiła twarz grymasem odrazy; roześmiali się oboje. — Czyja naprawdę aż tak się różnię od Anarresyjek?

— O tak, naprawdę.

— Czy one wszystkie są umięśnionymi siłaczkami? Noszą trepy, mają wielkie platfusowate stopy, ubierają się w drelichy i golą raz na miesiąc?

— W ogóle się nie golą.

— W ogóle? Nigdzie? O mój Boże! Pomówmy lepiej o czym innym.

— O tobie. — Oparł się na trawiastym brzegu, tak blisko Vei, że owiały go naturalne i sztuczne wonie jej ciała. — Chciałbym się dowiedzieć, czy Urrasyjki zadowala ta wieczna podległość?

— Podległość komu?

— Mężczyźnie.

Ach to! Co każe panu sądzić, że jestem mu podległą?

— Wydaje się, że w waszym społeczeństwie wszystko jest w rękach mężczyzn. Przemysł, sztuka, zarządzanie, rząd, decyzje.

Przez całe życie nosicie nazwisko ojca i męża. Mężczyźni chodzą do szkoły, wy nie; tylko oni są nauczycielami, sędziami, tylko oni pracują w policji, zasiadają w rządzie, czyż nie? Czemu im pozwalacie sprawować nad wszystkim kontrolę? Dlaczego nie robicie tego, na co macie ochotę?

— Ależ robimy. Kobiety robią dokładnie to, na co mają ochotę.

By zaś to osiągnąć, nie muszą brudzić sobie rąk, nosić mosiężnych hełmów ani przekrzykiwać się w Dyrektoriacie.

— Cóż więc takiego robicie?

— Rządzimy mężczyznami, ma się rozumieć! I wie pan co?

Można im o tym mówić bez żadnej obawy, ponieważ oni w to nigdy nie uwierzą. Ha, ha, zabawna mała kobietka! — powiedzą, pogłaszczą po główce i wychodzą, podzwaniając medalami, całkowicie z siebie zadowoleni.

— Czy i ty jesteś z siebie zadowolona?

— Najzupełniej.

— Nie wierzę w to.

— Bo nie pasuje to do pańskich zasad. Mężczyźni zawsze tworzą sobie jakieś teorie, do których rzeczywistość musi się zawsze naginać.

— Nie, to nie sprawa teorii; nie wierzę w to, bo widzę, że nie jesteś zadowolona. Jesteś niespokojna, rozgoryczona, niebezpieczna.

— Niebezpieczna! — roześmiała się perliście. — Cóż za bajecznie cudowny komplement! I czemuż to jestem niebezpieczna, Szevek?

— Bo zdajesz sobie sprawę, że w oczach mężczyzn jesteś rzeczą — rzeczą, którą się posiada, kupuje, sprzedaje. Dlatego myślisz jedynie o przechytrzeniu właścicieli, zemszczeniu się…

Zdecydowanym ruchem zamknęła mu usta swoją drobną dłonią.

— Sza — powiedziała. — Wiem, że nie chciał pan być grubiański. Wybaczam panu. Ale już wystarczy.

Zmarszczył się na tę hipokryzję, a także dlatego, że uświadomił sobie, iż mógł ją naprawdę zranić. Wciąż czuł dotyk jej dłoni na wargach.

— Przepraszam — wybąkał.

— Nie, nie. Jakże pan, przybysz z Księżyca, mógłby to zrozumieć? A zresztą jest pan tylko mężczyzną… Coś panu jednak powiem. Gdyby dał pan szansę jednej ze swoich „sióstr" tam na Księżycu zrzucenia buciorów, wykąpania się w olejkach, poddania się depilacji, włożenia pary pięknych sandałków, wetknięcia w pępek klejnotu i skropienia się perfumami, byłaby w siódmym niebie. A i pan byłby oczarowany! Och, byłby pan oczarowany! Ale nic z tego; wy nieszczęsne istoty z waszymi teoriami; sami bracia i siostry i żadnej uciechy!

— Masz rację! — przytaknął. — Żadnej uciechy. Nigdy. Po całych dniach kopiemy ołów w głębinach kopalń, a gdy nastaje noc, spożywszy posiłek, złożony z trzech ziarenek holum rozgotowanych w łyżce stęchłej wody, recytujemy Powiedzenia Odo, aż przychodzi pora kładzenia się do łóżek. Każdy do swego — w butach.

Nie mówił po ajońsku dostatecznie płynnie, by potok wymowy, jaki wyzwoliłby w nim ojczysty język, mógł go unieść w jedną z owych improwizowanych fantazji, których słuchaczkami — na tyle częstymi, aby się do nich przyzwyczaić — bywały jedynie Takver i Sadik; jakkolwiek jednak kulawa, jego wypowiedź zrobiła wrażenie na Vei. Vea zaniosła się swoim zmysłowym, ciepłym, szczerym

śmiechem.

— Dobry Boże, to pan jest i wesołkiem! Kimże pan nie jest?

— Kupcem — odparł.

Przyglądała mu się z rozbawieniem. W jej pozie było coś aktorskiego, wystudiowanego. Ludzie zwykle nie przyglądają się sobie z bliska tak badawczo, chyba że matka dziecku, lekarz pacjentowi, kochanek kochance.

Usiadł.

— Chciałbym się jeszcze przejść.

Wyciągnęła do niego rękę, by pomógł jej wstać. Uczyniła to gestem leniwym i kuszącym, stwierdzając jednak przy tym z pełną wahania tkliwością:

— Pan jest naprawdę jak brat… Proszę mi podać rękę. Wezmę pana na spacer!

Przechadzali się alejkami rozległego ogrodu. Weszli do pałacu, przekształconego w muzeum dawnych królewskich czasów, Vea oświadczyła bowiem, że uwielbia oglądać zgromadzone tam klejnoty. Z portretów wiszących na obitych brokatem ścianach i rzeźbionych kominkach spoglądali na nich dumni lordowie i książęta. Komnaty kapały od srebra, złota i kryształów, rzadkich gatunków drewna, gobelinów i drogich kamieni. Za aksamitnymi sznurami stały straże. Czarno-szkarłatne mundury strażników dobrze pasowały do tego przepychu, złotą nicią wyszywanych kobierców, narzut z piór, twarze strażników nie harmonizowały jednak z otoczeniem: odbijało się na nich znudzenie i malowało znużenie tym bezużytecznym wystawaniem po całych dniach pośród obcych ludzi. Szevek i Vea podeszli do szklanej gabloty, w której leżała szata królowej Teaei — uszyta z wyprawionych skór buntowników, żywcem odartych ze skóry — którą przed czternastoma wiekami ta okrutna i harda kobieta przywdziewała, idąc między swój dotknięty plagami lud, by prosić Boga o odwrócenie zarazy.

— Przypomina to koźlą skórę — orzekła Vea, przyglądając się spłowiałym, nadgryzionym zębem czasu strzępom w szklanej gablocie. Podniosła wzrok na Szeveka. — Dobrze się pan czuje?

— Chyba wolałbym już stąd wyjść.

Kiedy znaleźli się w ogrodzie na pobladłą twarz Szeveka wróciły kolory, na pałacowe mury oglądał się jednak z nienawiścią.

— Dlaczego wy się tak kurczowo trzymacie swojej hańby? — zapytał.

— Ależ to tylko historia! Dzisiaj coś podobnego nie mogłoby się wydarzyć!

Zabrała go następnie na popołudniowe przedstawienie do teatru — na komedię o młodym małżeństwie i teściowych, pełną żartów na temat spółkowania, w której samo to słowo nie padło

jednak ani razu. Szevek usiłował śmiać się wtedy, kiedy śmiechem wybuchała jego towarzyszka. Potem poszli do restauracji w śródmieściu — lokalu o niebywałym przepychu. Kolacja kosztowała sto jednostek. Szevek, objadłszy się już w południe, jadł niewiele, ulegając jednak namowom Vei, wypił dwa czy trzy kieliszki wina; okazało się smaczniejsze, niż się spodziewał, i zdawało się nie mieć żadnego ujemnego wpływu na sprawność jego umysłu. Zabrakło mu pieniędzy na zapłacenie rachunku za kolację, Vea nie okazała zamiaru podzielenia się z nim kosztami, ograniczając się do zasugerowania, by zapłacił czekiem, co też i uczynił. Następnie wynajętym samochodem pojechali do jej mieszkania; i tym razem pozwoliła, żeby to on zapłacił kierowcy. Czy to możliwe — zaczął się zastanawiać — aby Vea zaliczała się do owych tajemniczych istot — prostytutek? Ale prostytutki, jak wynikało z opisu Odo, były biedne, zaś Vea z pewnością nie była uboga; przygotowaniami do „jej" przyjęcia — jak mu oznajmiła — zajmowali się Jej" kucharz, „jej" pokojówka i „jej" dostawca. Mężczyźni na uniwersytecie o prostytutkach wyrażali się poza tym pogardliwie jako o istotach zepsutych, gdy tymczasem Vea, wyjąwszy jej ciągłą kokieterię, okazywała taką drażliwość na otwarte poruszanie spraw dotyczących seksu, że Szevek musiał przy niej baczniej pilnować języka, niżby to u siebie w domu czynił wobec nieśmiałego dziesięcioletniego dziecka. W rezultacie nie wiedział, kim naprawdę była.

Pokoje w jej mieszkaniu, za którego oknami migotały światła Nio, były przestronne i luksusowo urządzone, z wyłącznie białymi meblami — białe były nawet dywany. Szevekowi opatrzyły się już jednak luksusy, był poza tym okropnie śpiący. Goście mieli się zjawić dopiero za godzinę; gdy więc Vea wyszła, aby się przebrać, zdrzemnął się w głębokim białym fotelu w salonie. Obudziła go pobrzękująca czymś na stole pokojówka, w samą porę by mógł być świadkiem powrotu pani domu. Weszła ubrana w wieczorowy strój ajońskich kobiet — długą, spływającą fałdami z bioder spódnicę, z obnażonymi piersiami i ramionami. W jej pępku lśnił mały klejnot, zupełnie jak na obrazkach, które przed dwudziestoma pięcioma laty oglądał z Tirinem i Bedapem w Instytucie Okręgowym Nauk w Północoniżu, zupełnie taki sam… Wpatrywał się w nią na wpół rozbudzony, podniecony za to bynajmniej nie połowicznie.

Odpowiedziała na jego spojrzenie lekkim uśmiechem.

Usiadła obok niego na pufie, tak by móc zaglądać mu w oczy.

Zgarnąwszy swą białą spódnicę wokół kostek, powiedziała:

— A teraz proszę mi opowiedzieć, co się naprawdę zdarza między kobietami i mężczyznami na Anarres.

To było wprost niepojęte. W pokoju znajdowali się oprócz nich pokojówka i człowiek od dostawcy; Vea wiedziała, że Szevek ma

partnerkę, on — że ona ma męża; nie padło między nimi ani jedno „owo na temat kopulacji. Czymże jednak, jeśli nie najjawniejszą do niej zachętą, były suknia Vei, ruchy, ton głosu?

Między kobietą a mężczyzną zdarza się tylko to, co oboje chcą, by się zdarzyło — odparł dość szorstko. — Oboje i każde z osobna.

— A zatem to prawda, że nie wyznajecie żadnej moralności? — zapytała, zgorszona i zachwycona zarazem.

— Nie rozumiem, co masz na myśli. Między zranieniem kogoś tam i tutaj nie ma żadnej różnicy.

— Chce pan powiedzieć, że trzymacie się tych samych starych reguł. Widzi pan, dla mnie moralność to jeszcze jeden przesąd, podobnie jak religia. Należy ją odrzucić.

— Ależ moje społeczeństwo — odrzekł do reszty zbity z tropu — to nic innego jak próba osiągnięcia moralności. Należy odrzucić moralizowanie, zgoda, przepisy, prawa, kary — żeby ludzie mogli poznać dobro i zło i dokonać między nimi wyboru.

— Odrzuca pan więc wszystkie nakazy i zakazy. Tylko że, widzi pan, moim zdaniem wy, odonianie, popełniacie podstawowy błąd.

Odrzucacie księży, sędziów, prawo rozwodowe i tym podobne, a zachowujecie to, co w tym wszystkim najgorsze. Spychacie to tylko do środka, w głąb waszych sumień. Ale to wciąż w was tkwi.

Pozostajecie takimi samymi niewolnikami jak dotąd! Nie jesteście tak naprawdę wolni.

— Skąd ty to wiesz?

— Czytałam w pewnym czasopiśmie artykuł o odonizmie — odparła. — Poza tym spędziliśmy ze sobą cały dzień. Nie znam pana, ale trochę już o panu wiem. Wiem na przykład, że pan nosi w sobie królową Teaeę — nosi ją pan w tej swojej kudłatej głowie. I ona pomiata panem, stara tyranka, jak pomiatała swoimi niewolnikami.

Mówi: zrób to! — i pan robi to; nie rób tego! — i nie robi pan.

— Tutaj jest jej miejsce — zgodził się z uśmiechem. — W mojej głowie.

— Nie. Już lepiej ją trzymać w pałacu. Można się wówczas przeciwko niej zbuntować. Pan by się zbuntował! Pański prapradziadek to zrobił; zbiegł na Księżyc, żeby od niej uciec. Tylko że zabrał królową Teaeę ze sobą — i ona wciąż jest z wami!

— Być może. Nauczyła się jednak na Anarres, że jeśliby kazała mi zranić drugiego człowieka — zadałbym ranę samemu sobie.

— Wciąż ta sama odwieczna hipokryzja. Życie jest walką, w której zwyciężają najsilniejsi. Jedyną rolą cywilizacji jest maskowanie krwi i ozdabianie nienawiści pięknymi słówkami!

— Może waszej cywilizacji. Nasza niczego nie maskuje. Jest pełna prostoty. U nas królowa Teaea nosi własną skórę… Jesteśmy posłuszni tylko jednemu jedynemu prawu — prawu ludzkiej ewolucji.

— Prawo ewolucji głosi, że przeżywa najsilniejszy!

— Zgoda; zaś najsilniejszymi, w egzystencji każdego społecznego gatunku, są jednostki najwyżej zorganizowane. Mówiąc w ludzkich kategoriach: te o najwyższej etyce. Widzisz, my na Anarres nie znamy ofiar ani wrogów. Mamy tylko siebie. Wzajemne zadawanie sobie ran nie dodawałoby nam siły. Przyczyniałoby się jedynie do słabości.

— Nie dbam o zadawanie czy niezadawanie ran. Nie dbam o innych, podobnie jak inni o to nie dbają. Udają tylko. Ja nie chcę udawać. Chcę być wolna!

— Ależ Veo — zaczął czule, bo poruszyło go głęboko to jej pragnienie wolności, zadzwonił jednak dzwonek u drzwi, Vea wstała, wygładziła spódnicę i z uśmiechem na twarzy poszła witać gości.

W ciągu następnej godziny zeszło się ze trzydzieści — czterdzieści osób. Szevek był z początku rozdrażniony, znudzony i zniechęcony. Jeszcze jedno przyjęcie, na którym wszyscy stoją ze szklankami w rękach, uśmiechają się i rozmawiają głośno. Wnet jednak zaczęło robić się ciekawiej. Wszczynano dyskusje, wybuchały spory, goście siadali i pogrążali się w rozmowach; zaczęło to przypominać przyjęcia w jego ojczyźnie. Roznoszono kruche ciasteczka, kawałki mięsa i ryb, baczny kelner niestrudzenie napełniał szklanki. Szevek wypił drinka. Od miesięcy obserwował wlewających w siebie alkohol Urrasyjczyków i nie dostrzegł, aby któryś się od tego rozchorował. Trunek smakował jak lekarstwo, ktoś wyjaśnił mu jednak, że składa się głównie z gazowanej wody, a tę lubił. Był spragniony, wychylił więc szklankę do dna. Dwóch mężczyzn uparło się, żeby z nim rozmawiać o fizyce. Jeden z nich był dobrze wychowany i Szevekowi udało się odeń uwolnić, trudno mu bowiem było rozprawiać o fizyce z niefizykami. Drugi natomiast okazał się natrętem. Szevek skonstatował jednak, że irytacja, którą tamten w nim wzbudzał, niepomiernie ułatwia rozmowę. TyPek znał się na wszystkim, pewnie dlatego, że miał forsy jak lodu.

— Pańska teoria jednoczesności, tak jak ja to widzę — informował Szeveka — zaprzecza po prostu najoczywistszemu faktowi, jaki się wiąże z czasem, temu mianowicie, że czas upływa.

— No cóż, w fizyce, inaczej niż w interesach, człowiek podchodzi ostrożnie do tego, co się nazywa „faktami" — odpowiedział mu Szevek opanowanym i uprzejmym tonem, w jego spokoju było jednak coś takiego, co kazało Vei, gawędzącej nie opodal w grupce gości, odwrócić się i nadstawić ucha. — Używając terminów teorii jednoczesności, następstwa nie uważa się za zjawisko fizykalnie obiektywne, ale subiektywne.

— Proszę, żeby pan przestał straszyć Dearriego i wyjaśnił nam, co to znaczy w języku bobasków — wtrąciła Vea. Jej przenikliwość kazała Szevekowi uśmiechnąć się.

— No cóż, przywykliśmy uważać, że czas „mija”, przepływa obok nas; a jeśli to my się poruszamy, od przeszłości do przyszłości, odkrywając rzeczy wciąż nowe? Jak widzicie, przypominałoby to poniekąd czytanie książki. Książka zawiera się — cała i skończona — pomiędzy okładkami. Ale jeśli chcecie poznać tok opowieści i zrozumieć go, musicie zacząć od pierwszej strony i przewracać kolejno następne. Kosmos byłby więc taką ogromną księgą, a my maleńkimi jej czytelnikami.

— Pozostaje jednak faktem — zauważył Dearri — że doświadczamy kosmosu jako następstwa, upływu. Jakiż więc pożytek z teorii, która głosi, że na jakimś wyższym piętrze pozostaje on wiecznie jednoczesny? Rozrywka dla was, teoretyków, zapewne, bez praktycznego jednakże zastosowania — bez odniesienia do realnego życia. Chyba że implikuje to możliwość zbudowania machiny czasu! — dorzucił z jakąś krewką, fałszywą jowialnością.

— Ale przecież my nie doświadczamy kosmosu jedynie jako następstwa — zauważył Szevek. — Czy nigdy pan nie śni, panie Dearri? — Dumny był z siebie, że choć raz pamiętał, by nazwać kogoś „panem”.

— Co to ma do rzeczy?

— Wygląda na to, że czasu w ogóle doświadczamy jedynie w świadomości. Małe dziecko nie postrzega go; nie potrafi zdystansować się wobec swej przeszłości i pojąć, jak ma się ona do teraźniejszości, ani wyobrazić sobie, jak teraźniejszość może się odbić na przyszłości. Nie rozumie, że czas mija; nie pojmuje, co to takiego śmierć. Pogrążony w nieświadomości umysł dorosłego jest podobny do umysłu niemowlęcia. W snach czas nie istnieje, następstwo ulega odwróceniu, przyczyna i skutek przeplatają się ze sobą. Nie istnieje czas w micie i legendzie. O jakiej to bowiem przeszłości mówi podanie, kiedy stwierdza: Dawno, dawno temu…”? Podobnie mistyk, gdy nawiązuje na nowo więź między rozumem a nieświadomością, poczyna postrzegać wszystko jako jedność i rozumieć prawdę wiecznego powrotu.

— Właśnie, mistycy — rzekł z ożywieniem mniej śmiały z dwójki mężczyzn. — Tebores w Ósmym Tysiącleciu napisał: Umysł pogrążony w nieświadomości współistnieje z całym kosmosem.

— Ale my przecież nie jesteśmy dziećmi — zauważył Dearri — jesteśmy rozumnymi ludźmi. Czy pańska jednoczesność to coś w rodzaju mistycznego wstecznictwa?

Nastąpiła pauza, podczas której Szevek nałożył sobie ciasta, na które nie miał ochoty, i zjadł je. Już raz stracił tego dnia cierpliwość i zrobił z siebie głupca. Wystarczy.

— Może mógłby ją pan potraktować — powiedział — jako próbę przywrócenia równowagi. Widzi pan, teoria następstw pięknie

tłumaczy nasze poczucie linearności czasu oraz świadectwo ewolucji.

Mieści w sobie akt stworzenia i śmierć. Lecz tu się zatrzymuje.

Zajmuje się tym wszystkim, co podlega zmianie, nie potrafi jednak wytłumaczyć, dlaczego rzeczy nie tylko zmieniają się, ale i trwają.

Mówi wyłącznie o czasie jako strzale — nigdy jako kole.

— Kole? — spytał bardziej uprzejmy z dociekliwych mężczyzn z tak wyraźnym pragnieniem zrozumienia, o co chodzi, że Szevek całkiem zapomniał o Dearrim i z entuzjazmem wdał się w wyjaśnienia, gestykulując i wymachując rękami, jakby usiłował namacalnie ukazać swemu słuchaczowi strzały, koła i drgania, o których mówił.

— Czas porusza się zarazem po kole i po linii. Planety obracają się. Jeden cykl, jeden obieg po orbicie wokół słońca stanowi rok, prawda? A dwa obiegi — dwa lata, i tak dalej; można liczyć te obroty w nieskończoność — obserwator może je liczyć. To w istocie dzięki temu systemowi odmierzamy czas — oto nasz czasomierz, nasz zegar. Ale w obrębie tego systemu, wewnątrz cyklu, gdzie tu czas? Gdzie początek, gdzie koniec? Wieczna powtarzalność to proces czasowy. Aby go postrzec jako czasowy, trzeba go porównać, odnieść do jakiegoś innego cyklicznego albo niecyklicznego procesu. To bardzo dziwne i ciekawe, nieprawdaż? Trwałe związki chemiczne składają się z cząsteczek będących w regularnym, okresowym ruchu względem siebie. W gruncie rzeczy to owe mikroskopijne, odwracalne w czasie cykle atomu zapewniają materii dostateczną trwałość, aby stała się możliwą ewolucja. Czas tworzą zsumowane maleńkie okresy bezczasu. A dalej, już na wielką skalę — kosmos: przypuszczamy, że cały wszechświat jest procesem cyklicznym, oscylacją rozszerzania się i kurczenia, bez żadnego przedtem czy potem. Jedynie w obrębie każdego z tych wielkich cykli, tu, gdzie żyjemy, jedynie tutaj czas przebiega liniowo, dokonuje się ewolucja, zachodzą zmiany. A zatem czas ma dwa aspekty. Jest strzałą, płynącą rzeką — bez czego nie byłoby zmiany, postępu, kierunku ani stworzenia. I jest kołem, bądź cyklem, poza którym jest chaos, następstwo chwil bez znaczenia, świat bez zegarów, pór roku i obietnic.

— Nie może pan wygłaszać dwóch sprzecznych twierdzeń o jednej i tej samej rzeczy — ze spokojem przemądrzalca oświadczył Dean. — Innymi słowy, jeśli jeden z tych „aspektów” jest prawdziwy, to drugi jest po prostu iluzją.

— Wielu fizyków istotnie tak twierdziło — przyznał Szevek.

— I co pan na to? — dopytywał się ten, który spragniony był wiedzy.

— No cóż, uważam, że z tej trudności wybrnąć się da bez trudu… Czy możemy odrzucić jako iluzję istnienie lub stawanie się?

Stawanie się bez istnienia jest pozbawione sensu. Istnienie bez stawania się to straszne nudziarstwo… Skoro umysł zdolny jest postrzegać czas w obu tych przejawach, prawdziwa chronozofia winna stworzyć pole, na którym dałoby się zrozumieć oba te aspekty, czy też przejawy czasu.

— Jakiż jednak pożytek z takiego „rozumienia” — nastawał Dearri — skoro nie prowadzi ono do praktycznych, technologicznych zastosowań? To nic więcej niż żonglowanie słowami, czyż nie tak?

— Stawia pan pytania jak prawdziwy spekulant — stwierdził Szevek, a nikt z zebranych nie zdawał sobie sprawy, że obrzucił Dearriego najobelżywszym wyzwiskiem ze swego słownika; Dearri kiwnął nawet lekko głową, z zadowoleniem kwitując komplement. Vea jednak wyczuła napięcie i wtrąciła się:

— Nie zrozumiałam ani słóweczka z tego, co pan teraz powiedział, ale wydaje mi się, że pojęłam to, co mówił pan o książce — że w gruncie rzeczy wszystko istnieje w tej chwili — jeśli zaś tak, czy nie moglibyśmy przepowiadać przyszłości? Skoro jest już obecna?

— Nie, nie — sprostował dość śmiało mniej śmiały z rozmówców Szeveka. — Ona nie jest obecna tak jak kanapa bądź dom — czas to nie przestrzeń, nie można go sobie obejść w koło!

Vea skwapliwie kiwnęła głową, jakby z ulgą, że została przywołana do porządku. Nieśmiały mężczyzna, najwidoczniej zachęcony przepłoszeniem kobiety z królestwa czystej myśli, zwrócił się do Dearriego i rzekł:

— Wydaje mi się, że fizyka czasu mogłaby znaleźć zastosowanie w etyce. Czy zgodziłby się pan z takim stanowiskiem, doktorze Szevek?

— W etyce? No cóż, nie wiem. Ja zajmuję się głównie matematyką. Trudno zamykać w równaniach normy etyczne.

— Dlaczego nie? — rzekł Dearri.

Szevek zignorował go.

— Jednak to prawda, chronozofia ma związek z etyką. A to dlatego, że nasze poczucie czasu warunkuje naszą zdolność do odróżniania przyczyny i skutku, środków i celu. Dziecko, na przykład — podobnie jak zwierzę — nie dostrzega różnicy między tym, co robi w danej chwili, a tym, do czego jego działanie doprowadzi. Nie potrafi złożyć wielokrążka — ani obietnicy. My to potrafimy. Dostrzegając różnicę między tym, co teraźniejsze, a tym, co nieteraźniejsze, potrafimy jedno z drugim powiązać. I tutaj wkracza etyka. Odpowiedzialność. Powiedzieć, że złe środki przyniosą dobry skutek, to tak jakby stwierdzić, że jeśli pociągnę linę na tym krążku, podniesie ona ciężar na tamtym. Złamanie obietnicy oznacza zaprzeczenie realności przeszłości; odbiera więc nadzieję na realność

przyszłości. Jeśli czas i rozum są nawzajem funkcyjnie związane, jeżeli jesteśmy tworami czasu, będzie dla nas korzystniej, jeśli go poznamy i postaramy się wykorzystać najlepiej jak można. Po to, aby postępować odpowiedzialnie.

— Momencik — przerwał mu Daerri niezmiernie zadowolony z własnej przenikliwości — powiedział pan przed chwilą, że w systemie pańskiej jednoczesności nie istnieje przeszłość ani Przyszłość, jedynie coś w rodzaju wiecznej teraźniejszości. Jakże więc może pan ponosić odpowiedzialność za książkę już napisaną?

Wszystko, co może pan uczynić, to przeczytać ją. Nie ma wyboru, nie ma miejsca na swobodę działania.

— To dylemat determinizmu. Ma pan całkowitą rację, jest on trwale obecny w myśleniu w ramach jednoczesności. Ale i myślenie w duchu następstw ma swoje dylematy. To jest tak — posłużę się niemądrym, obrazowym porównaniem — rzuca pan kamieniem w drzewo; jeśli jest pan wyznawcą jednoczesności kamień już w nie uderzył, jeśli wyznawcą następstw — nigdy go nie osiągnie.

Co pan wybiera? A może woli pan rzucać kamieniami bez zastanawiania się nad tym, bez dokonywania wyboru? Ja wolę utrudniać sobie życie i wybieram oba rozwiązania.

— Ale jak, jak je pan godzi? — zapytał z przejęciem mniej śmiały z mężczyzn.

Szevek omal nie parsknął śmiechem z rozpaczy.

— Nie wiem. Pracowałem nad tym kawał czasu! Ostatecznie kamień jednak uderza w drzewo. Nie wyjaśni tego ani pojęcie czystego następstwa, ani czystej jednoczesności. Nam zaś nie chodzi o czystość, ale o złożoność, o związek między przyczyną i skutkiem, środkami i celem. Nasz model kosmosu musi być równie niewyczerpany, jak i sam kosmos. Złożoność, w której zawiera się nie tylko trwanie, ale i kreacja, nie tylko byt, ale i stawanie się, nie tylko geometria, ale i etyka. Nie odpowiedzi szukamy, a tylko sposobu postawienia pytania…

— Wszystko to pięknie, ale przemysł potrzebuje właśnie odpowiedzi — orzekł Dearri.

Szevek odwrócił się z wolna, popatrzył na niego z góry i nic nie odpowiedział.

Zapadło kłopotliwe milczenie, które z wdziękiem i beztroską przerwała Vea, wracając do swego tematu przewidywania przyszłości. Wciągnął on również pozostałych i wszyscy zaczęli opowiadać o swoich doświadczeniach z wróżbitami i jasnowidzami.

Szevek postanowił nie odzywać się więcej, bez względu na to, o co by go pytano. Czuł wielkie pragnienie; pozwolił, by kelner napełnił mu szklankę, i wypił smaczny, musujący płyn. Rozejrzał się po pokoju, w obserwacji innych ludzi szukając ucieczki od gniewu i napięcia. Ale

obecni na przyjęciu, jak na Ajończyków, zachowywali się bardzo impulsywnie — krzyczeli, śmiali się głośno. przerywali jeden drugiemu. W kącie jakaś para oddawała się igraszkom miłosnym. Szevek z odrazą odwrócił od nich wzrok. Więc oni egoizują nawet w seksie? Pieszczoty i spółkowanie na oczach ludzi samotnych było to równie wulgarne jak jedzenie na oczach zgłodniałych. Zwrócił swą uwagę ku otaczającej go grupie osób.

Porzuciły już temat jasnowidztwa i zajmowały się teraz polityką.

Dyskutowano o wojnie, o tym, co zrobi teraz Thu, co A-Io, a co RRŚ.

— Dlaczego posługujecie się samymi abstrakcjami? — wtrącił naraz, zastanawiając się jednocześnie, po co się odezwał, skoro postanowił tego nie czynić. — To nie nazwy krajów, ale ludzie zabijają ludzi. Dlaczego żołnierze idą na wojnę? Dlaczego idą i zabijają ludzi, których w ogóle nie znają?

— Ależ od tego właśnie są! — wykrzyknęła drobna, ładna kobieta z opalem w pępku.

Paru mężczyzn zaczęło wykładać Szevekowi zasadę narodowej suwerenności. Wtrąciła się Vea:

— Ależ pozwólcie mu się wypowiedzieć. Jak pan rozwiązałby tę sytuację, Szevek?

— Rozwiązanie widać gołym okiem.

— Gdzie?

— Anarres!

— Przecież to, co wy robicie na Księżycu, nie rozwiąże naszych lokalnych problemów.

— Problem człowieka jest wszędzie taki sam. Przetrwanie. Gatunku, grupy, jednostki.

— Samoobrona narodowa…! — ktoś krzyknął.

Spierali się i on się spierał. Wiedział, co chce powiedzieć i że to musi każdemu trafić do przekonania, bo jest prawdziwe i jasne, ale jakoś nie umiał się wysłowić. Wszyscy się przekrzykiwali. Drobna, ładna kobieta poklepała szerokie oparcie fotela, w którym siedziała, i on przysiadł na nim. Jej ogolona jedwabista główka wyjrzała spod jego ramienia.

— Hej, panie księżycowy! — zawołała kobieta.

Wróciła Vea, która na chwilę przyłączyła się do innej grupki. Jej płonęła, oczy sprawiały wrażenie ogromnych i rozmytych.

Szevekowi wydało się, że dostrzegł w salonie Pae, tyle tam jednak ¦tyło twarzy. Wszystko odbywało się zrywami, przedzielonymi momentami pustki, zupełnie jakby mu pozwolono obserwować zza kulis funkcjonowanie cyklicznego kosmosu ze starej hipotezy Gvarab.

— Zasada legalnej władzy musi zostać utrzymana, inaczej obsuniemy się w najczystszą anarchię! — grzmiał z groźną miną jakiś

gruby mężczyzna. Na co Szevek:

— Tak, tak, obsuńcie się! My cieszymy się anarchią już od stu pięćdziesięciu lat.

Palce stóp małej ślicznotki, obutych w srebrne sandałki, wysunęły się spod jej spódnicy, naszywanej setkami drobnych pereł.

— Proszę opowiedzieć nam coś o Anarres — poprosiła Vea. — Jak tam naprawdę jest? Czy istotnie tak cudownie?

Siedział na poręczy fotela, a ona przysiadła na pufie u jego kolan, prosta i gibka, jej miękkie piersi spoglądały na niego ślepymi oczami, na pewnej siebie zarumienionej twarzy malował się uśmiech. Myśli Szeveka okryła jakaś ciemność i zaćmiła wszystko. Zaschło mu w gardle. Wychylił szklankę, którą przed chwilą napełnił mu kelner.

— Nie wiem — odrzekł; język miał zdrętwiały. — Nie. Nie jest tak cudownie. To brzydki świat. Nie taki jak ten. Anarres to nic tylko kurz i spieczone wzgórza. Wszystko tam jest jałowe, suche. I ludzie niepiękni. Mają wielkie dłonie i stopy, takie jak ja i ten kelner.

Ale nie mają opasłych brzuchów. Bardzo się brudzą i kąpią się wspólnie, czego nikt tutaj nie robi. Miasta są bardzo małe i nudne, ponure. Żadnych pałaców. Życie jest monotonną, ciężką harówką.

Nie zawsze można mieć to, czego by się chciało, lub nawet czego się potrzebuje, bo nie dla wszystkich starcza. Wy, Urrasyjczycy, macie wszystkiego pod dostatkiem. Pod dostatkiem powietrza, deszczu, trawy, oceanów, pod dostatkiem pożywienia, muzyki, budynków, fabryk, maszyn, książek, ubrań i historii. Jesteście bogaci, zaznajecie dostatku. My jesteśmy biedni, cierpimy niedostatek.

Wy macie dużo, my nie mamy nic. Tutaj wszystko jest piękne.

Z wyjątkiem twarzy. Na Anarres nic nie jest piękne, nic oprócz twarzy. Twarzy innych ludzi, mężczyzn i kobiet. Nie mamy nic prócz tego, nic prócz samych siebie. Tu dostrzega się klejnoty — tam oczy. A w oczach przepych — przepych ludzkiego ducha. Bo u nas mężczyźni i kobiety są wolni, nie mając nic, cieszą się wolnością. A wy, posiadacze, opętani jesteście posiadaniem. Jesteście wszyscy więźniami. Każdy sam, osobno, z majdanem swej własności. Żyjecie w więzieniu i umieracie w więzieniu. To wszystko, co dostrzegam w waszych oczach — mur, mur!

Wszystkie spojrzenia były zwrócone na niego.

Wciąż słyszał brzmiący w ciszy swój podniesiony głos, piekły go uszy. Jego myśli znowu ogarnęła ciemność i pustka.

— Kręci mi się w głowie — powiedział i wstał.

Vea ujęła go pod ramię.

— Proszę tędy — powiedziała, śmiejąc się cichym, tłumionym śmiechem.

Poszedł za nią, lawirującą wśród gości. Czuł, że twarz mu zbladła, zawroty nie ustępowały; miał nadzieję, że gospodyni prowadzi go do

łazienki albo do okna, by mógł zaczerpnąć świeżego powietrza. Pokój, do którego weszli, był przestronny, oświetlony wpadającym z zewnątrz przyćmionym światłem. Pod jedną ścianą stało wysokie białe łoże; połowę innej zajmowało lustro. W powietrzu unosił się duszny, słodki zapach kotar, pościeli i perfum, jakich używała Vea.

— Masz już dosyć — oświadczyła, z tym samym tłumionym śmieszkiem, stając przed nim i w półmroku zaglądając mu w twarz. — Naprawdę dosyć, jesteś niemożliwy, cudowny! — Położyła mu ręce na ramionach. — Ależ mieli baranie miny! Muszę cię za to pocałować! — To powiedziawszy, uniosła się na palcach, ofiarowując mu usta, białą szyję i obnażone piersi.

Objął ją i — odchylając do tyłu jej głowę — całował wargi, a potem szyję i piersi. Zrazu poddawała mu się, jakby była pozbawiona kości, potem zaczęła się delikatnie wyrywać, śmiejąc się, napierając nań lekko i szepcząc:

— Och, nie, nie, zachowuj się przyzwoicie. Daj spokój, musimy już wracać do gości. Nie, Szevek, opanuj się, nic z tego nie będzie!

Nie zwracał na jej słowa uwagi. Pociągnął ją w stronę łóżka; nie opierała się, nie przestawała jednak protestować. Jedną ręką zaczął manipulować przy skomplikowanym stroju, który nosił, aż zdołał rozpiąć spodnie; potem przyszła kolej na ubranie Vei, nie mógł rozluźnić nisko opasującego jej talię obcisłego paska spódnicy.

— Przestań — wyszeptała. — No już, Szevek, posłuchaj, teraz nic z tego nie będzie. Nie zabezpieczyłam się, gdybym zaszła, dopiero bym miała, mąż wraca za dwa tygodnie! No, puśćże mnie już.

Nie był jednak w stanie spełnić jej prośby; przyciskał twarz do jej miękkiego, spoconego, pachnącego ciała.

— Nie pognieć mi sukni, na miłość boską, spostrzegą się. Miejże cierpliwość, miejże cierpliwość, jakoś to urządzimy, umówimy się gdzieś na spotkanie, widzisz, ja muszę dbać o reputację, nie ufam pokojówce, poczekaj trochę, nie teraz. Nie teraz! Nie teraz!

Na koniec, wystraszona jego ślepą natarczywością i siłą, pchnęła go oburącz w pierś. Cofnął się o krok, zmieszany jej podniesionym nagle tonem, przestrachem i sprzeciwem; nie mógł się już jednak powstrzymać, jej opór tym bardziej go podniecił. Przyciągnął ją do siebie, jego nasienie trysnęło na biały jedwab jej sukni.

— Puść mnie! Puść mnie! — powtarzała podniesionym szeptem.

Puścił ją. Stał oszołomiony. Manipulował przy spodniach, próbując je zapiąć.

— Przepraszam… myślałem, że… że ty chcesz…

— Na miłość boską! — wykrzyknęła, oddalając od ciała fałdy spódnicy i przyglądając się im w przyćmionym świetle. — No i proszę! Muszę się teraz przebierać.

Szevek stał z opuszczonymi ramionami i otwartymi ustami,

dysząc z wysiłkiem; nagle odwrócił się i wypadł z mrocznego pokoju. Znalazłszy się w rzęsiście oświetlonym salonie, począł się przedzierać przez tłum gości, potknął się o czyjąś nogę, walczył z przeszkodami w postaci ciał, ubrań, klejnotów, piersi, oczu, płomieni świec i mebli. Wpadł na stół, na którym stała srebrna patera, na niej zaś — ułożone w koncentryczne kręgi na podobieństwo ogromnego bladego kwiatu — leżały nadziewane mięsem, kremem i ziołami ciastka. Chwyciwszy ustami powietrze, zgiął się w pół i zwymiotował na paterę.

— Odwiozę go do domu — zaproponował Pae.

— Niech pan to zrobi, na miłość boską! — zawołała Vea. — Pan go szukał, Saio?

— No cóż, trochę. Na szczęście Demaere zatelefonował do pani.

— Całe szczęście, żeście po niego przyjechali.

— Nie przysporzy już nam kłopotu. Zemdlał w holu. Czy mógłbym przed odjazdem skorzystać z pani telefonu?

— Proszę pozdrowić ode mnie Szefa — rzuciła z przekąsem.

Oiie, który przybył do mieszkania siostry razem z Pae, razem też z nim odjechał. Siedzieli na środkowej kanapie wielkiej rządowej limuzyny, którą Pae miał zawsze na wezwanie — tej samej, którą minionego lata przywieziono Szeveka z kosmodromu. Szevek leżał teraz na tylnym siedzeniu, tak jak go tam wrzucili, i spał jak zabity.

— Czy on przez cały dzień był z twoją siostrą, Demaere?

— Co najmniej od południa.

— Dzięki Bogu!

— Czemu tak dbacie o to, żeby nie zabłąkał się do slumsów?

Toż każdy odonianin jest już i tak przeświadczony, że jesteśmy zgrają wyzyskiwanych niewolników na pensji, więc co za różnica, jeśli zobaczy coś, co go w tym przekonaniu utwierdzi?

— Nie dbam o to, co on zobaczy. Nie chcemy, by jego widziano. Nie czytałeś brukowców? Albo ulotek, które w zeszłym tygodniu krążyły po Starym Mieście, zapowiadających przybycie „Zwiastuna”? Tego z mitu, który przychodzi przed nowym millennium. „Obcy, wyrzutek, wygnaniec, przynoszący w pustych rękach nadchodzący czas”. Cytują to. Motłoch wpadł w jeden z tych swoich pieprzonych apokaliptycznych nastrojów. Wypatruje przewodnika. Katalizatora. Przebąkuje o strajku generalnym. Nigdy się niczego nie nauczą. Mimo to trzeba im dać nauczkę. Wyślemy to przeklęte buntownicze bydło na wojnę z Thu, to jedyny pożytek, jaki możemy z nich mieć.

Żaden z mężczyzn nie odezwał się już podczas jazdy.

Nocny stróż w Domu Starszych Wykładowców pomógł im zataszczyć Szeveka do pokoju. Położyli go na łóżku. Z miejsca zaczął chrapać.

Oiie został przy nim chwilę, ściągnął mu buty i okrył go kocem.

Oddech pijanego cuchnął; Oiie cofnął się od łóżka, strach przed Szevekiem i miłość, którą do niego czuł, ścierały się ze sobą.

Zmarszczył się i burknął:

— Śmierdzący dureń.

Zgasił światło i wyszedł do drugiego pokoju. Pae stał przy biurku i przeglądał papiery Szeveka.

— Zostaw to — mruknął Oiie, na jego twarzy odbiła się jeszcze silniejsza odraza. — Chodźmy już. Jest druga nad ranem. Padam z nóg.

— Czym ten gnojek się zajmował, Demaere? Tutaj wciąż nic nie ma, absolutnie nic. Czyżby to był kuty na cztery nogi oszust?

Czyżbyśmy zostali nabici w butelkę przez zasranego naiwnego wieśniaka z Utopii? Gdzie ta jego teoria? Co z naszymi przeskokowymi podróżami kosmicznymi? Co z naszą przewagą nad Hainami? Od dziewięciu czy dziesięciu miesięcy karmimy skurczybyka i nic z tego nie mamy!

Wsunął jednak do kieszeni jedną z kartek, nim ruszył za Oiiem do drzwi.

Rozdział ósmy
Anarres

Siedzieli w sześcioro na terenach sportowych Parku Północnego w Abbenay, w złocistościach, upale i kurzu długiego wieczoru.

Wszyscy przyjemnie syci — obiad, zabawa uliczna i uczta przy ogniskach trwały bowiem przez całe niemal popołudnie. Było święto połowy lata. Dzień Insurekcji, upamiętniający pierwsze wielkie powstanie w Nio Esseii w roku urrasyjskim 740, przed dwustu blisko laty. Tego dnia kucharze i pracownicy stołówek podejmowani byli z honorami jako goście pozostałej części wspólnoty, bowiem to cech kucharzy i kelnerów rozpoczął strajk, który rozwinął się następnie w powstanie. Wiele było takich tradycyjnych obchodów i świąt na Anarres, niektóre wprowadzili osadnicy, inne — jak dożynki i Święto Letniego Przesilenia — zrodziły się spontanicznie z rytmu życia na planecie oraz potrzeby tych, którzy razem pracowali i razem pragnęli świętować.

Prowadzili bezładne rozmowy — wszyscy z wyjątkiem Takver, która tańczyła całymi godzinami, pochłonęła stosy smażonego chleba i pikli i była niezwykle ożywiona.

— Dlaczego Kvigot dostał skierowanie do zakładów rybnych nad Morzem Kerańskim, gdzie będzie musiał zaczynać wszystko od początku, a Turib przejmuje jego program badawczy tu na miejscu? — pytała. Jej syndykat naukowy został włączony do przedsięwzięcia kierowanego bezpośrednio przez KPR, i Takver stała się od tamtej pory zagorzałą zwolenniczką niektórych poglądów Bedapa. — Bo Kvigot jest dobrym biologiem, który nie zgadza się ze spierniczałymi teoriami Simasa, a Turib zerem i włazi Simasowi w tyłek. Zobaczycie, kto zostanie kierownikiem programu paodejściu Simasa. Turib, idę o zakład!

— Co to wyrażenie oznacza? — zapytał ktoś, kto nie czuł powoni do krytyki społecznej.

Bedap, któremu rósł już brzuch i dlatego podchodził poważnie do ćwiczeń fizycznych, truchtał gorliwie dokoła boiska. Pozostali siedzieli na pylistym stoku pod drzewami, oddając się ustnym ćwiczeniom.

— To słowo ajońskie — wyjaśnił Szevek. — Oznacza urrasyjską grę w prawdopodobieństwa. Ten, kto odgadnie właściwie, dostaje własność drugiego.

Już dawno przestał przestrzegać zakazu Sabula, żeby nie wspominał o nauce ajońskiego.

— W jaki sposób podobne słowa dostały się do prawiekiego?

— Osadnicy — odpowiedział ktoś. — Prawiekiego uczyli się już

jako dorośli; jeszcze przez długi czas musieli myśleć w starym języku. Czytałem gdzieś, że słowa „cholerny” nie ma w słowniku języka prawiekiego — ono również pochodzi z ajońskiego. Farigv, tworząc język, nie przewidział przekleństw, jeśli nawet tak, komputery nie uznały ich za niezbędne.

— Cóż więc znaczy powiedzenie „idź do diabla”? — zapytała Takver. — Sądziłam, że znaczy ono gnojówka w miasteczku, w którym się wychowałam. Idź do diabła! — a więc w miejsce najobrzydliwsze.

Desar, matematyk, który miał już etat w Instytucie i włóczył się stale za Szevekiem, choć rzadko odzywał się do Takver, stwierdził z właściwym sobie lakonizmem:

— Urras.

— Na Urras oznacza to miejsce, dokąd idziesz, gdy zostałeś potępiony.

— Czyli skierowanie w lecie na Południowy Zachód — rzekł Terrus, ekolog, stary przyjaciel Takver.

— W ajońskim to wyrażenie należy do trybu religijnego.

— Wiem, że musisz czytać po ajońsku, Szev, ale czy musisz też czytywać teksty religijne?

— Pewna część starożytnej fizyki Urrasyjczyków utrzymana jest w całości w trybie religijnym. Pojęcia takie na przykład jak to o którym mówimy. „Do diabła” znaczy „do piekła” — czyli do miejsca absolutnego zła.

— Skład obornika w Dolinie Krążystej — stwierdziła Takver. — Tak też myślałam.

Przytruchtał zakurzony na biało, ociekający potem Bedap.

Zwalił się ciężko obok Szeveka i dyszał jak miech.

— Powiedz coś po ajońsku — poprosiła Richat, studentka Szeveka. — Jak to brzmi?

— No wiesz: idź do diabła! Cholera!

— Ale przestań mnie przeklinać — roześmiała się — i powiedz jakieś całe zdanie.

Szevek dobrodusznie spełnił jej prośbę.

— Prawdę mówiąc, nie wiem, jak to się wymawia — dodał. — Po prostu zgaduję.

— Co to znaczyło?

— Jeśli upływ czasu jest właściwością ludzkiej świadomości, przeszłość i przyszłość są funkcjami umysłu. Keremcho, prekursor teorii następstw.

— Pomyśleć, jakie to dziwne; ludzie mówią, a ty ich nie rozumiesz!

— Oni nie rozumieją się nawet między sobą. Mówią w stu różnych językach, ci zwariowani władycy na Księżycu…

— Wody, wody — wychrypiał zdyszany Bedap.

— Nie ma wody — przypomniał mu Terrus. — Od osiemnastu dekad nie padało. Mówiąc dokładniej, od stu osiemdziesięciu trzech dni. Najdłuższa susza w Abbenay od czterdziestu lat.

— Jeśli tak dalej pójdzie, przyjdzie nam wprowadzać do obiegu wtórnego urynę, jak to praktykowano w dwudziestym roku. Może szklaneczkę siuśków, Szev?

— Nie żartuj — burknął Terrus. — Stąpamy po ostrzu noża. Popada czy nie popada? Już wiadomo, że ze zbiorów liści na Południowym Wschodzie będą nici. Nie spadła tam od trzydziestu dekad ani kropla deszczu.

Popatrzyli w zamglone, złociste niebo. Ząbkowane liście drzewa, pod którymi siedzieli — z gatunku wysokich egzotycznych drzew, sprowadzonych ze Starego Świata — zwisały z gałęzi pokryte kurzem, wyschnięte na wiór.

— Nigdy więcej Wielkiej Suszy — oznajmił Desar. — Nowoczesne zakłady odsalania. Remedium.

— Istotnie, mogą pomóc złagodzić jej skutki — zgodził się Terrus.

Zima tego roku — mroźna i sucha na północnej półkuli — przyszła Wcześnie. Wiatr miotał zmarzniętym kurzem po zabudowanych niskimi gmachami szerokich ulicach Abbenay. Woda do kąpieli podlegała ścisłej reglamentacji; pragnienie i głód stały wyżej od czystości. Pożywienie i odzież dla dwudziestu milionów mieszkańców Anarres pochodziły z fabryk holum, w których przetwarzano liście, nasiona, włókna i korzenie tej rośliny. W magazynach i składach znajdowała się pewna ilość wyrobów włókienniczych, nigdy jednak nie zgromadzono znaczniejszych rezerw żywności.

Woda szła na pola, by żywić rośliny. Niebo nad miastem było bezchmurne i byłoby czyste, gdyby wiatr nie nawiewał żółtego kurzu z południa i zachodu. Czasami, kiedy powiał z północy, od gór Ne Theras, żółta mgła rozpraszała się, odsłaniając lśniące, puste, ciemnoniebieskie przestwory, przechodzące w purpurę u zenitu.

Takver była w ciąży. Chodziła najczęściej śpiąca i łagodnie usposobiona.

— Jestem rybą — mówiła — rybą w wodzie. Pływam w dziecku, które w sobie noszę.

Bywała też przeciążona pracą i głodna z powodu zmniejszonych racji żywnościowych w stołówce. Kobiety ciężarne, podobnie jak dzieci i starcy, otrzymywały codziennie o jedenastej dodatkowy lekki posiłek, ale Takver z powodu napiętego rozkładu swych zajęć często te posiłki traciła. Ona mogła zrezygnować z posiłku, ryby w jej laboratoryjnych zbiornikach — nie. Przyjaciele znosili jej często to, co zdołali zaoszczędzić przy obiedzie albo co zostało w ich stołówkach — nadziewaną bułkę, kawałek owocu.

Pochłaniała te dary z wdzięcznością, dręczył ją jednak stale apetyt na słodycze, tych zaś było jak na lekarstwo. Kiedy była zmęczona, łatwo wpadała w złość i byle co mogło ją wyprowadzić z równowagi.

Późną jesienią Szevek ukończył rękopis Zasad jednoczesności i dał go Sabulowi do akceptacji przed drukiem. Ten trzymał go dekadę, dwie, trzy, ani słowem nie wyrażając swego zdania. Szevek zapytał go na koniec, co sądzi o jego pracy. Tamten odparł na to, że był zbyt zajęty i nie zabrał się jeszcze do lektury. Szevek czekał.

Była połowa zimy. Dzień w dzień wiały suche wiatry; ziemię skuwała zmarzlina. Zdawało się, że wszystko stanęło, zastygło w niepokojącej martwocie, czekając na deszcz, odrodzenie.

W pokoju było ciemno. Światła w mieście zapalono dopiero przed chwilą; jarzyły się słabym blaskiem pod wysokim ciemnoszarym niebem. Weszła Takver, zapaliła lampę i kucnęła w płaszczu przy nagrzewnicy.

— Ale ziąb! Okropność. Stopy mi tak zmarzły, jakbym szła po lodowcu, byłam bliska płaczu po drodze, tak bolały. Przeklęte spekulanckie trepy! Czy my nie potrafimy wyprodukować przyzwoitej pary butów? Dlaczego siedzisz po ciemku?

— Tak sobie.

— Byłeś w stołówce? Ja zjadłam trochę po drodze do domu w Nadwyżkach. Musiałam zostać, wykluły się kukuri i musieliśmy usunąć narybek ze zbiorników, żeby go dorosłe nie pożarły.

Jadłeś coś?

— Nie.

— Nie bądź taki ponury. Błagam, nie bądź dziś ponury. Jeśli coś się dziś jeszcze nie uda, chyba się rozpłaczę. A mam już powyżej uszu tego wiecznego mazania się. Przeklęte głupie hormony!

Chciałabym rodzić dzieci tak, jak to robią ryby — złożyć ikrę, odpłynąć i po wszystkim. Chyba żebym wróciła ją pożreć… Nie siedź tak jak figura z brązu. Nie mogę tego znieść.

Bliska łez, siedziała w kucki w strudze gorącego powietrza z nagrzewnicy, próbując zgrabiałymi palcami rozwiązać buty.

Szevek milczał.

— O co chodzi? Nie możesz tak siedzieć i milczeć!

— Sabul mnie dziś wezwał. Nie zarekomenduje Zasad do opublikowania ani do wysłania.

Przestała się szamotać ze sznurówką; znieruchomiała. Spojrzała na niego przez ramię. Wreszcie spytała:

— Co dokładnie powiedział?

— Recenzja leży na stole.

Podniosła się, szurając jednym butem, podeszła do stołu i — pochyliwszy się nad nim z rękami w kieszeniach palta — przeczytała dokument.

— ”Co do tego, że fizyka następstw w społeczeństwie odońskim leży u podstaw myśli chronozoficznej, zgadzali się wszyscy od Osiedlenia na Anarres. Egoistyczne odstępstwo od tej solidarnie przyjętej zasady doprowadzić może jedynie do jałowego snucia niepraktycznych hipotez bez społecznie organicznego zastosowania bądź do powtarzania zabobonnych, religijnych spekulacji nieodpowiedzialnych, płatnych naukowców z paskarskich państw Urras…” Och, co za spekulant! Ograniczony, zawistny gnojek z gębą pełną Odo! Czy on wyśle tę recenzję do gazet?

— Już to zrobił.

Przyklękła, żeby ściągnąć but. Parę razy zerknęła na Szeveka, ale nie podeszła do niego; przez jakiś czas trwała w milczeniu.

W końcu odezwała się, ale już nie podniesionym ani jak przedtem napiętym głosem, lecz swoim zwykłym, szorstkim od chrypki.

— I co teraz zrobisz, Szev?

— Nic nie można zrobić.

— Sami wydrukujemy tę książkę. Założymy syndykat wydawniczy, nauczymy się składu i wydrukujemy ją.

— Papier jest ściśle racjonowany. Żadnych zbędnych druków.

Wyłącznie publikacje KPR, dopóki nie będą bezpieczne plantacje drzew holum.

— A czy nie mógłbyś zmienić jakoś sposobu przedstawienia swojej teorii? Przemycić swoje twierdzenia w przebraniu. Przybrać je ozdóbkami z teorii następstw, żeby Sabul mógł je przełknąć.

— Nie przebierzesz czarnego za białe.

Nie zapytała, czy nie mógłby obejść Sabula albo poszukać dojścia wyżej. Na Anarres nikt nie stał wyżej. Nie istniały dojścia. Jeśli nie układała się współpraca z syndykami, trzeba było pracować samemu.

— A gdybyś tak… — Urwała.

Wyprostowała się i postawiła buty koło grzejnika, żeby wyschły. Zdjęła palto, powiesiła je i narzuciła na ramiona ciężki, ręcznie tkany szal. Usiadła na tapczanie, stękając cicho, gdy opuszczała się kilka ostatnich cali. Spojrzała na Szeveka, siedzącego bokiem pomiędzy nią a oknem.

— A gdybyś tak zaproponował mu współautorstwo? Jak przy tym pierwszym artykule, który napisałeś.

— Sabul nie podpisze swoim imieniem „zabobonnych, religijnych spekulacji”.

— Jesteś pewien? Pewien jesteś, że nie do tego właśnie zmierza? On zdaje sobie sprawę, z czym ma do czynienia, wie, czego dokonałeś. Zawsze mówiłeś, że jest przenikliwy. Zdaje sobie sprawę, że to wtrąci jego i całą szkołę następstw do recylkulatora. Ale gdyby mógł podzielić z tobą sławę? Ten facet to chodzące ego.

Gdyby tak mógł powiedzieć, że to jego książka…

— Prędzej podzielę się z nim tobą niż tą książką — powiedział Szevek ze złością.

— Nie podchodź do tego w taki sposób, Szev. Liczy się książka, idea. Weź na przykład: chcemy zatrzymać przy sobie to dziecko, które się ma urodzić, chcemy je kochać. Gdybyśmy jednak chcieli je zatrzymać, a ono miałoby z tego powodu umrzeć, gdyby przeżyć mogło tylko w żłobku, gdybyśmy mieli je nigdy nie zobaczyć, nie poznać jego imienia — jeślibyśmy stanęli przed takim wyborem, co byś wybrał? Zatrzymać dziecko, które urodziłoby się martwe? Czy dać życie?

— Nie wiem — mruknął. Ukrył twarz w dłoniach, do bólu trąc czoło. — Tak, oczywiście. Tak. Ale to… ale ja…

— Bracie, kochany. — Splotła dłonie na kolanach, nie wyciągnęła do niego ręki. — Nieważne, czyje imię widnieje na okładce. Ludzie będą wiedzieli. Prawda jest w książce.

— Ja jestem tą książką — powiedział. Zamknął oczy i siedział nieruchomo.

A wtedy Takver podeszła do niego nieśmiało i dotknęła go tak delikatnie, jakby dotykała rany.

Pierwsza, okrojona i marnie wydana wersja Zasad jednoczesności wyszła drukiem w Abbenay na początku roku 164 jako wspólne dzieło Sabula i Szeveka. KPR publikowała najniezbędniejsze jedynie sprawozdania i zarządzenia, ale Sabul miał wpływy w wydawnictwie i w wydziale informacji KPR i zdołał przekonać kogo trzeba o propagandowej wartości książki za granicą. Urrasyjczyków — mówił — cieszy susza oraz groźba głodu na Anarres; ajońskie dzienniki z ostatniego transportu prześcigały się w radosnych przepowiedniach rychłego upadku odońskiej gospodarki.

Cóż może być lepszym tej prognozy zaprzeczeniem — wywodził — jak nie publikacja wielkiego dzieła czystej myśli, „pomnika nauki — jak stwierdzał w poprawionej recenzji — wznoszącego się ponad Przeciwności materialne i dającego dowód niespożytej żywotności dońskiego społeczeństwa oraz jego wyższości na każdym polu ludzkiej myśli nad hołdującymi władzy posiadaczami".

Tak więc dzieło zostało wydane; i piętnaście z trzystu egzemplarzy odleciało na pokładzie ajońskiego frachtowca Czujny. Szevek nie otworzył nigdy ani jednego z nich. Do przeznaczonego na eksport pakietu dołączył jednak kompletną wersję oryginału w rękopisie. Dopisek na okładce zawierał prośbę o przekazanie manuskryptu doktorowi Atro z Wydziału Nauki Szlachetnej Uniwersytetu Ieu Eun oraz wyrazy szacunku od autora. Nie ulegało wątpliwości, że Sabul, do którego należało wydanie zgody na wysłanie przesyłki, spostrzeże ten dodatek. Czy go usunął, czy zostawił, tego się

Szevek nigdy nie dowiedział. Mógł go skonfiskować z czystej złośliwości; mógł przepuścić, zdając sobie sprawę, że jego okastrowany skrót nie wywrze na urrasyjskich fizykach pożądanego efektu. Ani słowem nie wspomniał Szevekowi o rękopisie. Ten zaś o niego nie pytał.

Tamtej wiosny w ogóle mało odzywał się do ludzi. Przyjął na ochotnika posadę budowlaną w nowych zakładach uzdatniania wody w południowym Abbenay i albo był tam w pracy, albo całymi niemal dniami uczył. Wrócił do swoich badań nad cząstkami subatomowymi i często spędzał wieczory przy instytutowym akceleratorze albo w laboratoriach wśród specjalistów od cząstek elementarnych. W towarzystwie Takver i przyjaciół bywał milczący, zamknięty w sobie, uprzejmy i chłodny.

Takver urósł ogromny brzuch; nosiła go przed sobą jak człowiek taszczący do pralni wielki, ciężki kosz bielizny. Do pracy w laboratoriach ichtiologicznych chodziła dopóty, dopóki nie znalazła i nie wyszkoliła odpowiedniego zastępstwa, wtedy dopiero przyszła do domu i zaczęła rodzić, przeszło dekadę po swoim terminie. Kiedy Szevek wczesnym popołudniem wrócił tego dnia do mieszkalni, oświadczyła mu:

— Możesz iść po akuszerkę. Powiedz jej, że skurcze następują co cztery, pięć minut, lecz nie są zbyt gwałtowne, nie musisz się więc spieszyć.

Popędził; kiedy się okazało, że akuszerki nie ma, wpadł w popłoch. I ona, i lekarz blokowy dokądś wyszli, nie zostawiwszy na drzwiach — jak to zwykli czynić — wiadomości, gdzie ich można znaleźć. Szevekowi zaczęło walić serce, ujrzał nagle rzeczy z przerażającą jasnością. Przyszło mu do głowy, że ten brak wspomógł wróżbę. Od zimy, od momentu podjęcia decyzji w sprawie książki, odsunął się od Takver. A ona stawała się coraz cichsza, coraz bierniejsza, pogodzona z losem. Teraz zrozumiał tę jej bierność, była przygotowywaniem się do śmierci. Takver oddalała się od niego, a on nie próbował się do niej zbliżyć. Zajmowała go tylko jego własna gorycz, nie dostrzegał lęku i odwagi swej partnerki. Zostawił ją w spokoju, bo chciał, żeby i jego zostawiono w spokoju, więc usunęła się, zostawiła go, odsunęła się daleko, zbyt daleko, a teraz odejdzie na zawsze.

Pognał do blokowej kliniki i przybiegł tam bez tchu, chwiejąc się na nogach, aż myślano, że ma atak serca. Wyjaśnił, o co chodzi.

Zawiadomiono inną akuszerkę, jemu zaś poradzono, by wracał do domu, partnerka nie powinna zostawać sama. Pospieszył do domu, z każdym krokiem wzbierała w nim trwoga, panika, pewność straty. Kiedy tam jednak dotarł, nie ukląkł przy Takver i nie błagał jej o przebaczenie, jak tego z całej duszy pragnął. Takver nie miała czasu

na czułe sceny; była zajęta. Uprzątnęła łóżko — pozostawiając na nim jedynie czyste prześcieradło — i próbowała rodzić. Nie krzyczała i nie jęczała, bo nie doznawała bólu, gdy zaś chwytały ją skurcze, radziła sobie z nimi dzięki kontroli mięśni i oddechu, wydychając następnie powietrze, jak człowiek, który z najwyższym wysiłkiem dźwiga jakiś straszny ciężar. Szevek nie widział dotąd, by jakaś praca angażowała w takim stopniu wszystkie moce ciała.

Nie mógł patrzeć na taki znój i nie pospieszyć z pomocą. Mógł służyć Takver za podporę i oparcie, gdy chciała się podnieść. Metodą prób i błędów prędko odkryli najlepszą pozycję i utrzymywali ją aż do przybycia położnej. Takver rodziła w kucki, przyciskając twarz do uda Szeveka, a dłonie wczepiając w jego splecione ramiona.

— Oto i jest — powiedziała cicho akuszerka, zagłuszana ciężkim jak dudnienie silnika dyszeniem Takver, odbierając wysuwającą się oślizgłą, wyraźnie jednak ludzką istotę. Chlusnęła krew, a potem wypadła jakaś bezkształtna, nieludzka już forma. Szeveka ze zdwojoną mocą chwycił za gardło strach, o którym już zapomniał.

To co zobaczył, było śmiercią. Takver puściła jego ręce i bezwładna jak worek osunęła się do jego stóp. Pochylił się nad nią, zdrętwiały z przerażenia i żalu.

— Dobrze — powiedziała akuszerka — pomóż się jej odsunąć, żebym to mogła sprzątnąć.

— Chciałabym się umyć — wyszeptała słabo Takver.

— Pomóż jej się umyć. Weź tę jałową odzież — tam leży.

— Aaaaa! — odezwał się jakiś nowy głos.

Wydawało się, że pokój jest pełen ludzi.

— A teraz — zadysponowała akuszerka — daj jej dziecko do piersi, to pomoże zahamować krwotok. Ja muszę odnieść to łożysko do zamrażarki w klinice, wracam za dziesięć minut.

— A gdzie… gdzie jest…

— W łóżeczku! — rzuciła akuszerka wychodząc.

Szevek zlokalizował małe łóżeczko, które od czterech dekad czekało w pogotowiu w kącie pokoju, i leżące w nim niemowlę.

Położna — mimo tego szalonego galopu wydarzeń — zdążyła je już obmyć, a nawet odziać w koszulkę, toteż nie wyglądało już tak rybio i oślizgłe jak w pierwszej chwili. Na dworze nie wiedzieć kiedy zrobiło się ciemno, a popołudnie z równie osobliwą chyżością przeszło niepostrzeżenie w wieczór. Paliła się lampa. Szevek podniósł dziecko, żeby je podać Takver. Miało niewiarygodnie małą twarzyczkę i duże, delikatne, zamknięte powieki.

— Daj mi je — powiedziała Takver. — Och, pospiesz się, proszę, i podaj mi je.

Podszedł do niej i bardzo ostrożnie położył niemowlę na jej brzuchu.

— Ach! — wydała cichy okrzyk najczystszego triumfu. — Chłopiec czy dziewczynka? — spytała po chwili sennie.

Szevek siedział obok na łóżku. Zajrzał pod koszulkę, nieco zmieszany jej długością w stosunku do niezwykle krótkich nóżek.

— Dziewczynka.

Wróciła położna i uporządkowała wszystko.

— Doskonale się sprawiliście — powiedziała, do obojga kierując swą pochwałę. Zgodzili się z nią. — Zajrzę tu jeszcze z rana — zapowiedziała wychodząc.

Mała i Takver już spały. Szevek położył głowę obok głowy swojej partnerki. Przywykł do przyjemnego, piżmowego zapachu jej ciała. Teraz ten zapach się zmienił; stał się duszny, nieuchwytny, przepojony wonią snu. Delikatnie objął Takver ramieniem i w pokoju przesyconym ciepłem życia zapadł w sen u boku śpiącej z dzieckiem przy piersi kobiety.

Odonianin wstępował związek monogamiczny, tak jak podejmował inne wspólne przedsięwzięcie w zakładzie produkcyjnym, w balecie czy w mydlarstwie. Partnerstwo było takim samym dobrowolnie zawiązywanym związkiem jak każdy inny. Dopóki funkcjonowało — dopóty trwało; kiedy przestawało funkcjonować — rozpadało się. Nie było instytucją, lecz funkcją. Nie miało innej sankcji prócz sumienia jednostki.

Pozostawało to w pełnej zgodzie z teorią społeczną Odo. Ważność przyrzeczenia — nawet tego nie ograniczonego terminem — leżała u podstaw jej nauki; mogłoby się zdawać, że wolność zmiany, na którą kładła nacisk Odo, winna odbierać wagę idei przyrzeczenia i przysięgi — wolność jej składania przydawała jej w istocie znaczenia. Przyrzeczenie jest obraniem kierunku, samoograniczeniem się w wyborze. Jeśli nie obiera się żadnego kierunku — nauczała Odo — jeśli człowiek podąża donikąd, nie dokona się też żadna zmiana. Jego wolność wyboru i zmiany nie zostanie wykorzystana, zupełnie tak jak gdyby siedział w więzieniu — takim, które sam zbudował — lub tkwił w labiryncie, w którym żadna z dróg nie jest lepsza od innych. Odo uważała przyrzeczenie, przysięgę i wierność za najistotniejsze wśród zawiłych ścieżek wolności.

Wielu było zdania, że w odniesieniu do życia seksualnego idea wierności zastosowana została nietrafnie. Fakt, że Odo była kobietą — utrzymywano — zwiódł ją na manowce, każąc odrzucić prawdziwą wolność seksualną; pod tym względem, i nie tylko, idee Odo nie były dla ludzi. Krytycznie na ten temat wypowiadały się równie często kobiety, jak i mężczyźni, wydaje się więc, że Odo okazała tu niezrozumienie nie tyle płci męskiej, ale też całego typu czy odłamu ludzkości — tych mianowicie, dla których eksperyment jest duszą seksualnej rozkoszy.

Choć ich jednak nie rozumiała i uważała najpewniej za przejaw zaborczego odchylenia od normy — bo przecież przedstawiciele rodzaju ludzkiego, jeśli nie z natury już monogamiczni, przywiązują ‘C wszak do siebie okresowo — przychylniejszy grunt przygotowa1 dla rozwiązłych niż dla tych, którzy podejmowali próbę trwałego partnerstwa. Żadne prawa, ograniczenia, kary, grzywny czy dezaprobata nie krępowały seksualnej aktywności dowolnego rodzaju, wyjąwszy gwałt na dziecku lub kobiecie, za który to czyn sąsiedzi gwałciciela mogli niezwłocznie wymierzyć mu karę — o ile nie zdołał oddać się wcześniej w łagodniejsze ręce ośrodka terapeutycznego. Seksualne molestowanie należało jednak do rzadkości w społeczeństwie, w którym pełne zaspokojenie płciowej potrzeby uznawane było od wieku pokwitania za normę, jedynym zaś, jakkolwiek łagodnym ograniczeniem, jakim społeczeństwo obwarowało aktywność seksualną, był nacisk kładziony na jej prywatność — postulat skromności, narzucany przez życie we wspólnocie.

Z kolei ci, którzy podejmowali się zawiązania i utrzymania partnerstwa — czy to homo — czy heteroseksualnego — napotykali przeszkody nie znane tym, którzy kontentowali się przygodnym seksem. Musieli stawić czoło nie tylko zazdrości, żądzy posiadania oraz innym chorobom namiętności, dla których rozwoju związek monogamiczny stanowi grunt tak odpowiedni, ale i zewnętrznym naciskom organizmu społecznego. Para podejmująca partnerstwo czyniła to ze świadomością, że może zostać w każdej chwili rozdzielona przez wymogi podziału pracy.

Kompoprac — Komisariat Podziału Pracy — starał się nie rozdzielać par i łączyć je na ich prośbę, gdy tylko było to możliwe; ale to nie zawsze dawało się zrobić, szczególnie w przypadkach pilnych werbunków, nikt też nie oczekiwał od Kompopracu, że dla osiągnięcia tego celu będzie zmieniał spisy bądź przeprogramowywał komputery. Anarresyjczyk zdawał sobie sprawę, że aby przetrwać, osiągnąć coś w życiu, musi być gotów udać się tam, gdzie jest potrzebny, i wykonać pracę, którą wykonać trzeba.

Wzrastał ze świadomością, że podział pracy to w życiu rzecz najważniejsza, pilna i nieustająca potrzeba społeczna — partnerstwo zaś jest sprawą osobistą, wyborem, którego wolno dokonać jedynie w obrębie tego istotniejszego wyboru.

Gdy wyboru kierunku dokonuje się jednak z własnej woli i podąża obraną drogą z ochotą, człowiekowi wydaje się, że wszystko mu sprzyja. Podobnie możliwość rozłączenia sprzyjała często umocnieniu wierności partnerów. Szczere i niewymuszone jej dochowywanie w społeczeństwie, w którym nie przewidziano żadnych prawnych ani moralnych sankcji za niewierność, zachowywanie jej

przez okres dobrowolnie podjętej rozłąki, która zacząć się mogła w każdej chwili i trwać lata, stanowiło coś w rodzaju wyzwania. A istota ludzka lubi podejmować wyzwania, wolności szuka w przeciwnościach losu.

W roku 164 wielu ludziom, którzy by sami z siebie nigdy wolności nie szukali, dano jej zakosztować — i spodobała im się, polubili smak próby i niebezpieczeństwa. Susza, która zaczęła się latem 163, nie zelżała i zimą. Latem 164 bieda była już wielka, groziła katastrofa, gdyby susza potrwała dłużej.

Obowiązywało ścisłe racjonowanie; pobór do pracy był przymusowy. Zmagania o wyprodukowanie dostatecznej ilości pożywienia i rozprowadzenie go przybrały charakter zaciętej, rozpaczliwej walki. A jednak ludzie nie popadali w rozpacz. Pisała Odo:

Dziecię wolne od grzechu posiadania i przymusu ekonomicznej rywalizacji wzrośnie przepełnione wolą czynienia tego, co niezbędne, zdolne czerpać radość z tego, co czyni. Tym, co zabija duszę, jest praca bezsensowna. Szczęście karmiącej matki, nauczyciela, wracającego z łupem myśliwego, dobrego kucharza, zręcznego rękodzielnika, każdego wreszcie, kto wykonuje pracę pożyteczną i wykonuje ją dobrze — ta trwała radość stanowi prawdopodobnie najgłębsze źródło ludzkiego zadowolenia i uczuć społecznych w ogóle. Tamtego lata w Abbenay tętniła podskórnym nurtem owa właśnie radość. Najcięższe prace wykonywano z uśmiechem, ludzie byli gotowi zapominać o wszelkich troskach ledwie ukończono coś, co ukończenia wymagało. Odżyło stare hasło solidarności.

Społeczna więź okazała się w istocie silniejsza od wszystkiego, co poddawało ją próbie — i to napawało radością.

Wczesnym latem KPR rozwiesiła plakaty sugerujące, by skracać dzień pracy średnio o godzinę, gdyż przydział białka w jadłodajniach przestał być wystarczający dla normalnego, pełnego wydatku energii. Ożywiona aktywność miejskich ulic i tak już zresztą zaczęła maleć. Ludzie, uporawszy się z pracą, wałęsali się po placach, grali w kule w obumarłych parkach, wysiadywali na progach warsztatów i nawiązywali rozmowy z przechodniami. Liczba mieszkańców miasta wyraźnie spadła, kilka tysięcy wyjechało bowiem — na ochotnika bądź otrzymawszy przydział — do pilnych Prac na farmach. Wzajemne zaufanie uśmierzało jednak przygnębienie i obawy. „Do zobaczenia po wszystkim” — pozdrawiano się ze spokojem. Tuż pod powierzchnią tętniły potężne pokłady żywotności. Gdy wyschły studnie na północnych przedmieściach, wykwalifikowani i niewykwalifikowani ochotnicy, dorośli i młodzież, pracując w wolnym czasie, doprowadzili w trzydzieści godzin prowizorycznymi rurociągami wodę z innych dzielnic.

Późnym latem Szevek dostał pilny przydział na farmę do wspólnoty w Czerwonych Źródłach w Południowyżu. Korzystając z odrobiny deszczu, jaka spadła w porze równikowych burz, usiłowano przed nawrotem suszy posiać holum i zebrać plon.

Spodziewał się przydziału w każdej chwili, bowiem skończyła się już praca na budowie i zarejestrował się na liście prac ogólnych jako pracownik do dyspozycji. Przez cale lato nie robił nic innego, jak tylko wykładał na kursach, czytał, stawiał się na wszystkie wezwania ochotników zarówno w ich bloku, jak i w mieście, a potem przychodził do domu, do Takver i dziecka. Takver wróciła po pięciu dekadach do pracy w laboratorium, chodziła tam jednak tylko rano. Jako karmiąca matka, była uprawniona do otrzymywania dodatkowych przydziałów białka i węglowodanów i zawsze z obydwu korzystała; przyjaciele już nie mogli dzielić się z nią nadwyżkami żywności, bo nadwyżek żywności nie było. Choć schudła, wyglądała kwitnąco; dziecko było drobne, ale zdrowe.

Córeczka dostarczała Szevekowi dużo radości. Mając ją co rano pod swoją wyłączną opieką (do żłobka oddawali ją jedynie wtedy, kiedy uczył lub wychodził do prac ochotniczych), doznawał poczucia, że jest niezbędny — tego ciężaru i nagrody rodzicielstwa.

Dziecko, bystre i chłonne, było wymarzonym słuchaczem jego tłumionych fantazji językowych, które Takver nazywała „kuku na muniu". Sadzał sobie małą na kolanach i wygłaszał dla niej szalone, kosmologiczne wykłady, wyjaśniając, że czas to w gruncie rzeczy wywrócona na nice przestrzeń, zatem chronon jest tylko wynicowanym kwantem, odległość zaś niczym więcej jak jedną z przypadkowych własności światła. Nadawał dziecku wymyślne i coraz to inne przezwiska i recytował jej śmieszne rymowanki: Czas to kajdany, Czas jest tyranem, Supermechanicznym, Superorganicznym — HOP! Na hop dziewczynka podskakiwała niewysoko, piszcząc i wymachując pulchnymi piąstkami. Ćwiczenia te sprawiały obojgu dużo radości. Skierowanie na farmę było przykrą niespodzianką. Szevek miał nadzieję, że poślą go gdzieś niedaleko od Abbenay, a nie na koniec świata, do Południowyżu. Wraz jednak z uczuciem niemiłej konieczności opuszczenia Takver i dziecka na sześćdziesiąt dni pojawiło się głębokie przekonanie, że do nich wróci. Jak długo trwał w tym przekonaniu, nie martwił się.

Wieczorem w przeddzień jego wyjazdu odwiedził ich Bedap.

Po wspólnej kolacji w stołówce Instytutu wrócili wszyscy do pokoju Szeveka i Takver. Siedzieli i rozmawiali, nie zapalając lampy, przy otwartych oknach; była gorąca noc. Bedap, który stołował się w małej jadłodajni, gdzie specjalne zamówienia nie sprawiały zbytniego kłopotu kucharzom, oszczędzał przez dekadę swoje racje przydziałowych napojów i odebrał je na koniec w postaci litrowej

butelki soku owocowego. Zaprezentował ją z dumą: przyjęcie pożegnalne. Podawali sobie butelkę z rąk do rąk i rozkoszowali się płynem.

— Pamiętasz tę wyżerkę przed twoim odjazdem z Północoniżu? — zapytała Takver — Spałaszowałam wówczas dziewięć smażonych ciastek.

— Nosiłaś wtedy krótkie włosy — powiedział Szevek, poruszony wspomnieniem, którego dotąd nigdy z nią nie łączył. — To byłaś ty, prawda?

— A któż by inny?

— Do licha, ależ ty byłaś dzieckiem!

— Ty też, to już dziesięć lat. Obcięłam włosy, żeby się wyróżniać intrygującym wyglądem. Na wiele mi się to zdało! — Roześmiała się swoim głośnym, radosnym śmiechem, który szybko zdusiła w sobie, żeby nie obudzić śpiącej w łóżeczku za parawanem córeczki, choć tej, gdy raz usnęła, nic nie było w stanie obudzić. — Tak bardzo pragnęłam być wtedy inna. Ciekawa jestem dlaczego.

— Przychodzi taki moment, około dwudziestki — wyjaśnił Bedap — kiedy musisz wybrać, czy chcesz być przez resztę życia taka jak inni, czy też uczynić walor ze swoich osobliwości.

— Albo przynajmniej pogodzić się z nimi — dodał Szevek.

— Szev jest w nastroju rezygnacji — stwierdziła Takver. — Zapowiedź nadchodzącej starości. To musi być okropne mieć trzydzieści lat.

— Nie martw się, ty nie wpadniesz w rezygnację nawet po dziewięćdziesiątce. — Bedap poklepał ją po plecach. — Czy się już choć pogodziłaś z imieniem małej?

Pięcio — i sześcioliterowe imiona przydzielane przez komputer rejestru centralnego, unikatowe dla każdej osoby, zastępowały numery, które w przeciwnym razie musiałoby nadawać swoim członkom skomputeryzowane społeczeństwo. Anarresyjczyk nie potrzebował innego identyfikatora poza swym imieniem. Było ono uznawane za ważną część osobowości, choć nikt go sobie sam nie wybierał, podobnie jak nie wybierał sobie nosa ani wzrostu. Takver nie podobało się imię, które przypadło jej dziecku — Sadik.

— Wciąż chrzęści mi w ustach jak garść żwiru — powiedziała — nie pasuje do niej.

— A mnie się podoba — oświadczył Szevek. — Brzmi jak imię wysokiej, smukłej dziewczyny o długich czarnych włosach.

— Tymczasem mamy do czynienia z niską tłuścioszką o niewidocznym owłosieniu — zauważył Bedap.

— Daj jej tylko trochę czasu, bracie! Słuchajcie, chciałbym wygłosić mowę.

— Słuchamy! Słuchamy!

— Ci…

— Dlaczego? Tego dziecka nawet kataklizm nie obudzi.

— Proszę o ciszę. Odczuwam wzruszenie. — Szevek wzniósł kubek z sokiem owocowym. — Chciałbym powiedzieć… Chciałbym powiedzieć, co następuje. Cieszę się, że Sadik urodziła się właśnie teraz. W trudnym roku, w ciężkich czasach, gdy tyle zależy od naszego braterstwa. Cieszę się, że urodziła się teraz i tutaj. Cieszę się, że jest jedną z nas, odonianką, naszą córką i siostrą. Cieszę się, że jest siostrą Bedapa. Że jest siostrą Sabula — nawet Sabula! Wznoszę ten toast z nadzieją, że przez całe życie będzie kochała siostry swoje i swoich braci tak gorąco i radośnie, jak ja ich dzisiaj kocham. I piję za deszcz…

Środki łączności międzymiastowej, podobnie jak transport i komunikację, nadzorowała KPR, główny użytkownik radia, poczty i telefonów. Ponieważ na Anarres nie istniało pojęcie „interesów", w znaczeniu promocji, reklamy, inwestycji itp., pocztą przesyłano przeważnie korespondencję między przemysłowo-zawodowymi planekatami, wydawane przez nie (i przez KPR) zarządzenia i biuletyny oraz pewną — niewielką — liczbę listów prywatnych.

Anarresyjczyk, żyjąc w społeczeństwie, w którym każdy mógł się przenosić dokądkolwiek chciał i kiedy chciał, szukał przyjaciół tam, gdzie aktualnie przebywał, a nie tam, skąd przybywał. Telefonów w obrębie wspólnot używano rzadko; społeczności te nie były aż tak wielkie. Wzór bliskich więzi lokalnych zachowywano nawet w „kwartałach" w Abbenay — na wpół autonomicznych jednostkach sąsiedzkich, w których obrębie można było pieszo dotrzeć do każdego i wszędzie, gdzie było trzeba. Rozmowy telefoniczne były więc przeważnie międzymiastowe i kontrolowane przez KPR; prywatne należało zamawiać pocztą z wyprzedzeniem; bądź też były to nie tyle rozmowy, ile po prostu wiadomości zostawiane w filiach KPR. Listy przesyłano nie zaklejone — co nie było, oczywiście, nakazem prawa, ale normą zwyczajową. Prywatna łączność na duże odległości była kosztowna, tak ze względu na nakłady materiałowe, jak i nakłady pracy, a ponieważ gospodarka prywatna i publiczna stanowiły jedno, zbędne pisanie i telefonowanie cieszyło się u ludzi raczej złą opinią. Uchodziło za coś niskiego, trąciło prywatą, egoizowaniem. Najprawdopodobniej z tego powodu nie zaklejano listów; człowiek nie miał prawa wymagać od innych, żeby nosili przesyłki, których nie mogą przeczytać. List wędrował — jeśli miało się szczęście — sterowcem pocztowym KPR albo — jeśli się go nie miało — pociągiem towarowym. Docierał w końcu do składu pocztowego w mieście, do którego był wysłany, i leżał tam (nie było bowiem listonoszy), dopóki ktoś nie powiadomił adresata, że przyszedł list, a wtedy ten szedł i odbierał go.

O tym jednakże, co było, a co nie było niezbędne, decydowała jednostka. Szevek i Takver pisywali do siebie regularnie, przeciętnie raz w dekadzie. On pisał:

Podróż minęła mi nie najgorzej, trzy dni pociągiem złożonym z odkrytych wagonów. To wielki pobór, trzy tysiące ludzi, jak mówią. Skutki suszy są tu znacznie dotkliwsze. Rzecz nie w niedoborach. Racje żywnościowe w stołówkach są takie jak w Abbenay, tyle że tutaj dostajesz gotowaną nać gary co dzień na oba posiłki; dysponują jakimiś lokalnymi nadwyżkami. My też zaczynamy już mieć uczucie, że dostają się nam nadwyżki. To tak daje się we znaki tutejszy klimat. Kurzawa. Powietrze jest suche i wciąż wieje wiatr.

Zdarzają się przelotne deszcze, ale już po godzinie ziemia wysycha i wzbija się kurz. W tym sezonie spadło tu o połowę mniej deszczu niż przeciętnie w roku. Wszyscy mamy spękane wargi, podrażnione spojówki, leci nam krew z nosów i kaszlemy. Wśród mieszkańców Czerwonych Źródeł jest wiele przypadków pyliczego kaszlu. Szczególnie ciężkie chwile przeżywają dzieci, wiele z nich widuje się z zapaleniem skóry i oczu. Zastanawiam się, czy pół roku temu dostrzegłbym to. Kiedy ma się dziecko, człowiek staje się bardziej spostrzegawczy. Praca jak to praca, wszyscy są bardzo koleżeńscy, ale suche wiatry dają się nam nieźle we znaki. Ostatniej nocy myślałem o Ne Theras, szum wiatru przypomina nocą szmer strumienia. Nie będę żałował tej rozłąki. Otworzyła mi oczy na fakt, że coraz mniej zacząłem dawać — jakbym cię posiadał, jakbyś ty mnie posiadła i jakby już o nic więcej nie chodziło. A przecież to nie ma nic wspólnego z posiadaniem. To, co robimy, jest potwierdzaniem pełni Czasu. Napisz mi, co porabia Sadik. W wolne dni daję wykłady grupce osób, które mnie o to prosiły; jedna z dziewcząt okazała się urodzonym matematykiem, zarekomenduję ją Instytutowi.

Twój brat, Szevek.

Takver odpisała mu:

Martwi mnie pewna dziwna okoliczność. Trzy dni temu wywieszono rozkład wykładów na trzeci kwartał, poszłam zobaczyć, jaki będziesz miał plan zajęć w Inst., i okazało się, że nie przewidziano dla ciebie żadnych wykładów ani sali. Sądziłam, że cię pominęli przez pomyłkę, wybrałam się więc do Synd. Członków, gdzie mi powiedziano, że chcieliby, byś prowadził wykłady z geom. Udałam się więc do biura Koord w Instytucie, do tej starej nosatej baby; nic nie wiedziała — nie, nie, ja nic nie wiem, idź do Centralnego Urzędu Skierowań! Ani myślę, ja jej na to i poszłam do Sabula. Nie zastałam go jednak w dziekanacie fiz i do tej pory nie udało mi się go złapać, choć już dwa razy zachodziłyśmy tam z Sadik. Sadik nosi cudowny biały kapelusz, który Terrus zrobiła jej na drutach z czesanki; wygląda zabójczo. Nie mam zamiaru polować na Sabula w jego pokoju, w

roboczej jamce czy gdzie on tam mieszka. Może zgłosił się na ochotnika do pracy i wyjechał — ha! ha! ha! Może powinieneś zatelefonować do Instytutu i wyjaśnić pomyłkę7 Prawdę mówiąc, pofatygowałam się i sprawdziłam w Centralnym Urzędzie Skierowań Kompopracu, lecz nie mieli tam żadnego nowego przydziału dla ciebie. Ludzie są przychylnie usposobieni, z wyjątkiem tej starej nosatej, która jest niewydolna, nieuczynna i nic jej nie obchodzi. Bedap ma słuszność, kiedy mówi, że pozwoliliśmy rozpanoszyć się biurokracji. Proszę cię, wracaj (z tą dziewczyną — geniuszem matematycznym, skoro to konieczne), rozłąka jest kształcąca, zgoda, aleja się wolę kształcić w twojej obecności.

Dostaję pół litra soku owocowego dziennie plus przydział wapnia, bo mi zaczęło brakować mleka. S. urządzała dzikie wrzaski. Zacni starzy doktorowie!

Twoja na zawsze, T.

Szevek nigdy nie odebrał tego listu. Wyjechał z Południowyżu, nim ów dotarł do składu pocztowego w Czerwonych Źródłach.

Miejscowość ta oddalona była od Abbenay o około dwa tysiące pięćset mil. Samotny podróżny mógłby przebyć tę odległość po prostu okazją, wszystkie bowiem dostępne środki transportu osobowego były przepełnione do granic możliwości; ponieważ jednak przeniesienie do stałych miejsc pracy na Północnym Wschodzie dotyczyło czterystu pięćdziesięciu ludzi, podstawiono dla nich specjalny pociąg, składający się z wagonów pasażerskich, a w każdym razie takich, których w danym czasie jako pasażerskich używano. Najmniejszą popularnością cieszył się kryty wagon towarowy, w którym przewożono ostatnio transport wędzonych ryb.

Po roku trwania suszy normalne linie komunikacyjne — mimo gorliwych wysiłków pracowników transportu, by sprostać zapotrzebowaniu — przestały wystarczać. Transportowcy tworzyli największy związek w odońskim społeczeństwie: zorganizowany, rzecz jasna, w okręgowe syndykaty, których działanie koordynowali wyznaczeni przedstawiciele, spotykający się i współpracujący z lokalnymi i centralnymi komórkami KPR. W normalnych czasach — i nie tak nagłych potrzebach — sieć obsługiwana przez związek transportowców zdawała egzamin; była elastyczna, dopasowywała się do okoliczności, syndykowie transportu stanowili liczny, odznaczający się silnym poczuciem zawodowej dumy, klan.

Swoim lokomotywom i sterowcom nadawali imiona, takie jak Nieustraszony, Niestrudzony, Pożeracz Wiatru; mieli swoje hasła — „Zawsze docieramy na miejsce”, „Nic ponad nasze siły!” — teraz wszakże, kiedy całym obszarom planety zaglądał w oczy głód, gdy nie dostarczano żywności z innych regionów, kiedy trzeba było przerzucać z miejsca na miejsce wielkie zespoły robotników z naboru,

wymagania, jakie stanęły przed środkami transportu, przerosły ich siły. Nie starczało pojazdów; nie było dość ludzi do ich obsługi. Związek rzucił do służby wszystko, co miało skrzydła i koła; uczniowie, emeryci, ochotnicy i pracownicy z naboru pomagali obsługiwać ciężarówki, pociągi, statki, porty i stacje rozrządowe.

Pociąg, którym jechał Szevek, poruszał się krótkimi zrywami, przedzielonymi długimi postojami, jako że wszystkie pociągi dostawcze miały przed nim pierwszeństwo. Później w ogóle stanął na dwadzieścia godzin. Jakiś przepracowany a niedostatecznie wyszkolony dyspozytor popełnił błąd i uszkodził linię.

W stołówkach i magazynach małej mieściny, gdzie wypadł ten postój, nie było dodatkowej żywności. Była to wspólnota przemysłowa, nierolnicza, produkująca beton i piankowiec, zbudowana korzystnie na styku złóż wapna i żeglownej rzeki. Mieli tam co prawda ogródki warzywne, ale pod względem żywnościowym miasteczko było zależne od dostaw. Gdyby czterystu pięćdziesięciu ludzi z pociągu zaspokoiło apetyt, stu sześćdziesięciu miejscowych nie miałoby co jeść. W idealnych warunkach podzieliliby się — wspólnie cierpieliby niezbyt dotkliwy głód, bądź też najedliby się, ale nie do syta. Gdyby pociągiem jechało pięćdziesiąt, a nawet i sto osób, wspólnota prawdopodobnie wygospodarowałaby dla nich choć pieczony chleb. Ale czterysta pięćdziesiąt? Gdyby takiej masie dali choć po odrobinie, sami przez wiele dni nie mieliby co włożyć do ust. A wiadomo, czy po upływie tego czasu zjawiłby się następny pociąg z prowiantem? I ile ziarna by przywiózł? Nie dali nic.

Podróżni nie otrzymali tego dnia śniadania i pościli od sześćdziesięciu godzin. A i potem me dostali żadnego posiłku, dopóki linia nie została uruchomiona i pociąg, przejechawszy sto pięćdziesiąt mil, nie dotarł do stacji, której stołówka zaopatrzona była w żywność dla pasażerów. Szevek po raz pierwszy w życiu zaznał głodu. Przegładzał się czasem, kiedy pracował, a nie chciał tracić czasu na jedzenie, ale dwa pełne posiłki dziennie zawsze miał zapewnione: tak pewne jak wschód i zachód słońca. Nigdy nawet nie pomyślał, jak by to było, gdyby przyszło się bez nich obejść. Nikt w jego społeczeństwie — ani na całym świecie — nie był zmuszony się bez nich obywać.

Gdy coraz sroższy głód skręcał mu kiszki, a pociąg sterczał godzinami na bocznicy pomiędzy rozrytym i pylistym kamieniołomem a jakimś zamkniętym zakładem przemysłowym, zaczęły go nachodzić ponure myśli na temat realiów tej głodówki i nie dającej się wykluczyć niezdolności jego społeczeństwa do przetrwania klęski, jaka na nie spadła, bez zatraty etosu solidarności, która stanowiła jego siłę. Łatwo było się dzielić, kiedy było czym, a nawet gdy ledwo starczało. Lecz kiedy nie starczało? Wtedy wkraczała siła, prawo pięści, moc i jej

narzędzie — przemoc, wreszcie najwierniejszy sprzymierzeniec — odwrócone oczy.

W pasażerach wzbierała niechęć do mieszkańców miasteczka — nie aż tak przecież złowroga jak postępowanie tamtych, którzy pochowali się za „swoimi" ścianami, ze „swoją" własnością, obojętni na los pociągu, udający, że go w ogóle nie ma. Nie tylko Szevek wpadł w posępny nastrój; wzdłuż unieruchomionych wagonów potoczyła się długa rozmowa, pasażerowie włączali się do niej i z niej wyłączali, spierali się i godzili, a wszyscy mówili na jeden i ten sam temat, który zaprzątał i myśli Szeveka. Dyskutowano zażarcie zgłoszoną jak najpoważniej propozycję wypadu na ogródki działkowe i pewnie by ją zrealizowano, gdyby nie rozległ się w końcu sygnał do odjazdu.

Gdy pociąg wtoczył się wreszcie na następną stację i dano im posiłek — pół bochenka chleba holum i miskę zupy na osobę — przygnębienie ich ustąpiło miejsca egzaltacji. Kiedy miska ukazywała dno, jedzący spostrzegał, że zupka była w istocie dość cienka, ale pierwsza łyżka — pierwsza łyżka była samą rozkoszą, warto się było przegłodzić, żeby poczuć jej smak. Zgadzali się co do tego wszyscy. Wsiadali do pociągu wśród śmiechów i żartów, pomagając jeden drugiemu.

W Równikowym Wzgórzu konwój odkrytych wagonów wziął na ostatnie pięćset mil drogi następną partię pasażerów z Abbenay.

Przyjechali do miasta późno, w wietrzny jesienny wieczór. Zbliżała się północ; opustoszałymi ulicami, niczym sucha, wzburzona rzeka, rwał wicher. Nad bladą poświatą latarń iskrzyły się gwiazdy.

Sucha burza jesieni i wezbranych uczuć gnała Szeveka ulicami; niemal biegiem, sam w ciemnym mieście, przebył liczącą trzy mile drogę do północnej dzielnicy. Jednym susem przesadził trzy stopnie schodów przed gankiem, przebiegł sień, dopadł i otworzył drzwi. W pokoju było ciemno. W czarnych oknach migotały gwiazdy.

— Takver! — zawołał. Odpowiedziała mu cisza. W tej krótkiej chwili przed zapaleniem lampy poznał, w ciszy i ciemności, czym jest rozłąka. Niczego nie brakowało. Nie było niczego, czego mogło brakować. Brakowało tylko Sadik i Takver. W ciągnącym od drzwi przeciągu poruszały się miękko, lśniąc z lekka, Zajęcia Nie Zamieszkanej Przestrzeni.

Na stole leżał list. Dwa listy. Jeden od Takver. Był krótki: dostała pilne skierowanie — na czas nieokreślony — do Laboratorium Badawczo-Doświadczalnego Rozwoju Glonów Jadalnych na Północnym Wschodzie. Pisała:

Sumienie nie pozwoliło mi odmówić w takiej chwili. Byłam, rozmawiałam z tymi w Kompopracu, czytałam też projekt, który został skierowany do wydziału ekologii KPR, i wygląda na to, że naprawdę mnie tam potrzebują, zajmowałam się przecież akurat sekwencją:

glony-orzęski-krewetki-kukuri. Prosiłam ich, żeby i ciebie skierowali na Rolnego, ale naturalnie nie zajmą się tym, jeśli sam nie poprosisz, a nie zrobisz tego, jeśli stanie temu na przeszkodzie Inst. W ostateczności, gdyby to się miało przeciągnąć, powiem im, żeby sobie poszukali innego genetyka i wrócę! Sadik ma się świetnie; umie już mówić na światło siato. To nie potrwa długo. Twoja siostra na całe życie, Takver. Och, błagam, przyjedź, jeśli będziesz mógł.

Druga notatka nabazgrana została na świstku papieru: Szevek: dziek. fiz. jak tylk wróć. Sabul.

Szevek tłukł się po pokoju. Szalała w nim wciąż burza, ten pęd, który go gnał przez ulice, a teraz uderzył w mur. Nie mógł posuwać się dalej, lecz nie potrafił też spocząć w bezruchu. Zajrzał do szafy. Wisiały w niej tylko jego zimowe palto i koszula, którą wyszyła mu Takver, lubująca się w ozdobnych robótkach; po jej niewielu ubraniach nie było śladu. Złożony parawan nie osłaniał pustego łóżeczka. Tapczan nie był zaścielony, zwinięta pościel okryta jednak została porządnie pomarańczowym kocem. Podszedł do stołu, po raz drugi odczytał list Takver. W jego oczach stanęły łzy gniewu. Porwała go wściekłość, płynąca z rozczarowania, opadły złe przeczucia.

Nie było kogo winić. To właśnie było najgorsze. Takver była potrzebna, potrzebna, by walczyć z głodem — własnym, jego, Sadik. Społeczeństwo nie sprzysięgło się przeciwko nim. Było dla nich; z nimi — było nimi.

Ale on poświęcił już swoją książkę, miłość, dziecko. Jak wielkich poświęceń można od człowieka wymagać?

— Do diabła! — zaklął głośno. Prawieki nie był najlepszym językiem do przeklinania. Trudno przeklinać, kiedy seks nie jest niczym zdrożnym i kiedy nie ma komu bluźnić. — Do diabła! — powtórzył. Zgniótł mściwie brudną notatkę Sabula, po czym zaciśniętymi pięściami uderzył w kant stołu — raz, drugi, trzeci — żeby doznać w swojej pasji bólu. Ale nie poczuł nic. Nie było nic do zrobienia, nie było dokąd pójść. Pozostawało mu jedynie rozwinąć pościel, położyć się bez pociechy, zasnąć i śnić złe sny.

Pierwsza rzecz z rana — zapukała Bunub. Otworzył drzwi, lecz nie usunął się, by ją wpuścić. Bunub była sąsiadką z głębi sieni, miała pięćdziesiąt lat i była operatorką maszyn w fabryce silników lotniczych. Takver bawiła, Szeveka wyprowadzała z równowagi.

Przede wszystkim upatrzyła sobie ich pokój. Opowiadała, że wystąpiła o przydzielenie go jej, gdy zwolnił się pierwszy raz, ale go nie dostała przez złośliwość blokowej rejestratorki. Jej pokój nie miał narożnego okna — przedmiotu jej nie ustającej zazdrości. Był to jednak pokój dwuosobowy, a ona mieszkała w nim sama, co — biorąc pod uwagę braki mieszkaniowe — należało uznać za egoizm z jej strony; Szevek nie zaprzątałby sobie głowy braniem jej tego za złe,

gdyby nie zmuszała go do tego ciągłym usprawiedliwianiem się. Wciąż coś wyjaśniała i wyjaśniała. Miała partnera, partnera na całe życie, Jak wy dwoje" — tu głupi uśmieszek. Ale gdzie się podziewał? Nie wiedzieć czemu mówiła o nim zawsze w czasie przeszłym. Tymczasem podwójny pokój nabierał uzasadnienia dzięki przewijającemu się przez jego podwoje sznureczkowi mężczyzn — co noc to inny mężczyzna, jak gdyby Bunub była wystrzałową siedemnastolatka. Takver obserwowała tę procesję z podziwem. Bunub przychodziła, opowiadała jej wszystko o tych mężczyznach i skarżyła się, skarżyła. Brak narożnego pokoju stanowił tylko jedną z jej niezliczonych pretensji. Była zarazem podstępna i zawistna, umiała wszędzie dopatrzyć się złego i wziąć to zaraz do siebie. Fabryka, w której pracowała, była zatrutym kłębowiskiem niefachowości, kumoterstwa i sabotażu. Zebrania jej syndykatu — domem wariatów kipiącym od niesprawiedliwych aluzji do niej wyłącznie skierowanych. Cały organizm społeczny był nastawiony na prześladowanie Bunub. Wszystko to bawiło Takver, czasem wybuchała śmiechem w twarz tej kobiecie o przyprószonych siwizną włosach, cienkich wargach i spuszczonych oczach.

„Och, Bunub, jaka ty jesteś śmieszna!" — zaśmiewała się, na co tamta uśmiechała się lekko, bynajmniej nie dotknięta, i dalej wylewała swe obłędne żale. Szevek zdawał sobie sprawę, że Takver czyni słusznie, kwitując je śmiechem, ale sam nie potrafił się na niego zdobyć.

— To okropne — oświadczyła Bunub, wślizgnąwszy się teraz obok niego do pokoju, i podeszła do stołu, żeby przeczytać list Takver. Podniosła go, lecz Szevek wyrwał go jej z ręki ze spokojną stanowczością, na którą nie była przygotowana. — Po prostu okropne. Bez uprzedzenia choćby dekadę naprzód. Przyjeżdżaj i tyle!

W te pędy! A mówią, że jesteśmy wolnymi ludźmi, mamy to niby być wolnymi ludźmi. Wolne żarty! Żeby w taki sposób rozbijać szczęśliwe partnerstwo! Oni to zrobili celowo, ja ci to mówię. Są przeciwnikami partnerstw, to się na każdym kroku rzuca w oczy, umyślnie kierują partnerów na różne placówki. To samo spotkało mnie i Labeksa, wypisz wymaluj to samo. Nigdy się już nie zejdziemy. Mając cały Kompoprac przeciw sobie… Maleńkie puściutkie łózio. Biedna kruszyneczka! Przez te cztery dekady płakała dniami i nocami. Godzinami nie dawała mi zasnąć. To oczywiście z powodu niedostatków, Takver nie miała dość mleka.

A potem wysyłają ci karmiącą matkę na placówkę o setki mil stąd, jak gdyby nigdy nic, pomyśleć tylko! Nie wydaje mi się, żebyś mógł się tam z nią połączyć. Dokąd to ją wysłali?

— Na Północny Wschód. Chciałbym już pójść na śniadanie, Bunub, jestem głodny.

— Czy to nie typowe, co oni zrobili pod twoją nieobecność?

— A cóż takiego zrobili pod moją nieobecność?

— Wysłali ją gdzieś na koniec świata, rozbili partnerstwo. — Czytała kartkę od Sabula, rozprostowawszy ją starannie. — Już oni wiedzą, kiedy się wtrącić! Wygląda mi na to, że wyprowadzisz się teraz z tego pokoju, prawda? Nie dadzą ci zatrzymać dwójki. Takver zapowiadała, że niedługo wróci, ale ja widziałam, że usiłuje sobie tylko dodać otuchy. Wolność, mamy to niby być wolni, wolne żarty! Przerzucani z miejsca na miejsce…

— Do diabła, Bunub, gdyby Takver nie chciała przyjąć tego skierowania, najzwyczajniej by odmówiła. Przecież wiesz, że grozi nam głód.

— Mhm. Zastanawiam się tylko, czy ona nie miała już dosyć siedzenia na miejscu. To się często zdarza po urodzeniu dziecka.

Od dawna uważałam, że powinniście oddać je do przedszkola.

Wciąż tylko płakało i płakało. Dzieci stają między partnerami.

Wiążą im ręce. To naturalne, jak powiedziałeś, że zapragnęła odmiany i skorzystała z pierwszej nadarzającej się okazji.

— Nie powiedziałem tego. Idę na śniadanie.

Wyszedł, czując pulsujący ból w pięciu czy sześciu wrażliwych miejscach, które Bunub celnie uraziła. Potworne w tej kobiecie było to, że wyrażała głośno jego własne najpodlejsze obawy. Została w pokoju, najpewniej po to, żeby zaplanować przeprowadzkę.

Ponieważ zaspał, dotarł do jadłodajni tuż przed zamknięciem.

Zgłodniały po podróży, wziął podwójną porcję owsianki i chleba.

Chłopiec zza bufetu spojrzał nań z przyganą. W tych czasach nie brało się podwójnych porcji. Szevek odpowiedział mu gniewnym spojrzeniem, nie udzielając żadnych wyjaśnień. Od osiemdziesięciu paru godzin nie jadł nic prócz dwóch misek zupy i kilograma chleba, miał więc prawo odbić sobie za to; ani myślał się usprawiedliwiać. Istnienie jest samo dla siebie usprawiedliwieniem, potrzeba — prawem. Był odonianinem, poczucie winy zostawiał spekulantom.

Usiadł przy wolnym stoliku, ale natychmiast przysiadł się do niego Desar, uśmiechając się i świdrując go — a raczej przestrzeń obok niego — niepokojącym zezem.

— Wyjechałeś — zauważył.

— Zaciąg na farmę. Sześć dekad. Co tu słychać?

— Marnie.

— Będzie jeszcze marniej — orzekł Szevek, bez zbytniego jednak przekonania, bowiem jadł i owsianka smakowała mu wybornie. Frustracja, niepokój, głód! — podpowiadało mu przodomózgowie, siedziba intelektu; na co tyłomózgowie, dziki i hardy lokator głębokich mroków na tyłach czaszki, odpowiadało: Masz co jeść!

Masz co jeść! Byczo, byczo!

— Widziałeś Sabula?

— Nie. Późno wczoraj przyjechałem. — Popatrzył na Desara i dorzucił, siląc się na obojętność: — Takver dostała skierowanie w ramach akcji „Głód „; musiała wyjechać przed czterema dniami.

Tamten przytaknął ze szczerą obojętnością.

— Słyszałem. Słyszałeś o reorganizacji w Instytucie?

— Nie. O co chodzi?

Matematyk rozłożył na stole długie, szczupłe dłonie i zapatrzył się na nie. Zawsze mówił zwięźle i wyrażał się stylem telegraficznym, w istocie jąkał się; czy się jednak potykał na słowach, czy na moralnych skrupułach, tego Szevek nigdy nie ustalił. I choć lubił Desara — chociaż sam nie wiedział za co — przychodziły takie chwile, że go serdecznie nie cierpiał — i również nie wiedział za co.

To była właśnie jedna z takich chwil. W wyrazie ust tamtego, w jego spuszczonych oczach — podobnych do spuszczonych oczu Bunub — czaiła się jakaś przebiegłość.

— Czystka. Redukcja do personelu podstawowego. Szipeg wyleciał. — Szipeg był znanym z tępoty matematykiem, któremu udawało się zawsze, drogą uporczywego schlebiania studentom, załatwiać sobie co semestr kurs na ich życzenie. — Odesłali go. Do jakiegoś okręgowego instytutu.

— Mniej narobi szkód, gracując holum — stwierdził Szevek.

Wydało mu się teraz (gdy już zaspokoił głód), że susza może w ostatecznym rachunku wyjść organizmowi społecznemu na zdrowie. Sprawy o pierwszorzędnym znaczeniu ukażą się znowu w wyraźniejszym świetle. Wyczyści się miejsca słabe, rozmiękłe, chore, przywróci sprawne funkcjonowanie rozleniwionym organom, usunie tłuszcz z polityki.

— Przemówiłem za tobą na zebraniu Instytutu — powiedział Desar, podnosząc oczy, lecz nie spotykając (bo spotkać nie mógł) oczu Szeveka. Jeszcze nie skończył, a Szevek już wiedział — choć nie rozumiał jeszcze, o co tamtemu chodzi — że matematyk kłamie.

Wiedział to na pewno. Desar nie przemówił za nim, ale przeciw niemu.

Zrozumiał teraz doskonale powód swoich niechęci do Desara; u ich korzeni leżało przeczucie, dotąd nieuświadamiane, że w charakterze tamtego tkwi pierwiastek czystej złośliwości. Fakt, że Desar go kochał i starał się nim owładnąć, był dlań równie oczywisty, co i obrzydliwy. Pokrętne drogi zawłaszczania, labirynty miłości/nienawiści nie miały dla niego znaczenia; wyzywający i oschły, przenikał przez te mury jak przez powietrze. Nie odezwał się już do matematyka ani słowem, skończył śniadanie, wyszedł ze stołówki i — przeciąwszy kwadratowy dziedziniec, skąpany w blasku pogodnego, wczesnojesiennego poranka — skierował kroki do dziekanatu fizyki.

Wszedł do pokoju na zapleczu, nazywanego powszechnie „biurem Sabula” — tego samego, w którym spotkali się po raz pierwszy i w którym Sabul wręczył mu gramatykę i słownik jeżyka ajońskiego. Sabul łypnął ostrożnie zza biurka i opuścił wzrok — tonący w papierach, zapracowany, roztargniony naukowiec; potem pozwolił, by obecność Szeveka dotarła do jego przeciążonej świadomości; wreszcie go przywitał, wylewnie jak na niego. Postarzał się i wychudł; kiedy zaś wstał, okazało się, że garbi się bardziej niż zwykle, takim pokornym rodzajem garbienia się.

— Niedobre czasy, co? — mruknął. — Niedobre czasy!

— Jeszcze się pogorszą — rzucił od niechcenia Szevek. — Co słychać?

— Niedobrze, niedobrze. — Sabul pokręcił szpakowatą głową. — To niepomyślne czasy dla czystej nauki, dla intelektualistów.

— A czy kiedy są pomyślne?

Sabul roześmiał się z przymusem.

— Przyszło coś dla nas latem z Urras? — zapytał Szevek, robiąc sobie miejsce na ławce. Usiadł i założył nogę na nogę. Opalił się na polach Południowyżu, jego jasna cera zbrązowiała, a delikatny puszek okrywający twarz pojaśniał srebrzyście. W porównaniu z Sabulem wyglądał młodo, zdrowo i smukłe. Obaj zdawali sobie sprawę z tego kontrastu.

— Nic ciekawego.

— Żadnych omówień Zasad?

— Nie — prychnął opryskliwie Sabul, tonem bardziej już do niego podobnym.

— Żadnych listów?

— Żadnych.

— To dziwne.

— Co w tym dziwnego? Czegoś się spodziewał, wykładów na Uniwersytecie Ieu Eun? Nagrody Seo Oen?

— Spodziewałem się recenzji i replik. Dość było czasu — powiedział to jednocześnie z Sabulem, który stwierdził:

— Jeszcze za wcześnie na recenzje.

Zaległo milczenie.

— Powinieneś zdawać sobie sprawę, Szevek, że przekonanie o własnej słuszności nie jest samo w sobie usprawiedliwieniem.

Wiem, napracowałeś się ciężko nad tą książką. I ja się natyrałem, wydając ją, próbując wyjaśnić, że nie jest tylko nieodpowiedzialną napaścią na teorię następstw, lecz ma i pozytywne aspekty. Ale gdy inni fizycy nie dopatrują się w twej pracy wartości, powinieneś się przyjrzeć tym wyznawanym przez siebie i starać się dojść, skąd bierze się ta rozbieżność. Jeśli dla innych nie ma to żadnego znaczenia, jaki z tego pożytek? Jaka tego funkcja?

— Jestem fizykiem, a nie analitykiem funkcji — przypomniał Szevek.

— Każdy odonianin musi być analitykiem funkcji. Masz trzydzieści lat, prawda? W tym wieku człowiek powinien znać nie tylko swoją funkcję jako komórki, ale i swoją funkcję organiczną — jaką mianowicie optymalną rolę ma do spełnienia w organizmie społecznym. Tyś nie musiał, być może, zastanawiać się nad tym tyle, co większość ludzi…

— Rzeczywiście nie. Od dziesiątego czy dwunastego roku życia wiedziałem, co mam robić.

— To, czym chłopiec, we własnym mniemaniu, lubi się zajmować, nie zawsze pokrywa się z tym, czego oczekuje od niego społeczeństwo.

— Mam trzydzieści lat, jak stwierdziłeś, jestem dość stary jak na chłopca.

— Osiągnąłeś ten wiek w nader cieplarnianych warunkach. Najpierw Instytut Okręgowy w Północowyżu…

— Dodaj do tego akcję zalesiania, akcje rolne, szkolenie praktyczne, komitety blokowe, pracę ochotniczą od początku suszy; normalna ilość kleggich. W istocie lubię to robić. Ale lubię też uprawiać fizykę. Do czego zmierzasz?

Gdy zaś Sabul nie odpowiadał, a tylko łypał nań spod ciężkich, umazanych tłuszczem brwi, dorzucił:

— Możesz mi równie dobrze wyłożyć kawę na ławę, i tak nie uda ci się wziąć mnie na sumienie obywatelskie.

— Czy ty uważasz pracę, którą tu wykonywałeś, za funkcjonalną?

— Tak. Jm wyżej coś jest zorganizowane, tym bardziej zcentralizowany to organizm: centralność oznacza tu pole faktycznej funkcji". Tomar: Definicje. Fizyka temporalna, usiłując zorganizować to, co zrozumiałe dla ludzkiego umysłu, jest z samej definicji działalnością centralnie funkcjonalną.

— Nie daje ludziom chleba.

— Poświęciłem właśnie sześć dekad, pomagając to uczynić.

Kiedy ponownie zostanę wezwany, stawię się znowu. Tymczasem zostanę przy swoim fachu. Jeśli w ogóle ma być uprawiana fizyka, rezerwuję sobie prawo uprawiania jej.

— Powinieneś spojrzeć prawdzie w oczy: w obecnej chwili fizyka nie może być uprawiana. Nie taka w każdym razie, jaką tyś się zajmował. Musimy się przestawić na działania praktyczne. — Poruszył się na krześle. Sprawiał wrażenie przygnębionego i niespokojnego. — Musieliśmy zwolnić pięć osób i oddać je do dyspozycji. Przykro mi to stwierdzić, ale jedną z tych osób jesteś ty. Tak to wygląda.

— Dokładnie tak, jak się spodziewałem — powiedział Szevek, choć aż do tej chwili nie dopuszczał do siebie myśli, że Sabul wyrzuca go z Instytutu. Kiedy jednak usłyszał tę nowinę, zabrzmiała mu

nieobco; poza tym nie da temu człowiekowi satysfakcji oglądania, jak jest wstrząśnięty.

— Przemawiał przeciwko tobie cały splot okoliczności. Skomplikowana, oderwana od życia natura badań, które prowadziłeś przez kilka ostatnich lat. Do tego wrażenie — nie twierdzę, że uzasadnione, istniejące wszakże wśród niemałej liczby studentów i członków ciała pedagogicznego Instytutu — że tak twój sposób nauczania, jak i sposób bycia cechuje pewien brak, określony stopień nielojalności, niedostatek altruizmu. Mówiono o tym na zebraniu. Ja, oczywiście, wstawiałem się za tobą. Ale jestem tylko jednym syndykiem wśród wielu.

— Odkąd to altruizm jest cechą odonian? — zapytał Szevek. — Ale mniejsza z tym. — Wstał. Nie mógł dłużej usiedzieć na miejscu, najzupełniej poza tym opanowany i przemawiający jak najspokojniejszym tonem. — Rozumiem, że nie poleciłeś mnie na stanowisko nauczyciela w innym miejscu.

— Co by to dało? — rzekł Sabul, niemal melodyjnym tonem w tym samorozgrzeszeniu. — Nigdzie nie przyjmują nowych nauczycieli. Nauczyciele i uczniowie pracują obok siebie jak planeta długa i szeroka, usiłując zapobiec głodowi. Oczywiście, ta klęska nie będzie trwała wiecznie. Za rok — stojąc ramię przy ramieniu, dzieląc się wszystkim po równo — obejrzymy się za siebie, dumni z ofiar, które ponieśliśmy, i pracy, którą wykonaliśmy. W obecnej jednak chwili…

Szevek stał wyprostowany, rozluźniony i przez małe porysowane okno patrzył w puste niebo. Wzbierała w nim nieprzeparta ochota, żeby rzucić tamtemu wreszcie: a idź do diabła! Wypowiedział jednak inną, głębszą myśl:

— Właściwie masz pewnie rację. — Po czym wyszedł, skinąwszy Sabulowi głową.

Złapał autobus do śródmieścia. Wciąż gnał go pośpiech. Wypełniał jakiś plan i spieszno mu było doprowadzić go do końca i odpocząć. Poszedł do Centralnego Urzędu Skierowań Komisariatu Podziału Pracy, aby poprosić o skierowanie do wspólnoty, do której pojechała Takver.

Kompoprac, z jego komputerami i kolosalnym zadaniem koordynacji, zajmował cały kwartał ulic; mieścił się w eleganckich i — jak na anarresyjskie standardy — imponujących gmachach o ładnych, czystych liniach. Wewnątrz Centralny Urząd Skierowań przypominał wysoką stodołę, pełną ludzi i ruchu, o ścianach pokrytych informacjami dotyczącymi skierowań oraz wskazówkami, do jakiego biurka bądź wydziału udać się w takiej a takiej sprawie.

Czekając w jednej z kolejek, Szevek przysłuchiwał się rozmowie stojących przed nim osób — szesnastoletniego chłopca i mężczyzny po sześćdziesiątce. Chłopiec zgłaszał się na ochotnika po skierowanie na

placówkę walki z głodem. Przepełniony szlachetnymi uczuciami, rwał się do przygód, tryskał braterstwem i nadzieją.

Radowało go, że wyrusza gdzieś samodzielnie i żegna się z dzieciństwem. Nieustannie mówił, jak dziecko, głosem nie nawykłym jeszcze do niższych rejestrów. Wolność! Wolność! — dźwięczało w każdym słowie jego entuzjastycznych wypowiedzi; głos starszego mężczyzny wtórował mu z pochrząkiwaniem i pomrukiwaniem, prześmiewczo — lecz bez chęci straszenia; z kpiną — lecz bez przestrogi. Wolność, możliwość przeniesienia się dokądś i zrobienia czegoś, stary cenił w młodym i pochwalał, choć naśmiewał się z jego zarozumialstwa. Szevek przysłuchiwał się ich rozmowie z radością. Przerwali pasmo porannej groteski.

Ledwie wyjaśnił urzędniczce, dokąd chciałby jechać, ta zrobiła zafrasowaną minę, poszła po atlas i rozłożyła go na dzielącym ich kontuarze.

— Spójrz — powiedziała. Była brzydką, małą kobietą o zajęczych zębach; jej dłonie poruszały się zręcznie i delikatnie po kolorowych stronicach atlasu. — To jest Rolny, widzisz, ten półwysep, wrzynający się w północne Morze Temaeńskie. To po prostu olbrzymia piaszczysta łacha. Nic tam nie ma poza morskimi laboratoriami, o tu, na samym cyplu, widzisz? Dalej wzdłuż wybrzeża ciągną się same bagna i słone błota, aż po Harmonię — tysiąc kilometrów. A na zachód masz Wybrzeże Barrensa. Najbliższym Rolnego miejscem, do którego mógłbyś się udać, byłoby jakieś miasteczko w górach. Ale nie proszą tam o pilne skierowania; są w znacznym stopniu samowystarczalni. Oczywiście, możesz tam jechać, jeśli chcesz — dorzuciła zmienionym z lekka tonem.

— To za daleko od Rolnego — stwierdził, spoglądając na mapę.

W górach Północnego Wschodu dostrzegł odciętą od świata mieścinę, w której wychowała się Takver — Dolinę Krążystą. — A może w tym morskim laboratorium potrzebują stróża? Statystyka? Kogoś do karmienia ryb?

— Sprawdzę.

Ludzko-komputerowa sieć akt Kompopracu zorganizowana była z godną podziwu sprawnością. Nawet pięciu minut nie zabrało urzędniczce wyszukanie potrzebnych danych wśród olbrzymiej liczby bezustannie napływających i wypływających informacji, dotyczących każdej posady, każdego zapotrzebowania, każdego poszukiwanego pracownika oraz priorytetów w skali całej gospodarki społeczności świata.

— Właśnie skompletowali awaryjny zespół. Chodzi o partnerkę, tak? Mają wszystkich, kogo im potrzeba, czterech techników i doświadczonego poławiacza. Załoga w komplecie.

Szevek oparł się łokciami na kontuarze, pochylił głowę i podrapał

się w nią, gestem zakłopotania maskując zagubienie i porażkę.

— Hm — powiedział — sam nie wiem, co teraz robić.

— Posłuchaj, bracie, a na jak długo partnerka dostała skierowanie?

— Bezterminowo.

— Ale chodzi o placówkę walki z głodem, prawda? To nie może tak wiecznie trwać! Zimą na pewno spadnie deszcz.

Podniósł wzrok na zatroskaną, współczującą, zmartwioną siostrę. Uśmiechnął się lekko, nie mógł przecież pozostawić bez odpowiedzi jej wysiłku natchnięcia go nadzieją.

— Zejdziecie się. Tymczasem…

— Właśnie. Tymczasem — mruknął.

Czekała na jego decyzję.

Podjęcie decyzji należało do niego; możliwości było wiele.

Mógł zostać w Abbenay i zorganizować wykłady z fizyki, jeśliby tylko zdołał znaleźć chętnych słuchaczy. Mógł jechać na półwysep Rolny i zamieszkać z Takver, tyle że bez przydziału w stacji badawczej. Mógł osiedlić się gdziekolwiek i nie robić nic, tylko wstawać dwa razy dziennie i udawać się do najbliższej jadłodajni, by go tam nakarmiono. Mógł robić, co by mu się żywnie podobało.

Identyczność słów „praca” i „zabawa” w języku prawickim miała oczywiście wyraźnie określone znaczenie etyczne. Odo dostrzegała niebezpieczeństwo rygorystycznego moralizmu, wynikające z użycia słowa „praca” w jej systemie analogicznym: komórki muszą współpracować, optymalne funkcjonowanie całego organizmu, praca wykonywana przez każdy element, itd. Oba podstawowe pojęcia Analogii — kooperacja i funkcja — zasadzały się na pracy. Dowód na powodzenie eksperymentu — czy to przeprowadzanego w dwudziestu probówkach w laboratorium, czy na dwudziestu milionach ludzi na Księżycu — jest prosty: czy to działa?

Odo dostrzegała moralną pułapkę. „Święty nigdy nie bywa zajęty” — powiedziała, być może ze smutkiem.

Istota społeczna nie dokonuje jednak nigdy wyborów w pojedynkę.

— No cóż — powiedział Szevek — wróciłem właśnie z placówki walki z głodem. Może zostało jeszcze coś do zrobienia na tym polu?

Urzędniczka obrzuciła go niedowierzającym, lecz wybaczającym spojrzeniem starszej siostry.

— W tym pokoju wywieszono około siedmiuset pilnych zapotrzebowań — oświadczyła. — Które wybierasz?

— Nie potrzebują gdzieś matematyka?

— To głównie prace w polu i dla robotników wykwalifikowanych. Czy masz jakieś przygotowanie inżynieryjne?

— Niewielkie.

— Hm, jest posada koordynatora pracy. Z pewnością wymaga głowy do liczb. Co o tym myślisz?

— Niech będzie.

— Ale, widzisz, to jest na Południowym Zachodzie w Kurzawie.

— Znam Kurzawę. Poza tym, jak powiedziałaś, kiedyś wreszcie spadnie deszcz…

Kiwnęła głową, uśmiechnęła się i wystukała na jego karcie pracy: Z Abbenay, Płn. Zach., Centr. Inst. Nauk. DO Łokcia, Płd. Zach., koord. pr., zakł. fosforanu 1: SKIER. PILN.: 5-1-3-165-bezterminowo.

Rozdział dziewiąty
Urras

Zbudziły Szeveka dzwony z kaplicowej wieży, tonami harmonii prymarnej wzywające na poranny obrzęd religijny. Każdy dźwięk jak obuchem walił go w potylicę. Czul się tak rozdygotany i osłabiony, że przez dłuższy czas nie mógł nawet usiąść. Wreszcie zdołał dowlec się jakoś do łazienki i zanurzył się w zimnej kąpieli, od czego zelżał nieco ból głowy, ciało jednakże wydawało mu się nadal obce — jak gdyby zbrukane. Odzyskawszy jasność myśli, przypomniał sobie strzępki i urywki wczorajszego wieczoru — żywe, oderwane scenki z przyjęcia u Vei. Starał się ich nie rozpamiętywać, nie był jednak w stanie myśleć o niczym innym. Wszystko, wszystko dotknięte zostało zepsuciem. Usiadł przy biurku i przesiedział przy nim nieruchomo pół godziny, zapatrzony przed siebie, do głębi nieszczęśliwy.

Zakłopotany bywał w życiu wcale nie tak rzadko i często czuł się jak głupiec. Jako młody człowiek cierpiał, bo zdawało mu się, że inni mają go za dziwaka, odmieńca; w późniejszych latach doświadczał nieraz — sprowokowanych przez samego siebie — niechęci i pogardy wielu swoich ziomków. Nigdy jednak nie akceptował ich osądu. Nigdy nie nękał go wstyd.

Nie wiedział, że to paraliżujące upokorzenie — podobnie jak ból głowy — jest tylko chemicznym następstwem pijaństwa. Wiedza ta niewiele by zresztą zmieniła. Uczucie wstydu — oraz zepsucia i obcości wobec samego siebie — podziałało jak objawienie. Nagle — jak gdyby przejrzał na oczy — ujrzał swoją sytuację z przeraźliwą jasnością; sięgał zaś wzrokiem daleko poza owe oderwane epizody z zakończenia wieczoru u Vei. Zdradziła go nie tylko ta biedna kobieta. Zwymiotować usiłował nie tylko alkohol, ale wszystek chleb, którym się żywił na Urras.

Oparł łokcie na biurku i ścisnął rękami skronie, przybierając pozę człowieka dotkniętego bólem; przyjrzał się swojemu życiu z punktu widzenia wstydu.

Na Anarres — wbrew oczekiwaniom swojego społeczeństwa — wybrał sobie pracę, do której czuł powołanie. Ten wybór był aktem buntu: zaryzykował swój los dla dobra ogółu.

Na Urras akt buntu był luksusem, folgowaniem sobie. Być fizykiem w A-Io oznaczało służyć nie społeczeństwu, nie ludzkości, nie prawdzie — ale Państwu.

Pierwszej nocy w tym pokoju — wyzywający i pełen ciekawości — postawił swym gospodarzom pytanie: „Co chcecie ze mną zrobić?" Teraz już wiedział, co z nim zrobili. Chifoilisk

powiedział mu nagą prawdę. Posiedli go. Zamierzał się z nimi targować — pomysł godny naiwnego anarchisty. Jednostka nie może targować się z państwem. Państwo nie zna innej monety prócz siły i samo tę monetę wypuszcza.

Dostrzegał teraz — wyraźnie, krok po kroku — że przybywając na Urras, popełnił błąd; swój pierwszy poważny błąd — i to taki, którego skutki będzie zapewne odczuwał do końca życia. Gdy zdał sobie z tego sprawę, gdy wyliczył sobie wszystkie świadczące o nim dowody, które od miesięcy odpychał od siebie i którym zaprzeczał (a dużo mu zajęło czasu, zanim — znieruchomiały za biurkiem — uczynił to odkrycie) aż do tej ostatniej, absurdalnej i ohydnej sceny z Veą, która mu ponownie stanęła przed oczami, aż jęła go palić twarz i zadzwoniło mu w uszach, już się z błędu tego wyzwolił. Nawet w tej dolinie łez po przepiciu nie odczuwał już winy.

Tamto już się stało, teraz należało myśleć o tym, co robić dalej. Zamknąwszy się w więzieniu, jakże ma działać jako człowiek wolny?

Nie będzie uprawiał fizyki dla polityków. To już było dlań oczywiste.

Lecz jeśli przestanie pracować, czy pozwolą mu stąd wyjechać?

Zastanowiwszy się nad tym, westchnął głęboko, uniósł głowę i wpatrzył się nie widzącymi oczami w zielony, skąpany w słońcu krajobraz za oknem. Pierwszy raz dopuścił do siebie myśl o powrocie do domu jako realnej możliwości. Ta myśl groziła przerwaniem tam i zalaniem go falą bezbrzeżnej tęsknoty. Móc mówić po Prawieku, rozmawiać z przyjaciółmi, zobaczyć Takver, Pilun, Sadik, dotknąć kurzu Anarres…

Nie dadzą mu odjechać. Nie opłacił podróży. Zresztą on sam nie może sobie pozwolić na wyjazd; poddać się i czmychnąć.

Siedząc przy biurku w słonecznym blasku poranka, uderzył rękami o krawędź blatu — raz, drugi i trzeci — z całej siły, z rozmysłem; na jego twarzy malowały się spokój i zaduma.

— Dokąd pójść? — zapytał na głos.

Zapukano do drzwi. Efor wniósł na tacy śniadanie i poranne gazety.

— Stawiłem się jak zwykle o szóstej, ale pan jeszcze spał — usprawiedliwiał się, z godną podziwu zręcznością opróżniając tacę.

— Upiłem się wczoraj wieczorem.

— To piękne, dopóki trwa — zauważył służący. — Czy to wszystko, sir? Doskonale — powiedział i wycofał się (równie zwinnie, jak nakrywał do stołu), kłaniając się po drodze wchodzącemu właśnie Pae.

— Nie chciałbym zakłócać panu śniadania! Wracam z kaplicy, przyszło mi do głowy, żeby do pana zajrzeć.

— Siadaj. Napij się czekolady.

Szevek nie mógł zabrać się do jedzenia, dopóki Pae nie udał, że dzieli z nim posiłek. Pae wziął bułkę z miodem i kruszył ją na talerz. Szevek czuł się wciąż rozbity, ale i bardzo już zgłodniały, rzucił się więc na jedzenie. Wyglądało na to, że nawiązanie rozmowy przychodzi Pae trudniej niż zwykle.

— Nadal dostaje pan te śmieci? — spytał na koniec rozbawionym tonem, dotknąwszy złożonych gazet, które Efor zostawił na stole.

— Efor mi je przynosi.

— Ach tak.

— Prosiłem go o to — wyjaśnił Szevek i rzucił tamtemu badawcze spojrzenie. — Pozwalają mi lepiej zrozumieć wasz kraj. Interesują mnie wasze klasy niższe. Wywodzi się z nich większość Anarresyjczyków.

— Tak, oczywiście — z wyrazem aprobaty i szacunku przytaknął Pae. Zjadł kęs bułki z miodem. — Chyba się jednak skuszę na kropelkę tej czekolady — oświadczył i zadzwonił stojącym na tacy dzwonkiem.

W drzwiach pojawił się Efor.

— No cóż, sir, mieliśmy zamiar zabrać pana, teraz kiedy poprawiła się pogoda, znowu na wycieczkę, pokazać nieco więcej naszego kraju. Może nawet wyskoczyć za granicę. Obawiam się jednak, że ta przeklęta wojna pokrzyżowała nam plany.

Szevek zerknął na nagłówek leżącej na wierzchu gazety:

IO I THU ŚCIERAJĄ SIĘ W POBLIŻU STOLICY BENBILI.

— Telefaksem nadeszły już świeższe nowiny — poinformował go Pae. — Wyzwoliliśmy stolicę. Generał Havevert zostanie przywrócony do władzy.

— A więc wojna skończona?

— Dopóki Thu okupuje dwie wschodnie prowincje, nie.

— Rozumiem. A więc wasza armia i ich armia będą się biły w Benbili? Ale nie tutaj?

— Ach nie, nie. Dokonanie najazdu na nas byłoby z ich strony bezgraniczną głupotą, podobnie zresztą jak nasz najazd na nich.

Wyrośliśmy już z barbarzyńskich obyczajów toczenia wojen w ośrodkach wyższej cywilizacji! Równowagę sił utrzymujemy dzięki tego rodzaju akcjom policyjnym jak obecna. Oficjalnie pozostajemy jednakże w stanie wojny. Obawiam się więc, że wejdą w życie wszystkie zwykłe, uciążliwe ograniczenia.

— Ograniczenia?

— Na przykład weryfikacja badań przeprowadzanych w Kolegium Nauki Szlachetnej. Nic takiego, po prostu wymóg rządowej parafki. Czasem zwłoka w publikacji artykułu, wysokim czynnikom wydaje się

bowiem, że coś, czego nie rozumieją, musi być zaraz niebezpieczne…! Ograniczy się też nieco swobodę podróżowania, szczególnie, jak się obawiam, panu oraz innym cudzoziemcom bawiącym w naszym kraju. Dopóki trwa stan wojny, dopóty nie będzie panu wolno, o ile się nie mylę, opuszczać bez zgody rektora terenu uczelni. Proszę się tym jednak nie przejmować. Mogę stąd pana wywieźć, gdy tylko pan zechce, bez przechodzenia przez ten cały galimatias.

— Masz klucze — z chytrym uśmieszkiem domyślił się Szevek.

— Och, jestem w tej dziedzinie najwytrawniejszym specjalistą.

Uwielbiam obchodzić przepisy i przechytrzać władze. Może jestem urodzonym anarchistą? Gdzież się, u diabła, podział ten stary dureń, którego posłałem po filiżankę?

Musiał zejść po nią na dół do kuchni.

— Nie trzeba na to aż pół dnia. No cóż, nie będę czekał. Nie chcę panu zabierać reszty poranka. Przy okazji, czy miał pan w ręku ostatni numer Biuletynu Fundacji Badań Kosmicznych! Publikują plany astrografu Reumere'a.

— Co to takiego?

— Coś, co on sam nazywa urządzeniem do komunikacji momentalnej. Powiada, że jeśli tylko temporaliści — chodzi oczywiście o pana — opracują równania czasowej bezwładności, inżynierowie — czyli on — będą w stanie, w przeciągu paru miesięcy czy nawet tygodni, zbudować to urządzonko i wypróbować je, udowadniając przy okazji prawdziwość teorii.

— Inżynierowie są najlepszym dowodem na istnienie odwracalności przyczynowej. Widzisz, Reumere zbudował swój skutek, zanim ja dostarczyłem mu przyczyny. — Znowu się uśmiechnął, tym razem już nie tak przebiegle. Kiedy zaś Pae zamknął za sobą drzwi, zerwał się gwałtownie. — Ty zasrany spekulancki kłamco! — wykrzyknął w swoim ojczystym języku, pobladły z gniewu, zaciskając dłonie w pięści, żeby nie chwyciły czegoś i nie rzuciły tym za Pae.

Wszedł Efor, niosąc tacę z filiżanką i spodkiem. Zatrzymał się, sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

— W porządku, Eforze. On nie… nie chciał filiżanki. Możesz już to zabrać.

— Tak jest, sir.

— Posłuchaj, przez jakiś czas nie chciałbym tu widzieć gości.

Czy mógłbyś nikogo do mnie nie wpuszczać?

— Z łatwością, sir. Czy kogoś szczególnie?

— Tak, jego. Wszystkich. Powiedz, że pracuję.

— Ucieszy się, słysząc to, sir. — Zmarszczki na twarzy Efora rozpłynęły się na chwilę w złośliwym grymasie; następnie dodał z pełną szacunku poufałością: — Nikt, kogo nie życzy pan sobie widzieć,

nie prześlizgnie się obok mnie. — Zakończył zaś tonem należytej oficjalności: — Dziękuję, sir, i życzę dobrego dnia.

Dzięki posiłkowi — i adrenalinie — odtrętwiałość Szeveka ustąpiła. Poirytowany i niespokojny zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju. Chciał coś zrobić. Od blisko roku nie robił nic, nie licząc robienia z siebie głupca. Pora, żeby się do czegoś zabrał.

Po co tu przyjechał?

Żeby uprawiać fizykę. Bronić, siłą swojego talentu, praw obywatela w społeczeństwie: prawa do pracy, do zapłaty za pracę oraz do dzielenia się jej efektami ze wszystkimi, którzy tego chcą. Praw odonianina i praw człowieka.

Jego wspaniałomyślni i opiekuńczy gospodarze pozwolili mu pracować i zapewnili mu utrzymanie na czas pracy, zgoda. Trudności powstają w członie trzecim. Tyle że on jeszcze do tego punktu nie dotarł. Nie skończył swojej pracy. Nie mógł podzielić się czymś, czego nie posiadał.

Zasiadł na powrót za biurkiem i wydobył z najgłębszej i najmniej praktycznej kieszeni obcisłych, eleganckich spodni dwa świstki gęsto zapisanego papieru. Rozprostował je w palcach i począł się w nie wpatrywać. Przyszło mu do głowy, że upodobnił się oto do Sabula, tak jak tamten robiąc oszczędne, skrótowe notatki na strzępkach papieru. Teraz już wiedział, dlaczego Sabul tak czynił: bo był zachłanny i skryty. To, co na Anarres było psychopatią, na Urras — zachowaniem racjonalnym.

Siedział tak nieruchomo, ze zwieszoną głową, gapiąc się na dwa kawałeczki papieru, na których zanotował zasadnicze punkty ogólnej teorii czasu (na ile ją zdołał rozwinąć).

Przesiedział tak trzy następne dni, wpatrzony w dwa małe świstki papieru.

Co jakiś czas wstawał, przechadzał się po pokoju, zapisywał coś, siadał do komputera, prosił Efora, żeby przyniósł mu coś do zjedzenia lub kładł się i zasypiał. Obudziwszy się znowu zasiadał za biurkiem.

Wieczorem trzeciego dnia usiadł dla odmiany na marmurowej ławeczce przy kominku — tej samej, na której siedział pierwszej nocy po wejściu do tej uroczej, więziennej celi i na której zwykł siadywać, kiedy przyjmował gości. W tej chwili nie miał gości.

Myślał o Saio Pae.

Jak wszyscy żądni władzy ludzie, Pae był zaskakująco krótkowzroczny. Jego umysł skażony był jakąś banalnością, lichością; brakowało mu głębi, siły, wyobraźni. Był to instrument w gruncie rzeczy prymitywny. Miał jednak rzeczywiste możliwości, które — acz zdeformowane — nie zanikły. Pae był nadzwyczaj zdolnym fizykiem. A raczej, ściślej rzecz ujmując, miał nadzwyczajne zdolności do fizyki. Nie stworzył niczego oryginalnego, ale jego oportunizm i wyczucie

korzyści kierowały go zawsze ku najbardziej obiecującym dziedzinom. Wiedział, podobnie jak Szevek, w którym miejscu zabierać się do pracy, i Szevek tę jego cechę szanował, podobnie jak cenił ją u siebie, nader to bowiem ważna zaleta naukowca. To właśnie Pae przyniósł mu tłumaczoną z terrańskiego książkę zawierającą wybór tekstów na temat teorii względności, która to idea coraz częściej zaprzątała mu ostatnio myśli. Czy to możliwe, że przyjechał na Urras jedynie po to, by spotkać Saio Pae, swojego wroga? Że przybył tu, aby go poznać, bo przeczuwał, że od wroga może otrzymać to, czego nie dostanie od swoich braci i przyjaciół, to, czego żaden Anarresyjczyk dać mu nie mógł: wiedzy o nieznanym, obcym, nowin…?

Przestał myśleć o Pae. Zamyślił się nad ową książką. Nie potrafił sobie jasno przedstawić, co też w tej publikacji wydało mu się tak stymulujące. Ostatecznie, większość zawartych w niej rozważań fizycznych była przestarzała, metody — toporne, postawa zaś cudzoziemców miejscami nie do przyjęcia. Terranie byli intelektualnymi imperialistami, zazdrosnymi budowniczymi murów. Nawet Ainsetain, ojciec tej teorii, czuł się w obowiązku ostrzec, że jego fizyka stosuje się wyłącznie do zjawisk fizykalnych i nie powinna być odnoszona do metafizyki, filozofii czy etyki. Co, z grubsza biorąc, było oczywiście prawdą; wszak posługiwał się liczbą, tym mostem spinającym racjonalne z postrzeganym, psyche z materią, „Liczbą Bezsporną", jak ją nazywali starożytni założyciele Nauki Szlachetnej. Posługiwać się matematyką w tym sensie znaczyło stosować tryb, który poprzedza i prowadzi do wszystkich pozostałych trybów. Ainsetain miał tego świadomość; z ujmującą ostrożnością wyznawał, że wierzy, iż jego fizyka naprawdę opisuje świat.

Obcość i bliskość — Szevek w każdym drgnieniu terrańskiej myśli odnajdywał to połączenie, nie przestawało go ono fascynować. I budzić sympatii, przecież Ainsetain również szukał jednolitej teorii pola. Wyjaśniwszy siłę grawitacji jako funkcję geometrii czasoprzestrzeni, usiłował objąć tą syntezą również siły elektromagnetyczne. Nie udało mu się to. Już za życia Ainsetaina — i na wiele dekad po jego śmierci — fizycy terrańscy odwrócili się od jego wysiłków i porażek, tropiąc niezwykłe niespójności teorii kwantowej, z jej szerokimi technologicznymi zastosowaniami, aż skupili się na koniec tak całkowicie na trybie technologicznym, że wpadli w ślepy zaułek — katastrofalny upadek wyobraźni. Ich intuicja była wszakże trafna: na etapie, na którym się znajdowali, postęp obiecywała nieoznaczoność, co stary Ainsetain odrzucał. Odrzucał zaś, na dłuższą metę, również nie bez racji. Zabrakło mu tylko narzędzi, by dowieść swego stanowiska — zmiennych Saeby oraz teorii nieskończonej prędkości i złożonej przyczyny. Postulowane przez niego jednolite pole w fizyce ceteńskiej istniało, ale pod takimi jedynie

warunkami, które chyba niechętnie by zaakceptował. Elementem bowiem fundamentalnym jego epokowych teorii była skończona prędkość światła. Obie jego teorie względności były — po tylu wiekach — jak zawsze piękne, ważne i użyteczne, a przecież obie opierały się na hipotezie, której prawdziwości nie sposób było dowieść, której zaś fałszywość (w pewnych okolicznościach) można było wykazać — co też i zrobiono.

Ale czyż teoria, której prawdziwość można by wykazać we wszystkich jej punktach, nie byłaby zwykłą tautologią? Jedyna szansa na wyrwanie się z zaklętego kręgu i pójście naprzód kryła się w obszarach tego, co było nie do udowodnienia, bądź tego nawet, co dawało się obalić.

Czy więc niemożność dowiedzenia hipotezy rzeczywistego współistnienia — zagadnienie, o które Szevek tłukł rozpaczliwie głową przez te trzy dni, w rzeczywistości zaś przez dziesięć ostatnich lat — miała istotnie znaczenie?

Ścigał i usiłował uchwycić pewność, jakby to było coś, co da się posiąść. Żądał bezpieczeństwa, gwarancji, które zapewnione nie są — gdyby były, stałyby się więzieniem. Dopóki jedynie zakładał istotność rzeczywistego współistnienia — pozostawał wolny i mógł posługiwać się owymi cudownymi geometriami względności; posunąć się naprzód będzie można później. Następny krok rysował się całkiem wyraźnie. Współistnienie następstw da się ująć w szeregi transformacyjne Saeby; przy takim podejściu następstwo i obecność nie stanowiły antytez. Zasadnicza jedność punktów widzenia teorii następstw i jednoczesności ukazała się w całej oczywistości; pojęcie interwału służyło połączeniu aspektu statycznego z aspektem dynamicznym wszechświata. Czy to możliwe, aby od dziesięciu lat miał tę oczywistość przed oczami i nie dostrzegał jej? Postąpienie naprzód nie sprawi najmniejszego kłopotu.

W istocie już postąpił naprzód. Doszedł do celu. W tym pierwszym, przypadkowym z pozoru przebłysku metody, który zawdzięczał zrozumieniu cudzej porażki z odległej przeszłości, ujrzał to wszystko, co miało nastąpić potem. Mur runął. Wizja była zarówno przejrzysta, jak całkowita. To, co ujrzał, było proste; najprostsze w świecie. Było samą prostotą. Zawierało zaś w sobie całą złożoność, całą nadzieję. To było objawienie. Jasno wytyczona droga, droga do domu, światło.

Jego dusza była jak dziecko wybiegające na słońce. Nie było kresu, nie było kresu…

Mimo tej nieopisanej łatwości, mimo bezmiernego szczęścia zadrżał z trwogi; trzęsły mu się ręce, a oczy napełniły się łzami, jakby patrzył za długo w słońce. Ostatecznie ciało nie jest przezroczyste. I dziwne to, nadzwyczaj dziwne, gdy człowiek spostrzega, że jego życie

zostało już spełnione.

Nie przestawał jednak patrzeć i zagłębiać się w swoją wizję z dziecięcą radością, aż wtem musiał się zatrzymać, nie mógł posuwać się dalej; zawrócił i rozejrzawszy się wokół siebie przez łzy, stwierdził, że pokój tonie w ciemności, a w wysokich oknach świecą gwiazdy.

Ta chwila minęła. Widział, jak przemija. Nie usiłował jej zatrzymać. Wiedział, że to on jest jej częścią, a nie ona jego. Był przez nią ogarnięty.

Po jakimś czasie podniósł się niepewnie i zapalił lampę. Przez chwilę błąkał się po pokoju, dotykając przedmiotów, opraw książek, abażuru lampy, rad że wrócił między tych starych znajomych, do swojego świata — w tym bowiem momencie różnica pomiędzy tą a tamtą planetą, Urras i Anarres, nie zdawała mu się bardziej znacząca niż różnica między dwoma ziarenkami piasku na morskim brzegu. Nie było już otchłani, nie było już murów. Ani wygnania. Zobaczył fundamenty wszechświata i stwierdził, że były solidne.

Poruszając się wolno i niezbyt pewnie, przeszedł do sypialni i zwalił się w ubraniu na łóżko. Leżał tak z rękami pod głową, przewidując i planując to ten, to ów fragment czekającej go pracy, przepełniony uczuciem uroczystej i radosnej wdzięczności, która rozpływała się z wolna w pogodnym marzeniu, aż w końcu wsiąkła w sen.

Spał dziesięć godzin. Kiedy się obudził, roiły mu się w głowie równania ujmujące ideę interwału. Usiadł przy biurku, żeby je opracować. Po południu miał wykład i wygłosił go. Zjadł kolację w stołówce dla starszych wykładowców i rozmawiał tam z kolegami o pogodzie, wojnie oraz na każdy podniesiony przez nich temat. Jeśli dostrzegli w nim jakąś zmianę, nie zauważył tego, bo w gruncie rzeczy nie bardzo zdawał sobie sprawę z ich obecności.

Wrócił do swojego pokoju i pogrążył się w pracy.

Urrasyjczycy dzielili dobę na dwadzieścia godzin. Przez osiem dni spędzał od dwunastu do szesnastu godzin dziennie za biurkiem bądź krążył po pokoju, zwracając często swoje jasne oczy ku oknom, za którymi w ciągu dnia świeciło ciepłe, wiosenne słońce, a nocą gwiazdy i płowy, ubywający Księżyc.

Kiedy któregoś ranka Efor przyniósł mu na tacy śniadanie, zastał go leżącego na łóżku z zamkniętymi oczami, na wpół ubranego, mamroczącego coś w obcym języku. Obudził go. Szevek ocknął się spłoszony, po czym wstał i powlókł się do drugiego pokoju.

Biurko było do czysta wysprzątane; spojrzał na komputer, którego pamięć została skasowana i stał jak człowiek zdzielony po głowie, który jeszcze o tym nie wie. Służący zdołał go nakłonić, by się z powrotem położył.

— Pan ma gorączkę, sir. Czy wezwać doktora?

— Nie!

— Czy jest pan pewien, sir?

— Całkowicie! Nie wpuszczaj tu nikogo. Powiedz, że jestem chory, Eforze.

— Wtedy już na pewno przyślą panu lekarza. Powiem, że pan pracuje, sir. Oni to radzi słyszą.

— Wychodząc zamknij mnie na klucz — polecił Szevek.

Jego nieprzezroczyste ciało sprawiło mu zawód; osłabiony z powodu zmęczenia był rozdrażniony i zalękniony. Lękał się Pae, Oiie, policyjnej rewizji. Wszystko, co słyszał i przeczytał — jedynie w połowie to rozumiejąc — o urrasyjskiej (tajnej) policji, żywo i w całym swoim okropieństwie stanęło mu przed oczami, tak jak człowiekowi, który dopuściwszy do siebie myśl o chorobie, przypomina sobie zaraz wszystko, co przeczytał na temat raka. Gorączkowym, niespokojnym spojrzeniem obrzucił Efora.

— Mnie pan może zaufać — zapewnił go służący na swój ściszony, suchy, usłużny sposób. Przyniósł Szevekowi szklankę wody, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Przez następne dwa dni opiekował się Szevekiem z taktem, który niewiele miał do zawdzięczenia wyszkoleniu na sługę.

— Powinieneś zostać lekarzem, Eforze — stwierdził Szevek, kiedy już ustąpiło nieprzyjemne wycieńczenie, a pozostało jedynie osłabienie fizyczne.

— Tak też powiada moja stara. Za nic nie chce, żeby jej kto inny niż ja doglądał, kiedy najdzie ją chandra. „Ty masz do tego smykałkę” — mówi. Ja myślę.

— Zajmowałeś się kiedyś chorymi?

— Nie, sir. Już ja się wolę trzymać od szpitali z dala. Czarny to będzie dzień, kiedy przyjdzie mi zdychać w jednej z tych nor.

— Co widzisz takiego złego w szpitalach?

— Nic, sir, ale też do żadnego z nich nie zawieźliby pana, gdyby się panu pogorszyło — wyjaśnił uprzejmie Efor.

— O jakich więc mówisz?

— O naszych. Brud, smród i ubóstwo. Jak w dupie śmieciarza — powiedział obojętnie, opisowo. — Stare. Dzieciak mi w takiej jednej norze umarł. W podłodze dziury, wielgachne, słońce prześwituje, pan rozumie? Pytam się ich: „Co to jest?” Szczury tam włażą prosto do łóżek. Mówią mi: „stary budynek, służy za szpital ze sześćset lat”. Zakład Boskiej Harmonii dla Ubogich się nazywa.

Zasrana dziura.

— Twoje dziecko zmarło w takim szpitalu?

— Tak, sir, moja córka, Laia.

— Na co umarła?

— Zastawka w sercu. Tak powiedzieli. Nie pożyła długo. Dwa

latka miała, jak umarła.

— Masz inne dzieci?

— Żadne nie żyje. Troje mi się urodziło. Cios dla mojej starej.

Ale teraz tak mówi: „Ano, przynajmniej nie musi o nie człowieka serce boleć, tyle choć tej pociechy!” Czy mogę panu jeszcze czymś służyć?

Ten nagły zwrot ku mowie wyższych sfer wstrząsnął Szevekiem; burknął ze zniecierpliwieniem:

— Tak! Mów dalej.

Być może dlatego, że Szevek powiedział to odruchowo, a może że był chory i nie należało psuć mu nastroju, Efor tym razem nie był tak oficjalny.

— Kiedyś myślałem, żeby iść na wojskowego lekarza — powiedział — ale capnęli mnie pierwsi. Pobór. „Ordynans — mówią — zostaniesz ordynansem”. No i zostałem. Dobra służba, ordynans.

Prosto z wojska panom poszłem służyć.

— A to w wojsku mógłbyś się wyszkolić na lekarza?

Potoczyła się rozmowa. Śledzenie jej przychodziło Szevekowi z trudem, tak z powodu trudności językowych, jak nieznajomości realiów. Dowiadywał się o rzeczach, jakich w swoim życiu nie doświadczył. Nigdy nie widział szczura, wojskowych koszar, szpitala dla wariatów, przytułku dla biednych, lombardu, egzekucji, złodzieja, czynszowej kamienicy, poborcy czynszu, bezrobotnego, który nie może znaleźć pracy, ani zwłok dziecka w rowie. Wszystko to istniało we wspomnieniach Efora jako zdarzenia banalne, powszednie okropności. Szevek musiał wytężać wyobraźnię i przywoływać w pamięci całą swoją wiedzę o Unras, by móc to wszystko w ogóle pojąć. Ale ponieważ były to rzeczy bardziej mu znane od wszystkiego, co tu dotąd widział, więc je zrozumiał.

To była ta Urras, o której uczył się w szkole na Anarres. Świat, z którego uciekli jego przodkowie, przedkładając nad niego głód, pustynię i wieczne wygnanie. To był ten świat, który ukształtował poglądy Odo i osiem razy zamykał ją w więzieniu za głoszenie ich. To ludzkie cierpienie, w którym tkwiły korzeniami ideały jego społeczeństwa: grunt, z którego wyrosły.

Co nie znaczy, że to właśnie była „prawdziwa Urras”. Dostojność i piękno pokoju, w którym przebywali z Eforem, były równie rzeczywiste, co nędza, w której się tamten urodził. Zadaniem człowieka myślącego nie było, według Szeveka, zaprzeczanie jednej rzeczywistości kosztem drugiej, ale uwzględnianie i łączenie ich obu. Nie było to łatwe.

— Znowu wygląda mi pan na zmęczonego, sir. Proszę lepiej odpocząć.

— Nie, wcale nie jestem zmęczony.

Efor przypatrywał mu się przez chwilę. Kiedy pełnił funkcję służącego, jego pomarszczona, gładko wygolona twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Podczas ostatniej zaś godziny Szevek obserwował niezwykłe na niej przemiany: była to surowa, to wesoła, cyniczna, to znów malowało się na niej cierpienie. Obecnie odbijała się na niej sympatia, ale i rezerwa.

— Niepodobne to do kraju, z którego pan przybył — zaryzykował Efor.

— Absolutnie.

— Tam u was nikt nie pozostaje bez pracy.

W jego głosie odezwała się lekka ironia, a może tylko pytanie.

— Rzeczywiście nikt.

— I nikt nie chodzi głodny?

— Nikt nie chodzi głodny, jeśli inni mają co jeść.

— Aha.

— Ale i my zaznaliśmy głodu. Cierpieliśmy głód. Osiem lat temu przeżyliśmy suszę. Słyszałem o kobiecie, która zabiła własne dziecko, bo wysechł jej pokarm w piersiach i nie miała co dać dziecku do jedzenia. Widzisz, Eforze, Anarres nie jest… nie jest krainą mlekiem i miodem płynącą.

— Nie wątpię w to, sir — przytaknął Efor z owym dziwnym u niego nawrotem do języka usłużnej grzeczności; po czym dodał z gniewnym grymasem, ukazując zęby: — A jednak nie ma tam żadnego z nich!

— Z nich?

— Pan wie, panie Szevek. Jak to pan raz powiedział. Posiadaczy.

Wieczorem następnego dnia odwiedził Szeveka Atro. Pae musiał czatować gdzieś w pobliżu, bo w kilka minut po wejściu staruszka, którego Efor wpuścił, wślizgnął się do pokoju i zaczął wypytywać z ujmującym współczuciem o niedyspozycję gospodarza.

— Przez ostatnich parę tygodni zanadto się pan przepracowywał — westchnął — nie powinien się pan tak przemęczać.

Nie usiadł i, uosobienie dobrych manier, szybko się oddalił.

Atro opowiadał o wojnie w Benbili, która — jak to ujął — przybierała rozmiary „operacji na wielką skalę".

— Czy ludzie w tym kraju akceptują tę wojnę? — zapytał Szevek, przerywając starcowi tym pytaniem wykład o strategii. Zdumiewał go całkowity brak oceny moralnej w poświęconych wojnie artykułach gazet brukowych. Porzuciły one ton świętego oburzenia; ich sformułowania przypominały wypisz, wymaluj wydawane przez rząd telefaksowe biuletyny.

— Czy akceptują? Chyba nie sądzisz, że będziemy siedzieli z założonymi rękami i pozwolimy po sobie deptać tym cholernym

Thuwianczykom? Tu idzie o nasz status światowego mocarstwa!

— Miałem na myśli ludzi, nie rząd. Ludzi, którzy… którzy zmuszeni są walczyć.

— A co oni mają do tego? Przywykli do powszechnych mobilizacji. Po to są, mój drogi chłopcze! Żeby walczyli za swój kraj.

I dowiedz się, że nie ma na świecie bitniejszego żołnierza od ajońskiego szeregowca, gdy go się raz wdroży do posłuchu. W pokojowych czasach będzie ci taki głosił czułostkowy pacyfizm, ale duch w nim siedzi hartowny. Pospolity żołnierz był zawsze naszym największym narodowym skarbem. To dzięki niemu doszliśmy do obecnej przywódczej roli.

— Wspinając się po trupach dzieci? — zapytał Szevek, ale gniew, a może i nieświadoma niechęć do ranienia uczuć starego człowieka, stłumiły mu głos, i Atro nie dosłyszał pytania.

— Nie — ciągnął Atro — gdy kraj w potrzebie, dusza ludu dźwięczy oddaniem czystym jak stal. Między wojnami paru mąciwodów w Nio i miastach fabrycznych gardłuje ci na potęgę, ale serce rośnie, gdy widzisz, jak naród zwiera szeregi, kiedy sztandar w niebezpieczeństwie. Wiem, że przyznajesz to niechętnie. Widzisz, mój drogi chłopcze, kłopot z odonizmem polega na tym, że to filozofia babska. Nie uwzględnia po prostu męskiej strony życia.

„Krew i stal to bitwy blask" — jak mówi dawny poeta. Odonizm nie ma zrozumienia dla odwagi — dla miłości sztandaru.

Szevek milczał chwilę, po czym rzekł łagodnie:

— To może być po części prawda. Jakkolwiek by było, my nie mamy sztandarów.

Po odejściu Atro zjawił się Efor, żeby zabrać tacę po kolacji.

Szevek zatrzymał go.

— Przepraszam, Eforze — powiedział, podszedłszy doń blisko, a następnie położył na tacy kawałek papieru, na którym napisał:

„Czy w tym pokoju jest podsłuch?"

Służący pochylił głowę i czytał powoli, potem podniósł na Szeveka wzrok i długo się weń z bliska wpatrywał. Następnie wskazał oczami kominek.

— A w sypialni? — badał dalej Szevek, posługując się tym samym środkiem porozumienia.

Efor pokręcił głową, odstawił tacę i poszedł za Szevekiem do sypialni. Bezszelestnie, jak przystało na dobrego sługę, zamknął za sobą drzwi.

— Tamten wypatrzyłem zaraz pierwszego dnia, jakem ścierał kurze — pochwalił się z uśmiechem, który zmarszczki na jego twarzy pogłębił w surowe bruzdy.

— A tu żadnego nie ma?

Efor wzruszył ramionami.

— Nic nie wykryłem. Możemy puścić tam wodę, sir, jak to robią w powieściach szpiegowskich.

Przeszli do wspaniałej, kapiącej od złota i kości słoniowej świątyni sracza. Efor odkręcił krany i prześlizgnął się wzrokiem po ścianach.

— Nie — ocenił — nie wydaje mi się. Potrafię wykryć każdą pluskwę. Napatrzyłem się na nie, jakem pracował u jednego pana w Nio. Nie sposób ich przegapić, jak sieje raz widziało.

Szevek wyjął z kieszeni inny kawałek papieru i pokazał go Eforowi.

— Nie wiesz, skąd to się wzięło?

Był to ów skrawek, który znalazł w kieszeni palta: „Przyłącz się do nas, swych braci".

Efor czytał powoli, poruszając wargami; po chwili rzekł:

— Nie wiem, sir.

Szevek poczuł rozczarowanie. Wydawało mu się, że to właśnie Efor mógłby najłatwiej wsunąć coś do kieszeni swojego „pana".

— Domyślam się tylko, od kogo to może pochodzić.

— Od kogo? Jak mogę się z nimi skontaktować?

Kolejna pauza.

— To niebezpieczne, panie Szevek — ostrzegł sługa.

Odwrócił się i puścił z kranów silniejszy strumień wody.

— Ciebie nie myślę w to mieszać. Gdybyś mógł mi tylko powiedzieć, tylko dokąd mam się udać. O co pytać. Choćby jedno nazwisko.

Jeszcze dłuższa pauza. Twarz Efora skurczyła się i stężała.

— Ja nie… — zaczął i urwał. Aż nagle wyrzucił z siebie ściszonym do szeptu głosem: — Pan posłucha, panie Szevek, Bóg widzi, że im na panu zależy, że pana potrzebujemy, ale niech pan posłucha, pan nie wie, jak tu jest. W jaki sposób chce się pan ukryć?

Człowiek taki jak pan? Z pańskim wyglądem? Tu jest pan w pułapce, ale gdzie indziej też pan będzie w pułapce. Może pan uciec, ale nie zdoła się pan ukryć. Nie wiem, co mam panu powiedzieć.

Podać panu nazwiska, proszę. Niech pan spyta pierwszego lepszego Niotyjczyka, on panu powie, dokąd iść. My już mamy dość. Potrzebujemy powietrza, żeby odetchnąć. Ale złapią pana, rozstrzelają — i jak ja się będę czuł? Pracuję u pana od ośmiu miesięcy, polubiłem pana. Podziwiam pana. Tamci mnie cały czas naciskają. A ja im mówię: Nie. Zostawcie go w spokoju. To dobry człowiek i nic mu do naszych bied. Niech wraca tam, skąd przyjechał, gdzie ludzie są wolni. Niech choć jeden wyjdzie wolno z tego przeklętego więzienia, w którym żyjemy.

— Ja nie mogę wrócić. Jeszcze nie teraz. Chcę się spotkać z tymi ludźmi.

Efor stał w milczeniu. Wreszcie, sprawił to może nawyk służącego, człowieka, którego życie wdrożyło do posłuchu, kiwnął głową i powiedział szeptem:

— Tuio Maedda, jego pan potrzebuje. Zaułek Dowcip na Starym Mieście. Sklepik spożywczy.

— Pae twierdzi, że nie wolno mi opuszczać campusu. Mogą mnie zatrzymać, gdy zobaczą, jak wsiadam do pociągu.

— Można by taksówką — podsunął Efor. — Sprowadzę ją panu, a pan tylko zejdzie po schodach. Znam tu jednego taksówkarza z postoju, Kae Oimona. Ma głowę nie od parady. Ale sam nie wiem.

— Dobra. Pośpiesz się. Pae tylko co tutaj był, widział mnie, sądzi, że nie wychodzę z pokoju, bo jestem chory. Która godzina?

— Wpół do ósmej.

— Jeśli wyjadę zaraz, będę miał całą noc na znalezienie tego, kogo szukam. Sprowadź taksówkę, Eforze.

— Spakuję panu torbę, sir…

— Torbę? Po co?

— Będzie panu potrzebne ubranie…

— Mam je na sobie! Pośpiesz się.

— Nie może pan jechać tak bez niczego — powiedział służący.

Zamiar Szeveka, by jechać bez bagażu, wprawił go w większe niż cokolwiek dotąd zmieszanie i wzburzenie. — Czy ma pan pieniądze?

— A prawda. Powinienem je wziąć.

I Szevek już był gotów do drogi. Efor, nachmurzony i sposępniały, podrapał się w głowę, wyszedł jednak do holu, by zatelefonować po taksówkę. Kiedy wrócił, Szevek czekał już w płaszczu przy drzwiach.

— Niech pan zejdzie na dół — powiedział Efor z niechęcią. — Kae będzie czekał za pięć minut przy tylnym wyjściu. Niech mu pan każe jechać Zagajnikową, tam nie będzie kontroli, jak przy głównej bramie. Nie wyjeżdżajcie bramą, tam by pana pewnikiem zatrzymali.

— Czy nie oskarżą cię aby o współudział?

Mówili obaj szeptem.

— Nie zauważyłem, jak pan wychodził. Rano powiem, że pan jeszcze nie wstał. Że jeszcze pan śpi. Zatrzymam ich trochę.

Szevek wziął go za ramiona, objął, uścisnął mu rękę.

— Dziękuję, Eforze!

— Życzę powodzenia — mruknął tamten zakłopotany.

Szeveka już jednak nie było.

Kosztowny dzień z Veą pozbawił go większości gotówki, przejażdżka taksówką do Nio uszczupliła jego zasób o dalsze dziesięć jednostek. Wysiadł przy jakiejś dużej stacji metra i — posługując się swoim planem — odszukał drogę kolejką podziemną do Starego Miasta, rejonu stolicy, w którym dotąd nie był. Zaułka Dowcip na mapie nie znalazł, wysiadł więc na głównym staromiejskim

przystanku. Wyszedłszy z przestronnej marmurowej stacji na ulicę, przystanął jak wryty. W niczym nie przypominała Nio Esseii.

Mżyło, było już prawie ciemno, latarnie nie paliły się. Nie zapalono ich, a może były stłuczone. Przez szpary zamkniętych okiennic przeciskały się tu i ówdzie pasemka żółtego światła. Z otwartych drzwi w głębi ulicy, przy których skupiła się gromadka rozmawiających głośno mężczyzn, padała smuga światła. Na mokrym od deszczu chodniku walały się odpadki i strzępki papierów. Witryny sklepów, na ile mógł je dojrzeć, były niskie, opatrzone ciężkimi metalowymi lub drewnianymi okiennicami — prócz jednej, wypalone} przez ogień, która ziała czarną jamą, szczerząc tkwiące w futrynach potłuczonych okien szklane zęby. Przechodnie przypominali ciche, przemykające spiesznie cienie.

Jakaś stara kobieta wyszła za nim po schodach, obrócił się więc, by zapytać ją o drogę. W blasku żółtej kuli oznaczającej wejście do metra dojrzał wyraźnie jej twarz: była blada i pomarszczona, zmęczone oczy patrzyły martwo i nieprzyjaźnie. Z trudem pięła się po schodach, zgarbiona zmęczeniem, zapaleniem stawów albo jakąś wadą kręgosłupa. A przecież nie była stara, jak mu się w pierwszej chwili zdawało; nie miała nawet trzydziestu lat.

— Czy możesz mi powiedzieć, jak dojść na ulicę Dowcip? — zapytał zacinając się.

Obrzuciła go obojętnym spojrzeniem, osiągnąwszy zaś szczyt schodów, przyśpieszyła kroku i wyminęła go bez słowa.

Zapuścił się na chybił trafił w głąb ulicy. Podniecenie wywołane z nagła podjętą decyzją i ucieczką z Ieu Eun ustąpiło miejsca lękowi, uczuciu ściganego i tropionego zwierzęcia. Obszedł z daleka stojących przed bramą mężczyzn, instynkt ostrzegł go bowiem, że pojedynczemu obcemu lepiej się nie zbliżać do takich grupek.

Dostrzegłszy idącego przed nim samotnego mężczyznę, zrównał się z nim i spytał o drogę.

— Nie wiem — odburknął tamten i poszedł w swoją stronę.

Nie pozostawało nic innego, jak dążyć przed siebie. Doszedł do jakiejś lepiej oświetlonej przecznicy, która posępną, przyćmioną krzykliwością świetlnych szyldów i reklam rozmywała się w prawo i w lewo w mżystej plusze. Mieściły się przy niej liczne winiarnie i lombardy, niektóre były jeszcze otwarte. Panował spory ruch; ludzie potrącali się, wchodzili do winiarni, wytaczali się z nich. Jakiś człowiek — śpiący, chory, martwy? — leżał w rynsztoku na deszczu, paltem okrywszy głowę. Szevek przyglądał mu się, a potem przechodzącym obojętnie ludziom ze zgrozą.

Kiedy tak stał jak sparaliżowany, zatrzymał się obok niego i zajrzał mu w twarz jakiś niski, zarośnięty mężczyzna w wieku pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat o przekrzywionej szyi i

zaczerwienionych oczach. Stał i śmiał się głupkowato bezzębnymi ustami z wielkiego, przerażonego mężczyzny, wytykając go trzęsącą się ręką.

— Skądżeś pan wytrzasnął takie kudły, he, he, he?! Skądżeś pan wytrzasnął takie kudły? — bełkotał.

— Czy… czy możesz mi powiedzieć, jak dojść na ulicę Dowcip?

— Jasne, dowcipkuję, dowcipkuję. Tylko nie dowcipkuję, że bankrutuję. Nie masz pan pieniążka na kieliszeczek w taką zimną noc? Na pewno znajdziesz pan jakiś malutki pieniążek.

Przysunął się bliżej. Szevek cofnął się; widział wyciągniętą rękę, lecz nie pojmował, co ona oznacza.

— Kup dowcip, łaskawy panie, za jeden maluśki pieniążek — mamrotał mężczyzna, bez tonu groźby czy błagania, uśmiechając się głupkowato rozdziawionymi ustami i wyciągając rękę.

Szevek zrozumiał. Pogrzebał w kieszeni, znalazł ostatnią monetę, wetknął ją w dłoń żebraka, po czym, przeniknięty chłodem ze strachu, strachu nie o siebie, przecisnął się obok zarośniętego mężczyzny, mamroczącego coś i próbującego uchwycić się jego płaszcza, i ruszył w stronę najbliższych otwartych drzwi. Zawieszony nad nimi szyld obwieszczał: Zastaw i Rzeczy Używane Najwyższej Jakości. Wszedł do środka i — stanąwszy wśród półek ze znoszonymi paltami, butami, szalikami, powgniatanymi instrumentami, stłuczonymi lampami, dziwacznymi naczyniami, puszkami, łyżkami, paciorkami, szczątkami i fragmentami, z których każdy oznaczony był ceną — spróbował się opanować.

— Szuka pan czegoś?

Po raz kolejny zadał pytanie o drogę.

Sklepikarz, ciemnowłosy mężczyzna wzrostu Szeveka, tyle że zgarbiony i chudy jak patyk, obrzucił go badawczym spojrzeniem.

— Po co się pan tam wybiera?

— Szukam pewnego człowieka, który tam mieszka.

— Skąd pan jest?

— Muszę się dostać na tę ulicę, na ulicę Dowcip. Czy to daleko?

— Skąd pan jest, jeśli wolno spytać?

— Jestem z Anarres, z Księżyca — odparł gniewnie Szevek. — Muszę się dostać na ulicę Dowcip, zaraz, niezwłocznie.

— To pan jest nim? Tym naukowcem? Co pan tu, u licha, robi?

— Uciekam przed policją! Doniesiesz im, że tu jestem, czy mi pomożesz?

— Cholera — mruknął tamten. — Jasna cholera! Słuchaj pan… — Zawahał się, zbierał się, żeby powiedzieć jedno, potem drugie, na koniec rzeki: — Niech pan stąd idzie — po czym, tym samym tchem, z całkiem jednak odmiennym najwyraźniej postanowieniem, zakończył: — Dobra. Zamykam. Zaprowadzę pana. Zaczekaj pan.

Cholerny świat!

Zakrzątnął się na tyłach sklepu, zgasił światło, po czym wyszedł z Szevekiem na ulicę opuścił i zamknął metalowe żaluzje, zamknął na kłódkę drzwi i ze słowami:

— Chodź pan! — ruszył ostrym krokiem.

Przebyli ze dwadzieścia lub trzydzieści kwartałów, zapuszczając się coraz głębiej w labirynt krętych uliczek i zaułków w sercu Starego Miasta. Mżawka padała miękko w rozświetlonej nieregularnie ciemności, przynosząc woń zgnilizny, zapach mokrego kamienia i metalu. Skręcili w nie oświetlony zaułek bez tabliczki z nazwą, wciśnięty między wysokie stare kamienice, których parter zajmowały przeważnie sklepy. Przewodnik Szeveka zatrzymał się i zastukał w okiennicę jednego z nich: V. Maedda, Towary Delikatesowe. Po dobrej chwili drzwi otwarły się. Lichwiarz poszeptał z osobą, która im otworzyła, wskazał na Szeveka, po czym obaj weszli do środka. Otworzyła im jakaś dziewczyna.

— Tuio jest na zapleczu, chodźcie — powiedziała, spoglądając badawczo na Szeveka w nikłym świetle padającym z sieni. — Więc to pan? — zapytała stłumionym, natarczywym głosem. Uśmiechnęła się dziwnie. — To naprawdę pan?

Tuio Maedda okazał się ciemnowłosym mężczyzną po czterdziestce o napiętej, myślącej twarzy. Gdy weszli, zamknął książkę, w której coś zapisywał, i podniósł się szybko. Przywitał się z lichwiarzem po imieniu, nie odrywając oczu od Szeveka.

— Przyszedł do mojego sklepu, Tuio, i pytał o drogę tutaj. Powiada, że jest tym… no wiesz, tym gościem z Anarres.

— To naprawdę pan? — zapytał wolno Maedda. — Szevek, co pan tu robi? — Wpatrywał się w przybysza zalęknionymi, błyszczącymi oczami.

— Szukam pomocy.

— Kto pana do mnie przysłał?

— Pierwszy człowiek, którego spytałem. Nie wiem, kim jesteś.

Zapytałem go, do kogo mógłbym się zwrócić, powiedział, żebym przyszedł do ciebie.

— Czy ktoś jeszcze wie, że pan tu jest?

— Oni jeszcze nie wiedzą, że uciekłem. Dowiedzą się jutro.

— Sprowadź Remeiviego — polecił Maedda dziewczynie. — Niech pan siada, panie Szevek. Proszę mi opowiedzieć, o co chodzi.

5zevek usiadł na zydlu, nie rozpinając jednak płaszcza. Trząsł się ze zmęczenia.

— Uciekłem — powiedział. — Z uniwersytetu, z więzienia. Nie wiem, dokąd pójść. Może tu wszystko jest więzieniem. Przyszedłem tutaj, bo tamci mówili coś o warstwach niższych, o klasie pracującej, i pomyślałem sobie, że to mi przypomina mój naród. Ludzi, którzy sobie

wzajemnie pomagają.

— Jakiej pomocy pan szuka?

Szevek spróbował wziąć się w garść. Rozejrzał się po ciasnym, zagraconym kantorze i zatrzymał wzrok na Maeddzie.

— Mam coś, na czym im zależy — powiedział. — Ideę. Teorię naukową. Przybyłem tu z Anarres, gdyż sądziłem, że tutaj będę mógł nad nią pracować i ogłosić ją. Nie zdawałem sobie sprawy, że u was idee są własnością państwa. Ja nie pracuję dla państwa. Nie mogę przyjmować pieniędzy i rzeczy, które mi dają. Chcę się stamtąd wyrwać. A nie mogę wrócić do domu. Przyszedłem więc tutaj.

Ty nie potrzebujesz mojej wiedzy i może również nie lubisz swego rządu.

Maedda uśmiechnął się.

— Nie. Nie lubię. Ale i nasz rząd zbytnio za mną nie przepada.

Pod nie najbezpieczniejszy zgłosił się pan adres, tak dla pana, jak i dla nas… Ale proszę się nie obawiać. Jakoś to będzie; zastanowimy się, co zrobić.

Szevek wyjął kartkę, którą znalazł w kieszeni palta, i podał ją Maeddzie.

— To mnie sprowadziło. Czy to od kogoś, kogo znasz?

— ”Przyłącz się do nas, swych braci…” Nie wiem. Możliwe.

— Czy jesteście odonianami?

— Częściowo. Syndykalistami, liberałami. Współpracujemy z Thuwiańczykami, z Socjalistycznym Związkiem Robotniczym, choć jesteśmy przeciwnikami centralizmu. Widzi pan, zjawia się pan u nas w dosyć gorącym momencie.

— Wojna?

Maedda skinął głową.

— Na trzeci dzień od dzisiaj zapowiedziano demonstrację. Przeciwko poborowi, podatkom wojennym, wzrostowi cen żywności.

W Nio Esseii jest czterysta tysięcy bezrobotnych, a oni podnoszą podatki i ceny. — Przez cały czas rozmowy nie spuszczał z Szeveka oczu; teraz, jakby badanie zostało zakończone, odwrócił wzrok — i odchylił się na oparcie krzesła. — Miasto gotowe jest już prawie na wszystko. To, czego nam trzeba, to strajk, strajk powszechny i masowe demonstracje. Jak kierowany przez Odo Strajk Dziewiątego Miesiąca — dodał z cierpkim, wymuszonym uśmiechem. — Przydałaby się nam teraz nowa Odo. Tylko że oni nie mają już Księżyca, aby nas przekupić. Zaprowadzimy sprawiedliwość tu albo nigdzie… — Popatrzył na Szeveka, po czym dodał łagodniejszym już głosem: — Czy pan zdaje sobie sprawę, czym było dla nas wasze społeczeństwo przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat? Czy pan wie, w jakich słowach życzą tu sobie ludzie szczęścia? „Obyś się po raz drugi urodził na Anarres!” Wiedzieć, że ono istnieje — że istnieje

społeczeństwo bez rządu, policji, ekonomicznego wyzysku i że nie będą już nam mogli wmawiać, że to tylko miraż, marzenie idealistów! Ciekaw jestem, czy pan zdaje sobie dobrze sprawę, dlaczego oni tak skrzętnie ukrywali pana w Ieu Eun, doktorze Szevek? Dlaczego nie pozwolili się panu nigdy zjawić na publicznym zgromadzeniu? Dlaczego rzucą się za panem w pościg jak psy za królikiem, ledwie odkryją pana zniknięcie? Nie dlatego, że mają chrapkę na tę pańską ideę. Przede wszystkim dlatego, że pan sam jest ideą. Ideą groźną. Wcieloną ideą anarchizmu. Chodzącą między nami.

— Masz więc swoją Odo — stwierdziła cichym, natrętnym głosem dziewczyna; wróciła w trakcie monologu Maeddy. — Ostatecznie, Odo to tylko idea. A doktor Szevek — namacalny dowód.

Maedda milczał chwilę.

— Dowód nie do przedstawienia — orzekł.

— Czemuż to?

— Jeśli o tym, że on tu jest, dowiedzą się ludzie, dowie się i policja.

— Niech więc przyjdą i spróbują go zabrać — powiedziała dziewczyna i uśmiechnęła się.

— Demonstracja ma zostać przeprowadzona bez uciekania się do przemocy — z gwałtowną porywczością w głosie przypomniał Maedda. — Zgodził się na to nawet SZR!

— Ale ja się na to nie zgodziłam. Nie pozwolę, żeby czarne płaszcze zmasakrowały mi twarz albo rozwaliły głowę. Jeśli mnie zaatakują, będę się broniła.

— Przyłącz się do nich, skoro pochwalasz ich metody. Sprawiedliwości nie osiąga się siłą!

— A władzy nie osiąga się biernością.

— My nie chcemy władzy. My chcemy skończyć z władzą! Co pan na to? — zwrócił się Maedda do Szeveka. — „Środki są celem” — Odo głosiła to przez całe swoje życie. Pokój osiąga się tylko pokojowymi środkami, sprawiedliwości dochodzi się tylko sprawiedliwymi czynami! Nie możemy się w przededniu akcji różnić w tym punkcie!

Szevek przeniósł wzrok z niego na dziewczynę, a potem na właściciela lombardu, który stał w drzwiach i w napięciu przysłuchiwał się rozmowie. Po czym odezwał się zmęczonym, przyciszonym głosem:

— Jeśli mogę się wam na coś przydać, wykorzystajcie mnie.

Może mógłbym ogłosić oświadczenie na ten temat w jednej z waszych gazet. Nie przybyłem na Urras po to, żeby się ukrywać. Jeśli wszyscy dowiedzą się, że tu jestem, może rząd nie ośmieli się zaaresztować mnie publicznie? Nie wiem.

— Słusznie! — zawołał Maedda. — Oczywiście. — W jego czarnych oczach płonęło podniecenie. — Gdzież, u licha, podziewa się

ten Remeivi? Siro, leć do jego siostry, powiedz jej, żeby go odszukała i przysłała tutaj. Niech pan napisze, po co pan tutaj przyjechał — zwrócił się do Szeveka — niech pan napisze o Anarres, niech pan napisze, dlaczego nie zaprzeda się pan rządowi, niech pan napisze, co pan chce — my to wydrukujemy. Siro! Zawołaj też Meisthe.

Ukryjemy pana, ale, na Boga, dopilnujemy, żeby wszyscy w A-Io dowiedzieli się, że pan jest tutaj, że pan jest z nami! — Słowa potokiem wypływały mu z ust, wymachiwał rękami, chodząc nerwowo w tę i z powrotem po izbie. — A potem, po demonstracji, po strajku, zobaczymy. Może wszystko się do tego czasu zmieni! Może nie będzie się pan już musiał ukrywać!

— Może otworzą się drzwi wszystkich więzień — dopowiedział Szevek. — Dobrze, dajcie mi kawałek papieru, będę pisał.

Podeszła do niego Siro. Zatrzymała się z uśmiechem, jak gdyby mu się kłaniała, z lekka spłoszona, uroczysta, i pocałowała go w policzek; po czym wyszła. Dotkniecie jej warg było chłodne, długo je czuł na policzku.

Jeden dzień przesiedział na strychu jakiejś kamieniczki przy zaułku Dowcip, dwie noce i dzień spędził w piwnicy pod sklepem z używanymi meblami — w dziwnym, mrocznym pomieszczeniu zagraconym ramami luster i połamanymi łóżkami. Pisał. Po kilku godzinach przyniesiono mu to, co napisał, już wydrukowane: najpierw w gazecie Współczesność, potem — kiedy Współczesność zamknięto, a jej redaktorów aresztowano — na ulotkach odbijanych na podziemnej prasie, razem z planami i wezwaniami do demonstracji i strajku powszechnego. Nie czytał tego, co napisał. Jednym uchem słuchał Maeddy i jego towarzyszy, opisujących entuzjazm, z jakim przyjęto jego słowa, rosnące poparcie dla planów strajku, przewidujących wrażenie, jakie jego obecność na manifestacji uczyni w świecie. Gdy zostawał sam, wyjmował czasem z kieszeni koszuli swój mały notes i wpatrywał się w zaszyfrowane zapiski i równania ogólnej teorii czasu. Wpatrywał się w nie i nie potrafił ich odczytać. Nie rozumiał ich. Odkładał notes, siedział i ściskał rękami głowę.

Anarres nie miała flagi, którą by można powiewać; wśród plakatów ogłaszających strajk powszechny, pośród niebieskich i białych szturmówek syndykalistów i Socjalistycznego Związku Robotniczego, pojawiło się także niemało domowego wyrobu transparentów z zielonym Kołem Życia — starym, dwieście lat liczącym symbolem Ruchu Odonian. Wszystkie te flagi i transparenty jaśniały buńczucznie „w słońcu.

Po okresie ukrywania się w pomieszczeniach z zamkniętymi drzwiami dobrze było znaleźć się znowu na dworze. Maszerować, kołysać ramionami, oddychać czystym powietrzem wiosennego poranka. Obecność wśród tylu ludzi, tak ogromnego tłumu,

kroczących razem tysiącznych rzesz — wypełniających nie tylko szeroką arterię, którą maszerowali, ale i wszystkie boczne ulice — napawała go lękiem, ale i radością. Gdy zaś zagrzmiał śpiew — zarówno lęk, jak i radość zmieniły się w ślepe uniesienie; w oczach stanęły mu łzy. To zlanie się tysięcy głosów w jedną pieśń, bijącą z gardzieli ulic, rozlewającą się w otwartej przestrzeni, rozbrzmiewającą w oddali zatartym echem, wzruszało go do głębi. Odległość, jaką musiał pokonać dźwięk, rozłamywał śpiew na ten dochodzący od czoła pochodu — daleko w przodzie — i na ten wznoszony przez nieprzebrane, kroczące z tyłu tłumy, tak że pieśń zdawała się wciąż opóźniać i nawiązywać do siebie, niczym polifoniczny kanon, i wszystkie jej zwrotki śpiewane były jednocześnie, choć każdy ze śpiewających odśpiewywał ją po kolei, od początku do końca.

Szevek nie znał miejscowych pieśni, więc tylko słuchał i pozwalał się unosić melodii — aż raptem od czoła pochodu po wielkiej, poruszającej się wolno rzece tłumu popłynęły fala za falą słowa pieśni znanej mu. Wyprostował wtedy głowę i razem ze wszystkimi — w ojczystym języku, tak jak się go nauczył — zaśpiewał hymn Powstania. Śpiewali go na tych ulicach, na tej samej ulicycyklem: dwieście lat temu ci sami ludzie, jego naród.

> Światło ze wschodu, wyrwij ze snu
> Tych, którzy w nim pognuśnieli!
> Niech wreszcie runie ciemności mur
> I obietnica się spełni.

Ludzie maszerujący obok Szeveka umilkli, aby go słyszeć, a on śpiewał głośno, z uśmiechem na ustach, krocząc razem z nimi przed siebie.

Na placu Kapitolińskim zgromadziło się może sto, a może dwa razy tyle tysięcy ludzi. Jednostek, podobnie jak cząsteczek fizyki atomowej, nie sposób zliczyć, ustalić ich położenia ani przewidzieć zachowania. A jednak jako masa olbrzymia ta rzesza zachowywała się dokładnie tak, jak to zakładali organizatorzy strajku: zebrała się, maszerowała w porządku, śpiewała, wypełniła plac Kapitoliński oraz przyległe doń ulice i w blasku południa stała nieprzebranym mrowiem, wzburzona, a jednak cierpliwa, słuchając mówców, których pojedyncze głosy, nierównomiernie wzmocnione, odbijały się klaszczącym echem od rozsłonecznionych fasad Senatu i Dyrektoriatu, dźwięcząc nad nie milknącym, miękkim, rozległym szmerem tłumu.

Na tym placu zebrało się więcej ludzi, niż ich mieszka w całym Abbenay — stwierdził Szevek, usiłując jedynie objąć miarą to, co widział. Stał z Maeddą i jego towarzyszami na stopniach Dyrektoriatu, pod kolumnami, przed wysokimi drzwiami z brązu, patrzył na

rozedrgane, pełne powagi łany twarzy i razem ze wszystkimi słuchał mówców; słuchał ich jednak i rozumiał nie tak, jak postrzega i rozumie racjonalny umysł, ale raczej tak, jak człowiek przygląda się i przysłuchuje własnym myślom, lub tak jak się postrzega i rozumie własną jaźń. Kiedy sam zaczął przemawiać, mówienie niewiele się różniło od słuchania. Nie powodowała nim jego własna wola, utracił poczucie samego siebie. Rozpraszało go tylko nieco — sprawiając, że chwilami wahał się i mówił bardzo powoli — zwielokrotnione echo jego głosu z dalekich głośników, odbite od kamiennych frontonów masywnych gmachów. Ale nie potrzebował dobierać słów. Wyrażał myśli zgromadzonych rzesz, ich byt w ich języku, choć nie stwierdzał niczego ponad to, co wyraził już dawno temu, a co wypływało z jego samotności, z samego jądra jego istoty.

— Tym, co nas jednoczy, jest cierpienie. Nie miłość. Miłość nie słucha rozumu, przymuszana zmienia się w nienawiść. Więź, która nas łączy, nie pochodzi z wyboru. Jesteśmy braćmi. Jesteśmy braćmi w tym, co dzielimy — w bólu, który każdy cierpi w samotności, w głodzie, w biedzie, w nadziei doświadczamy naszego braterstwa. Znamy to wszystko, bo byliśmy zmuszeni się tego nauczyć.

Wiemy, że nie pomoże nam nikt, jeśli nie pomożemy sobie sami, nie wyciągnie się do nas żadna pomocna dłoń, jeśli my sami jej nie wyciągniemy. Ta zaś dłoń, którą wy wyciągacie, jest pusta, podobnie jak moja. Nie macie nic. Nie posiadacie nic. Nie posiadacie niczego na własność. Jesteście wolni. Macie jedynie samych siebie oraz to, co dajecie innym.

Jestem tu, bo dostrzegacie we mnie obietnicę, obietnicę, którą złożyliśmy dwieście lat temu w tym mieście — obietnicę spełnioną.

Myśmy jej dotrzymali na Anarres. Nie mamy nic prócz naszej wolności. Nie mamy wam nic do ofiarowania — prócz waszej wolności. Nie mamy praw — poza zasadą świadczenia sobie wzajem pomocy. Nie mamy rządu — prócz zasady wolnych stowarzyszeń. Nie ma u nas państw, narodów, prezydentów, premierów, naczelników, generałów, kierowników, bankierów, ziemian, płac, dobroczynności, policji, żołnierzy i wojen. Tego, co mamy, też nie jest za wiele.

Dzielimy się, nie jesteśmy posiadaczami. Nie powodzi nam się zbyt dobrze. Żaden z nas nie jest bogaty. Żaden nie jest potężny.

Jeśli to Anarres jest celem waszych pragnień, przyszłością, ku której zmierzacie, mówię wam: przyjść do niej musicie z pustymi rękami. Przyjść do niej musicie samotni i nadzy, tak jak dziecko przychodzi na świat, tak jak ono wkroczyć we własne jutro bez żadnej przeszłości, żadnej własności, zdani całkowicie na innych.

Nie możecie brać tego, czegoście nie dali, ale dać musicie siebie.

Rewolucji nie można kupić. Rewolucji nie można wywołać. Rewolucją można się tylko stać. Jest w waszych duszach — albo nie

ma jej wcale.

Ostatnie słowa jego wystąpienia zagłuszył terkotliwy łoskot nadlatujących helikopterów policyjnych.

Cofnął się od mikrofonów i — mrużąc oślepione słońcem oczy — spojrzał w niebo. Ponieważ to samo uczyniło jednocześnie wielu z tłumu, ruch ich głów i dłoni upodobnił zgromadzenie do przeczesanego powiewem wiatru, skąpanego w słońcu łanu zboża.

Warkot wirujących łopat w olbrzymim kamiennym pudle placu Kapitolińskiego był nie do zniesienia; hurkot i wizg tych machin przywodził na myśl głos jakiegoś potwornego robota. Zagłuszyło to terkot strzelających z helikopterów karabinów maszynowych.

Nawet gdy z tłumu wzbił się wielki krzyk, przebił się przezeń ten hurkot — tępe ujadanie oręża, puste słowo.

Ogień z helikopterów skoncetrował się na osobach skupionych na stopniach Dyrektoriatu i w ich sąsiedztwie. Wsparty na kolumnach portyk gmachu posłużył za pierwsze schronienie tym, którzy stali na schodach, i napełnił się w jednej chwili zbitym tłumem.

Zerwał się jak ryk porywistego wiatru krzyk ludzkich rzesz, wtłaczających się w panice w wyloty ośmiu wybiegających z placu ulic. Helikoptery krążyły nisko nad głowami tłumu, nie sposób było jednak stwierdzić, czy przerwały ogień czy nie, zabici i ranni zakleszczeni w ścisku nie padali bowiem na ziemię.

Okute brązem drzwi Dyrektoriatu ustąpiły z trzaskiem, którego nikt nie usłyszał. Ludzie tłoczyli się i tratowali, chcąc wedrzeć się do gmachu i schronić przed deszczem metalu. Cisnęli się setkami w wysokie marmurowe westybule; jedni kulili się w pierwszej dostrzeżonej kryjówce, inni parli dalej, szukając wyjścia z drugiej strony budynku, jeszcze inni zatrzymywali się, żeby — nim nadejdą żołnierze — zniszczyć, co się da. Kiedy zaś żołnierze nadeszli — w porządnych, czarnych płaszczach — i wstąpili na schody wśród martwych i dogorywających mężczyzn i kobiet — ich oczom ukazało się słowo wypisane zamaszyście krwią na wysokiej, szarej, wypolerowanej ścianie wielkiego holu: PRECZ.

Strzelili do trupa, który leżał najbliżej tego słowa; a kiedy już w Dyrektoriacie przywrócono porządek i zmyto to słowo szmatami, wodą i mydłem, ono nie całkiem znikło; mówiło się o nim; miało znaczenie.

Uzmysłowił sobie, że nie sposób iść dalej z rannym, który zaczyna słabnąć i potykać się. Nie było dokąd iść; byle dalej od placu Kapitolińskiego. Nie było się też gdzie zatrzymać. Tłum gromadził się dwukrotnie na Bulwarze Mesee, próbując stawić czoło policji, ale wówczas zza jej szeregów wyjeżdżały wojskowe wozy opancerzone i rozpraszały go, spychając w kierunku Starego Miasta.

Czarne płaszcze nie przy każdej szarży dawały ognia, z innych

jednak ulic dolatywały raz po raz odgłosy strzałów. Helikoptery krążyły nad ulicami, nie można się było przed nimi schronić.

Towarzysz Szeveka spazmatycznie chwytał powietrze, starając się nie ustawać w marszu. Szevek niósł go na dobrą sprawę kilka przecznic i pozostali daleko w tyle za główną masą tłumu. Nie było sensu próbować go dogonić.

— Siądź tu — polecił mężczyźnie i pomógł mu usiąść na najwyższym stopniu zejścia do jakiegoś składu w suterenie, na którego zamkniętych okiennicach wypisane było kredą wielkimi literami słowo STRAJK. Zszedł do drzwi składu i pchnął je; były zamknięte. Wszystkie drzwi były zamknięte. Własność prywatna. Z kąta schodów podniósł kawał obluzowanego brukowca i rozbił wrzeciądz i kłódkę, nie czyniąc tego po kryjomu ani mściwie, ale z pewnością siebie kogoś, kto otwiera drzwi do własnego domu.

Zajrzał do środka. W suterenie było mnóstwo skrzyli i ani żywego ducha. Pomógł rannemu zejść po schodach, zamknął drzwi i powiedział:

— Usiądź albo połóż się, jeśli chcesz. Zobaczę, czy nie ma tu gdzieś wody.

Piwnica — najwidoczniej jakiś skład chemiczny z rzędami kadzi — wyposażona była w system wężów pożarniczych. Kiedy Szevek wrócił do swego towarzysza, znalazł go nieprzytomnym. Skorzystał z tego, by obmyć mu rękę cieknącym z węża strumykiem wody i obejrzeć ranę. Wyglądała gorzej, niż się spodziewał. Niejedna kula trafić musiała biedaka, miał urwane dwa palce, strzaskaną dłoń i nadgarstek. Drzazgi kości sterczały z rany podobne do wykałaczek. Mężczyzna ten stał obok niego i Maeddy, gdy helikoptery otworzyły ogień; trafiony, zatoczył się na Szeveka i wczepił się weń, żeby nie upaść. Szevek przez całą drogę, gdy uciekali przez Dyrektoriat, podtrzymywał go ramieniem; w początkowym szalonym ścisku we dwójkę było łatwiej niż w pojedynkę ustać na nogach.

Przy pomocy prowizorycznej manszety postarał się zatamować krwawienie, zabandażował — lub przynajmniej zakrył — zdruzgotaną dłoń, następnie skłonił mężczyznę, by wypił trochę wody. Nie znał jego imienia; biała opaska na ramieniu wskazywała, że należał do Socjalistycznego Związku Robotniczego; był na oko rówieśnikiem Szeveka, mógł mieć czterdzieści lub nieco więcej lat.

W fabrykach na Południowym Zachodzie Szevek widywał ludzi rannych w wypadkach znacznie ciężej i przekonał się, jak dużo potrafi znieść i przetrzymać człowiek, gdy przychodzi mu cierpieć groźną ranę i ból. Lecz tamci mieli opiekę. Chirurga, który mógł dokonać amputacji, plazmę dla zrekompensowania ubytku krwi, łóżko, na którym się mogli położyć.

Usiadł na podłodze obok rannego, półomdlałego z szoku, i

przyglądał się stosom skrzyń, długim, ciemnym korytarzom między nimi, smugom białawego światła wsączającego się przez okratowane okienka od frontu, białym zaciekom saletry na suficie, śladom butów robotników i kółek wózków na zakurzonej cementowej podłodze. W jednej godzinie setki tysięcy wznoszą pieśń pod odkrytym niebem; w następnej dwoje ludzi kryje się w piwnicy.

— Jesteście godni pogardy — powiedział po prawieku do swego towarzysza. — Nie mniecie zostawiać otwartych drzwi. Nigdy nie będziecie wolni.

Dotknął ostrożnie czoła tamtego; było zimne i mokre od potu.

Rozluźnił na chwilę manszetę, następnie wstał, poszedł przez mroczną suterenę ku drzwiom i wyjrzał na ulicę. Kolumna wozów pancernych już przejechała. Spiesznie, z wtulonymi w ramiona głowami, przemykali przez to obce terytorium nieliczni zapóźnieni demonstranci. Szevek próbował dwóch zatrzymać; przystanął dopiero trzeci.

— Potrzebuję lekarza, mam tu rannego. Czy możesz tu przysłać lekarza?

— Lepiej zabierz go stąd.

— Pomóż mi go wynieść.

Mężczyzna pobiegł dalej.

— Oni idą tędy! — krzyknął przez ramię. — Lepiej stąd wiej!

Nikt więcej nie przechodził i Szevek dojrzał niebawem w głębi ulicy tyralierę czarnych płaszczy. Zszedł do sutereny, zamknął drzwi, wrócił do rannego i usiadł na zakurzonej podłodze.

— Do diabła — mruknął.

Po jakimś czasie wyjął z kieszeni koszuli notes i zaczął go przeglądać.

Kiedy po południu wyjrzał ostrożnie na ulicę, zobaczył stojący po jej drugiej stronie samochód pancerny i dalsze dwa, ustawione w poprzek skrzyżowania. Wyjaśniało to okrzyki, jakie go dolatywały: to żołnierze wydawali jeden drugiemu rozkazy.

Atro wyjaśnił mu kiedyś, jak to było urządzone: sierżanci mogli wydawać rozkazy szeregowcom, porucznicy szeregowcom i sierżantom, kapitanowie… i tak dalej, i tak dalej aż do generałów, którzy mogli wydawać rozkazy każdemu i niczyich nie musieli słuchać, wyjąwszy głównodowodzącego. Szevek słuchał tego z niedowierzaniem i wstrętem. — I ty nazywasz to organizacją? — spytał.

— Nazywasz to dyscypliną? Ależ to ani jedno, ani drugie, jedynie wyjątkowo nieskuteczny mechanizm przymusu — coś w rodzaju silnika parowego z siódmego tysiąclecia! Co takiego wartego zachodu można osiągnąć z tak sztywną i łamliwą strukturą?" Dało to Atro sposobność wystąpienia z pochwałą wojny jako karmicielki odwagi i

męskości oraz tępicielki słabeuszy; sam jednak tok jego argumentacji zmusił go do przyznania pewnej skuteczności zorganizowanej od dołu, poddanej samodyscyplinie partyzantce. „Ale to, widzisz, funkcjonuje tylko wtedy, kiedy im się zdaje, że walczą za coś własnego, za swoje domy albo jakieś tam swoje poglądy” — tłumaczył starzec. Szevek nie wszczynał sporu. Podjął go teraz — w ciemniejącej piwnicy, wśród spiętrzonych skrzyń z nieznanymi chemikaliami. Odpowiedział Atro, że teraz już rozumie, dlaczego wojsko jest zorganizowane tak, jak jest. Było to w istocie niezbędne. Żadna bowiem racjonalna forma organizacji nie posłużyłaby wytyczonemu celowi. Po prostu nie rozumiał wcześniej, że celem tym było sprawienie, by uzbrojeni w karabiny maszynowe mężczyźni mogli łatwo i masowo, na rozkaz, zabijać nieuzbrojonych mężczyzn i bezbronne kobiety. Wciąż jednak nie dostrzegał, gdzie tutaj miejsce na odwagę i męskość.

Po zapadnięciu zmroku zagadywał też od czasu do czasu do swego towarzysza. Ranny leżał z otwartymi oczami i kilka razy jęknął, w sposób, który wstrząsnął Szevekiem — taki dziecięcy i pełen cierpliwości. Kiedy tłoczyli się do Dyrektoriatu, porwani pierwszą paniką tłumu, przedzierali się przez jego pomieszczenia, biegli, a potem wlekli się w stronę Starego Miasta, czynił dzielne wysiłki, żeby dotrzymywać Szevekowi kroku; zranioną rękę, przyciśniętą do boku, chował pod płaszczem i starał się ze wszystkich sił nie opóźniać marszu. Kiedy jęknął po raz drugi, Szevek ujął jego zdrową dłoń i szepnął: „Nie trzeba, nie trzeba; cicho, cicho, bracie”, tylko dlatego, że nie był w stanie — nie umiejąc mu pomóc — słuchać, jak tamten cierpi. Ranny pomyślał zapewne, że nakazuje mu ciszę, żeby ich nie zdradził policji; kiwnął słabo głową i zacisnął usta.

Spędzili w tej suterenie trzy noce. Przez cały ten czas w dzielnicy składów toczyły się sporadyczne walki, utrzymywano też wojskową blokadę na skrzyżowaniu z Bulwarem Mesee. Walki nigdy się do niej nie zbliżyły, obsadzona była ponadto silną załogą, więc gdyby ukrywający się wyszli z kryjówki, musieliby się poddać.

Szevek zapytał raz towarzysza, gdy ów odzyskał na chwilę przytomność:

— Gdybyśmy stąd wyszli, co policjanci by z nami zrobili?

Mężczyzna uśmiechnął się i szepnął:

— Rozwaliliby nas.

Jako że wokół, to bliżej, to dalej, nie milkła przez wiele godzin chaotyczna strzelanina, od czasu do czasu zaś dolatywał huk potężnych eksplozji i łoskot helikopterów, jego opinia zdawała się być dobrze umotywowana. Mniej natomiast jasny był powód uśmiechu.

Umarł tej samej nocy z upływu krwi, gdy przytuleni do siebie — by się wzajemnie ogrzewać — leżeli na materacu, który Szevek sporządził ze słomy do wykładania skrzyń. Był już zesztywniały, kiedy

Szevek się obudził, usiadł i wsłuchiwał się w ciszę wielkiej, mrocznej sutereny, w ciszę panującą na ulicy i w całym mieście, w ciszę śmierci.

Rozdział dziesiąty
Anarres

Linie kolejowe na Południowym Zachodzie biegły najczęściej po nasypach, metr lub nieco powyżej nad równiną. Dzięki podwyższonemu podtorzu mniej się dawała we znaki kurzawa i podróżni mieli lepszy widok na pustkowie.

Południowy Zachód był jedynym z ośmiu regionów Anarres pozbawionym większego zbiornika wodnego. Daleko na południu podczas letniego topnienia bieguna tworzyły się bagniska; blisko równika w rozległych panwiach stały jedynie płytkie, alkaliczne jeziorka. Nie było tu gór; co kilkaset kilometrów ciągnęły się z północy na południe łańcuchy wzgórz — nagich, spękanych, wyrzeźbionych przez pogodę w zerwy i turnie. Barwiły je pasma fioletu i czerwieni; ściany urwisk porastał mech skalny — roślina zdolna przetrwać każdy skwar, suchość gleby, najporywistsze wichury — i śmiałymi, szarozielonymi liszajami przeplatał się pionowym wątkiem z osnową warstwie piaskowca. W krajobrazie dominował kolor bury, przechodzący w białawy tam, gdzie — na wpół zawiane piaskiem — dosychały panwie. Nad równiną przesuwały się z rzadka burzowe chmury, oślepiająco białe na purpurowym tle nieba. Nie niosły deszczu, rzucały tylko cień. Nasyp i lśniące szyny biegły prosto jak strzelił — za pociągiem i przed pociągiem — aż po horyzont.

— Jedyne, co można zrobić z tym Południowym Zachodem — stwierdził maszynista — to przeskoczyć go.

Jego towarzysz nie odpowiedział, zasnął. Głowa podskakiwała mu w rytm wstrząsów lokomotywy. Ręce, spracowane i sczerniałe od odmrożeń, leżały bezwładnie na udach; twarz, choć rozluźniona, była pomarszczona i smutna. Wsiadł w Miedzianej Górze; ponieważ był jedynym pasażerem, maszynista poprosił, żeby usiadł z nim w kabinie, dla towarzystwa. Podróżny natychmiast zasnął.

Maszynista spoglądał nań od czasu do czasu z rozczarowaniem. ale i sympatią. Tylu się w ostatnich latach napatrzył wycieńczonych ludzi, że ich stan wydawał mu się czymś normalnym.

Mężczyzna obudził się późnym popołudniem, przez jakiś czas wpatrywał się w pustynię, po czym zapytał:

— Zawsze odbywasz tę trasę sam?

— Od jakichś trzech, czterech lat.

— Nie zdarzyła ci się nigdy awaria?

— Parę razy. Wożę ze sobą na takie okazje furę żarcia i wodę.

A tak przy okazji, nie jesteś głodny?

— Na razie nie.

— Po paru dniach przysyłają mi pociąg naprawczy z Samotni.

— To następna stacja?

— Tak. Od Kopalni Sedep do Samotni jest tysiąc siedemset kilometrów. Najdłuższa trasa między dwoma miastami na Anarres.

Jeżdżę na niej od jedenastu lat.

— Nie znudziło ci się?

— Nie. Lubię robotę w pojedynkę.

Pasażer skinieniem głowy przyznał mu rację.

— Poza tym jest stała. Lubię rutynę; daje czas do myślenia. Piętnaście dni na trasie, piętnaście wolnego z partnerką w Nowej Nadziei.

I tak rok w rok; susza nie susza, głód nie głód. Żadnych zmian, zresztą tu zawsze panuje susza. Lubię tę trasę. Wyjmij no wodę, co? Lodówka jest pod szafką.

Pociągnęli po długim łyku z butelki. Woda miała mdły, alkaliczny smak, za to była zimna.

— O, dobra! — mruknął z wdzięcznością pasażer. Odstawił butelkę. Wracając na swoje miejsce z przodu kabiny, przeciągnął się, opierając rękami o sufit. — A więc żyjesz z partnerką — stwierdził z prostotą, która spodobała się maszyniście.

— Już osiemnaście lat.

— Więc dopiero zaczynasz.

— Tam do licha, zgadzam się z tobą! Tego właśnie niektórzy nie rozumieją. Bo widzisz, ja to widzę tak: jak człowiek spółkuje, jak ma te naście lat, ma z tego diabelną frajdę, ale przekonuje się też prędko, że to się specjalnie niczym nie różni. Jest to fajne, zgoda!

Ale to, co naprawdę stanowi odmianę, leży nie w samym pieprzeniu — ale w tej drugiej osobie. I dopiero po osiemnastu latach, masz rację, zaczyna się tę odmianę dostrzegać. Przynajmniej kiedy starasz się kobietę zrozumieć. Baba ci nie pokaże po sobie, że chłop ją zaskoczył; choć może udają… Tak czy siak, w tym, bracie, cała przyjemność. W zaskoczeniach, udawaniu, tej zabawie. W odmianie. A odmiana nie bierze się ze zmiany bab. Za młodu zjeździłem ci całe Anarres. Jeździłem z ładunkiem po wszystkich regionach.

Miałem chyba ze setkę dziewuch po różnych miastach. I zaczęło mnie to nudzić. Wróciłem tutaj i rok w rok co trzy dekady robię tę trasę, przez tę pustynię, gdzie jednej wydmy od drugiej nie odróżnisz i gdzie byś nie patrzył, masz przez trzy tysiące kilometrów ten sam obrazek; potem wracam do domu do tej samej partnerki — i ani razu mi jeszcze nie zbrzydło. To nie skakanie z miejsca na miejsce potrzebne jest człowiekowi w życiu. Trzeba mieć czas po swojej stronie. Współpracować z nim, a nie mu przeszkadzać.

— Otóż to — przytaknął pasażer.

— A twoja partnerka?

— Jest na Północnym Wschodzie. Od czterech lat.

— To za długo — ocenił maszynista. — Razem was powinni skierować.

— Nie w to miejsce, gdzie byłem.

— A gdzie byłeś?

— Łokieć, potem Wielka Dolina.

— Słyszałem o Wielkiej Dolinie. — Maszynista zerknął na pasażera z szacunkiem należnym ocalałemu. Zauważył suchy wygląd jego spieczonej słońcem skóry, coś w rodzaju przewiania do kości, jakie widywał już u tych, którzy lata głodu przeżyli w Kurzawie. — Nie powinniśmy za wszelką cenę utrzymywać tych zakładów w ruchu.

— Potrzebowaliśmy fosforanów.

— Mówią, że jak zatrzymali w Portalu ten pociąg z zaopatrzeniem, fabryki szły dalej i ludzie umierali z głodu przy robocie. Odchodzili na bok, kładli się i umierali. Tak było?

Pasażer kiwnął głową. Nic nie odpowiedział. Maszynista nie nalegał, po chwili jednak rzekł:

— Zastanawiam się, co ja bym zrobił, jakby tak mój pociąg zatrzymali.

— Nigdy cię to nie spotkało?

— Nie. Widzisz, ja nie przewożę żywności; najwyżej czasem wagon do Górnego Sedepu. To jest szlak rudy. Ale gdybym tak jeździł na trasie zaopatrzeniowej i by mnie zatrzymali? Co bym zrobił? Przejechał się po nich i dowiózł żywność tam, gdzie była przeznaczona? Ale, do diabła, przejeżdżać dzieci, starców? Robią Lle, ale mordować ich za to? Sam nie wiem.

Pod kołami biegły prosto jak strzelił świecące szyny. Skłębione na zachodzie chmury kładły na równinę ogromne, drżące miraże — niczym cienie jezior, które wyschły przed dziesięcioma milionami lat.

— Jeden syndyk — znałem gościa kopę lat — tak właśnie zrobił na północ stąd, na sześćdziesiątym szóstym. Próbowali odczepić od jego pociągu wagon z ziarnem. Cofnął skład i ukatrupił kilku, zanim zdążyli zejść z toru; mówił potem, że kłębili się na nim jak robaki na gnijącej rybie. Ośmiuset ludzi czeka na ten wagon z ziarnem — powiada — ilu z nich umrze, jak go nie dostaną? Więcej niż tych paru, grubo więcej. Wychodzi więc na to, że miał rację. Ale, do diabła! ja takich słupków sumować nie umiem. Czy to w porządku dodawać ludzi jak cyfry? No, a co ty byś zrobił? Których byś zabił?

— W drugim roku pobytu w Łokciu — byłem tam dyspozytorem pracy — fabryczny syndykat obciął racje żywnościowe. Ci, którzy pracowali sześć godzin dziennie, dostawali pełne racje — ledwo starczały przy tej harówie. Ci, którzy pracowali pół czasu pracy, otrzymywali trzy czwarte przydziału. Kto był chory albo za słaby do

pracy, dostawał połowę. Na połowie racji trudno się było poprawić. Nie można było wrócić do roboty. Można się było jedynie utrzymywać przy życiu. Moim zadaniem było przydzielanie tych połówek racji, przydzielanie ich ludziom już chorym. Sam pracowałem w pełnym wymiarze, osiem, czasem dziesięć godzin dziennie, papierkowa robota, więc przysługiwały mi pełne racje, zarabiałem sobie na nie. Zarabiałem na nie układaniem list tych, którzy mieli głodować. — Spojrzenie jasnych oczu mężczyzny wybiegło naprzód, w suchy, drżący blask ponad torami. — Jak powiedziałeś: miałem liczyć ludzi.

— Zrezygnowałeś?

— Tak, zrezygnowałem. Pojechałem do Wielkiej Doliny. Ale zaraz kto inny zajął się sporządzaniem list w fabryce w Łokciu.

Zawsze znajdą się chętni do sporządzania list.

— To nie w porządku — oświadczył maszynista, mrużąc oślepione światłem oczy. Miał opaloną łysą twarz i głowę, bez jednego włoska od policzków do potylicy, choć nie wyglądał na więcej niż czterdzieści pięć lat. Była to twarz surowa, sucha i niewinna. — To diablo nie w porządku. Powinni byli zamknąć te zakłady. Nie można żądać od człowieka, żeby coś takiego robił. Czy nie jesteśmy odonianami? Człowiek może nie wytrzymać, zgoda. To się właśnie przydarzyło tym ludziom, którzy plądrowali pociągi. Byli głodni, dzieciaki były głodne, tak długo już głodowali, a tu jedzie żarcie — ale nie dla nich, więc przestali nad sobą panować i cabas!

To samo się przydarzyło temu mojemu kumplowi: tłum zaczął mu grabić pociąg, za który był odpowiedzialny, więc stracił panowanie nad sobą i dał wsteczny. Nie liczył głów. Przynajmniej wtedy!

Może potem. Bo go zemdliło, jak zobaczył, co zrobił. Ale ta robota, co ją kazali ci robić — wyznaczanie: ten niech żyje, ten niech zdycha — to nie jest robota dla normalnego człowieka, czegoś takiego nie można od człowieka wymagać.

— To były trudne czasy, bracie — przypomniał łagodnie pasażer, wpatrując się w rozprażoną równinę, nad którą falowały i żeglowały z wiatrem cienie wód.

Wysłużony sterowiec towarowy wychynął zza gór i przycumował na lotnisku w Nerkowej Górze. Wysiedli z niego trzej pasażerowie. Kiedy ostatni z nich dotykał gruntu, ten wzdął się i wierzgnął.

— Trzęsienie ziemi — stwierdził mężczyzna; był tutejszy, wracał do domu. — Kurna, popatrzcie na te tumany kurzu! Lądujemy któregoś dnia, a tu ani jednej góry.

Dwaj pasażerowie zdecydowali się czekać, póki nie załadują ciężarówek, żeby się nimi zabrać. Szevek postanowił pójść pieszo, miejscowy powiedział mu bowiem, że do Chakar będzie tylko jakieś sześć kilometrów, i to z górki.

Droga opadała serpentyną długich zakrętów, z których każdy

kończył się niewielkim wzniesieniem. Stoki po obu stronach — wznoszący się po lewej i opadający po prawej — zarośnięte były krzewami holum; rzędy wysokich drzew tego gatunku — tak rozmieszczonych, jakby sadziła je tu ludzka ręka — zbiegały po zboczach wzdłuż żył podskórnych wód. Z grzbietu wzniesienia roztoczył się przed Szevekiem widok na czystą, złotą łunę zachodu, rozlaną nad pasmami pociemniałych wzgórz. Nigdzie wokół — prócz opadającej w mrok drogi — nie dostrzegało się śladów ludzkiej działalności. Gdy zaczął schodzić, powietrzem wstrząsnął cichy grzmot. Doznał wówczas dziwnego uczucia: nie wstrząsu i nie drżenia, ale przemieszczenia; coś było nie tak, jak trzeba, wiedział to. Postawił nogę — i jego stopa napotkała grunt. Poszedł więc dalej; droga leżała na swoim miejscu. Nie groziło mu tu żadne niebezpieczeństwo, a jednak w żadnej z niebezpiecznych sytuacji, w których wcześniej bywał, nie czuł takiej jak teraz bliskości śmierci. Śmierć była w nim, pod nim, sama ziemia stała się niepewna. Trwałość i pewność to obietnice, jakie składa człowiekowi jego umysł. Poczuł w ustach i płucach zimne, czyste powietrze.

Nadstawił ucha. Nisko w dole szumiał w mroku górski potok.

Przyszedł do Chakar o późnym zmierzchu. Nad czarnymi grzbietami gór ciemniało fioletowe niebo. Latarnie płonęły jaskrawo i samotnie. Na tle ciemnej głuszy oświetlone sztucznym światłem fasady domów sprawiały widmowe wrażenie. Wokół było wiele pustych placów i pojedynczych domów, jak to w starych, szeroko rozrzuconych, zabitych deskami mieścinach. Jakaś przechodząca kobieta wskazała Szevekowi drogę do Ósmego Domicylu.

— Tędy, bracie, za szpitalem, na końcu ulicy.

Ulica zagłębiała się w mroczny cień góry i kończyła przed drzwiami niskiego budynku. Szevek wszedł do środka i znalazł się w przedpokoju typowego małomiasteczkowego domicylu; na jego widok wrócił wspomnieniami do dzieciństwa, które spędził z ojcem w Wolności, Bębnej Górze i Równinnem: przyćmione światło, łatane maty, kartka z informacją o miejscowej brygadzie szkoleniowej obsługi maszyn, zawiadomienie o zebraniach syndykatu, na tablicy ogłoszeń plakat sprzed trzech dekad zapowiadający przedstawienie jakiejś sztuki, oprawiony w ramkę amatorski obrazek przedstawiający Odo na kozetce w więziennej świetlicy, ręcznie wykonana harmonia, lista mieszkańców, przy drzwiach zawiadomienie podające, w jakich godzinach jest w miejskiej łaźni gorąca woda.

Szerut, Takver, pokój nr 3.

Zapukał, wpatrując się w odblask światła z przedpokoju na ciemnej powierzchni drzwi, niezbyt prosto osadzonych w futrynie.

Kobiecy głos zawołał:

— Proszę!

Otworzył drzwi.

Światło w pokoju, jaśniejsze niż w korytarzu, padało zza kobiecej postaci. Przez chwilę nie był pewien, czy to Takver. Stała twarzą do niego. Wyciągnęła ręce w niepewnym, nie dokończonym geście, jakby go chciała odepchnąć, a może objąć. Wziął ją za rękę — a potem padli sobie w ramiona i stali, przytuleni, na niepewnej ziemi.

— Wejdź! — zawołała — och, wejdźże, wejdź.

Otworzył oczy. W głębi pokoju, który nadal wydawał mu się bardzo jasny, zobaczył poważną, czujną twarzyczkę małego dziecka.

— To jest Szevek, Sadik.

Dziewczynka podeszła do matki, objęła jej nogę i wybuchnęła płaczem.

— Nie płacz, maleńka. Dlaczego płaczesz?

— A ty dlaczego? — szepnęło dziecko.

— To ze szczęścia! Tylko ze szczęścia. Chodź na kolana. Ach Szevek, Szevek! List od ciebie przyszedł ledwie wczoraj, miałam właśnie odprowadzić Sadik na noc i iść do telefonu. Napisałeś, że zadzwonisz dziś wieczór, a nie, że przyjedziesz! No nie płacz, Sadik, popatrz, ja już nie płaczę, prawda?

— On też płakał.

— Oczywiście, że płakałem.

Sadik przyglądała mu się z nieufną ciekawością. Miała cztery lata, okrągłą główkę i pełną twarzyczkę, była krąglutka, ciemna, puszysta i miękka.

Całe umeblowanie pokoju stanowiły dwa tapczany. Takver z dzieckiem na kolanach usiadła na jednym z nich, Szevek usiadł na drugim i wyprostował nogi. Grzbietami dłoni wytarł oczy i podsunął Sadik kostki dłoni do obejrzenia.

— Widzisz — powiedział — mokre. I z nosa mi cieknie. Masz może chusteczkę?

— Tak. A ty nie masz?

— Miałem, ale zginęła mi w pralni.

— Mogę podzielić się z tobą chusteczką, której ja używam — zgodziła się po chwili dziewczynka.

— On nie wie, gdzie ona jest — uświadomiła jej Takver.

Sadik zsunęła się z jej kolan i z szuflady w szafie przyniosła chusteczkę. Podała ją matce, a ta Szevekowi.

— Jest czysta — powiedziała Takver, uśmiechając się swoim szerokim uśmiechem. Sadik przypatrywała się uważnie, jak Szevek wyciera nos.

— Czy nie mieliście tu niedawno trzęsienia ziemi? — zapytał Szevek.

— Przez cały czas są trzęsienia, człowiek przestaje już zwracać uwagę — odrzekła Takver, a Sadik, zadowolona, że też może służyć

informacją, dorzuciła cienkim, ochrypłym głosikiem:

— Tak, mieliśmy bardzo duże trzęsienie ziemi przed obiadem.

Kiedy ziemia się trzęsie, okna dzwonią, dzwonią i faluje podłoga, i trzeba stanąć w drzwiach albo wyjść na dwór.

Szevek popatrzył na Takver; odpowiedziała mu spojrzeniem.

Postarzała się bardziej niż o te cztery lata. Nigdy nie miała zbyt zdrowych zębów, a od tamtej pory jeszcze dwa straciła, obie górne czwórki, więc było widać szczerby, gdy się śmiała. Jej skóra nie odznaczała się już tą młodzieńczą aksamitnością i jędrnością, włosy zaś — zaczesane gładko do tyłu — zmatowiały.

Takver utraciła swój młodzieńczy wdzięk — dostrzegał to wyraźnie — i wyglądała na przeciętną, zapracowaną kobietę na progu wieku średniego. Dostrzegał to z pewnością wyraźniej niż inni. Widział Takver taką, jakiej nikt inny widzieć nie mógł, gdyż patrzył na nią przez pryzmat lat zażyłości i tęsknoty. Widział ją taką, jaką naprawdę była.

Ich oczy spotkały się.

— Jak… jak wam się tutaj powodzi? — zapytał, czerwieniąc się nagle; odezwał się najwyraźniej po to tylko, żeby coś powiedzieć.

Poczuła, jak uderza w nią dotykalna prawie fala jego pożądania.

Zarumieniła się lekko i uśmiechnęła. Potem powiedziała swym ochrypłym głosem:

— Och, od naszej rozmowy telefonicznej nic się takiego nie zdarzyło.

— Ależ to było sześć dekad temu!

— Życie biegnie tu utartym torem.

— Bardzo tu pięknie… te wzgórza. — Ujrzał w jej oczach mrok górskich dolin. Gwałtowność jego pożądania raptownie się wzmogła, zakręciło mu się w głowie, zdołał jednak przetrwać jakoś ten kryzys, spróbował opanować erekcję. — Czy chciałabyś tu zostać? — zapytał.

— To mi obojętne — odrzekła swym niezwykłym, ciepłym ochrypłym głosem.

— Wciąż ci kapie z nosa — zauważyła obiektywnie Sadik.

— Ciesz się, że tylko tyle — powiedział.

— Cicho bądź, Sadik, nie egoizuj! — skarciła ją Takver.

Oboje dorośli roześmiali się, zaś Sadik nie przestała przyglądać się Szevekowi z uwagą.

— Lubię to miasto, Szev. Ludzie tu są mili — ciekawi. Za to praca nie najlepsza. Szpitalne laboratorium, sam rozumiesz. Brak techników przestanie być wkrótce problemem, więc mogłabym wyjechać, nie stawiając ich w trudnym położeniu. Chciałabym wrócić do Abbenay, jeżeli to miałeś na myśli. Dostałeś przeniesienie?

— Nie prosiłem o nie i nie sprawdzałem. Od dekady jestem w drodze.

— Co robiłeś na tej drodze?

— Jechałem nią, Sadik.

— Przebył pół świata, z południa, przez pustynie, żeby się do nas dostać — wyjaśniła córce Takver. Dziewczynka uśmiechnęła się, usadowiła wygodniej na jej kolanach i ziewnęła.

— Czy już coś jadłeś, Szev? Nie jesteś zmęczony? Muszę położyć małą do łóżka, właśnie miałyśmy wychodzić, kiedy zapukałeś.

— To ona już sypia w noclegowni?

— Od początku tego kwartału.

— Miałam już cztery latka — pochwaliła się Sadik.

— Mówi się: mam już cztery latka — poprawiła ją Takver, zsadzając ją delikatnie z kolan, żeby wyjąć jej płaszczyk z szafy. Sadik stała bokiem do Szeveka; skupiała na nim całą uwagę, do niego kierowała swe słowa.

— Ale ja już miałam cztery latka, teraz mam więcej niż cztery — Temporalistka, jak ojciec!

— Nie można mieć jednocześnie czterech latek i więcej niż cztery, prawda? — zapytała dziewczynka, wyczuwając aprobatę i zwracając się teraz wprost do Szeveka.

— Ależ tak, z łatwością. Możesz mieć też jednocześnie cztery lata i prawie pięć. — Siedząc na niskim tapczanie, miał głowę na równej wysokości z główką dziewczynki, nie musiała więc patrzeć na niego do góry. — Ale widzisz, ja zapomniałem, że ty masz już prawie pięć lat. Kiedy cię widziałem po raz ostatni, miałaś ich niewiele więcej niż zero.

— Naprawdę? — w jej głosie odezwała się wyraźna kokieteria.

— Tak. Byłaś mniej więcej taka długa — na nieznaczną odległość rozstawił dłonie.

— Czy umiałam już mówić?

— Mówiłaś baa i parę innych słów.

— Czy budziłam wszystkich w bloku jak dziecko Cheben? — dopytywała się z szerokim, radosnym uśmiechem.

— Rozumie się.

— A kiedy się dobrze nauczyłam mówić?

— Kiedy miałaś około półtora roczku — odpowiedziała jej Takver — i od tamtej pory nie zamyka ci się buzia. Gdzie jest kapelusz, Sadikiki?

— W szkole. Nie znoszę tego kapelusza — poinformowała Sadik Szeveka.

Zaprowadzili dziewczynkę przez ulice, po których hulał wiatr, do noclegowni ośrodka kształceniowego i weszli z nią do przedpokoju. Było to ciasne, obskurne pomieszczenie, ożywione jednak dziecięcymi malowankami, kilkoma zgrabnymi modelami lokomotyw z brązu, mnóstwem domków dla lalek i malowanymi ludzikami z drewna.

Sadik pocałowała na dobranoc matkę, po czym odwróciła się do Szeveka i wyciągnęła rączki. Nachylił się do niej.

Pocałowała go sucho, ale mocno.

— Dobranoc! — powiedziała.

Ziewając odeszła za nocną opiekunką. Doleciał ich jej głos i łagodne uciszanie opiekunki.

— Ona jest piękna, Takver. Piękna, inteligentna i silna.

— Boję się, że jest rozpuszczona.

— Ależ skąd. Doskonale sobie poradziłaś, znakomicie — w takich czasach…

— Tu nie było aż tak źle jak na południu — powiedziała, spoglądając na niego, gdy wychodzili z noclegowni. — Tutaj dzieci były odżywiane. Nie za dobrze, ale zawsze. Miejscowa wspólnota jest w stanie produkować żywność. Kiedy już nie ma nic innego, można zbierać nasiona dzikiego holum i ucierać do jedzenia. Tu nikt nie głodował. Ale ja ją zepsułam. Karmiłam ją, oczywiście, piersią do trzeciego roku życia, bo i czemu nie, skoro i tak nic innego nie było do jedzenia! Ale to się nie podobało w tej placówce badawczej w Rolnym. Chcieli, żebym ją oddała na cały czas do żłobka.

Twierdzili, że przyjęłam wobec dziecka postawę posiadaczki i nie przykładam się należycie do solidarnego wysiłku w godzinie próby. W gruncie rzeczy mieli rację. Ale tacy byli tej swojej racji pewni! Żadne z nich nie rozumiało, co to znaczy samotność. To nie były osoby, ale sami komuniści. Głównie kobiety wierciły mi dziurę w brzuchu, że karmię piersią. Prawdziwe spekulantki ciałem. Wytrwałam tam, bo jedzenie było dobre — próbowałam, czy nie da się jeść glonów, dostawało się ich czasem grubo ponad zwykłe racje, ale smakowały jak guma — póki nie znaleźli sobie kogoś odpowiedniejszego na moje miejsce. Potem na około dziesięć dekad wyjechałam do Nowego Zarania. To było zimą, dwa lata temu, w czasie tego długiego okresu, gdy nie kursowała poczta i tak ciężko było tam, gdzie byłeś. W Nowym Zaraniu zobaczyłam to skierowanie w wykazie i przyjechałam tutaj. Sadik aż do tej jesieni mieszkała ze mną w domicylu. Nadal mi jej brakuje. Pokój zrobił się bez niej taki cichy.

— To nie masz współlokatorki?

— Mam, Szerut, bardzo miła dziewczyna, pracuje na nocną zmianę w szpitalu. Był już najwyższy czas, żeby Sadik wyszła z domu, przebywanie z innymi dziećmi dobrze na nią wpływa.

Stawała się nieśmiała. Przyjęła tę zmianę bardzo dzielnie, z całkowitym stoicyzmem. Małe dzieci są urodzonymi stoikami. Płaczą z powodu guza, ale poważne wydarzenia przyjmują ze spokojem, nie mazgają się jak tylu dorosłych.

Szli ramię przy ramieniu. Jesienne gwiazdy wyroiły się mrowiem o niebywałej jaskrawości, migocąc i mrugając we wzbitym trzęsieniem

ziemi i wichurą kurzu, aż całe niebo zdawało się drżeć, potrząsać diamentowymi okruchami, pobłyskiwać jak słoneczny blask na czarnym morzu. Pod tym roziskrzonym przepychem wzgórza stały mroczne i solidne, ostro rysowały się linie dachów, miękko świeciły latarnie.

— Cztery lata temu — odezwał się Szevek. — To właśnie cztery lata temu wróciłem do Abbenay z tego odludzia w Południowyżu.

Jakże się to miejsce nazywało? Czerwone Źródła. Była taka noc jak ta, wiatr, gwiazdy. Całą drogę z ulicy Równinnej do domicylu biegłem. A ciebie tam nie było, wyjechałaś. Cztery lata!

— Na drugi dzień po wyjeździe z Abbenay zrozumiałam, jaka byłam głupia, że to zrobiłam. Głód nie głód. Powinnam była odmówić i nie przyjąć tego skierowania.

— Nie na wiele by się to zdało. Sabul już czekał, żeby mi oznajmić, że usuwają mnie z Instytutu.

— Gdybym została, nie pojechałbyś do Kurzawy.

— Może i nie; ale mogliśmy przecież nie dostawać razem skierowań. Przez jakiś czas wyglądało na to, że nic nie ostoi się razem, prawda? W miastach na Południowym Zachodzie nie zostało ani jedno dziecko. Nadal ich tam nie ma. Wysłano je na północ, w rejony, gdzie istniała lokalna produkcja żywności, lub choćby była na nią szansa. A dorośli zostali na miejscu, żeby utrzymywać w ruchu kopalnie i fabryki. To cud, żeśmy to wszyscy przetrwali, prawda?… Ale, do diabła, teraz przez jakiś czas mam zamiar zajmować się tylko własną pracą!

Wzięła go pod rękę. Przystanął jak wryty, jakby jej dotyk śmiertelnie go poraził. Potrząsnęła nim z uśmiechem.

— Ty jeszcze nic nie jadłeś, prawda?

— Prawda. Och, Takver, jak ja ciebie pragnąłem, jak ja ciebie pragnąłem!

Przytulili się do siebie mocno, na ciemnej ulicy, daleko od latarni, pod kopułą gwiazd. Równie nagle oderwali się od siebie i Szevek oparł się o pobliską ścianę.

— Lepiej coś zjem — powiedział, a Takver przyznała:

— Słusznie, bo jeszcze mi tu padniesz! Chodź.

Przeszli jedną przecznicę do jadłodajni, największego budynku w Chakar. Było już po godzinach kolacji, ale posilali się jeszcze kucharze; dali przyjezdnemu miskę duszonego mięsa z warzywami i chleba do woli. Siedzieli wszyscy przy stole blisko kuchni.

Pozostałe stoły były już sprzątnięte i zastawione do śniadania. Sufit stołówki, przepaścistej jak pieczara, ginął wysoko w mroku, daleki jej koniec tonął w ciemności, rozłamywanej jedynie połyskami światła na miskach i kubkach stojących na niewidocznych stołach. Kucharze i obsługa, zmęczeni po całym dniu pracy, stanowili milczące

towarzystwo; jedli szybko i odzywali się niewiele, nie zwracając uwagi na Takver i nieznajomego. Jeden po drugim wstawali od stołu i odnosili naczynia do zmywarek w kuchni. Jakaś starsza kobieta powiedziała wstając:

— Nie musicie się śpieszyć, ammari, czeka ich jeszcze godzina zmywania.

Miała chmurną, ponurą twarz, bez śladu macierzyńskości czy dobrotliwości; przemówiła jednak ze współczuciem i serdecznością ludzi doświadczających jednakiego losu. Nie mogła uczynić dla nich nic więcej, jak tylko poradzić: „Nie musicie się śpieszyć" i objąć ich krótkim spojrzeniem braterskiej miłości.

Oni zaśnie więcej uczynić mogli dla niej — i niewiele też dla samych siebie.

Wrócili do Ósmego Domicylu, do pokoju nr 3, i zaspokoili trawiące ich długo pożądanie. Nie zapalili nawet lampy; zawsze lubili kochać się w ciemności. Za pierwszym razem szczytowali oboje, ledwie wsunął prącie; za drugim razem kochali się opętańczo i krzyczeli z radości, przedłużając rozkosz, jak gdyby odwlekali chwilę śmierci; za trzecim razem kochali się na wpół śpiąc i kołowali wokół sedna bezgranicznej ekstazy, wokół swych istnień, niczym planety, które wirują na oślep, bezgłośnie, w potokach słonecznego światła, wokół wspólnego centrum grawitacji, wirujące, kołujące bez końca.

Takver obudziła się o świcie. Podparta na łokciu, patrzyła na Szereka szary kwadrat okna, a potem spojrzała na niego. Leżał na plecach, oddychając tak cicho, że jego pierś nie unosiła się prawie, twarz, daleka i surowa w bladym świetle brzasku, odchylona była nieco w tył. Wróciliśmy do siebie z wielkiej oddali — pomyślała Takver. Zawsze tak robiliśmy. Wracaliśmy do siebie z wielkiej oddali — przestrzeni, lat, otchłani przypadku. On przybywa z tak daleka, że już nic nie zdoła nas rozdzielić. Nic, żadne odległości, lata nie mogą być większe od tej odległości, która nas już rozdzieliła, od różnicy naszych płci, odmienności naszych istnień, naszych umysłów; tej rozpadliny, otchłani, którą spinamy jednym spojrzeniem, dotknięciem, słowem, rzeczami najprostszymi w świecie. Spójrz, jak jest daleko, kiedy śpi. Spójrz, jak daleko — i zawsze tak daleko. Lecz wraca, wraca, wraca…

Takver zapowiedziała, że ma zamiar odejść ze szpitala w Chakar, została jednak, póki nie znaleziono na jej miejsce w laboratorium zastępstwa. Pracowała po osiem godzin dziennie — w trzecim kwartale roku 168 wiele osób pracowało nadal na w przedłużonych zmianach okresu klęski, bo choć susza skończyła się zimą 167, gospodarce daleko było do stanu normalności. Hasło: „Dużo pracuj, mało jedz" nadal pozostawało wytyczną wykwalifikowanych pracowników; racje żywnościowe rekompensowały już wszakże

dzienny wydatek energii, co jeszcze rok, dwa lata temu nie było bynajmniej regułą.

Szevek przez pewien czas nie zajmował się na dobrą sprawę niczym. Nie uważał się za chorego; po czterech latach głodu tak wszyscy przywykli do skutków trudów i niedożywienia, że uznawali je za coś normalnego. Cierpiał na „kaszel pyliczy" (przypadłość endemiczną wśród wspólnot południowych pustyń), chroniczne zapalenie oskrzeli (podobne do pylicy krzemowej), a także na inne górnicze choroby, ale i one były czymś, co w tamtych regionach uważano za rzeczy zwyczajne. Cieszył się po prostu tym, że gdy nie chce mu się nic robić, niczego robić nie musi.

Przez parę dni dzielił pokój z Szerut — oboje spali do późnego popołudnia — potem ta cicha czterdziestoletnia kobieta przeprowadziła się do innej pracownicy na nocną zmianę i przez następne cztery dekady, jakie spędzili w Chakar, on i Takver mieli pokój wyłącznie dla siebie. Gdy ona była w pracy, on spał, wałęsał się po polach lub po suchych, nagich wzgórzach za miastem. Późnym popołudniem przechodził w powrotnej drodze koło ośrodka kształceniowego i przyglądał się Sadik i jej towarzyszom na placu zabaw, bądź też angażował się (co dorośli nieraz czynili) w któreś z dziecięcych zajęć — dołączał do grupy zwariowanych siedmioletnich stolarzy lub do dwójki poważnych dwunastoletnich geometrów, którzy napotkali na trudności w triangulacji. Potem wracali z Sadik do pokoju; później wychodzili na spotkanie wracającej z pracy Takver i szli razem do łaźni, a następnie do jadłodajni. W godzinę lub dwie po kolacji odprowadzali dziewczynkę do noclegowni i wracali do siebie. Dni upływały w niezmąconym spokoju, opromienione jesiennym słońcem, spowite w cisze wzgórz.

Dla Szeveka był to czas poza czasem, czas poza nurtem czasu — nierzeczywisty, niezniszczalny, zaczarowany. On i Takver rozmawiali nieraz do późna w nocy; to znów kładli się do łóżka zaraz po zapadnięciu ciemności i przesypiali jedenaście, dwanaście godzin w głębokiej, krystalicznej ciszy górskiej nocy.

Przywiózł ze sobą bagaż: mały, zniszczony kuferek z płyty pilśniowej, na którym czarnym atramentem wypisane było dużymi literami jego imię. Wszyscy Anarresyjczycy podróżowali z takimi kuferkami z pomarańczowej płyty pilśniowej, okrutnie porysowanymi i powgniatanymi; nosili w nich papiery, pamiątki, zapasową parę butów. Walizka Szeveka mieściła nową koszulę, którą pobrał, przejeżdżając przez Abbenay, kilka książek, nieco papierzysk oraz dziwny przedmiot, który zdawał się składać — dopóki spoczywał na dnie walizki — z wielu płaskich, drucianych pętli i paru szklanych paciorków. Drugiego wieczoru po przyjeździe Szevek z tajemniczą miną pokazał go córce.

— To jest naszyjnik — orzekła mała z zachwytem.

Mieszkańcy małych miasteczek nosili sporo biżuterii. W wyrafinowanym Abbenay — gdzie panowało silniejsze napięcie między zasadą nieposiadania a chętką przyozdabiania się — pierścionek czy spinka wyznaczały granicę dobrego smaku. Gdzie indziej jednak nie przejmowano się zupełnie tym głębokim związkiem, jaki zachodzi między estetyką a zbytkiem; ludzie stroili się bezwstydnie. W większości okręgów — trudząc się dla sławy i miłości ludzkiej — działał zawodowy jubiler, istniały również pracownie rzemieślnicze, gdzie można było zaspokajać zachcianki gustu przy pomocy dostępnych tam niewyszukanych materiałów — miedzi, srebra, paciorków, spineli, granatów i żółtych diamentów z Południowyżu. Sadik nie miała okazji oglądać zbyt wielu błyszczących, delikatnych cacek, widywała jednak naszyjniki, toteż naszyjnika dopatrzyła się w drucianych kręgach.

— Nie, spójrz — rzekł ojciec i uroczyście, wprawnie podniósł tajemniczy przedmiot za łączącą kilka drucianych zwojów nitkę.

Zwisnąwszy u jego dłoni, przedmiot ożył — pętle poczęły obracać się swobodnie, zakreślając jedna wewnątrz drugiej powietrzne sfery, szklane paciorki rozbłysły odblaskiem lampy.

— Ach, jakie to śliczne! — zawołało dziecko. — Co to jest?

— Wiesza się to u sufitu. Znajdzie się tu jakiś gwóźdź? Przyniosę później z Zaopatrzenia, na razie wystarczy haczyk na palta. Czy wiesz, kto to zrobił, Sadik?

— Nie. Ty.

— Ona. Matka. Ona to zrobiła. — Odwrócił się do Takver. — To moje ulubione, to które wisiało nad biurkiem. Inne oddałem Bedapowi. Ani myślałem zostawiać je tej starej — jakże jej było? Mamie Zazdrośnicy z głębi korytarza.

— A, Bunub! Lata już jak o niej nie myślałam!

Takver roześmiała się drżącym śmiechem. Przyglądała się mobilowi, jakby się go bała. Sadik wpatrywała się w lekką konstrukcję, w cichych obrotach poszukującą stanu równowagi.

— Chciałabym — powiedziała na koniec ostrożnie — powiesić sobie to na jedną noc nad łóżeczkiem w noclegowni.

— Zrobię ci takie samo, kochanie. Na wszystkie noce.

— Ty naprawdę umiesz to robić, Takver?

— No cóż, kiedyś umiałam. Myślę, że będę mogła zrobić ci coś podobnego. — W oczach Takver stanęły już jawnie łzy.

Szevek objął ją ramieniem. Wciąż byli oboje na granicy płaczu, ogromnie napięci. Sadik przyglądała się przez chwilę przytulonym rodzicom spokojnym, bacznym spojrzeniem, po czym odwróciła się, by obserwować Zajęcie Nie Zamieszkanej Przestrzeni.

Wieczorami, gdy zostawali we dwoje, córka stawała się często

tematem ich rozmów. Takver — nie mając kogo obdarzać czułością — była nieco przesadnie zajęta dzieckiem. Macierzyńskie ambicje i niepokoje przyćmiły jej zdrowy rozsądek. Nie było to jej przyrodzone; ani współzawodnictwo, ani opiekuńczość nie miały dla Anarresyjczyków większego powabu. Była więc rada, mogąc wyżalić się, pozbyć trosk, co umożliwiała jej obecność Szeveka. Podczas ich pierwszych po rozłące nocy to ona głównie mówiła, on zaś słuchał — jak mógłby słuchać muzyki lub szmeru płynącej wody — nie usiłując odpowiadać. Od czterech lat odzywał się niewiele, odwykł od rozmów. Dopiero Takver — jak to zwykle bywało — uwolniła go od tego milczenia. Później to on przeważnie mówił, przywiązując jednak zawsze wagę do jej odpowiedzi.

— Pamiętasz Tirina? — zapytał pewnej nocy.

Było zimno; nastała zima i pokój — położony najdalej od domicylowej kotłowni — nigdy się nie nagrzewał, nawet przy otwartej na całą szerokość przepustnicy. Ściągnęli więc pościel z obu tapczanów i opatulili się w nią oboje na łóżku bliższym nawiewnika ciepła. Szevek miał na sobie starą, do reszty spraną koszulę, żeby mu było ciepło, gdyż lubił w łóżku siedzieć. Takver, całkiem naga, wsunęła się pod koce aż po czubek nosa.

— Co się stało z tym pomarańczowym kocem? — spytała.

— Co za posiadaczka! Zostawiłem go.

— Mamie Zazdrośnicy? Jaka szkoda. Nie jestem posiadaczką.

Jestem po prostu sentymentalna. To był pierwszy koc, pod jakim spaliśmy.

— Wcale nie. Musieliśmy się czymś przecież przykrywać w górach Ne Theras.

— Jeśli nawet, już tego nie pamiętam — roześmiała się. — O kogo to pytałeś?

— OTirina.

— Nie przypominam sobie.

— Instytut Okręgowy w Północowyżu. Taki ciemny, zadzierający nosa chłopak…

— A, Tirin! Oczywiście. Myślałam o Abbenay.

— Widziałem się z nim na Południowym Zachodzie.

— Widziałeś się z Tirinem? Jakże się on miewa?

Przez chwilę prowadził palec po splotach koca i nie odpowiadał.

— Pamiętasz, co mówił nam o nim Bedap?

— Że wciąż dostawał skierowania kleggich, włóczył się z miejsca na miejsce, aż w końcu wylądował na Segvinie, czy tak? Potem Dap stracił go z oczu.

— Widziałaś tę sztukę, którą wystawił, tę, która narobiła mu kłopotów?

— Na Letnim Festiwalu po twoim wyjeździe? Och tak. Nie

pamiętam jej już, to było tak dawno. Była głupiutka. Dowcipna — Tirin był dowcipny — ale głupiutka. Opowiadała o pewnym Urrasyjczyku — tak, teraz pamiętam. Ten Urrasyjczyk chowa się w zbiorniku hydroponicznym na pokładzie lecącego na Księżyc frachtowca, oddycha przez słomkę i odżywia się korzeniami roślin. Mówiłam ci, że to głupie! W ten sposób przemyca się na Anarres. Potem szwenda się to tu, to tam, próbuje kupować towary na składach, próbuje sprzedawać coś ludziom i zbiera złote samorodki, aż ma ich tyle, że nie może się ruszyć. Osiada więc tam, gdzie go to złoto przycisnęło, buduje sobie pałac i tytułuje się Właścicielem Anarres. Potem była taka okropnie śmieszna scena, kiedy on i ta kobieta chcą kopulować, ona leży już rozkraczona i cała gotowiuteńka, a on nie może z nią spółkować, póki jej nie zapłaci tymi swoimi złotymi samorodkami. Ale ona ich nie chce. To było śmieszne: ta leży i przebiera nogami, ten się do niej zabiera, a potem odskakuje, jakby go coś ugryzło, i krzyczy: „Nie mogę! To niemoralne! To nie jest dobry interes!” Biedny Tirin! Był taki komiczny, taki pełen życia.

— To on grał tego Urrasyjczyka?

— Tak. Był doskonały.

— Pokazywał mi tę sztukę. Parę razy.

— Gdzieś go spotkał? W Wielkiej Dolinie?

— Nie, wcześniej, w Łokciu. Był dozorcą w fabryce.

— Z własnego wyboru?

— Nie sądzę, by Tir był wówczas zdolny do dokonywania jakichkolwiek wyborów… Bedap był zawsze przekonany, że skłoniono go do wyjazdu na Segvinę, zmuszono, żeby poprosił o leczenie. Sam nie wiem. Kiedy go zobaczyłem, po kilku latach terapii, był człowiekiem złamanym.

— Myślisz, że coś mu tam na Segvinie zrobili…?

— Nie wiem. Uważam, że Sanatorium stara się zapewniać osłonę, dawać schronienie. Sądząc z ich syndykatowych publikacji, są nastawieni co najmniej altruistycznie. Nie sądzę, żeby to oni doprowadzili Tirina do obłędu.

— Więc co go tak złamało? Tylko to, że nie mógł znaleźć takiej placówki, jaką by chciał?

— Wykończyła go ta sztuka.

— Sztuka? Rwetes, jaki wokół niej podniosły te stare pierdoły?

Och, słuchaj, żeby zbzikować z powodu takiej moralistycznej połajanki, trzeba już być naprawdę stukniętym. Wystarczyło to zignorować!

— Tir był już stuknięty. Wedle norm naszego społeczeństwa.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— No cóż, sądzę, że on jest urodzonym artystą. Nie rzemieślnikiem — twórcą. Wynalazcą-burzycielem, z gatunku tych, co

to muszą wszystko wywrócić do góry nogami i wypatroszyć. Satyrykiem, czyli kimś, kto chwali przez złość.

— Czy ta sztuka była aż tak dobra? — zapytała naiwnie Takver, wysunąwszy się nieco spod kocy i wpatrując się badawczo w profil Szeveka.

— Nie. Nie wydaje mi się. Choć na scenie mogła być zabawna.

Ostatecznie miał tylko dwadzieścia lat, kiedy ją pisał. Wciąż ją przerabia. Nie napisał nigdy nic innego.

— Wciąż pisze tę samą sztukę?

— Wciąż tę samą sztukę.

— Hm — mruknęła ze współczuciem i niechęcią.

— Przychodził co parę dekad i pokazywał mi ją. A ja czytałem — albo udawałem, że czytam — i próbowałem z nim o niej rozmawiać. Bardzo mu zależało, żeby o niej rozmawiać, ale nie mógł.

Zanadto się bał.

— Czego? Nie rozumiem.

— Mnie. Wszystkich. Organizmu społecznego, ludzkiego gatunku, braterstwa, które go odtrąciło. Kiedy człowiek czuje, że jest sam przeciw wszystkim, ma podstawy do lęku.

— Chcesz powiedzieć, że tylko dlatego, iż pewni ludzie okrzyknęli jego sztukę niemoralną i wołali, że nie powinno mu się powierzać posady nauczyciela, on już uznał, że wszyscy są przeciwko niemu? To niezbyt mądre!

— A kto był za nim?

— No, Dap… przyjaciele.

— Ale przecież stracił z nimi kontakt. Posłano go daleko od nich.

— Więc czemu nie odrzucił skierowania?

— Posłuchaj, Takver. Myślałem dokładnie tak samo. Zawsze tak mówimy. Ty też tak mówiłaś: powinnam była odmówić wyjazdu do Rolnego. Ja też tak sobie mówiłem po przyjeździe do Łokcia: jestem człowiekiem wolnym, nie musiałem tu przyjeżdżać!… Myślimy tak i mówimy — ale nigdy tak nie robimy. Nasza inicjatywa jest bezpiecznie schowana w naszym mózgu — jak pokój, do którego możemy wejść i powiedzieć: Nie muszę nic robić, jestem panem samego siebie, jestem wolny. Po czym opuszczamy ten pokoik w naszej głowie i udajemy się tam, dokąd nas skieruje KPR, i siedzimy tam, dopóki nie otrzymamy nowego skierowania.

— Och, to wcale nieprawda, Szev. Sprawiła to dopiero susza.

Przedtem nie było nawet połowy tych skierowań — ludzie podejmowali pracę, gdzie chcieli, przyłączali się do jakiegoś istniejącego syndykatu albo tworzyli własny i rejestrowali go w Kompopracu. Zaś ten przydzielał skierowania głównie tym, którzy woleli się rejestrować w Puli Prac Ogólnych. Teraz wrócą te same zasady.

— Nie jestem tego pewien. Powinny, oczywiście. Ale nawet przed zapanowaniem głodu sprawy nie szły w tym kierunku, wprost przeciwnie. Bedap miał rację: każdy stan wyjątkowy, każdy nawet nabór do pracy przyczynia się do rozbudowywania biurokratycznej machiny w ramach KPR i swoistego kostnienia — tak było, tak jest, tak być powinno… I do suszy miałaś tego mnóstwo.

Pięć lat surowej kontroli mogło utrwalić ten wzór na zawsze. Nie rób takiej sceptycznej miny! Słuchaj, powiedz mi, ile ty znasz osób, które odmówiły przyjęcia skierowania — choćby i przed głodem.

Takver zamyśliła się nad odpowiedzią.

— Nie licząc nuchnibi?

— Nie, nie. Nuchnibi też się liczą.

— No więc tak, kilku przyjaciół Dapa — ten miły kompozytor, Salas, paru tamtych flejtuchów. A kiedy byłam małym dzieckiem, w Dolinie Krążystej pokazywali się prawdziwi nuchnibi. Tyle że oni oszukiwali, jak mi się zresztą zawsze wydawało. Opowiadali takie urocze kłamstwa i zmyślone historyjki, przepowiadali przyszłość, każdy rad ich gościł, utrzymywał i karmił tak długo, jak długo zabawiali. Ale oni nigdy długo nie zabawili… Wreszcie weź: ludzie zabierali się i przenosili do miasta, głównie dzieci, niektórzy po prostu nie cierpieli pracy na roli, porzucali więc swoje stanowiska i wyjeżdżali. Robiono tak zawsze i wszędzie. Ludziska kręcą się po świecie, szukając, gdzie im będzie lepiej. Nie nazwiesz tego przecież odrzucaniem skierowań!

— A czemuż by nie?

— Do czego ty właściwie zmierzasz? — mruknęła, wsuwając się głębiej pod koc.

— Zmierzam do tego, że my wstydzilibyśmy się przyznać do odrzucenia skierowania. Że sumienie społeczne całkowicie zdominowało sumienie jednostki, zamiast pozostawać z nim w zgodzie. My już nie współpracujemy — my pokornie słuchamy.

Boimy się, że zostaniemy odtrąceni, nazwani osobnikami leniwy „M. niefunkcjonalnymi, egoizującymi. Odczuwamy więcej obawy przed opinią sąsiada, niż mamy szacunku dla własnego wolnego wyboru. Widzę, że ty mi nie wierzysz, Tak, ale choć spróbuj, spróbuj przekroczyć tę granicę — choćby tylko w wyobraźni — i zbadaj, co czujesz. Zdasz sobie wtedy sprawę, kim jest Tirin i dlaczego został rozbitkiem, człowiekiem straconym. On jest zbrodniarzem, bo my stworzyliśmy zbrodnię, dokładnie tak jak posiadacze. Wyrzucamy człowieka poza obszar naszej aprobaty, a potem go za to potępiamy. Stworzyliśmy prawa, prawa zwyczajowego postępowania, wznieśliśmy wokół siebie mury i nie potrafimy ich nawet dostrzec, bo stały się częścią naszego sposobu myślenia. Tir nie byłby do czegoś takiego zdolny. Znam go od dziesiątego roku życia. Nigdy tego nie robił, nie

umiał budować murów. Był urodzonym buntownikiem. Urodzonym odonianinem, prawdziwym odonianinem! On był człowiekiem wolnym, a my — jego bracia — doprowadziliśmy go do obłędu, karząc za pierwszy swobodny czyn.

— Nie wydaje mi się — mruknęła zagrzebana w łóżku Takver — żeby Tirin był szczególnie silną osobowością.

— W istocie, był wyjątkowo wrażliwy.

Zapadła długa cisza.

— Nic dziwnego, że to cię gnębi — odezwała się Takver. — Jego sztuka. Twoja książka.

— Ale ja jestem w szczęśliwszym położeniu. Naukowiec może udawać, że jego praca nie jest z nim tożsama, że jest jedynie bezosobową Prawdą. Artysta nie może schować się za Prawdę. On nigdzie nie może się schować.

Obserwowała go przez jakiś czas kątem oka, następnie obróciła się i usiadła, naciągając koc na ramiona.

— Bit! Ależ zimnica… Nie miałam racji z tą książką, prawda?

Nie należało pozwalać Sabulowi, żeby ją okroił i opatrzył swoim imieniem. Wydawało się to jednak słuszne. Wydawało się, że jest to przedkładanie pracy nad pracownika, dumy nad próżność, wspólnoty nad własne ja, i tak dalej, i temu podobne. Ale to w gruncie rzeczy nie miało z tym wszystkim nic wspólnego, prawda? To była kapitulacja. Poddanie się dyktatowi Sabula.

— Nie wiem. Książka została jednak wydrukowana.

— Słuszny cel, ale złe środki! Szev, ja długo o tym w Rolnym myślałam. Powiem ci, co tu było złe. Byłam w ciąży. Kobiety ciężarne nie kierują się moralnością. Jedynie najprymitywniejszym instynktem poświęcenia się. Do diabła z książką, z partnerstwem z prawdą, jeśli zagrażają bezcennemu płodowi!… To popęd do zachowania gatunku, działać może jednak również na szkodę wspólnoty; jest biologiczny, nie społeczny. Mężczyzna powinien być wdzięczny, że nigdy go nie doświadcza. Lepiej jednak, żeby zdawał sobie sprawę, że może mu ulegać kobieta, i miał się przed tym na baczności. Sądzę, że to dlatego władyckie systemy w przeszłości traktowały kobiety jak własność. One zaś czemu na to pozwalały? Bo stale chodziły w ciąży — bo już były zawłaszczone, zniewolone!

— Możliwe, zgoda, ale nasze społeczeństwo, tu na Anarres, jeśli tylko prawdziwie wciela w życie ideały Odo, jest wspólnotą prawdziwą. To przecież kobieta złożyła Obietnicę! Co ty wyprawiasz? Pozwalasz sobie na uczucie winy? Tarzasz się w nim? — Nie użył słowa „tarzać się”, na Anarres nie było przecież zwierząt, które mogłyby się „tarzać „; posłużył się złożeniem, znaczącym dosłownie: „pokrywać się stale grubą warstwą kału”. Giętkość i precyzja języka prawickiego sprzyjały tworzeniu obrazowych metafor, czego jego

twórcy nie przewidzieli.

— Ależ nie. To było cudowne — móc urodzić Sadik! Ale myliłam się co do książki.

— Myliliśmy się oboje. Myliliśmy się zawsze razem. Chyba naprawdę nie sądzisz, że podjęłaś tę decyzję bez mojego udziału?

— Myślę, że w tym przypadku jednak tak.

— Nie. W gruncie rzeczy nie podjęło jej żadne z nas, żadne z nas nie dokonało wyboru. Pozwoliliśmy Sabulowi, żeby wybrał za nas — naszemu własnemu, siedzącemu w nas Sabulowi: konwencji, moralności, lękowi przed społecznym ostracyzmem, obawie przed byciem innym, przed byciem wolnym! Nigdy więcej. Uczę się powoli, lecz jednak się uczę.

— Co zamierzasz zrobić? — zapytała z dreszczykiem ochoty i podniecenia w głosie.

— Pojechać z tobą do Abbenay i założyć syndykat wydawniczy.

Wydrukować nie okrojone Zasady. Drukować wszystko, co się nam spodoba. Zarys otwartej oświaty naukowej Bedapa, którego KPR nie chciało rozpowszechniać. Sztukę Tirina. Jestem mu to winny. Nauczył mnie, czym są więzienia i kto je buduje. Ci, którzy wznoszą mury, są swoimi własnymi więźniami. Mam zamiar wypełnić moją właściwą funkcję w organizmie społecznym. Zamierzam pojechać tam i rozebrać mury.

— To może się okazać dość ryzykowne — zauważyła Takver, otulona kocami. Oparła się o niego, a on otoczył ją ramionami.

— Spodziewam się — powiedział.

Po zaśnięciu Takver długo leżał tamtej nocy z rękami pod głową, wpatrzony w ciemność, wsłuchany w ciszę. Przypominał sobie długą podróż z Kurzawy, płaszczyzny i miraże pustyni, maszynistę o łysej, opalonej głowie i szczerych oczach, który powiedział, że człowiek powinien mieć czas po swojej stronie — współpracować z nim, a nie mu przeszkadzać.

Przez te ostatnie cztery lata dowiedział się czegoś na temat własnej woli. W jej słabości odkrył jej siłę — przemożniejszą od wszelkich społecznych i etycznych nakazów. Nie zdołał jej stłumić nawet głód. Im mniej posiadał, tym silniejszą odczuwał potrzebę, żeby być.

Uznawał tę potrzebę — mówiąc językiem odonizmu — za swoją „funkcję komórkową", co oznaczało (w trybie analogicznym) niepowtarzalność jednostki i pracy, do jakiej dana jednostka była najzdatniejsza, umożliwiającej jej zatem najpełniejszy wkład w dzieło społeczności. Zdrowe społeczeństwo pozwoliłoby mu kultywować swobodnie tę jego optymalną funkcję, w koordynacji z resztą równorzędnych funkcji, szukających dla siebie miejsca i wyrazu.

Taka była centralna idea Analogii Odo. Fakt, że społeczność

odońska na Anarres idei tej nie sprostała, w jego mniemaniu jego samego z zobowiązania wobec tego ideału nie zwalniał; wprost przeciwnie. Wraz z obaleniem mitu państwa ukazały się wyraziście prawdziwe związki wzajemne społeczności i jednostki. Od jednostki można żądać poświęcenia, nigdy — kompromisu, bo choć tylko społeczność może zapewnić bezpieczeństwo i stabilność, jedynie jednostka, osoba ma zdolność moralnego wyboru — zdolność zmiany, tej podstawowej funkcji życia. Społeczeństwo odońskie zostało zaprojektowane jako nieustająca rewolucja, a rewolucja zaczyna się w głowie.

Snuł te rozważania w tych właśnie terminach, bo inaczej niż po odońsku nie potrafił myśleć.

Upewnił się zatem, że jego niezachwiana i niezłomna wola tworzenia była (wedle pojęć odonizmu) sama dla siebie usprawiedliwieniem. Jego poczucie zasadniczej odpowiedzialności wobec własnej pracy nie odcinało go — jak skłonny był sądzić — od jego towarzyszy i społeczeństwa, ale tym silniej z nimi zespalało.

Przekonany też był, że człowiek, który poczuwa się do takiej odpowiedzialności wobec jakiejś jednej rzeczy, winien okazywać równą odpowiedzialność i wobec pozostałych. Było błędem uznawać się za narzędzie swojego powołania i nic ponadto i poświęcać dla niego inne zobowiązania.

O tym właśnie mówiła Takver, chęć do takiego poświęcenia odkryła w sobie, będąc w ciąży; mówiła zaś o tym ze zgrozą, z odrazą do samej siebie, bo i ona wyznawała odonizm, bo i dla niej rozdzielanie środków i celów było czymś fałszywym. I dla niej — podobnie jak dla niego — nie liczył się cel jako cel. Liczył się proces: proces był wszystkim. Można było pójść w dobrym kierunku, zbłądzić, ale nie oczekiwać, wyruszając w drogę, że dokądś się dojdzie. Wszelkie zobowiązania i przyrzeczenia tak pojmowane nabierały tym większej wagi i trwałości.

Dlatego wzajemne zobowiązanie łączące jego i Takver, ich związek, przetrwało bez szwanku czteroletnią rozłąkę. Oboje z tego powodu cierpieli — i to cierpieli srodze — ani jemu jednak, ani Takver nie przyszło do głowy, żeby uciec od tej udręki łamiąc zobowiązanie.

W istocie bowiem — rozmyślał, grzany ciepłem snu Takver — szukali oboje radości, pełni istnienia. Unikając cierpienia, zaprzepaścisz też szansę na szczęście. Przyjemności bądź przyjemnostek możesz zaznać, lecz nie dostąpisz spełnienia. Nie dowiesz się, co to znaczy wracać do domu.

Takver westchnęła cicho — jakby się zgadzała ze swoim partnerem — i odwróciła się na drugi bok, podążając za biegiem jakiegoś przyjemnego snu.

Spełnienie — myślał — jest funkcją czasu. Pogoń za przyjemnościami ma charakter kolisty, powtarzalny, pozaczasowy. Uganianie się za odmianą, jakiemu się oddają widz, łowca silnych przeżyć i rozpustnik, kończy się zawsze w tym samym miejscu. Ma kres.

Dobiega go i musi się rozpoczynać od nowa. Nie jest podróżą i powrotem, ale zamkniętym kręgiem, zamkniętym pokojem, celą.

Na zewnątrz zaś tego zamkniętego pokoju rozciąga się krajobraz czasu, w którym dusza — jeśli ma szczęście i odwagę — może budować kruche, prowizoryczne, niemożliwe drogi i miasta wierności: krajobraz nie zamieszkany przez istoty ludzkie.

Dopóki jakiś czyn nie spełnia się w krajobrazie przeszłości i przyszłości, dopóty nie jest czynem ludzkim. Wierność, która potwierdza następstwo przeszłości i przyszłości, wiążąc czas w jedną całość, jest korzeniem ludzkiej siły; bez niej niczego dobrego zdziałać nie sposób.

Spoglądając wstecz na cztery minione lata, Szevek dostrzegał w nich nie czas zmarnowany, ale fragment budowli, jaką on i Takver wznosili swoim życiem. Jedna z zalet współdziałania z czasem, a nie przeciwstawiania się mu — pomyślał — polega na tym, że się go nie marnuje. Nawet ból się liczy.

Rozdział jedenasty
Urras

Rodarred, dawna stolica prowincji Avan, było miastem strzelistym: las sosen, nad których wierzchołkami górował jeszcze las wież. Ulice w cieniu drzew były mroczne i wąskie, omszałe, często zasnute mgłą. Jedynie stanąwszy na jednym z siedmiu spinających rzekę mostów, można było, podniósłszy wzrok, dojrzeć szczyty wież. Niektóre z nich liczyły setki stóp wysokości, inne wyglądały jak ledwie od ziemi odrosłe pędy — jak gdyby zwykłe domy obróciły się w nasiona. Jedne były z kamienia, inne z porcelany, mozaiki, tafli kolorowego szkła, pokryte miedzią, cyną albo złotem, niewiarygodnie ozdobne, delikatne, lśniące. Wśród tych bajkowych, czarownych ulic miała swoją siedzibę — odkąd istniała, to znaczy od trzystu lat — Urrasyjska Rada Rządów Świata. W Rodarred — położonym o niecałą godzinę drogi od Nio Esseii — skupiały się też siedziby rządu narodowego, ponadto wiele amabasad i konsulatów przy RRŚ i A-Io.

Ambasada Terry przy RRŚ mieściła się w rozsiadłym między rzeką a szosą do Nio Zamku Nadrzecznym, który wystrzelał w górę samotną, przysadzistą, surową wieżycą o kwadratowym dachu i skośnych, podobnych do zmrużonych oczu oknach. Mury tego zamczyska od tysiąca czterystu lat opierały się machinom oblężniczym i pogodzie. Od strony lądu obrastały go ciemne drzewa, wśród których krył się przerzucony nad fosą zwodzony most. Był opuszczony, brama zaś była podniesiona. Wszystko to — fosa, rzeka, trawa, sczerniałe mury, flaga na wieży — pobłyskiwało w zamglonym słońcu, przedzierającym się przez nadrzeczne opary; tymczasem dzwony na wieżach Rodarred podjęły rozwlekłe i do obłędu harmonijne zadanie wydzwaniania godziny siódmej.

Urzędnik w niezwykle nowoczesnej recepcji na zamku był zajęty ziewaniem od ucha do ucha.

— Otwieramy dopiero o ósmej — oznajmił bezbarwnie.

— Chciałbym się widzieć z ambasadorem.

— Ambasador spożywa śniadanie. Będzie się pan musiał zapisać na audiencję. — Powiedziawszy to, przetarł załzawione oczy i po raz pierwszy mógł dokładniej przyjrzeć się petentowi. Wlepił w niego wzrok, parę razy poruszył szczęką i zapytał: — Kim pan jest? Skąd pan… Czego pan sobie życzy?

— Chcę się widzieć z ambasadorem.

— Proszę zaczekać — powiedział urzędnik z najczystszym ajońskim akcentem i nie przestając wybałuszać oczu, sięgnął po telefon.

Między bramą mostu zwodzonego a wejściem do ambasady zatrzymał się samochód, z którego — pobłyskując w słońcu metalowymi okuciami czarnych płaszczy — wysiadło kilku mężczyzn.

Z głównej części gmachu weszli tymczasem do holu dwaj pogrążeni w rozmowie dziwnie wyglądający i dziwacznie ubrani mężczyźni. Szevek, starając się biec, rzucił się w ich stronę, okrążając kontuar recepcji.

— Pomóżcie mi! — zawołał.

Popatrzyli nań wystraszeni. Jeden z nich cofnął się, marszcząc brwi. Drugi spojrzał obok Szeveka na grupkę umundurowanych mężczyzn, która wkraczała właśnie do ambasady.

— Tędy — zakomenderował chłodno, chwycił Szeveka za ramię i — z gestem i gracją tancerza baletowego skoczywszy dwa kroki w bok — zamknął się wraz z nim w małym, bocznym biurze.

— Co się stało? Jest pan z Nio Esseii?

— Chciałbym się widzieć z ambasadorem.

— Jest pan jednym ze strajkujących?

— Szevek. Mam na imię Szevek. Jestem z Anarres.

Błyszczące, inteligentne oczy cudzoziemca zabłysły w jego czarnej jak noc twarzy.

— Mai-godl — wyszeptał, po czym zapytał po ajońsku: — Czy chce pan prosić o azyl?

— Nie wiem. Ja…

— Proszę za mną, doktorze Szevek. Zaprowadzę pan gdzieś, gdzie będzie mógł pan spocząć.

Potem były jakieś hole, schody, dłoń czarnego człowieka na ramieniu Szeveka.

Jacyś ludzie próbowali mu ściągnąć płaszcz. Opierał się ze strachu, że chcą mu zabrać ukryty w kieszonce koszuli notes. Ktoś powiedział coś stanowczo w nie znanym mu jeżyku. Ktoś inny rzekł uspokajająco:

— Wszystko w porządku. On chce tylko sprawdzić, czy nie jest pan ranny. Ma pan okrwawiony płaszcz.

— To nie moja krew — wyjaśnił Szevek. — To krew innego człowieka.

Zdołał usiąść, choć kręciło mu się w głowie. Siedział na kanapie w jakimś przestronnym, zalanym słońcem pokoju. Chyba zemdlał.

Stało nad nim kilku mężczyzn i jedna kobieta. Obrzucił ich pytającym spojrzeniem.

— Znajduje się pan w ambasadzie Terry, doktorze Szevek. Jest pan na terrańskim terytorium. Jest pan tutaj zupełnie bezpieczny.

Może pan tu zostać tak długo, jak długo pan zechce.

Kobieta miała skórę żółto-brązową, barwy żelazistej ziemi, nie owłosioną — z wyjątkiem czubka głowy; nie tyle wygoloną, co

bezwłosą. Rysy twarzy miała dziwaczne, dziecinne, usta drobne, nos o płaskiej nasadzie, długie i ciężkie powieki, policzki i podbródek krągłe, z poduszeczkami tłuszczu. Cała jej postać była krąglutka, gibka, dziecinna.

— Jest pan tu bezpieczny — powtórzyła.

Spróbował się odezwać, ale nie zdołał. Jeden z mężczyzn popchnął go delikatnie w pierś i poradził:

— Niech pan leży, niech pan leży.

Opadł na plecy i wyszeptał:

— Chciałbym się widzieć z ambasadorem.

— Ja nim jestem. Nazywam się Keng. Cieszymy się, że pan do nas przyszedł. Jest pan tutaj bezpieczny. Proszę teraz odpocząć, doktorze Szevek, porozmawiamy później. Nie ma pośpiechu.

Głos miała dziwny, płaski i ochrypły, podobny do głosu Takver.

— Nie wiem, co robić, Takver — poskarżył się w ojczystym języku.

— Śpij — poradziła.

Więc zasnął.

Po upływie dwóch dni, które spędził na spaniu i jedzeniu, wprowadzono go — ubranego na powrót w jego szary ajoński garnitur, lecz wyprany i wyprasowany — do mieszczącego się na trzecim piętrze wieży prywatnego gabinetu ambasadora.

Ambasador nie ukłoniła mu się ani nie podała ręki, złączyła tylko dłonie na piersiach i uśmiechnęła się.

— Cieszę się, że czuje się pan już lepiej, doktorze Szevek. Ach nie, powinnam zwracać się do ciebie po prostu Szevek, prawda?

Usiądź, proszę. Przykro mi, że zmuszona jestem przemawiać do ciebie po ajońsku, w języku obcym dla nas obojga. Twojego języka nie znam. Mówiono mi, że jest nadzwyczaj ciekawy, jedyny język racjonalnie poczęty, który stał się mową wielkiego narodu.

W towarzystwie tej uprzejmej cudzoziemki czuł się zwalisty, ciężki i kudłaty. Usiadł w jednym z głębokich, miękkich foteli.

Keng również usiadła, ale skrzywiła się przy tym.

— Od siedzenia w tych wygodnych fotelach bolą mnie plecy — poskarżyła się i Szevek uświadomił sobie wtedy, że ona nie ma, jak mu się zdawało, lat trzydziestu albo jeszcze mniej, ale co najmniej sześćdziesiąt; zwiodła go jej gładka skóra i dziecinna twarz. — U nas — podjęła — siada się przeważnie na rozłożonych na podłodze poduszkach. Gdybym to jednak zechciała praktykować tutaj, musiałabym jeszcze wyżej zadzierać na was głowę. Wy, Ceteńczycy, jesteście tacy wysocy!… Mamy mały problem. To znaczy nie tyle my, co rząd A-Io. Widzisz, twoi towarzysze z Anarres — ci, którzy utrzymują łączność radiową z Urras — domagają się stanowczo rozmowy z tobą. I rząd ajoński znalazł się w kłopocie. — Uśmiechnęła

się, szczerze rozbawiona. — Nie wie, co odpowiedzieć.

Była spokojna. Spokojna jak ogładzany wodą kamień, którego widok przynosi ukojenie. Szevek usiadł wygodniej w fotelu i długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Czy rząd ajoński wie, że tutaj jestem?

— No cóż, oficjalnie nie. Myśmy tego nie ogłosili, oni nie pytali. Mamy jednak w ambasadzie paru ajońskich urzędników i sekretarzy. Więc naturalnie wiedzą.

— Czy moja obecność stwarza dla was jakieś zagrożenie?

— Ależ nie. Nasza ambasada jest przedstawicielstwem przy Radzie Rządów Świata, a nie przy rządzie A-Io. Miałeś pełne prawo schronić się tutaj, pozostali członkowie Rady wymusiliby na nich uznanie tego faktu. Jak ci już powiedziałam, ten zamek to terytorium Terry. — Znów się uśmiechnęła; jej gładka twarz pokryła się siateczką drobniutkich zmarszczek, potem się na powrót wygładziła. — Zachwycająca fantazja dyplomatów! Ten zamek, oddalony o jedenaście lat świetlnych od mojej ojczyzny, ten pokój na wieży w Rodarred, w państwie A-Io, na planecie Urras, w systemie słonecznym Tau Ceti — jest terytorium Terry.

— Więc możecie powiadomić ich, że tu jestem.

— Świetnie. To uprości sprawę. Chciałam tylko mieć twoją zgodę.

— Nie było dla mnie… żadnych wiadomości z Anarres?

— Nie wiem. Nie pytałam. Nie myślałam o tym z twojego punktu widzenia. Jeśli cię coś niepokoi, możemy to przekazać na Anarres. Znamy oczywiście długość fali, na której nadają twoi towarzysze, nie korzystaliśmy z niej dotąd, bo nikt nas o to nie prosił.

Wydawało się, że lepiej nie nalegać. Możemy jednak z łatwością zorganizować ci rozmowę.

— Macie nadajnik?

— Połączymy się przez nasz statek — haiński statek, który krąży po orbicie wokół Urras. Hain i Terra, jak ci wiadomo, współdziałają ze sobą. Ich ambasador wie, że u nas jesteś. Jest jedyną osobą, którą oficjalnie o tym powiadomiliśmy. Tak więc radio jest do twojej dyspozycji.

Podziękował jej z prostotą człowieka, który nie zagląda za kulisy złożonej mu propozycji, by doszukiwać się ukrytych motywów.

Wpatrywała się weń przez chwilę przenikliwym, szczerym, spokojnym spojrzeniem.

— Słyszałam twoje przemówienie — powiedziała.

Popatrzył na nią jakby z oddalenia.

— Przemówienie?

— To, które wygłosiłeś na tej wielkiej demonstracji na placu Kapitolińskim. Przed tygodniem… Zawsze słuchamy podziemnego radia, audycji Socjalistycznego Związku Robotniczego i liberałów.

Nadawali, oczywiście, transmisję z tej demonstracji. Słyszałam, jak przemawiałeś. Byłam bardzo poruszona. Potem podniósł się jakiś hałas, jakiś dziwny hałas i było słychać, jak tłum zaczyna krzyczeć. Nie wyjaśnili dlaczego. Rozległo się jakieś wycie. Potem transmisja nagle urwała się. To było straszne, strasznie było tego słuchać. A tyś tam był… Jak udało ci się uciec? Jak się wydostałeś z miasta? Starówka jest wciąż otoczona kordonem; w Nio stoją trzy pułki wojska; co dzień wygarniają dziesiątki, setki strajkujących i podejrzanych. Jak się tutaj dostałeś?

Uśmiechnął się blado.

— Taksówką.

— Przez te wszystkie punkty kontrolne? W tym pokrwawionym płaszczu? Przecież wszyscy wiedzą, jak wyglądasz!

— Ukryłem się pod tylnym siedzeniem. Taksówka została zarekwirowana — czy to właściwe słowo? Pewni ludzie podjęli dla mnie to ryzyko. — Opuścił wzrok na zaciśnięte na kolanach dłonie.

Był na pozór spokojny i opowiadał spokojnie, z wewnętrznym jednak napięciem, z natężeniem ujawniającym się w oczach i bruzdach wokół ust. Zamyślił się na chwilę, po czym podjął z poprzednią obojętnością: — Z początku dopisywało mi szczęście. Po wyjściu z kryjówki miałem szczęście, że od razu mnie nie aresztowano. Przedostałem się na Stare Miasto. Odtąd nie wszystko już polegało na szczęściu. Inni obmyślali za mnie, gdzie mam się ukryć, jak mnie tam przewieźć, podejmowali ryzyko. — Wypowiedział słowo w ojczystym języku, a następnie je przetłumaczył: — Solidarność…

— To bardzo dziwne — oświadczyła ambasador Terry. — Prawie nic nie wiem o twoim świecie, Szevek. Wiem tylko tyle, ile mówią nam Urrasyjczycy, twoi bowiem ziomkowie nie wpuszczają nas.

Wiem, oczywiście, że wasza planeta jest sucha i pustynna; wiem, jak założono tę waszą kolonię; wiem też, że jest to eksperyment na polu nieautorytarnego komunizmu, trwający już od stu siedemdziesięciu lat. Czytałam trochę pism Odo — niezbyt wiele. Sądziłam jednak, że to wszystko nie ma istotniejszego znaczenia dla obecnego biegu spraw na Urras; że to coś odległego — ot, ciekawy eksperyment. Myliłam się jednak, prawda? To jest ważne. Być może Anarres stanowi klucz do Urras… Rewolucjoniści z Nio wywodzą się z tej samej co wy tradycji. Nie strajkowali wyłącznie o podwyżkę płac ani w proteście przeciw poborowi. Są nie tylko socjalistami — to anarchiści; strajkowali przeciwko władzy. Rozmiary demonstracji, natężenie zbiorowych emocji, paniczna reakcja rządu — widzisz, to wszystko wydaje się niezwykle trudne do pojęcia.

Skąd aż tak gwałtowny bunt? Tutejszy rząd nie jest znów aż tak despotyczny. Bogaci są istotnie szalenie bogaci, ale biedni wcale nie są

tacy biedni. Nie żyją w niewoli, nie cierpią głodu. Dlaczego nie kontentują się chlebem i narzekaniem? Czemu są tacy przewrażliwieni?… Zaczynam już pojmować przyczynę. Niezrozumiałe pozostaje jednak dla mnie, dlaczego rząd A-Io, wiedząc, że ta liberalna tradycja jest nadal żywa, zdając sobie sprawę z nastrojów niezadowolenia panujących w miastach przemysłowych, mimo wszystko cię tutaj sprowadził. To jakby wnosić zapałkę do fabryki prochu!

— Nie zamierzano mnie dopuszczać do fabryki prochu. Chciano mnie trzymać z dala od narodu, miałem pędzić życie pośród uczonych i bogaczy. Nie oglądać nędzy. Nie oglądać brzydoty.

Chciano mnie trzymać w wymoszczonym watą pudełeczku, zapakowanym w kartonowe pudło owinięte w celofan, jak wszystko tutaj. Miałem żyć szczęśliwie na tej wyściółce i zająć się pracą, której nie mogłem wykonywać na Anarres. Skończywszy miałem im wręczyć rezultaty, by wam mogli grozić.

— Grozić nam? Chcesz powiedzieć: grozić Terrze, Hain i innym gwiezdnym mocarstwom? Czym grozić?

— Anihilacją przestrzeni.

Umilkła na chwilę.

— Tym się więc zajmujesz? — zapytała swym pokornym, zabawnym głosem.

— Nie. Nie tym się zajmuję! Przede wszystkim nie jestem wynalazcą, inżynierem. Jestem teoretykiem. Oczekują ode mnie teorii. Ogólnej teorii pola w fizyce czasu. Czy wiesz, co to takiego?

— Wasza ceteńska fizyka, wasza Nauka Szlachetna, to dla mnie czarna magia, Szevek. Nie mam przygotowania z matematyki, z fizyki, z filozofii, a ona wydaje się mieścić w sobie to wszystko, plus kosmologię i inne dziedziny na dokładkę. Wiem jednak, co masz na myśli, gdy mówisz: teoria jednoczesności, orientuję się też, co znaczy teoria względności; to znaczy wiem, do jak niezwykłych rezultatów praktycznych teoria ta doprowadziła; przyjmuję więc, że i wasza fizyka czasu może otworzyć drogę nowym technologiom.

Skinął głową.

— To, na czym im zależy — powiedział — to momentalne przerzuty materii w przestrzeni. Przeskok. Podróże kosmiczne, pojmujesz, bez pokonywania przestrzeni i upływu czasu. Mogą to jeszcze osiągnąć, choć nie dzięki moim równaniom, jak sądzę. Mogą jednak, jeśli zechcą, zbudować przy ich pomocy astrograf. Człowiek nie zdoła przeskakiwać ogromnych otchłani, lecz idee tak.

— Co to jest astrograf, Szevek?

— Pewna koncepcja. — Uśmiechnął się niewesoło. — Ma to być urządzenie umożliwiające komunikowanie się pomiędzy dwoma dowolnymi punktami w przestrzeni bez przedziału czasu. Nie będzie

ono, oczywiście, przesyłało wiadomości; jednoczesność oznacza identyczność. Naszym jednak zmysłom taka jednoczesność będzie się przedstawiała jako transmisja, przekaz. Toteż będziemy mogli posługiwać się nią do prowadzenia rozmów między światami bez tego długiego wyczekiwania na dotarcie wiadomości i powrót odpowiedzi, którego wymagają fale elektromagnetyczne.

Prosty sobie w gruncie rzeczy przyrząd. Coś w rodzaju telefonu.

Roześmiała się.

— Ach, ta prostota fizyków! Mogłabym więc podnieść taki — astrograf? — i porozmawiać z moim synem w Delhi? I z wnuczką, która miała pięć lat, kiedy wyjechałam, a przybyło jej następnych jedenaście w czasie mej podróży z Terry na Urras statkiem poruszającym się z prędkością bliską prędkości światła… Mogłabym się dowiedzieć, co dzieje się w domu teraz, a nie co się zdarzyło jedenaście lat temu. Można by podejmować decyzje, osiągać porozumienia, dzielić się informacjami. Mogłabym rozmawiać z dyplomatami z Chiffewaru, a ty — z fizykami na Hain. Nie trzeba by czekać pokoleń, żeby jakaś myśl przeniosła się ze świata do świata… Wiesz co, Szevek? Wydaje mi się, że ten twój prościutki przyrządzik mógłby odmienić życie miliardów ludzi dziewięciu Znanych Światów.

Przytaknął.

— Umożliwiłby powstanie ligi światów. Zawiązanie federacji.

Dotychczas lata, dekady dzieliły odjazd od przyjazdu, pytanie od odpowiedzi. To tak, jakbyś wynalazł mowę! Możemy rozmawiać — nareszcie będziemy mogli ze sobą rozmawiać.

— I co byś takiego powiedziała?

Gorycz w jego głosie spłoszyła ją. Popatrzyła na niego i milczała.

Pochylił się na fotelu i potarł boleśnie czoło.

— Posłuchaj — rzekł — muszę ci wytłumaczyć, po co do was przybyłem, po co w ogóle przyjechałem na ten świat. Przybyłem tu dla idei. Z powodu idei. Aby się jej uczyć, żeby jej uczyć, by sienią dzielić. Widzisz, my na Anarres odcięliśmy się od pozostałych światów. Nie rozmawiamy z innymi ludźmi, z resztą ludzkości.

Tam nie mógłbym ukończyć mojej pracy. A choćbym i mógł, oni jej nie chcieli, nie widzieli z niej pożytku. Przybyłem więc tutaj.

Tu znajduję to, czego mi potrzeba: rozmowy, dzielenie się przemyśleniami, doświadczenia w Laboratoriach Badań nad Światłem dowodzące czegoś, co nie było ich celem, księgi teorii względności z obcego świata — bodziec, jakiego mi brakowało. Tak więc doprowadziłem wreszcie mą pracę do końca. Nie jest jeszcze spisana, mam już jednak równania, ogólny zarys, jest w gruncie rzeczy gotowa. Ale dla mnie ważne są nie tylko idee w mojej głowie. Moje społeczeństwo to także idea. Ona mnie stworzyła. Idea wolności, przemiany, ludzkiej solidarności, idea wzniosła. Byłem przeraźliwie

głupi, ale przecież dostrzegłem wreszcie, że poświęcając się jednej — fizyce — zdradzam drugą. Pozwalam, żeby posiadacze kupili ode mnie prawdę.

— A cóż innego mogłeś zrobić, Szevek?

— Czy naprawdę nie ma alternatywy dla sprzedaży? Czy nie istnieje coś takiego jak dar?

— Owszem…

— Czy nie rozumiesz, że chcę wam ją dać, wam, Hain oraz innym światom, i krajom na Urras też? Ofiarować ją, ale wam wszystkim! By żadne z was nie mogło jej użyć w sposób, w jaki chciała to uczynić A-Io — dla zdobycia władzy nad innymi, dla wzbogacenia się, dla wygrywania wojen. Żebyście nie mogli zrobić z tej prawdy samolubnego użytku, a użyli jej dla dobra wspólnego.

— W końcu prawda zawsze służy wspólnemu dobru — zauważyła Keng.

— W końcu, zgoda, lecz ja nie chcę czekać końca. Mam tylko I jedno życie i nie myślę poświęcać go zachłanności, spekulacji i kłamstwu. Nie zamierzam służyć żadnemu panu.

Spokój Keng był już znacznie bardziej wymuszony i narzucony sobie niż na początku ich rozmowy. Siła osobowości Szeveka, nie mitygowanej kalkulacją ani względem na samego siebie, była przemożna. Wstrząsnął nią ten człowiek, wpatrywała się weń ze współczuciem i nieomal zgrozą.

— Jakie ono jest — odezwała się — jakie też może być to społeczeństwo, które cię wydało? Słuchałam, kiedy mówiłeś o Anarres tam na placu, i płakałam, lecz tak naprawdę nie wierzyłam ci. Ludzie zawsze tak mówią o domu, o dalekiej ojczyźnie… Ale ty nie jesteś taki jak inni. Ty się różnisz.

— Odróżnia mnie idea — przyznał. — Również i dla niej tu przybyłem. Dla tej idei — Anarres. Skoro mój naród odmawia wyjrzenia za własne opłotki, pomyślałem, że mógłbym nakłonić innych, żeby zainteresowali się nami. Pomyślałem sobie, że zamiast trzymać się na uboczu, za murem, byłoby lepiej stać się społeczeństwem jak inne społeczeństwa, światem jak inne światy, takim, który daje i bierze. Lecz tu się myliłem, myliłem się gruntownie.

— Czemuż to? Z pewnością…

— Bo tu na Urras nie ma nic, ale to nic takiego, czego my, Anarresyjczycy, byśmy potrzebowali! Sto siedemdziesiąt lat temu odeszliśmy stąd z pustymi rękami — i dobrześmy zrobili. Nie wzięliśmy ze sobą nic. Bo też nie ma tu nic godziwego — są tylko państwa z ich arsenałami, bogacze z ich kłamstwami i biedacy z ich nędzą.

Na Urras nie można działać uczciwie, z czystym sumieniem. Nie

możesz uczynić nic, żeby się w to nie wmieszał zysk, strach przed stratą, pragnienie władzy. Nie możesz powiedzieć nikomu dzień dobry, nie ustaliwszy, kto z was dwóch stoi wyżej, albo nie próbując swojej wyższości dokazać. Nie możesz odnosić się do innych jak brat, musisz nimi manipulować, rozkazywać im, słuchać ich albo ich oszukiwać. Nie możesz dotknąć drugiego człowieka, bo nie zostawią cię w spokoju. Tu nie ma wolności. To jest pudełko — Urras jest pudełkiem, paczką w pięknym opakowaniu z błękitnego nieba, łąk, lasów i wielkich miast. Otwierasz to pudełko i co znajdujesz w środku? Czarną, zakurzoną piwnicę i trupa. Trupa człowieka, któremu odstrzelili rękę, bo ją wyciągnął do innych. Zobaczyłem wreszcie piekło. Desar miał rację — to Urras, piekło to Urras.

Mimo wzburzenia przemawiał z prostotą, niemal z pokorą, zaś ambasador Terry przyglądała mu się z ostrożnym, pełnym jednak sympatii zdumieniem, jak gdyby nie wiedziała, jak tę prostotę traktować.

— Jesteśmy tu oboje obcy, Szevek — odezwała się w końcu. — Ja pochodzę ze świata znacznie bardziej odległego, zarówno w czasie, jak i przestrzeni. Zaczyna mi się jednak wydawać, że jestem na Urras nie aż tak obca jak ty… Pozwól, że ci powiem, jak moim oczom przedstawia się ta planeta. Dla mnie — i dla wszystkich moich ziomków z Terry, którzy ją widzieli — Urras jest najżyczliwszym, najróżnorodniejszym i najpiękniejszym ze wszystkich zamieszkanych światów. Spośród nich wszystkich najbardziej podobnym do raju.

Przyglądała mu się ze spokojem i uwagą, on zaś milczał.

— Wiem, że to świat pełen zła, niesprawiedliwości, skąpstwa, głupoty i marnotrawstwa. Ale jest też na nim dobroć, piękno; jest światem żywotnym, ma osiągnięcia. Jest taki, jaki świat być powinien! Żywy, szalenie żywy — ożywiony, mimo całego zła, nadzieją.

Zgodzisz się ze mną?

Skinął głową.

— A teraz, przybyszu że świata, którego nawet wyobrazić sobie nie potrafię, ty, który uważasz mój raj za piekło, nie zapytasz, jak wygląda mój świat?

Wpatrywał się w nią w milczeniu nieruchomym spojrzeniem jasnych oczu.

— Mój świat, moja Ziemia, jest ruiną. Zrujnował ją człowiek.

Rozmnażaliśmy się, objadaliśmy się, toczyliśmy wojny, pókiśmy wszystkiego nie zniszczyli, po czym wymarliśmy. Nie panowaliśmy ani nad apetytem, ani nad przemocą; nie przystosowywaliśmy się. Zniszczyliśmy samych siebie. Ale najpierw zniszczyliśmy nasz świat. Na mojej Ziemi nie ma już lasów. Powietrze jest szare, niebo jest szare, panuje wieczny upał. Można na niej żyć — wciąż jeszcze — ale nie tak jak na tym świecie. To jest świat żywy, świat harmonii,

podczas gdy mój jest zgrzytem. Wy, odonianie, wybraliście pustynię; my, Terranie, stworzyliśmy ją… Wegetujemy tam, podobnie jak wy u siebie. Człowiek potrafi wiele wytrzymać! Jest nas obecnie niecałe pół miliarda. Kiedyś" liczyliśmy dziewięć miliardów. Stoją jeszcze dawne miasta. Kości i cegły obracają się w proch, kawałki plastiku — nie; one też się nigdy nie przystosowują. Ponieśliśmy klęskę jako gatunek, jako gatunek społeczny. Jesteśmy tu obecnie, kontaktujemy się z innymi społeczeństwami z innych światów jak równi z równymi wyłącznie dzięki łasce Haików. Zjawili się pewnego dnia i pomogli nam. Zbudowali statki i ofiarowali je nam, byśmy mogli opuścić nasz zrujnowany świat.

Obeszli się z nami łagodnie, miłosiernie jak człowiek silny z chorym. To bardzo dziwny lud ci Hainowie; starszy od któregokolwiek z nas; bezgranicznie hojny. To altruiści. Powoduje nimi poczucie winy, której my, mimo wszystkich naszych zbrodni, nawet pojąć nie jesteśmy w stanie. Motorem ich postępowania — jak mi się wydaje — jest przeszłość, ich nieskończona przeszłość. No cóż, pozbieraliśmy, co się jeszcze na Terrze pozbierać dało, i ułożyliśmy sobie życie na ruinach w jedyny możliwy sposób: podlega pełnej centralizacji. Pełna kontrola nad wykorzystaniem każdego akra ziemi, każdego okruchu metalu, każdej uncji paliwa, racjonowanie wszystkich dóbr, kontrola urodzin, eutanazja, powszechny przymus pracy. Całkowite podporządkowanie każdej jednostki jedynemu celowi: przetrwaniu gatunku. Tyle zdołaliśmy osiągnąć do przybycia Hainów. Hainowie przynieśli nam… odrobinę nadziei. Nie za wiele. Pożegnaliśmy się już z nadzieją… Już z zewnątrz tylko możemy się przyglądać temu wspaniałemu światu, temu bujnemu społeczeństwu, tej Urras, temu rajowi. Jesteśmy zdolni już tylko podziwiać go i może zazdrościć mu nieco. Nie za bardzo.

— Cóż więc znaczy dla ciebie Anarres, Keng, kiedy ci o niej opowiadam?

— Nic, Szevek. Nic. Zaprzepaściliśmy naszą szansę na Anarres całe wieki temu, zanim się ona w ogóle otworzyła.

Wstał i podszedł do okna — jednej z owych podłużnych, poziomych szczelin w ścianie wieży. W murze znajdowała się poniżej wnęka z lawą strzelniczą, na którą wchodził łucznik, by móc dojrzeć bramę w dole i szyć z łuku do napastników; kto nie wszedł na ten stopień, widział jedynie rozsłonecznione, z lekka zamglone niebo. Szevek stał pod oknem i spoglądał w światło, jego blask napełniał mu oczy.

— Nie rozumiesz, czym jest czas — powiedział. — Powiadasz, że przeszłość minęła, przyszłość jest nierzeczywista, nie ma zmiany, nie ma nadziei. Uważasz, że Anarres to przyszłość, której nie da się osiągnąć, podobnie jak nie można zmienić waszej przeszłości. Nie

istnieje więc nic prócz teraźniejszości — tej oto Urras, bogatej, rzeczywistej, trwałej teraźniejszości, bieżącej chwili. Sądzisz dalej, że to coś, co można posiąść! Zazdrościsz tego trochę. Wydaje ci się, że chciałabyś to mieć. Tylko że, widzisz, to nie jest rzeczywiste. To nie jest trwałe, to nie jest solidne — nic takim nie jest. Rzeczy się zmieniają, stale się zmieniają. Niczego nie można posiąść… A już najmniej teraźniejszości — chyba że razem z nią przyjmiesz i przeszłość, i przyszłość. Nie samą tylko przeszłość — ale i przyszłość też; nie samą tylko przyszłość — ale również i przeszłość! Bo one są realne — i tylko ich realność czyni realną teraźniejszość. Nie osiągniecie, a nawet nie zrozumiecie Urras, jeśli nie uznacie rzeczywistości — trwałej rzeczywistości — Anarres.

Masz rację: stanowimy klucz. Ale stwierdzając to, tyś naprawdę w to nie wierzyła. Bo ty nie wierzysz w Anarres. Nie wierzysz nawet we mnie, choć stoję tu przed tobą, w tym pokoju, w tej chwili… Moi ziomkowie mieli rację, to ja się myliłem. Myliłem się w tym mianowicie: my nie możemy do was przyjść. Nie pozwolicie nam na to. Bo nie wierzycie w zmianę, w ewolucję. Raczej nas zniszczycie, niż uznacie nasze istnienie — uznacie, że nie zgasła nadzieja! Nie możemy do was przyjść. Możemy tylko czekać, aż wy do nas przyjdziecie.

Na twarzy Keng odbijały się wzburzenie i zaduma, ale też i lekkie oszołomienie.

— Nie pojmuję… nie pojmuję — odezwała się wreszcie. — Jesteś podobny do postaci z naszej historii, do dawnych idealistów, wizjonerów wolności, a jednak cię nie rozumiem, jak gdybyś mi bajał o przyszłych wydarzeniach; nie pojmuję cię, choć — jak zauważyłeś — stoisz tu przede mną, w tym momencie!… — Nie opuściła jej jednak bystrość myśli. Zapytała po chwili: — Czemu więc do mnie przyszedłeś, Szevek?

— Ach, żeby ci ofiarować moją ideę. Moją teorię, rozumiesz.

Ustrzec ją od stania się własnością Ajończyków — inwestycją bądź bronią. Nic prostszego, niż rozpowszechnić te równania — jeżeli się zgodzisz — udostępnić je, najprędzej jak to możliwe, fizykom na całym tym świecie, a także Hainom i pozostałym światom. Czy zgodzisz się to uczynić?

— Z największą radością.

— To tylko kilka stron. Dowody i niektóre wnioski zajęłyby więcej miejsca, ale na nie przyjdzie czas później. Będą je zresztą mogli opracować inni, jeśli ja sam nie zdołam.

— A co potem? Chcesz wracać do Nio? W mieście, zdaje się, panuje już spokój. Powstanie już chyba stłumiono, przynajmniej na jakiś czas. Obawiam się jednak, że rząd ajoński uważa cię za wichrzyciela. Pozostaje naturalnie Thu…

— Nie. Nie chcę tu zostać. Nie jestem altruistą! Jeśli mi

pomożesz, wrócę do domu. Może zresztą i sami Ajończycy okażą się skłonni, żeby mnie odesłać. Sądzę, że byłoby to logiczne: nakłonić mnie, żebym zniknął, zaprzeczyć mojemu istnieniu. Oczywiście, za prostsze mogą uznać zabicie mnie lub osadzenie na resztę życia w więzieniu. Nie mam jeszcze ochoty umierać, a już na pewno nie w tym piekle. Dokąd idzie dusza, kiedy umiera się w piekle? — Roześmiał się; odzyskał swój uprzejmy sposób bycia. — Gdybyście jednak odesłali mnie do domu, sądzę, że doznaliby ulgi. Martwi anarchiści stają się męczennikami i żyją całe wieki. Nieobecni mogą pójść w niepamięć.

— A mnie się zdawało, że wiem, co to „realizm”. — Keng uśmiechnęła się, ale nie był to uśmiech pogodny.

— Jakże byś mogła, skoro nie wiesz, co to nadzieja!

— Nie osądzaj nas zbyt surowo, Szevek.

— Wcale was nie osądzam. Proszę was tylko o pomoc, za którą niczym nie będę mógł się wam odpłacić.

— Niczym? Swą teorię nazywasz niczym?

— Połóż na drugiej szali wolność jednej ludzkiej duszy — rzekł, odwracając się w jej stronę — a która przeważy? Potrafisz odpowiedzieć? Ja nie.

Rozdział dwunasty
Anarres

— Chciałbym zgłosić projekt — oświadczył Bedap — w imieniu Syndykatu Inicjatywy. Jak wiecie, od dwudziestu mniej więcej dekad pozostajemy w kontakcie radiowym z Urras…

— Wbrew zaleceniom tej rady, Federacji Obrony i większości głosów Listy!

— Zgadza się — przyznał Bedap, mierząc mówcę wzrokiem, nie protestując jednak, że mu przerwano. Na zebraniach KPR nie obowiązywały reguły procedury parlamentarnej. Więcej tam było nieraz podobnych wtrętów niż oświadczeń. Zgromadzenie owo tak się miało do sprawnie prowadzonej narady kierowniczej jak połeć surowej wołowiny do schematu instalacji elektrycznej. Surowa wołowina sprawia się jednak lepiej niż schemat instalacji elektrycznej w środowisku, w którym działa — w organizmie żywego zwierzęcia.

Bedap znał swoich wszystkich starych przeciwników z Rady Importu-Eksportu; od trzech lat przychodził tu i ścierał się z nimi.

Ten jednak mówca — młody mężczyzna, świeżo najpewniej wylosowany na Listę KPR — był nowy. Bedap przyjrzał mu się życzliwie, po czym podjął:

— Nie odgrzewajmy starych waśni, zgoda? Proponuję wszcząć nowy spór. Otrzymaliśmy interesującą wiadomość od pewnej grupy na Urras. Nadeszła na długości fali, na której kontaktujemy się z Ajonczykami, ale poza umówioną porą, sygnał zaś był bardzo słaby. Wydaje się, że nadano ją z państwa o nazwie Benbili, a nie z A-Io. Grupa owa nazywa siebie „Bractwem Odonian". Wygląda na to, że to odonianie, którzy w jakiś sposób przetrwali po Osiedleniu na Urras w lukach prawa i rządów. Ich posłanie było skierowane do „braci na Anarres". Możecie je przeczytać w biuletynie Syndykatu, jest ciekawe. Pytają, czy nie pozwolilibyśmy im tu przysyłać ich ludzi.

— Przysyłać ludzi? Wpuszczać tu Urrasyjczyków? Jako szpiegów?…

— Nie, osadników.

— Chcą, byśmy wznowili osadnictwo, czy tak, Bedapie?

— Mówią, że prześladuje ich rząd i mają nadzieję na…

— Wznowić osadnictwo! Dla każdego paskarza, który nazwie się odonianinem?

Pełna relacja z anarresyjskich narad kierowniczych byłaby trudna; toczyły się one bowiem w szalonym tempie, często wielu mówiło naraz, nikt się nie rozwodził nad tematem, uciekano się chętnie do sarkazmu, wielu spraw nie dopowiadano; przemawiano tonem

ogromnie emocjonalnym, pozwalając sobie często na jadowite, osobiste wycieczki; docierano, co prawda, do końca narady, nie dochodzono jednak do żadnych konkluzji. Przypominało to sprzeczkę między braćmi lub bicie się z myślami niezdecydowanego umysłu.

— Jeśli nawet pozwolimy przybyć do nas tym tak zwanym odonianom, w jaki sposób zamierzają tego dokonać?

Z pytaniem tym wystąpiła oponentka Bedapa, przed którą odczuwał respekt szczególny — chłodna, inteligentna kobieta imieniem Rulag. W ciągu roku, odkąd zasiadał w tym gremium, była jego najbystrzejszym przeciwnikiem. Zerknął na Szeveka, po raz pierwszy uczestniczącego w zebraniu rady, żeby zwrócić mu na nią uwagę. Ktoś mu powiedział, że Rulag jest inżynierem; istotnie, cechowały ją właściwe inżynierom jasność i trzeźwość myślenia, z dodatkiem znamionującej tę kategorię ludzi niechęci do zawikłań i odstępstw od reguły. Sprzeciwiała się Syndykatowi Inicjatywy na każdym kroku, poczynając od odmawiania mu prawa do istnienia.

Jej argumenty były trafne i Bedap czuł dla niej szacunek. Czasami, kiedy mówiła o potędze Urras i niebezpieczeństwie paktowania z silniejszym z pozycji słabszego, sam dawał wiarę jej słowom.

Nieraz bowiem zastanawiał się (w skrytości ducha), czy aby on i Szevek — spotkawszy się zimą 68 dla omówienia sposobów, jakich mógłby użyć sfrustrowany fizyk, żeby wydrukować swoją pracę i przedstawić ją fizykom na Urras — nie uruchomili niekontrolowanego łańcucha wydarzeń. Kiedy bowiem nawiązali wreszcie radiowy kontakt, Urrasyjczycy okazali się nadspodziewanie chętni do rozmowy i wymiany informacji; gdy zaś z kolei ogłosili sprawozdania z tych rozmów — na Anarres podniósł się sprzeciw zacieklejszy, niż się spodziewali. Ludzie z obydwu światów zwrócili na nich uwagę niepokojąco, prawdę mówiąc, baczną. Gdy nieprzyjaciel przygarnia cię z entuzjazmem, a ziomek zaciekle odrzuca, trudno nie powziąć wątpliwości, czy nie jest się aby w istocie zdrajcą.

— Przypuszczam, że przybyliby tu którymś z frachtowców — odparł. — Najprawdopodobniej autostopem, jak przystało dobrym odonianom. Jeśli pozwoli im wyjechać rząd i Rada Rządów Świata. A czy pozwoli? Czy władycy wyświadczą anarchistom tę przysługę? Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć. Co się też stanie, jeśli zaprosimy taką małą grupkę — powiedzmy sześć, osiem osób?

— Chwalebna ciekawość — pochwaliła Rulag. — Wiedząc, jak rzeczywiście mają się sprawy na Urras, rozeznawalibyśmy się lepiej w zagrożeniach, zgoda. Tyle że niebezpieczeństwo kryje się już w samym tego odkrywaniu.

Wstała, dając do zrozumienia, że zamierza wystąpić z dłuższym niż parozdaniowe przemówieniem. Bedap skrzywił się i ponownie

łypnął na siedzącego obok Szeveka.

— Teraz słuchaj — mruknął.

Szevek nie odpowiedział; ale też na zebraniach bywał on zwykle zamknięty w sobie i onieśmielony i nie było z niego pożytku, chyba że go coś głęboko poruszyło — okazywał się wówczas zaskakująco dobrym mówcą. Siedział ze wzrokiem utkwionym w swoje dłonie. Bedap spostrzegł, że Rulag, choć zwracała się do niego, przez cały czas popatrywała właśnie na Szeveka.

— Wasz Syndykat Inicjatywy — powiedziała, kładąc nacisk na zaimek — zbudował nadajnik, nadawał na Urras, odbierał stamtąd wiadomości i ogłaszał komunikaty. Robiliście to wszystko wbrew radom większości KPR i rosnącemu sprzeciwowi całego bractwa.

Nie poczyniono dotąd żadnych stanowczych kroków, wymierzonych w waszą aparaturę i was samych, głównie z tego — jak sądzę — powodu, że my, odonianie, odzwyczailiśmy się od myśli, że ktoś może podjąć działania szkodliwe dla innych i obstawać przy nich, głuchy na rady, obojętny na protesty. Rzadki to przypadek. Prawdę mówiąc, jesteście pierwszymi, którzy postępują dokładnie tak, jak — wedle uporczywie powtarzanych przepowiedni władyckich krytyków — będą postępować ludzie w społeczeństwie nie znającym praw: z całkowitym brakiem odpowiedzialności za społeczne dobro. Nie chcę wchodzić w rozważanie szkód, jakie już zdążyliście wyrządzić, wydając naukową informację w ręce potężnego wroga i w każdej rozmowie z Urras odsłaniając naszą słabość. I oto teraz — zakładając chyba, że zdążyliśmy już do tego wszystkiego przywyknąć — proponujecie coś stokroć gorszego. Jaka — zapytacie — jest różnica między pogawędką z paroma Urrasyjczykami na falach krótkich, a pogwarką z nimi tu na miejscu, w Abbenay? Jaka różnica? A jaka jest różnica między zamkniętymi a otwartymi drzwiami? Otwórzmy drzwi — oto, co się nam proponuje, ammari.

Otwórzmy drzwi, niech przybywają Urrasyjczycy! Sześciu, ośmiu pseudoodonian na pokładzie najbliższego frachtowca. Sześćdziesięciu, osiemdziesięciu ajońskich spekulantów na pokładzie następnego, żeby nas sobie obejrzeć i ocenić, jak by też można podzielić tę majętność między państwa Urras. Następna zaś wycieczka będzie się składała z sześciuset czy tam ośmiuset uzbrojonych statków wojennych: armaty, żołnierze, siły okupacyjne — i to będzie koniec Anarres, koniec Obietnicy. Cała nasza nadzieja w Warunkach Osadnictwa, podobnie jak zależała od nich przez sto siedemdziesiąt lat: żadni Urrasyjczycy poza osadnikami nie mają schodzić ze statków, teraz ani w przyszłości. Żadnego mieszania się.

Żadnych kontaktów. Wyrzekanie się obecnie tej zasady oznacza przyznanie się przed tyranami, których kiedyś pokonaliśmy: eksperyment nie powiódł się, przybywajcie i pojmijcie nas znowu w

niewolę!

— Bynajmniej! — porywczo zaprotestował Bedap. — Przesłanie jest jasne: eksperyment się powiódł, jesteśmy teraz dostatecznie silni, żeby spotkać się z wami jak równy z równym.

Rozgorzał spór jak poprzednio, przypominający gorączkową młóckę tematów. Nie trwał długo. Nie podjęto — jak zwykle — żadnej uchwały. Niemal wszyscy zebrani opowiedzieli się stanowczo za trwaniem przy Warunkach Osadnictwa, gdy to zaś stało się już jasne, Bedap oświadczył:

— W porządku, przyjmuję to jako rzecz postanowioną. Nikt nie przybędzie na pokładzie Fortu Kuieo ani Czujnego. W sprawie sprowadzenia Urrasyjczyków na Anarres zamierzenia Syndykatu muszą zostać oczywiście podporządkowane opinii społeczeństwa jako całości. Zapytaliśmy was o radę i zastosujemy się do niej. Jest jednak jeszcze jeden aspekt tego zagadnienia. Szevek?…

— No cóż — przemówił wezwany — powstaje kwestia wysłania Anarresyjczyków na Urras.

Zerwały się okrzyki, zasypano go pytaniami. Szevek, nie podnosząc głosu, który tylko nieznacznie wznosił się nad ciche mamrotanie, ciągnął z uporem:

— Nie zaszkodzi to ani nie zagrozi żadnemu z mieszkańców Anarres. Trudno zaś oprzeć się wrażeniu, że mamy tu do czynienia z kwestią praw jednostki; w istocie z rodzajem sprawdzianu w tej mierze. Nie zakazują tego, co proponujemy, Warunki Osadnictwa.

Wprowadzenie podobnego zakazu obecnie oznaczałoby uzurpowanie sobie przez KPR prerogatyw władzy i ograniczenie prawa pojedynczego odonianina do podejmowania działań, które pozostałym nie wyrządzają szkody.

Rulag pochyliła się do przodu. Uśmiechnęła się z lekka.

— Każdemu wolno opuścić Anarres — powiedziała. Przeniosła spojrzenie swoich jasnych oczu z Szeveka na Bedapa i z powrotem. — Może się udać, jeśli go zabiorą frachtowce posiadaczy, dokądkolwiek zechce. Nie wolno mu jedynie wrócić.

— Kto mówi, że nie wolno?! — wykrzyknął Bedap.

— Warunki Zamknięcia Osadnictwa. Nikomu ze statków towarowych nie będzie wolno przekraczać granic Portu Anarres.

— Chwileczkę, to w zamierzeniu miało się z pewnością odnosić do Urrasyjczyków, nie zaś Anarresyjczyków — odezwał się sędziwy doradca Ferdaz, który lubił wtrącać swoje trzy grosze, choćby dana sprawa miała w następstwie przybrać niepożądany przez niego samego obrót.

— Ten, kto przybywa z Urras, jest Urrasyjczykiem — oświadczyła Rulag.

— Legalizm, przesadny legalizm! Po co te wszystkie utarczki? —

odezwała się spokojna, przyciężkawa kobieta imieniem Trepil.

— Utarczki! — wykrzyknął nowy członek Rady, ów młodzieniec; mówił z akcentem z Północowyżu, głos miał głęboki i silny.

— Skoro nie w smak ci utarczki, może to ci przypadnie do gustu. Jeśli są wśród nas tacy, którym się na Anarres nie podoba, niech sobie jadą w diabły. Jeszcze im w tym dopomogę. Zaniosę ich do Portu na rękach, zagnam ich tam kopniakami! Ale niech no tylko spróbują wkraść się tu z powrotem, już my z kolegami przywitamy ich jak należy. Z kilkoma prawdziwymi odonianami. A nie będzie to powitanie z uśmiechami i słowami: witajcie w domu, bracia.

Będą liczyli zęby, a jaja wkopiemy im w bebechy. Zrozumiano?

Czy to dla was dostatecznie jasne?

— Żeby jasne, nie powiem; że prostackie, owszem. Prostackie jak pierdnięcie — stwierdził Bedap. — Jasność jest funkcją myśli.

Powinieneś był poczytać trochę pism Odo, nim zabrałeś głos.

— Nie jesteście warci, żeby wymawiać jej imię! — wrzasnął młody człowiek. — Jesteście zdrajcy, wy i ten wasz cały Syndykat!

Ale są na Anarres ludzie, którzy wam się bacznie przyglądają. Myślicie, że nie wiemy, że zaproszono Szeveka na Urras, żeby tam wyprzedawał anarresyjskie zdobycze naukowe posiadaczom? Myślicie, że nie wiemy, że podobne do was piździele tylko marzą o tym, by tam pojechać, pławić się w dostatku i dać się klepać posiadaczom po ramieniu? Możecie jechać! Szczęśliwej drogi! Ale jeśli który spróbuje tu wrócić, pozna co to sprawiedliwość!

Zerwał się z miejsca i — pochylony nad stołem — rzucał te groźby Bedapowi w twarz. Ten podniósł na niego wzrok i rzekł:

— Tobie nie chodzi o sprawiedliwość, tobie chodzi o karę. Czy uważasz, że to jedno i to samo?

— On ma na myśli gwałt — sprostowała Rulag. — A jeśli przyjdzie do gwałtu, wy będziecie temu winni. Wy i ten wasz Syndykat. I otrzymacie to, na coście zasłużyli.

Siedzący obok Trepil chudy, drobny mężczyzna w średnim wieku zaczął coś mówić, tak jednak cicho, głosem tak zachrypniętym od pyliczego kaszlu, że usłyszało go tylko kilku z zebranych. Był gościem-delegatem syndykatu górników z Południowego Zachodu, nie spodziewano się więc, że zabierze głos w tej debacie.

— …na co człek zasługuje — mówił. — Boć każdy z nas zasługuje na wszystko, na wszystek zbytek, jaki zgromadzono w stertach w grobowcach zmarłych Królów — a zarazem nie zasługuje na nic, nawet na okruszynę chleba w godzinie głodu. Czyśmy to bowiem nie jedli, gdy inni głodowali? Czy ukarzecie nas za to? Czy nagrodzicie i poczytacie za zasługę, żeśmy głodowali, kiedy inni jedli?

Żaden człowiek nie zasługuje na karę, żaden też nie jest godzien nagrody. Oczyśćcie swe umysły z pojęcia zasługi, pojęcia za —

sługiwania się, a posiądziecie jasność myśli.

Były to oczywiście słowa Odo z Listów z więzienia; wypowiadane tak słabym, ochrypłym głosem, czyniły jednak niezwykłe wrażenie — jakby ów człowiek sam je dobierał, jedno po drugim, jakby wychodziły z głębi jego serca, wolno, z mozołem — niczym woda, która powoli, powoli wzbiera w pustynnej studni.

Rulag słuchała z wyprostowaną głową i ściągniętą twarzą, jak ktoś, kto zmaga się z bólem. Szevek siedział naprzeciwko niej po drugiej stronie stołu ze spuszczoną głową. Gdy po słowach górnika zaległo milczenie, podniósł oczy i powiedział wśród zapadłej ciszy:

— Bo widzicie, nam chodzi o to, byśmy przypomnieli sobie, że nie przybyliśmy na Anarres dla bezpiecznego schronienia, lecz w poszukiwaniu wolności. Jeśli włada nami nakaz powszechnej zgody i przymus współpracy, stajemy sienie lepsi od maszyn. Kiedy jednostka nie może pracować? solidarnie ze swoimi towarzyszami, jej obowiązkiem jest pracować w pojedynkę. Obowiązkiem i prawem. Odmawialiśmy ludziom tego prawa. Powtarzaliśmy — coraz to częściej: musisz pracować razem z drugimi, akceptować zasady większości. Ale każda zasada jest tyranią. Obowiązkiem jednostki jest nie akceptować zasad, być autorem własnych uczynków, brać za nie odpowiedzialność. Bo tylko wtedy społeczeństwo żyje, zmienia się, przystosowuje, przetrwa. Nie jesteśmy poddanymi państwa zbudowanego na prawie, ale członkami społeczności uformowanej przez rewolucję. Rewolucja jest naszą powinnością, naszą nadzieją na ewolucję. „Rewolucja dokonuje się w duszy jednostki albo nie dokonuje się wcale. Dokonuje się pomimo wszystko albo nie jest nic warta. Jeśli zakłada się jej koniec, w ogóle się w istocie nie zaczęła". Nie wolno nam się teraz zatrzymywać. Musimy iść dalej. Musimy podjąć ryzyko.

Odpowiedziała mu Rulag, przemawiając równie spokojnie jak on, lodowatym jednakże tonem:

— Nie macie prawa narażać nas wszystkich na ryzyko, do którego podjęcia popychają was pobudki osobiste.

— Nikt, kto nie zamierza posunąć się tak daleko, jak ja zamierzam, nie ma prawa mnie powstrzymywać — odparował Szevek.

Ich oczy spotkały się na mgnienie, następnie oboje spuścili wzrok.

— Ryzyko wyprawy na Urras nie dotyczy nikogo poza osobą, która je podejmie — zauważył Bedap. — Nie narusza w najmniejszym stopniu Warunków Osadnictwa, nie zmienia też niczego — co najwyżej na płaszczyźnie moralnej, a i to na naszą korzyść — w naszych stosunkach z Urras. Nie wydaje mi się jednak, abyśmy już dojrzeli, ktokolwiek z nas, do podjęcia decyzji w tej sprawie. Wycofuję więc na razie tę kwestię, jeśli wszyscy się na to zgadzają.

Zgodzili się, i Bedap z przyjacielem opuścili zebranie.

— Muszę wstąpić do Instytutu — powiedział Szevek, kiedy wyszli z gmachu KPR. — Sabul przysłał mi jeden ze swoich ścinków paznokcia, pierwszy od lat. Ciekaw jestem, o co mu chodzi.

— A ja jestem ciekaw, o co chodzi tej kobiecie, Rulag! Ma do ciebie jakąś osobistą urazę. Zazdrość, jak przypuszczam. Nie posadzimy was więcej za stołem naprzeciwko siebie, bo nigdy do niczego nie dojdziemy. A ten młody typek z Północowyżu. Rządy większości i prawo pięści! Czy zdołamy się przebić z naszym przesłaniem, Szev? Czy też skonsolidujemy tylko opozycję przeciwko sobie?

— Przyjdzie nam może naprawdę posłać kogoś na Urras — czynem potwierdzić nasze prawo, jeśli nie zdołamy słowem.

— Możliwe. Byle nie mnie! Zedrę sobie gardło, przemawiając za naszym prawem do opuszczenia Anarres, ale gdyby na mnie miało paść, do licha, wolałbym je sobie poderżnąć…

Szevek roześmiał się.

— Muszę już iść. Będę w domu za jakąś godzinkę. Zajdź do nas wieczorem, zjemy coś razem.

— Do zobaczenia u was.

Szevek ruszył ulicą wyciągniętym krokiem, Bedap został niezdecydowany przed frontonem gmachu KPR. Było wczesne popołudnie, wietrzny, zimny dzień wiosenny. Skąpane w słonecznym blasku ulice Abbenay ożywione były przez światło i ludzi — tak czyste, jak gdyby je wyszorowano. Bedap odczuwał zarazem podniecenie i przygnębienie. Wszystko, nie wyłączając jego emocji, zdawało się coś obiecywać i czegoś nie dotrzymywać. Skierował się w stronę domicylu w bloku Pekesz, w którym Szevek i Takver obecnie mieszkali, i — jak miał nadzieję — zastał w domu Takver i małą.

Takver dwa razy poroniła, a potem — późno i trochę nieoczekiwanie, radośnie jednak witana — przyszła na świat Pilun. Urodziła się malutka, a i teraz, chód szło jej na drugi rok, była dzieckiem drobnym, o chudych nóżkach i ramionach. Kiedy Bedap brał ją na ręce, dotyk tych ramionek — tak kruchych, że mógłby je złamać jednym skrętem dłoni — przejmował go zawsze niejasnym lękiem i niechęcią. Był do Pilun bardzo przywiązany, zakochany w jej szarych, chmurnych oczętach, podbity jej bezgranicznym zaufaniem, a przecież ilekroć jej dotykał, uświadamiał sobie wyraźnie (co mu się wcześniej nigdy nie zdarzyło), na czym polega urok okrucieństwa, odkrywał, czemu silniejszy dręczy słabszego. Zrozumiał też dzięki temu coś — chód nie potrafiłby powiedzieć dlaczego — co dotąd pozbawione dlań było sensu, co go w ogóle zresztą nie interesowało: uczucia rodzicielskie. Odczuwał niezwykłą przyjemność, gdy Pilun nazywała go tadde.

Usiadł na tapczanie pod oknem. Pokój był spory, z dwoma

tapczanami. Na podłodze leżały maty; poza małym przenośnym parawanikiem, który wytyczał przestrzeń do zabaw lub zasłaniał łóżeczko Pilun, nie było w nim innych mebli, żadnych krzeseł ani stołów. Takver, wysunąwszy długą, szeroką szufladę drugiego tapczanu, porządkowała przechowywane w niej zwały papierów.

— Bedap, kochany, zajmij się nią chwilkę! — poprosiła, uśmiechając się szeroko, kiedy dziecko ruszyło niezdarnie w jego stronę.

— Właziła mi już w te papierzyska co najmniej dziesięć razy, ledwie je poukładałam. Uwinę się z tym w minutkę, no, powiedzmy w dziesięć.

— Nie śpiesz się. Nie mam chęci rozmawiać. Chciałem tu tylko posiedzieć. Chodź, Pilun. Na własnych nóżętach. Dzielna dziewczyna! Chodź do tadde Dapa. Mam cię teraz!

Pilun rozsiadła się zadowolona na kolanach wujcia i przystąpiła do oględzin jego dłoni. Bedap wstydził się swoich paznokci, bo choć ich już nie obgryzał, pozostały od obgryzania zdeformowane, w pierwszej więc chwili zwinął palce, żeby je ukryć; potem zawstydził się własnego wstydu i odemknął dłoń. Pilun poklepała ją.

— To przyjemny pokój — stwierdził. — Z północnym oświetleniem. Tak tu zawsze spokojnie.

— Mhm. Cicho bądź, liczę.

Po chwili odłożyła stosy papierów i zamknęła szufladę.

— Skończone! Przepraszam. Obiecałam Szevowi, że znajdę mu ten artykuł. Nie napiłbyś się czegoś?

Podstawowe artykuły żywnościowe były nadal racjonowane, chód nie tak ściśle jak przed pięcioma laty. Sady owocowe w Północowyżu nie ucierpiały aż tak srodze i szybciej odżyły po suszy niż regiony uprawy zbóż, toteż rok temu skreślono z listy towarów reglamentowanych suszone owoce i soki owocowe. Takver trzymała butelkę soku w chłodnym cieniu na oknie. Napełniła pękate ceramiczne kubki, które Sadik ulepiła w szkole. Usiadła naprzeciwko Bedapa i przyjrzała mu się z uśmiechem.

— No i jak tam w KPR?

— Jak zwykle. A jak tam w laboratorium rybnym?

Takver zajrzała do swojego kubka, poruszając nim, by złapać odblask światła na powierzchni płynu.

— Sama nie wiem. Zastanawiam się, czyby tego nie rzucić.

— Czemu, Takver?

— Lepiej samemu odejść, niż zostać o to poproszonym… Bieda tylko w tym, że ja lubię tę pracę i wykonuję ją dobrze. A to jedyna taka posada w Abbenay. Nie można być jednak członkiem zespołu badawczego, który zdecydował, że jego członkiem nie jesteś.

— Zachodzą ci bardziej za skórę, co?

— Cały czas to robią — przyznała, rzucając szybkie i niekontrolowane spojrzenie w stronę drzwi, jakby się chciała upewnić, że nie stoi w nich Szevek, że nie słucha. — Niektórzy zachowują się wręcz niewiarygodnie. Sam wiesz. Nie ma sensu się nad tym rozwodzić.

— Rzeczywiście i dlatego cieszę się, że cię zastałem samą. Sam się już gubię w tym wszystkim. Ja, Szev, Skovan, Gezach i reszta większość czasu spędzamy w warsztacie drukarskim czy na wieży radiowej, nie mamy żadnych posad, toteż nie widujemy zbyt wielu ludzi spoza Syndykatu. Ja dużo siedzę w KPR, ale to wyjątkowa sytuacja, tam spodziewam się opozycji, sam ją prowokuję. A ciebie co dopadło?

— Nienawiść — odrzekła Takver swoim głębokim, miękkim głosem. — Najczystsza nienawiść. Kierownik mojego zespołu w ogóle się już do mnie nie odzywa. No cóż, niewielka strata. To i tak kawał buca. Inni mówią mi jednak, co myślą… Na przykład jedna kobieta — nie u nas w laboratorium, tu w bloku. Pracuję w blokowym komitecie sanitarnym, miałam do niej sprawę. Nie dopuściła mnie do głosu. „Nie waż się wchodzić do tego pokoju, już ja was znam, zasrani zdrajcy, intelektualiści, samoluby” — i tak dalej w tym duchu, a potem zatrzasnęła mi przed nosem drzwi. Groteskowa scena. — Roześmiała się smutno. Pilun, zwinięta w ramionach Bedapa, uśmiechnęła się, ujrzawszy, że matka się śmieje, po czym ziewnęła. — I wiesz co, przestraszyłam się. Jestem tchórzem, Dap. Boję się przemocy. Boję się nawet cudzej niechęci.

— Ależ nie jesteś tchórzem. Jedynym naszym schronieniem jest aprobata naszych sąsiadów. Wladyk może złamać prawo i mieć nadzieję, że uniknie kary — ty nie możesz „złamać” zwyczaju; tworzy on ramę twojego współżycia z innymi ludźmi… My dopiero zaczynamy zdawać sobie sprawę, co to znaczy być rewolucjonistą, jak to Szev dziś ujął na zebraniu. I nie jest to nic przyjemnego.

— Niektórzy rozumieją — powiedziała Takver z gorliwym optymizmem. — Jedna kobieta wczoraj w autobusie — pojęcia nie mam, skąd ją znam, spotkałyśmy się pewnie na jakiejś dziesiętnicy — powiedziała: „To musi być wspaniałe żyć z wybitnym naukowcem, to musi być takie ciekawe!” A ja jej na to: „Owszem, przynajmniej jest zawsze o czym pogadać”… Pilun, nie śpij, dziecko! Szevek zaraz wróci i pójdziemy do jadłodajni. Potarmoś ją, Dap. Więc widzisz, wiedziała, kim on jest, a jednak nie było w niej nienawiści ani dezaprobaty, była bardzo miła.

— Ludzie go znają — przyznał Bedap. — To zabawne, bo rozumieją z jego książek nie więcej niż ja. On sam uważa, że rozumie jego książki najwyżej paręset osób. Na przykład ci studenci z Instytutów Wydziałowych, którzy próbują organizować kursy

jednoczesności. Według mnie kilkadziesiąt to już byłby optymistyczny szacunek. A mimo to ludzie go znają i uważają, że to ktoś, z kogo można być dumnym. To jedno Syndykat przynajmniej zdołał sprawić: wydrukował książki Szeva. To chyba jedyna rozsądna rzecz, jaką zrobiliśmy.

— Oho-ho! Musieliście mieć dzisiaj w KPR ciężkie posiedzenie.

— Rzeczywiście. Chętnie bym cię wsparł na duchu, Takver, ale nie potrafię. Syndykat znalazł się o krok od naruszenia podstawowej więzi społecznej — strachu przed obcymi. Jeden młody typek zagroził nam dzisiaj otwarcie użyciem siły. Kiepska propozycja, fakt, ale znajdzie takich, co ją skwapliwie podejmą. No i ta diablica Rulag, to groźny przeciwnik!

— To ty nie wiesz, kim ona jest, Dap?

— Kim?

— Szev ci nie powiedział? Prawda, on o niej nie mówi. To mat — Matka Szeva?

Kiwnęła głową.

— Odeszła, gdy miał dwa lata. Został sam z ojcem. Nic szczególnego, oczywiście. Jeśli abstrahować od uczuć Szeva. On uważa, że stracili coś nader ważnego — on i jego ojciec. Nie stawia tego na płaszczyźnie ogólnej zasady, że rodzice powinni zawsze zatrzymywać przy sobie dzieci, czy coś takiego. Myślę, że sprawa polega na wadze, jaką on przykłada do wierności.

— Co jest w tym wszystkim niezwykłe — rzekł z zapałem Bedap, zapomniawszy o Pilun, która spała smacznie na jego kolanach — co się rzuca w oczy, to jej do niego stosunek! Można by pomyśleć, że ona dziś na niego czekała, czekała, żeby przyszedł na to zebranie Rady Importu-Eksportu. Wie, że jest duszą grupy i nienawidzi nas z jego powodu. Dlaczego? Czyżby poczucie winy? Czyżby społeczeństwo odonian tak już przegniło, że zaczyna powodować nami uczucie winy?… Wiesz, teraz gdy mi o tym powiedziałaś, dostrzegam między nimi pewne podobieństwo. Tylko że to coś w niej stwardniało, stwardniało na kamień — stało się martwe.

Gdy to mówił, otworzyły się drzwi. Wszedł Szevek ze starszą córką. Sadik była teraz dziesięcioletnią dziewczynką, wysoką jak na swój wiek i chudą, długonogą, gibką i kruchą, z chmurą ciemnych włosów. Bedap, spojrzawszy na wchodzącego za nią Szeveka w nowym, niezwykłym świetle jego pokrewieństwa z Rulag, spojrzał nań tak, jak spogląda się niekiedy na bardzo starych przyjaciół — z przenikliwością, na jaką składają się przeżyte wspólnie lata: szlachetna, zamknięta twarz — żywa, lecz zmizerowana, do cna znędzniała. Twarz naznaczona silnym piętnem indywidualizmu, której rysy nosiły wszakże podobieństwo nie tylko do rysów Rulag, ale i wielu Anarresyjczyków, ludzi oddanych idei wolności,

przystosowanych do jałowego świata dali, ciszy i pustkowi.

W pokoju powstał tymczasem gwar, witano się, ściskano, śmiano, podawano sobie Pilun z rąk do rąk (ku jej niezadowoleniu), żeby ją poprzytulać, podawano butelkę, żeby napełnić kubki, posypały się pytania, potoczyły rozmowy. W centrum uwagi znalazła się najpierw Sadik — najrzadszy z rodziny gość w domu — po niej Szevek.

— Czego chciał stary Maziobrody? — zapytał Bedap.

— Byłeś w Instytucie? — zdziwiła się Takver, obrzucając siadającego obok niej Szeveka uważnym spojrzeniem.

— Wstąpiłem tam na chwilę. Sabul zostawił dla mnie rano kartkę w Syndykacie. — Szevek wypił sok owocowy i opuścił kubek, odsłaniając usta ułożone w dziwny grymas. — Oznajmił mi, że Związek Fizyków dysponuje wolnym etatem. W pełnym wymiarze, samodzielne stanowisko, na stałe.

— Dla ciebie, chcesz powiedzieć? U nich? W Instytucie?

Przytaknął.

— Sabul ci to oznajmił?

— Chce cię skaptować — orzekł Bedap.

— Też tak sądzę. Jeśli nie możesz się czegoś pozbyć, polub to — jak mawialiśmy w Północoniżu. — Zaniósł się nagle śmiechem. — Zabawne, co?

— Ani trochę — wybuchnęła Takver. — To wcale nie jest zabawne. To jest ohydne. Jak w ogóle mogłeś tam pójść i z nim rozmawiać? Po tych wszystkich oszczerstwach, które na ciebie rzucił, po tych wszystkich kłamstwach na temat Zasad, które z niego wyciągnięto, po tym jak ci nie powiedział, że Urrasyjczycy dali ci tę nagrodę, a nie dalej jak zeszłego roku rozpędził te dzieciaki, które ci zorganizowały cykl wykładów, bo jakoby posiadasz na nie „wpływ kryptowładczy" — ty i władczy! — to było obrzydliwe, niewybaczalne. Jak możesz traktować uprzejmie takiego człowieka?

— No cóż, za tym wszystkim nie stał sam Sabul, jak się domyślasz. On jest tylko ich rzecznikiem.

— Wiem, ale on uwielbia tę rolę. I od tak dawna już zachowuje się tak wrednie! No dobrze, coś mu powiedział?

— Zagrałem na zwłokę, można by powiedzieć — odrzekł i znowu się roześmiał.

Takver przyjrzała mu się baczniej i stwierdziła, że mimo pozornego opanowania jest w najwyższym stopniu napięty i wzburzony.

— To znaczy, że nie poprosiłeś go, żeby cię pocałował w nos?

— Oświadczyłem mu, że przed paru laty postanowiłem nie przyjmować żadnych stałych posad, przynajmniej dopóki będę i możność prowadzenia prac teoretycznych. Na co odparł, że i skoro to samodzielne stanowisko, będę miał całkowicie wolną rękę i będę mógł

kontynuować badania, które wcześniej prowadziłem, że w ogóle celem zaoferowania mi tego etatu było — jakże on to ujął? — „ułatwienie dostępu do wyposażenia doświadczalnego Instytutu oraz regularnych kanałów publikacji i rozpowszechniania". Czyli, innymi słowy, wydawnictw KPR.

— A więc zwyciężyłeś — stwierdziła Takver, przypatrując mu się z dziwną miną. — Zwyciężyłeś. Będą drukowali to, co napiszesz.

Tego przecież chciałeś, gdyśmy tu pięć lat temu przyjechali. Mury runęły.

— Są jeszcze mury za murami — rzekł Bedap.

— Zwyciężyłbym, gdybym przyjął tę posadę. Sabul zaoferował mi… legalizację. Nadanie mi statusu oficjalności. Po to, żeby mnie odciągnąć od Syndykatu Inicjatywy. Czy nie tak oceniasz jego pobudki, Dap?

— Oczywiście — przytwierdził z poważną miną Bedap. — Dziel i rządź.

— Ale przecież przyjęcie Szeva z powrotem do Instytutu, publikacja jego prac w wydawnictwach KPR oznaczałoby wyrażenie cichej aprobaty dla całego Syndykatu, czyż nie?

— Przez większość ludzi tak by to mogło zostać odebrane — przyznał Szevek.

— Nie, tak by się nie stało — stwierdził Bedap. — Podsunięto by inne wyjaśnienie. Oto wybitny fizyk został chwilowo zwiedziony przez grupkę wywrotowców. Intelektualiści zawsze dawali się wodzić za nos, rozmyślają bowiem o rzeczach oderwanych — takich jak czas, przestrzeń i rzeczywistość — rzeczach nie mających nic wspólnego z realnym życiem, niecni więc zboczeńcy mogą ich z łatwością sprowadzać na manowce. Dobrzy jednakże odonianie z Instytutu wytknęli mu dobrotliwie jego błędy i oto nawrócił się na drogę socjalno-organicznej prawdy, pozbawiając Syndykat Inicjatywy jedynego realnego roszczenia do zainteresowania kogokolwiek na Anarres czy Urras.

— Ja nie odchodzę z Syndykatu, przyjacielu.

Tamten podniósł głowę i po chwili rzekł:

— Nie. Wiem o tym.

— No to świetnie. Pora na kolację. W brzuchu już mi burczy; posłuchaj, Pilun, słyszysz? Burrr, burrr!

— Hop! — zawołała tonem komendy dziewczynka. Szevek chwycił ją, wstał i zarzucił sobie na ramię. Nad ich głowami zakołysał się z lekka jedyny wiszący w pokoju mobil. Był duży, zrobiony ze spłaszczonych drutów, które — oglądane od krawędzi — niemal niknęły z oczu, toteż uformowane z nich owale znikały co chwila z migotliwym połyskiem, podobnie jak ginęły w jasnym oświetleniu dwie wąskie szklane łzy, poruszające się wespół z owalnymi drutami

po przeplatających się zawile eliptycznych orbitach wokół wspólnego środka, nigdy się z nimi naprawdę nie stykając, nigdy też nie rozdzielając na dobre. Takver nazywała ten mobil Zamieszkiwaniem Czasu.

Poszli do jadłodajni Pekesz i zaczekali, aż na tablicy ukażą się wakaty, by mogli wprowadzić Bedapa jako gościa. Bedap rejestrując się tutaj, wyrejestrowywał się automatycznie z jadłodajni, w której się zwykle stołował — system ten bowiem, sterowany przez komputer, obejmował całe miasto. Był to jeden z owych wysoce zmechanizowanych „procesów homeostatycznych", w jakich lubowali się pierwsi osadnicy, a który przetrwał już tylko w Abbenay. Podobnie jak inne, gdzie indziej stosowane, a nie tak skomplikowane sposoby, nigdy właściwie nie zdał egzaminu; przytrafiały się — niezbyt co prawda poważne — braki, ówdzie nadwyżki, tego rodzaju potknięcia. Wakaty w jadłodajni Pekesz należały do rzadkości, tutejsza kuchnia — najpopularniejsza w Abbenay — słynęła bowiem z wyśmienitych kucharzy.

Ukazał się w końcu wykaz wolnych miejsc, więc weszli. Dosiadła się do nich para młodych ludzi, w których Bedap rozpoznał sąsiadów z domicylu Szeveka i Takver. Nikt więcej już się do nich nie dosiadł — czy może wszyscy się ich wystrzegali? Kogo z dwojga? Zdawało się to nie mieć istotnego znaczenia. Zjedli smaczną kolację, dobrze im się gawędziło. Co jakiś czas ogarniało jednak Bedapa uczucie, że otacza ich krąg milczenia.

— Ciekawe, co ci Urrasyjczycy jeszcze wymyślą. — Choć mówił swobodnie, stwierdził ku własnej irytacji, że zniża głos. — Dopytują się, czy nie mogliby tu przyjechać, zapraszają Szeva do siebie; jaki też będzie ich następny krok?

— Nie wiedziałam, że cię zapraszają — stwierdziła Takver, marszcząc z lekka brwi.

— Owszem, wiedziałaś — sprostował Szevek. — Kiedy mnie zawiadomili, że dostałem tę nagrodę, no wiesz, Seo Oen, pytali też, czy nie zechciałbym przyjechać — nie pamiętasz? Po odbiór pieniędzy, które się z nią wiążą! — Uśmiechnął się promiennie. Jeśli istotnie otaczał go krąg milczenia, nie przejmował się nim wcale, ostatecznie zawsze był sam.

— Faktycznie. Wiedziałam o tym. Nie potraktowałam tego po prostu jako realnej możliwości. Już od paru dekad opowiadasz o podsuwaniu KPR myśli wysłania kogoś na Urras w tym wyłącznie celu, żeby nimi wstrząsnąć.

— Zrobiliśmy to w końcu dzisiejszego popołudnia. Dap nakłonił mnie, bym to zasugerował.

— No i byli wstrząśnięci?

— Włosy im się zjeżyły, wywalili gały…

Zachichotała. Siedząca obok Szeveka na wysokim krześle Pilun ćwiczyła sobie zęby na kawałku chleba holum, zaś głos na dziecięcej śpiewance.

— O siasiema, siasiema, masiema — nuciła, na co Szevek, do wszystkiego zdolny, odpowiedział jej w tym samym języku:

— O siasiema, masiema, ba-sia!

Rozmowa dorosłych potoczyła się dalej bezładnie, bez poprzedniego też jednak napięcia. Bedap nie miał tego za złe, już dawno przekonał się bowiem, że Szeveka należało brać takim, jakim był — w całej jego złożoności — albo nie przestawać z nim wcale. Najcichsza z całego towarzystwa okazała się Sadik.

Po kolacji Bedap posiedział godzinkę z przyjaciółmi w miłej, przestronnej świetlicy domicylu, zbierając się zaś do wyjścia, zaproponował, że odprowadzi Sadik do szkolnej noclegowni, było mu bowiem po drodze. W tym momencie zdarzyło się coś, przekazano sobie jeden z tych sygnałów, których znaczenie jest dla osób spoza kręgu rodziny niejasne; tyle zdołał tylko stwierdzić, że Szevek — bez uprzednich narad czy ustaleń — również postanowił odprowadzić córkę. Takver musiała już wracać, żeby nakarmić Pilun, która stawała się coraz bardziej hałaśliwa. Pocałowała Bedapa i obaj mężczyźni, zatopieni w rozmowie, wyszli z milczącą Sadik.

Zagadali się i minęli ośrodek kształceniowy. Kiedy się odwrócili, dziewczynka czekała bez ruchu przed wejściem do noclegowni.

Prosta i wiotka, stała ze znieruchomiałą twarzą w słabym świetle latarni. Szevek zastygł na moment w podobnym do jej bezruchu, następnie podszedł do córki.

— Co się stało, Sadik?

— Szevek, czy ja bym dziś mogła przenocować w pokoju?

— Oczywiście. Ale co się stało?

Delikatna, pociągła twarz Sadik zadrżała, jakby miała się rozkruszyć na kawałki.

— Oni mnie nie lubią, tu w noclegowni — powiedziała głosem świszczącym z napięcia, ale cichszym jeszcze niż przedtem.

— Nie lubią cię? O czym ty mówisz?

Nie dotknęli dotąd jedno drugiego. Ze straceńczą odwagą wyrzuciła z siebie odpowiedź.

— Bo oni nie lubią ciebie… nie lubią Syndykatu i Bedapa, i… i ciebie. Oni nazywają… Starsza siostra w sypialni powiedziała, że ty… że my wszyscy jesteśmy zdra… powiedziała, że jesteśmy zdrajcy. — Wymawiając to słowo, dziewczynka podskoczyła, jakby dosięgła jej kula, i Szevek chwycił ją w objęcia. Przytuliła się do niego mocno, zanosząc się spazmatycznym szlochem. Była za duża i za wysoka, żeby mógł ją podnieść. Trzymał ją w objęciach i głaskał po włosach. Znad ciemnej głowy córki spojrzał na Bedapa. I jego oczy były pełne łez.

Powiedział:

— W porządku, Dap. Idź już.

Bedapowi nie pozostało nic innego, jak odejść i zostawić ich samych — mężczyznę i dziecko — w tej jedynej bliskości, jakiej dzielić z nimi nie mógł, najtrudniejszej i najgłębszej: intymności bólu.

Odchodził bez uczucia ulgi czy wrażenia, że ucieka; czuł się raczej niepotrzebny, nieistotny. „Mam trzydzieści dziewięć lat — pomyślał, zmierzając w stronę domicylu, gdzie, całkowicie niezależny, mieszkał w pięcioosobowym pokoju. — Za parę dekad stuknie mi czterdziestka. Czego dokonałem? Czym się zajmowałem? Niczym. Wtykaniem nosa. Wtykaniem nosa w życie innych ludzi, bo własnego nie mam. Zawsze brakowało mi czasu… I czas przecieknie mi przez palce, i nigdy nie przeżyję… czegoś podobnego."

Obejrzał się i pobiegł spojrzeniem w głąb długiej, cichej ulicy, wzdłuż której narożne latarnie zakreślały w wietrznej ciemności miękkie kałuże światła, zbytnio się już jednak oddalił, by móc dojrzeć ojca i córkę; a może oni już poszli. Nie umiałby też powiedzieć, choć taki był wymowny, co miało znaczyć owo „czegoś podobnego „; czul jednak, że doskonale wie, co to znaczy i że wszystkie jego nadzieje zależą od tej wiedzy, i jeśli ma ocaleć, musi swe życie zmienić.

Kiedy dziewczynka uspokoiła się na tyle, że Szevek mógł ją wypuścić z objęć, posadził ją na stopniu schodów przed noclegownią, a sam wszedł do środka, żeby powiedzieć nocnej stróżce, że Sadik spędzi tę noc z rodzicami. Stróżka przyjęła to chłodno. Dorośli pracownicy dziecięcych noclegowni mieli naturalną skłonność do niechętnego przyjmowania nocowania dzieci w mieszkaniach rodziców; uważali to za szkodliwe. Szevek perswadował sobie, że pewnie się omylił, biorąc chłód stróżki za coś więcej niż taką właśnie niechęć. Hole ośrodka kształceniowego były jasno oświetlone, tętniły hałasem, rozbrzmiewały tonami muzycznych ćwiczeń i gwarem dziecięcych głosów. Obudziły się w Szeveku echa wspomnień z dzieciństwa, wszystkie owe minione dźwięki, zapachy i cienie — a wraz z nimi lęki. O lękach się najłatwiej zapomina.

Wyszedł z noclegowni i ruszyli z Sadik do domu. Szevek obejmował ramieniem wąskie ramiona milczącej córki; wciąż się ze sobą zmagała. Gdy podchodzili do drzwi głównego domicylu bloku Pekesz, Sadik powiedziała nagle:

— Ja wiem, że tobie i Takver nie na rękę, żebym nocowała w domu.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Bo wy potrzebujecie prywatności, dorosłe pary potrzebują prywatności.

— Jest przecież Pilun — zauważył.

— Pilun się nie liczy.

— Ty też nie.

Siąknęła nosem, spróbowała się uśmiechnąć.

Gdy weszli do jasno oświetlonego pokoju, jej pobladła, pokryta czerwonymi plamami, zapuchnięta twarz natychmiast zwróciła uwagę Takver, która zawołała z przestrachem:

— Co się stało?

Wyrwana ze stanu słodkiej błogości, Pilun, której przeszkodzono w ssaniu, zaczęła beczeć, na co znów rozpłakała się Sadik i przez chwilę wszyscy zdawali się tonąć we łzach, pocieszać nawzajem i nie przyjmować pociechy. A potem zapadła znienacka cisza. Pilun siedziała na kolanach matki, Sadik na kolanach ojca.

Gdy mała się już najadła i została położona spać, Takver spytała zatroskanym szeptem:

— No, mówcie prędzej! Co się stało?

Sadik też już niemal zasypiała z głową na piersi Szeveka. Wyczuł, jak się zbiera, żeby odpowiedzieć. Pogłaskał ją po włosach, by ją uciszyć, i odpowiedział za nią:

— Pewne osoby w ośrodku kształceniowym są do nas usposobione niechętnie.

— A jakie one mają, u licha, prawo usposabiać się do nas niechętnie?

— Ciszej… Chodzi o Syndykat.

— Ach — z jej ust wydarł się jakiś dziwny, gardłowy okrzyk. Zapięła bluzę, urywając przy tym guzik. Przez chwilę trzymała go na dłoni, przypatrując mu się uważnie. Następnie przeniosła spojrzenie na córkę i Szeveka.

— Od dawna to trwa?

— Od dawna — nie podnosząc głowy, odpowiedziała Sadik.

— Od paru dni, dekad, od kwartału?

— Och, dłużej. Ale oni stają się… Są coraz bardziej złośliwi.

Szczególnie w nocy. Terzol ich nie powstrzymuje. — Sadik mówiła jak przez sen, z całkowitym spokojem, jakby ta sprawa już jej nie dotyczyła.

— Co też takiego robią? — zapytała Takver, choć Szevek ostrzegł ją wzrokiem, by tego nie czyniła.

— No więc oni… są po prostu podli. Nie dopuszczają mnie do zabaw i w ogóle. Tip — była moją przyjaciółką, jak wiecie — dawniej przychodziła i rozmawiała ze mną, przynajmniej po zgaszeniu światła. Teraz już nie przychodzi. Terzol jest teraz w noclegowni starszą siostrą i ona… ona mówi: „Szevek jest… Szevek…”

Przerwał jej, wyczuwając narastające w ciele dziecka napięcie.

Sadik skuliła się, zbierając się na odwagę, by dokończyć zdanie.

Nie mógł tego znieść.

— Mówi: „Szevek jest zdrajcą, Sadik jest samolubem”. Przecież

wiesz, co ona mówi, Takver!

Oczy mu płonęły. Takver podeszła i dotknęła policzka córki, nieśmiało i tylko raz. Powiedziała cicho:

— Tak, wiem — po czym cofnęła się i usiadła na drugim tapczanie, zwrócona do nich twarzą.

Pilun, zwinięta pod ścianą, pochrapywała cichutko. Mieszkańcy sąsiedniego pokoju wrócili ze stołówki, trzasnęły drzwi, ktoś na placu zawołał „dobranoc", a ktoś inny życzył mu tego samego przez otwarte okno. Wielki, złożony z dwustu pokoi domicyl szumiał wokół nich przyciszonym gwarem; i podobnie jak ich życie wdzierało się w jego życie, tak jego życie wdzierało się w ich życie — cząstkę tej całości. Sadik zsunęła się po chwili z kolan ojca i usiadła obok niego na tapczanie. Jej ciemne włosy, potargane i zmierzwione, zwisały po obu stronach jej twarzy.

— Nie chciałam wam nic mówić, bo… — odezwała się słabym, cienkim głosem. — Ale jest coraz gorzej. Oni się wzajemnie podpuszczają, żeby mi dokuczać.

— Więcej tam nie wrócisz — zdecydował Szevek. Otoczył ją ramieniem. Nie poddała mu się, siedziała nadal sztywno wyprostowana.

— Może gdybym poszła i porozmawiała z nimi… — rozważała Takver.

— To się na nic nie zda. Myślą, co myślą.

— Za co to nas spotyka? — dopytywała się z niedowierzaniem Takver.

Nie odpowiedział. Wciąż obejmował córkę i Sadik zmiękła wreszcie, ze znużeniem opierając głowę na jego ramieniu.

— Są jeszcze inne ośrodki kształceniowe — stwierdził w końcu bez zbytniego przekonania.

Takver wstała. Nie mogła najwyraźniej usiedzieć bezczynnie na miejscu, chciała coś robić, działać. Lecz niewiele było do zrobienia.

— Zaplotę ci włosy, Sadik — zaproponowała bezbarwnym głosem.

Wyszczotkowała i zaplotła córce włosy. Ustawili parawan w poprzek pokoju i położyli Sadik obok śpiącej siostry. Kiedy mówiła im dobranoc, zebrało jej się znowu na płacz, po półgodzinie poznali jednak po jej oddechu, że już usnęła.

Szevek usiadł u szczytu drugiego tapczanu z notatnikiem i tabliczką, na której dokonywał obliczeń.

— Uporządkowałam dzisiaj ten rękopis — powiedziała Takver.

— De się tego uzbierało?

— Razem z suplementem czterdzieści jeden stron.

Skinął głową. Takver wstała, przyjrzała się znad parawanu śpiącym dziewczynkom, po czym wróciła i usiadła na tapczanie.

— Czułam, że coś jest nie w porządku. Ale ona nic mi nie mówiła. Nigdy nic nie mówi, ma naturę stoika. Nie pomyślałam, że to o to chodzi. Sądziłam, że to jedynie nasz kłopot, do głowy by mi nie przyszło, że wciągną w to dzieci. — Powiedziała to z cichą goryczą. — To się nasila, narasta… Czy w innej szkole będzie inaczej?

— Nie wiem. Jeśli będzie nadal tyle z nami przebywała, prawdopodobnie nie.

— Nie sugerujesz chyba…

— Niczego nie sugeruję. Stwierdzam jedynie fakt. Jeśli decydujemy się otaczać dziecko indywidualną miłością, nie zdołamy jej ustrzec przed tym, co temu towarzyszy, przed ryzykiem bólu. Bólu, jaki my sami jej zadajemy i jaki inni zadają jej przez nas.

— To niesprawiedliwe, żeby jej dokuczano za to, co my robimy.

Ona jest taka dobra, taka wesoła, jest jak czysta woda… — Urwała, bo wezbrał jej w gardle płacz, ale szybko otarła oczy i zacięła usta.

— Nie za to, co my robimy — sprostował. — Za to, co ja robię. — Odłożył notatnik. — Ty też się już przez to nacierpiałaś.

— Nie obchodzi mnie, co sobie gadają.

— W pracy?

— Mogę wziąć inną posadę.

— Nie tu, nie w twoim zawodzie.

— Chcesz, żebym stąd wyjechała? Pewnie dostałabym pracę w laboratoriach rybnych w Błogim Dostatku nad Morzem Sorruba. A ty? — Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem. — Ty byś został tutaj, tak?

— Mógłbym pojechać z tobą. Skovan i inni podciągnęli się już w ajońskim, poradziliby sobie sami z obsługą radia, a to obecnie moja główna praktyczna funkcja w Syndykacie. Fizykę mogę uprawiać w Błogim Dostatku równie dobrze jak tutaj. Ale jeśli całkiem nie zerwę z Syndykatem Inicjatywy, nie rozwiąże to problemu, prawda? Bo to ja jestem problemem. To ja sprowadzam kłopoty.

— Co to będzie kogo obchodziło w takiej dziurze jak Błogi Dostatek?

— Obawiam się, że jednak będzie.

— Szev, jak często ty się spotykałeś z tymi objawami nienawiści? Czy ty też, jak Sadik, chowałeś to w sobie?

— Podobnie jak ty. No cóż, od czasu do czasu. Kiedy zeszłego lata pojechałem do Zgody, było tam trochę goręcej, niż ci opowiadałem. Rzucanie kamieniami, prawdziwa bitwa. Studenci, którzy mnie tam zaprosili, musieli się za mnie bić. I bili się, toteż szybko stamtąd wyjechałem — narażałem ich na niebezpieczeństwo. No cóż, studenci lubią, gdy się robi trochę niebezpiecznie. I ostatecznie sami się napraszaliśmy, sprowokowaliśmy ludzi. Okazuje się, że wielu jest po

naszej stronie. Ale teraz… teraz zaczynam się zastanawiać, czy zostając z wami, nie narażam na niebezpieczeństwo ciebie i dzieci, Tak.

— Ty sam nie jesteś oczywiście zagrożony — mruknęła ze złością.

— Prosiłem o to. Nie przyszło mi jednak do głowy, że oni obrócą swoją plemienną niechęć i na ciebie. Niebezpieczeństwo, które ci grozi, odczuwam inaczej niż to, które zawisło nade mną.

— Altruista!

— Być może. Nic na to nie poradzę. Czuję się za was odpowiedzialny, Tak. Gdyby nie ja, mogłabyś pojechać, dokąd byś chciała, mogłabyś zostać tutaj. Pracowałaś, co prawda, dla Syndykatu, ale za złe mają ci jedynie twoją lojalność wobec mnie. Stałem się symbolem. Więc nie mam gdzie… nie mam dokąd jechać.

— Jedź na Urras — powiedziała tak twardo, że aż się cofnął, jakby go uderzyła w twarz.

Nie patrzyła mu w oczy, powtórzyła jednak, łagodniejszym już głosem:

— Jedź na Urras… Dlaczego by nie? Chcą cię tam. Tu cię nie chcą! Może się spostrzegą, co stracili, kiedy wyjedziesz… Ciebie tam zresztą ciągnie. Stwierdziłam to dzisiejszego wieczora. Dotąd się nad tym nie zastanawiałam. Poznałam to po twoim śmiechu, gdy mówiliśmy przy kolacji o tej nagrodzie.

— Nie potrzebuję nagród ani premii!

— Nie, ale potrzebujesz uznania, dyskusji, studentów — całego tego fermentu, i to nie bekanego ręką Sabula. Posłuchaj, ty i Dap opowiadacie w kółko o straszeniu KPR pomysłem czyjegoś wyjazdu na Urras, co miałoby potwierdzić prawo człowieka do decydowania o sobie. Ale dopóki tylko o tym gadacie, a nikt nie jedzie, wzmacniacie jedynie ich stanowisko, udowadniacie, że zwyczaj jest nienaruszalny. Teraz gdy wystąpiłeś z tym na zebraniu, ktoś będzie musiał pojechać. I tym kimś powinieneś być ty. Zaproszono cię, masz powód, żeby tam jechać. Jedź i odbierz nagrodę, odbierz pieniądze, które dla ciebie odłożyli — zakończyła i całkiem szczerze się naraz roześmiała.

— Ależ ja nie chcę jechać na Urras, Takver!

— Owszem, chcesz; i doskonale o tym wiesz. Choć naprawdę nie wiem dlaczego.

— No cóż, oczywiście, że chętnie bym się spotkał z niektórymi fizykami… — przyznał z zawstydzoną miną. — Zobaczył laboratoria w Ieu Eun, gdzie prowadzą doświadczenia nad światłem.

— Masz do tego prawo — oświadczyła z żarliwą gorliwością. — To część twojej pracy, powinieneś to zrobić.

— To dopomogłoby też w podtrzymaniu rewolucji po obydwu stronach, prawda? — upewnił się. — Co za szalony pomysł! Jak ze sztuki Tirina, tyle że na opak. Miałbym jechać obalać władyków…

No cóż, udowodniłoby się im przynajmniej, że Anarres istnieje.

Rozmawiają z nami przez radio, lecz nie wydaje mi się, aby w nas naprawdę wierzyli. Aby wierzyli w to, czym jesteśmy.

— Gdyby w to uwierzyli, mogliby się wystraszyć. Gdybyś ich rzeczywiście przekonał, mogliby przyjechać i zdmuchnąć nas z nieba.

— Nie sądzę. Udałoby mi się może dokonać znowu małego przewrotu w ich fizyce, ale nie w ich poglądach. Jedynie tu na miejscu mogę wpływać na społeczeństwo, choć tu nie dbają znowu o moją fizykę. Masz zupełną rację: skoro tyleśmy o tym mówili, musimy to wprowadzić w czyn. — Po krótkiej pauzie dodał: — Ciekaw jestem, jaką fizykę uprawiają inne rasy.

— Co za inne rasy?

— Obcy. Ludzie z Hain i innych systemów słonecznych. Na Urras znajdują się dwie obce ambasady: Hain i Terry. Hainowie wynaleźli napęd międzygwiezdny, z którego Urrasyjczycy obecnie korzystają. Przypuszczam, że udostępniliby go i nam, gdybyśmy o to poprosili. Ciekawą byłoby rzeczą… — Nie dokończył.

Po dłuższej chwili milczenia odwrócił się do Takver i zapytał zmienionym, sarkastycznym tonem:

— Co byś robiła, gdybym bawił z wizytą u posiadaczy?

— Pojechałabym z dziewczynkami na wybrzeże Sorruba, wiodła cichy żywot technika w rybnym laboratorium i czekała twojego powrotu.

— Mojego powrotu? Nie wiadomo, czy w ogóle mógłbym wrócić.

Popatrzyła mu w oczy.

— Co by ci w tym mogło przeszkodzić?

— Na przykład Urrasyjczycy. Mogą mnie zatrzymać. Przecież wiesz, że u nich nikt nie może ot tak sobie wyjeżdżać i przyjeżdżać. Może nasi. Mogą mi nie pozwolić wylądować. Niektórzy z KPR tym nam dziś właśnie grozili. Między innymi Rulag.

— Ona rzeczywiście byłaby do tego zdolna. Potrafi tylko odmawiać. Wie, jak zamykać drogę do domu.

— To prawda. Tak to się istotnie przedstawia — przyznał, siadając wygodniej i przyglądając się Takver z zadumą i podziwem. — Niestety, Rulag nie należy do wyjątków. Dla całej masy ludzi ktoś, kto pojechałby na Urras, a potem próbował tu wrócić, byłby najzwyklejszym zdrajcą, szpiegiem.

— Więc co by zrobili?

— No cóż, gdyby udało im się przekonać o niebezpieczeństwie Defensywę, mogliby zestrzelić statek.

— Czy ci z Defensywy byliby aż tak głupi?

— Nie sądzę. Ale przecież nie trzeba być pracownikiem Defensywy, żeby sporządzić materiał wybuchowy z prochu górniczego i wysadzić statek na ziemi lub, co bardziej prawdopodobne,

zaatakować mnie po zejściu z pokładu. Wydaje mi się, że to bardzo realna możliwość. Należy ją w każdym razie brać pod uwagę, planując krajoznawczą wycieczkę po malowniczych terenach Urras.

— Czy warto więc, żebyś podejmował takie ryzyko?

Przez chwilę patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

— Tak — odrzekł — pod pewnym względem warto. Mógłbym tam skończyć moją teorię i ofiarować ją Urrasyjczykom — im, nam i pozostałym światom, rozumiesz — podobałoby mi się to. Tutaj otacza mnie mur. Jestem spętany, trudno mi w takich warunkach pracować, sprawdzać wyniki pracy, bez przyrządów, odcięty od kolegów, od studentów. A gdy już coś skończę, oni tego nie chcą.

Jeśli nawet chcą — jak na przykład Sabul — żądają ode mnie, bym wyrzekł się swobody w zamian za ich poparcie… Po mojej śmierci wykorzystają to, czego dokonałem, zawsze tak bywa. Ale w imię czego miałbym oddawać trud całego życia Sabulowi — wszystkim Sabulom — nędznym, przebiegłym, chciwym samolubom jednej planety? Pragnąłbym się nim podzielić. To, nad czym pracuję, to rzecz wielka. Powinno się ją rozdać, rozpowszechnić. Jej od tego nie ubędzie!

— A więc dobrze — powiedziała — to jest tego warte.

— Czego warte?

— Ryzyka, że możesz nie móc wrócić.

— Mogę nie móc wrócić — powtórzył. Wpatrywał się w nią dziwnym wzrokiem — roztargnionym, a zarazem napiętym.

— Ja myślę, że my — Syndykat — mamy więcej stronników, niż nam się wydaje. Nie doświadczamy tego, bośmy w gruncie rzeczy niewiele zrobili, nie zrobiliśmy nic, żeby ich skrzyknąć, nie podjęliśmy żadnego ryzyka. Jeśli je podejmiesz, myślę, że ci ludzie wystąpią z poparciem. Kiedy otworzysz drzwi, znowu poczują powiew świeżego powietrza, zapach wolności.

— I rzucą się kupą, żeby je zatrzasnąć…

— Jeśli to zrobią, tym gorzej dla nich. Syndykat stać na zapewnienie ci ochrony, kiedy wylądujesz. A zresztą, jeżeli ludzie będą nadal tacy wrodzy i nienawistni, powiemy sobie: do diabła z nimi — co za pożytek z anarchistycznego społeczeństwa, które lęka się anarchistów? Wyjedziemy stąd i zamieszkamy w Samotni, w Górnym Sedepie albo na końcu świata; zaszyjemy się w górach, na odludziu, jeśli będzie trzeba. Miejsca jest dosyć. Znajdą się też chętni, by nam towarzyszyć. Założymy nową wspólnotę. Skoro nasze społeczeństwo zaczyna się babrać w polityce i dąży do władzy, porzucimy je, wyjedziemy stąd i zbudujemy Anarres poza Anarres, damy nowy początek. Co ty na to?

— Pięknie — powiedział — to wszystko bardzo pięknie, kochanie. Tylko że, widzisz, ja nie wybieram się na Urras.

— Ależ wybierasz się, wybierasz. A potem do nas wrócisz — zapewniła. W jej oczach mroczniała głęboka, miękka ciemność, podobna do ciemności nocnego lasu. — Jeśli tylko wyruszysz w drogę, to i wrócisz. Zawsze dochodziłeś tam, dokąd zamierzyłeś. I zawsze wracałeś.

— Nie gadaj głupstw, Takver, ja nie wybieram się na Urras!

— Jestem zupełnie wykończona. — Przeciągnęła się, pochyliła i oparła czoło na jego ramieniu. — Kładźmy się spać.

Rozdział trzynasty
Urras — Anarres

Dopóki nie zeszli z orbity, wypełniała iluminatory turkusowa, ogromna i piękna, osnuta chmurami Urras. Ale potem statek obrócił się i ukazały się w iluminatorach gwiazdy, a wśród nich Anarres — kulista, jasna bryła, poruszająca się, a jakby nieruchoma, zawieszona nie wiadomo czyją ręką, przędąca czas w wiecznych obrotach.

Oprowadzono Szeveka po całym statku, międzygwiazdowcu Davenant. Już bardziej nie mógł się chyba różnić od frachtowca Czujny. Z zewnątrz wyglądał tak dziwacznie i krucho jak rzeźba z drutu i szkła; nie przypominał w niczym statku kosmicznego, żadnego w ogóle pojazdu, nie miał nawet przodu i tyłu, nie przedzierał się bowiem nigdy przez atmosferę gęstszą od tej, która wypełnia przestrzeń międzyplanetarną. W środku był przestronny i solidny niczym dom. Pokoje były duże, pojedyncze, ściany wykładane boazerią lub pokryte tkaninami o wypukłym splocie, sufity wysokie. Tyle że był to jak gdyby dom o zaciągniętych zasłonach (w niewielu bowiem pokojach były iluminatory), dom ponadto niebywale cichy. Nawet na mostku i w maszynowni panowała cisza, wszystkie zaś instrumenty i maszyny odznaczały się tą skończoną prostotą konstrukcji Jaka cechuje oprzyrządowanie żaglowca. Do odpoczynku służył ogród, oświetlony światłem o barwie słonecznego, z powietrzem wonnym, pachnącym ziemią i liśćmi; podczas pokładowych nocy ogród zaciemniano i w jego oknach ukazywały się gwiazdy.

Choć podróże międzygwiezdne trwały tylko parę godzin (co najwyżej dni) pokładowego czasu, statek ten, poruszający się z szybkością bliską prędkości światła, mógł spędzać całe miesiące na eksploracji jakiegoś układu słonecznego lub krążyć latami na orbicie wokół planety, na której jego załoga mieszkała bądź którą badała. To dlatego zbudowano go tak przestronnym, aby ludziom, I którzy mieli odbywać w nim te wyprawy, żyło się wygodnie.

Utrzymany był w stylu zachowującym — z niewymuszonym wdziękiem, właściwym długiej praktyce — równowagę między przepychem Urras a surowością Anarres. Łatwo było wyobrazić sobie, jak płynęło na nim życie: wśród ograniczeń, na które nie ma powodu się uskarżać, w błogości i zadumie. Haińscy członkowie załogi mieli naturę kontemplacyjną, byli uprzejmi, raczej poważni.

Ich zachowanie trudno by nazwać spontanicznym. Najmłodszy z nich wydawał się sędziwszy niż najstarszy z przebywających na pokładzie Terran.

Podczas trzech dni, których potrzebował Davenant (napędzany

paliwem chemicznym, poruszający się więc z prędkością konwencjonalną) na przebycie drogi z Urras na Anarres, Szevek rzadko jednak przyglądał się uważnie Terranom i Hainom. Chętnie udzielał odpowiedzi na pytania, sam ich jednak prawie nie zadawał. Jeśli się odzywał, to z głębi wewnętrznego milczenia. Członków załogi Davenanta — szczególnie tych młodszych — ciągnęło do niego, jakby miał coś, czego im samym nie dostawało, lub był kimś, kim oni stać by się pragnęli. Dużo o nim ze sobą rozmawiali, w towarzystwie jednak Szeveka ogarniała ich nieśmiałość. Nie zauważał tego. Ich obecność zaledwie dostrzegał. Oczy miał zwrócone na Anarres, do której się zbliżał. Zdjęte zostały nareszcie z jego duszy pieczęcie zawiedzionych nadziei, spełnionej obietnicy, klęski i źródeł radości. Był jak człowiek wypuszczony z więzienia, wracający do domu, do rodziny. Wszystko, co taki człowiek spostrzega po drodze, jest jedynie odbiciem tego wewnętrznego światła.

Drugiego dnia podróży siedział w kabinie radiooperatora i rozmawiał przez radio z Anarres — najpierw na fali KPR, obecnie na częstotliwości Syndykatu Inicjatywy. Pochylony do przodu, to słuchał, to odpowiadał potokiem jasnej, wyrazistej mowy, która była jego językiem ojczystym, to gestykulował wolną ręką, jakby jego rozmówca był w stanie go widzieć, to znów wybuchał śmiechem.

Pierwszy oficer na Dewenancie, Hain, radiooperator o imieniu Ketho, obserwował go z zamyśloną miną. Poprzedniego wieczora — w towarzystwie dowódcy i pozostałych członków załogi — rozmawiali ze sobą godzinę po kolacji; zadał Szevekowi sporo pytań na temat Anarres — w cichy, haiński, nie natrętny sposób.

Szevek odwrócił się wreszcie.

— No, skończone. Reszta może zaczekać do mojego powrotu.

Skontaktują się z tobą jutro, żeby omówić procedurę lądowania.

Ketho skinął głową.

— Odebrałeś jakieś dobre wiadomości — zauważył.

— Istotnie. A w każdym razie, jak się to mówi, wiadomości pobudzające. — Zmuszeni byli rozmawiać ze sobą po ajońsku. Szevek mówił tym językiem płynniej niż Ketho, który wyrażał się bardzo poprawnie, lecz drętwo. — Lądowanie zapowiada się nader podniecająco — ciągnął Szevek. — Będą mnie oczekiwali liczni wrogowie, ale i wielu przyjaciół. Dobre wiadomości dotyczą właśnie przyjaciół… Wygląda na to, że mam ich więcej niż przed wyjazdem.

— Tylko to niebezpieczeństwo napaści, które ci grozi po wylądowaniu — zmartwił się Ketho. — Oficerowie z Portu Anarres są chyba pewni, że potrafią sobie poradzić z dysydentami? Chyba nie pozwoliliby ci lądować, gdybyś miał zostać zabity?

— No cóż, zamierzają mnie bronić. Ale ostatecznie ja też jestem dysydentem. Sam się prosiłem o to ryzyko. Widzisz, to mój przywilej

jako odonianina.

Uśmiechnął się do Ketho. Ten nie odwzajemnił jednak uśmiechu; minę miał poważną. Był przystojnym mężczyzną około trzydziestki, wysokim, o wyrazistych, delikatnych rysach, skórze jak u Ceteńczyków jasnej, a przy tym — jak u Terran — niemal nie zarośniętej.

— Rad jestem, że będę mógł dzielić z tobą to ryzyko — oświadczył Ketho. — To ja mam cię zabrać na dół ładownikiem.

— To świetnie — ucieszył się Szevek. — Mało kto jest skłonny dzielić nasze przywileje!

— Znalazłoby się takich więcej, niż myślisz — powiedział Ketho. — Gdybyście im tylko pozwolili.

Szevek, który z niejakim roztargnieniem prowadził tę rozmowę, zbierał się już do odejścia, ostatnie zdanie Haina zatrzymało go jednak. Przyjrzał się Ketho i spytał po chwili:

— Czy mam przez to rozumieć, że chciałbyś ze mną wylądować?

Tamten odpowiedział z równą otwartością:

— Tak, chciałbym.

— Czy twój dowódca zgodziłby się na to?

— Tak. Jako oficer statku w misji specjalnej mam nawet obowiązek poddać badaniu i eksploracji każdy nowy świat, kiedy nadarzy się po temu sposobność. Rozważaliśmy z dowódcą taką możliwość. Przed wyjazdem omówiliśmy tę sprawę z naszymi ambasadorami. Ich zdaniem nie należy składać oficjalnej prośby, skoro polityka waszego państwa zakazuje lądowania cudzoziemcom.

— Hm — mruknął wymijająco Szevek. Przystanął przed wiszącym na ścianie obrazem, niezwykle prostym i subtelnym, przedstawiającym haiński pejzaż — ciemną rzekę płynącą wśród trzcin pod chmurnym niebem. — Warunki Zamknięcia Osadnictwa na Anarres — powiedział — nie pozwalają lądować u nas Urrasyjczykom, wyjąwszy obszar Portu. Te warunki są nadal przestrzegane.

Ale ty nie jesteś Urrasyjczykiem.

— Kiedy zasiedlano Anarres, nie znaliście jeszcze innych ras.

Warunki te odnoszą się zatem w konsekwencji do wszystkich cudzoziemców.

— Tak też postanowili nasi przywódcy przed sześćdziesięciu laty, kiedy twoi ziomkowie zjawili się po raz pierwszy w naszym systemie słonecznym i próbowali się z nami porozumieć. Uważam jednak, że byli w błędzie. Wznosili po prostu kolejne mury. — Odwrócił się; stojąc z założonymi w tył rękami, przyglądał się Hainowi. — Czemu chcesz u nas wylądować, Ketho?

— Chciałbym zobaczyć Anarres. Byłem jej ciekawy jeszcze przed twoim przybyciem na Urras. Zainteresowałem się waszą planetą po przeczytaniu dzieł Odo. Bardzo mnie zajęły. Naucz… — zawahał się,

jak gdyby zakłopotany, dokończył jednak, powściągliwy i nienaganny jak zwykle: — Nauczyłem się trochę prawickiego. Nie za dobrze jak na razie.

— A więc robisz to z własnej chęci, to twoja własna inicjatywa?

— Całkowicie.

— I zdajesz sobie sprawę, że to może być niebezpieczne?

— Tak.

— Sprawy na Anarres… rozprzęgły się nieco, jak mi donoszą przez radio przyjaciele. Naszym celem — celem naszego Syndykatu, tej mojej podróży — było od początku wywołanie wstrząsu, fermentu, przełamanie nawyków, skłonienie ludzi, żeby zaczęli zadawać pytania, zachowywać się jak anarchiści! I ten proces się podczas mojej nieobecności rozwijał. Tak więc, widzisz, już nikt nie może gwarantować, co się jeszcze wydarzy. A kiedy ty ze mną wylądujesz, zamęt jeszcze się powiększy. Nie mogę przeciągać struny. Nie mogę zabrać cię ze sobą jako oficjalnego wysłannika obcego rządu. Na Anarres to nie poskutkuje.

— Rozumiem.

— Gdy się już tam znajdziesz, gdy wraz ze mną przekroczysz ten mur, staniesz się jednym z nas. My będziemy odpowiedzialni za ciebie, ty za nas; będziesz Anarresyjczykiem, staniesz przed takimi samymi jak my wszyscy wyborami. A nie są to wybory łatwe.

Wolność nigdy nie bywa łatwa. — Rozejrzał się po cichej, schludnej kabinie, z jej prostymi pulpitami, delikatnymi instrumentami, wysokim sufitem i ścianami bez okien, po czym zwrócił spojrzenie na Ketho. — Odkryjesz, że jesteś straszliwie samotny — zakończył.

— Moja rasa jest bardzo stara — powiedział Hain. — Nasza cywilizacja liczy tysiąc tysiącleci. Setki z tych tysiącleci są historycznie udokumentowane. Próbowaliśmy już wszystkiego. Między innymi anarchizmu. Ale ja osobiście tego nie próbowałem. Mówi się: nic nowego pod żadnym ze słońc. Lecz jeśli życie, każde poszczególne życie, nie jest nowe, to po co się rodzimy?

— Jesteśmy dziećmi czasu — powiedział po prawieku Szevek.

Młodszy mężczyzna przyglądał mu się przez chwilę, po czym powtórzył te słowa po ajońsku:

— Jesteśmy dziećmi czasu.

— Dobrze — pochwalił go Szevek i roześmiał się. — Dobrze, ammar. Lepiej połącz się jeszcze raz z Anarres — zacznij od Syndykatu… Powiedziałem ambasador Keng, że nie mam się czym odwzajemnić jej i twojemu narodowi za to, co dla mnie zrobiliście. No cóż, może jednak miałbym się wam czym odwzajemnić. Ideą, obietnicą, ryzykiem…

— Porozmawiam z dowódcą — rzekł Ketho, jak zawsze poważny,

z lekkim jednak drżeniem podniecenia i nadziei w głosie.

Późną nocą następnej pokładowej doby wszedł Szevek do ogrodu Davenanta. Lampy były pogaszone, ogród rozjaśniało jedynie światło gwiazd. Było dość chłodno. Jakiś rozkwitający nocą kwiat z dalekiego świata, obiegającego obcą gwiazdę, rozchylał płatki pośród ciemnych liści i cierpliwie, daremnie rozsiewał słodką woń, pragnąc przywabić jakąś niewyobrażalną ćmę z odległego o biliony mil ogrodu. Światła słoneczne są różne, lecz ciemność jest tylko jedna. Szevek stał przed wysokim, przejrzystym iluminatorem i przyglądał się nocnej stronie Anarres — czarnej krzywiźnie na tle wygwieżdżonego nieba. Zastanawiał się, czy i Takver będzie w Porcie. Nie wróciła jeszcze z Błogiego Dostatku, kiedy ostatni raz rozmawiał z Bedapem, jemu więc powierzył omówienie z nią tej sprawy i zdecydowanie, czy byłoby mądrze, aby zjawiła się na lotnisku. Zastanawiał się, jaką miała podróż z wybrzeża Sorruby; miał nadzieję, że przyjedzie sterowcem, jeśli zabierze dziewczynki. Podróż koleją z dziećmi była tak męcząca.

Dotąd miał w pamięci niewygody wyprawy z Chakar do Abbenay w 68, gdy Sadik chorowała przez trzy koszmarne dni.

Drzwi do ogrodu otworzyły się, wpuszczając nieco światła, które rozjaśniło bladą poświatę gwiazd. Dowódca Davenanta zawołał Szeveka po imieniu; ten odezwał się. Do ogrodu weszli dowódca i Ketho.

— Od waszej kontroli naziemnej otrzymaliśmy procedurę zejścia dla naszego ładownika — oznajmił ten pierwszy. Był to niski, żelazistego koloru Terranin, w obejściu chłodny i rzeczowy. — Jeżeli jest pan już gotów, przystępujemy do odpalenia.

— Jestem gotów.

Tamten kiwnął głową i oddalił się. Ketho podszedł i stanął przed iluminatorem obok Szeveka.

— Czy jesteś pewien, że chcesz przekroczyć ze mną ten mur, Ketho? Bo widzisz, dla mnie to łatwe. Cokolwiek się zdarzy, wracam do domu. Ty zaś opuszczasz dom. „Prawdziwa podróż to droga powrotna…”

— I ja mam nadzieję kiedyś wrócić — odparł cicho Ketho.

— Kiedy mamy wsiąść do ładownika?

— Za jakieś dwadzieścia minut.

— Jestem gotów. Pakować się nie muszę. — Zaniósł się śmiechem czystego, niezmąconego szczęścia. Młodszy mężczyzna przyglądał mu się z powagą, jak gdyby nie bardzo wiedział, co to takiego szczęście, rozpoznawał jednak ów stan, bądź też mgliście go sobie przypominał. Wydawało się, że chce zapytać o coś Szeveka. Nie zrobił tego jednak.

— W Porcie Anarres będzie wczesny ranek — poinformował go na koniec i wyszedł, żeby wziąć swoje rzeczy i czekać na niego przy włazie.

Szevek został sam. Odwrócił się w stronę okna; oślepił go blask wynurzającej się właśnie z Morza Temaeńskiego słonecznej tarczy.

„Dziś wieczorem położę się spać na Anarres — pomyślał. — U boku Takver. Szkoda, że nie przywiozłem dla Pilun tej pocztówki z owieczką."

Ale nic ze sobą nie przywoził. Przybywał — jak zwykle — z pustymi rękami.